

POWIEŚCI KOZACKIE

I

G A W Ę D Y,

PRZEZ

MICHAŁA CZAJKOWSKIEGO.

WYDANIE DRUGIE, PRZEJRZANE I POPRAWIONE.



LIPSK:

F. A. BROCKHAUS.

1863.

Państwowe Pedagogium i Liceum Pedagogiczne



821.162.1-3



SN 13596

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM XV.

Józef Wybicki.

PISMA

MICHAŁA CZAJKOWSKIEGO.

TOM TRZECI.

POWIEŚCI KOZACKIE I GAWĘDY.

LIPSK:

F. A. BROCKHAUS.

1863.

STANISŁAWOWI DROZDOWSKIEMU

PORUCZNIKOWI 13 PUŁKU

UŁANÓW LITEWSKICH

W PAMIĘTNYM

1831 ROKU

DZIŚ DOKTOROWI MEDYCYNY I CHIRURGJI W SŁUŻBIE

CESARZA OTOMAŃSKIEGO PAŃSTWA.

KOCHANY PANIE STANISŁAWIE!

Tobie, najdawniejszemu i najwytrwalszemu, mojemu towarzyszowi prac na Wschodzie — śmiało powiedzieć mogę, jednemu z najlepszych moich przyjaciół — poświęcam te kilka cwiartek, które piszę wtenczas, kiedy już pisać przestałem i zawiesiłem do boku, na nowo szablę 1831 roku. — Dołącz je kiedyś do tych dawnych powieści kozackich, które stały się ciałem — i od dziewięciu lat, żyją w ludziach kozakach, z bronią i na koniach — do służby Sultana, naszego Pana — gotowi jechać nad Dunaj i za Dunaj — i przypomnieć piosnkę: ichau kozak za Dunaj —.

Omnia trinum perfectum — było przysłowiem starej szlachty Polskiej — i do kielicha i do tańca, i do różańca i do wszystkiego. — Przeżyliśmy życiem kozaczem, wysnutem z Polski, lat trzy, i trzy razy trzy, lat dziewięć — może po tem perfectum — nastąpi jakaś doskonałość ostateczna — do zakończenia powieści pomysłu, i powieści życia. — I ty mój drogi Panie Stanisławie — przypasziesz szablę 1831 roku i pójdiesz z nami — z Kozakami. — Daj Boże.

AUTOR.

Skutari, 24-go Kwietnia 1862.

Znakomity pisarz Karol Sienkiewicz z Kalinówki, szczęśliwie bardzo oznaczył porównanie między Krzyżakami a Kozakami — między ponurem rycerstwem przemocy i porządku — a rycerstwem hulaszczem swobody i nieładu. — Obydwa te rycerstwa, gdyby jedno cudzoziemskie, było spolszczonem — gdyby drugie polskie, sławiańskie, nie było odepchniętem przez Polaków — postawiły by Polskę, nietylko w pierwszym rzędzie mocarstw tego świata — ale najpierwszym mocarstwem; nie dobijały by się Francya z Rosyą o urojoną spuściznę podawnych Rzymianach — panowania nad światem. — Polska by ją miała rzeczywiście. — Bo kiedy Krzyżacy i Kozacy, byli już dzielnem i wyćwiczonem i sławnem rycerstwem, Europa wówczas w żadnem swoim państwie takiego nie miała. — Cała wojenna wartość, cała siła oporu i porządku, falangi greckiej i legionów Rzymu, była w Krzyżakach — cała hulaszczość, cały polot pułków Dżengiskana i Tamerlana były w Kozakach. — Z takim rycerstwem, w polityce polskiej i w języku polskim nawet, nie byłoby słowa — niepodobna. —

Inaczej się stało! — Protestantyzm w interesie niemczyzny, oderwał od Polski rycerzów Krzyżaków — Jezuityzm, z niepolską — z niesławiańską łaciną, odepchnął od Polski rycerstwo Kozaków. — Polacy, jak od wieków sławni szablą, tak znani z nierozumu politycznego — z obojętnością patrzyli na zdrady Brandenburskiego rodu — poklaskiwali fałszywego lennika — a z całą niesprawiedliwością, i z nieznanem

okrucieństwem sławiańskiemu plemieniowi, wystąpili przeciw Kozakom — na zadość uczynienie Jezuitom, działającym w imię łaciny; niewdzięcznie za zwycięstwa Chocimskie i Konotopskie — smalili, ćwiertowali i mordowali własnych braci — dzieci tejże samej matki co i oni — i zmusili ich do wystąpienia przeciw sobie z bronią — do targnięcia się na własną Matkę. Rycerstwo Kozaków, rozpaczą doprowadzone do zemsty, dokonało na Polsce kłesk, rozpoczętych przez rycerstwo Krzyżaków, działające w imię i na rzecz polityki niemieckiej. —

Wtenczas kiedy syn pogromcy Grunwaldzkiego, synowiec bohatera Litwy, który garnął do siebie rycerstwo Krzyżaków, by je do Litwy a z Litwą do Polski wcielać — biegł na rozkaz Papieżkiego Legata, cześć wojenną, dobre imię i głowę Królewską, nieść pod szablę Janczara — nie wiedzieć za co i po co — dla widzimisia Rzymskiego. — Wtenczas, kiedy Kochanek Marysienki, Bohater Jaś — oddawał Moskałom odczepnego najpiękniejszą część Polskiej korony, Ruś zadnieprzańską, by mógł lecieć na ratunek Niemcom, a bić najlepszego i najrzeczywistszego sprzymierzeńca Polski. — Wtenczas protestantyzm z niemczyzną — Jezuityzm z łaciną, różnemi drogami dążyli ale do jednego celu: oderwać od Polski i rozbić dwa potężne rycerstwa — i wyrzucić Polskę z grona sławiańskich Narodów. — Moskwa Iwana Kalety czujnem okiem na to patrzyła — i zaraz zapisała sobie testamentem spuściznę po Polsce i samą Polskę. — Papizm poszedł z niczem, śpiewać requiescant po Polsce, nie mogąc zaśpiewać *Te deum laudamus* za nawrócenie się Moskwy na Łacinę. — Niemcom rzuciła cząstki rozbioru, a sama zawłaszczyła dla siebie, i oba rycerstwa, i zwierzchnictwo nad Sławiańszczyzną, i samą Polskę. —

Tak się skończył ten dramat dwóch rycerstw, który dziś odbija się większą prawdą w pieśniach i powieściach wyobraźni, jak w historyach pisanych na kopyto i za rozkazem niemieckim, moskiewskim i łacińskim albo jezuickim. — Historia poprzekręcała najświętsze prawdy — z ofiar barbarzyństwa, niesłychanego okrucieństwa, gotowanych żywcem w kotłach wrzącej wody, wbijanych na pal, ćwiertowanych za życia, po-

robiła złoczyńców. — Ze złoczyńców mścicieli świętej wiary i Ojczyzny. — I takimi kartami o przeszłości praocjów, uczono potomstwa na przyszłość. — Żeby wnukowie rumienili się rycerskich czynów swoich przodków, sławy wojennej Polski — a obchodzili hymnami jak ów dzisiejszy Biskup Tuluzy, rocznice rzezi bratobójczej, wykonanej w dzień Świętego Bartłomieja. — Ale Bóg, wielki i sprawiedliwy nie chciał aby tak się stało, natchnął piewców i powieściarzy: ci z kronik domowych, z podań ludzi — wyciągnęli prawdę na jaw i powiedzieli kto praw, kto krzyw — oddali każdemu co mu się należało. — — Darmo dzisiejsi Jezuitkowie, pajace owych ogromnych Jezuitów Lojoli, piszą i prawią że to fałsze. — Darmo te niemczuki, potomkowie dawnych Niemców, Hegloskim i Szleglowskim językiem chcą wyfilozofować że to bajki. — Darmo Moskalski knutem grozi, i ukazy szle, że tego w Karamzynie, ani Łomonosowie nie ma — więc wiary niegodne — prawda raz wyrzucona z ciemnic, świeci jak słońce na jasnych obłokach nieba. — I z pieśni i z powieści, przechodzi z pokoleń do pokoleń, i w sercach ludzi, niże na różaniec prawdy, paciorki wypadków po paciorkach — i duch prawdy się nie skrzywi, nie zaginie — wyszana rycerskość przechowa się po wiek wieków — w prawdzie, w wierze, w nadziei, a jak Bóg da, i w czyn się przeobrazi. — — Znałem poetę wielkiego, i znają go wszyscy: ssał swoje pieśni, na podaniach ludu o wielkich, o sławnych Atamanach — i sam został sławnym na Ukrainie i we wszej Polsce. — Na czuźynie owionął go duch Łaciny; gąsienicą oplątali go Jezuici na swoją prawowierność; popisał wierzem pistolety do zabicia grzechu śmiertelnego; Kozaczyzny — jak Piotr Chrystusa — zaparł się i rodu kozackiego i ducha kozackiego. — Poklaskiwano i poklaskiwac będą jego młodości. — Zapomniano i zapomną o jego starości — bo w młodości żył z prawdą i dla prawdy, a zatem dla Polski — w starości stał się narzędziem nieprawdy, służył nieprawdzie — nie Polsce — ale Jezuityzmowi. —

Znałem rycerza, powiem bohatera — i prawdziwego — póki był w kozaczej burce, na kozaczym koniu — i z kozaczem: Sława Bohu w ustach — póty Ukraina cała, sercem do niego skakała — i Archanioł Michał z nieba się uśmiechał — bo to

był jego Bohdanko Różyński — Jego Konaszewicz Sahajdaczny. — Ale jak na czużynie i tego Łacina owionęła, zchyryłał, zmarniał na nic. — I tego, jak w kozaczej barwie i z kozaczym duchem zapamiętano i pamiętać będą — tak kiedy się złącinił, zapomniano i zapomną. — Bo na tym Bożym świecie — nie isć chartowi w pudle albo w mopsy — ani orłowi w gawrony, albo w szpaki. —

Rycerstwa Krzyżaków już nie masz — zwały się jego zanki, po Bałtyku wojenne jego łodzie nie pływają. — Komtury, konno i zbrojuo, nie prowadzą na modły wojenne braci Krzyżowych i Mieczowych — nie śpiewają *Te deum Laudamus* za krew wylaną, ani requiem eternum popalonym siołom i grodom — nie wiodą branek i brańców do kościołów w Marienburgu, by śpiewali litanie na cześć Świętych Pańskich. — Ale wielki poeta, wielki człowiek i wielki Polak, od początku aż do końca — w poemacie swojego Konrada Walenroda, lepiej to przechował, w prawdzie i w świętym ogniu ducha, jak wszystkie historye dawne i nowe — z poematu wiedzą późni potomkowie, czem byli ich praojcowie krzyżowi. — Służą dziś pojedynczo Białemu Carowi — Królowi Pruskiemu — ale zbrojno, i w rzędzie pierwsi w boju, i dłonią i radą — powody rossyjskiego wojska i niemieckich knechtów — godni swoich przodków Komturów, Mistrzów i rycerzy miecza i krzyża. — Ale są z nich Romery, Rütli, Wejsenhofy, którzy służą pod chorągwią rycerstwa swojego — pod chorągwią połączenia obydwóch rycerstw, rycerstwa swobody, żołnierzy wielkiego Pana Rodu i Serca. —

Rycerstwo kozackie jeszcze stoi na nogach silniejsze, liczniejsze, potężniejsze jak kiedykolwiek było — choć nie samoistne. — Od dawnych pustyń świętych pańskich — od Sycy — od Porohów — po za Dunaj — za Bałkan — w Tesalskie równiny — pod górę Olympu. — Od Dniestra i Dniepra nad Kubań, po Czarne i Azowskie morza — w Zakaukazkie ziemie, po Kaspjskie jezioro i Araksa rzekę — w Orenburgskie stepy — nad Uralskie brzegi — w Mamezurskie ziemie nad Amur rzekę i Ocean Spokojny. — W Sybirskie obszary. — Pod Uralu górami. — Nad brzegami Donu — i ztamtąd przez Nizowskie — Czernigowskie — Starodubowskie — Homelskie — Pułtawskie

posady, znowu do Ojca Dniepra do Starca Kijowa. — Wszędzie rozrzucone rycerstwo Kozackie — konno i zbrojno — liczyć, liczyć i przeliczyć nie można — bo krocie ich na służbie. — Sokoly to Archaniola Michała, łowią dziś temu kto na łowy ich wiedzie — ale jak zaczną łowić dla siebie, kto wie co w ówczas będzie — czy się nie sprawdzą słowa Wielkiego Napoleona.

Piewce i powieściarze, piejcie im szumki i dumki, prawcie im powieści i gawędy — czem oni byli kiedyś, czem mogli być dla Polski i dla siebie, czem mogą być dla świata. — I Tatarowie Dżingiskana i Tamerlana nie więcej jeźdźców mieli jak oni mają — może dumka, może powieść, natchnieniem wykarmi jakiego Kozaka, i on się stanie — Dżingiskanem albo Tamerlanem Kozaczym. — Wyroki Boże niepojęte — a wola Jego Święta! —

	Strona
SWATANIE ZAPOROŻCA	3
MOGIEŁA	12
KOŚCIÓŁ W GRUŻYŃCACH	19
MÓDLMY SIĘ A BIJMY	40
WYPRAWA NA CAROGRÓD	51
SKALOZUB W ZAMKU SIĘDMIU WIEŻ	68
ATAMAN KUNICKI	80
ORLIK I ORLEŃKO	92
OWRUCZANIE 1794	117
STARO-KIJOWIANIE 1809	130
ŁUCZCANIE 1812	145
ŻYTOMIERZANIE 1812	167
BITWA POD MOŁOZKAMI, opowiadanie Żyda	181
BITWA POD IŁŻĄ, wspomnienie pułkowe	189
TRZYNASTY, wspomnienie pułkowe	207
BITWA POD LIPSKIM, wspomnienie pułkowe	215
SAWELEJ, wspomnienie pułkowe	228
MAKSYM SZTORC, wspomnienie ukraińskie	233
ZIMOWA NOC, wspomnienie z Halczyńca	241
DZIEŃ JESIENNY, wspomnienie z Halczyńca	259

184	Съдѣльничьіе распоряженія
183	Монашескія распоряженія
182	Монастырскіе распоряженія
181	Монашескія распоряженія
180	Монашескія распоряженія
179	Монашескія распоряженія
178	Монашескія распоряженія
177	Монашескія распоряженія
176	Монашескія распоряженія
175	Монашескія распоряженія
174	Монашескія распоряженія
173	Монашескія распоряженія
172	Монашескія распоряженія
171	Монашескія распоряженія
170	Монашескія распоряженія
169	Монашескія распоряженія
168	Монашескія распоряженія
167	Монашескія распоряженія
166	Монашескія распоряженія
165	Монашескія распоряженія
164	Монашескія распоряженія
163	Монашескія распоряженія
162	Монашескія распоряженія
161	Монашескія распоряженія
160	Монашескія распоряженія
159	Монашескія распоряженія
158	Монашескія распоряженія
157	Монашескія распоряженія
156	Монашескія распоряженія
155	Монашескія распоряженія
154	Монашескія распоряженія
153	Монашескія распоряженія
152	Монашескія распоряженія
151	Монашескія распоряженія
150	Монашескія распоряженія

POWIEŚCI
K O Z A C K I E.

SWATANIE ZAPOROŻCA.

I.

Po jeziorze rybka pluska, to melknie w Kołbań¹ to wyścibi główkę nad powierzchnią i drobnem oczkiem mizgnie światłu, to rozgarnie skrzelami wodę, i srebrną łuską o blask puszcza się w zawody z złotym promieniem słońca. Po nad jeziorem jaskółka zygzaki kreśli; draśnie piórkiem mokre przeźrocze i w górę wyleci, furknie pod obłokiem, i znowu w dół się pławi, a okiem tak chciwie śledzi, jak gdyby chciała przewiercić i tło nieba i bezdnic wody. Brzegiem czarnobrewę dziewczę bieży, szparko nóżkami przebiera, a wzrokiem daleko, het w pole strzela. Stań dziewczę chwilę tylko, pojrzyj po jeziorze jak się jego wody łamią i miłą do ciebie — pojrzyj na słońce jak się jego oblicze raduje twojem zjawiskiem. — Rybka storczem stanęła, bo dziewczyna dla niej piękniejsza jak biały kwiat lotacza, smuklejsza jak gibka łodyga sitowia — jaskółka w powietrzu zawisała, szyjkę wyciągnęła ku bieżącej wietrznicy i świegotnęła z omamienia, bo ona dla niej gładsza jak powierzchnia stojącej wody, miłsza jak światłość dzienna. Dziewczę nie słucha, ani okiem rzuci, bieży dalej — co jej po wodzie, po słońcu, mniejsza czy im się podoba — co jej po rybce, jest inna krasnopióra co jej wzrok nęci — co jej po jaskółce, jest inny śpiew co jej ucho łechcze. Wybiegła na mogiłę² i tupnęła nóżką, pogładnęła w step i strzepnęła rączkami, pod białą koszulą czerwonom namereżoną³ pierś gęstemi oddechami wzdyma się i spada, po mlecznem licu hojnie się rozlał krwawy rumieniec — oko żarem płonie, brylantem świeci, a po wymuskanem czole kropla potu ścieka. Na głowie ani złocistych kwiatów, ani pawich piórek, ani bynd⁴ pstrofarbnych, tylko życzka⁵ czerwono-jaskrawa wpleciona w kosy kruczych włosów w około głowy się wije; spodnica kałunajkowa⁶ w pasy, i far-

tuch obrzucony włóczką amarantową; czerwonym pasem opasana kibić jak biczem przecięta; ⁷ zaścieszka ⁸ pod szyją zamyka koszulę, nieustannie się drażniącą z okiem ciekawych mołojców. Na szyi kilka sznurów koralu — a nóżki bosc śnieżne i małe, zgrabne i pulchne. Stoi na mogile, utopiła oko ku południowi — a tam od południa w cwał kopie stepem konik biały, a na nim kozak tak się przytulił do kuli, iż czerwony kołpak bezustannie igra w splotach śnieżnej grzywy; a koń tak się wyciąga że strzemiona i podeszwy butów kozaka muskają osokę, a szabla za każdym skokiem z brzękiem odbija się od ziemi. — Leci, bo mu pilno — jednym susem chciałby dopaść mogiły, bo już zajrzał dziewczę lubę, jak wyciąga ramiona ku niemu, kiwa rączką i mruga — a serce kozaka młotem bije w łonie, krew warem kipi w żyłach — już konik u stóp mogiły sam stoi. Dziewczę zbiega, kozak podbiega, już się ręce splotły, a usta gorący, namiętny całus skleił — po co wstępy, po co próżne słowa, gdzie czysta miłość w sercach gore, gdzie szczerłość i prostota duszami włada: biada niewieście której krasę podwyższać trzeba piękrzydłem sztuki; biada miłości, której uczucie malować trzeba ułożeniem słówkiem. Długi szereg barwistych wysłowień nie potrafi oddać tak silnie namiętności, jak jeden mały pocałunek, jedno ściśnięcie ręki. Kozak i dziewczyna powiedzieli sobie tyle uściskaniem i całusem, ile kochankowie wykształconego świata i wiek matuzalowy żyjąc, nie zdołaliby wyrazić. Przeszła pierwsza chwila, kozak w oczy zagląda dziewczęciu, szorstką ręką gładzi gładkie liczko, dziewczę się uśmiecha i na palce wznosi.

— Oj nie darmo — rzecze kozak — biały uwiózł mi z boju głowę na karku, nie żał żyć na świecie kiedy Marusieńka taka ładna jak kalina, taka hoża jak woda zdrojowa.

— Oj Ostapie — odpowie dziewczę — żeby nie boje, twoja Marusieńka byłaby jeszcze kraśniejsza: jak czeremcha bez wody więdnije, tak dusza dziewczyny bez miłego z tęsknoty usycha.

— No już koniec temu dziewczyno luba, pożegnał braci, przechylił niejedną czarę, zapłakał trochę, taj dalej do Marusieńki — rzucił Zaporozę taj może i na wieki. —

Choć obok kochanki smutnie kozak patrzy; wąs napuścił na usta, i powiekę na oko. Marusia się tuli do ramienia, pieści ręką osęfedeć ⁹ wystający z pod czapki, ale Ostap zawsze smutny, nareszcie jakby się ze snu ocknął, poprawił czapkę, nakreślił wąs.

— Co się stało, to nie odstanie; chodźmy pokłonić się rodzi-com, taj prosić niechaj nas błogosławią; trzeba zawiesić szablę i spisę a wziąć się za pług i radło. —

I tak szli ku wiosce z pogodnem czołem, z wesolą myślą, a biały za nimi jak pies bieży, i wędzidłem podzwania.

II.

Przed 'chatą na przyzbie siedzi stary ojciec i matka Marusieńki; starsze dzieci i czeladka poszli w pole, a młodsze na kijach harcują po podwórku: Stary kiwa głową i tak mówi do żony.

— Czy lichy ¹⁰ naniósł naszej doni tego Zaporozca! teraz ani do pracy ani do zabawy, tylko wciąż biega na mogiłę, jak gdyby można zwabić okiem, przyciągnąć ręką, burlakę ¹¹ kozaka z pohulanek po Wołoszczyźnie. —

Stara chciałaby bronić córki, ale nie wie zkąd zacząć, a więc najlepiej zwalić wszystko na Boga.

— Bóg to święty dał, że doni w oczko wleciał Zaporozec, w Bogu nadzieja że się wszystko dobrze skończy. —

Kiedy tak starzy rozprawiają, aż tu stoją przed wrotami, Marusienka, Ostap i biały konik Zaporozca. Ostap nisko kłania się gospodarzowi i gospodyni. Marusienka jak malina czerwona z radości, a dzieci rzuciły kije i do koła obskoczyły białego, to za ogon ciągną, to za grzywę się wieszają, a białą jak malowany stoi, jak gdyby przez jakieś przeczucie, pozwalał wszystko z sobą robić, rachując na karb przyszłości młodych kozacząt.

Starzy podróżnego zapraszają do chaty, a kiedy wychylili kilka byczków siwuchy i podjedli do syta, Ostap rzekł.

— Panie Ojcze — Pani Matko, nie po krupy ja tu przyjechał, ale po waszą dziewczynę; oddacie mi ją, to zawieszę szablę i spise, a wezmę się do roli, siądę u was w komornem, póki chatki nie wybuduję — nie oddacie, to zapłacę, siądę na białego i powiozę głowę pod miecz tatarski, ale Bóg wie co się stanie z Marusienką, bo przysięgam że mię kocha dziewczyna. —

Stary Ojciec rozważa z babą w kącie izby, a Marusienka za piecem palcem glinę obłupuje ze ściany ¹²; po krótkim rozmyśle rzekł stary:

— No Ostapie kiedy się już dość naburlakowało, a dziewczyna nasza wam do smaku, przysyłajcie swaty, a potem wzięcie ją jak swoją. —

Ostap pokłonił się i wyszedł do sąsiadów szukać swatów.

III.

Idzie Iwan, idzie Mykita do starego Chwed'ka w swaty; czarne świty i siwe czapki przybrali na siebie, a każdy pod pachą trzyma kurkę i kołacz pszenny; weszli do izby, skłonili się, na stole złożyli podarki, a Iwan tak zaczął:

Kumie, zięć się wam nadarza; rażny mołojec do konia

i spisy, zapewne będzie dobry i do roli; kocha waszą Marusię jak harce z wrogami, a może i więcej, bo rzucił Zaporozże aby z nami na starość kawał spokojnego chleba przysposobić — otwarty, szczerzy, jednym słowem chwacki chłopiec, potrafi czeladką rozporządzić, być mężem w domu i za domem; w spodnicy pewno chodzić nie będzie. —

Chwedko się uśmiechnął, posadził swatów za stołem i tak odpowiedział: — Ja z nim żyć nie będę, do Marusi należy przyjąć albo odrzucić męża — obrócił się do żony — idź niewiasto, niechaj Marusia przyjdzie z odpowiedzią dla Panów Swatów. —

Wyszła stara a tymczasem kumowie zabrali się do południa ¹³; jedząc i popijając, gwarzyli o przyszłym zięciu i o głuchej wieści rozchodzącej się po Ukrainie, jakoby król Stefan zamierzał wyprawę przeciw Moskwie, i już powołał Bohdanka Różyńskiego ¹⁴ pismem Rzeczypospolitej do gromadzenia Kozaństwa. Starce żałowali że ich siły nie pozwalają iść w pomoc braci Lachom ¹⁵ i rozwodzili się nad bojami, które odbywali pod Atamanami Wężykiem i Świergowskim, ¹⁶ a dziećmi zapamiętali sławną obronę Czerkaską, przez świętej pamięci Ostafiego Daszkiewicza. ¹⁷ Kiedy tak gawędzili, wyszła z alkierza Marusia, oczy wstydem w dół spuszczone, krok sunie po ziemi, niby chce, niby nie chce krok naprzód postąpić, a Matka ją pcha przed sobą, nareszcie się ośmieliła i drżącą ręką jak liść osiczyzny, oddała ręczniki swatom, ¹⁸ a potem jak kotka skryła się za piec. Swatowie pogłaskali siwe brody na znak zadowolenienia, wyszli i wkrótce wrócili z Ostapem czekającym za wrotami. Ostap rozłożył pokotem bogate pasy, bisurmańskie zdobycze, jedwabne kitajki, złote fręzle, kamienie drogic, i bułatne kindżały, w podarku dla rodziców, narzeczonej, braci, sióstr i rodziny. Wyciągnął Marusię z za pieca — która tak snadno poddała się jego woli, jak kwiat wrzосу powiewowi wiatru. Padli do nóg rodzicom, podziękowali Swatom, i w około witali rodzinę, i zebraną czeladkę.

IV.

Pod wieczór na podwórku kupa ludzi się zbiera. — Starce i baby obsiadają stoły hojnie zastawione szyniem mięsem, soloną rybą i palanicą. ¹⁹

Młodzież otacza skrzypiciela i cymbalistę, sadowiących się na przyzbie, a panowie Swaty obnoszą gęsiory z wódką i miodem, częstują gości i dowcipnemi żartami przyprawiają napiętek. Zarypały skrzypce, zabręczały cymbały. — Ostap wziął się lewą ręką w boki, prawą za chustkę, której drugi koniec trzyma Marusia i puścił się gęsiego ²⁰ w pierwszą parę. Czapkę

na bakier przewiesił, to pokręcił wasa, to tupnął nogą, to posunął po ziemi — przyskoczył do tanecznicy skręcił się i nazad odskoczył. — Za nim chłopcy i dziewczęta ciągnęli parami. Długi szereg jak wąż się wiję, głową zakręci, bokiem esa ²¹ wydmie, ogonem zarzuci i dalej się kręci po podwórku — staną przed muzyką i tropaka utną, staną przed starszyzną, pokłonią się nisko i dalej suną. Po gęsim kozaka zawiedli, rzędem stanęły dziewczęta, skłoniły oczy ku ziemi, poczerwieniały jak jagody i z ulibkiem się uśmiechnęły — rzędem stanęli chłopcy, do góry zarzucili czupryny i hardo w oczy spojrzeli — tupnęli nogami aż ziemia się zatrzęsła; chłopcy w prysiadach ²² dziewczęta w hołubcach przyskoczyli do siebie, zetknęli się, o mało nie pocałowali i wstecz odskoczyli — stanęli, zatupopotali tropaka, w płasach i skokach ku sobie podbiegli rękoma się dotknęli, włosami się musnęli i nazad uciekli — chórem pieśń zawiodą chłopcy, chórem dziewczęta odpowiedzą, zamilkną skrzypce tylko cymbały z głucha wtórują — urżnie muzyka, poskoczą w tańce — ucichnie, zabrzmią pieśnią i tak hulają aż pot się leje a koszule choć do wykręcenia.

Aż tu nowi goście jadą: psy jak na gwałt w siole szczekają, tętnią konie, a pieśń wojenna brzmi aż pod niebiosą. Ucichła muzyka, ustały tańce, a wszyscy wybiegli przed wrota na ulicę. To kurzenie Zaporozkiej konnicy, ciągną sotniami od Czerkaska do Białejcerkwi. Chwed'ko i Swaty zapraszają na biesiadę Panów Mołojców i Starszyznę. Stary Sotnik co jak Żóraw' powodyr ²³ stada jechał po przodzie, zdjął czapkę i pokłonił się i tak powiedział: — Dzięki wam Panowie bracia za waszą gościnność, ale komu droga temu czas. Król Stefan i Rzeczpospolita wzywa nas na bankiety. Nasz Ojciec Attaman czeka nas z rejestrowemi pułki w Białejcerkwi; a jak się połączym z bracią Lachami i przejdziem Białą Ruś, to aż po uszy napijem się piwa z wrogów juchy — wam życzym wesela, szczęścia, a sobie sławy, zdobyczy. —

Przechylił czarę wódki nie zsiadając z konia, wziął przekąskę, pożegnał i ruszył; toż i inne kozactwo zrobiło; nie jeden przegiął się na koniu i gwałtem ukradł pocałunek czarnobrewej dziewczycy. — Ostap patrzy to na Marusię to na mołojców Zaporozza, poznaje towarzyszy a nie śmie witać, serce mu tak się ścisza, tak się dręczy, jak sztaba rozpalonego żelaza między młotem a kowadłem; długo stał, lżę gwałtem się cisnącą powstrzymywał powieką, patrzył jak ostatnie sotnie przemijały, nie mógł dalej wytrzymać, lza się puściła, pojrzał na Marusię okiem gdzie się przebijała najokropniejsza boleść, i odszedł za chałupę. Marusia zadrżała jak w febrze i stała w miejscu, nie wiedząc czy ma koić smutek kochanka, czy zostawić go samemu sobie.

Przeszły sotnie daleko za sioło, muzyka znowu zagrzmiąla,

chłopcy szykują się do tańca — ale gdzie jest Ostap? Marusia szuka go za chałupą, i huka z płaczem wołając kochanka: echo płacze a nikt nie odpowiada — rozbiegli się chłopcy szukać narzeczonego ale napróżno. Zniknął Zaporoziec, zniknął biały konik z pastownia ²⁴ i siodelko i spisa z chlewa, a jasny miecz z chaty. Małe chłopczyki grając w chruszczyka na pastowniu, wiedzieli jak Ostap siódłał konia, długo jak dziecko płakał, machał rękoma — potem siadł na białego, przewiesił spisę i ścisnął nogami; biały przeskoczył cztery płoty, przesadził cztery rowy i poczwalaował w pole gdzie poszło wojsko kozackie. Dziewczę szłocha, załamuje ręce, rodzice cieszą jak mogą donię, choć i samym na płacz się zbiera. Swaty obiecują co rychlej zprowadzić Zaporozca zbiega, a muzyki i biesiadnicy smutni odchodzą do domów; na stołach jeszcze pełno jadła, w gąsiorach napitku, a nikt go nie rusza. — Kiedy duszę ogarnie smutek, zmysły nierade się weselić, a smutek młodej i pięknej dziewczyny, ina w sobie coś tak tkliwego że i najnieczulsze serce potrafi skłonić do współczucia.

V.

Jaka zmiana w Chwed'kowej chacie! Stary zachmurzył się dziwe czoło, Matka ciągle wzdycha, dzieci nawet się smucą, widząc jak Marusia z dnia na dzień niknie; oko co niegdyś ogniem pałało, zamokło bezustannym płaczem, gładkie lice poźłobiło się od ścieku łez, rumieniec przygasł, a bladeść chusty pociągnęła się po policzkach; wyschła, wybladła, tak iż gdzie niegdyś było pulchne ciało, teraz sama skóra i koście, a serduszko trapi się nieukojonym smutkiem. We dnie ani robić ani bawić się, modli się i płacze, szuka Znachorki ²⁵ słucha co ta jej prawi, o bojach, sławie i śmierci, wraca do domu, zalezie za piec i tam od łez się zachodzi; a choć kryje się przed rodzicami ze smutkiem, nie może, bo czego chcą myśli, nie zatai ciało przed okiem czulej matki. We śnie dziwne widziadła mącą pokój chwilowego spoczynku — raz widzi jak Ostap pełen sławy, wioząc bogate lupy, wraca w zagrody rodzinne, wiedzie białego do stajni, całuje narzeczoną, do piersi tuli, kiedy nagle czapka spada i kościotrup zgniły stawia się jej oczom. Budzi się Marusia i jęczy, jak szalona wije się po łożu: rodzice smucą się ale nie mówią, łagodnością i czasem chcą uleczyć troski duszy.

Przeszła jesień, przeszła zima, a o powrocie Zaporozców ani słycho, tylko wieść dolatuje że Król Stefan na czele Lachów, Kozaków i Litwy, jak zająca uganiania po Moskiewszczyźnie z miejsca na miejsce Cara Iwana; że Białoruskie Województwa napowrót ujrzały białe orły polskie, powtarzają krwawą ucztę

rzezi pod Wielkimi-Lukami i oblężenie Pskowa. Batory rad z czynów wojskowych mołojców, kozactwo herbem i pieczęcią obdarzył i na prawem skrzydle wojsko Zaporoża stawia.²⁶ Żołd płaci, z Atamanem jak brat z bratem naradza się, rozmawia, a Lachy z Kozakami tak się kochają, jak gdyby pod jednym dachem wrosli, u jednej matki pierś ssali. Nowe sotnie ciągną od porohów dniewprowych,²⁷ aby zapłacić wojnę naniiesione szecerby w kureniach.²⁸ Dziewczyna każdego zatrzymuje, każdego prosi, aby powitali Ostapa i powiedzieli, że tak go kocha, tak pragnie, iżby całe życie, całe szczęście oddała byleby mogła go ujrzeć i jedną chwilkę z nim przebyć; żeby jakim sposobem choć parę słów jej przesłał że żyje, że ją kocha.

Płyną dnie, tygodnie, miesiące, nikt nie wraca z Moskiewszczyzny przekłętej krainy, gdzie nie masz dzametów²⁹ i złota Bisurmańskiego, ani broni Czerkieskiej, ani rzemienia tatarskiego, ani bydła bogatej Wołoszczyzny. Tam tylko śnieg i lód — naród silny jak dęby, bojary harde jak dziki, a car srogi: kogo dopadnie temu nie przebacza — miasta drewniane i nędzne i puste — pola nieplodne, wszystkiego brak; a jednak kozak rad tam gości, bo w zamian za zdobycze, hojnie toczy spisą krew wrogów. Minęło pół wiosny, Marusia smutna i tęskna jak dzień bez słońca, tylko żadnej łzy nie roni oko suche i martwe — boleść przestała objawiać się gwałtownie, w sercu się zamknęła, myśli zatrzała i wepchnęła w odrętwienie, stokroć gorsze nad wszystkie choroby duszy i ciała. Codzień brzegiem jeziora wlecze krok chwiejący, biedna dziewczyna wczółga się na mogiłę i wnurza oko w step, ale teraz nie na południe, ale ku północy, i tam siedzi dnie całe, póki siostra albo brat nie sprowadzą gwałtem do domu — a nad jej głową czajka bezustannie wiatr skrzydłem rozbija i smutnie kihi-cze jakby złą wróżbę zwiastowała. Starzy rodzice znahora sprowadzili aby czary odmawiał,³⁰ lekarzki różne zioła dawały, pop pacierze prawil, ale nie nie pomaga — serce głuche na leki; aby je uleczyć, trzeba serca któreby potrafiło je zrozumieć, spoić się silnem ogniwem uczucia, i nawzajem wspierać swe kroki na ciernistej drodze żywota.

VI.

Dnia jednego zwyczajem przyjętym, wyszła rankiem Marusia do mogiły — słońce świeciło, wody jeziora spokojnie stały, rybka się pluskała, jaskółka po nad wodą pławiła, krople rosy w djamenty się łamały. Żadnej zmiany, wszystko jak dawniej bywało, tylko zając z szuwaru stawiska spłoszony przemknął przez drogę, którą szła dziewczyna: po lewicy wrony prze-

rażliwie zakrakały, pies w dalekim futorze zawył, a czajka jakby wiankiem opasywała się w około dziewczyny i smutniej jak zawsze kihi-czała.³¹ Weszła Marusia na mogiłę, siadła i długo siedziała, aż nareszcie ujrzała tuman kurzu od północy — wzniosła się na nogi, oko gwoździem utkwiała w tę stronę, i poznała kozackie sotnie. Stępo idą, żaden konik nie wyskoczył naprzód i niepędzi ku mogile; idą cicho, idą smutnie, nie wywijają spisami mołojce, na konikach nie harcują. Zbliżyli się do mogiły, dziewczę widzi jak za szeregiem jeźdźców wózek się toczy, a za nim stąpa konik biały, a na nim długa spisa i na krzyż złożony jasny miecz, a całkiem osłonięty czerwoną kitajką zasługą kozacką.³² Marusia spojrzała, westchnęła, uśmiechnęła się, padła i skonała.

Sotnie przeciągnęły u stóp mogiły, a nikt nie spojrział na wierzch, bo wszyscy patrzą w ziemię; przeszli brzegiem jeziora i weszli do wioski, tam stanęli przed chatą Chwed'kową. Stary Sotnik co niegdyś wiódł przodem Zaporozców w dzień swatania, zsiadł z konia i wszedł na podwórze. Ojciec i matka Marusi siedzieli na przyźbie, Sotnik skłonił się i tak powiedział:

— Raz nas matka rodzi, raz trzeba umierać; przed dwoma laty szliśmy tędy w dzień wesela i jak złe duchy zabraliśmy je z sobą: kochał nasz Ostap waszą Marusią nad życie. Bóg świadkiem jak walczył z sobą, kiedy zobaczył na wojnę ciągnące kurenie — aż żal brał nad chłopcem kiedy to opowiadał; ale cóż robić, pijakowi od wódki nie odwyknąć, natura wilka ciągnie do lasu; rzucił narzeczoną, rzucił szczęście a poleciał za kozakami, bo zobaczył spisy i konie — niejedną łzę uronił, ale umarłego z grobu nie wracają: nie czas cofać raz postawionego kroku — długo dokazywał w boju i wywijał się śmierci; pod Pskowem zrabował dwa dziesiątki Moskali, a na trzecim sam głową nałożył. Umierając, polecił nam abyśmy zawiezli jego ciało do tej tu wioski — oddali Marusi białego konia z przyborem, spisę i szablę całe bogactwo kozackie, a razem powiedzieli że o niej myślał przy śmierci, i jeśli zechce uwolnili ją od więzów zaręczyn. —

Chwed'ko smutnie kiwał głową, matka pobiegła ku mogile szukać córki — długo nie było: nareszcie płacząc wróciła i rzekła: — Już ona to lepiej wiedziała jak my, bo jej ciało martwe leży na mogile a dusza uleciała do kochanka. O doniu! moja doniu! nieszczęśliwa-ż teraz moja doła! — i zalała się łzami. Stary krzywił się i łzy zrzadka ronił, a Kozactwo głęboko się zasmuciło. Weszli na podwórek, wyciągnęli z pod strychu, sześć deszczek klonowych, dwie sosnowych³³ i zbili trumnę; wyjęli z malej trumienki ciało Ostapa i w nią złożyli i ponieśli na ramionach na mogiłę. — Przyszedł Pop z ewangelją, djak z święconą wodą: złożyli ciało Marusi w trumnę obok narze-

czonogo, a choć umarła bez spowiedzi, Pop pokropił święconą wodą ciała pomarłe; zabili wieko — Pop czytał ewangielję — dół wykopali Zaporozce szabelkami, trumnę wpuścili i ziemią przysypali. — Ojciec, Matka i rodzina cała we łzach tonęli. Zaporozce oddawszy ostatnią posługę poległemu bratu, pociągnęli ku Dnieprowi, choć zwycięzcy ale smutni — a biały konik wolny biedz za sotniami, pozostał się przy mogile jakby przykuty i tam gryzł trawę, a żadna siła nie była go w stanie odegnać, póki dnia jednego nie znaleziono go bez duszy na wierzchołku mogiły. ³⁴

W soile długo się smucono, bo kochano starego Chwed'ka i całą rodzinę, i odtąd weszło w przysłowie, kiedy Swaty przychodzili prosić rodziców o dziewczę — byleby to nie było swatanie Zaporozca. — ³⁵

M O G I Ł A .¹

Koło Halczyńca² wznosiła się mogiła; u jej spodu rozdrożce przecinało się jak ramiona krzyża, i biegło wstecz od siebie; na jej wierzchu chwast i ziele, a wewnątrz może pamiątki przeszłości. Powieść ludu zamożna w mary wyobraźni, dziwne rzeczy o niej plecie. Nieraz chłopcy w noc zbierając czerwice³, widzą jak z chwastów Mogiły wychodzą postacie rozmaitych kształtów, kupią się, a zebrawszy się w płot ognisty zwolna suną ku wiosce; złączą się dzieci i jak zające przypadną w szuwarze: ale kiedy ujrzą że widmo w miejscu jak jasne łuno nieruchomie stoi, wzniosą się na nogi, poddadzą sobie otuchy i taborem runą naprzód: jasność blednie, słania się, rozplywa w powietrzu i niknie. Wracają mali zwycięzcy pobrykując radośnie, ale widmo nowe zastępy światła z ziemi wyprowadza i ścina za chłopcami jak cień za osobą; odwróć się, natrą, i znowu rozpędzą, i tym sposobem godziny zchodzą na utarczkach z widnem, a kiedy przyjdą do domu ile to powieści upstrzonych dodatkami. Baby okolicznych siół i futorów szepcą jakieś tajemnice o czarach i wrózkach, a starzy ludzie kiedy natrafiają na rozmowę o Mogile, skiną głową, machną ręką, nic nie rzekną, bo niewiele wiedzą. Nikt na wierzchołek Mogiły w nocy wyleźć się nie odważy; przejeżdżać u jej podnóża, aż krew w żyłach się ścina, a włos na głowie jak szczecina powstaje — tak straszno. W całym siole jeden tylko starzec Lewko, jak we własnej chacie na niej gościł; ale on długo nie mówił nikomu ani o Mogile, ani o widmie.

Jednej nocy w wigilię Świętego Michała⁴ siadł Lewko na Mogile i patrzy: raz okiem rzuci ku Halczyńcowi, drugi raz schyli czoło ku ziemi, a grubym kijem nieustannie kopie, jak gdyby myśli chciał przedrzeć otwór do otchłani, i z czasów ubiegłych wywikłać przepowiednię przyszłości. Wiatr świszcz

po załomach, dzwoni w suche badyłe, czasami trąci w struny bałabajki⁵ rzuconej na ziemię, a tony które z niej dobędzie, takim brzęczą brzmieniem, jak gdyby chciały nadludzką harmonją wesprzeć snucie się wieszczego kłębka wyobraźni. Chmury szybko i w tak małych odstępach przepływały za sobą, jak ścisnięte kolumny jazdy, defilując przed okiem odległego widza, wśród gęstej mgły kurzu: czasami migną błędnym blaskiem szyszaki i ostrza stalowej broni; tak z między chmur czasami zaświeci księżyc, gwiazdy, ale zaraz znikną i skryją się w grubej ciemności. U nóg starca leżał chart jak mleko biały;⁶ tylnie łapy podgiął pod siebie, przednie przeciągnął naprzód, żmii pysk przytulił do ziemi, chwycił każdy szelest, bo ciągle strzygł na pół podnoszącemi się uszyna, co jak fręzle roztrzępanego jedwabiu spadały na cienką szyję; mile pozierał na starca i pokręcał ogonem. — Już kury na północ zapiały w blizkiej pasiece — kiedy w Halczyńcu pies zaskowytał, potem drugi, trzeci, wzmagało się szczekanie, a wrzawa coraz bardziej biegła ze wsi w pole. — Z kołowrotu wyskoczyło dwóch jeźdźców, jeden na skarogniadym koniu, drugi na karej klaczy i tak sadzą, jak gdyby śpieszyli po głowę Hana Tatarskiego, albo po skarby Sultana Carogrodu. Starzec słyszy jak echo niesie do ucha tentent czwałujących koni — coraz bliżej, coraz bliżej, nareszcie staugli; brzęknęło z lekka jakby co spadło na ziemię, chart podniósł się i dał susa, ale na świstnięcie starca stanął jak wryty i wyciągnął szyję ku stronie z kądem przybiegł tentent i szelest. Lewko pojrzał i rozczał dwa konie stojące niedaleko rozdroża, i dwóch ludzi kroczących ku Mogile; zwinął rękę w trąbkę i krzyknął — ho-hop! — jeźdźce odpowiedzieli: ho hop! a rozgłos związanych z sobą głosów rozleciał się po przestrzeni.

Weszli jeźdźce na Mogiłę i powitali starca: on ich powitał wzajem — natenczas jeden tak się odezwał: — Ojciec Lewku przybyliśmy po obietnicę. — Starzec potrząsł głową: — Co raz się rzekło to się spełnić powinno; siadajcie moje dzieci: — Ale chcąc słuchać tej powieści trzeba w duszy nawet nie powątpiewać o prawdzie, bo jak się rozgniewa Baba a nawroczy⁷ to zła sprawa; zaczepiwszy djabła nie tak to prędko można się wyłabadać z jego pazurów — a teraz przystąpmy do rzeczy.

Za onych błogich czasów kiedy Bohdanko Różyński, siódmy Ataman z porządku przewodniczył Kozaczyźnie⁸, kiedy Kozak, Lach i Tatarzyn, na znak sojuszu biesiadowali przy stołach Atamańskich w Trechtymirowie, danym w darze od Króla Stefana na stolicę Kozakom, w owych to świętych czasach kiedy trzy mocne i waleczne narody wiązały się na karcenie i trzymanie w ryzach popłochu ościennych Książąt i ludów, nad Kodenką⁹ niepodal od Halczyńca, gdzie ten las czarny i olchowy z zielonym liściem, był futór zwany Dudara futorem.



Jeszcze dotąd ziemia nie zapłynęła okopu — tam stała chata, a w niej mieszkała niewiasta zwana Sukurycha¹⁰, jedni ją czarownicą, drudzy wrózką zwali; ona leczyła chorych, odmawiała zmowy¹¹, sprowadzała deszcze, i gradem niszczyła bujne płony: jedną ręką szczęście drugą nieszczęście sypała na mieszkania sąsiadek. Przy niej były trzy córki hoże jak młode płoteczki¹², zwinne jak wiewiórki, a na licach taka barwa, jak żurachwin na białym śniegu przy połysku słońca.¹³ A kiedy poczęły dunki śpiewać, to słowiki milkły i słuchały z zadumieniem ich głosu, a potem próbowały czy na tę samą nutę nie zanucą — a kiedy w tańcu tropoka ucięły, to ziemia trzęsła się z radości pod nóżkami strojnemi w krasne buciki. Wiodły życie bez trosk i nudy, parobcy siół okolicznych tak się do nich garnęli, jak muchy do miodu. Kto pierwszy z niemi wyskoczy w przysudy, komu przypną złocisty kwiatek do czapki, komu zawiązą zaścieszkę od koszuli¹⁴; ale ich serca i myśli były wolne jak lot ptaka w powietrzu. — Niedługo trawała ta swoboda kobieca; w tej chwili świeciła ona jak słońce przed burzą, najpiękniejsze, gdy najozdobniejsze roztacza promienie, wtenczas kiedy bure chmury już, już nad niem wiszą, i lada chwilę zakryją złote oblicze.

Dnia jednego po południu wszystkie trzy siedziały na przyzbie przędąc i gwarząc o niedzielnym tańcu; wtem nagle ujrzały trzech jeźdźców śpiesznie biegących ku futorowi; wrota były otwarte: szparko jak strzała sadząc sarniami susami, wpadł na podwórze stepowy konik z Kozakiem — najmłodsza spojrziała na śniadą twarz, bujający kołpak, a serduszko zadygotało, i rumieniec trysnął na policzki aż uszy pomalował farbą buraka.¹⁵ Za nim wleciał Mirza Tatarski, a bachmat jego jakby pławił się, tak gładko i tak nisko nad ziemią wznosił sprężyste nogi. — Średnia z sióstr spojrziała na czarne oczy, na kożuch z srebrzystych baranów, a serce zadygotało i spuściło czoło w ziemię — w ślad za nimi pod Lachem koń, ku ziemi przysadzając zię zadem, przodem wyskakując w powietrze, okracz wpłasał na podwórze. Najstarsza spojrziała na błyszczącą zbroję, i pióropusz bogato rozwiany, a serce zadygotało i wzrokiem przymilenia spojrziała na niego. — Co tu począć. — Matki nie masz w domu, a gościnność prawem ludzkości nakazana; proszą przybyłych aby postawili konie u płota, a same żywo się krzątały znosząc mleko, śmietanę i kwaszone ogórki dla ochłody. Goście grzeczni i przystojni, każda w swoim tysiąc zalet upatruje — rozmowa z początku nieśmiała, bo się ograniczała na krótkich zapytaniach, i krótszych odpowiedziach, wzięła polot: wszyscy gadali i chichotali, choć nie śmiesznego nie było, chyba to że w całej gadaninie ani za trzy grosze ładu. — Potem nastąpiły słodkie słówka, żywe strzelania oczek, w końcu nie-

winne pocałunki niby gwałtem wydzierane, niby ukradkiem dawane. Złośliwe języki paplały o tem w siole, ale obmowie niewarto nadstawiać ucha a tem bardziej dawać wiargę. — Bądź co bądź, goście do wieczora dalszą podróż odłożyli. — Chłodkiem najlepiej jechać — rzekły dziewczęta — słówko z pięknych ustek, rozkazem u wojaka — wszyscy byli weseli i poili się takim szczęściem jak gdyby się dostali do raj. — W tem jakby trzaskiem pioruna, uciecha przerwana została przybyciem starej Sukurychy: z niechęcią przywitała gości, a kiedy z ukosa spojrziała na córki i spostrzegła żywy połysk w oczach, jaskrawy rumieniec na licach, to tak namarszczyła czoło, i taką zjadłością cisnęła okiem, jak gadzina kiedy ma skoczyć do człowieka przerywającego jej spoczynek. Nie bawili jeźdce i żywo się wynieśli, a jadąc nic nie rozmawiali tylko każdy dumał, bo żal ściszał serce; jak igła magnesowa ku żelazu tak chęci ciągnęły nazad do chaty. Kozak po raz pierwszy marzył o roskoszach i godności stanu małżeńskiego, i postanowił na najbliższej radzie wnieść głos na zniszczenie zakonu bezczeństwa.¹⁶ Mirza jak Pop rozważał w myśli o Jezusie i Mahomedzie, i wywiódł wniosek że wszyscy wielbią jednego Boga, różnica zatem wiary nie powinna być zawadą do kojarzenia się ludzi. Lech zapragnął w tej chwili równości stanów, a co rzecz dziwna za cacko dziecinne uważał złotego Ślepowrona w błękitnem polu¹⁷; sięgnął do Adama i Ewy, i rzekł: wszyscy pochodzimy od jednych rodziców, wszyscyśmy bracia, powinna być między nami równość. — Niech żyje równość i wolność! Przybywszy do Berdyczewa każdy pojechał w swoją stronę, i już o nich słyhać nie było.

Od tej chwili w Futorze smutek, nuda; swary matki, szlochy córek szeroko rozgałęziły jak gołębice od spalonego budynku, a wdzięki dziewic wędły jak kwiaty od jesiennego mrozu. Wkrótce śmierć policzyła palcem jedną po drugiej, pomarły wszystkie trzy siostry, ale pomarły bez spowiedzi; smętarz dla nich został zaparty, a zwłoki ich tu w tem miejscu grzebała sama matka i posypała małemi kopcami ziemi szepeząc niepojęte słowa. Żaden kwiat, żadne ziele nie porosło na grobach; tak były świeże jak gdyby wczorajszego dnia usypane i czekały na kogoś; i to trwało przez sześć lat. Co noc widziano Sukurychę z włosem zbitym w kołtuny jak padalce, z twarzą wyschlą (tak iż koście sterczały i zdawały się co chwila przedzierać skórę), chodzącą do koła grobów córek, i ciskającą jakieś ziarna na północ, na zachód i na południe; po konwulsyjnem skrzywieniu ust, widać było że wymawia jakieś słowa zaklęcia, ale nikt nie śmiał zbliżyć się, aby dosłyszał co mówi, dojrzał co robi.

Na tem świecie wszystko się zmienia; jedno nic ludzi wiąże,

jedno nic rozrywa. Sojusz trzech narodów zerwał się jakby był wiązany z pajęczej tkanki. Hordy Perekopskie splądrowawszy Moskwę i do Polski pomknęły swe zagony. — Sejm uchwalił Pospolite-ruszenie, rozbiegły się wicie, szlachta na koń siadła. Ataman odebrał pismo od Sejmu i Króla; świsnął, a ochocze Kozactwo w wędzidła zadzwoniło.¹⁸ Wszystko ruszyło w pole — trwoga i popłoch drogę im torowały, a mord i pożoga za nimi się ciągnęły.

Czy wypadkiem ślepego trafu, czy też mocą władzy nie-ludzkiej, na tem samem miejscu gdzie były pochowane trzy siostry, horda Tatarów miała się rozstasować obozem; jeszcze z koni nie zsiadli, kiedy z pod Sołotwińskiego¹⁹ lasu chorągiew Husarzy niesiona na rozpiętych skrzydłach, wpadła na nich. Silne było starcie, wiele krwi upłynęło, a walka się wazyła z równą niepewnością na obie strony, alić w tej chwili od Żurbiniec²⁰ przyskakały sotnie Kozackie i lunęły gradem spis w oczy Bisurmanom — pierzchnęło Tatarstwo na Berdyczew topić się w wody Hnyłopiatu²¹ — a pole bitwy tak gęsto zaległy trupy, jak snopy żyznej niwy, w czasie obfitego żniwa; ale nikt się nie radował zwycięstwem bo wszyscy trzej dowódcy polegli w boju. — Sukurycha tylko w nocy ukazała się strojna jakby na weselne gody, obojętną twarzą poglądała na zniszczenie, a kiedy poznała w rysach dowódcy Kozaków, leżącego bez duszy na grobie najmłodszej córki, jednego z trzech gości, dziko się uśmiechnęła i kopnęła nogą trupa, jakby chciała wbić go w ziemię. — Potem ujrawszy Mirzę Tatarów dawnego znajomego, porwała ręką za kędzierzawe włosy, poklejone posoką zmieszaną z pyłem i przyciągnęła na grób średniej córki, a nim go rzuciła na ziemię, długo potrząsała głową, skrapiając grunt kroplami krwi Mahometańskiej, jak gdyby chciała żyźnić pole. — W końcu przewracała Lachów ciała, a kiedy znalazła Rotmistrza kochanka, co to niegdyś przytańczył w podskokach na koniku do Futora, tak snadno porwała go w szpony jak jastrząb wróbla, niosła przewieszające się ciało w niekształtne zagięcia i cisnęła na grób najstarszej córki, natenczas podskoczyła w górę, i klasnęła w dłonie, jak dziecko którego chęciom zadość się stanie: a potem czy w ziemię się zapadła, czy uleciała w powietrze tego nie wiedzą, bo o niej nic nie słyszano odtąd. — Starzec skryty w carynie²² wszystko to widział, a kiedy pierwszy strach przeminął, opowiedział ludom siół jeszcze nieponiszczonych. Zebrali się wszyscy, i mężczyźni i niewiasty z zastupami i łopatami, złożyli wszystkie ciała przy poległych wodzach, nie robiąc żadnej różnicy między trzema narodami, wzniesli wysoką mogiłę zwaną Mogiłą trzech sióstr albo Mogiłą Sukurychy. —

Lata płynęły za latami i wstecz nie wracały, ludzie po lu-

dziach marli i żaden nie zmartwychwstał — pamięć tylko zasobna w wieść ludu błąkała się po przeszłości, a uzbierawszy plon, ustami przedawała je żyjącemu pokoleniu i tym sposobem skarb wspomnienia jak pisana karta chował się na przyszłość. Ale chcąc chwycić szczerą prawdę w wieści ludu, częstokroć trzeba ją tak wydobywać jak złoto z pod głębokich warstw ziemi: bo jak siłą czasu zapływają nawet już pokopane doły, i kryją piaskiem rodzimy blask kruszcu, tak siłą czasu i napływem nowych wypadków brudzą się i przekształcają dawne wspomnienia; ale Bóg nieprzewidzianem wydarzeniem wspiera usiłowania człowieka: co on chce żeby nie zaginęło to nie zaginie. Widzimy jak trzęsienie ziemi odkrywa bogate kopalnie, widzimy jak ślepy traf odkrywa przeszłe wieści ludu,²³ tak się i ze mną stało. W naszym siole mieszkała dawna rodzina Sukurychy, ale przed całą gromadą taila się ze swego pochodzenia. Był to czas okropny, pomorek na ludzi panował a dżuma trapiła całą okolicę, i w Halczyńcu drżano ze strachu. Ja natenczas byłem Pobereźnikiem²⁴ z nieboszczykiem Bajdą; dnia jednego pomnę jak dziś, o północy jechaliśmy około Mogiły. — Księżyc świecił zimną twarzą, wiatr wył, a konie nasze parskaly; strach koście aż do szpiku przesywał, ja żegnałem się i pacierze mówiłem. Bajda śmiał się ze mnie bo to był przeklęty niedowiarek. — W tem nagle ujrzeliśmy postać nadludzką na Mogile: ja chciałem wstecz uciekać a Bajda puścił konia czwałem ku Mogile, i mój koń bez mojej woli toż samo zrobił — a kiedy odwaga przybyła z musu, poznałem że postać ludzka, była Mołodyca z Halczyńca, z rodu Sukurychów, Sakurychą zwana przez dzieci. Przy niej była łopata i kogut czarny, a w worek zbierała jakieś ziarna dziwnego kształtu podobne do prosa. Niezłękła się, nie zbladła, kazała nam usiąść i opowiedziała wypadek któryście dopiero słyszeli; poleciła tylko zakląć się na Ojca i Matkę że przed półwiekiem od tego dnia nikomu nie powiemy ani o wypadku ani o tem żeśmy ją widzieli na Mogile. — Potem zesła ku siolu, wsiadła na łopatę jak na konia i na około obesła wioskę siejąc ziarno na obie strony i dławiąc koguta do krzyku: dwie chaty zostawiła tylko za obrębem koła; ²⁵ dziwna rzecz, dżuma grasowała po siolach okolicznych, a w Halczyńcu oprócz mieszkańców dwóch chat nikt nie pomarł: i karety i jeźdce morowej dziewicy pędem do siola leciały, a przyleciawszy do zaczerowanego koła, po czartowsku zachichotały, i napowrót biegły zkad przyszły. — Dziś właśnie pół wieku upłynęło, zakłęcie się skończyło a ja jestem panem mego języka. — Przeszedł mówić i wszyscy trzej wrócili do siola. Niebawem ksiądz Paweł Niemiolowski²⁶ na smętarzu pochował zwłoki starego Lewka, a jeźdce wybiegli z Halczyńca na pohulanke

wojenną, i teraz gdzieś daleko po obcych krajach mandrują; ²⁷ a Mogiła jak stoi, tak stoi, i ludzie na nią chodzą i o niej gwarzą. Przejdą wieki i jeszcze w Halczyńcu starce, dzieci, niewiasty, mołojce mówić będą o Mogile trzech sióstr, o czarach Sukurychów jak o wczorajszym wypadku — bo wieść ludu wielka jak świat, nieśmiertelna jak dusza ludzka.

KOŚCIÓŁ W GRUŻYŃCACH.

I.

Na Podolu niedaleko Winnicy mieszkał Sosenka Cześnik wyszogrodzki, Starosta Wendeński — pan i dziedzic wioski Grużyniec, szlachcic od antenatów i z rodu i z nałogu.² Jeszcze za Władysława Jagielly, jeden z przodków Sosenków rodziny, przełożony nad psiarnią królewską, za to iż w puszczech Niepołomieckich gracko i dobitnie zagrał w surmę pojezdnego przy dziku zabitym przez Władysława, dostał z rąk Króla patent szlachecki z herbem trzy trąby myśliwskie srebrnej barwy w czerwonym polu — a odtąd herb Sosenków tam drukowano gdzie były staroświeckie herby Saryuszów, Habdanków, Jastrzębców, Jelitów, i t. d. Nikt nie wchodził czy z psiarni, czy z kuchni wyrosło szlachectwo, dosyć że je wydrukowano, a w owych błogich czasach w których żył Pan Cześnik tak wierzone w druk, jak gdyby był jedenastem przykazaniem Bożem, ósmym sakramentem kościelnym. Sosenka doskakiwał szóstego tuzina latek, a jednak był rzeźki, prosto i czupurno się trzymał — wąs biały i włos na głowie biały, na twarzy zaś rumieniec jak burak czerwieniał i oko jeszcze żywym ogniem pałało; wyglądał on jak ranek początkowej jesieni, gdzie srebrny szron przymrozku pokrywa zieloną jędrność lata. Pani Cześnikowa Salomea ze chrztu, a Kaweczka z domu, 50 lat kończyła; sucha jak wędzonka, potulna jak legawiec dobrze ułożony, choć w wianie wioskę przyniosła, jednak nigdy ani swojej woli, ani swoich chęci nie miała: a choć może i miała to sam Pan Bóg albo ksiądz spowiednik o tem wiedział.³ Jak Pan Cześnik wrzaśnie czarno, to ona mówi czarno — jak Pan Cześnik zawoła biało, to ona powtarza biało, jak dziecko za panią matką pacierz. Mąż każe schłostać łozami chłopą, zagrabić ostatni

dobytek, aredara z karczmą z bebechami i bachurami na dwór wyrzucić — sąsiadowi miedzę graniczną przeorać, bydło zajęte w szkodzie prawem kaduka taksować⁴: ona przyjdzie i powie — kochanku — zamyśli się i doda — jak ci się zdaje? — Cześnik groźnie krzyknie — a łmość po co tu? do kądzieli! — Pani Cześnikowa potupcze w ką, zakaszlnie suchęrlawo i rzeknie służebnicom: — Jegomość wszystko dobrze robi. —

Mieli dwóch synów już dobrze przerosłych. Pan Ignacy był chorążym w Husarzach chorągwi Pana Hetmana Koniecpolskiego. — Pan Wojciech namiestnikiem w znaku pancernym Potockiego, Starosty Kamienieckiego. Pan Cześnik dawny wojskowy, bo pod Gąsiewskim odbył całą wojnę moskiewską, a pod Chodkiewiczem Szwedzką i Turecką, chciał aby synowie wojskowo ojczyźnie służyli i na placu bojowym postarali się męztwem o starostwa i urzędy cywilne na starość. Trzeciem dziecięciem była córka jedynaczka miziuczek, ukochana i wypieszczona od ojca i matki. Panna Anna dziewiętnasty rok miała, hoża jak woda zdrojowa, świeża jak powiew wiosenny, pleć biała jak kwiat kaliny, a przy rumieńcu gaśnie i malina i żurachwiny jagoda — oczko czarne błyszczące jak gwiazdeczka, brew mszy się jak tasiemka aksamitna — jasny włos w spłoty się wije, a kibić wiotka i smukła, gładko wytoczona jak z gipsu. Anusia nie drży przed ojcem; jak się Cześnik pogniewa to łona tupnie nóżką, zwiesi nosek i nabarmusi się — stary zaraz gładzi ręką i pieści, a gdyby mógł, to księżyc dałby na zabawkę. Matka skacze i chucha koło córki — ksiądz Kapelan baki świcci pieszczonkowi, od pacierzy i postów uwalnia, a za karę po spowiedzi grzechów jedną tylko litanię nakazuje. Pan Chorąży Strzemecki dawny towarzysz Jegomości znosi z uśmiechem psoty panny Anny, a sługi i służebnice jak błyskawice spełniają jej rozkazy, bo wiedzą że to pierwszy szczebel do łaski pańskiej, obrona od bizunów i husaka.⁵ Baby, młodyce i dziewczęta znoszą podarki, prawią bajki bo panna Anna jest najlepszą pośredniczką między surowym Cześnikiem a biednymi chłopami.

U Pana Cześnika piwnica zaludniła się pokoleniem okseftów, antalek, beczek i baryłek — od praszczurów aż do najmniejszych prawnucząt latami i wielkością, ciągnął się długi szereg potomstwa. W nim uwięziony siedział węgryz, pikard, mader, miód kapucyński, maliniak, wiszniak, dereniak, piwo angielskie — rum z Jamajki; kilka kuf starki — siła też była butelek omszonych ze stuletnim maślaczem. U Pani Cześnikowej Apteczka zamożna w pierniki, tłuczeńce i łakocie różnego rodzaju, a co nadewszystko: stały rzędami jak bataljony żołnierzy, sztofki białej kalmusówki, zielonej piołunkówki, czerwonej dziengielówki, ciemno-żółtej dębówki, łapciówki, i t. d. i t. d. W kredensie pełno kielichów wiwatowych i z nogami i

bez nóg, i gładkich, i rżniętych: zgoła było w czem wybierać. — Do śpiżarni co miesiąc bito parę wieprzów, a mięso wołowe świeże, cztery razy na tydzień regularnie dostawiano. Codziennie kucharz i dwóch kuchcików w kuchni się uwijało, a na czas biesiady ogrodniczek, dojeżdżacz, forys i stróż pokojowy do pomocy przychodzili; oprócz tego codziennie kolejno jeden z chłopów wiejskich na stróżbę kuchenną przychodził. Przy dworze był kredenserz, pokojowy Jegomości, dwóch hajduków, i dwóch pomywaczy kredensowych, małych błazenków, urwisów od szubienicy — wszystko to chodziło w sirakach i siermięgach — ale zaledwie krzyknęto goście jadą, natychmiast wszyscy bieglą do Jejomości, i tam z szafy dostawali liberję białą z czerwonymi burtami i guzikami herbowemi.⁶ Przy Jejomości służebnie bez liku, wychowanie, panien stołowych, garderobianych, kawiarka, haftarki, praczki, szwaczki, i t.d. i t.d. Do tego trzeba dodać że Pan Cześnik w domu niczego nie żałował — koniom, ludziom, psom gościnnym kazał dawać siana, owsa, strawy i osypki ile zjedzą. Sąsiedzi po kątach Bóg wie co wydziwiali. Pan Podstoli mówił: Sosenka tyran, znęca się nad swemi ludźmi, po sto bizunów każe im sypać: ja moim nigdy więcej nad półtory kopy nie pozwalam wyliczyć. Podkomorzy swojej żonie powtarzał — Cześnikunio! to to rybka, za niewypłacenie daniny chłopkom bydło pograbili i sprzedał na targu — czemu nie było zrobić po mojemu, zabrać świtki, bekiecze,⁷ korale żonom, to i po ludzku i po gospodarsku, bo te przybory chłopkowi jeść nie dadzą a pańszczyzna ciągle nie załgnie. — Pan Wojski zaś najwięcej sarka, że Cześnik od sztuki bydła zajętego w szkodzie zyskiwał po dwanaście złotych, wtenczas kiedy on się cieszył dziesięciu złotymi i pięciu batogami danemi właścicielowi bydła, jeżeli był chłop; szlachcic musiał zapłacić pięć, a żyd dziesięć złotych górą. Zgoła że koalicję formowano przeciw Cześnikowi; żony, matki i dzieci niedorośle wszystko to jak kawki krakało na Sosenkę. Ale kiedy w niedzielę w parafialnym kościele na mszy, pokazał się Cześnik w kontuszu, z karabelą przy boku i wasa pokręcił, wszyscy nizko mu się kłaniali, a na śniadaniu u Płebana na wyścigi za ręce chwyтали, witali kochanego sąsiada i pytali o zdrowie Panny Anny. Na imieniny, urodziny, oktawy, całe sąsiedztwo jak na odpust z dziećmi i babami do Gruzyniec się zjeżdżało, bo winko Cześnika myszką trąciło, potrawy kucharz suto korzeniami przyprawiał — podniebienie łaskotane smakiem, a gardziele płukane trunkiem, na chwilę zawieszały obmowę jak trzęsąca febra swoje paroksyzmy.

Pod ten czas w Winnicy stał pułk Kozacki Korsuńskim⁸ zwany. Nim dowodził pułkownik Bohun trzydziestoletni młodec, chwyt do kobiet i do konia, do tańca i do boju, jednym słowem gdzie przewróć do Kozak.

Bohun często zajeżdżał do Grużyniec — o Panu Cześniku i Pani Cześnikowej przy nim źle mówić wara — a kiedy wspomniano o Pannie Annie to czarny wąs obwijał na palce i osedzicie poglądał. Sosenka uprzejmie go przyjmował, bo ile razy na herb szlachecki wspomniał, to tyle razy na myśl mu się nawinęło że pułk Korsuński, ma trzy tysiące ludu zbrojnego. Ksiądz kapelan raz na zawsze dał absolicję rozmawiać Pani Cześnikowej z syzmatykiem, bo od czasu umowy Zborowskiej zawartej między Królem Janem Kazimierzem a Panem Atamanem Chmielnickim, Polacy i Księża żyli w dobrej zgodzie z groźnem wówczas Kozactwem, a od tej umowy ledwie trzy miesiące ubiegło. Różne wieści po okolicy latały; jedne mówiły że dziewczyna Cześnika wpadła w oko Kozakowi; drudzy, że wino Grużynieckie zasmakowało pułkowodcy — a kiedy do Bohuna doszły, nie rozgniewał się ale powiedział: że jedno lubi, a drugiego nie porzuci, i przytoczył starą powiastkę, u Kozaka trójcą; gorzałeczka, tytuń i dziewczyna Anulka — dziewczynę Anulkę lubiłbym — kurzyłbym tytuń — a piłbym gorzałkę na całe gardło.

II.

Nadszedł czwarty dzień maja, dzień urodzin Panny Cześnikówny. Choć według ustaw rubryceci, za prawną patronkę daną jej była Święta Monika, jednak Pan Cześnik dla wielu względów nadał córce imię Anny — po pierwsze, że za czasów Kazimierza Jagiellończyka, żona Pana Łowczego Sosenki miała imię Anny, po drugie że roku 1545 według kalendarza Rzymskiego, Panna Anna Knucianka, córka Wojewody i powiernika Królowej Bony, ślubem małżeńskim związaną została z Sylwestrem Sosenką natenczas Krajczym Koronnym — po trzecie, że Anna Austryjaczka, żona świętej pamięci Króla Zygmunta III. przez pełnomocnictwo dane Pani Stolnikowej Bogurajskiej, trzymała do chrztu pannę Salomeę Kaweckę, dziś Panią Cześnikową Wyszogrodzką. — Trzy ważne punkta dla klejnotu szlacheckiego, a cała rodzina Sosenków była tego mniemania, że imię Anna przybite jak gwoździem do znamienitości herbu trzech tręb srebrnych w czerwonym polu,

Niebo było grzeczne, pięknem słońcem na wiązanie świeciło — wietrzyk majowy, złodziej, kuglarz, pokradł wonie kwiatów i drzew, rozmięszął, rozlał w powietrzu: za swój towar przedawał — w około Grużyniec ściekle brzozy bieleją srebrnymi szatami, a u wierzchu wianki jasnozielonych liści, jak sznaragdy lśkną pod promieniem światła. Pan Czesnik wydał rozkaz aby dopiero o dziewiątej po mszy pędzono na pańszczyznę chłopów, a równo z zachodem schodzić z pola; a co większa przyareszto-

wał na ten dzień bizun ekonomowi i tylko harapnikiem pozwał naganiać do roboty. Ksiądz kapelan kazał organście ołtarz w piwonje przystroić, czerwony ornat przygotować i w dzwony uderzyć — skrzypi lina w dzwonnicy, dziwnej harmonii trele brzmią w powietrzu, żelazne serce skacze po spizowem łonie — organista to do ziemi przysiada to w górę podryguje a patłate włosy jak szalone tłuką się po plecach. Gromada sunie na modły jak za powinność; bo ekonom, pisarz prowentowy, podstarość i leśniczy, pilnie okiem rachują przytomnych: biada temu któryby się spóźnił albo nie przyszedł; przy okazji dobrzeby mu wygarbowano skórę za krnąbrność i niepamięć o Pańskim dziecku.

Anusia rano się zerwała, wymyła się, wyczesala, w zwierciadło ze trzysta razy się przejrzała i uśmiechnęła — zawołała pokojówki i prędko skończyła ceregiele ubioru. Na niej biała muślinowa suknia wstążką błękitną przepasana, we włosy wpleciony wianek z bławatków, na nóżki włożyła trzewiczki Winnickiego szewca roboty — a potem zapytała Katarzyny — czy mi tak do twarzy? — Oj, panienska do reszty zawróci głowę Podkomorzycowi i synowcowi P. Wojskiego. — Anusia skrzywiła noskiem, pokojówka frant dodała — i ten Pułkownik Kozaczy przepadł z czarnym wąsem i błyszczącym okiem. — Twarz Cześnikówny jak rak gotowany poezerwiała — wyjęła z komody jedwabną nową chustkę — to dla ciebie Kasiu — dodała, i wyskoczyła za drzwi. Pan Cześnik z żoną zabierali się do kawy, na stoliku leżała książka do nabożeństwa jeszcze roz warta na karcie, na której się znachodziła modlitwa dla uproszenia męża dla córki; Pani Cześnikowa tylko co skończyła swoją prozbę — a Pan Sosenska w okularach na nosie wlepił oczy w herbarz. Kiedy weszła Anusia, ucałowała rodziców, Pani Cześnikowa ściskając córkę mdłemi rękami, rzekła — moja duszko niech ci Bóg wszystko dobre i pomyślne daje — tu spojrzła na męża i skończyła — i co tylko Jegomość sobie życzy. — Cześnik po kolei w czoło pocałował dziewczę i tak powiedział: — Anusiu! na pociechę urosłaś rodzicom; już dziewiętnasty roczek zaczęłaś, jest i uroda i posag dobry szlachecki, i chłopców niemało około Waści się kręci, jest w czem wybierać. Życzę ci moja córko pomyślności i męża, któryby swoim rodem nie powstydził klejnotu szlacheckiego Sosenków — ho to nie bagatele — i tu zaczął czytać w herbarzu. — Trzy trąby myśliwskie srebrnej barwy w polu czerwonym, herb nadany przez Władysława Jagiełłę Króla Polskiego, Wielkiego Księcia Litewskiego rodzinie Sosenków roku pańskiego 1390 — Byłaby rozmowa genealogiczna tuż popłynęła po herbie, ale Pan Chorąży Strzemecki wszedł z dwoma różami w garści, a pocałowałszy Panią Cześnikową w rękę, a z Sosenką oddawszy sobie nawzajem dobrydzień, stanął przed Panną Anną i temi

słowy zagaił: — Przy dzisiejszym feście Panna Anna zaakceptuje powinszowanie: bogdaj Niebo ochroniło ją od zlej alternatywy, a fortuna przyjaznem kołem zawsze się dla niej toczyła. Piękna jesteś jak róża, życzę małżonka świeżego jak ta róża — i abyście oboje wyglądali jak te dwie róże, które racz przyjąć od swego serwusa — i oddał je w ręce Panny Anny a potem dodał z pewną dumą: — Książd Kapelan czeka ze mszą — i wszyscy udali się do Kościoła.

W kościele książd Kapelan Dominus Vobiscum wywodzi, a organista na organie kalkuje. Pani Cześnikowa z córką w ławce wybitej aksamitem klęczą. — Pan Cześnik z Chorążym na czele gromady stanęli — na dziedzińcu kościelnym z biczów palą, koła turkocą, konie tętnią. Sąsiedzi na mszę poprzyjeżdżali. Cześnik wita, do ławki prosi, Pani Cześnikowa w dygach sąsiadkom miejsce wskazuje i wita, Anusia po cichu powinszowania odbiera — nareszcie Książd zaczął altem wyprowadzać: Ite missa est. Sąsiedzi pokręcili węża, karabelami brzęknęli, a kobiety po ucałowaniu patyny zabierały się do wychodu — tu dopiero na dziedzińcu poczęły się dygi, witania, powinszowania — a Pan Cześnik odezwał się: — Panowie sąsiedzi nie odmówicie mi zjeść obiadek w Grużyńcach, i uraczyć waszą bytnością dzień urodzin mojej Anusi — konie niechaj odejdą do stajni, a my chodźmy spacerem do domu. Nie jeden niby się wymawiał, ale w oczach widać było że język kłamic dla ceremonii: wszyscy się zgodzili. — Cześnik podał rękę Podkomorzynie, Podkomorzy Wojskiej, Wojski Stolnikowej, Stolnik Cześnikowej, Starościc Podkomorzance, Sędzia Stolnikównie, a Podkomorzyc i Woźny Trybunału, synowiec Pana Wojskiego skoczyli ku Pannie Annie, ale Anusia żywo porwała ramię Strzemeckiego — obydwu aspiranci, szli obok, naprzemian mówiąc o pięknej pogodzie i suchej drodze, a Cześnikówna odpowiadała: tak, nie — i tym porządkiem przyszli do domu.

Tam w sali jadalnej, na długim stole stały do koła na talerzach w płatki pokrajane półgąski brunatno-czerwone, przezroczyste, bursztynową obwódką do koła opasane, tłuste szynki, ozory i salcesony hojnie słoniną szpikowane. — Na środku stołu kielbasy z wereszczaką⁹ na jednym pułmisku, z słoniną przysmażane, na drugim, kiszka podgardlana, wątrobiania i bigos hultajski — na uboczu stały wódki, miody i piwo angielskie — kieliszki i szklanki, widelce, łyżki, noże i talerze stosami. Pan Cześnik w ręce Podkomorzego wychylił kielich kminkówki, a tak kolejno z rąk do rąk kielich przechodził, talerze zabrząkły i ruszyli do śniadania. Przez długi czas ani słowa nie było słyhać — tylko noże skrzypiały — gęby mlasakały, a zęby stukwały. W środku śniadania przyjechali Pan Wojciech i Pan Ignacy z pod Kamieńca, gdzie natenczas stało

wojsko koronne na leżach. Powitali rodziców, sąsiadów i siostrę uściskali — ci co już podjedli, pytali o nowiny z nad granic Tureczczyzny — ale panowie wojacy jak szablą krótko płatali odpowiedzi, a co żywiej brali się do jadła i na wyścigi zębami i podniebieniem pracowali. Już się do piwka i do miodu zabierali biesiadnicy, a kobiety w oknach postawały, kiedy zakurzyło coś po drodze i czterech jeźdźców czwałem przed wrotami się ukazało. Anusia zakraśniała i zawołała: Tatku to Pan Bohun i Sotnicy Możyra, Palej i Wyhowski — wrony konik jak szczupak chlustał pod Bohunem a matniaste szarawary ani na cal od siodła nie odskakiwały; przeciągnęły się twarze Podkomorzycy i Woźnego jak gdyby rumbarbarum zażyli, bo już to nie od dziś wieść głosi że Cześniówna ma się nie zpyszna do Kozaka. Podkomorzy powiedział cicho Stolnikowi: — Pięknych czasów dożyliśmy, herbowy szlachcic musi przestawać z Kozakami. — To prawda Sąsiedzie, odparł Stolnik, ale pułk Korsuński ma trzy tysiące zbrojnego ludu; dla dobra i zgody Ojczyzny trzeba poświęcić trochę przywilejów; szlachcic Polski nigdy nie pytał jakie trzeba nieść ofiary dla kraju, tylko chciał wiedzieć gdzie je trzeba składać. — Podkomorzy widząc że Cześnik wychodził przeciw gościom, zgryzł wargi, bo mu chodziło o synaczka. Wtem wszedł Bohun i Sotnicy, po bratersku powitali Lachów, kolejko wszystkie kobiety w ręce całowali jak gdyby łamali opłatek w Wigilję Bożego Narodzenia. Panowie Szlachta na pozór uprzejmie powitali nowo przybyłych, ale szczerosć tą razą nie była w zupełnej zgodzie z powierzchowną oznaką. Pan Cześnik nawet, choć dobry Polak, napuszony herbem, w sercu inne dumki karmił, a twarzą co innego silił się okazać. Dwaj tylko wojacy, jak bracia braci szczerze powitali Kozaków; szacunek najprędzej się nabywa na polu sławy, szczerosć jest siostrą obozu; żołnierz mężny, mężnego pozna i pokocha czy to we wrogu, czy to w sprzymierzeńcu. Nie słyszano co mówił Bohun Pannie Annie, tylko widziano jak dziewczyna miluchno pozierała, a Pułkowiec czarną brwią i czarnym wąsem mrugał. Biesiadnicy ciągle się z kielichami uwijali — panowie Ignacy i Wojciech rozmawiali z Sotnikami o koniach i broni; starzy o gospodarstwie i myślistwie. — Sędzie, Starościc i Bohun kobietom smalone duby prawili ¹⁰ a te chichotały i świetgotały jak sroczki. Bohun wlepiął oczy w Anusię, Anusia z lekka się rumieniła, uśmiech roskoszy po ustach i twarzy pływał — a Podkomorzycy i Woźny na krzesłach jak na szpilkach się kręcili, i to wszystko trwało aż do drugiej godziny po południu.

Drzwi się otworzyły okazał się pokojowy Jegomości i rzekł głośno. — Do stołu dano. — Cześnik podał rękę Podkomorzynie, a Cześnikowa Pułkowiecy, który nie bardzo był rad z tego honoru, i wszyscy parami się szykowali; na domiar niefortun-

nego losu Podkomorzycyca i synowca Wojskiego, Panna Anna dostała się Sotnikowi Wyhowskiemu. Wszedłszy do jadalnej sali, poczęły się ceremonje gdzie kto ma usiąść, a chociaż Pan Cześniak ciągle powtarzał — bez ceremonji prosimy — nie byłoby końca korowodów, gdyby nie strach o wystygnięcie barszczu z uszkami i rumianej zupy z siekaniem. — Usiedli narreszcie — służba podała paszteciki w formie grzybków, a natychmiast Podkomorzy wielkim kielichem nalawszy starego Węgrzyna wniósł toast: — Zdrowie Solenizantki w ręce Pana Pułkowódcy Bohuna! — Choć nie bardzo mu to miło ale tak kazała polityka, a ta w djablich ryzach trzyma człowieka chcącego sobie powiedzieć: wiem jak trzeba żyć w towarzystwie — duszkiem przechylił kielich Podkomorzy i oddał Kozakowi — ten też zdrowie spełnił w ręce Stołnika i tak kolejko poniósł się kielich po rękach do ust i w gardła w około stołu, a Cześniakówna za każdą razą wstawiała, dygała i w rumieńcach płonęła. Dalej wnoszono zdrowie Gospodarstwa i jednego po drugim każdego gościa — w przedziałach między sztuftadą ze śliwkami, szczupakiem z szafranem, cietrzewiem z buraczkami, hauszpikiem z prosięciny, kaszką zapiekaną, grzybkiem na jajach, jarzyną, sarnią pieczenią, bekasami i różnych innych arcydzieł z krótkimi i długimi, rumianami i białymi sosami, przyrządzonemi przez Pana Macieja kuchmistrza Cześniaka, który dwa lata strawił w Lublinie przy kuchni Mecenasa Aloizego Wyżkowskiego, a cztery w Warszawie przy kuchni Kazanowskich ćwiczył się w trudnej sztuce. — Maciej artysta, masła, korzeni i kuksów kucheikom nie szczędził, a języki szanownych gości na znak pochwały podniebienia liżą. Już się zabrano do galaret, bakalji, konfitur i ciast w wieże się piętujących, na których oblewane różnokolorowym cukrem jaśniały cyfry Anny i rok urodzin, a nieć cukrowa żółta, jak pajęczyna do koła osnuwała ciasto. Kiedy przyniesiono kielich z herbem Sosenków, kwartę dobrej miary trzymający i butelki węgrzyna kwadratowe od mchu na nich porosłego.¹¹ Cześniak rzekł. — Wypijemy, Kochajmy się. — Już dobrze wino grało po głowach gości; Podkomorzy zaszalomyony powiedział z cicha do Cześniaka: — Pannie Bracie schowaj ten wizerunek klejnotu szlacheckiego, niechaj go nie tykają nie herbowe usta. — Choć cicho mówił, Kozacy z podejrzenia poczerwienieli, Lachy do zwady byli gotowi — ale Bohun wziął kielich od Cześniaka i rzekł. — Panowie Lachy my z wami nie swarzyć się ale żyć jak bracia chcemy. — Niech żyje Polska i Kozaczyzna! w twoje ręce Panie Podkomorzy — i wszyscy pili — aż do samej wieczery trwały toasty: kochajmy się — żeby licha nie znać — żeby swoim pługiem orać — Bogdanki — przyszłej konsolacji.¹² Niejeden spili się i spać poszedł — niejeden belkotał językiem i zygzaki kreślił po pokojach, ale dobra zgoda panowała.

Po wieczerzy goście się porozjeżdżali, to jest powynoszono Panów Sąsiadów, a żonki kazały pakować mężów w powozy i w ten czas jawnie panowały nad mężami. — Kozacy na koni wsiedli i do Winnicy kopnęli, a gospodarstwo ku snowi się zabierało.

Pan Cześnik usiadł jak z nalogu przed herbarzem, rozrzucił książkę, pokiwał głową i gadał do siebie. — Tęgi chłopiec z tego Bohuna ale szkoda że nie szlachcie — nic z tego nie będzie — tu się zarumienił — herb trzech tręb miałby się łączyć z kulbaką kozacką — nigdy — wprzód na katafalku ciało moje złożą, nim córka moja wyjdzie za mąż za nieszlachećca, za nieherbowego człowieka — wstał i kazał sobie rozbierać. — Cześnikowa drżała i patrzyła to na męża, to na córkę — a Anusia paluszką pod nosem wodziła mówiąc — jakoś to będzie — i wszyscy położyli się spać. Cześnik marzył o herbach i klejnocie szlacheckim; Cześnikowa ani oka nie zmrużyła; Anna poila się słodkimi myślami i błogo zasnęła — bo młodość najlepszą tarczą przeciw troskom, najlepszym promieniem nadziei.

III.

Bohdan Chmielnicki atamanował Kozaczyźnie — u niego w głowie siła rozumu, język do wymowy jak jucht wyprawny, piórką wodził po papierze jak bakalarz miejski a szabelką po kozacku machał — ale po lisiemu umiał kluczyć, a najlepszy gończy nie potrafiłby dotropić jego zaskoków.¹³

Lud Kozacki jarzma nie lubi, a przymierze z Polską niemiłe Atamanowi. Lacka szlachta choć chłopów nęka, ale swoich przywilejów jak oka w głowie strzeże. Król polski podobniejszy do niewolnika jak do Pana. Chmielnicki to widzi, choć zemsta nad Czaplinskim już wyszła z głowy,¹⁴ a Pani Czaplinska dzieli łożę Atamańskie. Traktat Zborowski¹⁵ pomścił zniewagi i uczciwie posadził byt wolnej Kozaczyzny. Ale Atamanowi dumnieustannie w ucho szepcze: póki z Lachami będziesz trzymać, póty berła nie osiągniesz. — Ataman udaje przyjaźń z Polską, Królowi i Senatowi powolność obiecuje, a Kozactwu poddmuchuje nienawiść ku Lachom, wystawia że Rzeczpospolita się zbroi, i czeka przyjaźniej chwili zplawienia Kozaczyzny. A tymczasem potajemnie stara się o względy Cara Aleksego, i z Sultanem traktuje o przymierze; oskarża o zdradę hospodara Wołoszczyzny. Sultan obiecuje jemu i jego rodzinie nadać Ruś prawem lennem. Wiąże się z hanem Perekopu i dalej plądrować i łupić Wołoszczynę. Jan Kazimierz napomina, prosi, Ataman figlami się wykręca, a tymczasem wojsko przeciw Polsce gotuje. Tak to duma i zła wiara jednego człowieka

zarazem ciskała ciosy śmiertelne i na Polskę i na Kozaczyznę.¹⁶

Zaczęła się wojna okropna, zażarta. — Neczaj z Braclawskim pułkiem wszedł na Podole, a Bohun poszedł z nim się łączyć. — Koronne i Litewskie wojsko wyszło w pole — pospolite ruszenie nakazano, a Pan Cześnik obwołany został Regimentarzem siły zbrojnej Województwa Braclawskiego i wyszedł na czele szlachty i pacholików do Baru.

W Grużyńcach smutno i głucho. Pani Cześnikowa nowenny po nowennach klepie, pości i suszy na uproszenie zdrowia dla męża i synów. — Ksiądz Kapelan ciągle msze prawi na intencję Cześnika i Cześnikowiczów. — Panna Anna łzami się zalewa: drży o ojca o braci i o wroga kochanka; biedne dziewczę! i Polsce zwycięstwa życzy i Kozaczyzny klęski nie chce.

Pan Strzemecki został na załodze; ciągle jakieś rozhowory z kowalem, stelmachem, z rymarzem; naprawują szory, kuja konie, sprycy nabijają do kół busztardy, i kilka bryk rychtują.

Pan Wojski dryndulą objeżdza wioski całej okolicy, cieszy opuszczone żony, córki. Obrońca i protektor kobiet puszy się i nadyma jak pęcherz swojej godności; czterech siedemdziesięcioletnich abszytowanych starców do pomocy na adjutantów wezwał. Kancelarję utworzył z organisty Grużynieckiego i dwóch diaków — a że organista kółkami tylko umiał znaczyć odbyte chrzciny, małżeństwa, ostatnie pomazania, i t. d., a diaczki oprócz karbowania podzwonnych dalszej hramoty nie znali — przeto postanowiono do ważniejszych edyktów zaprosić księdza plebana — a tym czasem dla łatwiejszej komunikacji ustnie przesyłać ustne rozkazy przez żyda arędarza i dwóch pobeżeźników, zawsze gotowych na zawołanie Pana Wojskiego. — Chorąży Strzemecki został mianowany dowódcą siły zbrojnej nieruchomej — po wioskach i pasiekach postawiono wysokie słupy obwinęte słomą a za ukazaniem się zbrojnego kozaka albo tataru, pasiecznicy i kołowrotnicy powinni byli je podpalić i tym sposobem alarm zakomunikować całej okolicy; natenczas niewiasty miały wyruszać na Czerwoną Ruś ku Lwowowi. Tak mądrze urządziwszy odporne kroki Pan Wojski myślał, czy nie możnaby wynaleźć zaczepnych — chodził rzeźkim krokiem i tak mówił do organisty: — A wie waszeć gdyby żydów wysłać zwódką, popoić kozactwo, a na pijane puścić Strzemeckiego z nieruchomą siłą — organista odpowiedział. — Jasny Pan dobrze mówi ale z Tatarami co zrobimy. — Wojski zamyślił się i rzekł: — To sęk! — W tym wpadł jeden z adjutantów a prostując się na kuli, przedstawił: — Panie Komen-dancie o ośm mil są kozacy. — Wojski zawołał zapalić wiechy: wszystko w drogę! Macieju niechaj do bryk i do bomby zaprzę-gają! Elżbieto, niechaj Imość duchem się wybiera — pako-wać żywo. —

W Gruzińcach takż rejwach, hajduki pakują bryki, garde-robiane i cały fraucymer lata z pudełkami, pudłami i kuframi — rzekłbyś że sądny dzień. Pani Cześnikowa żegna znakiem krzyża świętego ściany, kątki domu, gromnice dwie zapaliła przed obrazem matki najświętszej — i tak się odezwała do Strzemeckiego: — Czy nie dobrze by było Mości Chorąży, abym do Baru pojechała? — Chorąży odpowiedział — do Baru droga niebezpieczna, a przytem niechaj Imość przeczyta karteczkę Pana Cześnika. — Tu Cześnikowa przesyłabizowała krzywule nakreślone na papierze. — Salusiu! co tylko pan Chorąży Strzemecki rozporządzi wypełnisz jak najakuratniej, taka moja wola — polecam Bogu i całuję ciebie i Anusię — przywiązany Mąż — Józef Sosenka, Regimentarz powstania Braclawskiego, Cześnik Wyszogrodzki, Starosta Wendeński, w obozie głównym w Barze. — Przeczytawszy, rzekła: — Jedźmy Anusiu do Lwowa, tak Jegomość kazał. — Panna Anna odpowiedziała: — wszak nas Mamó Kozacy nie zjedzą, Pan Bohun nas obroni — i zarumieniła się. Cześnikowa mówiła: — jedźmy, Jegomość kazał, musi to być dobrze. — Strzemecki co prędzej do basztardy zaprowadził, wsadził, pożegnał, krzyknął: — ruszaj — i długi szereg bryk poruszył za basztardą, która przodem drogę zna-czyła. — Pani Cześnikowa żegnała się i szepotała modlitwy, a Anusia z okienka główki nie wysuwała; wzdychała, a łza w oku zawisła i błyszczała jak kropla rosy na kwiccie wrzосу.

Pan Chorąży po odjeździe żywo się krzątał, wszystkie drogie sprzęty których nie mogli zabrać, w ziemię pakował i na strychy zanosił — a w domu gołe ściany, smutek i stary wojak pozostał. I w całej okolicy pusto po dworach i po karczmach; okna i drzwi otworem czekają na przyjęcie Tatarów i Kozaków. Tymczasem Pan Wojski zebrawszy całą armję basztard, bomb, linijek, kałamaszek, bryk, wozów i wózków, przodem w dryndulce, jak powodyr gęsiego stada lecącego na zimę, pomaszzerował ku Lwowowi.

IV.

Jak kuligiem ciągną szlacheckie karawany, tylko na kulig zapustny wesołość przez maski przebija, wesołość przez usta kuka i brzmi szumną pieśnią; tu popłoch i smutek jedną maską wszystkie twarze osnuł: we wszystkie serca się zagnieździł. Panowie Wojscy przodem poderdali aby kwatery obrać dla swojej armii, a Pan Wojski Winnicki, Szymon Grudziński herbu Wieża ulokował się we Lwowie na Krakowskim przedmieściu. — A choć często sąsiedzkie spory, grabieże, pograniczne zajazdy, rozstrajały dobrą harmonję między Wojskim a Sosenką, jednak teraz dla jakiejś rachuby Pan Szymon okazywał

szczególony affekt Cześnikowej i Cześnikównej i jeden dom dla siebie i dla nich najął. Jedni mówią że powodem była chęć zaskarżenia względów Cześnika, wyniesionego na stopień Regimentarza i Naczelnika pospolitego ruszenia, godność przemożna w Województwie; drudzy zaś wnoszą i co pewniej, że Chorąży Strzemecki sownie uposażył w wiktuały kuchnię Cześnikowej; połowa apteczki gruzynieckiej i stary węgryzn z piwnicy nie był zapomniany, aby Imość mogła godnie utrzymać znamienitość rodu Sosenków. Wojski lubił te lakocie, lubił ingrediencje sporządzone ręką Pana Macieja. — Zaledwie stanęli w domu Lanerego, mieszczanina Lwowskiego, niegdys zegarmistrza Króla Zygmunta a teraz ławnika, natychmiast uorganizował się systemat rządu domowego. Pani Wojska herod baba, za łeb wszystko wzięła — mąż sługa uniżony Jejmości. — Pani Sosenkowa potulna, bez wzdragania się poddała się przemocy. — Panna Anna czasem bunt podnosiła, ale Wojski i matka jak wrzodowi dogadzali i łagodzili surowość Pani Szymonowej: antycypatiwe Wojska ludziom krnąbrniejszym z miny zagroziła bizunami i tym sposochem zapewniła utrzymanie w ryzie posłuszeństwa, a zawsze powtarzała: — Gdybym ja się urodziła w szarawarach, nie podnieśli by nigdy Kozacy głowy, nauczyłabym tych chamów co to szlachcic polski — i tak płynęły dnie i tygodnie. Pani Wojska krzyczała i mordowała, Pan Wojski obżerał się i co dzień na niestrawność leczył się starym Węgrzynem gruzynieckim. — Pani Cześnikowa modliła się w kącie, i drżała za każdym słowem Wojskiej. — Panna Anna ciągle myślała o jakimś tam chamie Kozaku, antyszlachecka myśl: ale cóż robić kiedy tak Pan Bóg dał. — Na uproszenie powodzenia Cześnikowi, Cześnikowiczom i Rzeczypospolitej Polskiej codziennie po dwa złote na msze dawano — i rozdzielano grzywnę jałmużny między żebraków. Pan Lanery często przychodził z nowinami, a widać że je układał dla późniejszych kronikarzy i historyków, bo kategorycznie plótł brednie i bajki.

Pierwszy transport tych wiadomości był, że Neczaj pobity został na głowę koło miasteczka Krasnego przez Hetmana Polnego Kalinowskiego, że trzy tysiące Kozaków pole bitwy zaległo, a ledwie kilkudziesięciu Polaków — że Bejbuza szlachcic polski wzdłuż od ramienia lewego aż do prawego kłębku jednym cięciem rozplatał Neczaja — że Bohun wszedł do Winnicy na czele swojego pułku, ale ujrzawszy groźną postać Pana Cześnika Wyszogrodzkiego, Regimentarza Braclawskiego stojącego w Barze, Kozak przeląkł się i uciekł w głąb Ukrainy — a Kalinowski wszedł do miasta. — Po trzech dniach wrócił Bohun mając przy sobie pułki Hładkiego, Jakubowskiego, Lubniański i Przyłucki i niedobitki Braclawskiego, co wynosiło do trzydziestu tysięcy zbrojnego ludu. — Pan Hetman polny

osądził za rzecz przyzwoitą opuścić miasto. Wojsko Koronne, Litewskie i pospolite ruszenie śpiesznie ruszyło na pozycję pod Bar — strata zaś czterech tysięcy pięciuset ludzi jaką ponieśli Polacy będzie wynagrodzoną. Kozaków dwie części wyginęło; nie było Polaka żeby sam na siebie pięciu nie zabił. Pan Cześnik cudów waleczności dokazywał, dławił chamów jak święty Jerzy smoka. — Pan Ignacy stu Kozaków zmiotł mieczem — a Pan Wojciech kopją natłukł ze dwie kopy — wszędzie górą nasi, a choć niby kraju ustępują to pokaże się dla czego; przepadną przekłete hajdamaki, bo co Mości Panie, to nie cham — co prawowierny katolik, to nie błachocestywiec, ani unita. — Mówią że Chmielnicki ciągnie z Kozakami i ze zgrają Tatarstwa — ale i Jan Kazimierz i co jest paniąt przedniejszych wyruszają jak na polowanie na kozactwo. Przed miesiącem i na lekarstwo nie zostanie Kozaka. — Ta wieść jak szalona lata po Lwowie, a wszędzie jej przyrasta, jakby drożdżami była rozczyniana, wszyscy się cieszą tą, biją, sieką dzikich synów stepu. Panna Anna tylko się smuci i po cichutku łązy roni, bo to przekłeta rzecz kiedy przekorne serduszek pójdzie w brew powszechnemu zdaniu; ani rady zwrócić go z drogi miłości — cały świat krzeczy djabeł! djabeł! a ono ciągle mówi — to mój Anioł. —

Dnia jednego kiedy wszyscy byli przy śniadaniu, wpadł Pan Lanery zadyszany; z jego czupryny pot kroplami zciekał jak przy odwilży woda z sąplów obmarzłego dachu — jeszcze drzwi nie zamknął a już język jak na kołowrotku się obracał: Dobry dzień Jaśnie Wielmożny Wojski, dobry dzień Jaśnie Wielmożnej Cześnikowej i Pannie Cześnikównie Dobrodziejce — kłaniał się nisko a kobiety mu dygały: — Wojski rzekł: — Waszmość wypijesz starki — i nalewał kielich: Lanery kłaniał się i brał kielich i mówił — wielkie nowiny, wszystko skończone, co do jednego wycięto wszystkich Kozaków. — Panna Anna poblada wstała i wyszła. Cześnikowa rzekła — duszka, ona nie może słuchać o rzeczach, serce ją boli, przepraszam Państwa Dobrodziejstwa że odchodzę — i prędko wyszła, a choć Wojska groźnie spojrziała, tą razą czulość macierzyńska przemogła posłuszeństwo i strach. — Pani Wojska puściła na wolę gębcę — Otóż to wychowanie, żeby bała się krwi kurczęcia zarżniętego! jabym sama płatała Kozaki i Tatara; żebym miała dzieci, to by się niczego nie baly. — Pan Wożny synowiec Jegomości, kiedy ogłasza obwiesiny chama albo żyda to tak to spokojnie obwołuje jak gdyby zapraszał na obiad: to mi zuch, a mój wychowanec. — Wojski chcąc pokadzić żonie odezwał się: — Bo też taki brylant jak Jejmość niełatwy do znalezienia. — Wojska krzyknęła: — Milez Waćpan! Panie Lanery prosimy mówić. — Szlachcic herbu wieża zamilkł, a Laner wnik Lwowski tak zaczął: — Jak tylko Król Jan Kazimierz nasz

miłościwy Pan przybył do obozu, rozdzielił stotysięczne wojsko na dziesięć części i oddał pod dowództwo Wielkiego Hetmana Potockiego, Hetmana Polnego Kalinowskiego, Wojewody Brzeskiego Szczawińskiego, Wojewody Ruskiego Księcia Wiszniowieckiego, Wojewody Podolskiego Stanisława Potockiego, Wielkiego Marszałka Księcia Lubomirskiego, Wojewody Braclawskiego Lanckorońskiego, gdzie się znajdował mąż Pani Cześnikowej Wyszogrodzkiej, Podskarbiego Litewskiego Księcia Sapiehy, i Chorążego Koronnego Koniecpolskiego — jeden zaż korpus wyborowy zostawił przy sobie. Tak podzielone wojsko przyszło pod Wygnankę, a ztamtąd pod Beresteczko. — Trzeba Jaśnie Wielmożnemu Państwu Dobrodziejstwu wiedzieć że to jest kraj pełen błot i wąwozów: i tak naprzykład — zaczął ustawiać butelki, talerze po stole — oto błoto, oto wąwozy, człowiek trochę się zna na wojennej sztuce. — Pani Wojska rzekła — uwalniamy Waćpana od geografii a prosimy o rzecz. — Pan Lanery otarł się chustką i tak dalej mówił: — Już chciano maszerować do Dubna, ale Książę Wiszniowiecki dał wiedzieć że przeszło trzykroć sto tysięcy Kozaków i Tatarów pod dowództwem Chmielnickiego, tego psa bez czci i wiary, i Islam Giraja Hana Perekopu, roztasowało się obozem pod wsią Picozarynami. — Pan Czarniecki Oboźny Koronny w kilka tysięcy koni zrobił podjazd i przyprowadził jeńca ze dwa tysiące Tatarów straciwszy kilku ludzi; to jednak zwycięstwo nie powstrzymało Kozaków — nazajutrz ujrzano zbliżające się ich tłumy pod Beresteczko. — Król kazał wojsko uszykować do batalji. Pan Przyjemski General artylerji armaty wycelował przeciw wrogom. Tatarzy w pół księżyce, a Kozacy w tabory postawili się; trębacze dali znak do boju, nasze wojsko runęło, a armaty grzmiały. — Tatarzy uciekli, i Ataman Chmielnicki zrobił drała z niemi, a chorągwie Hana, i muzykę, i skarby, wszystko to nasi pozabierali — ze sto tysięcy na placu położyli trupem a drugie tyle w niewolę wzięli. — Szlachty zginęło ze trzystu a ciurów ze dwa tysiące; rannych niewiele. — Kozactwo na błotach do nocy się skrywało — nazajutrz dzień Kresa pułkownik Czechryński i Hładki pułkownik Perejesławski przyszli do Króla w poselstwie od Dziadzelego obranego Watażką Kozackim, prosić o przebaczenie, Król nakłaniał się, ale szlachta nie pozwoliła, mówiąc: że Król i Rzeczpospolita przebaczą, jeżeli przystaną Kozacy albo żeby ich wywieszano, albo w poddaństwo zapisano. Wrócili posłannicy. — Chamy nie przyjęli warunku, a niejakiś Bohun stanąwszy na ich czele oświadczył że do ostatniego tchu bić się będą. — Tu Pani Wojska przerwała: — Oj to to śliczny ptaszek ten Bohun, Pan Cześnik go przyjmował u siebie, chama! jabym mu kazała była ze sto bizunów wypalić. — A Wojski dodał: — Cześnik dziecko, jemu roilo się po głowie połączenie Kozactwa z Polską, a choć dumny

szlachcic zniżał się do przyjmowania chamów w swoim domu. — Wojska znowu powiedziały: — Cześnikowi należałoby wygarbować taratagę; ma skutki swego bratania się — koniec Assan Panie ławniku. — Lanery odetchnął przez ten czas i tak mówił: — Ale te kroki Bohuna były tylko podrygi śmiertelne — wojsko nasze na pulki wpadło, pomordowało i rozpedziło tę zgraję lotrostwa. Król wrócił do Warszawy, a Panowie dowódcy pogonili na Ukrainę, każąc wycinać wszystko co nosi imię Kozaka. Pan Czarniecki sam ze sto tysięcy wymordował.¹⁷ Już teraz nie ma się czego obawiać ani od Kozaków, ani od Tatarów, bo do szczytu przypadli. — Wojski nalał kielich starego węgryna. — W ręce waspana Panie Lanery! Niech żyje Król Jegomość! Rzeczpospolita! walczne wojsko Koronne i Litewskie! — Lanery pokłonił się mówiąc: — To za wiele honoru dla mnie — ale kielich wypróżnił, wykrzykując toast Pana Wojskiego.

Nazajutrz Panowie Wojscy rozkazy do marszu wydali, i w mieście zrobił się ruch i harmider. Woźnice do batogów nadkońce uwiązują i na próbę klaszczą. Kucharze wielebne rysztyunki na bryki pakują, Żydzi przy obrachunku chlepczą i dyrkoczą językami jak najęci. — Słudzy za pejsy targają przekłete niewiary, a Panowie na zgodę i ko żydowskich i po chamskich karkach lagą jak cepem wałą.

Przy samem wyjeźdźnym jakby na potępienie dobrej wiary Pana Lanerego i matematycznego rachunku, że ani na nasienie nie pozostało Kozaka, wieść doleciała: że Chmielnicki na czele Zaporozców obległ Pana Hetmana Potockiego w Białej Cerkwi — a choć Pan Czarniecki dla przykładu i lepszego związania Kozaczyzny z Polską, kazał w pień wyciąć w Stawiszczach i wojaków i niewojaków — jednak mieszkańcy Ukrainy na pierwszy odgłos o przybyciu Atamana, do broni się porwali i znowu nieszczęśliwa wojna się rozpoczęła. — Armja Panów Wojskich przycupnęła we Lwowie, jak lisy po norach na daleki posłuch trąby myśliwskiej; ale to nie długo trwało. — W krótko nadeszła wieść urzędowa: że Mikołaj Potocki Wielki Hetman Koronny, na bok odtrącając prywatną zemstę za śmierć syna jedynaka, a bacząc tylko na szczęście Ojczyzny, pomimo opór zawziętej i swarliwej szlachty — po bratniemu pojednał się z Kozactwem i w imieniu Polski traktat Zborowski potwierdził. Chmielnicki przewrotnej duszy, tą razą z otwartem sercem, z czystą myślą upokorzył się.¹⁸ — Czego żelazo nie dokazało to zdziałała cnota sędziwego starca. — Piękna Ukraina pokojem zakwitła, Lach z Kozakiem dłoń w dłoń się ściskali — o dawnych bojach, o przyszłym bycie rozmawiali, o tegoczesnej krwawej chwili ani słowa nie rzekli — cierpieli, i zapomnieliem w pamięci chcieliby ją zamazać. — Wielki Hetman

lżą radości codzien obmywa gorzką ranę serca, bo śmiało może powiedzieć: Śmierci syna pomściłem się szczęściem Ojczyzny.

V.

W Grużynicach wszystko po dawnemu na swoim miejscu stoi. — Stary dwór ani na cal więcej w ziemię nie wlaź — chałupy wieśniaków nietknięte. Kościół kopułą blaszaną błyszczący — brzozy do koła wioski bujają. — Osoka po błotach srebrzy się i słońce jak dawniej świeci — wietrzyk powiewa i błękitne niebo ociąga widnokrąg, a jednak tęskno, smutno: jakby wielkie zmiany się porobiły i wielu rzeczy do dawnych brakowało.

W Kościele Grużynieckim trzy pośmiertne napisy przybyło i trzy trumny wpuszczono do grobu Sosenków. — We dworze Chorąży Strzemecki po sali jadalnej szerokim krokiem się przechadza — a w oknie, podparty na łokciu Ksiądz Kapelan głęboko duma. Na dziedzińcu Bekas wyżeł faworyt Pana Cześnika od ganku do bramy ciągle biega, nozdrzami wiatr chwyta i skomli. — Chorąży spojrzął w okno i rzekł: — Biedne psisko, wygląda Pana — a lzy polały się po zmarszczonej twarzy. Kapelan zawołał: — Panie Chorąży, woli Bożej odwrócić niepodobna, trzeba być mężem, a zwłaszcza teraz Imość z Panną przybywa a Waćpan jak baba zaczniesz beczeć. — Tu Strzemecki głosem na w pół przerywanym łkaniem odpowiedział: — Dobrze to mówić, wola Boża — męstwo — ale wspomnieć że się piędziesiąt lat z górą razem przeżyło — na jednej ławce w szkołach nas wyciągano, z jednego kotła w obozie się jadło, a teraz — — I tu płakał jak dziecko. — Panicze, samem ich wychował, pierwszy raz na koni sadzałem, krzyżową sztuką szablą machać nauczyłem — jakie chłopcy! czemu to mnie staremu nie było zginąć. Księżę Kapelanie mów do Jejmości, bo ja ani słowa nie powiem, nie wyjdę — przepadła rodzina Sosenków! — i chodził dalej. Kapelan chciał jeszcze mówić, ale ujrzawszy tego starca stojącego nad grobem, z okiem lżą zamokłem, z twarzą boleścią przekrzywioną, słowa mu uwięzły i smutnie poziarał. — Żal i rozpacz młodości współczucie w ludziach obudza, ale razem wlewa w usta chęć pocieszenia. Rozpaczająca starość grobowym smutkiem przeszywa serca, i grobowe milczenie włacza na język.

Nad wieczór na drodze ukazała się basztarda i długi szereg powozów. Ksiądz Kapelau, sługi i służebnice wyszli na ganek — a wszystkich twarze były smutne — bo już zapomniano o surowem obchodzeniu się Cześnika. Jest to choroba ludzka, żal za tem co minęło. Każdy sobie powiada: Bóg wie co będzie

— a dziwnem jakimś przecuciem, choć żadna wieść poprzednio nie doleciała, Cześnikowa, Wojska, Anusia smutne były: Nawet Wojski choć zwycięzko wracał z rejterady którą ciągle przyrównywał do cofania się Ksenofonta, czuł teraz jakąś duszność na sercu: rzekłbyś, że powietrze szepnęło im w ucho nieszczęsny wypadek. — Zaledwo otworzono baszardę, Cześnikowa żywo wysiadła, czego nigdy nie bywało i zapytała Kapełana: a Jegomość? — Książd milczał — natenczas drugi raz powtórzyła niecierpliwie, boleśnie — a Jegomość, a Panicze? — a w tym głosie odbiła się rozdzierająca troskliwość niespokojnej matki, żony, o los dzieci, męża. — Książd spuścił oczy w ziemię i rzekł: — Bóg daje, Bóg odbiera. — Cześnikowa pobladła, zdrząła i osunęła się na ziemię.

Służebnice porwały i zaniósły do sypialnej komnaty. Anusia po cichutku plakała, ale stan matki zatrzymał wybuch żalu — a smutek i niepokój przed oczami stojący, rozerwał i zniszczył na chwilę pierwotną siłę wymierzzonego ciosu zgonem ojca, braci. Pani Wojska krząta się i radaby swoim życiem przynieść ulgę stroskanej rodzinie — a ta kobieta co niegdyś chciała płatać własną ręką wroga, czuje lżę cisnącą się do oka, a serce jej mięknie jak wosk przed żarem — często wychowanie złemi nałogi tłumi naturę, ale gwałtowny raz zadany nieszczęsnym losem nam samym, albo drugim, wraca rodzimy blask zbrudzonym uczuciom, i daje zwycięstwo naturze nad nałogiem.

Wojski wszedł do sali jadalnej, gdzie Chorąży stał oparty o ścianę, jak kolumna gipsowa nieruchomy — oczy wytrzeszczył, chcąc lży zatłumić. — Wojski powitał — jak się ma zdrowie Pana Chorążego? — Strzemecki nic nie odpowiedział — potem Wojski zapytał — a świętej pamięci Pan Cześnik? — — Nie dał domówić reszty Chorąży, ale prędko i boleśnie zawołał: — Zginął walecznie pod Beresteczkiem, Pan Wojciech pod Winnicą, Pan Ignacy pod Białęcerkwią z Podkomorzym i Podkomorzycem. Pański Siostrzeniec Pan Woźny zamordowany w Stawiszczach. — Skończył i wyszedł szybko na dziedziniec i w pole. — Wojski sam został smutny, zamyślony — i kłął myślą wojny domowe, dumę i upór jednej i drugiej strony.

VI.

Dziwacznie się klecą rzeczy na tym świecie — niech-że rozum podobieństwo przyszłości zbada? Wypręża się, targa i coraz bardziej wikła w sidła błędu, a nie mogąc wybrnąć, uroczystym głosem woła: To porządek natury, ślepy traf, przeznaczenie i tym podobne godła skrzywionej nauki. — Rzadko przyzna, że jest władza niewidzialna, niepojęta, tajemnicza, co wszystkim rządzi, żeni wypadki sprzeczne z sobą, i na

świat sypie podobieństwo i niepodobieństwo, jedną i tą samą ręką.

Lachy z Kozakami, co przed rokiem jak psy koło kości żarli się — a długi czas jak pies na kota patrzali na siebie z niechęcią — teraz jak pierwsi chrześcianie w braterskiej zgodzie żyją, razem piją, razem jedzą, razem polują, razem hulają. Otworzyły się domy, piwnice i serca szlachty polskiej dla Kozactwa. — Starszyczna Ukraińska bankietami i bogatemi podarki raczy braci Lachów: Wszędzie krzyczą: Wiwat Jan Kazimierz Król i Pan nasz miłościwy! Wiwat Pan Chmielnicki Ataman Ukrainy! Wiwat Polacy, Litwa, Kozacy! Wiwat Rzeczpospolita!

W Winnicy stoi pułk Korsuński. Bohun jak dawniej mu dowodzi i jak dawniej do Gruzyniec dojeżdża. — Kule, pałasze, piki, nie wybiły z głowy twarzyczki Panny Anny. — Sąsiedzi Pani Cześnikowej teraz wszystkie przychylni Kozakowi, Państwo Wojsey swatami pułkowiecy — bo Wielki Hetman Koronny napisał własną ręką do Waszmość Pana Wojskiego, list pełen affektów braterskich, upraszając, aby w jego imieniu skojarzył małżeństwo między Mykitą Bohunem a Panną Anną Sosenkówną, Cześnikówną Wyszogrodzką. We środku był drugi list do Pani Cześnikowej błagający aby bacząc na dobro ojczyzny, puściła mimo klejnot szlachecki a zezwoliła na to stadło. Pan Wojski gorąco atentuje sprawy, Pani Wojska na poparcie argumenta jak z za rękawa sypie. — Ksiądz Kapelan w nadziei że ochrzci na łaciński obrządek pułkowiec, w imię wiary wstawia się za nim. — Pan Chorąży powiada: wojenny to człowiek, silnej prawicy, poczciwego serca. W czasie wojny kazał załodze kozackiej stanąć w Gruzynicach i strzedz dobra świętej pamięci Pana Cześnika jak oka w głowie — takiego to trzeba Pannie Annie męża, a choć nie Sosenka, nie szlachcic herbowy, potrafi utrzymać godność Sosenków. — Zgola począwszy od Pana Macieja kuchmistrza, a kończąc na wyżle Bekasie, cały dwór Gruzyniecki przekabacił Bohun na swą stronę, bo nigdy ręki próżnej z kieszeni nie wyciągał, a za każdym przyjazdem worek rozynkał; psom zaś i głąskan i łakociów nie szczędził. Pani Cześnikowa nagłona, chociaż i bez tego by się obeszło, zezwalała na wszystko, bo jej koniecznie trzeba było Pana. Pan Chorąży Strzemecki wielką submissję ukazywał, radził się Jejmości, jej rozkazów czekał — a to wszystko nie do smaku Pani Cześnikowej, bo nieboszczyk Sosenka stuknął, huknął, kazał i tak dobrze było — zapewne i Bohun tak sobie poradzi. Wszystko tedy zależało od Panny Anny, a ta uparła się i ani słyszeć o małżeństwie nie chciała; ciągle się do klasztoru wybiera. Dziwna rzecz! Serdecznie oczkiem na Bohuna strzela, o nim myśli, o nim marzy, a nie chce mu dać swej ręki — nie chce stanąć przed ołtarzem, ani nawet mówić o tem.

Zkąd upór? Zkąd zmiana w chęciach? Bo w uczuciach jej nie masz; zawsze one jak były tak są jednakie. Anusia smutna, zamysłona, nosi w duszy jakąś tajemnicę a nikomu jej nie powierza; od ludzi stroni i ciągle pacierze odmawia. Darmo matka błaga, darmo służebnica podstępów używa, wszystko to ustępuje przed twardą wolą milczenia.

Nareszcie Cześnikowa ze zgryzoty ciężką chorobą zapadła, Bohun z rozpaczny stracił rumieniec z lica; wąż co niegdyś do góry się skręcał teraz strzypami na dół opadał. Anusia dwojako cierpi: raz za siebie, drugi raz za drugich; chciałyby usunąć boleść matki, kocha Kozaka, ale straszne sny bezustannie myśli jej trapią. Ile razy przed zmrúżeniem okiem staną obrazy sennego życia, dziewczę wdzięczy się do kochanka, i kochanek z pod rzęsy płomieniem miłości bucha — już sięgają rękoma ku sobie, już są bliżcy zetknięcia — kiedy nagle jak z pod ziemi wychodzą trzej rycerze: To ojciec, to bracia! Piersi skrważone, twarze groźne i ponure — niemo staną, mieczów dobędą i żelazem przegrodzą miłosną parę. Przelękniona budzi się Anusia, krew stygnie w żyłach; rzuca błędnym wzrokiem do koła i nic nie widzi — żegna się krzyżem świętym i odmawia pacierz za dusze zmarłych; ale to zjawisko co noc się powtarza, a Anusia w modlitwie błaga Ojca, aby odkrył swą wolę, ale on głuchy na jej prośby, zawsze niemo okazuje się we śnie i niemo odchodzi. Postanowiła ofiarę z swej miłości zrobić, nie łączyć się z Pulkowódcą i na resztę dni zaślubić się z zakonem — wyjawić zaś sen? O! tego nigdy — mogłaby nieważnie, podejrzenie rzucić na kochanka, stać się przyczyną jego cierpienia; lepiej siebie poświęcić, zaprzepaścić, jak jemu włos jeden z głowy stracić. I to życie ciągłej walki, febra udręczeni, gorączka smutku, trwała dwa miesiące. Stan Cześnikowej co raz się pogorszał. Krewni, Książdz Kapelan, Pan Strzemecki, wołali na Pannę Annę, aby swem zezwoleniem wróciła zdrowie matee. Nie mogła też inaczej zrobić biedna dziewczyna, przyrzekła — zastrzegając aby ślub odbył się bez żadnej okazałości, przy domowych tylko świadkach. — Przystano, i za tydzień odłożono uroczystość. — Cześnikowa jakby cudem z łoża powstała, Bohunowi wrócił rumieniec i pogodna wesołość, Strzemecki więcej jak dawniej rozmawia, wszyscy się cieszą w Gruźniach, i w Winnicy Pułk Korsuński, bo Pulkowódca często na oznakę radości polulankę sprawia Kozakom. Panna Anna tylko smutna, mknie na zdrowiu, i wędnieje na krasie.

Nadszedł dzień dwudziesty Sierpnia, wigilia ślubu. — Wszyscy się krzątają koło wyprawy, koło wianków, koło przygotowań do uroczystości; czas zbiega szybko — już noc — spać się pokładli, każdy marzy o dziwnych, smutnych wesołych rzeczach. Panna Anna tylko nie śpi, postanowiła noc całą oka

nie zmrużyć a tym sposobem widziało snu odegnąć. Świeca się paliła, zegar tykotał minuty, a ona w książce pacierze czytała. Policzyła trzykrotne pianie kur, już i świtać zaczęło, kiedy oczy zamrużyły się na chwilę; wnet Ojciec, bracia stanęli przed senną, oczy ich surowo patrzyły, a miecze w pochwach pochowane; tą razą Bohuna nie było. Ojciec po raz pierwszy przemówił, a głos jego był krótki, ponury: — Córko! Z jego ręki polegliśmy w boju — biada tobie! biada jemu! — Chciał dalej mówić, ale Anusia zbudziła się — krzyknęła. Przybiegła służąca, pyta, co Pannie jest? Ale ona patrzy i nie nie mówi. — Już dzień jasny, wstała i zaczęła się ubierać.

W kościele Ksiądz Kapelan wszystko do obchodu ślubnego przygotował. Państwo Wojscy z Panną Barbarą siostrą Wojskiego jeszcze zrana przyjechali. Wkrótce Bohun szczęśliwy, wesoły, z Sotnikiem Palejem na koniach przyczwałowali. Upał był wielki, liście drzew i trawa straciły świeżość jakby zwarte; jakaś ciężka, smutna cichość w powietrzu panowała, tylko kilka chmur białych po sklepieniu niebios się snuło bezładnie, jakby czegoś szukały ale same nie wiedziały gdzie. Około godziny dziesiątej udano się do kościoła. Pan Chorąży i Sotnik prowadzili Pannę Annę. Jak śnieg biała szata na niej, biały wianek na głowie, blada na licu, a oko smutkiem zamglone. Pułkowiec rękę podała Panna Barbara; z pod sinego kontusza wзира czerwony żupan, rumieniec czerstwą krasą połyska — przy boku błyszczy szabla w drogic kamienie oprawna, a oko Bohuna jeszcze jaśniejszem światłem jak brylant pała. Cześnikowa radośna drobniuchnym krokiem szła obok córki, Wojski z tryumfującą miną ręką wymachiwał i coś rozprawiał Palejowi — a Wojska protekcyjnalnie pozierala na nowożeńców. Weszli do kościoła. — Ksiądz mszę zaczął odprawiać. Anusia cała w modlach tonęła, wzrok jej, myśl i dusza do nieba leciały; Bohun zmówiwszy pacierz powiódł wzrokiem po kościele, a ujrawszy zhroje zawieszzone na filarze grobu Sosenków wzdygnął się, tęsknota ścisnęła jego serce. Czy w rynsztunkach poznał dawnych znajomych, czy smutek oblubienicy przelał się w jego duszę, niewiadomo — to tylko pewna że do końca był zamyślonym. Msza się skończyła, a zaczął się obrzęd ślubny; już Ksiądz mówił: — Anno, przybierasz za małżonka — kiedy łysnęło, grom huknął, ściany się zatrzęsły — oblubieniec i oblubienica padli twarzą na ziemię, a schody ołtarza zażęgły się złotym płomieniem. Cześnikowa omdlała, wszyscy biegają po kościele jak szaleni, wynoszą na dwór oblubieńców — Cześnikowę trzeźwią, sadzają w doły świeżo wykopanej ziemi.¹⁹ Na próżno — wszyscy troje ducha wyzionęli i tak przepadła rodzina Sosenków! — Kościół cały ogniem płonął, dym buchał, płomień łuną w górę wyciskał się — belki trzaskały — pękały iskry, kamień nawet gorzał — i to trwało aż do wieczora. Nikt

wiadrem wody pożaru nie tłumił, nikt kościelnych rzeczy ratować się nie ośmielił, bo czyż ręka ludzka może zatamować pocisk ręki Bożej? — Nazajutrz dzień tylko popiół i gruzy zostały.

Dalecy krewni po kądzieli posiadli Grużyńce. Długie lata Pan Chorąży przechadzał się codzień po kościelisku mówiąc ze łzą w oku: tu był kościół, tu grób Sosenków. Chorąży umarł, gruzy ziemią zapłynęły, trawą porosły i ogromne bagno po nim się rozlało. Jednak lud dokładnie wskazuje gdzie był kościół, i o rodzinie Sosenków opowiada z najdrobniejszymi szczegółami, jak gdyby się wczoraj stało; bo zabytki przekazywane w puściznie pamięci ludzkiej, dłużej trwają, jak zabytki istniejące tylko pomnikiem wzniesionym siłą ludzką.

MÓDLMY SIĘ A BIJMY.

I.

W Kijowie, wielkiem mieście, gdzie miecz Chrobrego wyszczerbił w złotej bramie szram wiekopomny na późne czasy; gdzie rażne hufce Śmiałego zostawiły w sercach pięknych Rusinek niezatarte ślady, przekazywane w powieściach córkom przez matki; na którego tronie panowały Igory, Włodzimierze, Izasławy, o którego władztwo ścierały się niepoliczone pulki dziarskich Kozaków, wesolych Drewlan, dzikich Pieczyngów, i bitne kupy dzieci Mendoga, wszystko to się kołem przetoczyło ryjąc głęboką kolej w pamięci ludu. Sen przeszedł, ale dziwne mary jego tworu tkwią w wyobraźni i po długim a długim czasie za lada poruszeniem sprężyny wspomnień, tak jasne malują się myśli, jak gdyby tylko co się stały. Dziś Kozactwo załało okolice i mury miasta, Kozactwo rzeźkie i waleczne, nieokiełznane wędzidłem i harde; zorza swobody ludu, twarda opoka wolności, silne ramię pobratymczych Lachów¹.

Cóż ta za dzwony setnemi głosy brzmią w wielkiem mieście? Brzmią wspaniale i uroczco, a powietrze targane i parte w milionowych kierunkach, hula rozgłosem na wsze strony, w podskokach burczy po zwierciadlanej powierzchni sinego Dniepru, dzwoni w gałęzie wystrzelonych w niebo sosen, jęczy w załomach skał i gubi się w nieścignionych okiem stepach. Cóż to za tłum ludu jak fala płynie po ulicach, ściera się, krzyżuje w rozmaite kształty, a ujrawszy bramy cerkwi kupi się, podraستا i natłokiem wali, jak nurty wody w przerwy już uszkodzonej grobli. To dzień Czuda Michaiła! ²prażnik głośny po Ukrainie! Dzieci tej błogiej ziemi, czyści w uczuciach, jak czysta dziewiczość ich stepów, nietknięta dotąd ręką ludzką; nim zaczną karmić zmysły weselem ziemskim, wprzód duszę

chę napoić modlitwą ku Twórcy, dziękzyć za Jego dary, błagać u stóp Najwyższego o puklerz przeciw złemu.

W Sofijskim Monasterze rozemknęły się na roztwór Carskie wrota; blask srebra, złota i drogich kamieni, jak błyskawica rażącym światłem cisnął się w oczy³ — a Patriarcha wznosząc nad głową wizerunek Boga, zaśpiewał niestłumionym, drżącym, ale donośnym głosem: — Hospody pomyśl! Hospody pomyśl! — Lud trzykroć uderzył kornem czołem w ziemię, i trzykroć razy powstał, jak bujne łodygi zboża zchyla w dół od wiatru ciężkie kłosa, a po chwili wzniosą ku niebu głowy, strojne złocistemi korony. Dwa długie rzędy Czerców⁴ przybranych w czarne szaty, zagrzniwały litanje: — Światy Boże! światy Welyki! — a lud niezgodnemi głosy odwrzasnął: — Pomyśl nas — i dziwacznie powiązanych głosów, dziwnej harmonii echo rozbijało się po sklepieniach cerkwi. W ustach ludu prośba, na twarzach pokora, a w oczach taka bogobożność, taka pożądlivość przyszłego życia, iż zda się że wszystkie dusze są na wylocie z ciała do krainy wieczności.

Pośród tej gromady pobożnego ludu, wśród tego świętego orszaku Kapłanów i Zakonników, kto jest ten Czerniec co wystrzela głową nad innych, jak labędź panuje wzniosłą szyją nad stadem gęsi, którego ręka przez zapomnienie terażniejszości, a przez silną pamięć ubiegłych czasów, takie obroty nadaje jarzącej gromnicy, jak gdyby mieczem władała? Nogi przy zaczęciu processyi zwolna się posuwające znagła zaczynają drgać w stawach i tak żwawo dźwigały się, jak gdyby miały wstępować na wyłom szturmowanego miasta; w oczach ciemnowych jastrzębiej bystrości, czasami mignie zapal tak szybki i tak gwałtowny, jak wężykowa jasność strzały piorunowej; albo kiedy wiatrem lub niesformem kiwnięciem głowy kaptur w tył odleci i odsłoni włos ciemny z rzadka rozsiany po głowie i czoło otwarte, harde i groźne: każdy natenczas łatwo czytać może jakby rozpalonem żelazem wyciśnięte piętno: nawykłość do rozkazywania i nieugiętą wolę przed nikim i niczem, tylko przed Bogiem. Chociaż Czerniec usiłuje pokorą wiary pokryć wyrazy twarzy, naniesione wybuchami miotających nim uczuć — próżna praca — paroksyzmy tak częste i tak jawne, że zasłona nieustannie odwijać się musi przed okiem nawet najmniej ciekawego człowieka. Każdy się pyta, kto jest ten mnich, którego ciała tak niewłaściwie w zakonnej sukni, jak wiosłu wojennej czajki w ręku młdej dziewczycy?

Kto jest ten mnich? pytają między sobą z cicha bracia Czerncy; dwa lata jak przybył między nas, ani słowa o jego kraju, o jego rodzie — jak głaz niemy, na czynione mu zapytania; jak głaz głuchy, na rozrywki Monasteru. Za ledwo skończone modły cerkiewne, rzuce nasze towarzystwo i niesie błędne kroki między skały i wybrzeża Dnieprów; samotny, odludny,

żadnem słówkiem nas nie pogłaskał, a jednak jakąś mocą nadludzką pociąga ku sobie i panuje nad nami. Przy nim wszyscy milczymy aby go nie obrazić, staramy się odgadnąć jego chęci, więcej go szanujemy i boimy się jak przełożonego Monasteru. Patriarcha musi znać tajemnicę; często przechadza się z niepojętym bratem, a kiedy mniema się być nie widzianym, natenczas oddaje mu hołd czci jakby Monarsze ziemskiemu, a nawet większy! Książęta nieraz czółgały się na kolanach przed głową kościoła, a tu Patriarcha zdaje się zniżać czoło przed prostym mnichem. Kto jest ten człowiek? kto jest ten człowiek? ciągle powtarzały mnichy; jednak żaden nie odważył się poszukiwać celu swej ciekawości; a jeżeli który śmielszy otworzył usta, słowo marzło przy swoim wynijściu i tak głucho dźwięczało iż go dosłyszeć było niepodobna; język kościół opierając się powziętej woli, a myśli niszczyły się i gubiły same w sobie — taka była potęga nie do pojęcia tego człowieka. Napróżno się silono dociec tej władzy wyższej duszy nad pospolitymi; jest to węzeł siły umysłowej, którego rozwiązanie w rękę Twórcy; same zaś tylko spostrzeganie zostawione w podziale uczuciom i myślom człowieka. ⁵

II.

Skończyły się modły; drzwi kościołów pozamykane, a w nich cisza grobowa; dzwony umilkły, nawet liny co poruszały śpiż wrzaskliwy tak były nieruchome, iż najmniejsze drganie postrzedz się nie dawało — ulice puste, domy zaparte, psy tylko i koty włóczą się z rzadka po rynkach; rzekłbyś, że zaraza przeciągnęła niszczącą miotłą po wielkiem mieście. Ale za to, na błoniach przed bramami, na wałach, radość i pohulanka; rzną cymbały, rypią skrzypce, brzęczą bębenki; mołojce szamocą się w prysiudach, a dziewice tną tropaka, a za każdym skokiem grzywa wstążek spływająca po plecach łamie się, i odbija kolorami tęczy. ⁶ Starce i baby krzepią pierś miodem i wódką, a znachorki ⁷ przepowiadają przyszłość: dziewicy męża, mołojcowi sławę i bogate łupy, a starcowi długie lata. Okrzyki wesolości słupem lecą w chmury; nikt nie myśli o jutrze, każdy rad z siebie i z tego co go otacza. Szczerłość, braterstwo i uciecha rozciągnęły nad niemi swoje dłonie. — Dzieci natury, używajcie błogiej roskoszy, póki trucizna wykształconego świata nie przyjdzie zniżyć waszego pokoju samolubstwem, zawiścią i niedowiarstwem.

W czasie kiedy wesolość i uciechy rozlegały się w stronę ku Białgorodce ⁸ nad brzegiem Dniepru niżej Pieczar ⁹ siedział Czerniec na kamieniu; w rękę różaniec, którego paciorki ciągle się przesuwają. Czy modlił się, czy głęboko dumiał, odgadnąć

nie można: bo głowę miał spuszczoną ku ziemi, a kaptur zawiesił się na czoło i skrył oczy. Słońce zaszło za góry, mrok szary pociągnął się po ziemi, i księżyc twarz ciekawą wysunął na pół z czarnego obłoku, a mnich jak siedział tak siedzi nieruchomy, i gdyby nie przebieranie palców po różańcu, możnaby mniemać że to posąg wykuty z opoki, przyodziany w szaty zakonne.

Ani wesole śpiewy, ani huczna muzyka nie dolatują jego uszów, tylko Dniepr wre i burzy się, wiatr szumi po nadbrzeżnych łożach, w sitowiu dzikie kaczkę kwaczą, a po głębinie pluska jesiotr. Mnich lubi niemy spoczynek na pół uśpionej natury, bo zrzucił kaptur z głowy, potoczył wzrokiem dumnego władcy po Dnieprze, a potem jakby żałował tej przelotnej namiętności, wznosił oczy pełne skruchy ku niebu i rzekł: Boże! Twórcu wszech rzeczy! przebacz chwilową słabość istocie, przed którą drżeli najmożniejsi mocarze ziemscy, a która dziś ugina kolana przed Tobą i błaga o szczęście i wolność dla ojczyzny, o odpuszczenie grzechów dla siebie. — Za ledwie domawiał ostatniego słowa modlitwy, kiedy zasłyszał dalekie bełkotanie się wiosła, powstał na nogi, a postać jego olbrzymim cieniem zarysowała się na szklanej powierzchni wody przyświeconej promieniem księżyca. Od południa pędem rzeki ślizga się plamka ciemna — coraz bliżej, coraz bliżej; wysuwa się przód chybkiej czajki, przegięta kibić wiosłarza; drze się woda na dwie strony, biała piana na dalekie wybrzeża tryska, a czajka jak strzała leci — leci przykrem półkolem, zwraca ku brzegowi: zaskrzypiał żerstwiany piasek — już stanęła — a bąble wzruszonej wody, jakby w tańcu kreślały tysiączne koła po rzece — wiosłarz susem szczupaka wyskoczył na ziemię, a szabla szczęknęła, otarłszy się o kamyki brzegu.

Ten widok kroczącego Kozaka, ten szezęk broni, jak ze snu obudził wszystkie uczucia w mnichu; serce rodośnie bić zaczęło w łonie, krew zakipiała, i jak iskrę elektryczną wstrząsnęła wszystkimi członkami; ręka to do wąsa, to do szabli zdawała się sięgać i zżymała się nachodząc jeden, a nie znajdując drugiej.¹⁰ Jakieś przypomnienie w oczach się snuje — ta postać Kozaka nie jest mu nieznaną. Kiedy się zbliżył, odkrył rysy twarzy i wąs na pół szpakowaty: mnich poznał Zuja, dawnego assawulę atamańskiego, odwrócił się i chciał skryć twarz w kaptur; ale Kozak jak sokół szparki, stanął przed nim, porwał za rękę, a całując ją rzekł: — Ojczy Atamanie! tyż to chcesz uchościć przed twojemi dziećmi, a my wyciągamy ręce ku tobie i mówimy: Sahajdaczny co nas zwyciężko prowadził na Tatarskie Hany, na Trebizondę i Synopę, pod mury Carogrodu — na Budziackie hordy,¹¹ potrafi nas wywikłać z siideł zdrady. — Tu oczy Atamana zagorzały ogniem dzikiego męstwa; ścisnął assawulę mówiąc: — Ojczyzna i wolność w niebez-

pieczeństwie! — Tak jest ojeze Atamanie! — chciał dalej mówić, ale Sahajdaczny przerwał: — Czas nagli: do broni, taj na koni, w drodze reszty domówisz — porwał za rękę Zuja i szerokim krokiem spieszył ku Monasterowi sofijskiemu, gdzie było mieszkanie Patryarchy. Ataman wszedł do komnaty — został Zuj — niedługo bawil; ale wyszedł ztamtąd tak odmienny iżby go własna matka nie poznała. Ani śladu mniszkiej sukni; szabla brzęczy przy boku, za pasem błyszczą pistolety i kindżał, na ramionach kosmata burka; na głowie barania czapka, a na niej czerwony kołpak, pływa jak chorągiew na maszcie. Z stajni Patryarchy wywiedziono dwa dziarskie rumaki, czarne jak kruki, a na chrapach podpalane łaty jak gdyby ślady ognia tryskającego — grzywy jak jedwab miękkie i lśkujące. Ujrzawszy zbrojnych Kozaków, trzykroć zarżały i przykryły się ogonami. Dosiadł konia Ataman, dosiadł konia Assawula; nie nic mówili, tylko spojrzeli na siebie, ścisnęli nogami boki rumaków, świsnęli — a konie z miejsca uderzyły w cztery podkowy i pomknęły cwałem. Echo na dziedzińcu i w bramie zabrzmiało głośno, nagle, i zamilkło. Nazajutrz mnichy przebudzeni zdziwiają się, nie ujrzawszy tajemniczego brata; otworzą gęby, kiwną głową, zmówią pacierz, będą się żegnać jak po zjawisku czarta; po kątach szeptać będą dziwne powieści czas niejaki, a potem przestaną, powszechnym obyczajem świata.

III.

Bitym szlakiem na Wasilków pędzą cwałem jeźdce, parskają konie, ziemia tętni pod kopyty, a pył zmyty rosą, rojem bryzga w górę. Ataman milczy — o nic się nie pyta. Kozakowi dość wiedzieć że Ojczyzna, że wolność zagrożona, aby rzucił wszystko i jak szalony leciał ku jej obronie. I tak pędzą dwie mile; po czem wstrzymał Sahajdaczny konia, wstrzymał Zuj. Widać że trzeba było tego wiru upojenia, tego rozpalenia krwi, aby gorączką zmysłów przytłumić gorączkę duszy — bo oko Atamana nie sypie iskier konwulsyjnych, a myśli z razu wściekle rozpuszczone samopas, zaczynają się chłodzić i przychodzić do ładu.

Wstrzymane konie kroczą stępo, a boki i piersi pracują jak miechy kowalskie. — Teraz mów Zuju — rzekł Sahajdaczny — jakie niebezpieczeństwo grozi Kozaczyźnie, co się dzieje w Siczce? — Zuj pokręcił wężą, potarł mocno czolo i tak zaczął: — Ojeze Atamanie, zaledwieś opuścił Trechtymirów, bajka się rozeszła że zmarł Konaszewicz, a Kozacy tają śmierć aby dłużej czwanić się jego sławą i grozić wrogom jego imieniem: a na całej Ukrainie nikt nie wiedział, gdzie nasz ojciec; a mnie nie tak to łatwo za język pociągnąć. Jak wieść się rozeszła i

kiedy zobaczyli że Kozactwo zebrane w Kurenie obralo Borodkę¹² Atamanem, panowie Lachy choć dobrzy ludzie, waleczni w boju, przyjacielscy w pokoju, ale z ukosa patrząc na naszą swobodę, zaczęli palamarować po Kozaczyźnie; nowy Ataman przez szpary patrzył, słabo odpierał napaść; ale nie natem koniec. Król Jegomość Szwed z lisim rozumem, otoczony Jezuickimi szalbierzami, nawarzył się naszą czystą wiarę przerobić na rzymską łacinę; a jak zaczęli kłaść w ucho Panom rady, że dla jedności Kościoła trzeba aby wszyscy klepali pacierze po łacinie i wierzyli w jakiegoś tam Papę Rzymskiego, tak Rzeczpospolita postanowiła popierać myśl Króla Jegomości. Jawne kroki rozpocząć niebezpiecznie i niewygodnie — trzeba użyć podstępny; zdano rzecz na Pana Hetmana Polnego Lubomirskiego; ten jak zaczął ludzi Borodkę, po długich rozhoworach dopiął swego. Ataman Kozacki za obiecane Województwo Ruskie przyrzekł zaprzedać i wolność i wiarę Kozaczyzny. — Wojsko Koronne pociągnęło pod Chocim przeciw Bisurmanom — rozkaz przyszedł od Króla i Rzeczypospolitej aby Kozactwo łączyło się z bracią Lachami, a wtenczas kiedybyśmy zasłaniaли piersiami naszymi wspólną matkę, Jezuici z pomocą reszty regimentów Koronnych mają nawracać naszych na łacinę i kruszyć naszą wolność. Borodka ciągle zamknięty z wysłannikami Królewskimi, rzadko śmie pokazać oczy na obradach starszyny. — Sahajdaczny cheiwie uchem chwytal każde słowo, ani jednego nie stracił, a kiedy Assawuła przestał mówić, skinął głową i pogladził dłonią rękojęść szabli. Serce Zuja rozradowało się, bo nie od dziś znalazł się z Atamanem i wiedział, że kiedy chwytal za szablę to biada wrogom, a cześć i sława Kozaczyźnie. Świtać zaczęło; jak przez rzeszoto przeziara po niebiosach jasność dzienna, na piersiach Atamana pod burką błyszczy krzyż srebrny, a za pasem pochwa stalowa kindżału. Usta Sahajdaczne klepią pacierz poranny, Assawuła żegna się i bije w piersi — skończyli modlitwę. Ataman rzekł: — Módlmy się, mordujmy zdrajców i bijmy wrogów naszej Ojczyzny — i zwrócił konia ze szlaku w lewo w step — ze stepu wpadną w parów, wyskoczą pod wzgórek, znowu leżą równem bloniem; chwilę skryją się w las budiaków, a potem wyhulkną na widok czerwone kołpaki — staną, spojrzą, popaszą i dalej w drogę. Jak jastrząb wprost wytkniętą liują porze powietrze, śpiesząc na świadome miejsce łowów, tak oni pomiędzy mogiły i sioła kierują się na Kaniów; tam się zbiera wojsko kozackie, tam przebywa Ataman Borodka. Dniem i nocą, z klusu w step, z stepu w klus, biegną konie, a za ledwie z drugą jutrznią dopadli blonia ścielące się pod stopami Kaniowa.

IV.

Pod miastem, pod Kaniowem rozłożył się obóz kozacki. W prawo koło wozów taborowych stoi piechota — jedni rychtują samopały, klepią kosy; drudzy kupami jak snopy za-
legli pole, obracając zmożone członki przeciw słońcu. W lewo
jazda ostrzy szable, nawiązuje siodła, tabuny koni gryzą trawę.
Ogniska na wpół pogasłe wilają sinym dymem po błoniu, a pro-
mienienie słońca wykradłszy się z łoża igrają jak motyle; to ska-
czą po równofarbnych kołpakach, to zawieszają się na ostrzach
spis; to zagrają przelotnem światełkiem w zawiędłej twarzy sta-
rego Kozaka, to oświecą rumienne lice mołojca — a po drodze
z miasta mijają się tłumy jezdnych i pieszych.

Ataman uśmiechnął się, jak dziewczica kiedy ujrzy taniec i
muzyki — koń zgaduje myśl Pana, wyciągnął w górę szyję i
zarżał — a bracia konie tabunowi setnem rzeniem powitali
przybyłego wodza. Ludzie nie wiedzieli, nie przeniknęli, a konie
przejrzały, że wrony koń Atamana powiedzie je na pole sławy.
Wjechawszy w obóz i wmięszawszy się między tłumy, szpar-
kiego klusa kopnęli ku miastu. Kozacy patrzą, wytrzeszczają
oczy, każdy żegna się: to nasz ojciec, nasz Ataman nieboszczyk
Sahajdaczny! może Bóg przysłał go z tamtego świata na skró-
cenie dumy pohańców. Niejeden dla pewności chciał w twarz
zajrzeć — ale burka odwinęła się i zakryła oblicze; jednak ta
wieść, jak piorun przeleciała po obozie. Jeźdce wpadli na
rynek, zatrzymali konie, tam była zgromadzona starszyzna
przed domem nowego Atamana. Sahajdaczny zsiadł z konia,
skinął ręką na Zuja aby pozostał, a sam żywo kroczył do mie-
szkania Borodki. Poznali go dawni towarzysze i wykrzyknęli:
nasz ojciec! nasz wódz! ale nim zdążyli go witać, już on wszedł
do domu i zatrasnął drzwi za sobą. Obstępują do koła Zuja,
chwyatają za ręce, szarpią, zapytują. Trzeba by mieć sto
języków, aby wszystkim zadość uczynić; dość na tem, że żyje
Ataman, że wrócił między swoje dzieci; ale gdzie poszedł, co
zamierza robić, może niebezpieczeństwo mu grozi? — cisnęli
się do domu Borodki, kiedy drzwi się rozwarły i wyszedł Ko-
naszewicz. Jednym znakiem ręki uciszył wrzask tłumy woła-
jącego: niech żyje Sahajdaczny! twarz jego była spokojna,
czoło pogodne; w oku ani śladu walki namiętneho uczucia,
tylko po pochwie stalowej kindżału, czarna krew gestemi
kroplami ściekała na szerokie szarawary. Zdjął czapkę, pokło-
nił się w koło i rzekł głosem gromkim ale wolnym: — Panowie
Starszyzna! Panowie Bracia! rzuciłem na chwilę ołtarze Boga,
bo niebezpieczeństwo groziło Ojczyźnie, wróciłem między was,
aby je odegnać. Chwała Najwyższemu! wszystko skończyło się;
zdrajca nie żyje, wiara nietknięta, Kozaczyzna wolna. Ja wra-

cam, a wy Panowie Bracia przystąpcie co rychlej do wyboru nowego Attamana, bo Król i Rzeczpospolita wzywa nas ku obronie wspólnej matki Polski! — Skończył — a tłumnie w mieście i na błoniu ozwały się głosy: niech żyje nasz Ataman Konaszewicz! — Sahajdaczny! jakieś wodził tak i dziś wiedź nas ojcze na boje! — a czapki, jak stado wron w górę wyleciały i widnokrąg zciemniły i słońce zakryły. Nie namyślał się, nie wahał Sahajdaczny: — Kiedy taka wasza wola Panowie Bracia, niech i tak będzie; teraz śpieszmy złożyć dzięki u stóp Najwyższego, a za dwie godziny wyruszym w pochód. — Wkrótce jakby z ziemi wyrósł ołtarz w pośród błonia, kapłan mszę odprawiał, a Kozactwo kureniami ustawione z odkrytymi głowami słuchało służby Bożej. — A potem zaczęli śpiewać, na chwałę Przedwiecznemu i powietrze dźwięczało pobożnem pie-niem — a kiedy Ataman całował krzyż święty, podany przez Kapłana, obrócił się i wyrzekł te słowa: — Panowie Bracia! paniętajcie na wieczne czasy: módlmy się, mordujmy zdraj-ców, a bijmy wrogów naszej ziemi! A teraz w imię Boga łączmy się z Bracią Lachami i tłuczmy Bissurmany. —

Wojsko sznurem po drodze się wyciągnęło, przodem Kiszka wiedzie kurenie jazdy Zaporozkiej, pod nim skarogniady jak wiun się wywija — na ramionach mołojców pływają spisy jak wierzchołki młodego zapustu wiatrem chwiane, przy bokach krzywe szable, a u siodeł potroczone gwintowane rusznice. — Dalej tabory piechoty jak szczeciną zjeżyły się kosami a po bokach toczą się skrzypiące wozy — za niemi Regestratowe pułki a w końcu Szymon Perewiezka z kwarcianą konnicą zamyka pochód. W środku koń siwy i silny, i duży basuje pod Panem Chorążym. Chorągiew rozpięta na malinowem polu połyska srebrnym Kozakiem z wzniesionym do cięcia mieczem nad głową; obok niego z jednej strony buńczuczny zaniata powietrze roztrzepanym buńczukiem, z drugiej jedzie Pan Pisarz z kaletą i pieczęcią przy boku; a Ataman pomyka w lewo i w prawo, wprzód i w tył, pogląda okiem, wita dawnych towarzyszy, a wrony konik jakby czuł kogo niesie zjeżył grzywę, odsadził ogon, kopytem na wiatr wyrzuca; ogniem z oka strzela, nozdrzami pryska. —

Górami, dolami pokocło się wojsko — a w Kaniowie Starszyna jeszcze raźni i szle gońce do Zadnieprzańskich Pułków, aby pilnie strzegły granic od Tatarszczyzny — tak kazał Pan Ataman, a jego wola święta. — W komnacie Atamańskiej twarzą ku ziemi obrócony wala się trup Borodki na podłodze, obok niego krew spieczona i listy Króla i Hetmana porozrzucane bez ładu; jawne dowody zdrady. Nikt nie uzałił się nad losem zdrajcy, nikt nie zmówił pacierza za jego duszę; jak psa wściekłego wywleczone za nogi w pole, na pastwę wilkom i krukom

V.

Zwycięstwo uśmiecha się Lachom i Kozakom, jak matka pierworodnego dziecięcia. Gradem spada kłęska po kłęsce na Bisurmany — już zatępiały groty spis kozackich i ostrze mieczów lackich bezustannie grzęzną w ciele niewiernych — bogatych łupów stosami nagromadzono do obozu, a jednak tęskny smutek obsiada skronie rycerzy Chrześcijaństwa. Z cicha szepczą, ciekawie patrzą i gromadnie kupią się koło obozu Hetmańskiego.

Tam pod namiotem na środku, na śmiertelnem łożu, leży sędziwy starzec, w oku zmożonem ciężką chorobą czasami jeszcze mignie jak przelotne widmo iskra dawnego zapалу. Twarz blade, wychudła tak że kości wystają; z ust krew uciekła, a długa broda jak paczos lnu wybielonego spływa po śnieżnem przeszcieradle. W głowach jego buława a u nóg karabela. — To Wielki Hetman Chodkiewicz! gromca Szwedów, przestрах Moskwy. Mąż dzielny mężstwem, mądry radą.

Koło łoża z założonemi na krzyż rękoma, stoi Hetman polny Lubomirski, Kazanowski i kilku możnych Panów Lackich i Litewskich. Jak w tęczę wlepili wzrok w lice Wielkiego Hetmana; ten nie nie mówił, tylko zdawał się kiedy niekiedy kogoś szukać okiem. Czas niejaki trwała ta niema ale wiele mówiąca sercu scena, kiedy się rozsunęło płótno i wszedł Konaszewicz burką odziany; jeszcze ciepła krew pohańców bujnie ściekała po szabli, a kłapcie postrzępionej ostrzem wrogów świtki świadczą że z krwawej pohulanki wraca Ataman Kozaczy. — Umierający Hetman wyjaśnił czoło, z lekka się uśmiecha; wyciągnął rękę do Sahajdacznego, słabo uściśnął szorstką dłoń, i rzekł drżącym głosem: — Póki Lach, Kozak, Litwin razem, pótyśmy wielcy i możni — sięgnął drugą ręką po buławę, wskazał ją Lubomirskiemu, obrócił się i skonał. — Gorzka łza zakręciła się w oku dzikiego Kozaka, szybko wszedł z namiotu, dopadł konia, wskrzyknął na Kurenie i jak chmura ciężarna nawałnicą, ruszył na obóz Bisurmański; a wtenczas kiedy Lachy oddawali ostatnią posługę Wielkiemu Wodzowi, Kozactwo miasto pieśni pogrzebowej wykrzykiwało: — Sława Bogu! kól, siecz wroga! — bo tym obyczajem mieli najgodniej uczcić panieć zmarłego Hetmana.

Jak para rozpierzchnęli się harcownicy tureckie przed jazdą zaporozką. Nowe zastępy wyszły z obozu i na nowo — płotem powalily się pod lasem spis kozackich, a turbany pokryły ziemię jak w maju pstrokwiecie mak pola. Przesadziły pierwsze przekopy i rowy stepowe rumaki, a krew jak kałuże rozlanego błota chlupotała pod ich kopytami. Grzęzły i darły na sztuki rogami ciała ludzkie i końskie. Za jeźdcami wpadły tabory

piechoty siekąc i mordując co tylko jeszcze zostało przy życiu. Wezyr spluwał żółcią ze złości, toczył pianę, jak wściekły rzucał się z pałasem na uciekających. Próżne wycia, próżne usiłowania — jak rozhukanej rzeki nie potrafi powstrzymać tama z chrustu, tak pierzchającego żołnierstwa nie potrafi i razu wódz zastanowić! Już całe to olbrzymie wojsko zabierało się ku ucieczce, kiedy cienie nocne pokryły je swoim płaszczem od zagłady, i położyły koniec rzezi kozackiej. — Zaoskomieni mordem, ale nienasyчени jeszcze do syta, wracali do obozu z Atamanem mołojcy. Ataman mówił pacierz — a mołojcy piosenki nucili.

Nazajutrz Paszowie wysłani od Weszyra, otoczeni świetnym orszakiem niosąc bogate dary, przyszli błagać o pokój. Hetman polny zezwolił, kładąc korzystne warunki. Wzniosła się cześć i potęga Polski, a Atamańszczyzna zaweseliła się, przyczyniając się do sławy wspólnej matki.

Złożono dzięki Bogu za szczęśliwą wojnę, zebrano obóz, a przeprawiwszy Prut, poszli Lachy w lewo, wioząc ciało Hetmana okryte grobowym całunem. Kozaki poszli w prawo, ciągnąc wozy naładowane pod niebo bogatemi łupy. A gdzie tylko przechodzili, matka pyta o syna, Mołodyca w ręce pleszcze, dziewczę czarnookie brwią mruga, a mołojec poprawia się na koniu i wąs pokręca. A gdzie stanęli, starzec pyta o boje, o harce i zaraz prawi o swoich. Rodzice witają dzieci, męża żona, a Zaporozca chyba kochanka. Rodzina poległych ze łzawym okiem ale z dumnym czołem słucha pieśni nuconych na cześć zmarłych braci w boju. — Złoto i srebro zdobyte składają na ozdobę cerkiew; w jedwabne podarki stroją niewiasty — a broń i ogniste dzamety wiodą do domu — i z takim weselem, z taką radością a niekiedy z rzewnym ale krótkim smutkiem — szli od wioski do wioski, od miasteczka do miasteczka aż do Trehłymirowa. W tej stolicy danej Kozakom przez Króla Stefana na przypieczętowanie wiecznego pobratymstwa z Polską, roztasowały się Kurenie — a kiedy spoczęły, dowoli biesiadując trzy dni i trzy noce, Ataman zwołał radę starszych dnia czwartego. Z krzyżem na piersiach, kindziałem za pasem a szablą przy boku, po odprawionej służbie Bożej, stanął w pośrodku i tak przemówił: — Panowie Starszyszna! Panowie Bracia! Co ludziom to ludziom, a co Bogu to się należy Bogu. Bisurmanin skrył się za Dunaj. — Polska wielka i cała, Kozaczyszna okryła się szeroką sławą i do dawnych nowy węzeł przybył pobratymstwa z Lachami. Bóg dał że to stało się pod moim Atamaństwem: teraz składam buńczuk w ręce wasze, oddajcie go godnemu piastunowi a sam śpieszę w odludne ustronie służyć Przedwiecznemu. — Ani prośby starszyszny, ani wołania braci nie zachwiały raz poziętej woli — pożegnał tak ciężko zasmucone Kozactwo jak

gdyby odnieśli przegranę na wojnie. — Kilka słów po cichu mówił z Zujem, tak że nikt nie słyszał tylko te słowa — jak trzeba to znajdź się. — Siadł na karego i wyjechał z miasta — i Ataman smutnie dumiał i koń wnurzył w ziemię głowę smutnie stępał.

W Kijowie wielkiem miście biją w dzwony. Lud gromadzi się po cerkwiach. — Kapłani mszę prawią, zakonnicy śpiewają chwałę Przedwiecznego, a między nimi tajemniczy Czerniec. Gdzie bywał? z kąd powraca? pytają po cichu między sobą bracia mnichy. Tak samotny, tak odludny jak dawniej, tylko czasem w zapale zapomnienia wymawia głośno, namiętnie: — Módlmy się, trzymajmy się z Lachami, mordujmy zdrajców, a bijny wrogów naszej ziemi. — Pytają i myślą odgadują i — nie wiedzą. ⁴³

WYPRAWA NA CAROGRÓD.

I.

Cztery lata jak Szwed zasiadł miejsce Batorego. Szlachta strzepnęła swawolne karki, bo obróza swerności spadła; lud gorzko zapłakał i jęknął, bo jutrznia wolności zagasła. — Ale jeszcze wielki Zamojski głową i ręką równoważył niedołążność Króla, szalbierstwo Jezuitów; a kiedy Zygmunt szeptał pacierze i łasił się kryjomo Habsburgów rodzinie, on na swych barkach powstrzymywał wielkość i całość Polski.

Na Kozaczyźnie młody Szach, okrzyknięty Atamanem. Ledwie trzeci krzyżyk przeskoczył, a już kurenie Zaporozża i pulki Ukrainy chmurą czapki w górę wyrzuciły, ¹ a starszyzna ² złożyła w ręce jego buńczuk i buławę. Szach hulaka, czarki za kołnierz nie wyleje: ³ do kraśnego buziaka okiem i sercem się wdzięczy; żyda jak hamana motłoszy; w karczmie przy cymbałach rej wodzi, gdzie bójka! gdzie swary! Urósł jakby go posiał: zamącić myślą molodycy, ⁴ bałamucić w ucho dziewczynie, to to jego sprawki. Ale za to kiedy konia między nogi schwyci to tak nim gładko po błoniu zawodzi, jak szlifierz nożem po toczydle; spisą wywija jak pisarz piórkiem, a szabelką jak makówki głowy wrogów ścina. Albo kiedy siądzie na czajkę ⁵ i wpadnie między porohy Dnieprowe, jak nurek na chwilę zaginie w odbryzgach srebrzystej fali, a potem wypłynie na powierzchnię i dziwnego kształtu koła kreśli, jak skoczne dziewczę w tańcu. Ale nie dość tego aby zostać Atamanem, każdy Kozak z tem się zna jak roślina z ziemią, jak ryba z wodą, jak ptak z powietrzem.

Na Zaporozżu i Ukrainie jest siła wojowników osiwiających w boju, z licem nasiekanem bułatem Muzułmańskim, z ciałem podziurawionem piką; a u Szacha włos lśni ciemną barwą, a twarz gładka wymuskana jak u zalotnicy. Jednak starce i molojce zgodzili się na ten wybór i radzi z niego. Młody Ataman

znany z dzielnego męstwa, z przebiegłego sprytu w boju. Jeszcze Król Stefan, wyniosłszy go na godność sotnika kijowskiego pułku, przywiązał służbą do swojej osoby: pod wielkim mistrzem ćwiczył się w sztuce wojennej. Król i Pan Hetman Zamojski wielce go szanowali; przy jednym z niemi siadał stole, z jednej misy mięso zjadał, z jednej czary miód spijał. Pod Atamanem Podkową, jazdą na wyprawie Wołoskiej dowodził i szeroką okrył się sławą. Batory zmarszczył się na wybryk Kozaczy, Atamana skarał.⁶ Szach wpisał się w rejestr Zaporozża⁷ i został obwołany Atamanem Kurenym Tatarowskiego Kurenia,⁸ a potem Atamanem całej Kozaczyzny. Ten wybór miły Panu Zamojskiemu prawdziwemu Królowi z czynu, choć nie z imienia; dawna zażyłość obozowa nie poszła w niepamięć: wie że w Atamanie będzie miał silną podporę do rozszerzenia sławy i granic polskiego Narodu.

Skoro Ataman zasiadł w Trechtymirowie, zmienił dawny tok życia. Dziewczęta i młodyce nadarmo wypatrywały oczy, szukając Atamana na biesiadach. Kaniowskiemu Judce pejsy odrosły, podeszwy dłużej się trzymały butów Szacha. Ataman niekiedy zamyślał się nawet, gęste pisma odbierał z Kraśnego Stawu,⁹ ciągle ze starszyzną się naradzał. Coś musi być ważnego, bo czołna po czołnach mkną Dnieprem na Zaporozże, gońce po gońcach prą końmi na wsze strony Ukrainy, a cieśle Kozacy sotniami ciągną na wyspę wielkiej rzeki! Choć czasem Ataman po dawnemu potajem figla utnie, to rzekłbyś że jak sparzony wraca do mieszkania, wstydzi się sprawki, klnie się w Ojca, w Matkę i w bisa,¹⁰ więcej podobnych rzeczy nie powtarzać. Po głowie snują się mu wojny, zdobycze. Spojrzy na ściany izby — dobrze by je było obić kobiercami perskimi, nakatą turecką. Spojrzy na kopułę cerkwi — zdałoby się ją ozdobić złotem bisurmańskim. Bachmaty Hana nie oszpeciłyby stajni, charty wołoskie psiarni Atamana. A za każdym poruszeniem szabla brzęczy, zdaje się wołać krwi! krwi! jak wygłodniałe dziecko chleba! chleba!

II.

Pomiędzy porohami Dniepr zżyma się i dąsa: ściana wody szerokimi słupami nad powierzchnią wystrzeliła, srebrny pył jak mgła igra w powietrzu, u wierzchołku ściana łamie się i potokami spada na lew w bezdnie; biała piana jak mydliny przewraca się po rzece, liże brzegi setnych wysp i skacze konać na zieloną murawę. A między ławami skał woda warzy się i bełkoce, brzęczy i wyje.

Na wyspach i po brzegach, stęka tawał pod siekierą, od białej brzozy trzaski lecą, złota olcha z łomotem na ziemię

pada, a iwa strojna jasno-zielonym wiankiem długo się slania, chwyta ramionami po powietrzu, nim się schyli i zwali. Od Smilańskich ¹¹ borów ciągną ściekle sosny, a od Dniestra i Bohu wałkami ¹² idą maże ¹³ z napitkiem i żywnością.

Po granicach Tatarszczyzny i po stepach akermańskich ¹⁴ w prawo i lewo wałęsają się oddziały jazdy Kozackiej; niby za wilkami uganiają, niby zabiegłe tabuny koni śledzą, a pilne oko mają aby chytry Perekopczyk ¹⁵ albo hardy Turek z Bielgorodu raz przemknąwszy łańcuch straży, nie wrócił na powrót. Cicho — prędko na wieki złączą go z burzanem, i już więcej głosu jego horda nie usłyszy, lśniącym ataganem nie pogrozi gruzyjskiej odalisce.

W Szczebiewiszczy wojskowej ¹⁶ dzień i noc trzysta ognisk silnym ogniem gore, a ludzie się snują jak mrówki po mrowisku. Żłobią kłoce wierzbowe, piłują tawal na tarcice, pod sznur obrabiają sosny, strużą lipy na wiosła, a olchy na ławy — po kuźnicach gną haki, stałą siekiery, ostrzą noże, rychtują rusznice. ¹⁷ Dumi pracujących molojców, krechtanie drzewa, świst pił, stukot młotów, dęcie miechów, rozlegało się po wyspie; ożeniwszy się z szumem porohów, w step echem daleko leciało.

Szpakowaty Skałozub pułkownik Hadyckiego pułku doglądał roboty: on do budowli czajek najmędrszy w całej Kozaczynie; wzorów mazać po papierze nie umie, cyrkla w rękę nigdy nie miał, hieroglifem dla niego rachunek budowniczy, a jednak najmniejsze chybienie nie ujdzie jego wzroku; rozpowie, pokaże, wszystko w mig poprawi. Jedenaście dni trwała robota, dwunastego trzysta czajek stanęło w około brzegów wyspy. Każda czajka jak lalka wymuskana, dwadzieścia jeden stóp długa, siedem szeroka po środku, ku obu końcom łukiem w kąt się zbiega i w górę zadziera. U kozackiej czajki nie masz tyłu, wszędzie przód gdzie ona leci, spód z wierzbiny, boki wybite tawalowemi deskami, zewnątrz smolą oblana, a oblepiona sitowiem i ioczeretem, ¹⁸ co ją czyni tak lekką jak kaczkę; zewnątrz po obu bokach ławy olchowe, a przy końcach duże poprzecznice; z każdego boku po trzy wiosła, a przy obu końcach po jednym rudlu; we środku wznosi się maszt na jedenaście stóp wysoki — biały żagiel powiewa, a liny z rzadka w dół ściekają — u spodku masztu schowanie z deszek kryte na proch i żywność. — Kozakowi przykrycia nie potrzeba: jego upał grzeje tylko, mróz chłodzi, deszczem się umywa, a wiatrem suszy.

Wszystko gotowe. — Z Chortycy ¹⁹ przywiódł Nalewajko tysiąc Zaporoża. — Nalewajko rumianego lica, chwatać do konia, do czajki; dzielny wódz, ale i dzielni z nim żołnierze; kiedy się uszykują do boju i zanucą pieśń wojenną, z radości orły zakraczą, z radości wilki zawyją, bo będzie pełno ścierwa ludzkiego na długie bankiety. Przy watażce ²⁰ spełnia obowiązki Assawuły, ²¹ Piotr Konaszewicz, młodzieniec bladej

twarzy, zamyślony, ponury — idzie po chrzest morski. — Od Połtawy ze starym Czorbą przyciągnęło pięćset wojowników zaprawionych na krwawych bojach z Suzdałami. — Z ponad brzegów Teterowa²² Kozackiego polesia, zawołanych strzelców, których kulka jarzabka w locie przeszywa, odyńca pod same ucho trafia, pięć sotni przybyło z Iwanem Głębockim. — Sokół i Butowicz z ponad Dniestru i Bohu stawili tysiąc różnych mołojców, a ze Skałozubem pracujących cieśli krągło piętnaście sotni się znachodziło. Wyspa obozem się pokryła, powietrze pieśnią wojenną zagrzmiało i na chwilę zagłuszyło szum wodospadów.

Trzynastego dnia równo ze wschodem słońca od Trechty-mirowa lekkie czółno ślizgało Dnieprem; kilka razy mignęła malinowa chorągiew, Kozacy na brzeg się zebrali, czółno przybiło i stanęło. Wyskoczył Ataman, i Assawuła Kosiński, i Chorąży²³ Zaleski, Buńczuczny²⁴ Trzeciak i Cymbalista²⁵ Apostoł. — Ataman już na ręku u Kozaków — jak piłką nim w górę wyrzucają — wykrzykują: — Sława Bohu! — Niech żyje Ataman! niech żyje Kozaczyzna! niechaj żyją bracia Lachy! — jak się Szach z rąk wyrwał tak przemówił do Kozactwa.

— Panowie Bracia! dziś z gwiazdami wieczornymi wyruszmy w pochód; czajki rokoszne jak Laszki, wabią nas do siebie, a Dniepr pieniący się jak szumówka, woła na nas abyśmy co rychlej pomoczyli wiosła w jego wodzie. W czasie bojowym, napitkiem Kozaka woda, strawą chleb i ryba solona — pustelnik przed czterdziestodniowym postem odprawia zapusty; Bóg to Święty wie jak długo nasz post potrwa. Panie Assawuło! rozdać miód, wódkę i strawę między braci mołojców — dziś hulajmy! nikt nie wie co jutro będzie. — Niech żyje Ataman! zewsząd wołano, to to nam chwyt mołojec; takim Atamanem na wieki wieków karz nas Panie! —

Kosiński rozdał jadło i napitek między sotnie; gęste ognie rozdmuchano, szwinina na kawały pocięta, na tykach obraca się i przypieka, w kotłach jaglana krupa burzy się i kipi, a słonina na okrasę się skwarzy. — W misy leją burą poliwkę z lina zmieszana z kwasem, a śliwki korcami na ziemię rozsypują; bo u Kozaka nie masz mięsa nad świninę, ryby nad lina, krupy nad jagłę, jagody nad śliwkę.²⁶

Zgotowano biesiadę; kupami kozacy zasiedli, po brzegach byczków²⁷ perli się okowita, a w czarkach pieni miód. — Jedzą, piją, wrzeszczą. — Hula Ataman — hulają Kozacy — czarki po czarkach w gardło leją. Ataman piosnki nuci, kozacy wtórują. Ataman wziął się w boki i tropaka uciął — i kozacy zatopotali nogami aż się ziemia zatrzęsa. Ataman posunął w przystudy i Kozacy jak żaby okracz skaczą po ziemi, piętami w plecy

się biją, jak wiuny się uwijają, a oseledce to w prawo to w lewo zmigocą; nie jeden koziołka przewrócił i zasnął w tańcu, nie jeden mówić nie może, językiem belkoce i w boki się ściska; ten klnie bisurmana, tamten grozi wyzuwitem.²⁸ Szach jeszcze hula, jeszcze krzyczy; przypomniał dawne czasy, woła Motrę, woła Oksanę, bije Żyda, do Pani Laszki się mili, a Lachowi szabelką w oczy błyska. Nareszcie zmorzył się, upadł i zasnął. Śpią wszyscy jakby w ziemię wkuci, chrapią i gwizdzą jakby na nótę pieśni pijackiej.

Jeden tylko Konaszewicz²⁹ nie tknął wargą mocnego trunku, nie dzielił biesiady, nie dzielił opilstwa; mołojce znali jego wstrzemięźliwość i twardą wolę, naprzód go uwolnili od pohulańki. Przechadza się po nad brzegiem, z bystrością sokoła patrzy na wody Dnieprowe i na stepy, a dusza się raduje i zdaje przepowiadać: Tobie jak niewolnik kiedyś Dniepr będzie służyć, ciebie stepy obwołają swoim władcą, a Kozaczyzna twem ramieniem i głową wzniesie się w sławę i wielkość.

III.

Zabłyły wieczorne gwiazdy na niebie; zabłyły zabójcze stale na Szecebiewiszczy wojskowej. Ataman zawołał: — Panowie Bracia! do czajek! — i w mig w każdą czajkę piętnaście mołojców wsiadło. Przy bokach wiszą krzywe atagany, za pasy wetknięto noże obosieczne i siekiery z szerokim ostrzem — kosy osadzone na prawiec³⁰ i długie rusznice pokotem złożyli przy masztach. — Ataman krzyknął: — Hulaj wiara kozacza! — Sparli się mołojce na wiosła i pchnęli, a czajki odbiły od brzegu i ku południowi się zwróciły.

Przodem wymknęły się dzieci Zaporozża; za niemi w ślad ciągną Teterowczyki. Środkiem płyną Dniestrowscy, Bohscy i Połtawscy Kozacy, w końcu Skałozub sto lotnych czajek prowadzi. — Atamańska czajka płasa i zawodzi po przeźroczu. Szacha piersi zadęły i wyciągają w niebiosa dumkę wojenną. Kozacze czajki prują siny Dniepr — mołojce wtórem brzmią pieśni Atamana i tak nad porohy przyplnęli. Szach zawołał: W dół maszty! gęsiego! — liny pisnęły, maszty w znak się powaliły, a sznurem czajka po czajce nikięła między skały porohów. — Woda syczy i warczy — Kozakowi w ucho kładzie — krwi! zdobyczy! — jak czuła matka, w dół zanurzy, w górę wyrzuci, popieści, pocałunkiem odwilży i pchnie czajkę na gładkie przeźrocze. Dziewięć porohów Kozacy przebyli: z ostatnim pożegnanie było najczulsze, namiętne, bo czajki aż w powietrze wyskoczyły, po ramiona mołojców nurka dały. Wyhulknawszy trzykroć, furknęły wirem, nim stanęły na gładkim korycie bystrej rzeki.

Tu Ataman wstrzymał czajki. Z jego rozkazu sześćdziesięciu mołojców na brzeg skoczyło; siekiery zaklekotały, drzewo zaskrzypiało, zatrzeszczało i sześć dębów³¹ rozsochatych powaliło się na ziemię, z gałęziami, z korą, z liściem; małojce pchnęli je w rzekę — czajki szeregami po sześć się ustawiły. Ataman świsnął, wiosła plusnęły i czarna długa ława z pędem rzeki sunęła się, goniąc przed sobą dębowe drzewa: za niemi głucho płyną czajki. Ogluchli, oniemieli Kozacy. — Do koła długa, szeroka cisza — czasami tylko ryba zmaćci wodę, nadbrzeżny ptak sitowiem potrąci, gwiazdy patrzą ciekawie, wytrzeszczają oczy; dziwne widowisko! syn stepu, brat konia³² leci swatać się z morzem. — Mijają ostrowy, suną się między wysokie oczerety. — Nareszcie jutrznia białą szatą wionęła, trwożliwy świt przerzucił się po obłokach.

Na rzece coś ogromnego zaczerniało. To wyspa Wielki ług zwana!³³ Jej powierzchnię łoza i wierzbina nieprzybytą puszcza pokryła; do brzegów bez liku nakleiło się splawów zarosłych wysokim oczeretem, a woda jak kret po sianożęci poryła między niemi tysiączne kanały. Trzykroć Ataman gwizdnął — czajki lotem błyskawicy rozsypały się do koła wyspy, wsunęły się między sitowia i oczerety splawów — i przepadły.

Słońce krwawo zeszło — czerwone promienie na świat śmignęły, wiatr począł dać od północy, czarne chmury gromadzić się od moskiewszczyzny. Orzą się wały Dniepru w głębokie bruzdy, a na powierzchni ani słyhu, ani wieści o Kozaku i o czajce. Dzikiem polem sady na bachmacie tatar Budziacki: darmo oko natęża po wielkiej rzece — nie widzi tylko wodę i oczerety — darmo ucha nadstawia, tylko wiatr szumi i Dniepr szumi. Postął, pokręcił się po brzegu; jak przyleciał tak poleciał czwałem z doniesieniem do Seraskiera że chwała Bogu, chwała Prorokowi, wszystko spokojnie, nie ma nic nowego od Kozaczyzny.

W południe niebo buremi chmury się zasklepiło, słońce potonęło w głębi mglistych warstw, wiatr ustał, deszcz jak z cebra lunął i leje bez przestanku aż do wieczora. Już zciemniało. — Tatar skrył się pod namiot, a wilk wywłócił się z burzanu na łowy. W okolo Wielkiego-ługa coś z cicha świsnęło, jak echo setny świst po splawach się odezwał; drugi raz gwizdanie mocniejsze dało się słyszeć, i jak tysiączne tabuny gęsi zapluskalo po wodzie. Przy świetle błyskawic szykowały się szeregami czajki kozackie; ani jednej nie brakło, ani jedna nie zmyliła swego miejsca. Ataman trzeci raz świsnął, wałka czajek popłynęła, pędząc przed sobą rozsochate dęby. Rzeką wezbrała i potokiem toczy ku morzu. Szparko, chyżo, leć ojczy Dnieprze! twoje dzieci siedzą ci na grzbiecie: tyś je wykarmił, tyś wypielęgnował, wzrośli ci na pociechę mołojce,

sprawże im pohulankę — a deszcz kapie i płucze Kozaka zwyczajnie jak na biesiadę.

Minęli ujście Końskiej, minęli ujście Ingulca, coraz silniej prąd czajki taszczy. Mołojce wlepili oczy ku południowi. Tam na jednej linii, odległe od siebie dwa światelka błyszczą — to latarnie Oczakowa i Kizikermena.³¹ Wnuki Mahometa, władcy Stambułu dumni z potęgi, napuszeni imieniem Proroka — po obu brzegach ujścia Dniepru dwie fortece wystawili, przeciągnęli koryto rzeki poszustynym łańcuchem, a do końców armaty samopalne przytwierdzili, aby zagrozić drogę napadom kozackim, zabezpieczyć się od ich broni. Mołojce się śmieją i drwią z tej obojczy, jak bąk z pajęczyny — bo czyż jest na świecie zapora siły i męztwu kozackiemu? Już się na sto sążni zbliżyli. Ataman świsnął — przedni szereg z całej siły pchnął dębowe drzewa: sześć kroć razy pękły żelazne ogniwa łańcuchów³² dwanaście razy armaty wypaliły, kule kłapnęły w wodę i zaszybiały — a lotne czajki jedne po drugich wyskakiwały kupami na Morze-Czarne. Mołojce po falach wiosłami pluskali i wykrzykiwali: — Niech żyje Ataman! na Carogród! na Carogród! — Tak wrzeszczą, tak się trzępią morskie wrony, kiedy po długiej wędrowce zobaczą limany i obszar wody nieścigniętej okiem.

W fortcach zgiełk i zamieszanie. Straże ogniska rozpalili i do broni się wzięli — wypadł Pasza Oczakowa z Jańczarami — wypadł z Arabami Aga Kizikermenu i obadwa ku rzece skoczyli. Setne pochodnie błyszczą, Dniepr płynie jak dawniej, szparko, czysto, tylko łańcuchy porwane i drzewa dębowe uwieźły na brzegach. Stary Pasza machnął ręką, kiwnął głową: — znam czyje to sprawki — rzekł, i wszyscy wrócili do twierdzy.

IV.

Od Oczakowa leci Tatar, ze szkapę duch wypiera — na werstwę od brzegu kupami płyną lotne czajki, przewracają się morskie wały, jak kipiączka; wiosła taktem chlupią, biała piana tumanem bryzga. Dopadł Tatar Biełgoroda; Arab wskoczył na rumaka, wzniosł się na strzemiona, krzyknął: — Allah! Resiullałach!³⁶ — i susami sarny poskakał ku Prutowi. Kozackie czajki maszty wzniosły, żagle na wiatr puściły i jak wartkie strzały mkną przezroczem — powietrze świszczę. — Czarne morze z radości podskakuje — a Mołojce krzyczą: — Sława Bohu! Sława Kozaczyźnie! Sława Atamanowi! — Minęli już ujście Sławiańskiego Dunaju, daleko w tyle rzucili Killi zielem obrośnięte wały. W prawo majaczy ciemny łańcuch Bałkanu — w lewo wały morskie i piana — a w przodzie Carogród.

Był piątek — słońce złotem świeciło, tysiączne minarety złotem błyszcząły; miasto siedmiu wzgórków i tłem i szatą złotą się oblekło. Kozacy wzrok utkwili, oczu oderwać nie mogą, gęby rozdziawili i krzyczą: — Carogród! Carogród! — Ataman krzyknął: — Żywo zagrać wiosłami. — Tysiąc ośmset wiosel jak jedno, silnie w wodę kopnęły raz, drugi trzeci. Czajki skokiem przesadziły prąd morza, i do brzegu przyparły. Ataman zawołał: — Na ląd dziesięciu Mołojców z każdej czajki, pięciu w kosy, pięciu w rusznice zbrojnych! — Za ledwie skończył, już trzydzięści czworogranów na brzegu stoi. Każdego czworogranu przód szyje rusznice nadstawił ku Pera; tył jak dzik szczecinę, zjeżył kosy w górę. Pozostali przy czajkach w mig szerokim rowem okopali część brzegu, i wał wysypali. Ataman mieczem wywinął w górę, Buńczuczny buńczukiem, Chorąży chorągiew rozpuścił, kocioł zabrzęczał, i Kozactwo ruszyło ku przedmieściu.

W dwiestu i czterdziestu meczetach Muezyni i Muftowie cicho brzmiają pieśń z piersi leją na cześć Najwyższego — na cześć Proroka. Derwisze chylą czoła ku ziemi, ustami kamień cisną — a tłum rozmaitego ludu, rozmaitych pokoleń, wzywa Boga, wzywa Mahometa. Turczyn woła: Allah! Allah! Natolczyk Tanri, a mieszkaniec Arabii Hakk.³⁷ W Meczecie świętej Sofii, gdzie niegdyś Patriarcha Konstantynopola, głowa kościoła Greckiego hymnem witał Boga Chrześcijan, dziś Ulema wielbi Proroka Medyńskiego; Sułtan Amurat, Wielki Wezyr, Kizlar-Aga,³⁸ rada Dywanu i Dwornia Sułtańska korzą myśl i wnoszą modły. Rzezańce, Jańczary, Spahowie po meczetach. W mieście cicho, na ulicach głucho. Głowy Muzulmanów po Dzennecie³⁹ wędrują, ani chwili nie pomarzą co co się dzieje na tej tu ziemi. W tem nagle palnęły moździerzce po narożnych basztach, gęstym ogniem rusznice poczęły pukać. Kilku Spahów na ulice wpadło roztrącając końmi ciężbę ludu — wrzeszczeli: — Szajtany w Pera⁴⁰ — Amurat krzywą szablą błysnął i woła: — W imię proroka do broni! do broni! — Jańczarowie na Eskirsaraj⁴¹ po broń pobiegli, Spahowie konie na przedmieściu Eliub siodłają;⁴² z arsenału ciągną armaty w bramę Orta-Kapuzu⁴³ — a miasto pobożne, nieme jak grób Mekański, brzęczy żelazem, brzmi wściekłemi okrzyki wojny. Wynieśli z Haremu Sandziak,⁴⁴ Jańczarowie koło niego się gromadzą. Na przedmieściu Eliub świeci złocisty półksiężyc nad buńczukiem Mahometa, Spahowie na ognistych rumakach do niego się kupią. Wezyr, Paszowie, Agowie, Seraskiery na spienionych dżametach przebiegają szeregi. Sułtan przypasał miecz proroka, utkwił za pas kindżał Alego, dosiadł śnieżnego konia strojnego w tyftyki, drogie kamienie i złoto; stanął przed rotą Jańczarów — i wojsko całe, jak wody pysznej i szerokiej rzeki polało się porządkiem ku przedmieściu Pera.

Kozacy snadno opanowali przedmieścia Pera i Kassym Pasza. Tysiąc Arnautów będących na straży, słaby opór stawili, nie wstrzymali natarcia, i pierzchnęli ku Galata; ⁴⁵ Kozacy za niemi ciągle ołowiem z rusznic plwali — i w ten czas to moździerze na basztach wypaliły, i kilku jeźdźców Albańskich ku Serajowi skoczyło. Nalewajko osadza domy na wnijsściach Pera. Czorba wzmacnia Kassym Pasza. Głębocki rozwodzi od pól pomiędzy mury i ogrody strzelców Teterowskich. Butowicz z swoimi, łupi, rabuje domy, i zdobycze ciągnie ku czajkom, a Ataman na czele sotni Sokoła i trzech Zaporozża, ściga Arnautów, i ku Galata śpieszy; tam arsenał morski, tam pałac Kapudańa Paszy. ⁴⁶ Śpiesznie Arnauci uciekali znacząc ślady trupami; śpieszniej Kozacy gonili; już z rusznic ognia nie dawali, tylko kosami siekli. Ataman, jak bąk między wrogami skacze, tnie mieczem, nogami konających dławi — nowe zastępy wychodziły z bram arsenału, zetknęły się z pierzchającym żołdactwem; chwilę stanęły — na setne części się porwały i wstecz pierzchnęły. Próżno Aga straży chce bramy pozamykać, tłum ludzi opiera się wrzeciędzom — jak chrósty zerwanej grobli walą się Arnauci, jak kra puszczającej rzeki prą za niemi Kozacy, i razem wpadli na dziedziniec arsenału. Ataman woła: — żywo do roboty! — i na zachętę pomiótł mieczem w prawo, w lewo, i zleciały dwa lby muzułmańskie. Mołojce szparko pracują — słońce na cal się nie posunęło, a już Arnauci w pień wycięci. Archipelagsey majtkowie na ziemię padli i o życie błagali.

Godło chorągwi kozackiej powiewa na najwyższej baszcie arsenału, a walowe armaty ciągną jeńce ku Pera; puszarze Greccy idą pod strażą Zaporozkich sotni. Sokół został z trzema sotniami na gospodarstwie w arsenałe. — Ataman z resztą wrócił do Nalewajki.

Wyrychtowano dwadzieścia armat na bramę Babihumajum, a przed niemi okop wysypano. Ataman na Arabskim ogierze, jak błyskawica obiegł stanowiska. Wszystko na swoich miejscach porządnie. Butowicz pracuje czynnie. Haremy Turków, bazy Ormianów i Greków, lochy Żydów żegnają się na zawsze z bogactwami — a żony, odaliski i niewolnice Muzułmanów, jak ptaki po długim wwięzieniu puszczone na wolność i słońca się boją, i wiatru się boją; radeby strzepnąć skrzydełkiem i pohulać: a strach pióra klei i na uwięzi trzyma; drzwi haremów na rozcież rozemknięte, furtki ogrodów powybijane, a niewiasty kryją się w zakątki i nie śmieją przestąpić progu więzień. Z ukradka tylko rzucają ogniem oka na Mołojców — a Mołojce ani patrzą na nie — wprzód powinność, potem rozrywki — mówią tylko do siebie: jak naściągamy łupów dostatków, to się potem porachujem z temi łasiczkami.

Zbrojnie i groźnie stoją Kozacy na przedmieściach Pera,

Kassym-Pasza, Galata. Ottomanie suną się po wszystkich ulicach Seraju. Spahowie i Albańska jazda wypadli z Eiub i hufcami pół-kole w prawo kreślą. Ataman przy armatach stanął i wzrok zagwoździł w Babihumajum. Puskarze Grecy lonty zapalone trzymają, a Mołojce Zaporoża nad ich głowami wzniezione kosy. Nie łukiem bramy upstrzonej, ani figlasami ciężkiej architektury bawi się oko Szacha, innych on tam sztukatorów śledzi. Zaledwie podwoje się rozwarły, i turbany Jańczarów jak kolory tęczy, pstrym światłem w oku łamać się poczęły, Ataman krzyknął: — Ognia! — armaty huknęły, kule popuły powietrzem, brama zatrzęsa się, a wniósł się stosem trupów się zawałiło. Odciągają Jańczary poległych i rannych braci, aby drogę oczyścić. Wezyr każe z dział palić, lecą kule Muzułmańskie szczyrbia domy przedmieścia, i w podskokach tańczą po ulicach — na nowo Jańczary się szykują do wychodu, na nowo dwadzieścia armat huknęło i tamą osadziło popęd wojska Tureckiego. Jazda od pół leci, ogony buńczuków powietrze zamiatają, krzywe miecze nad turbanami błyszczą, a kindżały w ustach sterczą. Opium gra w głowach jeźdźców, a pod nimi grają konie kopytem, czwają i wrzeszczą; już przedmieść dopadali, nigdzie Szajtanów nie widzą. Głębocki wpuścił między ogrody i mury harcowników ottomańskich, a kiedy już dobrze się zagonili w ciasne przejścia, natenczas na znak puknął z rusznicy, i wnet jak w fajerwerku iskry buraka, setne rusznice bezprzerwanym ogniem pukać poczęły. Zmięszali się jeźdźce — jedni krzyczą Allach! i na mur się drapią, drudzy Aman! i na ziemię padają. Walą się konie, mieszą kopytami ciała ludzkie, pękają popręgi, łamią się miecze, a reszta jazdy w pole ucieka. Uciekła jazda, a kupy na wpół żyjące jeszcze się przewracają: tu czerwony kaftan Spaha, tam biały turban Albańczyka, tu jeździec wydobywa się z pod zabitego konia, tam koń chce zerwać cngiel zaklęty w rękę martwego jeźdźcy.

Kopę razy Jańczarowie chcieli wyjść z Babihumajum, kopę razy kule kozackich harmat sparły ich nazad. Dziesięciu Agów i dwóch Paszów z życiem się rozbratało w bramie, pod Wezyrem trzy konie ubito. Na darmo w gruzy trzydzieści domów działa Muzułmańskie obróciły, nadaremnie kilka dziesiątków Kozaków powaliły. Ataman woła: — Do wieczora stać! jeszcze chwil kilka a zwycięstwo i łupy przy nas! — Mołojcom i tego nie potrzeba oni i dnie i noc walczyć gotowi. Co im po życiu bez sławy? śmierci się nie boją, bo ciągle jej w oczy zacierają. — Wezyr wścieka się ze złości, każe iść naprzód zgubnym dzieciom. Kihaja bej staje przed Serdenesztych orszakiem; ⁴⁷ czarne ich kaftany a czerwone jak krew zawoje, atagany jak srebro białe i polerowne, a długie strzelby błękitnym szmelcem błyszczą. Pośrodku pływa Sandziak Sułtański — idzie cicho i ponuro hufiec śmierci, wszedł do bramy; armaty kozackie hu-

knęły, zwały się przednie szeregi a następne jak po drabinie po nich wlażyły; drugi raz kule zagwizdały, kupa trupów jak na drożdżach urosła — ale już zgubne dzieci przed bramą się szykują. Drżą puskarze greccy, a Ataman serca nie traci; spojrzal na podłych niewolników i zaśmiał się z litości — spojrzal na pogodne i wesołe mołojców twarze i iskrą radości oko błysnęło, zsiadł z konia i zawołał na pięć sotni Zaporozców: — Za mną! — w kosy mołojce zadzwonili, naprzód skoczyli za Atamanem.

Na moście szerokiej fosy opasującej w koło seraju miasto, spotkały się dwa hufce. Serdeneszci rzucili o ziemię strzelby i attagany w dłonie porwali. Kozacy kosami po zawojach śmignęli; trząśł się most a trupy Muzułmańskie i Kozackie jak ziarno z pod cepa na obie strony w kanał padały i pomost załegły. — Jańczarowie tłumami biegli wspierać Serdeniesztych. Mołojce Czorby i Butowicza skoczyli na pomoc dzieciom Zaporozą; aż do wieczora krwawa walka trwała. Ataman rąbie mieczem i krzyczy — kol, siecz wroga! — Kichaja bej wywija attaganem i woła — Allah Szatan! Dżaur! ⁴⁸ W tym Konaszewicz rozpięra żalazem ścisnięte rotę, webrnął we środek i ciął ostrzem drzewce na którym pływał Sandziak. Drzewo zdruzgotało się a sztandar padł na ziemię. — Muzułmanie boleśnie zawrzęszczeni Aman! ⁴⁹ i ku Serajowi uciekać poczęli. Część wpadła w bramę i Babihumajum podwoje zawarły się; część wzdłuż murów uciekała, a Kozacy gonili i trupem kładli. Jazda ujrzała ten popłoch i pierzchnęła sobie ku Eliub.

W Seraju trwoga. Zbiera się rada dywanu. — Kizlar-Aga żony i odaliski Sułtańskie zamyka w lektyki, skarby pakują na wozy, a brama Top-Kapuzi ⁵⁰ gdzie zginął ostatni z Paleologów, którądy Turcy po raz pierwszy weszli do grodu Konstantyna, otwarła się teraz na przewożyny Muzułmańskie na tamtą stronę Bosforu. — Szach już nie o łupach, ale o Carogrodzie marzy, kazał armatami bić bramę, Kozactwu do szturmowania się gotować. Jęczy brama, kule w mur grzęzną a mołojce w sotnie zbierają się do szturmowania, wiążą drabiny i na faszyny rąbią latorośle winne z ogrodów haremowych. — W tem powiała biała chorągiew na bramie, ogień ustał, podwoje się otworzyły, nieliczny poczet Turków zmierza ku Galata.

Ataman siedział na gruzach rozwalonego domu, a wokoło niego Starszyzna wojskowa. — Kiaja bej, ten sam co dowodził serdeniesztych hufcem, z hardem czołem, z dunnym okiem stanął przed Atamanem. Szach poprawił czapkę, i spytał.

— Muzułmaninie, czego żądasz! —

Starszyzna wesa pokręciła. Nie zmieszał się Muzułmanin głośnym głosem Atamana, ani głośnymi słowy Starszyny.

— Kozaku, Pan mój, potomek Mahomeda, Władca ziemi i morza, Sultan Europy Azji i Afryki — gniewem się przejął

na twoje zuchwalstwo i żąda abyś natychmiast ustąpił z jego granic; a że umie cenić waleczność w swoim wrogu, bo sam waleczny — pozwala ci zabrać co masz, nawet może co jeszcze z swej hojności dodać. — Mów czego chcesz. —

Palce Szacha już szukały szabli — bo jeszcze był pijany bitwą — bluźnił, złorzeczył — groził zniesieniem państwa a w końcu obrócił się do Sahajdaczego: — Mów ty hramotny. —

Na rozkaz Atamana powstał Piotr Konaszewicz Sahajdaczny.⁵¹

— Tatarzy poddani twojego wielkiego monarchy, jak my jesteśmy poddanymi Króla i Rzeczypospolitej Polski. — Żebyś widział siola popalone, plony żniw naszych stratowane, lud nasz gnany w jasyr przez hordy Tatarskie — to by ci się serce krajało, choć to lud Chrześcijański a tyś Muzułmanin. — Darmo Król i Rzeczpospolita słała do wysokiej Porty o sprawiedliwość, żadnego hamulca; żadnej tamy z waszej strony — musieliśmy wyruszyć w pole aby oddać wet za wet. — Król i Rzeczpospolita i haracz i dary dawali Tatarom — i my ich chcemy — nie dacie będzie wojna — zginiemy ale drogo opłacim nasze życie. — Dacie, pójdziemy ztąd jakeśmy przyszli. Żądamy: — złota czystego dwa kosze, srebra pięć — pięć tysięcy szabel damasceńskich, tyleż janczarek gwintowanych, attaganów ośm tysięcy, adamaszków i kitajek czerwonych cztery wozy dobrze ładowane, ośm wozów kobierców Perskich, dwa szalów kaszemirskich, pięć tysięcy pasów Bagdadzkich, tyleż kozuchów Ashakarskich. — Trzysta ogierów Arabskich — to dla kozactwa. — Dla Atamana, rumak biały z Sultańskiej stajni — i dziewica Gruzianka Chrześcianka, i puhar złoty, kamieniami natykany do wina. — Oprócz tego trzydzieści bajdaków do przewozu. Do Paszy Oczakowa i do Hana Perekopu niechaj poszły rozkazy aby nas szanowano jako sprzymierzeńców wysokiej Porty. Ataman chce mieć odpowiedź przed zachodem słońca. — Kończył; zżymnął się Szach.

— A pohulanka, Panie Bisurmanie! Za dzisiejszą noc wszystkie Armianki i Greczynki Peru i Galata, dla nas — a jutro albo je sobie zabierzecie, albo oddacie Armianom i Grekom, jak będzie wola. —

Kiaja uśmiechnął się ale poważnie: — Przełożę Panu memu twoje żądanie; miłosierdzie jego wielkie. Na czas oznaczony będziesz miał słowo albo kule w odpowiedzi. — I wrócił do seraju. — Ataman się uśmiecha, Kozacy siłą się strawą, albo na nocną pohulanekę, albo na krwawy bój.

Jeszcze słońce było na dobrą stopę od morza, kiedy wrócił Kiaja Bej. Zsiadł z konia, do swego boku rękę przyłożył.

— Atamanie kozaczy, Pan mój pokochał ciebie! będziesz miał czego tylko żądasz. Teraz przystąpmy do zawarcia sojuszu, oto

jest Hatyszeryf ⁵² Sultański i pokazał pargamin. — Postawiono mięg z wodą na ziemi — zwyczajem Tatarskim Ataman i Kiaja bej, dobyli mieczów i końcami włożyli w wodę. ⁵³ Kiaja Bej — zaczął: — Z woli mego Pana, władcy najpotężniejszego świata, złożę w ręce Atamana: — i tu zaczął wyliczać żądane rzeczy. — Sultana Pan mój chce zgody z Kozakami, zakaże Tatarom zaganiać się na Ukrainę. —

Ataman z kolei mówił:

W imię Boga Chrześcian, na mękę Chrystusa i czystość Matki Dziewicy, przysięgam że opuszczę po przyjacielsku kraj turecki i odtąd z Sultaniem i z jego mnogimi poddanymi Kozacy zostawać będą w najlepszej zgodzie — a Bóg daj żeby ta zgoda przemieniła się w wieczne przymierze, żeby Kozacy i Tatary chodzili razem w obronie Króla i Rzeczypospolitej — Sultana i Jego Cesarstwa, przeciw złym sąsiadom — bo z niemi to nie o lupy, nie o swawolę chodzi, ale o naszą skórę. —

Kiaja kiwnął głową na znak zadowolenienia.

— Oby tak było. —

Wyjęli miecze z wody, nie ocierając schowali w pochwy, przyłożyli ręce do lewych boków, do serca na znak dobrej zgody. — A Ataman rzekł.

— Teraz Panie Kiajo Beju, przyjm odemnie ten miecz jasny: bogdaj tak ci dobrze służył przeciwko Niemcom, jak mnie przeciwko wam. — Odpasał swoją szablę i oddał Muzułmaninowi. Kiaja odpowiedział: — Dziękuję ci Atamanie; dar od walecznego jest zawsze drogim, wzajem odemnie przyjm tego czarnego rumaka, prawdziwy Neżda, ⁵⁴ niechaj ciebie niesie przeciwko złym duszom, a nigdy przeciwko przyjaznym dzieciom proka. —

Czarnego rumaka z przyborem oddano w ręce Mołojców, a Kiaja dalej mówił. — Sultana Pan mój chciałby uczcić podarkiem męstwo zuchwałego, co przebił szeregi Serdeniesztych i ciął święte drzewce Sandziaka. — Mów waleczny mołojcze czego żadasz: złota czy stali, rumaka czy dziewicy? — Kona-szewicz wystąpił naprzód i odpowiedział: — Muzułmanie, dla ciebie święty grób proroka, święte jego imię, i dla mnie święty Bóg Człowiek, Jezus Nazarański — mam stal, nie chcę złota. — Po Ukraińskich stepach pasą się dzielne konie i w Ukraińskich siołach dostatkiem czarnobrewych gładkiego lica dziewic. Jeżeli Sultana chce mi zrobić podarunek godny mnie, godny siebie — niechaj da wizerunek Chrystusa ukrzyżowanego, przed którym niegdyś w kościele świętej Zofii korzyli czoła Chrześcianie, a który dziś leży w skarbach władcy Wysokiej Porty. ⁵⁵ — Kiaja pożegnał Atamana, pożegnał mołojców i udał się ku Serajowi: Ataman zawołał: — Bracia! u Turczyzna nieskazitelna wiara, zdrady w sercu nie chowa jak Niemiec, możemy bezpiecznie hulać — dzisiejsza noc wasza! Panowie mo-

łojce! jutro o świcie wszyscy na swoich miejscach — rzekł Ataman a Kozacy sygnęli się po ulicach krzyząc: — Niech żyje ojciec Ataman! cześć, sława i pohulanka Kozaczy-znie! —

V.

Noc — w domach miasta tysiące światel błyszczą. — W alabastrowych urnach płoną arabskie wonie — w alabastrowych wazach pienią się i burzą sorbety. Armianie sypią jażminu i róży kwiaty po kobiercach. Szezdary ⁵⁶ brzmią dźwięcznymi tony; w ogrodzie setne słowiki pieją. Dziewice toczą skoczne płasy, jak śnieg białe szaty za każdym skokiem łamią się w kształtne zgięcia — a lekkie nogi muskają i pieszczą barwę dywanów. Armianka czarnem okiem świeci, Gruzjanka licem anioła, Mongolka koralowemi ustami i białością zębów wabi, Greczynka ulotną kibicią. Włoszka jak lawą ogniem z twarzy tryska, a dumna Łaszka choć niewolnica haracz hołdu od Pana odbiera. — Ataman siadł na miękkim wezglowiu, wziął się w boki i patrzy, patrzy — oko targa się na wszystkie strony, krew kipi po żyłach, nogi drgają we wstawach. Siedział, ale nie mógł dosiedzieć; zrzucił swiętę, odpasał attagan i skoczył na środek, tupnął tropaka i pierwszą jaka mu się nawinęła dziewczica porwał do tańca, toż drugiej i trzeciej i wszystkim rzędem się dostało. — W prysudy przysiada, hopki wycina; jak djabeł pjany hula Ataman; jak pijacy zdjableni hulają Kozacy po haremach bisurmańskich.

Na pól pogasły światła, umilkły shezdary, mężczyźni jak w ziemię zapadli: ani tańców, ani śpiewów po komnatach, tylko ciche szeptania, tylko głuche szmery rozlegały się w powietrzu cichej nocy — a słowiki bożkiem pieniem im wtórowały.

Już świta — Kozacy oczów nie przecierali, bo je im sen nie mroził. Strzepnęli się — słowo pożegnania dali i wyszli; nie jednemu serce pęka, a chęci nazad nęca. — Ale cóż robić kiedy taka doła Kozaka, że nigdzie nie zagrzeje mieszkania?

I po komnatach trochę płaczu; dobrze mówi kozacze przysłowie: nie tak straszny djabeł jak go malują. Drżały niewiasty przed kozacką twarzą, a teraz łzami je rosą: bo miłszy w Kozaku wesóły biesiadnik — jak w Turczynie dumny i samowładny Pan.

Mołojce się szykują w sotnie; przyskakał Ataman na czarnym Neździe, Asawuła i Buńczuczny za nim przyskakali. Ataman zdjął czapkę i zawołał: — Zdrowi Mołojce! — Kozacy w górę czapki rzucili i krzyknęli: — Zdrowie ojcu Atama-

nowi! — Szacha twarz wesoła i harda; pod nim Neźda, na zadzie przysiadła, ogonem się przykrywa, grzbietem potrząsa, czwaniąc ⁶⁷ się takim jeźdzcem. — Mołojce lica wyjaśnili, czoła dumnie wzniesli, a kosy i rusznice groźnie zadrgały w powietrzu.

Z Babihumajum ciągną wozy; z Gierszu ⁶⁸ płynie trzydzieści bajdaków. — Powitali się Kiaja-bej i Ataman i jechali ku brzegowi. Przodem orszaku wiodą białego rumaka Suftana, strojnego w złoto, kamienie i tyftyki. Za nim ośmiu czarnych rzezańców niosą zakrytą lektykę — dalej ciągnie łańcuch wozów, w każdym po sześć mułów; w końcu sześciuset Arabów prowadzi trzysta ogierów arabskich. Stały wozy, wyprzęgli muły; duchem Kozacy dwa korce złota, pięć srebra odmierzili, na dobrą wiarę, szable, janczarki, attagany zrzucili. Z czterech wozów adamaszki i kitajki, z ośmiu kobierce perskie, z dwóch szale kaszemirskie na ziemię zwalili, pasy bagdadzkie i kożuchy odliczyli. Poczem Kiaja oddał Atamanowi w jaszczerównym pokrowcu puchar złoty z szafirem bassorskim wytłakany — a Konaszewiczowi obwinęty w płutnie obraz ukrzyżowanego Chrystusa. Kozacy żywo ładowali haracz na bajdaki. Ataman rzekł Konaszewiczowi: — Panie Assawulo Zaporozu! Waszeć najmłodszy wiekiem z całej starszyny wojskowej, ale za to i najwstrzemięźliwszy; z trzystu mołojcami siądiesz na ogiery arabskie i łodem pociągniesz na Ukrainę — ale wara od bojek i grabieży w drodze. — — Dobrze Ojcie Atamanie — odpowiedział Konaszewicz — wola twoja będzie wykonana, a czyja ręka sięgnie po zdobycz, tego głowa spadnie pod moim mieczem. — Kiaja wręczył szeryf bezpiecznego przejścia Assawule Zaporozkiemu, mówiąc: — Ten wybór wielce Panu memu się podoba. — Stu mołojców wykopali dół głęboki i wrzucili w nie ciała ośmdziesięciu sześciu Kozaków wczoraj poległych, zasypali ziemią, i wysoką mogiłę wzniesli; przeżegnali stokroć razy, zaśpiewali pieśń pogrzebową i wrócili do czajek.

Wszystko gotowe — wyszła z lektyki dziewczica, smukła, kształtna, składy ciała rokosznie oko wabią, nogi ledwie ziemi tykają. — Ataman mówiąc: — Kozaczka nie powinna być zakrytą — odrzucił zasłonę, otworzył głowę i wrzasnął: a! a! — Oko ciemne, jak woda dżamentu błyszczy, włos jasny spada po plecach białych jak śnieg dziewiczy, lica ze wstydu szkarłatem splonęły i stokroć piękniejszą ją zrobiły, choć piękniejszej ziemianki od niej znaleźć niepodobna. Atamańska godność powstrzymała Szacha od pocałunku, zagryzł usta, językiem mlasnął — jeszcze raz pożegnał Kiaję-beja po bratersku i zawołał — do czajek! do łodzi! Panowie mołojce! —

Brzegiem z Konaszewiczem poskakali w płasach mołojce na arabskich ogierach. Morzem płyną czajki: na każdej dziesięciu mołojców siedzi; płyną bajdaki, na każdym dwudziestu Kozaków wiosłuje. Na atamańskiej czajce, malinowa chorągiew z wiatrem igra, a w czajce szorstka dłoń Atamana gładkie liczko Gruzjanki pieści. Na przednim bajdaku biały rumak Sultański i czarny Neźda rżą i kopytem pokład grzebią. — Przypłynęli do ujścia ojca Dniepru: Turki Oczakowa na murach i przed murami spojierali spokojnie i nie nie rzekli. — Ciężko płyną pod wodę korytem rzeki, wiosła bezustannie pracują; naprzemian Dniepr szumi, naprzemian mołojce grzmią pieśnią. Tatarzy po stepach się wałęsają, ciekawie patrzą na powrót Kozaczy, a strzały cisnąc nie śmieją. Piętnaście dni żegluga trwała, szesnastego przed pierwszy poroh przybyli; bajdaki do lądu przybiły, i na ściągnięte wozy z okolicznych futorów złożono zdobycze i powieziono brzegiem Dniepru. Czajki porohy przebyły i zatrzymały się koło Choroty. Trzy dni hulał Ataman w Siczy zaporozkiej,⁵⁹ trzy dni hulało Kozactwo — czwartego przybył Konaszewicz z ogierami. Zasiadł Ataman, zasiadła starszyzna i do podziału zdobyczy przystąpili. Każdy mołojec dostał kozuch astrachaiński, pas bagdadzki, szablę damasceńską, attagan i jańczarkę; sześć łokci koronnych kitajki czerwonej, i cztery adamaszku, kobierzec perski, i susłyk srebra.⁶⁰ Panowie Pulkowodce, Atamany kurenne i starszyzna wojskowa, po dwa ogiery arabskie w dodatku. Sotnicy po jednym ogierze, a dziesiętnicy po dwa susłyki srebra. Ataman sześć ogierów, dwanaście kobierców, sto łokci kitajki a piędziesiąt adamaszku i sześć susłyków złota, resztę zdobyczy złożono w skarbcu Szczebiewiszczy wojskowej. Ze srebra ulano dzwon do cerkwi Siczy,⁶¹ połowę złota rozdano po cerkwiach, połowę zachowano na kosztą wojenne; resztę ogierów puszczone między stada kozacze. Konaszewicz złożył w cerkwi obraz ukrzyżowanego Chrystusa, a Pop błogosławił go mówiąc: — Oby jego imię i sława tak szeroko jaśniała po Kozaczyźnie, jak wiara Chrystusa po wszem świecie. —

Szach wrócił do Trechtymirowa. Depce nogą kobierce, perskie, adamaszkowe makaty ściany zdobią, złotą kopułą cerkiew w okno zagląda. Rusadan piękna Gruzjanka łąsi się i tuli do Atamana — i pieje jak kochanek róży,⁶² płasza jak huryska, i dźwięczy na szezdarze jak wędrowny gęślarz. Często złoty puchar moczy usta Atamana, ale nie słodkim sorbetem tylko szumiącym się miodem, tylko perlącą się wódką. — Dziarskie rumaki rżą w stajni Atamańskiej — po stepach Szach hasa na białym sultanie, na czarnym Neździe, charty jęgo i bircze i lotne; pierwsze do zająca, pierwsze do wilka.

Czasami po dawnemu zahula — nie mu nie brakuje, na wszystkim dostatek, i w domu i za domem. — Ledwie trzy miesiące spokojnie siedzi a już się zamyśla i nudzi. — Piękna Gruzjanka słodko pyta: — Drogi! czego ci nie dostaje? — Ataman powiedział — Bachmatów Tatarskich, chartów Wołoskich. — Oj nie chartów, nie Bachmatów, ty pragniesz Atamanie, tylko sławy wojennej. — Kto raz trunku zasmakował z jej kielicha, trzeba aby ciągle się nim napawał, inaczej umarłby z nudy i tęsknoty.

SKAŁOZUB W ZAMKU SIEDMIU WIEŻ.

I.

Cisza była, wiatr drzemał, morze wygładziło się jak powierzchnia szkła; po sklepieniu niebios miliony gwiazd potwierały źrenice. lyskają, świecą i drgają różnofarbnem złotem i srebrem, jak zalotnice mizdrzą się i przezierają w zwierciadlanem przeźroczu wody. W powietrzu rozlega się jakieś nadludzkie, dziwne brzmienie, głuche dla ucha, ale głośnie dla duszy; jak w wyobraźni utworzone echo śpiewu Anioła. Fizyk rzeknie: To sprężystość, drganie powietrza naniesione ciężkością ciał spadających ku środkowi i tym podobne przyczyny. Ale człowiek, którego umysł nie zgiął się pod formułkami dotykalności, dalej myślą sięga; w naturze, twórczą siłę Bóstwa widzi; dla niego ta czarodziejska harmonja z ust Bóstwa płynie; mogłażby inaczej lać w duszę tę roskosz słodką, lubą, uroczą, nieskalaną wybuchami namiętności? — Jak wkopany, stoi okręt na czarnem morzu; ledwie się swym ciężarem kołysze jak w kolebce już drzemiące dziecko. Śpią żagle rozpięte, a liny i maszty dziwnej łamaniny cień odbiły na wodzie. Na pokładzie uczta. Osman Aga w nadzwyczajnej hojności kazał rozdać między Jańczarów i Majnotów podwójny dział ryżu, daktyłów i baraniny, po cztery czaszki mokańskiej kawy. Osman Aga syn Kapudana Paszy, dzikszy i ponurszy jak ojciec, przewany od Muzułmanów Kapłanem, ¹ przed okiem którego kłęką kolana stu pięciudziesiąt Majnotów, a dreszcz przebiega po krwi pięciudziesiąt Jańczarów, składających osadę okrętu, dziś się wyjaśnił, rozochocił, bo obiecał być przytomnym końcowi uczty, a co więcej, przyprowadzić z sobą Zopirę, piękną Greczynkę, niewolnicę, odaliskę, żonę dzikiego Agi.

Zasiedli kupami majtkowie i wojownicy, jedzą pilaf ² i daktyle. Muzułmanie niemi, w myślach się plątają: Może Osman zamierza pokarać Dżaurów jakiej okolicy za nierzetelny

wypłat daniny, z połowę psów niewiernych w pień wyciąć, a domy popalić i porabować; biesiadą chce zagrzać męztwo swych żołnierzy. Grecy z cicha mówią: Może Bóg wszechmocny się zlitował. Zopira chrześcianka, Majnotka, miłuje wiarę, Ojczyznę — Aga młody i dumny władzą, kocha dziewczę; często Najwyższy dla pokazania swej wielkości obiera głowę niewiasty do wykonania dzieła niepodobnego dla bohatera; długo też wyznawcy Chrystusa czołgają się przed dziećmi piekielnego proroka, czasby też aby krzyż zaćmił półksiężyc. Jedni myślą, drudzy szepcą: ciało się karni, ale dusza daleka od wesela. Jest to biesiada gdzie po jednej stronie psy, po drugiej koty jedzą; zgrzytają na siebie zębami, okiem niechęci ciskają; w głowie bójkę marzą, a strach harapu pańskiego utrzymuje pozorną zgodę.

Wszedł Osman. — Muzułmanie powstali, schylili głowy i przyłożyli prawą rękę do lewego boku. Majnoci klękli i czołami uderzyli o pomost. Aga skinął ręką z niechęcia i wszyscy zasiedli na nowo do biesiady — i sam zasiadł na kobiercu rozesłanym przez dwóch czarnych niewolników — nogi zgiął i skrzyżował pod siebie; długi cybuch wziął w usta, a obok niego postawiono czarę z porcelany japońskiej, z której się wydzielala subtelna woń mokańskiego trunku. Osman w kwiecie wieku: oko czarne, ogniste, i wąs czarny jak smoła odcienia się na śniadej twarzy, a żyły tak się wydeły, iż prawie widać krew w nich grającą. Wzrost zamożny w okazałość i siłę; na nim kaftan czerwony jak krew zarżniętego barana, podbity gronostajami; z za kaszmirskiego pasa głowy dwóch pistoletów i rękojeść kindżału wyglądały; przy boku w złocistych pochwach wisi krzywy attagan; skronie ściska zielony zawój,³ a na nim chwije się strusie pióro przymocowane spinką djamentową, znak wysokiego rodu. Z tyłu za dwoma niewolnikami stał nikezemny Szifat⁴ w sukniach Izraela; drzał jak liść osiki, a zpodelba rzucał wzrokiem chytrym i przenikliwym, jak lis wykradający się z oczeretu przed psami.

Już biesiada się skończyła, tylko kawę popijają. Osman skinął na jednego z niewolników, i ten jak błyskawica po schodach w dół się spuścił.

Niebawem ukazała się dziewczica — szata biata sphywała do kostek i śniegiem pruszającym szeleściła w powietrzu. Nogi małe i kształtne obcisłały błękitne ciżmy, u góry srebrna taśma przewijana czarnem jak wąż około się wila: początek przy zgięciu nogi, a końca próżno oko chce dojrzeć, nie wolno. Greczynka błękitna, srebrnym galonem obrzucona, z przodu rozwarta, na klębach wpijała się w smukłą i przeciętą kibić — ilużby to ludzi bogate skarby, długie lata oddało, aby chwilę przeżyć na jej miejscu! — Krucze włosy, jak jedwab miękkie, jak jesienna pajęczyna na polach lśniące, przezierały z pomiędzy

błękitnego, srebrem przetykanego zawoju — a twarz gęstą zasłoną przykryta, zapora ciekawemu oku, podnieta marzącej wyobraźni. Aga rozkazał ręką i Zopira lekko jak kwiat spadający z wierzby, usiadła koło niego.

Osman zawołał: — Śpiewajcie Dżaury! — I w mig Majnoci w czerwonych zawojach na głowie, w białych szarawarach rzędem stanęli; i zaczęli hymn na cześć Twórey, bo oni myślą że Aga czeka tylko chwili do nawrócenia się na wiarę syna Bożego; ale zaledwo Imię Chrystusa i Marji Panny zadźwięczało, Osman brew namarszczył i ogniem gniewu z oka strzelił. Usta przymarzły chrześcianom, głos ze strachu w piersiach zaparł się. Aga skinął aby inną pieśń zaczęli. — Oni sądząc że Turczynowi zawczasie jeszcze lać w ucho pienia wiary, zagrzmieli pieśnią wojenną; słuchał Osman póki pieśń małowala pola Maratonu i ciasne wąwozy Termopilów, i nieustraszone męztwo Milejadesa i poświęcenie się bohatyrskie Króla Sparty; ale kiedy wspomnieli: Święta Wolności! Aga porwał za pistolet, odwiódł, przycisnął — proch kuknął, kula świstnęła i jeden z Majnotów padł trupem. Zopira boleśnie krzyknęła i omdlała. Chrześcianie padli na kolana i ręce w górę wzniesli. — Janczarowie mieczów dobyli i krzyknęli śmierć Dżaurom. — Osman z drugiego pistoletu wypalił, i Janczar naczelny zwałił się krwią zlany, a Jańczarowie na znak prośby o przebaczenie, miecze schowali w pochwy i głowy schylili ku ziemi. Aga niemo rozkazał trupy strącić w wodę, a ciała Jańczara i Majnoty pluśnęły w morze i popłynęły razem jak hracia służyć za pastwę żarłocznym rybom — z życiem skonała nienawiść wiary ku wierze. Pomost z krwi obmyto, sam Osman otrzeźwił lubą dziewicę; i wszystko było cicho, spokojnie jak przedtem; a ktoby widział z daleka co się stało przysiąglby że to było w śnie! Nie na jawie.

Zopira piała o Peryjaeh, Edenie, siódmem niebie, proroku i o miłości — a palce jej przebiegały po strunach lutni. Jak huryska czarowała i głosem i postawą: Aga słuchał, i lekki dym puszczał z cybucha; czolo się rozjaśniło — jeszcze po dwie czaszki kawy kazał rozdać między majtków i żołnierzy, ale już teraz Jańczarowie z hojności nie wnioskują mordu Dżaurów — ani Majnoci nie widzą w Zopirze genjuszu opiekuńczego Grecyi, a w Osmanie narzędzia jej władzy cudownej. — Wstał Aga i odszedł z Topirą, dwaj niewolnicy i żyd na jego znak za nim się udali. Zaledwo wszedł Aga do swej izby i usiadł, wskazał ręką niewolnikom aby wyszli, a potem tak rzekł do Zopiry: — Chrześcjancko! Cokolwiek tu usłyszysz powinno przepaść w twej pamięci tak głęboko, jak w studni Alkahiru; za jedno słówko wypuszczone z twych ust, żelazo zapozna twą piękną głowę ze śmiercią. — Majnotka schyliła głowę na znak ślepego posłuszeństwa, a Aga tak mówił do żyda: — Psie! powtórz coś

widział, ale ile razy sklamiesz, tyle razy twoje ciało przewiercone będzie palem. — Żyd drżał, oczy jak obłąkane biegały, a kolana ku ziemi się gięły: — Klę się na Cherym, na Jehowę, na Messjasza, na dzień sądny że świętą prawdę mówię. Między Synopą a Trebizondą widziałem sto czajek szajtanów, byłem między nimi, wziąłem złoto i zaprzysiągłem służyć im za szpiega; po jutrzejszej nocy mają podplłynąć pod mury Seraju, i już nie przedmieścia ale same miasto spalić i zrabować. Dowodzi niemi nie ten młody, którego Pan świata Sultan Amurat udarował podarkami, ale ten stary co przy czajkach na brzegu siedział. —

— Jesteś że pewnym zapytał Osman, że w dzień kryją się po brzegach a w nocy tylko zamysłają żeglować? — ⁶ — Synu Wielkiego Kapłana! Ozdobo rycerstwa Muzułmańskiego! Tak tego jestem pewnym jak że dziś dzień Sabatu. — Teraz idź precz psie niewierny, czeka cię złoto za prawdę a żelazo za fałsz. — Wysunął się żyd z izby, Aga sam z kochanką został, odkrył zasłonę — jak jutrzeńka błysnęło lice Zopiry, rumieniec pociągnął się po mlecznym lieu, oczy żarem węgla rozpalonego świeciły, a brew kolorem pnia okopconego ogniem malowała się nad oknem. — Aga zawołał: — Na twoje oczy przysięgam piękna hurysko że żaden z Szajtanów śmierci nie ujdzie — trzydzieści okrętów Muzułmańskich już odcina drogę ucieczki. — Krwią zapłacą pohulanek w Galata, w seraju mego ojca — i całował i pieścił piękną Greczynkę. Miłością oddychali — miłość ich życiem się stała. — Na pokładzie Chrześciance i Mahometanie bezsennie i cicho siedzą; smutnie wleką wzrok po wodzie, bo dwa trupy jeszcze nietknięte leżą na powierzchni i nikczemność ludziom wyrzucają, że jeden człowiek silnej woli włada niemi jak stadem bydła — a oni ręce i miecze mają — ale im braknie woli i jedności.

II.

Pogasy gwiazdy. Zorza poranna srebrem błyszczy; wzdłuż brzegu Natolskiego szarzeje kupa ciemnych plam po wodzie. To czajki Kozacze! Tylko co przybyły, bo jeszcze woda chlupie po bokach łodzi — piana grubemi szmatami na ląd wyskakuje. Mołojce klną ciszę morską, pociąganiem się rozprostowują znużone członki, aż koście w stawach klaszczą; potem zgiąwszy się we dwoje pod ławą do spoczynku się zabierają. Śpią bezpiecznie, bo od brzegu daleko, aby jeźdce lub piesi mogli wskoczyć na czajki; a na mieliznę Turecka szalupa nie potrafi przywiosłować; luk zaś prochu i świst kuli snadno obudzi Kozaka. Tymczasem na Atamańskiej czajce zebrała się starszyzna wojskowa, i zasiadła w około. ⁶ Jeszcze ciemno

ledwie twarze majaczeją. Ataman Skałozub tak przemówił. — Panowie bracia! Dotąd wszystko pomyślnie idzie. Ocza-kowski Basza zalenil się przeciągnąć łańcuchy a nasze czajki tak cicho przemknęły, że i pies nawet na nie nie zaszczekał; ósmy dzień jak wilamy się po brzegach Azyi a jeszcze oko ludzkie nas nie dojrzało. Żyd szpieg przysięgł na talmud że Istambuł bez żadnej obrony, że już tam zapomnieli o Kozakach. — Jutrzejszej nocy im się przypomniemy; wpadniemy do Seraju, umoczymy ręce w skarbcu Sultana; chwilę popracujemy ogniem i mieczem, a potem siądziemy na czajki i lotem sirego orła polecimy za porohy! — Po nim odezwał się Zaporozec Solop: — Ja tam dalej nie widzę jak to co jest na końcu mej rusznicy, albo pod ostrzem szabli, jednak mi się zdaje że pewniej byłoby zrabować Trebizondę i Synopę jak gonić na stolicę Ottomańską. — Ataman odpowiedział: — Kto nic nie waży, ten nic nie ma. Tatar się cieszy prostym rabunkiem, Kozakowi trzeba świat zdumieć, a gdyby drabina była do nieba, a schody do piekła, to jeszczeby i tam poszedł hulać. — Dobrze Ojce Atamanie. Niech żyje ojciec Ataman! — krzyknęli wszyscy, a Solop ściał zęby i zawstydził się rumieńcem aż po uszy: poczem Głębocki Teterowczyk głos zabrał: — Ojce Atamanie! Gdzie powiedziesz to pójdziemy, choćby na bójkę z samym watażką djabłów; ala żyda wiara, psia wiara, za pieniądze służyć będzie Jezusowi i Antychrystowi, za pieniądze przeda jednego i drugiego. Nie można polegać na jego słowie — dobrze to mówią: jak złapiesz Żyda i Jezuitę to zabij, i jeszcze trupa powieś. — Skałozub tak odpowiedział: — Dałem złoto, obiecałem złota, a za złoto Żyd wszystko zrobi; a potem gdyby i zdradził czyż nie ma u Kozaka szabli, aby rozplątał siła jakie nam nadstawi; dzień przestojemy a w nocy zobaczymy zapaloną latarnię Seraju. — Święta wola Ojca Atamana! — odpowiedzieli wszyscy i rozeszli się po swoich czajkach na spoczynek.

Już dobrze dzień poczęło: niebo było chmurne; zachodni wiatr począł powiewać, wzruszyła się powierzchnia wody, podnosi się, wzdyma, pęka w tysiącnych miejscach, i wały poczęły skakać na czajki Kozackie. Mołojce, ci co już byli obudzeni, bluźnili wiatrowi, bo trzeba będzie pod wodę robić wiosłami; ci co spali ani się przecknęli, bo dla nich pieszczoty wałów morskich były pocałunkiem matki dawane śpiącemu dziecięciu. W tem jeden z Kozaków uirzał jakąś plamkę ślaniającą się po morzu, duchem skoczył z czajki na czajkę i zbudził Ojca Atamana. Ataman przetarł oczy, włożył czapkę z czaplin piórem na głowę i wyteżył wzrok we wskazane miejsce. — Skałozub choć już szósty krzyżyk dorachowywał, przy włosie siwym jak dziki gołąb, wzrok miał sokoli; trzydzieści wypraw odprawił na morzu, i tak dobrze się z nim znał

jak z jadem i napojem. Popatrzył i zawołał: — To okręt Bisurmański! Mołojce do wiosel! — Z czajek do czajek głos podano, a czego szum wiatru i bryzgi wałów morskich nie dokazały, to zrobiło jedno słowo Atamana. Mołojce zbudzili się, powstali, strzepnęli się i porwali za wiosła.

Plamka jak na drożdżach rosła i zbliżała się ku Kozakom, już się rysują maszty i liny i czerwona flaga Muzułmańska. Ataman krzyknął: — W lewo i w prawo ku brzegowi!⁸ — Czajki na dwie kupy się rozdarły, dym na okręcie zakurzył się, silny grom z dział huknął, a woda w miejscu gdzie stały czajki zawrzała i wysoką lawą trysnęła w górę. Czajki podskakiwały jak w płasach po przeźroczu, a mołojce noże i atagany postrzali na bruskach. Huknął drugi grom, trzeci, czwarty i ciągiem jedne po drugich się sypały. — Ataman krzyknął: — Nasz okręt! Nieuk nim dowodzi; spuścić maszty, w wianek mołojce — maszty spadły; z jednej i z drugiej strony wysunęły czajki na głębinę i szerokim wiankiem okręt opasały. Grzmia armaty bisurmańskie, już i z jańczarek pała, a kule ryją się w wodę przed czajkami; tylko bąble wzburzonego morza do nich dolatują. Mołojce jakby drażnili się — kiedy nie kiedy gwizdzą kulka z rusznicy. Ustał ogień armatni, tylko jańczarki pukają. Ataman krzyknął: — Do szturm! Na okręt! Już tam prochu braknie. — Buńczuczny na znak wywinął trzy razy w powietrzu buńczukiem; mołojce silnie zagrali wiosłami, dwóch w każdej czajce podniosło żelazne laki, osadzone na grubych drzewcach, i wszystkie czajki pędem strzały puściły się ku okrętowi. — Czterdzieści armat ryknęło na okręcie. Dziesięć czajek przewróciło się, a mołojce jedni bez życia płyną z wałami, drudzy rękoma i nogami pracują aby dopaść okrętu lub czajki; ale już osmdziesiąt haków zaczepiło o pomost — okręt dąsa się i skacze a czajki trzymają się jak pokurcie skóry osadzonego dzika. — Ataman woła: — Do szturm! Bij, siecz! — Mołojce wrzeszczą Sława Bohu! I skaczą na pokład. — Osman Aga krzyczy: — Śmierć Szajtanom! — Jańczary: Allah! Allah! Odpowiedzieli i mieczami przystępu bronią Kozakom. Ręce, głowy odlatują. Krew bryzga, ranni jęczą, walczący przeraźliwie wrzeszczą. Wściekle się bronią Muzułmanie, wściekle nacierają Kozacy. Ataman woła: Za mną! I szeroko mieczem zamiata. — Aga krzyczy — na proka zaklinam się, ten zginie z mej ręki kto ustąpi! — I skrwa-wionym ataganem w prawo i w lewo macha. — Mołojce całemi piersiami wrzasnęli — Sława Bohu! — I przeparli opór. Majnoci błagali o życie: — My jednego z wami wyznajemy Boga! — Ale Kozaka ucho zagłuchło, prósb nie słyszy a ręka pcha nożem, tnie mieczem — przprzedzili się Jańczarowie walczący około Agi, kiedy wypadła dziewica z rozczochranym włosom, z sztyletem w ręku i stanęła obok Osmana. Na chwilę z zadu-

mienia zatrzymali się mołojce. Muzułmanie naprzód postąpili, i bój zażarty na nowo się zaczął. Zopira trwożliwość swej pći przezwyciężyła, swego Boga zapomniała, bo kocha Osmana — a miłość namiętna silniejsza nad wiarę, nad trwogę — walczy sztyletem, obok kochanka pierś swą nadstawia, a Aga mieczem od niej odgania cięcie. Cały orszak Muzułmański wybity, tylko oni dwoje stoją na brzegu pokładu, odgradzeni od wrogów stosem trupów. — Osman uściskał, ucałował dziewczynę, tak silnie jakby duszę chciał w nią zionąć. Porwał za włosy i świślał mieczem — krew trysnęła a głowa uśmiechająca się miłością w jego rękę została — zakręcił nią w okolo i wrzucił w morze, mówiąc: — Oprócz mnie żadnego mężczyzny usta nie tknęły jej ust za życia, nie tkną i po śmierci — potem jak wściekły rzucił się między Kozaków. — Pierwszy Ataman w łeb go płałnął szablą, potoczył się Aga bluźniąc: — Przepadniecie przekłete Szajtany, pies psów zdradził. — Jeszcze bełkotał niezrozumiałe słowa, charkotał krwią, ale wnet kozackie miecze w kawalki go porąbały. — Zrzuciono trupy w wodę, mołojce wzięli się do rabunku. Nie było tam ani sztab srebra i złota, ani bogatych jedwabów sztukami, tylko miecze i ubiory muzulmańskie. Z izby Agi wyciągnięto dwóch czarnych niewolników i drżącego ze strachu żyda. Niewolników jako djabłów wnet rzucono w morze, a żyda stawiono przed Atamanem. Skalozub poznał zapłaconego szpiega i zawołał: — Psia wiaro, co ty tu robisz? — a Żyd widząc że jeszcze mu głowy nie ścięto, jakając się tak mówił: — Wielki, Możny, Największy Monarcho! Panie Attamanie, jam umyślnie ten okręt podprowadził, na łup dzieciom pana Atamana, Panom Mołojcom — na Talmud, na Surę, na bachury się zaklinam, że prawdę mówię. — W tem wrzasnęli Kozacy: — Zdrada! zdrada! Ojcie Attamanie! Oto widzisz, jak okręty tureckie nas wokolo opasują! — Attaman zawołał: — Na czajki, mołojce — a Głębockiemu polecił żyda ukarać i wzięty okręt zapalić. Sy-pali się Mołojce do czajek; Głębocki rozkazał maszt środkowy zrąbać i pal ostro zaciesać. Żyd płakał i trząsał się, i za ręce chwycił, za nogi się czepił, wrzeszczał: — Ja niewinny! Ja niewinny! Zmiłujcie Monarchowie! — — Nic nie pomogło, jak pieczenią na rożen, wetknięto żyda na pal, wtłoczono z góry, poczem Kozacy pozostali okręt podpaliłi ze wszech stron, i siedli na czajki łączyć się z ojcem Atamanem. Płonął okręt i cały w ogniu pływał po morzu; żyd w cierpieniach na wodzie, wrzeszczał wody, otwierał usta a płomień go smałił, i tak konał i dręczył się, póki boki popalone nie rozerwały się i nie zgruchotały całą budowę okrętu.

Czajki kozackie zebrały się w kupę: gdzie okiem Ataman rzucił, wszędzie Tureckie okręty; już nie o Stambule myśli, ale jak wywinąć się z przekłętego położenia. Każę ku brze-

gowi wiosłować, ale wnet niezliczone szalupy oderwały się od okrętu i z rozpiętym żaglem płynęły w tęż stronę — a brzeg okrył się Jańczarami, Spachami i arnatami Ottomańskimi. Czajki znowu wróciły na głębinę. Ataman pomyślał chwilę — potem wskazał Głębockiemu największy przestwór między dwoma okrętami i rzekł:

— Panie Pułkowodco, popłyniesz tędy ze wszystkimi czajkami w ten czas, kiedy ja z częścią wdam się w bitwę z szalupami będącemi przy brzegu; przy ujściu Dniepru połączymy się z sobą jeżeli Bóg pozwoli. — Głębocki i Kozacy krzyknęli: — Nie, ojcze Atamanie! Zginie z tobą wszyscy, a nie odłączymy się? — Tu Ataman zawołał groźnie: — Taka moja wola! Śmiercią ukaranem będzie każde nieposłuszeństwo! Śmiercią karany każdy, ktoby śmiał się wrócić lub wdać się w bój! — Smutnie poglądali mołojce. Ataman wybrał dziesięć czajek i z niemi popłynął ku brzegowi; reszta stała w miejscu. Kozacy ci co z Atamanem płynęli byli weseli, czoła ich pogodne.

Cicho czajki płyną, szalupy ku nim się obróciły, a za ledwie na tysiąc kroków się zbliżyły z arnat i jańczarek z brzegu i szalup do nich wypalono. Zmieszaly się czajki, ale wnet silnym wiosłem się pchnęły, i wpadły między szalupy, hakami się za nie zaczepiły, a mołojce rzucając czajki i wiosła, z chłodnym orężem skoczyli na pokłady Bisurmańskie. Rzeź okropna się zaczęła, padają Muzułmanie, padają Kozacy, szable świszczą, attagany w ciele grzęzną. Ataman zagrzewa i walczy, czapka mu zleciała, głowa siedem razy cięta. Kiedy huknęły w dali okrętowe armaty, Ataman wznosił się na palce, spojrział, zawołał: — Nasi ocaleni! Teraz sam djabeł ich nie dogoni, bracia! Drogo trzeba sprzedać życie — i szablą zaczął słać trupem Muzułmanów; i Kozacy obok niego hulają, z szalupy na szalupę skaczą, ale i Turey dzielnie walczą; stokroć silniejszą liczbą ze wszech stron na nich wpadają. Ataman dostał pchnięcie w piersi i zwałił się na pomost — ledwie kilku Kozaków przy życiu zostało i to silnie rannych, jeszcze się bronią, ale narazcie ulegli. Bój ustał, Muzułmanie pokrepowali ręce i nogi, sznurami i łańcuchami, na pół umarłego Atamana i siedmiu Mołojców — i powieźli na okręt Kapudana Paszy. Kapłan przysięga na Ałlach, na Machometa pomścić śmierć syna i zniewagę, której trzyletni czas nie zatarł z pamięci; swą własną ręką by się pastwił nad jeńcami, ale próżność potrzebuje wystawy, a dzika zemsta gotuje im jeszcze sroższe katusze. Ataman ledwie oczy rozemknąć może, nie słyży błuznierstw, zemsty się nie boi, a myśl ma wesołą, bo trzy części Mołojców ocalił. Poleciał piorunem statek z wieścią ku Istambułowi, z wieścią jaka od urodzenia Mahometa się nie zdarzyła: Wódz Szajtanów i siedmiu jego wojowników w nie-

woli; przed zachodem słońca obaczy ich Sultan, obaczą wieni wyznawcy Proroka.

III.

Na drugim dziedzińcu Seraju,⁹ w pysznej budowie zebrała się rada Dywanu. Siedzą do koła na kobiercach z nogami podgiętymi urzędnicy wysokiej Porty — w środku Sultan Amurat na wzniesionym tronie; po prawicy wielki Ulema, po lewicy wielki Wezyr, a przed nim stoi wysłannik Kapudana Paszy. Przed drzwiami i na dziedzińcu, płotami rozciągnęli się zbrojni Jańczarowie i Rzezańce. Wysłannik opowiada spalenie okrętu, Osmana Agi bitwę i tak kończy: — Wnuku Proroka, Padyszachu świata! Przed twem imieniem wszystko korzy się, przed twą potęgą wszystko upada; rzekłbyś słowo, słońce by się zatrzymało, morze by wyschło aż do dna. Kapłan Pasza twój sługa, poddany wierny, niewolnik, w twoje imię i imię Mahometa podniósł miecz, pogroził, a Szajtani niezliczeni jak piasek na morzu, przepadli, zaginęli. Przed zachodem słońca, wyniosłe oko twoje ujrzy w kajdanach siedmiu tych dzikich Dżaurów i ósmego ich wodza, srogięgo jak hyena, chytrego jak żmija, a strasznego jak sam Iblis.¹⁰ — Cicho było, ani jedno słowo nie wyniknęło się z ust rady, bo czyż może niewolnik mówić bez zezwolenia Pana? — Amurat tak się odezwał:¹¹ — Wierny wyznawco Proroka! Za pomyślną wieść dostaniesz co zechcesz, albo bachmata Tatarskiego, albo dziewicę Chrześcijankę; Kapłan odbierze złota i niewolników tyle, że zapomni śmierci syna. Ty Wezyrze, Namiestniku mej władzy, rozkaż noc całą być pod bronią Spahom, Jańczarom i Albańczykom. W zamku siedmiu wież zamknąć Iblisa i jego dzieci — cztery tysiące Jańczarów, dwa Spahów i tysiąc czółen na wodach Marmora, niech go strzegą, jak oka w głowie; ho z Szajtanami trudna rada, gotowi wykraść Wodza, zniszczyć ogniem i mieczem stolicę świata. Ty Kizlar-Aga równo ze świtem, udasz się do więzienia, i powiedz Wodzowi Szajtanów: Że w wielkiej naszej łasce, życiem go darujemy, obsypimy dostojnościami i bogactwami, ludowi Dniepru wszystkie przywileje zachowamy, damy sto razy jeszcze więcej, jeżeli przyrzecze ze swoimi przyjaciami wiarę Poroka i zastawiać piersiami Wysoką Portę przeciw Rusymenzom i Fodul-Dżaurom. Jeżeli dar odrzuci, niech ich poduszają ze wschodem słońca; a pościnane głowy wystawić na widok ludowi w bramie Babihumajum. — Skończył Sultan — żaden z jego przodków tak długo nie mówił — wstał — wszyscy padli na ziemię przed nim. Odszedł Amurat, rozeszła się rada Dywanu.

Noc — jak sadza czarne niobiosa; ani światelka na nich

nie widać, ale za to tysiąc kagańców po morzu Marmora i po powietrzu, a ludzie do duchów podobni, po ziemi i po morzu się snują. Dwoisty świat zetknął się z sobą, bezcielne widma, wspomnieniami karmią swoje duchy, przelatują te miejsca, gdzie niegdyś miłością, sławą, dostatkami albo nędzą i nieszczęściem żyły, a wszystko miło co przeszło; poglądną na ludzi jak na swe dzieci, bo w nich odbłask siebie widzą. Oko ziemskiej istoty nie przegląda w niewidzialnym świetle, a jednak człowiek drży jakąś nieznaną trwogą, jakimś niepojętem przeczuciem. — To febra! to walka cicha, ale potężna ducha z ciałem — to równoważenie sił zmysłowych z umysłowemi. Do ośmiu tysięcy muzułmanów na nogach — obudzeni, a jednak ciągle marzą o Iblisach, o mieszkańcach Dżehemenu.¹² Językiem przechwałki odwagi sypią, a myśli strach opanował — jeden silniejszy poświt w powietrzu prędzej by tę zgrają rozpędził jak wystrzał stu armat. — Straże się zmieniają, a jednak nikt nie śpi, czujnym okiem bezustannie wodzi, czujniej jeszcze myślą sen od siebie odgania. Stary zamek Bizantyńskich Cesarzów,¹³ na czarnem tle czarniejszą jeszcze farbą maluje siedem wież sterczących, i wali się olbrzymim cieniem w przeźrocze morza oświecone pochodniami — dym ze świateł i oddech z płuc ludzkich owiały mgłą omszone mury, a ludzie patrzali na to z dołu jakby na opar potu, zrodzony ciąglem pasowaniem się budowy z upłynionemi wiekami. W środkowej wieży błyszcza dwa światelka, jedno nad drugim — w wierzchniej izdebce Atamana, w spodniej siedmiu młojców zamknięto. Wiatr wyje w żelazne kraty, lampa przygasa i błyska — jej światło piękne i smutne jak konające oko młodej suchotnicy. Na słomie skrępowany łańcuchami leży Skałozub — powinność dopelniona, czyste sumienie wlały spokój w duszę, a trudy dziennej walki, snem członki zmorzyły i ulgę ranom przyniosły. We śnie słodkie marzenia myśl Atamana pieszcza — widzi rozległe stepy matki Ukrainy, i sine wody ojca Dniepru; po siolach wesole okrzyki i gromka muzyka; przy stołach biesiadują Lachy z Kozakami; tu się swata rażny młojec z kraśną Laszką — tam herbowy szlachcic prowadzi czarnobrewą Ukrainkę do ołtarza — popi greccy i księża katolicy jak bracia braciom ręce podają; w kościołach, w cerkwiach, na przemiany mszę prawią. — Metropolita Kijowski i Archirej z Kaniowa zasiadają krzesła senatorskie obok biskupów Lackich. — Król Zygmunt z Atamanem i panami hetmanami: Polskim i Litewskim o sprawie wojskowej radzą — a wszędzie wołają: Niech żyje Polska! — Słodko marzy Skałozub. Widzenie się zmieniło. — Na dziedzińcu Atamana wrony konik kopytem grzebie — sotnie Kozackie i roty Lachów przed wrotami stoją, na Tatara iść mają. — Ataman żegna czeladkę, szablę przywiązuje, burkę bierze — w tem na kamieniach zatętniały kopyta

koni jedzców Bisurmańskich, echo do wieży doleciało — Ataman ocknął się i krzyknął: — Panowie Mołojce na koń! — Chciał się porwać — łańcuchy brzęknęły — westchnął smutno i w myślach się zagrażył. Nie strach śmierci, ale niewola mu dolega — raduje się losem oswobodzonych braci, a zazdrości tym którzy polegli w boju — przeklina kule co go minęły — przeklina miecze co go z życiem nie rozbrały. I mołojce powiązani płaczą na swą dolę — mała rzecz zginąć w boju z uczciwością wojskową, ale służyć za pastwę Bisurmańskim znęcaniom się — to przykro.

Świt począł zaglądać przez kraty. Kozakowi smutno patrzyć z poddachu na poranek — on lubi hulać wzrokiem pod gołym niebem, jak hula ręką na polu bitwy. Zaskrzyphiały drzwi, i wszedł do więzienia Atamana Kizlar-Aga. Skałozub wyglądał czoło i du mnie patrzy na stojącego przed nim niewolnika. Turczyn nie mógł znieść blasku oka wolnego syna stepu — spuścił czoło na dół, i tak zaczął: — Padyszach wiernych Muzułmanów, władca świata od piaszczystego morza Sahary aż po śnieżne Kaukazu szczyty, pan mój i Sultana, mimo waszą złą wiarę, jak trzy lata temu tak i dzisiaj, łaską swoją życzy was udarować — na ciebie Atamanie szczodłą ręką rzuca życie, bogactwa i dostojenstwa, Kozakom wolność zachować zaprzysięga na chorągiew Proroka, byleście tylko przyjęli wiarę Mahometa, i przyobiecali zasłonić granice Porty od napadu Dżaurów. — Milczał Kizlar-Aga, a Skałozub chwycącym się, ale gromkim głosem tak odpowiedział: — Trzy lata temu myśmy Sultana i życiem i tronem udarowali; Ataman-Szach przyrzekł i dochował przysięgi — póki dzierżył buńczuk i buławę, póty Państwo Amurata kozaka nie widziało. Ja z Bisurmanami nie zawierałem przymierza, i zawierać nie myślę. Powiedz twemu Sultanowi że odrzucam jego dary, mojem imieniem i imieniem Kozaczyzny. Nie tak to droga głowa Atamana jak wam się zdaje. Każdy Kozak godzien być Atamanem — potrafi pomścić śmierć naszą, i z ziemią zrównać grody Ottomańskie. — Skończył, potrząsł głową Ataman. Kizlar-Aga tak się odezwał: — Chwila droga, namysł się Atamanie, zmień odpowiedź. — Skałozub z przymusem rzekł cierpko: — Co Kozak raz powie, to tego nie odwoła; odnieś odpowiedź twemu Panu, ja męczarni i śmierci czekam. — Aga klasnął w dłonie; czterech rzeźniców ze sznurem, weszło do izby; strwożyli się i zadrżeli na widok więźnia. Kizlar-Aga macnął rękojeść attagana. — Rzeźnice skoczyli na Szacha: sznur w około szyi zadzierżgnęli, na piersiach kolanami kłękli i zaczęli dławić. Atamana ręce i nogi okute, charkotał, piana z krwią na usta wystąpiła, oczy na łeb wylazły, zgrzytał zębami, żyły prężyć się i sinieć poczęły; dwa razy sznur zatrząsł się i dwa razy jak gruszki od wstrząśniętego drzewa odlecieli rzeźnice na izbę. Jak wilk na padło

cieplą krwią jeszcze dymiące, z taką zażartością wpadli Bisurnanie na wpółumarłego Kozaka — zmógł się Ataman — ci sznurem cisną i dławią, krtań pękła, żyły przysnęły i skonał. Kizlar-Aga dobył atagana i silnem ciężkiem odciał głowę trupa. Z spodniej izby siedem głów Mołojców wyniesiono, i z tryumfalnym orszakiem udano się pod bramę Babi-Saadeł, gdzie był harem, mieszkanie zwyczajne Sultana. Amurat wyszedł, spojrział — a choć dumny ze zwycięstwa, nie mógł odegnać smutku od siebie; znał dobrze męztwo ludu kozackiego, szczerze chciał go połączyć z Muzułmanami.

Słońce z za chmur błysnęło; jak w dzień świąteczny koło bramy Babihumajum gromadzą się tłumy Turków, Arabów, Ormianów, Greków, Żydów; różni językiem, różni strojem, różni kolorem; a przed bramą sterczy ośm palów, a na nich ośm głów kozackich, na głowach czarne czapki i kraśne kołpaki, a na atamańskiej czapce chwije się czaple pióro. — Ze drżeniem patrzy na nie srogi Jańczar, ze drżeniem, jak proch pyłki; Spaha drży przed niemi; ze drżeniem rzucają wzrok nieustraszony Albańczyk i Serdenieszty co tak oswojony ze śmiercią, jak pijak z wódką; bo wąsy zdają się mrugać, oczy lypać ku Ukrainie, a usta podziemnym głosem szemrać: Zemsta! zemsta! ¹⁴

ATTAMAN KUNICKI.

I.

Król Jan, mąż groźnej ręki, a niedoleżnej głowy, dzierzył berło polskie; ostrzem szablicy schylił karki bisurmańskie, skarcił zdrady Wołochów, powstrzymał zagony Tatarskie; a nie przedarł papieru Andruszowskiego, ¹ oddającego Carowi Moskwy, ² Ukrainę Zadnieprzańską z połową Kozactwa; tak to snadno przypiczcętował, jak gdyby się rzecz toczyła między szlachcicem a szlachcicem, o granice kilku morgów ziemi. Rozpasana swawola Panów uprzywilejowanych i duma kilku Atamanów, nie potrafiły dotąd rozerwać do szczętu pobratymstwa Kozaków z Polską; choć na chwilę się rozstrychnęło, zaraz Kozaczyzna powracała do Ojczyzny matki, jak córka nabechtana ładnem słowy zwodziciela, opuści dom rodzicielski, ale niebawem opamięta się, pozna błąd i wróci do serc zawsze dla siebie otwartych. Wszystko przebaczone, wszystko puszczone w otchłań niepamięci; dwa bratnie narody kupią się w jedno możne, wielkie ciało, i stawią groźne czoło wspólnym wrogom. Dziś Król Jan paktem na dwoje rozciął lud Kozacki; pomiatając nim jak bydłem; większą niechęć rzucił w serca, jak gdyby targnął się na swobodę, wiarę i tysiące głów pomiótl mieczem katowskim.

W Głuchowie jęczą dzwony, jak w dzień żałoby: pod Półtawą Worskła łzami wzbiera, w Baturynie stary zamek mchem żalu porasta; a od lewego brzegu Dniepru po Doniec i Niżowskie stepy, Kozacy ponapuszczali brwie na oczy. Wspomnienie o braci Lachach, boleśnie serce zakrwawia, a obrażona duma kagańcem kępuje pierwszy popęd szlachetnych uczuć, i do zemsty podusza.

Ojcowie powiadali: biada czeladce, gospodarstwu, gdzie niewiasta rej wodzi, a mąż tańczy jak mysz na łańcuszku; ale

stokroć razy większa biada Państwu, u którego steru Król ręką, a Królowa głową. Długo Polska popłacze nad tem panowaniem, na pozór złotem a wewnątrz szychowem.

Po prawej stronie rzeki głucho i ponuro: ani szumnych biesiad, ani wesółych pieśni; bo czyż może tam być wesele, gdzie żaloba rozstania obciąża serca ciężkim całunem? — Wierni Polsce, ale tęskni za bracią Zadnieprzańskimi, wyciągają ku nim ręce i powołują do siebie, do wspólnej matki.

Ataman Kunicki ściąga z leż pulki Regestrowe i kurenie Zaporozża pod Białocierkiew: a kiedy brzegi przezroczystej Rosi pokryły się kuszczami³ jańczarek, lasem spis i kos, tabunami koni i tłumami wojennego ludu, Ataman zwołał starszyznę, a wszedłszy w środek grona, zdjął czapkę, pokłonił się wszystkim do koła, i temi słowy zaczął: — Panowie Starszyzna, Panowie bracia! odebrałem pismo od Króla i Rzeczypospolitej; bez waszej rady, bez waszego zezwolenia nie mogę, ani chcę nic stanowić; przedsięwziąłem wam go przedstawić, a po przeczytaniu, naradzimy się jaką mamy dać odpowiedź, jakie kroki postanowić. Panie pisarzu, weź się Waszeć do czytania listu królewskiego. — Skończył Ataman i nakrył głowę; pisarz⁴ wyjął z zanadru list owinięty w kitajkę, rozłożył pargamin, odkrzyknął, splunął i zaczął czytać: — Mości Panie Atamanie Ukrainy! niebezpieczeństwo grożące Chrześcijaństwu, i nieszczęście jakiemu uległ nasz brat Cesarz Niemiecki, zgnębiony orężem Bissurmanów, zniewolili nas do zamierzenia wyprawy w celu położenia tamy potędze Carogrodzkiej. W imieniu przeto Rzeczypospolitej i mojem, wzywamy Waszmość Pana Atamana i Kozaczyznę do uczestniczenia z nami w tej przedsięwziętej wojnie. Wierność wasza, waleczność i gotowość wojsk Kozackich, jest nam dobrze znana. Spodziewamy się, że po odebraniu niniejszego pisma, Waszmość Panie Atamanie na czele całej piechoty, wyruszysz natychmiast na Multany, gdzie połączywszy się z Petryczejkiem, wiernym nam Hospodarem tej krainy, plądrować i nękać zaczniecie kraj podległy władztwu Sultana, oraz zagrodzicie drogę posiłkom ciągnącym do Niemiec. Jazdę zaś Kozacką oddawszy w dowództwo jednemu z pułkowodców, poszłecie na czerwoną Ruś dla połączenia się ze mną. Oddając zachowanie wasze opiece Boga, zostajemy zawsze wam przychylny Król i Pan — Jan III.⁵ — Długo było milczenie; języki nieruchome, ale myśli po głowach pracują, jak pszczoły w ulu, nikt ich dojrzec nie może, jak i co robią, dopiero kiedy robotę zobaczą, rzekną: musiały pracować. Iwan Pułkowodca Czerkaski, siedemdziesięcioletni starzec, pogląskał siwą brodę i powiedział: — Panowie bracia! Ojcie Atamanie! ucziwiej byłoby dla Rzeczypospolitej i dla Króla wojaka zmasać Andruszowską plamę, skupić rozproszone dzieci do ogniska matki Polski; bo już tam daremne rzeczy abyśmy

się swatali z Niemcami. Ale cóż robić kiedy taka wola Rzeczypospolitej, chodźmy na Bissurmanów; może zasługami wojskowemi zjednamy sobie serca braci Lachów, a po skończonej wyprawie zrobimy drugą na Białego cara. — Do smaku przypadła ta mowa, bo wszyscy jak na jedną nótę zadęli szerokiemi piersiami — zgoda! zgoda! — Teraz Panowie Starszyzna — rzekł Ataman, kogo przeznaczymy na dowódcę jazdy? — Tu znów jakby zmównie ozwali się: — Mohyłę pułkownicę Korsuńskiego pułku — on nieraz chlostał szabłą moskiewskie chłopcy, on najlepiej powiedzie konnicę, a walcząc obok Lachów nie powstydzi imienia Kozackiego. — Wszyscy wykrzykiwali, Mohyla kłaniał się dokoła Starszyźnie; ⁶ skończyła się rada krótka, ale skuteczna. Ataman wydał rozkazy do pochodu; starszyzna się rozeszła. Ataman wsiadł na koń i pojechał ku Białejcerkwi.

II.

W Konele pod dębowym gaikiem, stał dwór drewniany, czysto wybielony, dach pokryty kalennicą; ⁷ w około szopy i chlewy, z tyłu stodoła, tok i obora — a wszystko opasane chruszczanym płotem, okopane szerokim rowem. — Słońce zachodząc, rzucało jasne ale smutne promienie, zwyczajne promienie pożegnania; tak smutnie i czule błyszczy oko kochanki, kiedy lubemu mówi dobranoc, do jutra: bo te jutro strasznie dalekie dla serca. — Bydło pobrykując z pola powraca, boki rozdęte strawą ledwie skóry nie rozsadzają, a wymiona krów mlekiem kapią; barany ciągną po ziemi tłuste ogony, strojne w chwast i bodiaki; tabun kłaczy stepem bieży, a przed niemi źrebięta na krzyże zarzuciwszy ogony, w czwał harce zawodzą, jak szwadron bojowy. Skrzypią pługi, derkoczą brony, poganiacze w batogi klaszczą, a parobcy dumki nucą. Na przyzbie przed domem siedzi czarnooka niewiasta; choć dobrze już stąpiła krokiem w lato wieku, jednak tak hoża jak jagoda dośpiała a nie przejrzała; kibić smukta, usta świeże, zdrowe, choć wody się z nich napić. — Obok niej stał siedmioletni chłopiec: oczko ciemno-siwe, figlarne; włos jasny, kiedy się zetknął z promieniem słońca, jasność się odbiła w powietrzu, i jak koronę anioła nad głową dziecięcy wymalowała. Ani chwili nie pozostał na miejscu; to z przyzby na ziemię, to z ziemi na ścianę, jak wiewiórka się uwijał. Matki okiem pociecha tryska, chłopczyk przybieży, nadstawi buziaka, złowi całusa i dalej skacze. — Wtem nagle mały Sawka stanął, wznosił się na palce, wyprężył i krzyknął: — Mamo! Mamo! nie widzisz ty jak tato sady cisawym konikiem ku wrotom? — Spojrzała niewiasta, poznała i pobiegła ku wrotom. Ataman zsiadł

z konia, rzucił cugle na siodło, uściśnął żonę; ona wzajem do niego się tuli i tak rzekła: — Witaj drogi mężu, Sawka pierwszy cię dopatrzył; długo przecie z nami zostaniesz? — Maly chłopczyk wyskoczył na plecy ojca i wplątał palce w krucze włosy. — Oj niedługo Handzio! niedługo synu ja z wami zabawię: jak się macie? bywajcie zdrowi! taka dola Kozaka. Wola Króla i Rzeczypospolitej każe nam iść na Bisurmanów; prosty kozak nie może się z pod niej wylamać a cóż dopiero Ataman? Żono otrzyj łzę z oka, synu nie krzyw czoła. — Jeżeli Bóg da, wrócę do was zdrów, cały; jeżeli mię losy z mogiłą poswatają, pamiętaj żono, tyś matką tego dziecięcia, niechaj z niego będzie kozak i to gracki kozak. Teraz bądźcie zdrowi! dłużej z wami zostać serce by mi rozmokło, a Atamanowi nie do twarzy płakać. — Uściśkał żonę, uściśkał syna, a choć polyka żal, łza wisi na rzesach: siadł na konia a cisawy poawałował z kąd przybiegł. Matka we łzach tonie, Sawka szlochła i ciśnie się do twarzy Handzi, a ta czułość zobopólna gwałtowniej żal wzdyma ale ulgę niesie sercu.

III.

Weszły na Budziak tabory ⁸ Kozackie; pusto, głucho przed niemi i za niemi — w około step i obłoki. Nie widać tam twarzy ludzkiej, ani głosu ludzkiego nie słyhać; tylko siry wilk daleko w rozdole zawyje, kruk pławiąc nad głowami przeraźliwie zakracze, położ ślizką piersią zaszeleści po trawie, lotny sumak ⁹ spłoszony z nienacka potrąci, ¹⁰ a dropie pojedynczo porozrzucane po wzgórzach, jak stróże obozowi pilnują bezpieczeństwa towarzyszy pasących się w dolinie. Ludzie gdzie się podzieli? — Wojownicy z Hanem powlekli się pod Wiedeń; starce, dzieci i niewiasty na Perekop uciekli.

Przeszli Budziak Kozacy i zostawili go takim jakim zastali, pustym głuchym, martwym. Przed nimi się rozściela piękna, bogata kraina; miasta bieleją, wioski wiankami porozrzucane między wzgórki; winnice złotemi i rubinowemi jagody ciągną ku sobie oko; wstęgi czystej wody snują się po dolinach; laski cieniem nęcą, a stada rozmaitego bydła pokrywają pola. Zatrzymał Ataman tabory i tak przemówił: — Bracia! u Kozaka nie masz nic niepodobnego; albo zdobyć — albo w domu nie być: widzicie Budziak — i wskazał ręką na puste stępy — Widzicie Multany — i pokazał na kraj bogaty — zrównać trzeba jedno z drugim: taka wola Rzeczypospolitej, taka wola Króla. — Dobrze Ojczy Atamanie! — krzyknęli Kozacy, a w tym wrzasku było coś piekielnego. W powietrzu burza się zerwała, silna, gwałtowna; ptaki daleko uleciały, trzody w głąb kraju pierzchnęły, pioruny trzaskały jedne po drugich, wichur

wył i miótl rzadkim a kroplistym deszczem; Kozacy uśmiechali się i przysięgali dotrzymać obietnicy danej Atamanowi.

Ustała burza — weszli Kozacy na Multany; a na samym wstępie zastali obóz Petryczejka Hospodara Mołdawskiego; po krótkiej naradzie między dwoma wodzami, jak promienie odstrzelone od słońca, śmignęły w różne strony tabory Kozackie i kupy konne Mołdawianów. Jeszcze dzień nie uciekł, jeszcze słońce nie potonęło, a już pożar jakby jednym wielkim łunem pociągnął się po Multanach i Wołoszczyźnie. Kiszew zgorzał — urodziwych Jass domy płoną, mieszkańce trzodami uciekają, krzycząc: oj, Jassy! oj kraśne Jassy! nie byliście wy takie, nim przyszli Kozacy! — Wojsko Hospodara Wołoskiego, jak plewa przed wiatrem zniknęło, a Spahowie i Jańczarowie załog sparli się i pierzchnęli kn Dunajowi wrzeszcząc: — Aman, Aman! — U Kozaków nie masz Amana, kosa jak brzytew ostra głowy ścina, a gwintowana rusznica daleko ołowiem niesie, zbiega dosięgnie. — Tabory Atamana wojowników trupem ścielą; kupy konne Hospodara tną w pień bezbronnych; ruczaje krwią się zfarbowały, a kurhany z kości trupów nad powierzchnią się wzniosły. Jak szarańcza zgrasowali wzdłuż i poprzek kraj Wołoszy, siejąc ziarno śmierci i spustoszenia. — Przeszli stary Dunaj. Na granicach Sylistriji zebrało się całe wojsko, Kunicki i Petryczejko ręce sobie podali na znak że dobrze wspierał brat brata. Kozacy krzyknęli: — Ojcie Atamanie! co Kozak przyrzecze to dotrzyma, spojrzysz na Wołoszę, na Multany, czy nie tak gładkie, rozległe jak Budziak? Oko mieszkańców nie poznałoby własnej ziemi, tak tam pusto, martwo, odludno. — Dobrze bracia — rzekł Ataman — ale nie masz końca dziełom Kozackim, jak nie masz końca obłokom — polem naszej pohulanki świat cały jak długi, jak szereki. Widzicie Sylistriji grody! trzeba i tu poorać aby nas długo pamiętano. — Zawrzały głosy w taborach: — Niech żyje Rzeczpospolita! niech żyje Ataman! śmierć Muzułmanom! — Po krótkim spoczynku, i podziale zdobyczy, wojsko dziesięcioma szlakami puściło się ku Babadah¹⁴ pustosząc po drodze ogniem i żelazem. Piętnastego dnia ze wszystkich szlaków zbiegły się oddziały, pod obronne wały Babadah. Stolica Sylistriji zamknęła bramy, okopy pokryły się mozdierzami i żołnierstwem ottomańskim. Kozactwo zżyma się na ten opór i woła: do szturm! — Ataman ręką skinął, cymbalista w kociół zabrzęczał, a tabory jak powódź powaliły się na okopy i ku bramom. Raz tylko mozdzierze wypaliły, zagrzmiały i zamilkły — bramy runęły. — Malinowa chorągiew Ukrainy i Atamański buńczuk powiewa na okopach, a mołojce po ulicach jak ka pustę, sieką kosami głowy pohańców. Z tyłu miasta zaskoczy jazda mołdawska, rąbie mieczem, tratuje kopytem ucieka-

jące tłumy. — Ani jednej duszy przy życiu nie zostało; rozlało się do koła i w mięcie szerokie jezioro; zsiadłe, gęste, błyszczy ciemno-czerwonym kolorem, jak spławy po niem siękną we krwi trupy ludzkie.¹² Kozacy i Mołdawianie brodzą po ulicach, obdzierają, łupią domy i meczety, a zdobycze ciągną za miasto. Kiedy skończył się rabunek, zażegli głównie i zarazem podpalili sto domów drewnianych: łomot, trzask belek, skwarzenie krwi kipiącej, i dzikie hura zwycięzców chórem przyspiewywało pieśń pogrzebową konającej Babadał. Dymy kłębamii się skupiły i wystrzeliły w obłoki, niosąc na swem tle ognisty deszcz trzeszczących iskier. Góra Matka z spiczastym wierzchołkiem zniknęła w mgłę dymu, a boki jej zajaśniały ogniem drzew płonących. Orleża Dziudźień¹³ piszczały żałośnic, dusząc się i smaląc, a stare orły jak w rozpacz krakały. i tłukły się po dymnym widnokręgu, nie mogąc oderwać się od gniazd i dzieci. Długie lata przepłyną, nim Tatar nastrzępi strzałę piórem z ich ogona, nim Sylistryjczyk napelni kaletę za ten drogi towar.

IV.

Na zwycięztwach i rabunku zasnął Ataman Kozaczy; zasnął Petryczejko Hospodar. Cztery miesiące trwa pohulanka, czas by ciągnąć ku granicom Ukrainy: już wieści dochodzą że Król Jan Wiedeń oswobodził, że Mohyla z jazdą Kozacką oczyszcza Węgry z plugastwa Muzułmańskiego, że Han Perekopu ciągnie z pięciudziesięcio-tysięczną hordą z Serbji ku Budziakowi, choć pobity ale groźny. Silne mrozy ścięły ziemię, a śniegi grubemi płatami polatują w powietrzu; do tego pomorek zaczyna przerządzać wojsko. — Na to wszystko wodzowie obojętnie patrzą; Petryczejko do reszty niszczy kraj i morduje mieszkańców; Ataman stanął obozem i okopał się w Walitramba dolinie, dolinie nieszczęścia, gdzie Sobieski po dwakroć odniósł ciężkie klęski¹⁴ raz Hetmanem, drugi Królem. Kozacy nie lubią czarnoksiężskiego rozdołu, ale taka rachuba Ojca Atamana: na wojnie tańcz, skacz, jak watażka każe. W pokoju jest starszyna, w czasie bojowym słowo Atamana, jak słowo Boże, a choćby przyszło głową nałożyć to trzeba, i to bez szemrania. Dwa tygodnie gnuśnie Mołojce czekają przyjścia Petryczejka, a śmierć coraz głowę po głowie bierze w daninie. — Ataman na łokciu podparł się koło ogniska, Kozacy nie szemrzą ale głęboko się smucą.

Na początku trzeciej niedzieli, rozstawionym po wzgórkach strażom okazała się pierzahająca bez ładu jazda mołdawska, a za niemi w pogoń biegnąca chmura Tatarów. Ataman uszykował tabory i wyszedł w pole: pohańce stanęli. Hospodar

z niedobitkami schronił się w okopy — wrócili kozacy i tego dnia nie było żadnej utarczki; tylko nocą w obozie ruch: ładują wozy zdobyczą, klepią kosi, rychtują rusznice — o świcie w pochód mają wyruszyć. Śnieg spadł i ziemię jak puchem posłał, nadedniem jeszcze gęsto i cicho pruszy; rzucili obóz, szczątki jazdy mołdawskiej idą środkiem, a po bokach ciągnie kozactwo na liczne taborzy podzielone; w środku taborów bogate łupy, a po bokach z przodu i z tyłu toczą się wojenne wozy: koła oblekłe śniegiem jak bałwany się obracają. — Tak uszli cichą doliną z ćwierć mili, kiedy z nagłą ujrzą z przodu w pół-księżyc ustawione hordy tatarskie, ¹⁵ spojrzą w tył aż i ztamtąd pół-księżycem harcownicy lecą: wydyma się krzywa linja, skrzydło z skrzydłem się klei, i kołem obwinęli taborzy. Ataman każe wziąć się do rusznicy i naprzód postępować. Powiał buńczuk Hana; chorągiew biała, jak gruby płat śniegu mignęła, zagrała Tabalszana, ¹⁶ zatrute strzały gradem lunęły na kozactwo, i siła trupem położyły. Kozacy przyklekli za wozami, wyrzucili samopaly, wypalili, a linja koła gładka, równa, postrzępiła się na fręzle i setnemi otwory przejrzała. — Śnieg zfarbował się krwią, i pokrył się wywróconemi na wierzch futrami kozuchów. Znowu wyrównały się hordy i strzałami powitały taborzy, znowu rusznicy huknęły i rozpekło koło; stokrót napadały, stokrótnie odpartemi zostały. — Już wychodzili kozacy z doliny, kiedy rozjuszone tatarstwo wrzeszcząc: — Allah! Allah! — z wzniesionemi mieczami na taborzy wpadło; konie piersiami o wozy otarły się i w tył odskoczyły, nie jeden mołojec wypaliwszy z rusznicy, porwał za kosę i dosięgnął chrapę końską albo łeb tataru, i rozsadził na dwoje. Zaczęły pierzchać hordy, kozactwo wściekłe, z taborów już wyskakiwało: krzycząc, — kol, siecz wroga! — Nawet jazda mołdawska pomknęła się w pogoń. Ataman powstrzymał zapal; znał zdrady tatarskie, znał ich wykręty, kazał wrócić do porządku i dalej ciągnąć. Wyszli z przeklętej doliny ze sławą, ale z bolesną stratą; pięć tysięcy mołojców legło w boju, większą część zdobyczy zrzuciono z wozów, a ich miejsce zalegli ranni wojownicy. Tatarzyn trzykrot tyle stracił, ale jego siły rosna; kozakom nie nie przybywa; dolinę nieszczęścia zawałyły stosy trupów ludzkich i końskich; tam człowiek konający jęczy, a w głowach orzeł ostrzy szpony i czeka kiedy ducha wyzionie: tu koń wlecze wnętrzości i przeraźliwie ryczy, za nim kruki podskakując targają bebechy; tu głowa kozaka, tam tułub tataru, tam wróg wroga przy śmierci ciśnie, swój swego odpycha, a śniegu ani śladu w dolinie, tak wytajał pod krwią i ciepłem trupów.

V.

Wpłynęły tabory na Wołoszczyznę — kraj spustoszony, śnieg pokrył gruzy i popioły, wszędzie gładko, równo; ale nigdzie siola, ni futuru ¹⁷ ani drzewa na ognisko, ani ziarna na strawę; tylko ślady zwierzyny porysowały się po białym stepie, a tatarzy wrzeszczą jak rybitwy, zwijają się do koła, i ciskają strzały napuszczone jadem jaszczurczym. — Głód, zimno, pomorek i groty Perekopskie, dziesiątkami ścielą mołojców; wozy i bogate łupy po drodze rzucają, krwawo znaczą szlak powrotu. Ataman rozpacz odgania od siebie; jak ojciec nad dziećmi tak on czuwa nad wojskiem, krzepi, do wytrwałości zachęca, jak wódz rachuje, i przewiduje; jak prosty kozak walczy. Czapka jak rzeszoto pobita strzałami, burka nie w jednym miejscu przedziurawiona, a ciało jakby czarodziejską mocą chroni się od ran.

Minęli Wołoszczyznę, minęli Multany wtargnęli na Budziak i w dzień i w nocy nękani napadami Tatarskiemi. A choć to piękne wojsko Ukraińskie, liczne i waleczne, zmniejszyło się do pięciuset mołojców: jednak hordy nie śmieją natrzeć wstępnym bojem, z daleka tylko harcują i strzałami bodzą. Nauka nieszczęsnej doliny nie poszła w niepamięć: kiedy dopadli brzegów Kodemy, odczepili się najezdnicy tatarscy i w stepach zaginęli. Petryczejko w niezlicznym poczcie ku Kamińcowi pociągnął, a Ataman ledwo z trzystu kozakami puścił się na Ukrainę. — Smutny jechał, często wzdychał; cisawy konik śnieg po drodze nozdrzami zamiatał i głucho stękał. Zła wróżba, konik Atamana zawsze czupurny i rzeźki, musi przeczuwać nieszczęście.

Nad Kamionką zastali pierwsze straże Zaporozkich Kurzeni; niemo się powitali bracia, jedni nie pytają, drudzy nie mówią o wojennej sprawie, tylko sotnik wręczył Atamanowi pismo od starszyny, nakazujące aby szedł wprost do Białej-Cerkwi. Ataman, Pan wszechwładny nad wojskiem za granicą, za ledwie wkroczył na Ukrainę, we wszystkim podlegał radzie starszych. Nie było w piśmie ani groźby, ani nagany, a jednak Kunicki poczuł dreszcz po całym ciele; cisawy dwa razy utknął i ledwo przez łeb się nie przewalił. Po siolach Ukrainy wyjdą mieszkańcy witać ojca Atamana; ale kiedy zobaczą garstkę Mołojców wychudłych, białych, jak z tamtego świata wracających, miasto piosnki wesolej złę uronią, miasto okrzyków radości niemo ścisną rękę. Nareszcie przybyli do Białej-Cerkwi; lud przeciw nim nie wyszedł, tylko kilku ze starszyny rozproszowało Mołojców po kwaterach, a jeden zawiódł Atamana do izby, gdzie było posiedzenie rady.

Na około, na ławach siedzieli starcowie w kożuchach, siwemi czapkami przykryte mając głowy; na środku stół, na nim Ewangielja i krzyż, a w kącie izby siedział archimandryta w czarnej rasie.¹⁸ Ataman wszedł, pokłonił się i rzekł: Panowie Starszyna, przychodzę słuchać waszej woli. — Ojcie Atamanie — odezwał się jeden ze starszych — gdzie podziałeś wojsko Ukrainy? gdzie zaprzepaścieś kwiat Kozactwa? — Panowie Starszyna — mówił Ataman zdejmując czapkę i stojąc w środku z odkrytą głową — w dumę człowiek rośnie wzmiankując męstwo Kozaków, a serce się krwawi na wspomnienie klęsk, jakich doznaliśmy; grody i siola poniszczone, mieszkańcy dwóch prowincji w pień wycięci, oto nasze czynił mór, głód, zimno, zniszczyły nasze wojsko, taka była wola Najwyższego a moje nieszczęście. Bóg mi świadkiem i reszta ochronionych mołojców, że pierśi mojej nie zakrywałem, ręki nie żałowałem na obronę Kozactwa. — Przysięgniesz że na to? — znowu zapytał tenże starzec. — Przysięgnę — odpowiedział Ataman. — Tu archimandryta zaczął czytać rytuał przysięgi, a Ataman przyklęknawszy i ucałowawszy krzyż, na mękę Chrystusa zaprzysiął iż świętą prawdę objawi; potem powstał i od początku do końca opowiedział wszystkie szczegóły nieszczęsnej wyprawy. Starcowie do łez się rozczulali i potrząsali siwe głowy, a kiedy skończył wyszli do drugiej izby. Ataman sam pozostał, wnrzyl głowę w ziemię, oparł się ręką na szabli, i stał w miejscu jak posąg nieruchomy. Po krótkiej chwili otworzyły się drzwi i weszli radni napowrót, a jeden z nich głos zabrał: — O zdradę i tchórzowstwo Starszyna cię nie obwinia, oddaje cześć twemu męstwu, a na wierność się nie użala; ale że dotąd nie było przykładu na Kozaczyźnie aby wracał wódz straciwszy wojsko, zapobiegając nadal podobnemu wypadkowi jaki się dziś zdarzył, rada postanowiła śmiercią ten czyn ukarać. Zginiesz Ojcie Atamanie od miecza, ale zginiesz ze wszelką czcią i dopiero po twej śmierci nowy Ataman będzie obranym. — Kunicki podniósł głowę, spokojnie pojrzał po zgromadzeniu i tak rzekł: — Panowie Starszyna! daleka odemnie proźba, niechaj się sąd wasz spełnia, ale przed śmiercią chciałbym żonę, syna zobaczyć, pożegnać. Naznaczcie dzień stawię się, zaręczam słowem kozaka, słowem Atamana. — Kilka głosów odezwało się smutnie: — Ojcie Atamanie, masz wiele zechcesz czasu. — Kunicki odpowiedział: — Im dłużej, tem smutniej, co się przewlecze, nie uciecze; dzień jeden to dosyć, dziękuję wam i za to, panowie starszyna do widzenia się — wyszedł, siadł na konia i pojechał. — Radnym starcom łyż się cisną, ciężki to kamień dla serca: sądzić gdzie powinność każe iść w brew najdroższym uczuciom duszy.

VI.

W Białym dworze w obszernej komnacie, silny ogień gore w piecu; trzeszczy oczeret, pryska iskrami i ciepłem płomieniem bucha na zewnątrz; w około obsiadły niewiasty, a najbliżej ognia Atamanycha; mały Sawka w sypialnym alkierzu na łóżeczku spi jak zabity. Dygotają kądziela, len się drobno smyka, nitka w palcach świszczce, a wrzeczona warczą po podłodze. — Niewiasty, to wywodzą piosnki, to prawią o upiorach i czarownicach; a między niemi taka równość, taka swoboda w mowie, że ani przez myśl nikomu by nie przeszło że między niemi jest żona Atamana, naczelnika Kozaczyzny. Handzia choć się czasem uśmiechnie, znów smutkiem zachmurzy czoło; wieść o ciężkiej kłęsce choć głucho ale i do niej doleciała. Wszyscy wprawdzie powtarzają że Ataman żyje i zdrów, ale dla kobiety została zawsze dwoista boleść, jako żonie wodza, jako kozaczce.

Już ku północy się zbliżało kiedy psy zaszczekały na podwórzu; po drodze zachrupotał śnieg pod kopytem, i ozwał się głos — hop! hop! — Handzi serce zadrżało — głos to dobrze znany, głos męża. Krzyknęła: — To on! — I biegła ku drzwiom; ale już stary Jaków wrota otworzył, a Ataman, zbryzgany śniegiem, obmarznięty jak drzewo szronem, u progu spotkał żonę, uściskał, ucałował, i weszli do komnaty. Zrzucił z ramion burkę, szablę odpasał, i usiadł na stołku; pociąga wzrokiem po żonie, po rodzinnych ścianach; głęboko łąza w oko pali, nie pyta nawet o syna — milczy. — Handzia szanuje milczenie wodza — nie śmie pytać o nic, aby nie dotknąć drażliwej strony z odniesionej kłęski. Czas niejaki trwała ta cichość. Nareszcie Attaman przerwał, pytając żonę: co się działo w czasie jego niebytności; badał o najdrobniejsze szczegóły, potem rozprawił o gospodarstwie, o ludziach którzy najlepszą opieką stać by się mogli synowi; wszystko to mówił spokojnie, ale z takim znaczeniem, jakby w daleką podróż się wybierał. Żona truchlała i powiedziała: — Czy nie znów jaka wyprawa? — drogi mężu, czas spocząć po trudach; czas abyśmy osłodził ci troski przebyte. — Nie wyprawa, luba żono, teraz mi na myśli, ale człowiek śmiertelny, dziś żyje, jutro umrzeć może, a nie czas charty karmić, kiedy się jedzie na polowanie. — Chodź, obacz Sawkę małą dziecinę. — Wzięła za rękę męża i pociągnęła do alkierza. Oświeca światłem twarz chłopczyka: — Widzisz, jak się mili do ciebie, błaga abys z nami pozostał. — Biedna niewiasta nie wiedziała, że rozpalone żelazo wciska w serce ojca. A-

taman zwiesił się nad łóžeczkiem, przytknął wąsy do ust dziecięcia, skropił łzą lice; Sawka się zżymnął i obrócił do poduszki. Kunicki prędko wyszedł z alkierza, i szerokim krokiem przechadzał się po komnacie. Żona pyta: czy jeść nie będzie? on odpowiedział: — Jadłem wiczerzę u sąsiada. — Może spocziesz luby? — Nie mogę — przed świtem trzeba abym był w Białej-Cerkwi na radzie Starszyny — zadrżał to mówiąc, a potem zawołał Jakowa: — Konia mi przyprowadzić. — Jakiego ojcie Atamanie? — rzekł parobek. — Cisa wy dość popasł, nie chcę innego, on mi jeszcze odda tę posługę. — Tu żonę ucałował, wziął burkę, przypasał szablę, pochodził jeszcze po komnacie, jeszcze rzucał oczami to na ściany, ta na alkwę sypialną. Handzi smutno, główki podnieść nie może, a nogi drżą w kolanach. Ataman usłyszał konia przed domem, rzucił się w objęcie żony, podniósł ją w górę, zawisła Handzia na jego ustach, wyrwał się nagle, wypadł za drzwi i wskoczył na koń, a kiedy żona mówiła: — Powracaj prędko, bo mi tęskno, smutno — odpowiedział: — Jak Bóg da, zobaczymy się, aby się już nie rozłączyć. —

Wspomniał na syna, ścisnął konia, a łzy pokapały po burce. — Darmo nogą tłukł Ataman, darmo chłostał nahajką; cisa wy zwiesił głowę i zwolna oddalał się od rodzinnej wioski, ciągle w tył się obzierał. Kunicki i płakał i dumał. Nikt nie patrzył — można było puścić cugle żalowi; a nie tak to wesoło rzucać hożą żonę, jedynaka syna, zagrodę ojcowską, i sławę Atamańską, aby wędrować gdzieś na tamten świat nie wiedzieć za co i po co. — Mógł dać kominka i drapnąć na Podole, ale ta myśl daleka od niego, słowo Atamańskie święte, a Kunicki do końca chce być Atamanem.

Już jasność dzienna dobrze zaświtała. Na rynku w Białej-cerkwi zebrana starszyna, zresztą nie masz nikogo: w mieście żadnego ruchu, na twarzach ludu ciężka boleść. Przed Starszyna na dwóch mocnych podporach leży tarcica olchowa, a koło niej braniec Tatarski z ogromnym mieczem w rękę. Galopem przyskakał ze stepu cisa wy konik z Atamanem. Ataman spokojny, ponury, zszedł z konia, rzucił cugle, poklepał szyję konia na znak pożegnania, i stanął na placu: — Panowie Starszyna! Niechaj się spełnia wasza wola; syna wam oddaję w opiekę i niechaj służy Kozaczyźnie i wolności — niechaj będzie szczęśliwszym od ojca. Towarzyszy nieszczęścia pozdrowicie, a sami żyćcie szczęśliwi! Kozaczyzna niech będzie wielka i wolna! — Rzekł, przykląkł, położył głowę na tarcicy — żaden ze Starszyny nie odezwał się do Atamana, łzy w oczach stanęły. — Ojciec tylko rady zawołał: — Achmecie

do roboty! — Braniec tatarski zakocił rękawy po ramiona, wznosił miecz do góry, świsnął — spadło żelazo — głowa Atamana odleciała podskakując po śniegu, a tułub przewalił się na wznak. Przyszło kilka Kozaków z noszami, zabrali ciało Atamana. Starszyczna po dzikiej nauce wracała do domu z ścisnionem sercem; cisawy konik boleśnie zarżał, obrócił się i kopnął ku Konele. ¹⁹

ORLIK I ORŁEŃKO.

I.

Szczęście z dostatkiem nie zawsze chodzą w jednej parze; znamienity ród często wstecz bieży od dobrego imienia: nie kupić złotem pokoju serca, nie wybielić zasługami przodków przybrudzonego sumienia. — Można Pani na Tryburach ¹ piętnaście wiosek prawem dziedzictwa dzierżyć; w prostej linii jest wnuczką Wielkiego Wyhowskiego ² a wdową po zmarłym staroście Woroniczu. ³ — Ledwie czterdzieści lat liczy, a już czoło pobronowało się zmarszczkami, wzniosła kibić gnie się łukiem ku ziemi, a oko, ten odblask duszy, ten wierny tłumacz serca, sterało w sobie pogodę uczuć niewieścich. Ani gniewem się zaiskrzy, ani dumą błysnie; obumarłe zda się być na wszystko; ale kto wzrokiem uczucia czyta w twarzy ludzkiej, ten łatwo zedrze martwą zasłonę i przejrzy, że w duszę jej rozpacz i smutek bezustannie kłują jak dzięcioł w zbolełe drzewo.

Starościna dwóch synów miała; starszy niewiadomo dla czego dom rodzinny porzucił, zmienił imię i wpisał się między mołojców Zaporozża; młodszy ciągle przy Matce, wszyscy go zowią wzorem synów, sama tylko matka tego nie czuje; jego miłość tyle do niej przemawia co słowa do wymalowanego wizerunku na płutnie. Nieraz sąsiedzi wyliczają cnoty Pana Piotra, ona słucha, ale ani się uśmiechnie, ani głową potakuje; ale kiedy słowo rzekną o starszym synie, natychmiast łyż wilżną powieki, zamyka się w sypialnym pokoju, dni i noce na szlochach i modłach trawi; dziwna dla wszystkich ta niejednakość uczuć macierzyńskich.

Szczegóły życia Starościny nieznanne w sąsiedztwie. Po nieodżałowanej śmierci Jana Wyhowskiego, rodzice jej opuścili Tryhury, a przenieśli się do Smiły. ⁴ Duma i zawiść Czarnieckiego podbechtywana aszczurczym językiem Jezuitów, ścinając

głowę cnotliwego Atamana, na długie wieki rozcinały jedność i zgodę między dziećmi jednej matki — dobra Wyhowskich pograbione na korzyść Jezuitów. Ale w krótkim czasie Jerzy Chmielnicki przyszedł dopominać się o buńczuk Atamański, który raz już był porzucił.⁵ Rząd słaby i niedołężny w Polsce nie umiał i nie mógł korzystać z ofiar jakie robił syn na zagładzenie błędu Ojca; ale szlachta Polska poskoczyła wspierać zamiary Jerzego, bo tem wspierała sprawę Polski. Szymon Woronicz należał do wyprawy, w bitwie pod Czehrynem fortuna odbiegła Chmielnickiego, a szlachta polska do domu powróciła. Woronicz po czterech latach dopiero się ukazał, jako małżonek Joanny Wyhowskiej i Pan jej dóbr dziedzicznych Tryhury. — Michał Korybut przez pamięć na dobrą zażyłość ojca z rodziną Wyhowskich, mimo strach jaki wówczas wierało Zgromadzenie Jezusa, nakazał zwrócić dobra wnuczce świętego Atamana. Woroniczowie przybyli z Ukrainy ze starszym, młodszy narodził się w Tryhurach. Dziesięć lat małżonkowie mieszkali z sobą; nie widziano między nimi swarów, ani złego pożycia, ale też nie można było dostrzedz miłości, czulego przywiązania. — Raz tylko stary sługa, towarzysz wojaczki Pana Starosty opowiadał: że Jegomość z gniewem głośno jakieś słowa wymawiał, tupał nogą, a nawet uderzył żonę. Imość nie płakała, tylko zbladła i milczała. — W kilka tygodni później oboje Państwo wyjechali do Czehryna dla widzenia się z Atamanem Mazepą: tam bankietując, Pan Starosta przebrał miarę w trunku i nagłą śmiercią umarł. Pani Starościna wróciła okryta żalobą i obadwaj synowie przybrali czarne szaty. Bogate dochody, hojna gościnność ściągały tłumy nawiedzін do Tryhurskiego zamku: tam z równą szczodrością i otwartością przyjmowana była starszyzna Kozacka, i szlachta Lacka, i Katolicy i Syzmatycy. — Jezuitci opuściwszy rządy Tryhur opuścili i klasztor, a Księża Bazylianie⁶ napowrót do niego weszli.

Po upłynieniu żaloby, nieraz grzmiąca muzyka brzmiała w starym zamku, stoły gięły się pod półmiskami srebrnymi, naładowanemi sutem i wykwiutnem jadłem; we fłaszach i puharach zamorskie wina bursztynem się złociły, i czerwieniły się rubinem; mnoga dwornica w pyszne barwy przybrana ciągle na nogach. Często wrzaskliwa psiarnia i myśliwskie surmy, rozbijaly chrapawem echem sosnowe bory. Starszy panicz z okoliczną młodzieżą dnie całe, po skalistych nadbrzeżach Teterowa uganiłi dzikie kozy, albo czatowali na wilka. Młodszy zagrzebał się w księgach, jak Żyd w Talmudzie; ztąd zjazdy bakalarzy do Tryhur, dowcipne djalogi z pisma świętego wyprawiane na zabawę gości.⁷ W całym zamku wszystko oddychało pańskim szumem, głośną uciechą. Pani Starościna wówczas uśmiechała się twarzą, a sercem —? niewiadomo —

bo w serce trudno zaglądnąć. Już starszy panicz dobrze podrosł i w urodę i w lata, broił figle i psoty, ale go kochano, bo u niego myśli nigdy nie krzyżowały się ze słowami, ręka nie ścisnęła się w kulak przed niedolą, nie wahał się nad przepaścią, kiedy szło o niesienie pomocy bliźniemu; oczy jego zdaly się mówić: mam życie dla siebie i dla drugih, mam dostatki, dzielcie się ze mną bracia. Matka go cisnęła nieraz do łona, i skrapiała młodzieńca lice łzą z czarnego oka; Starościna obok ulubionego Iwana jaśniała dumą macierzyńską, tą najpiękniejszą krasą śmiertelnych.

Tak płynęły lata, kiedy dnia jednego, było to właśnie po przegranej Mazepy pod Puławą,⁸ Iwan przerzucał papiery w szkatulce matki, w jednej z kryjówek znalazł papier zbrudzony, zmięty, otworzył, czytał; czoło mu się zachmurzyło, zadumał się, potem okiem drapieżnego orła cisnął na papier, i przechadzał się szybkim krokiem po pokoju. Matka nadeszła, a zobaczywszy w ręku Iwana ów papier zadrżała, krzyknęła: — Nieszczęśliwy! — i padła na ziemię. Iwan podniósł Starościnę, złożył na łóżku i trzeźwił; kiedy życie powróciło, kazał sługom odejść, zatrzasnął drzwi i we dwoje pozostali. Widziano przez szparę, jak klęczał przed łóżem matki, nogi i ręce jej całował, i ona cisnęła jego włosy do swych ust; cicho rozmawiali, tylko można było dosłyszeć: — Będę je miał. — Przy łóżku w drugiej skrzyni była schowana szabla Atamańska Jana Wyhowskiego, oprawna w jaszczur i drogic kamienie. Wydobył ją Iwan, ujął w rękę z roskoszą kochanka cisnącego z lekka, ukradkiem dłoń kochanki, potem przykląkł i rzekł: — Błogosław mię matko. — Starościna wstała na nogi, krucyfiksem żegnała młodzieńca i całowali oboje wizerunek Chrystusa; narazie panicz wyszedł — wieczorem poszedł do klasztoru. — Księdzu przeorowi złożył dobre trzy garście połamanego złota i drogich kamieni na ozdobę obrazu Najświętszej Panny, jakiś czas klęczał w kościele przed wielkim ołtarzem i gorąco się modlił, trzydzieści świeczek z żółtego wosku zapalono na jego intencję — wrócił ztamtąd, z bratem długo rozmawiał, ścisekali się po stokroć razy; potem pisał do przyjaciół i rozsyłał im w podarku psy, konie i sprzęty myśliwskie. Między sługi obdzielał pieniądze i szaty, dla każdej gromady piętnastu wiosek, przeznaczył hojnie znaczną kwotę oraz na cerkiew, na ubogich i na praznik Święto Michalski.⁹ Imość przez ten czas, długo gadała ze starym Kozakiem Neczajem: był on niegdyś teorbanistą u Pana Atamana, później przybocznym ojca Pana Starościny, i samą na swych rękach niańczył.¹⁰ Panicza Iwana, jak własne dziecko kochał.

O północy przyprowadzono przed ganek osiodlaną ciemno gniadą klacz i płowego konia, najdzielniejsze rumaki ze stajni Tryhurskiej. Iwan przypasał szablę atamańską do boku, na

plecach zawiesił burkę, i Neczaj wojennie się przystroił, a szcęk szabli, szelest burki o pół wieku go odmłodziły. Pożegnanie z matką było czule: oboje płakali — ona roniła łzę rozpaczającej boleści, on smutnej roskoszy; rzucał serce macierzyńskie, a wyciągał ręce do sławy wojennej. W Neczaju oku łza się nawet kręciła, a kiedy Starościna rzekła: — Pamiętaj Neczaju. — Odpowiedział: — Niechaj Imość będzie spokojną. — Iwan skoczył na ciemno-gniadą, Neczaj dosiadł pło-wego i pojechali. Od tej chwili sześć lat upłynęło, a ani czas, ani rozrywki nie przynoszą żadnej zmiany smutkowi dręczącemu, obumarłe na pozór serce Starościny.

II.

Cóż to za rejwach w Tryhurskim zamku, światła migają po pokojach, kagańce ¹¹ na dziedzińcu, a nie masz we dworze biesiady; ani też czekają żadnych gości. Przy bladym połysku łuczywa, widać, jak się żeni pośpiech z trwogą na twarzach biegającej dworni. Pan Piotr załamuje ręce i rozkazy daje, ledwie nie popycha posłańców. To Pani Starościna mocno zachorowała, przydworkny lekarz stracił nadzieję o jej życiu, ślą po innych rozstawnemi końmi; a tymczasem Ksiądz Przeor przychodzi z Panem Bogiem; niosąc ratunek ciału, nie trzeba zaniedbywać duszy — często się trafia, że jak się zdejmie kamień z sumienia, to siły i zdrowie wracają ciału. Jest nie pojęty, nie widzialny, a silny związek między duchem, a powłoką cielesną; nadarmo napuszony mędrzek czas traci i język strzępi na wytlómaczenie stosunków między umysłem i zmysłami; bredzi i błądzi, jak podróżny w nocy, wśród stepów zawi-anych śniegiem; wszędzie dla niego droga, a nigdzie końca podróży. Co ręka ludzka zdziała, głowa ludzka rozbierze, zrozumie — co siła Boga stworzyła, myśl ludzka nie przeniknie.

Na hebanowem łożu, natkanem złotym bronzem, na wznak leży Pani Starościna: u jej głów płonie gromnica, a choć jarzące światło płacze się po amarantowem tle kotary, ¹² jednak twarz chorej blada, jak wewnątrz drzewa osikowego, usta żółtawe jak wosk podbielony, a po kątach ciemno — sine plamki wystąpiły, oczy wsunęły się głęboko w głowę i ztamtąd rzucają obłąkane promienie; zimny pot ścieka po czole, w piersiach charkocze, a zęby zacięła tak, aby żadne słówko ani skarga, przez nie się nie precisnęły.

Wszedł Przeor i rzekł: — Niech będzie Bóg święty pochwalony. — A przytomni odrzekli: — Na wieki, wieków Amen. — W ten czas czcigodny kapłan obracając się do chorej, łagodnym głosem zapytał: — Pani Starościna przyjmie posługę wiary,

żadne niebezpieczeństwo nie grozi jej życiu, ale odwołanie się do Boga, niesie ulgę duszy i ciału. — Starościna poruszyła głową na znak przyzwolenia, natenczas Przeor skinął ręką; wszyscy przytomni wyszli, on sam pozostał przy łożu chorej. Ciężki to i bolesny obowiązek nieść słowa pociechy, istocie już żegnającej ten padół płaczu dla żyjących, który w chwili konania staje się światem roskoszy — ale cięższy stokroć razy wydobywać słowa skruchy i wyznanie z serca zakamieniałego potrzebą milczenia. Długo Przeor patrzył, jak oczy chorej obracały się zwolna, jakby szukały czegoś, potem do niego się skierowały, a w nich malowała się prośba i wyrzuty sumienia; nareszcie Ksiądz do łez rozczulony tym stanem umierającej, przejęty uroczystością obowiązku, rzekł: — Joanno! czemeś Boga obraziła? miłosierdzie jego wielkie, on ci wszystko przebaczy. — Starościna rozwarła zęby i z mocnem wysileniem odpowiedziała: — Nie przebaczy!

— Joanno dawnoś się spowiadała?

— Siedemnaście lat temu.

— Jakież są twoje grzechy?

— Zbrodnic.

— Mów, ufaj w Boskie miłosierdzie. Nie masz grzesznika, któregooby Twórca nasz ojciec nie przyjął do swego łona, kiedy ten zawoła: żałuję za grzechy moje. — Starościna milczała, tylko wlepiła wzrok w Przeora — ten dalej mówił:

— Pokuta wszystko może.

— Dla mnie nie masz czasu pokuty — zawołała słabym głosem Starościna — ja umieram!

— Jedna chwila szczerego żalu stanie za długie lata pokuty. Joanno w imię Najwyższego wzywam, powiedz twoje winy.

— Zdradziłam.

— Kogo? — Męża?

— Nie! mężowi wierną byłam ciałem — ale duszą.

— Joanno mów twe winy.

— Zdradziłam.

— Kogo?

— Kochanka.

— Wszak mąż był twoim kochankiem.

— Nie! nigdy go nie kochałam.

— Więcej niczem nie obraziłaś Boga?

— Popęłniłam wielką zbrodnię.

— Jaką?

— Zabójstwo.

— Zabiłaś kogo? — zawołał Przeor dobitniejszym głosem.

— Nie! ale on zabił — ja wiedziałam.

— Kto on zabił? kogo? — Tu Starościna zacisnęła zęby; próżne były groźby, próżne prośby kapłana, natenczas zawo-

łał: — Joanno żalujesz za grzechy swoje? — ona odpowiedziała: — Żaluję i mocno żaluję. — A Ksiądz wyrzekł uroczym głosem: — W imię Boga przenajświętszego, w imię Trójcy świętej, Joanno! odpuszczam ci twoje grzechy — i tu ją przeżegnał znakiem krzyża świętego — a kiedy podał do pocałowania obraz Chrystusa, podniosła nieco głowę, poczem przyjęła komunię. Spokój na chwilę pociągnął się na jej twarzy, nawet syna Piotra przywołała do siebie i zimne usta przycisnęła do jego skroni. Potem prosiła Przeora, aby list, który mu powierza był oddanym w ręce osoby, do której go pisze; prosiła aby podpis zachowany był w tajemnicy. — Przeor przyrzekł i schował list. O starszym synie nie nie wspomniała, ale kiedy posłyszała tentent koni na dziedzińcu, zawołała: — To on! to mój Iwan! miałam przeczucie, że przed śmiercią jeszcze go zobaczę — i chciała się podnieść. Dusza w ostatnich rozbratach z ciałem, na wylocie do nadziemskiej krainy, silniej boską barwę przybiera na siebie; wieszczem uchem odgaduje każdy szelest, wieszczem okiem przewierca mury i wieszczem słowem przytomnym opowiada co widzi, co słyszy.¹³ Nie zmyliła się Starościna — to jej syn ulubiony na ciemnogniadej przykopał z dalekiej krainy — ale trudno poznać w Iwanie Orleńce Assawule przy Atamanie koszowym Zaporozża, niegdyś byłego Iwana Woronicza, starszego syna Starosty. Brat Piotr nie wierzy swym oczom, służba roztwiera powieki. Assawuła raźny Mołojec skoczył na ziemię i zawołał: — Jak się macie? gdzie matka? — Dżura weź konia! — a młody Zaporoziec co z nim przybył schwycił za cugle ciemnogniadą. Piotr ścisnął brata, ale nie nie mówił, tylko od łkania się krztusił. — Iwan boleśnie wymówił: — Umarła? — Piotr smutnie odpowiedział: — Umiera. — Orleńko wyrwał się z objęcia brata i jak szalony w wojennym stroju wpadł do pokoju umierającej matki. Starościna podniosła się i siadła — oczy już świeciły połyskiem tamtego świata — i ciągle patrzyła na lubego syna: on był błądy i niemy — matka nareszcie rzekła grobowym głosem: — Takim widziałam dziada we śnie — takim był na jawie, kiedy mnie żegnał po raz ostatni — i tu wymówiła niewyraźnie jakieś słowo, i padła na poduszkę. Synowie obadwa ukłękli przy jej łożu — ona słabym głosem rzekła: — Kochajcie się. — Iwanie zostaniesz z bratem. — Nie matko luba, nie zostanę; dla niego imię Woronicza i dostatki, dla mnie szabla i imię nabyte szablą. — Synu — znów matka rzekła — zostań, zostań! — Matko! nie dla mnie imię Woronicza, jam Orleńko! — Orleńko! Orleńko! — przeraźliwie wrzasnęła Starościna: — Kto ci nadał to imię? — Ataman, bracia Zaporozża. — Milczenie było czas niejaki; widać tylko, że umierająca pracowała coś jedną ręką, nareszcie wysunęła z palca srebrny pierścień,¹⁴ z którym nigdy a nigdy się nie rozdzielała, a dając go Iwanowi, słabo

z charkotaniem wymówiła: — Iwanie! noś go przy sobie — po tem poznasz jego — i tu nie domawiając zaczęte słowo skonala. Piotr zachodził się od łez i lkania. — Orleńko, jak posąg martwy stał w miejscu z założonemi rękoma. — Przeor jeszcze czytał modlitwy przy skonaniu, a służebnice przybierały zmarłą w śmiertelne szaty, zawodząc głośnym płaczem.

III.

Trzy dni stało ciało we dworze, czwartego zaszedł karawan pogrzebowy kirem osłonięty; ciągnęło go sześć koni odzianych w czarne kapy. Każdego za uźdę trzymał chłop przybrany w płaszcz czarny, po obu bokach długim rzędem stali czarno przybrani ludzie z pochodniami. Z piętnastu wiosek popi w żalobnych ornatach, i piętnaście cechów z chorągwiami.¹⁵ — Księża Bazylianie w białych komżach, w czarnych biretach, tłumy sąsiadów — wszystko to pokrywało obszerny dziedziniec; beczki smolne płonęły jasnym ogniem, światło zaglądało w oczy i twarze żalobnego orszaku, a rozlawszy się złotoczerwoną luną po powietrznym obszarze, coś niebieskiego, coś piekielnego nadawało ruchomemu obrazowi; kolorem białej niewinności ku sobie wzywa niebo duszę ze zmarłego ciała, a piekło czarnem tłem zbrodni dla siebie ją wydziera.¹⁶ Wyniesiono trumnę, pokrytą adamaszkim, w około oklejoną srebrnym galonem, na wierzchu krzyż, a przed nim dwie aksamitne poduszki z herbami Wyhowskich i Woroniczów. Ksiądz Przeor czytał cztery ewangelje, potem kaznodzieja miał mowę przy wkładaniu trumny na karawan i ruszyli wolnym krokiem ku kościołowi. — Synowie z odkrytymi głowami, w czarnych kontuszach i białych żupanach, szli tuż za grobowym wozem, za nimi krewni, powinowaci i przyjaciele obu rodzin. Piotr często ocierał łzę cisnącą się do oka, Orleńko martwo wlepił w trumnę oko i postępował jakby nic nie słyszał, nic nie widział — dwanaście razy zatrzymywał się karawan w drodze, dwanaście mów w polskim i ruskim języku na cześć zmarłej Księży wyrzekli — dwanaście razy czytano ewangelje, i tyleż razy orszak brzmiał grobową pieśnią. — Nareszcie złożono trumnę na wysokiem rusztowaniu, okrytem czarnym całunem: każdy schód gęsto obstawiony srebrnymi świecznikami w których gorą jarzące pochodnie — jakiś czas pieśń żalobna tłukła się smutnem echem po sklepieniach kościoła, w końcu wszystko zamilkło, tylko wiatr wył i dzwonił w potłuczone szyby, a pochodnie leniwo, ponuro, gorzały.

Północ wybiła na zegarach zamkowych. Orleńko obwinął się w burkę, nadział czapkę na głowę, szybko przeszedł pokoje napełnione ciżbą ludzi; nikt go nie zatrzymał, bo niema roz-

pacz poszanowanie nakazuje, wstrętem odpycha pocieszycieli biegących na zawołanie z utyskiwaniem, z radą. Wyszedł z zamku i szybkim krokiem spuścił się nad brzeg Teterowa, kędy rzeka wartkim pędem płynie, a muzyka jej wody, podobna brzmieniu arfy, uderzywszy o skały, zaburczy gwałtownym szumem; gładkiem i jednostajnym belkotaniem kipią wody w ściśniętem korycie, a wypadłszy na płaszczyznę coraz cichszem echem leci, w końcu ucho już nie słyszy a jeszcze dosłuchuje — dusza. Tak pod palcami bieglej arfiarki nagle zabrękną struny jakby miały się zerwać, potem uroczę tony za tonami leją, nareszcie słabną, głuchną i przy samej śmierci dźwięczą boską harmonję konania. — Jakiś czas idzie Orleńko za prądem rzeki, potem rzucił brzeg i ścieszką drapie się w górę; tam między urwiskami skał był otwór, a pod nim szerokie wydrążenie. Lud prosty zwał go jaskinią Cyganów, a za skarby świata, za obiecane niebo żaden by tam mieszkaniec nie poszedł o północnej porze rozmyślnie, dobrowolnie. Stara Cyganka Chima w jaskini swoje siedlisko założyła, tam swe czary przysposabia, tam odprawia i biesiady i rozhowory z czartami. — Wsunął się Orleńko do jaskini; w kącie gasnącem światłem błyskały ostatki skopciałych gałęzi, i czerwony popiół z suchych liści, a obok niego leżał czarny kot, a jego oczy żarzyły się jak rozpalony węgiel; z przeciwnej strony na żerdce kołysał się czarny kogut; nie opodał ogniska, na macie słomianej pokryta kożuchem spała stara cyganka, u jej głów pobite garnki i miski, jakieś torby i drewniane figurki. Kot mruknął ponuro i uderzył po grzbiecie ogonem aż skry się posypały, kogut z przestachu zapał; stara Chima porwała się z ziemi, i wyrzekła jakieś słowa nieznanym językiem; oczy jej lyskały jak błyskawice przed piorunem, a twarz żółta pokryta była pręgami czerwonemi i sinemi, jak karta geograficzna rzekami i drogami; odzienie cyganki składało się z lachmanów pstrokolorowych, a przez dziury pokazywało się ciało nagie, przyschłe do kości i skóra pełna zmarszczek. — Orleńko nie zląkł się, nie wahał się, ale postąpił naprzód — natenczas Cyganka rzekła: — Człowiecze! czego chcesz o tej porze, ciebie bis tu zagnał? — Mołojec rzucił kiesę złota i zawołał: — Czytaj mi moją przeszłość i przyszłość — masz złoto. — Weź! weź! swoje złoto — odpowiedziała cyganka — dziś usta moje martwe jak grób, nic nie powiem. — Natenczas Orleńko wy dobył kindżał i porwał za barki Babę — nie chciałaś złota, masz żelazo! — W tej chwili kot przygotował się skoczyć mu w oczy. — Chima bez trwogi krzyknęła: — Maruszka leżeć — i kot mrużąc wrócił na swoje miejsce. — Młody zapaleńcze, nie dla mnie twoje żelazo, droższej ono krwi pragnie i napije się; nie złotem twojem mnie uludziłeś, ani żelazem przestraszyłeś, ale z oczów twoich djabeł patrzy, w sercu twojem piekło się

zagnieździło, siadaj więc i słuchaj co ci mogę powiedzieć. — Siadł Orlenko na macie, cyganka na środek przeniosła ognisko, gałęzi i liści przyłożyła i wielki ogień rozdmuchała, natenczas krzyknęła: — Maruszka trapaka — i kot natychmiast zaczął w około ogniska tuptać i pazurami grzebać i z głucha miauczyć. Chima postawiła garnek z wodą i rynkę, w którą rzuciła kilka kawałów wosku żółtego; kazała stanąć w kole Orleńce, sama szeptała jakieś długie zaklęcia i patyczkiem kreśliła po ziemi gęste cyfry z liter dziwnego kształtu, potem wydobyła flaszkę z zanadru i wychyliła napój w gardło. — W tem kogut zapiał, kot skrył się w kącie, a Cyganka wylała wosk na wodę; długo kiwała głową, mrużyła oczyma, krzywiła wargę, wreszcie rzekła. — Drżysz ciekawy, ziemi twoje ciało, piekło twoja dusza! Widzisz jak się wylał róży kwiat, o! piękny to kwiat! bo to kwiat miłości; tyś się z nim pocałował — ale patrz dalej jak się smuga ciągnie — to krew! kwiat miłości, owoc miłości zaprowadziły do zbrodni — z ciebie wyrosła zbrodnia. — A ta na boku głowa trupia, a przy niej znowu róża — w twojem sercu żaloba i miłość — i znowu patrz na tę smugę i na ten miecz: byłeś powodem zbrodni, staniesz się wielkim zbrodniarzem i bardzo wielkim! Pomścisz zbrodni, ale dla ciebie piekło: wielkie imię tobie się śmieje, ale szczęście dla ciebie umarło. Męczarnie twemu sumieniu na tym świecie, męczarnie twej duszy na tamtym. — Maruszka tu do mnie — to nasz brat. — Tu zwała się cyganka na ziemię i pieniała się w konwulsjach. — Kot przyskoczył i lasił się koło Orleńka, a on stał głęboko zadumany, serce się ścisnęło a myśl goryczą piekielną zapłynęła. — Kogut po raz drugi zapiał, Chima się ocknęła i rzekła — masz czego chciałeś! — Orleńko odpowiedział — chcę więcej. — Będziesz miał, bo ty mój, ty nasz! weź, pij — i podała mu flaszkę z zaczarowanym trunkiem. Orleńko przechylił — czas niejakiś stał w miejscu, ale twarz jego czerwieniała, oczy przeraźliwie zamigotały i zawołał w obłąkaniu: — Matki list w ręku Atamana — i zamilkł — po chwili jak szalony wyskoczył z koła, krzycząc: — Córka Dewleta dzieli obce łóżce! — Zulmo Zulmo! ty mnie wzywasz na pomoc a ja tutaj — i wyskoczył z jaskini. — Chima zachygotała: — On nasz! on nasz maruszka — kot miauczał i przewracał się po piasku, a kogut podniósł nogę i piał po trzykroć razy.¹⁹

Już dzień zabłysnął — gromadnie ludzie ciągną z zamku i z siola na mszę żałobną; w kościele światła gorą przy katafalku, a u podnożu kłęcz Orleńko, blady jakby z tamtego świata powrócił, obłąkany jak gdyby się dendery objadł; wszyscy mówią — co za rozpacz, co za przywiązanie do Matki? noc całą na kłęczkach strawił przy jej ciele. — Orleńko gorzko tęskni za matką, obłąkaną myślą rozważa przepowiednie cyganek. — Msza żałobna się zakończyła, sam przeor z ambony kazał

o życiu świętej pamięci Joanny z Wyhowskich Woroniczowej. Skończył, polecił znówić trzy Ojciec-nasz, trzy Zdrowaś-Marja i jedno Wierzę-w-Boga za duszę zmarłej, potem wstąpił po schodach katafalku, otworzył wieko trumny, pokropił ciało wodą święconą, położył paszport na tamten świat¹⁹ i kilka sztuk monety srebrnej obok zmarłej i przymknął wieko. Litanja za duszę zmarłych zabrzmiała licznym chórem. Czterej najdostojniejsi z krewnych i dwaj synowie znieśli trumnę, otwarto grób rodziny Woroniczów, przecor czytał ewangelje; brat Starosty Sędzia Grodzki Wojciech Woronicz miał mowę pożegnania, a potem na linie spuszczone do grobu chatę śmierci. Synowie, krewni, powinowaci, słudzy i gromada po garści piasku rzucili, drzwi grobowe zatrzęsły, a hymn wiecznego odpoczynku uderzył silnym głosem o sklepienie kościoła.

Wszystko skończone — i Książa i Panowie i gromada na stypę ciągną, bo taka kolej na tem świecie: czy to człowiek się rodzi, czy to człowiek umiera, wypadek szczęsny i nieszczęsny biesiadą musi się kończyć. Dusza się weseli, dla równowagi trzeba karmić zmysły; dusza się smuci, dla pocieszenia jej trzeba karmić zmysły; złe to chrzciny, zły to pogrzeb, gdzie trunek hojnie nie popluce radości, smutku. — Pan Piotr ze łzawem okiem, ze skolatanem sercem, zaprasza na przekąskę; krewni zachęcają wielebnych księży do wódeczki przed jadłem. Orleńko krzyknął na Dżurę: — Siodłaj mały, siodłaj Dżura nasze konie, tylko żwawo, tylko praworno. — Już na stole opar ponad wazami się wila — przed gankiem grzebie kopytem ciemnogniada klacz Orleńki i wrony konik Dżury. Piotr wie-sza się bratu na szyi i błaga — zostań bracie, zostań z nami! — Orleńko z skrwiawionem sercem, wydziera się z objęcia: — Nie mogę! umarłbym gdybym pozostał. — Krewni zaklinają: — Iwaniu! zostań z nami! — Orleńko już wskoczył w siodło, i Dżura poprawia nogi w strzemionach — sługi i gromada za nogi chwytają: — Paniczu zostań z nami! — ale już ciemnogniada i wrony z bramy wyskakują. — Obsiedli goście sute stoły, drogie wina nurtem się leją — gromada mięsiwem się zasila, wychyla miód i wódkę, i wszystko to za pamięć nieboszczki Pani Starościnej. — Orleńko i Dżura kopią w cwał borem na Słobodyszcze; wiatr im w uszy poświstuje, a za nimi piasek tumanem miecie.

IV.

Bakczysaraj siedziba rodziny Girajów,²⁰ lasem kopuł me-czetowych w niebo wystrzelił, wiankiem białych domów po ziemi się rozesał. Zamek Hana i harem Hana między niemi

panują jak dwa rosochate dęby między poziomemi krzewy, jak Czatyrdach i Kikinees²¹ między krymskimi góry. —

W haremie, w bogatej komnacie, gdzie przepych wschodni rozesał różnobarwne kobierce pod nogi, ściany osłonił karmazynowemi makatami; na których tle złote księżycy żywym ogniem płonęły, jak gwiazdy na ciemnym suficie niebios; gdzie w wazach alabastrowych burzyły się sorbety, a wydzielając subtelną zapach i mieszając go z lekkim dymkiem kadzidła arabskiego, napełniały powietrze rokoszną wonią. Na miękkiej sofie, oparta na wezglówiu, na pół-leżała, na pół-siedziała młoda dziewczica. — Kibić jej smukła tak, iż w przecięciu objąć można rękoma, ociągniętą była w białą jedwabną szatę naszywaną złotemi kwiaty, nad kłębami wciskał się pas złocisty malowany w amulety, nabijany drogiemi kamieniami rozmaitych kolorów; tam turkusy niknęły obok przezroczystego blasku szmaragdów i szafirów, a rubiny wnięszawszy się między nie, jakby rumieńcem skrywały wstyd pierwszych, a przygaszały nieco próżność drugich. — Na wierzchu szaty jaskrawo-czerwona greczynka podbita gronostajami, jakich tylko królowie używają na uroczystość koronacyi, rozrzucala się na obie strony i odkrywała pierś białości dziewiczego śniegu, co tak lekko się wzdymała i spadała jak puchy łabędzie majowym powiewem chwiane. Na szyi dwa rzędy pereł wielkości największego grochu, gasły swoją wodą, przy ciele pełnem życia, pełnem uroczego powabu. Na głowie zawój z czerwonego tyftyku przewijany sznurem brylantów; z pod niego wyzierały krucze włosy, miękkie jak jedwab, a lśniące jak tkanka pajęczyny przy promieniach jesiennego słońca. Na nogach i kształtnych i małych, ciżmy czerwone haftowane złotem, ściągane taśmami czerkieskich galonów, przeplatanemi czarnym i złocistym jedwabiem, na samem związaniu zamykały się na dwa pukle djamentowe; po nad rękoma dwie bransoletki z szafirów basorskich, choć piękne i szacowne, niczem były w porównaniu z ręką białą i pulchną, a tak wykwintnie wytoczoną jak gdyby wyszła z pod dłuta arcy-rzeźbiarza. Twarz świeża, pohoża,²² a na niej pociągał się słaby rumieniec jak pączek mchowej róży przy rozpęknięciu; usta koralowe trochę otwarte, odkrywały dwa rzędy zębów białych, równych, jednakich, jak stado Antylop; oko ciemne, duże, zdobne brwią czarną, a tak ogniste iż swym połyskiem émiło drogie kamienie i jaskrawe kolory szat.²³ U nóg jej siedziała niewiasta w błękitnym zawoju i w skromnych szatach piastunki, i tak mówiła: — O moja Perjo? czegoś tak zadumana? Ojciec dziś jeszcze wraca, znowu zaweseleją ogrody Bakeczysaraju; jak dawniej, tak i dziś pod twe okna róża wabi kochanka słowika; wyjdź lekką nogą muskać trawniki seraju, motyle różnofarbne rzucą pstre kwiaty, i zlatywać się będą do ciebie boś ty piękniejsza nad

wszystkie, tyś Królowa piękności i wdzięków. — Od wyjazdu wielkiego Dewlet Giraja ani chwili wesołości, ani chwili roztargnienia. Głosy dziewic Salhiry obojętnie brzmiały w twych uszach, jak słowa Muftego w uszach śmiercią tkniętego Muzulmanina; płąsy niewolnic Czerkieskich przepływały przed twem okiem jak gdybyś była z marmuru, nawet poziewałaś na dowcipną szczebiotliwość branek Lackich. — Piękna Księżniczko powiedz: co ci dolega? czego ci nie dostaje? gdybym mogła tobym ci niebo przychyliła; tyś ulubione moje dziecię, tyś perła nad perłami!

— Fatmo droga! — odpowiedziała Zulma — nie wiem dla czego tak mi nudno, tak mi smutno od niejakiego czasu. Ojciec ukochany dziś przyjeżdża, a serce moje nie drga z takim zachwytem jak wtenczas, kiedy dzieckiem jeszcze biegłam go witać wracającego z Moskiewskich wypraw. Wszystko mię nudzi, wszystko niecierpliwi, i chcę i nie chcę, i płaczę i śmieję się, a mary dziwne snują się po głowie i mieszają pokój duszy. — Rzekła i skryła twarz w dłonie, czy ze wstydu, czy z chęci ukrycia tajemnicy. — Córko zamożnego Dewleta, Ozdobo Krymu, odkryj kryjówkę serca twego; wszak przed tobą stoi twoja Fatma, piastunka: od twego urodzenia, moje łono pierwszy pokarm ci podało. Nie z większą tkliwością matka tuli do łona pierworodne dziecię, jak ja ciebie przyciskałam. — Tyś swojej nie znała; zaledwie ujrziała światło, już jej dusza wlatywała ku niebiosom. — Dewlet-Giraj wówczas rwał włosy na głowie, i tarzał się po ziemi z rozpacz, bo ją kochał nad wszystkie niewiasty, nad bogactwa i nad buńczuk hański. Gulnara przy skonie spojrziała na mnie wzrokiem, któryby rozdarł najtwardsze serce, wskazała na ciebie ręką, którą zaledwie mogła podnieść, bo już słowa nie były powolne myślom i chęciom; wskazała, jak gdyby błagała żebym zastąpiła jej miejsce przy tobie. Przysięgłam przez Proroka na zwłokach już zgasłej Gulnary, że nigdy cię nie odstąpię, że ty będziesz dla mnie światem, dla mnie wszystkim; że w twojem szczęściu, zatopię moje szczęście, moje życie — przez pamięć twojej matki co tak lekko duszę wyzionęła, jak gdyby życie, istność człowieka w jednym słabym oddechu się zamykały — przez pamięć na na twoe niemowlęctwo, na moją troskliwość, przez wzgląd na miłość jaką ci niosę, Edeńska rybko, powiedz przyczynę frasunku, pozwól pocieszyć troskę twoich myśli! —

Powstała Zulma, i rzuciła się na kolana Fatmy, a przyciskając się do piastunki, tuliła się jak pisklą pod skrzydła macierzyńskie. — Fatma pogładzała ręką twarz aksamitnej gładkości, i przymuskiwała czarny włos — łza zabłysła w oku dziewicy tak rokoszna i tak trwożliwa jak kropla rosy przy wschodzie słońca, zawieszona na różowym kwiecie budiaku, ²⁴

drży łamanem światłem i dziwną krasą osłania pióropusz kwiatu. Jakież to obraz dla malarza, gdyby pędzel jego potrafił zachwycić ten wyraz nieśmiałej lekliwości dziewicy i tę chęć wyjawienia marzeń które napępiały myśl nieznaną, ale odgadywaną przez serce roskoszą; temi uczuciami które usta chciałyby powierzyć, a obawiają się przygany albo złej przepowiedni? Zulma targała w rękę chustkę, jednak ani słowa nie zdołała przemówić. Fatma do łez rozczulona rzekła: — Mój Aniele! co za kamień przywalił czyste źródło twojego życia? czy Diw rzucił na ciebie czar jaki? powiedz moja miła, moja jedyna, co ci myśl mąci; pociechę znajdziesz. Powiedz dolegliwość — podzielimy zgryzoty; nie bój się nagany; jabym wszystko dla ciebie zrobiła: miałażbym przeciwieć się twoim pomysłom? — Jeżeli chcesz tajemnicy, bądź pewna że co powiesz utonie tak głęboko jak w studni Alka-hiru; jak tam oko ludzkie dna nie dojrzy, tak tu mowa ludzka nie wybada co złożonem będzie w głębi mego serca. Powiedz śliczna Hurysko twoją boleść. — Zulma zarumieniła się i spuściła oczy w dół; słaby uśmiech przelatywał po twarzy i przeplatał się z dzieciannym wstydem, jak blade światło lampy z szarym mrokiem wieczora. — Fatmo, pamiętasz kiedy ojciec wrócił z ostatniej wyprawy na Moskiewszczyznę, z nim przybył młody kozak Assawuła Koszowego Atamana? Piętnaście lat kończyłam wówczas; ojciec wprowadził Orleńka do Haremu, on na mnie patrzył, a wizerunek jego utkwiał w mej myśli; widziałam go raz drugi i trzeci, on ze mną mówił ale nie jak z dzieckiem: a odtąd we śnie widzę jak okiem szuka mego oka; dwa lata minęło, a ja tęsknię do niego. Na każde wspomnienie o młodym kozaku krew żywiej płynie w mych żyłach, serce mocniej bije w łonie — jakieś nieznanne a roskoszne uczucie rozchodzi się po całym ciele; sama nie wiem jaką przyczynę naznaczyć temu wszystkiemu? — Zamilkła i szukała we wzroku piastunki odpowiedzi, jak obwiniony przed sądem chce w oczach swych sędziów wyczytać, jaki wyrok na niego wydadzą. Fatmę smutek ogarnął, ruszała głową; miała mówić, kiedy do komnaty wszedł czarny rzezaniec, a padając czołem do ziemi tak zaczął: — Księżniczko! Córko Hana, który tyle pokoleń liczy w swoim władztwie, ile jest piasku w morzu Czarnem, którego sława rozlega się po świecie jak słowo Proroka, który między holdownikami Sultana jest jak Dunaj między małemi rzeczkami! — Mulej Aga wierny sługa Hana, niewolnik władcy Krymu i Budziaku pragnie szczęścia oddać hołd Wielkiej Księżniczce.²⁵ — Niech wnijdzie — rzekła Zulma, a uśmiechem chciała pokryć poruszenie które miotaly jej duszą. Rzezaniec odszedł, wybiwszy wprzódy pokłon; drzwi się otwały i wstąpił Mulej Aga. Był to starzec przynajmniej ośmdziesiąt jesieni liczący; włos pobieliał jak płutno długo wystawiane na słońce i rosę, wąs i broda biała na

rumianej twarzy; wzrostu niedużego ale krępy i barczysty, strojny w zieloną katankę podbitą srebrzystymi baranami i zawój tegoż koloru; przy boku krzywa szabla, za pasem kindżał i pistolety srebrem nabijane. Księżniczka powstała, zrobiła kilka kroków ku niemu, i tak go powitała: — Przyjacielu mego ojca, mój opiekunie, w czasie jego wygnania ²⁶ jaką mi wieść przynosisz? — Wielka Księżniczko, Córko mego Pana i władcy, którego pierwszy uczył zawodzić bachmatem, machać szablą! Dewlet Geraj w Benderach w gościnie u Atamana Zaporoża, u walecznego Filipa Orlika. Wola jego jest, krasna Pani, abys i ty tam przybyła — wielkie jego są zamiary, wielce się zasłuży przed Prorokiem, przed Sultanem. — Zulma poczerwieniała radością. Młodej dziewczynie śmieje się podróż, śmieje się nadzieja zobaczenia młodego Orleńki; ona nie rachuje na przyszłość, nie przewiduje. — Siądź Mulej-Ago! Fatma podaj sorbet. — Piękna Księżniczko! ja pójdę gotować się do podróży; blask szóstej jutrzni, powinniśmy ujrzeć w Benderach: jutro przed wschodem słońca puścimy się w drogę. Fatma wybierze dwanaście niewolnic najmilszych swej Pani — i szaty i bogate przybory, bo córka Wielkiego Hana przepychem i okazałością powinna zdumieć wodza mężnych mołojców. Jutro ja z wyborem hord strzedz będę bezpieczeństwa perły Krymu, dziś niech Allah i Prorok czuwają nad tobą. — Schylił się pokłonem i odszedł. — Fatma całą noc ładuje bogate manele i szaty, niewolnice się krzątają, Zulma ani oka nie mruży; serce do nadziei bije, a myśl obudzona marzeniem przyszłości niecierpliwie liczy każdą chwilę, niecierpliwiej wygląda świtu.

Świttem zaszarzały niebiosy, srebrną twarzą jutrznia spojrziała ku ziemi. Orszak Księżniczki wyruszył w drogę; pięćset jeźdźców tatarskich przodem bieży, na ich czele dwóch mirżów przywodzi, parokonne maże ciągną długim szeregiem, a wszystkie ładowane kosztownymi sprzęty: — pięćdziesiąt ich było. We środku na długim wozie, dokoła opiętym szarem płótnem jechała Księżniczka i jej dwornia niewieścia. — Za małami wiodą sto bachmatów ze stada Hana i dwieście smyczy chartów krymskich na podarki. Po obu bokach sześciu Mirżów trzy tysiące jazdy prowadzi, czwarty tysiąc zamyka pochód. Skrzypią i rypią koła wierząc się na osiach, bo Tatar nie lubi jechać z cicha żeby go za złodzieja nie wzięto. ²⁷ Jeźdźce harują bachmatami, wrzeszcząc Allah Allah! Stary Mulej Aga kopie koniem na wsze strony, a Księżniczka i niewiasty, przez szpary płótna ciekawem okiem wyzierają, jak ptaki pomiędzy druty klatki — i tak wszystko ruszyło ku Perekopowi. Po drodze lud tłumnie bieży i patrzy, ciekawym językiem pyta, chciwem uchem słucha, bystrem okiem śledzi — i wraca pod namioty, nie kontent że się nie wiele, albo nic nie dowiedział.

V.

Z Czertomelickiej Siczy ²⁸ jeszcze kupa gruzów pozostała, jeszcze się wala drzewo pokopcone po ziemi, ale już nie ma śladu rynku, ani Atamańskiej chaty; niedawne jednak te czasy kiedy Kość Horodeński ²⁹ przyjmował Mazepę na Zaporozżu, i naklonił się na umowy że Szwedem. — Oj! bardzo niedawne te czasy kiedy w Czertomelickiej siczy cymbalista w kociół zabręczał, a czterdzieści Kureników ³⁰ na konie wskoczyło i tabunami kopnęło pod Pułtawę na Cara Piotra. Potęga czasu rumieni się przed dziełem ręki ludzkiej; co ludzie zniszczyli w kilku dniach, na to by czas wieków potrzebował.

Ludzka dusza nie mieszka w Czertomelickiej Siczy, tylko puszczyki pubaczą, sowy gwizdzą, a lelaki i nietoperze skrzydłem wiatr porzą; żaby do koła skrzekoczą, czasem nawet zając po siedzibie mołojców skacze, a ludzie się wynieśli daleko na Tatarszczyznę.

Dzisiejszej nocy mnodzy goście między gruzy zawitali; wielkie ognisko szerokim płomieniem bucha, a do koła Zaporozce rojem się snują, wymachują rękoma, poprawiają czapki; o czemś ważnem toczą się rozmowy. — Nareszcie wszyscy w jedną kupę się zebraли — we środek wszedł chłop duży jak dąb, to Horoszkiewicz buńczuczny Zaporozca. — Ha! Panowie Mołojce, Panowie bracia, licho w Zaporozżu! Ataman się zbisurmanił; dziś przybyłem z Bender. Filip Orlik Koszowy Ataman, dziś się zowie Osmanem Paszą, w Meczezie psiemu prorokowi czołem bije; po jutrze się żeni z córką Hana Perekopu, a nas chce na Kazany porachować! ³¹ — Tu wszyscy zawołali — przekłety niewiara! — W tem jakieś konie zatętniały, i tłum rzucił się w tę stronę — to Orleńko i Dżura przybiegli. Konie w białych mydlinach od potu i piany, jeźdce poczernieli od kurzu i rosy. Zaporozce poznali Assawułę — zdrów bracie Orleńko, zdrów bracie Dżuro, zkąd tak pędzicie? — Orleńko zsiadł z konia. — Zdrowi Panowie Starszyzna — i dodał ponurym głosem — z pogrzebu matki jadę — a jeden że starszyzny rzekł: — A na wesele Atamana. — Orleńki oszy zaikrzyły się, w głowie się zamroczyło i ledwie nie padł na ziemię — ha! z kim się żeni Filip Orlik? — Horoszkiewicz odpowiedział — z Córką Pana Hana Krymu i Budziaku, z czarnobrewą Zulmą — ale już Orleńko nie słyszał; ciemno mu w oczach, czarno w myśli, kręci się w głowie, nogi klękają. Horoszkiewicz wlał mu w gardło łyk wódki, Orleńko orzeźwił się i rzekł — a gdzie stary Neczaj? — z Atamanem w Benderach — odrzekł któryś z Zaporozców. Orleńko czas jakiś stał zadumany a wszyscy oczy na niego wytrzaszczyli; język mu się nie obracał w gębie,

ale na twarzy wielka wymowa, myśli tak się przez jej poruszenia objawiały, jak kolory światła przez odbryzgi wodospadu; kto zdala patrzy, widzi tylko lawę białosiną, walącą się z góry na dół, ale kto się zbliży i spojrzy pod słońce, łatwo rozezna i siedem kolorów tęczy i ich łamanie się. Człowiek myśli, na rodzaj zwierzchnictwa nad ludźmi czynu, nie wchodzą oni w to co on roi po głowie, dosyć że roi, a zatem może wyroić dla nich pole do działania. Orleńko długo stał, a widąc że w sobie toczy walkę boleśną, gwałtowną, nareszcie brzdękął pod nosem — przepowiedział — niech się stanie! — A potem wznosząc głos, tak mówił. — Panowie Starszyna, Panowie bracia! nie do mnie należy wam rady dawać, bom najmłodszy, ale waszych słuchać, wasze myśli odgadywać; ale dziś kiedy marnie ginie Kozactwo i mój język się rozwiązał, przed Bogiem bym gadał i przed wami mówię. — Święte słowa Ojca Mazepy kiedy powiedział: ³² Mołojce jedni Lachom za grosze służą, drudzy białym carom hołdują, trzeci z bisurmanami brat za brat się swatają, i kalają przeczystą wiarę spółnictwem z niewiernymi. A czyż to my nie możemy być narodem? czy nam brak na mołojcach, na bronii, na koniach? mamy wszystko jak za czasów Pana Kona-szewicza Sahajdacznego. Dniepr nie zarósł sitowiem; znajdziem drzewo na czajki, a skarby Sultańskie jeszcze z raz mogą się nam otworzyć. Przepędzim za nizowskie stopy niemieckie rajtary, ³³ a Lachom powiemy: po Słucz nasze. Zapomnieliście Panowie bracia, że kiedyś naszym Wyhowski atamanował; odrzucił on Lackie ³⁴ dary, bo nie chciał swobodami Kozaczyzny frymarczyć, nałożył głowę a nie sprzedał się; i Mazepa pomiótł przyjaźnią wielkiego Cara, bo nie chciał Kozaków w poddaństwo zapisać. — A dziś — jeden zmiennik, odszczepieniec, niewiara, za gładkie liczko Tatarki — i tu się zatrzęsł złością — padluka, bisurmańską wiarę przyjmuje, za bisurmańskie złoto Kozaków jak niewolników czerkieskich na tureczynów chce przerobić? Ścierpiemyż ohydę, niewolę? Nie! my mamy szable i dłonie! — Wydobył szablę i jednym migiem wszystkich szable w powietrzu zabłyśły i wrzasnęły jak trzoda djabłów: — Śmierć zdrajcy Atamanowi! — Orleńko dalej mówił: — Panowie bracia! towarzysze pohulanek Brzechowieckiego ³⁵ po Tatarszczyźnie! przyjmiecież za Panią, za Gospodarkę, za Carycę, Bisurmankę, której Ojcowie przed waszą spisą uciekali, jak plewa przed wiatrem, padali na ziemię pod waszym mieczem jak drzewa pod siekierą? — Wy! coście z Kościem Horodeńskim waszą pierśią zakryli Ojca Mazepę i Szwedzkiego bohatera, czyście nato napełnili sławą krzywy las? ³⁶ Czy dla tego stojemy na gruzach Czertomelickiej Siczy, abyśmy hołdowali bisurmańskiej psiawiarze, Atamanowi bez czci i wiary? — Tu tłumnie krzyczeli: — Nigdy! nigdy! do ostatniego wyginiemy, ale i psiawiara zginie. — Orleńko! wiedz nas na Bendery! Tak

prawisz jak Doroszenko. ³⁷ Bogdajesz bił jak Sahajdaczny! — Orleńko potarł czoło, machnął ręką. — Ha! kiedy taka wasza wola Panowie Starszyzna, niech i tak będzie. Nie potrzeba mi więcej jak pięć sotni mołojców, ale chwackich i na chwackich koniach; nim Filip Orlik wstąpi do łoża z oblubienicą Tatarską, wręczę mu podarek weselny, godny psiawiary, odszczepieńca, godny zbisurmanionego Atamana; ale czas nie stoi — żywo na koń! Dżura! dawaj ciemnogniadą. — Do koni biegnie Starszyzna Zaporozża, i już wsiedli i kupami pokłusowali ku stepom Białgorodzkiem ³⁸ gdzie naówczas koczowiskiem stały kurenie Zaporozża. — Na gruzach Czertomelickiej Siczy milczenie jeszcze głuchsze jak dawniej było; bo puszczyki i sowy odleciały a żaby z przestachu przestały skrzeczoać. Można by rzec że zwaliska siczy pocieszyły się na chwile odwiedzinami ukochanych synów, a potem osłoniły się grobową żałobą.

VI.

Filip Orlik więcej pięćdziesiątówki lat liczył, ale jeszcze zwawy jak wiun, czerstwy jak mróz styczniowy. Assawułą był przy Atamanie Mazepie; co Mazepa myślał, to Orlik wiedział. Ataman odsłaniał najskrytsze tajnie swojej duszy; Filip robił układy z Lackiem Pany i z Królem Stanisławem; on odjeżdżał do Szwedzkiego Karola, i pośredniczył między Mazepą a Horodeńskim. Po porażce Pułtawskiej, jeszcze się jemu dostała posada wysłannika do Carogrodu; tam wicherzył w dywanie ³⁹ na korzysć Króla Szwedzkiego i Atamana Ukrainy, ale też i o sobie nie zapominał. Zaskarbił sobie łaskę Sułtańską i przedniejszych Paszów; a kiedy Mazepa skończył życie, Karol po śmierć pojechał do Szwecyi; on się przywiązał do osoby Konstantego Horodeńskiego, był pisarzem Zaporozża, a tam datkiem i pięknem słówkiem, i zasługą wojskową, w wycieczkach na Moskwę, umiał sobie zjednać serce Mołojców i przyjaźń Hana, natenczas opiekuna wolnej Kozaczyzny. W kilka lat Horodeński zszedł z tego świata, a Kozacy Zaporozża okrzyknęli Orlika Atamanem kozowym. Nowy Ataman często harce zawodził po Ukrainie Zadnieprzańskej. ⁴⁰ Biegła młodzież z Kozaczyzny i Moskiewskiej i Polskiej łączyć się z bracią Zaporozżcami i wtenczas przybył Iwan z Tryhur — nikt ani wiedział, ani pytał o jego ród: gracko wywijał spisą, dziarsko koniem pomykał na wroga; Ataman go pokochał jak własne dziecko, i dał mu imię Orleńko — na znak przywiązania. Kurenie wkrótce Assawułą go mianowały. Młody Orleńko woził listy do Bakczysaraju, często towarzyszył wyprawom Dewlet Giraja, ale nie wiedział, jakie perehowory się odbywają między Or-

likiem a Panem Hanem Tatarszczyzny; raz mu tylko Dewlet pokazując córkę rzekł: — Na proroka się zaklinam, ładna dziewica warta i Zaporozkiego Kozaka. — Orleńko się zarumienił i pociągnął palcami po mszącym się wąsie, spojrzął w oczy Zulmy i ona mu się mizgnęła, a miłość się zakradła w oba serca. Niebawem Orlik tryb życia zmienił, rzucił Koczowiska Zaporozża, a osiadł w Benderach; już nie myślał o bojach, tylko dom swój stroił w zbytki wschodnie. Kozactwo szemrało, ale potężna opieka Sułtana i Hana Krymskiego, wkładała potrzebę milczenia na języki Starszczyzny. W tych czasach Iwan Orleńko zyskał pozwolenie udania się na Ukrainę Polską. — Ale na tem nie koniec; pierwszy krok kosztuje, reszta pójdzie jak po maśle; Orlik odszczepił się od przeczystej wiary Chrystusa, a zaprzedał swą duszę Mahometowi, prorokowi Mekki; na jego dworze czarni rzezańce, okopceni słońcem Arabowie z Kozakami się mięszają; w jego haremie niewiasty z różnych krańców świata, czekają na rozkazy Pana; a na domiar bezwstydu przybrał imię Osmana Paszy, Ataman Zaporozża, i poślubił w małżeństwo Zulmę Bissurmankę córkę, Hana Krymu i Budziaku.

Na dworze Orlika wielka uroczystość, po dziedzińcach taki tłum ludzi, że szpilka rzucona z nieba, oparłaby się na głowach, a ziemi by nie dostała. Dziś Ulema błogosławił małżeństwo Hanówny Tatarskiej z Atamanem Zaporozża. W haremie suta ucztą. Han, wielki Wezyr, dwunastu Paszów, dwie kopy Agów, trzy sotki Mirżów, bez liku Bejów i kilkunastu ze Starszczyzny Zaporozkiej w gościnie u zbissurmanionego Atamana. Brzmia szezdary Muzułmańskie, dźwięczą teorbany i gęśle kozackie, czystej miłości pienia nuca dziewice wschodu, tłuste śpiewki zawodzą bandurzyści kozaccy, a na stołach jadło wykwiłne i w puharach złote wino Szyrazu. Choć Mahomet wzbronił trunku, Amurat rozgrzeszył, ⁴¹ a Muzułmanin z taką roskoszą ciśnie do ust puhary z winem, jakby cisnął usta dziewczycy gruzyjskiej. ⁴² Powszechna wesołość i uciecha: jedna tylko oblubienica zadumana i smutna, nie chce zasłony odwinąć, zapewne obawia się przyćmić blaskiem swych oczów blask światła płonących w alabastrowych urnach. Nikt jednak się nie dziwi, ani nieśmiałości, ani trwodze; bo czyż serce wojownika nie mocniej kołace w chwili chrztu bojowego? — dla czegożby słaba dziewica miała być spokojną w chwili swego chrztu na niewiastę? Orlik dumny jak sam Sułtan, szczęśliwy jak najszczęśliwszy człowiek, pociąga blyzczącym okiem po zgromadzeniu, ciągle wraca wzrokiem ku oblubienicy; biesiadnicy nie szcędzą ani napitku, ani jadła; wino, jak opium zasłodziło w głowach. Wtem wszedł stary Kozak Neczaj; postawa jego harda, nie chyli czołem, ale w oczy patrzy dumnym Turczy-
nom, a zbliżywszy się do Orlika, rzekł: — Ojczy Atamanie,

masz pismo — wręczył mu list — posłaniec czeka na świadectwo, że oddał — A z kąd Neczaju? — Neczaj rzekł ciszej: — Z Tryhur, od Pani Starościnej. — Orlik pobladł, zdrzął, wziął pismo i włożył w kieszenie szarawarów. — Neczaju! jutro odpiszę. — Neczaj kiwnął głową — nie potrzeba odpisu. — Znow Ataman przerwał: — Neczaju! jutro pogadamy. — Odszedł Neczaj, ale widać niechęć na jego twarzy. Ataman chciałby się rozerwać, puhar po puharze spełnia, ale i upić się nie może, siada koło oblubienicy i mówi do niej — ona mu nic nie odpowiada, a ręka jego ciągle z listem się bawi; każe muzyce silniej grać, muzykanci brzmia aż strony się rwą, a serce i myśli Atamana rwą się także od niepokoju. Przeczucie mu szepcze: — złe przed tobą — a jednak nie chce otworzyć listu, boi się goryczą zatruwać dzień wesela, woli dręczyć się niepewnością. Muzułmanie jedzą sorbety, piją kawę, a niewolnice Atamana poczęły skoczne płasy; już ku północy się zbliżało, weszła Fatma dać znać, że łożnica już gotowa. Na rozkaz ojca, Zulma powstała, sparła się na ramiona piastunki; jak puch lekka, jak puch się chwiejąca wyszła z izby biesiady, a łza strachu czy boleści, zwilżyła białą zasłonę. Już i Orlik zabierał się do wychodu, kiedy rozruch wszczął się na dziedzińcu; biesiadnicy z miejsc powstali, Ataman skoczył ku drzwiom. Wtem drzwi się otwarły — wszedł najprzód niewolnik Azab i rzekł: — Wielki Paszo! Mołojce Zaporoża przyjechali z podarkiem i powinszowaniem, w dzień twego wesela. — Orlik rzekł: — Jutro! — ale nim skończył co chciał powiedzieć, wszedł Orleńko. Ataman zawołał: — Assawuło! to ty moje dziecię. — Orleńko był groźnej postaci; choć chciał udać pogodę twarzy, oczy jak obłąkane latały po izbie, jakby szukały kogoś: chciał się uśmiechnąć, a usta piekielnie się skrzywiły, tak iż Ataman schwycił za rękę szabli — natenczas Assawuła rzekł: — Panie Atamanie! choć nie obwieściłeś Mołojcom Zaporoża swoich zaślubin, oni jednak jako swemu przywódcy szłą przezemnie powinszowanie i podarunek. — Orlik czułym głosem przerwał: — Orleńku! znam twoje serce, dzięki braciom Mołojcom, jutro pogadamy; gospodarz dziś na mojem miejscu, bo mnie czeka oblubienica. — Na te słowo poczerwieniał Orleńko: — Ha! psawiario, odszczepieńcze, dziś się porachujemy. — Ataman dobył szabli, ale Orleńko świsnął, i pięćdziesięciu Mołojców z dobytymi szablami wskoczyło do izby. Biesiadnicy porwali się do broni, Orleńko krzyknął: — Panowie Paszowie, Panie Hanie! broń do pochw! jeden mach, a będzie rozbrat z waszem życiem, my z Atamanem mamy porachunek. — Muzułmanie stali jak z kamienia i Kozacy także. Assawuła zbliżył się do Orlika. — Oddaj miecz niewiario! — Ataman chciał ciąć ale ręką mimo machnęła szablą, Orleńko dobył kindżał i migiem błyskawicy pod piersi ugodził Atamana — zwał się Orlik;

w tem wleciał stary Neczaj i boleśnie wrzasnął: — Coś ty zrobił Paniczu! — Ale Orleńko nic nie słyszał, tylko zawołał — a gdzie oblubienica? — i skoczył we drzwi wiodące do Haremu. Dewlet i Paszowie chcieli za nim biedz w pogoń, ale mołojce płotem stanęli przeddrzwiami. Neczaj podnosił ranego Atamana i złożył na kobiercu, mówiąc: — Orliku! Orliku! to twój syn. — Ataman oczy rozdzierał: — Kto mój syn? — Orleńko, twój syn: — I Kozacy i Muzułmanie do koła obstąpili umierającego, i nikt nie pragnął rozpoczynać boju, ani gonić Orleńki; sam tylko Dewlet piecił się gniewem: ale coraz więcej Zaporozców wchodziło do izby i nikogo ani wpuszczali ani nie wypuszczali — dobył miecza Han ale wnet mu go wyrwano; targał się ciągle z Kozakami trzymającymi go za ręce.

Krew uchodziła z rany; Neczaj ją tamował, a Orlik rzekł słabym głosem: — Kto? on mój syn! — Orleńko! — Neczaju dostań pismo z kieszeni. — Neczaj dostał list. Ataman trochę przyszedł do siebie — odpieczętował i z koperty wyjął dwa papiery, jeden zmięty, drugi świeży. Orlik rzekł: — Przeczytaj który — a jeden z Zaporozców tak czytał: — Kochany Pilipie! już umieram a jeszcze ciebie kocham, nasz syn Iwan z Tryhur jest na Zaporozu, jest przy tobie. — Bądź zdrów i szczęśliwy! twoja Joanna. — — Orlikowi łzy się puściły, i mówił — czytaj dalej. — Kozak rozwinął drugie pismo i tak czytał. — Ja niżej podpisany przysięgam przed Bogiem i ludźmi iż przyjmuję za mego syna Iwana narodzonego z Joanny Wyhowskiej przyszłej mojej małżonki, nadaję mu imię moje rodzinne, i nigdy w żadnym wypadku przyrzeczenia mego nie zaprzeczę. Szymon Woronicz Starosta Smoleński. — Zaledwo skończył wpadł Orleńko, dzika rokosz we wzroku, w całej twarzy gwałtowne poruszenie, przyskoczył do Atamana. — Ha niewiarno! wydarłeś mi kochankę, jam ci życie; idź jeżeli możesz kosztuj rozkoszy małżeńskich, już ona moja! — Orlik słabo odezwał się: — Orleńko! Iwanie! nie bluźń! tyś mój syn! Czytaj! — Orleńko zadrżał spojrzawszy na pismo — to moja matka pisała — i czytał — padł na kolana. — Ojczy! Ojczy! jam twój zabójca. — Orlik wziął go za rękę a ujrzawszy pierścień srebrny, dar przyśmiertny Matki, mówił: — Jam jej dał ten pierścień, kochałem Joannę i ona mnie kochała: ale ja byłem prostym kozakiem, ona wnuczką wielkiego Atamana; poświęciła miłość dla dumy, wyszła za szlachcica; i ja dumy zapragnąłem, ujrzałem ją w Czehrynie, a czułem że moje serce kocha jak dawniej. Ona mi powiedziała, że Woronicz jej wyrzucił dawną miłość, twoje narodziny, że ją zelżył — nie myślałem długo. — Woronicz padł pod moim mieczem. Mazepie trzeba było szlachty polskiej — powiedziano że umarł nagle Starosta. Jam go zabił za obelgę zrobioną mojej kochance, memu dziecku. Synu!

uściśnij mię, ja ci przebaczam, jam nie wiedział że ty znasz, żeś widział Zulmę. — Orleńko płakał i wszyscy stali rozczuleni, sam nawet Han niemo poglądał. Orlika oczy coraz gasły i przy skonaniu rzekł. — Boże! przebacz mi. — Mołojce darujcie me winy — synu! uściśnij mię! — Chciał uściśnić syna i skonał. — Orleńko obłąkany wzrok niesie na wszystkie strony a zgryzota serce pali; wtem weszła Zulna piękna miłością, piękna nadzieją: włos rozrzucony w warkocze, zasłona nie kryje białej twarzy, lekka szata ledwie owionęła gibką kibić. Nie zważa na ojca, ani na tłum ludzi; nie widzi trupa, przedziera się i rzuca na szyję Orleńce. — Orleńko wzdrygnął się jak szatan od wody święconej i w tył odskoczył. — Jam ciebie nie godzien, jam Ojacobója — i silnie odepchnął kochankę. — Kobieta! djabeł! tyś w serce moje wlała zbrodnię, tyś rękę moją kierowała do zbrodni. — Spojrzała na obłąkaną twarz Orleńki, spojrzała na trup Orlika, pobladła, zadrżała i osunęła się na ziemię. — Darmo ojciec trzeźwi, darmo Fatma i niewolnice odcierają ciało, już ono skrzeple i zimne jak lód. Orleńko dziko krzyknął: — Zabiłem Ojca, zabiłem kochankę, jeszcze niejedną ofiarę zabiję nim mój koniec przyjdzie! — Wyskoczył jak szalony i za nim wypadli Mołojce, wskoczyli na konie; jak czwałem przybiegli do miasta, tak i teraz wezwał z miasta wyłecieli.

W Benderach miasto wesela do pogrzebu się gotują, a małżonkowie rozdzieleni uczuciem za życia, śmiercią łączyli się w jednym grobie.

VII.

Na gruzach Czertomelickiej sicy kurenia Zaporozców koczowiskiem się roztasowały, dzień biały zajaśniał, zielenią wianki tawarów; na Szczebiewiszczy wojskowej, sinieją wody Dniepru, a Mołojce ku Budziakowi w step oczy wyprężyli: a step niesie szeroki i wysoki tuman pyłu: — To nasi jadą! — krzyknęli Mołojce — wybrnęli z chinury kurzu jeźdce i rozpierchnięci polem sadzą w czwał. Pierwsza ciemno-gniada wskoczyła między kurenie: na niej Orleńko jak przykuty siedzi, dziko i groźnie patrzy. — Jakie wieści? — pytają. Orleńko nic nie mówi, tylko wydobył kindżał skrwawiony i w powietrzu nim potrząsa. Za nim przyskakali inni jeźdce i opowiadają jak się rzecz miała. — Starszyzna ustawia kurenie do porządku, i ogłasza obór Atamana Koszowego; we wszystkich kureniach Mołojce czapkami w górę świsnęli, i krzyknęli. — Orleńko nasz Ataman! niech żyje długie lata! On nie żałował krwi ojca, nie pożałuje krwi wrogów. — Orleńko przyjął

buńczuk, przypiął czaple pióro do czapki ⁴³ i dziko zgrzytnął zębem, niby z uśmiechu radości. Piją miód i wódkę Mołojce i młody Ataman pije na całe gardło. — Bojów i rabunków wołają mołojce. Młody Ataman prowadzić na nie uroczyście przyrzeka; już Orleńce w spoczynku nie masz spokoju; krew kala sumienie, nową krwią trzeba zmyć dawną krew! zbrodnia gniecie duszę, nową zbrodnię trzeba stłumić dawną zbrodnię; ślepym trafem z piekłem się zapoznał, nie czas cofać się: lepiej dalej brnąć. — Mołojce radzi z nowego Atamana, bo wojna mu z oczów patrzy, a rabunki bogatym plonem uśmiechają się Kozactwu.

...the ... of ...
 ...the ... of ...
 ...the ... of ...
 ...the ... of ...
 ...the ... of ...
 ...the ... of ...
 ...the ... of ...
 ...the ... of ...
 ...the ... of ...
 ...the ... of ...

...the ... of ...
 ...the ... of ...
 ...the ... of ...
 ...the ... of ...
 ...the ... of ...
 ...the ... of ...
 ...the ... of ...
 ...the ... of ...
 ...the ... of ...
 ...the ... of ...

...the ... of ...
 ...the ... of ...
 ...the ... of ...
 ...the ... of ...
 ...the ... of ...
 ...the ... of ...
 ...the ... of ...
 ...the ... of ...
 ...the ... of ...
 ...the ... of ...

...the ... of ...
 ...the ... of ...
 ...the ... of ...
 ...the ... of ...
 ...the ... of ...
 ...the ... of ...
 ...the ... of ...
 ...the ... of ...
 ...the ... of ...
 ...the ... of ...

G A W Ę D Y.

G A W H D Y

OWRUCZANIE 1794.

Było to w chwili kiedy nastąpił drugi rozbiór Polski, a Moskwa posunęła swoje zabory po Słucz. Występn i niegodni Polacy służąc moskiewskiej Carycy, jeszcze przed rozbiorem sprowadzili większą część narodowego wojska na zimowe leże do Województwa Braclawskiego i Kijowskiego, aby Caryca mogła je namową lub musem skłonić do moskiewskiej służby; ten nieczestny czyn spełnili Złotnicki i Lubowidzki z rozkazu Ksawerego Branickiego Wielkiego Hetmana Korony. Moskwa już odkrywała Gubernje w zabranym kraju, ale jeszcze wstrzymywała się z ostatecznem postanowieniem względem narodowego wojska: po złożeniu broni, niewolno mu było opuszczać naznaczonego leża; oddziały moskali strzegły go do koła, a Targowiczanie służyli Moskwie za szpiegów. Moźni panowie brzydką frymarką, a szlachta bezładem, pograżywszy Ojczyznę w przepaść, pogardzani i znieważani przez zbirów moskiewskiej Carycy, już zaczęli uczuwać i szkaradę i nierozum swojego postępowania; ale jeszcze nie śmieli jawnie podnieść głowy, tylko pokątnie utyskiwali na swoje błędy i winy, i złorzeczyli wrogom, kiedy przyszła wieść o danem haśle do powstania przez Tadeusza Kościuszkę. Moskwa zdwoiła siły swojego wojska, surowość swoich urzędników i baczność szpiegów w całym zabranym kraju, a szlachta zaczęła pomalutku, jak mogła i umiała, radzić o podźwignieniu Ojczyzny.

I.

W starym Owruczu, siedzibie wojennej polskiej szlachty, był Opatem ksiądz Józafat Ochocki, mnich unicki z zakonu Świętego Bazylego; on dawnym obyczajem Bazyljanów, podminiszą szatą żywił polskie serce. Kapłan Boży, umiał godzić

służbę należną wierze, ze służbą Ojczyzny i w spowiednicy i na kazalnicy jedno i toż samo opowiadał: za wiarę, za Ojczyznę, za wolność, idźcie i gńicie, dla nich tylko żyjcie. I teraz ledwie zasłyszał o wieści mającego się rozpocząć powstania w Polsce, natychmiast zebrał w zakrystji Zaruczajskiego monasteru wszystkich żebraków, starków, którzy od wielu lat żyli jałmużną monasterną, i wtenczas kiedy mnichy w kościele sławiańską mową śpiewali hymn: — Hospody pomyłuj! Hospody pomyłuj! — On do żebraków tak kazał:

— Lirnicy, guślarze, dziady z torbami! dalej w drogę, po siołach, po grodach; po stekach, po lasach; rozłaćcie się jak robaki Boże, mówcie w ucho ludowi Bożemu, niech nyszkciem broń przyrządza, konie sposobi, a jak po miastach i po siołach na gwałt dzwony zajęczą, niech na koń siada, za broń chwyta, i bieży, za wiarę, za Ojczyznę i za wolność, krew wrażą sączyć, swoją przelewać. Wy lirnicy, brzęczcie w liry, w teorbany, wojenne kozacze dumki, piejcie w różne głosy pieśni naszego Zaporoża; niech wasze pienia, wasze brzmienie w wojennej szlachcie krew warem zakipi, niech lud kozaczyj wojnę zachumieli. Wy guślarze skarbniki przeszłych dziejów, idźcie po dworach, po karczmach, po chatach, a wszędzie opowiadajcie złote dumy, o Królach polskich, o kozaczych Atamanach; opowiadajcie że był u nas Piotr Konaszewicz Sahajdaczny, co z krzyżem na piersiach z szablą w ręku, na koniu i na czajce, w Europie i w Azyjskich krajach, gromił Bisurmanów za wiarę. Że był u nas Jan Wyhowski, co Konotopskie pola zgnoił moskiewskimi trupami, zlał krwią moskiewską i na długie lata pobielil je moskiewskimi kośćmi za Polskę. Że byli u nas młodce rażni, ochoczy, co w kilka tysięcy koni pod wodzą Brzuchowieckich, Orleńków, stotysięczne wojsko Hana i białego Cara, gnali za góry, za morza, w perzynę pustoszyli ogniem i mieczem Bisurmańszczyznę i Moskiewszczyznę, za wolność; mówcie im to, mówcie, a znajdą się młodce, znajdą się Wyhowscy i Konaszewicze. Wy dziady z torbami, dobrą wieść w podarku ludowi Bożemu nieście, proście o jałmużnę dla wiary, dla Ojczyzny, dla wolności; niech własnego życia i mienna nie skąpią, niech między wrogów hojnie śmiercią szafują, a ostoi się kościół powszedni, jedyny; będzie Polska, zaświeci swoboda ludowi. Idźcie, mówcie co ja wam mówię, Bóg wam dopomoże, Bóg nam pobłogosławi.

Tak mówił ksiądz opat. Nic dziwnego! i Konaszewicz Sahajdaczny był mnichem Bazylianem. Lirnicy, guślarze i dziady żebracy w ręce go całowali, a on ich błogosławił; twarz jego zapaleł się lśknął, i oko błyszczało zapalem, a siwe włosy jakby umyślnie ozłocił promyk słońca; tamto jawne odbicia się uczuć polskiego serca, to znak wyraźny błogosławieństwa Bożego.

Czterech Bazyłjanów dzieliło chleby, mięsiwa i pieniądze między starców, i każdy starzec jeszcze się pomodlił w kościele, a potem szedł w swoją drogę.

Tymczasem ksiądz opat wziął na stronę młodzieńca przybranego niebardzo bogato ale chędogo, w polskim kontuszu i żupanie.

— A cóż Panie Wicziński?

Zbolałe oczy młodzieńca łzami zaszczyły, na bladą i schorzałą ale piękną twarz, wystąpiła krasa rumieńca, nawet kibić wiotka, gnąca się, spanoszała butną postawą:—Księżę opacie, ja gotowem na wszystko. — Więcej nic nie odpowiedział, ale widąc że radby mu do nóg się rzucić, w ręce ucałować; tak go zachwyciła mowa mnicha.

Ksiądz opat to poznał, wziął go za rękę i musiał uścisnąć, bo dobre serce wyzwierciedliło się na twarz. — Więc jedźmy.

W godzinę później czterokonny powóz, wyjechał z Zarucajskiego monasteru, przejechał przez most na ruczaju i toczył się ku Wileńskiej bramie. Już siedmiowzgórzy Owrucz całkiem zajęło moskiewskie wojsko; ksiądz opat patrzył na ten odwieczny zamek, jeszcze Igorowego stawiania, na tę Spaską cerkiew, gdzie przed obrazem Zbawiciela, Owruczanie pierwszy chrzest przyjmowali, na ten klasztor Dominikański założony i postawiony przez Pana Sędzięgo Dubrawskiego; na te okopy i wały każdego wzgórza: tam wszędzie snuje się żołdactwo moskiewskie. Ksiądz opat pomodlił się, zapewne o to żeby ich tam nie było, i rzekł do woźnicy: — do Barbarowa.

Młodzieniec żywo się zarumienił i westchnął.

II.

W Barbarowie mieszkał Strażnik Oskierko, pan dumny rodem i znaczeniem, ale dobry Polak; miał kilkoro dzieci a między niemi najstarszą córkę już dwudziestoletnią. Panna Strażnikówna była sławna z urody na całe okolice; kibicią smukłą, rosła, hoża, a taka szykowna, że aż lubo patrzeć na nią. Licem mleczna jak kwiat kaliny, rumieńcem kraśna jak żurachwiny jagoda; ząbkami biała jak śnieg, a usteczkami koralowa jak sam koral; oczy błękitne, brew czarna i włosy krucze; a taka milutka, taka słodziutka, że zdaje się wołać twarz i oczkiem na młodzieńców: kochaj mię, kochaj! Ale czegoś zawsze zadumana; trudno jej na uśmiech, i jeśli się uśmiechnie to nie-szczerze; łatwiej na łzę, i często też oko we łzie się kąpie; że już troska i niepokoje kołatały nieraz do jej serca.

Sąsiedzi, a nadewszystko sąsiadki, gadały, że przed czterma laty młodzieniec nazwiskiem Kulikowski, dobry szlachcic, ale

niższego rodu od rodu Oskierków, serdecznie, namiętnie pokochał się w Pannie Strażnikównie. Panna jeszcze dziecina, nie podzielała jego miłości, a ojciec po prostu bez żadnej ogródki zakazał mu bywać w swoim domu, powiadając: — Jeżeli Waszecz jako sąsiad i brat szlachcic przyjeżdżasz odwiedzać mnie Oskierkę, to proszę; jeżeli w zaloty do mojej córki, to nic z tego nie będzie: w takim razie, moje progi za wysokie na Waszeci nogi, Oskierczanka nie dla Kulikowskiego. — I odwrócił się. Kulikowski miał szablę przy boku, ale to był ojciec tej którą on kochał; z resztą tak z nienacka ta mowa na niego spadła, iż słowa nie rzekłszy wyjechał z Barbarowa, nie wrócił do matczynego domu, i gdzieś zniknął; czy umarł z rozpaczy gdzie na pustyni, czy wstąpił do jakiego zakonu, tego nie wiadomo, bo ani w Owruckiem, ani w Żytomirskiem, ani w całym Bracławskiem, nigdzie o nim dowiedzieć się nie można było; przepadł dla matki, przepadł dla braci szlachty. Matka spokrewniona z Bechami, z Waškowskimi, z Czopowskimi, z Korkuszkami liczną szlachtą Owruką, takich kłopotów nabawiła Panu Oskierce, że nim się od nich odkaraskał, musiał puścić na pastwę braci szlachty nie jeden antał wina, nie jedną beczkę miodu i wiele kuf wódki, a do tego, i sam z nimi wypić. Strażnik pojednał się z bracią szlachtą, bo on Owruczanin i oni Owruczanie; w tym błogim zakątku polskiego kraju nie znają rodowych nienawiści, ale trzymają się gadki rodzimej, Owruckiej: w zgodzie żyć, mało mówić, wiele pić, i tego bić ale wroga, nie swojego. Panna Strażnikówna jednak, chociaż nie kochała bynajmniej Kulikowskiego, nie jedną chwilę w smutku spędziła, tra piąc się że mimowolnie stała się powodem cudzego nieszczęścia.

Strażnik przecie po tej przygodzie, wcale nie zmienił swojego postępowania. Dwa lata temu jak zaczął uczęszczać do jego domu Pan Wiczfiński, i sam potomek z dawnej szlachty, i spokrewniony z najznakomitszymi domami Polski. On kochał pannę Strażnikównę i ona jego kochała, ale nieubłagany ojciec powtarzał jak pierwej: — Oskierkówna nie dla Wiczfińskiego. —

Młodzi eniec hoży, wesoly przedtem, smutkiem i cierpieniami sterał swobodę duszy, i zapadł na zdrowiu. Dawniej hulaszczoha rcował na koniu, z rusznicą w rękę uganiał zwierza po knieja ch; zawsze czepko się nosił, w tańcu skocznie hasał, a teraz z miłości tak zchyrlał, że od lada wiatru się słał; ale dusza nie zchyrlała, bo w nią kochanie tchnęło i ogień i zapal.

Dziewica choć łagodna i potulna, odmawiała posłuszeństwa surowemu ojcu, kiedy szło o przyrzeczenie jej ręki. Niemierzycowi, Pau szy, Trzeciakowi, albo któremu innemu z naczelnej Owruckiej szlachty, odważała się nawet powiedzieć: — Zostanę

starą panną, albo wstąpię do zakonu, a nie będę niczyją żoną, jeśli nie Marcelego Wiczfińskiego. Ojciec zgniewał się, ale jeszcze nie miał tyle dumy, żeby dla niej poświęcał szczęście córki i używał przymusu; postanowił czekać i dokazał tylko tego, że przez cztery miesiące noga Wiczfińskiego nie powstała w Barbarowie.

Wszyscy w okolicy mówili, nawet to mówienie dochodziło do uszu Pana Strażnika: — Biedni, oni się kochają, on ich pozabija swoją dumą. — Strażnik na to brwi nasępił, wąsa targnął i mruknął przez zęby: — jakoś to będzie.

III.

Nie imieniny, nie urodziny, ani święto żadne, a jednak w Barbarowie u Pana Strażnika zebrało się hukiem gości i to naczelników Owruckiej szlachty; nie jedzą, nie piją polskim obyczajem; tylko tytuń kurzą, tabakę zażywają, i coś radzą.

— Panowie bracia, rzekł Strażnik, radźmy przecież porządnie, żebyśmy byli w stanie zrobić postanowienie jak przyjedzie ksiądz opat. — Spojrzał w okno: — coś go nie widać?

— Zaraz przyjedzie; ja mówiłem Waćpanom Dobrodziejom co go zatrzymało — odpowiedział Jan Nepomucen Ochocki, synowiec księdza opata.

Tadeusz Niemierzycz Podkomorzy Owrucki parę razy buchnął dymem z cybucha. — Ale któż on taki ten Kościuszko, kto go rodzi? — przyjechał z Ameryki i ogłosił się naczelnikiem, jakby tu u nas brakowało na ludziach?

— Zapewne! — podchwycił Tadeusz Pausza, Szambelan Jego Królewskiej Mości. — Głosić się naczelnikiem, kiedy mamy Króla? z resztą ani z pierza, ani z mięsa nieznany.

— Moszczi Dobrodżeju — przemówił Pan Andrzej Dubrawski Sędzia Grodzki Kijowskiego Województwa, znany nietylko na całej Rusi, ale i po wszem Polskiem królestwie — kto on taki mniejsza o to; chce bicz szelmów Moszkali, taj doszyć: my go szluchajmy.

— Słuchajmy a nie wadźmy się — domówił się Jakób Pausza porucznik kawalerji narodowej, brat Szambelana.

Stanisław Trzeciak Sędzia ziemiański Owrucki wąsa naciągnął. — Ja powiadam, że najprzód trzeba powiesić tego huncwota Józefa Czerniachowskiego, to skórka na buty zmoskalony; jak go powiesimy to nie zmartwychwstanie.

— Pan Sędzia ziemiański skazuje na gardło Czerniachowskiego ja się piszę na to, to Targowiczanie; ale też nie zapomnijcie że i Pan Stolnik Załęski kandydat do szubienicy: byłaby krzywda jednemu bez drugiego wisieć; ja Feliks Pągowski, o to was proszę.

— Łaskawco, porzućmy prywaty — odrzekł Józef Jakubowski — a miłoby było Waćpanu wisieć? — ot radźmy o sprawie Ojczyzny. — Pałowski zabierał się do słów, nim by może przyszło do szabli, ale na szczęście spór przerwany został przybyciem poruczników kawalerji narodowej z pińskiej brygady Kopcia i Tyzenhausa, a niebawem też przyjechał i ksiądz opat z Panem Wiczińskim.

Strażnik trochę się naburmusił, ale cóż robić? z księdzem opatem przyjechał, rad nie rad musiał przyjąć gościa. Szlacheckim nałogowym obyczajem, szlachta zaczęła radzić; to wszyscy gwarnie i tłumnie na prześcigi gadali, a jak w babińskiej wieży ani składu ani ładu z ich gadaniny wyciągnąć nie można; to znowu jak któryś z tych gadaczy mimowolnem słówkiem klin zabił, milkli wszyscy i tylko wargami poprzykiwali, pokręcali wąsy, pasy poprawiali. Temi niememi znakami dziwnie dobrze, lepiej jak na słowa się rozmówili, bo zaczęli przebąkiwać — ha — ot — co tam — jakoś to będzie — bić inoskala.

Wtenczas zabrał głos ksiądz opat: — Jeżeli pozwolicie mi słudze Bożemu, dać wam dobre rady, to ja gotówem.

— Zgoda, zgoda księżu opacie, prosimy. Rozkazuj, my zrobimy wszystko. — Wszyscy się odezwali.

— Wicie o tem, że wysłałem moich dziadów po grodach i po siołach; oni tam dojdą gdzie nikt nie dojdzie; to powiedzą czego nikt nie powie; a teraz bierzmy się do roboty, ale wszyscy razem, bo gromada to wielki człowiek. Jest naczelnik co każe bić moskali; słuchajmy go a róbmy; najprzód trzeba złożyć pieniądze na sprawę, bo to potrzebne.

Moszczi Dobrodźeju — odezwał się Dubrawski: — Książdz opat dobrze mówi, beż grosza ani sztąp; na pierwsze potrzeby ja żaraż dam dziesięć tysięcy czerwonych złotych, na wszelki przypadek ja tu z szobą je przywiózł; bo kto ma, to nie proszi; a mnie nieboszczyk ojeczc mówił: szynu jak masz czo zrobić, to zrób dzisz, a jak masz czo źjeść to zostaw chozby i na jutro, niez nie zaszkozdi.

— Na pierwszy raz jest za co zacząć ręce, ale na tem nie koniec; trzeba żeby wszyscy dali. Waćpanowie roześlujcie żony, córki, siostry, matki; niech z karbonką pomiędzy bracią szlachtą jeżdżą; one i grosza uzbierają, i niejednego namówią żeby do broni stanął. Na przejażdżki kobiet moskal nie bardzo będzie baczył, a kobiety potrafią i w mężczyznach zapal wzbudzić do ojezystej sprawy, i inne kobiety przekabacą na swoje, jeżeli nie przez serdeczne przekonanie, to przez chęć niedania wyprzedzić siebie; ale z drobnemi szlachciankami niech nie gadają z waszecia tylko jak równa z równą; tak trzeba.

— Tak, tak. To dobrze, dobrze.

— Waćpanowie i cała szlachta, chłopów hołubcie do siebie; mówcie im żeśmy wszyscy bracia Polacy, i tak czynicie z nimi jak z braćmi. Księży czy to unitów czy błahoczystywych zapraszajcie na obiadki; datkami, grzecznościami jednajcie i powiadajcie: jak z Polski wrogów wypędzimy, a osadzimy na tronie naszym Króla, dla wszystkich będzie jedno i toż samo dobro; wszystkim będzie wymierzona jedna i taż sama sprawiedliwość; każdy zyska, nikt nie straci.

— Zapewnie, zapewnie.

— Po domach macie koni podostatek, w lesie osiczyna na spisy; kowale nyszkciem nakuć groty uspieją; i szlachta i chłopci mają rusznice. Nas samej szlachty Owruckiej jest przeszło dwadzieścia tysięcy; jak w dzwony uderzą, na koń, do broni, na moskala.

— Na moskala, na moskala — zawołała szlachta i z miejsce się porwała.

— Poczekajcie Waćpanowie, nie na tem koniec; wzięwszy się do roboty, trzeba nie żartować.

— Moszczi Dobrodźeju, o nie żartowacz, moszkała bicz, klucz jak szwinie, we sznie żarzynacz, truczy, wszelkiej żdrady używacz; bo to szelma moszkał żdrajca najechał nasz kraj, trzeba go wytępicz; niech czo chcą szobie mówią, a ja żawsze powiadam: jak szwiat szwiatem Polak ani Niemczowi, ani Moszkałowi nie będzie bratem.

Stanisław Trzeciak pokręcił węża: — Ale jak przyjdzie do rzeczy, a który lyk nie zechce na koń wsiadać, bo to są i tacy; między pszenicą bywa i kąkol. —

— Moszczi Dobrodźeju, dobrze Waszmoszcz mówisz, między pszenicą bywa i kąkol; ale pszenicza i na pniu sze pele, i w żiarnie mlynkuje; jak który nie chce powsztawacz z nami, tożgo żaraż powieszycz besz sządu i miłosierdzia, a jak jeden będzie dyndał, to drugiemu nie zechce się takiego tańcza. Jak który zechce na dwóch sztołkach szedziecz, albo tym szelmoszkim obyczajem gadacz: jeszcze ne czas, ja chce Polszki taki albo taki, i będę czekał nim żobaczę — takiego to gałgana odeszlijcze do mnie, a ja szędzia Grodżki oszadzę, każe wyszpowiadać i leć szczyać.

— Na to zgoda — tłumnie zawołali: — Panie Sędzio, w Waszmość Pana rękę i prawo i miecz.

— Że żrobię to żrobię, jakem Dubraszki, ne nemezcz, ne moszkał i ne żyd, ale polak; a teraż Księże opaczę, mów czo dalej robycz.

— Porozumieć się z Żytomierzanami i dalej; powysyłać do Mozyrza, do Rzeczycy do Kijowa nawet, ludzi zacnych, żeby do ogólnego powstania zachęcili. Metropolita Radomyński wyda stosowne rozkazy do duchowienstwa, tylko trzeba żebyś Waćpan, Panie Strażniku, pojechał do niego w poselstwie od nas, a

ztamtąd po narodzeniu się, wysłać do Jenerała Prozora prosząc, aby przyjął naczelnictwo nad nami.

— A gdzież jest Jenerał Prozor?

— W Warszawie.

— Daleka i niebezpieczna droga do niego.

— Chcącemu nic trudnego; z resztą, nie tylko zaproszenie Jenerała Prozora, ale doniesienia o tem wszystkim co myślemy zrobić, trzeba zawieźć do Pana Kościuszki.

— Jak Moskale złapią, to bezzawodnie łeb utną takiemu posłańcowi — odezwał się Pan Strażnik.

— Moszczi Dobrodźezu, żeby ne sztaroszcz, jabym żaraż pojechał, bo to prawda: że raż maty rodyła, raż hynuty; jak raż łeb żetną, to drugi raż tego ne żrobią; i tak, jak nikomu nie będzie wola. — —

Marceli Wiczfiński który przez cały czas rozmowy milczał i dumał, zerwał się nagle z miejsca: — Ja pojedę. — I w oczach i na twarzy błysnęła mu silna wola.

— Niechże czebie uszczyszkam Moszczi Dobrodźezu; to mi złoto ne chłopecz, takich mi dawaj węczej — i uściskał go.

Strażnik nic nie powiedział, tylko wziął rękę Marcelęgo i takż ją ścisnął; a Marceli po tem uściśnięciu, tak wypiękniał, tak rozzdrowiał, że aż miło patrzeć na niego.

Potem naradzano się, że część szlachty młodszej wiekiem pójdzie z Kopciem i Tyzenhauzem za Słucz, zwiększać wojsko narodowe, a reszta będzie prowadziła miejscową wojnę na urwisz.

Pan Dubrawski: — Ja ne wojszkowy, ale wiem że tak będzie dobrze; my tu na miejszczu z wioszek powynoszmy się het w puszcze, w bagna; tam nasze dobytki żapędźmy; żboża pożawoźmy; a jak trzeba to wioszki i miaszta popalmy; niech moszkal szelma nie ma gdzie sze żchowac, czo jeszcz, a my bijmy i kólmy; żnienaczka napadać, i potem żchowacz się, żeby znowu tąż szamą sztuczkę żrobicz; wodę żatrujemy i chleb żatrujemy, nech jedżą szelmy, piją i mrą; nie żawadzi żeby ten czo może z półkopy moszkali żatrucz i szam się z nimi żatruł, to ofiara dla Ojczyżny, a to żrobi i kobieta i dzieczko; wszyszczy szłużmy i bijmy wszędzie i żawsze. Szelmów szpiegowacz jak można i jak kto umie, i o wszystkim szwoim donoszcz; jak się młodzież trochę żaprawi na moszkalach, to pomalutku ją kupkami wyszylacz do narodowego wojszka: nechaj oni przebiegają kraj polszki z kończa w koniecz i tłuką niemcza i moszkała, wtenczasz, kiedy my to szamo będziemy robili u siebie; a dalibóg że pobijemy wszysztkich a wszysztkich wrogów; bo to jak naród czały czo żecheze to wszysztko żrobi; i Pan Bóg mu dopomoże; a jak będzie się szpuszczal na czudżą pomocz, albo gadał i krzyczal a nicz ne robił; to go djabli weźmą; tak żawsze durniom bywało i będzie; po wieki wieków, Amen.

Potem pisano listy, doniesienia, wyprawiano gońców, a potem nastąpiła wieczerza i staropolska pohulanka, ale w miarę, bo się wszyscy podchmielili a nikt się nie zapił; każdy się wynętrzał ze swojej serdeczności ku ojczyźnie i ofiarami szafował. Ksiądz opat, przyrzeczenia uświęcał słowami pochwały, a Pan Dubrawski z nich akt spisywał; ale w czas, bo to była nagroda po pracy.

Pannie Strażnikównie lubo było oglądać milego, a tem bardziej, że Strażnik widząc ich rozmawiających z sobą na stronie, brwi ni razu nie namarszczył, owszem uśmiechał się i sam pierwszy wniósł zdrowie Pana Wiczfińskiego. Kochankowie po długich troskach zaczęli oddychać tem pół szczęściem do którego się mieszała niepewność: czy to sen, czy to marzenie, czy też cud jaki co oni widzą na swoje oczy, co oni słyszą na swoje uszy?

W tem, ni ztąd, ni z owąd, Pan Strażnik zagaił: — Panowie bracia, mam do was maleńką proźbę.

— Co każesz Panie Strażniku?

— Oto dzisiejszy uroczysty dzień chciałbym zakończyć aktem, który przyniesie szczęście mojej rodzinie; chcę was prosić abyście byli świadkami zaręczyn mojej córki. — Zatrzymał się trochę, kochankowie spojrzeli na siebie, serca im mocniej w łonach bić zaczęły, i w piersiach zatrzymał się oddech; on domówił — z Panem Marcelim Wiczfińskim. Oboje nie słuchając reszty, do nóg się rzucili Strażnikowi, on ich zatrzymał i oboje pocałował w czoło. — Bądźcie szczęśliwi: kto się dla Ojczyzny poświęca, temu Ojczyzna przez ręce Polaka daje nagrodę. —

Przed północą były zaręczyny; a szlachta piła i powtarzała: — To i po polsku i po szlachecku; pobijmy tylko moskalów i niemców, a wszyscy na polskiej ziemi będziemy równi i warci jeden drugiego.

IV.

Nazajutrz dzień Pan Strażnik z Panem Wiczfińskim pojechali do Radomyśla; ksiądz opat wręczył Marcelemu srebrny obraz matki dziewicy: — To oddaj naczelnikowi Panu Kościuszcze, tam wszystko znajdzie; niech ciebie Pan Bóg błogosławi.

Pożegnanie kochanków było lube i smutne zarazem; w oczach łzy, na licach pół uśmiechu; do dusz upojonych roskoszą lała się obawa, do kochających serc wciskał się smutek. Nie mówili sobie: pamiętaj o mnie, powracaj; tylko oboje razem wyrzekli: zobaczymy się, zobaczymy się prędko, niebawem. Nie potrzebowali sobie powtarzać, że się będą kochać zawsze,

że się nigdy nie zapomną. Oni tylko obyczajem kochających a kochanych, na pożegnanie rzucili słowa nadziei i tę pewność, że ona tak się prędko ziści jak ich serca, jak ich dusze chcą.

Metropolita ich przyjął jak dzieci kościoła jedyne, jak współbraci Polaków; Strażnik pojechał do sąsiednich obywateli, a Wiczfiński pozostał i jutro miał ruszyć w swoją drogę.

Dziwny to skład w człowieku, kiedy ciało i dusza boleją razem w parze. Człowiek wlecze życie i niknie pomalutku, zwolna, jakby tak porządek Boży nakazał; ale kiedy po długim takim życiu, nagle i niespodzianie skołatany duch zaczyna pić szczęście roskoszy, albo smutek rozpaczy! o wtenczas, i jeden i drugi napój trucizną dla ciała; zda się że duch pjany kruszy swoje więzy i z nich się wymyka do rodzinnej siedziby w świat nieziemski.

Zbytek szczęścia zwarzył już sterane zdrowie Wiczfińskiego; zapadł chorobą, na twarzy rumieniec jakby wypieczony, oko lśni błyskotem, usta pobladyły, niemoc ośwładła całe ciało; zda się że duch życia już, już z niego ucieka. Metropolitański doktor Szlemer, puls palcami szukał, i język rozpatrywał, wypytywał o wiele rzeczy, pocieszał nawet nadzieją zdrowia, a w myśli wyraźnie sobie samemu powiedział: — nie ma ratunku; krew bije do serca.

Wiczfiński, poznał myśl doktora; z cicha wymówił: — spowiednika, spowiednika, ja umieram. —

Po chwili przyszedł spowiednik; był to ksiądz młody, błady i smutny twarzą, ponury okiem; widać że i on chory, ale nie na chorobę ciała, tylko na chorobę duszy.

Spowiedź była długa; w oczach chorego błyszczał żal że umiera w kwiecie wieku przed samym progiem szczęścia; ale na twarzy spokój; z lekka zrzuca grzechy z sumienia, widać że muszą one być nie ciężkie i miał ich niewiele; potem czy o co błagał, czy co opowiadał, bo zapał migotał w oczach jego, a ręce składał dłońmi jak do prośby, jak do modłów. Zdjął Matkę Najświętszą z piersi, zdjął pierścień z palca i oboje oddał księdzu.

Cóż się dzieje księdzu? to blednie licem i sinieje ustami jak trup, to czerwieni się jak upiór. Wziął obraz matki dziewicy i pierścień, nawet mówił do umierającego, rozgrzeszył, nakarmił ciałem i krwią pańską, dopełnił obrządku ostatniego namaszczenia; ręce mu drżały i głos drżał w ustach, zapewne żał mu patrzeć na ostatnie chwile młodzieńca; pierścień wciskał na palec, i przykładał do łona, jakby choremu niemyym znakiem przyrzekał: zrobię wszystko. Wiczfiński skinął głową na podziękowanie, a ksiądz wychodząc, może powietrza świeżego zachwycić, jakieś niezrozumiałe słowa przemówił, i przysporzył kroku.

Kto był ten ksiądz? — Duchownem imieniem zwano go

ksiądz Ezechjel; kilkanaście dni jak przybył z karmelitańskiego klasztoru, w którym dostał kapłańskie święcenie. Przewielbny Metropolita umieścił go przy sobie jako kapelana łacińskiego obrządku — i wielce go miłował.

Gromnica dogorywała przy łożu chorego, lekarz potrząsał głową jakby rachował wiele mu jeszcze zostaje chwil życia. Sam Metropolita przyszedł; chory do koła wzrokiem rzucał jakby kogo szukał, ustami nawet usiłował duch zatrzymać, spowiednika nie było. Słabym głosem wymówił: — Boże miej je w swojej opiece — westchnął i skonał. W skonaniu myślał o Ojczyźnie, o kochance; on je zarówno kochał, i jednej od drugiej nie oddzielał; ostatniem słowem życia u Boga modlił o opiekę dla nich.

Kiedy śpiewano pośmiertne hymny przy umarłym, na dziedzińcu metropolitańskiego zamku inna rzecz się działa. Od niejakiego czasu Caryca moskiewska nakazała mieć pilne oko na postępowanie Metropolity. Zaufanie swoje położyła w Polaku, w Złotnickim; on przemieszkiwał w Radomyślu, a miał na swoje rozkazy majora Bordakowa, z pulkiem moskiewskich dragonów. Przyjazd Strażnika Oskierki obudził całą czujność Złotnickiego; ciągle swoich zbirów wysyłał na zwiady do metropolitańskiego zamku, a tą razą szedł z Burdakowem w nieproszone odwiedziny do Metropolity.

W samej bramie zdybali księdza Ezechjela; ksiądz jakby obłąkany, całował pierścień na swoim palcu, a w drugim rękę nioś obraz Matki dziewicy i w głos mówił — ona — ona go kochała — ja zrobię tam — tam śmierć moskałom — i potrząsał obrazem.

Burdaków po moskiewsku załajał i w pół złapał księdza; ksiądz swoje wygadywał — puść mnie puść! — ja przyrzekłem, ona tak chce! śmierć moskałom — — a w oczach i na twarzy widać obłąkanie.

Już ludzie zaczęli się zbiegać, kiedy Złotnicki hazard Burdakowowi puścić księdza i sam go wziął pod rękę. Nie poszli do Metropolity, ale wracali do miasta. Ksiądz szedł jak dziecko przy piastunce, tylko mówił — śmierć moskałom! chodźmy — i Złotnicki powtarzał — chodźmy — zdradliwie ale radośnie się uśmiechał, jedną ręką księdza do siebie cisnął, a drugą czoło sobie pocierał; a Burdaków szedł z tyłu i w ojca i w matkę po moskiewsku łajał.

V.

Guślarze, lirnicy i dziady z torbami, chodzą po gradach po siołach, od chaty do chaty; szepeczą w ucho ludowi Bożemu, brzęczą w liry, w teorbandy, pieją kozackie pieśni, złote dumki

opowiadają, o jałmużnę proszą, a wszystko to dla Polski, przeciw moskwie, przeciw niemcom, jak książdz opat kazał.

Czopowscy, Bechowie, Meleniewscy, Kościuszkowie, Chodakowscy, Waskowscy i Baronowscy z Hoszowa, rusznice rycztują, siekają z ołowiu rubańce na moskala. Rabsztyńscy, Szwabowie, Dytkowscy, Zielenieccy, Korkuszkowie, Kobylńscy, Korczewscy, Oszczapowscy, Lewkowscy i cała mnoga szlachta Owrucka, oszczepy stali, noże ostrzy na Moskale. Trzeciaki, Niemirzycze, Pauszowie i atamańskie rody Wyhowskich i Daszkiewiczów konie ujeżdżają, przyrządzają spisy, żeby po swemu, po kozacku zawieść taniec, zahulać z Moskałem. Wszyscy na wylocie, w łonach serca im skaczą do boju, ręce gotowe do broni; od świtu do wieczora uszy tężą czy dzwony nie zajęczą, a w nocy śnią i marzą o wojnie.

W Zaruczajskim monasterze księży Bazyłjanów odpust, mnóstwo szlachty przydażyło na nabożeństwo — jeszcze nie wiedziano o śmierci Wiczfińskiego. Hukiem moskiewskiego żołdactwa nawaliło się do Owrucza, to bynajmniej nikogo nie dziwi.

Strażnik jeszcze nie wrócił. Strażnikowa z córką, Sędzia Dubrawski i wielu z tych co zawiązali rzecz w Barbarówce, byli w gościnie u Księdza Opaty. Już było po obiedzie, kiedy nagle i niespodzianie Moskale otoczyli monaster i wpadli do niego; na ich czele zdrajca Złotnicki, a obok niego dziki Burdakow, za nimi dragoni moskiewscy, a z tyłu jeden z nich prowadził na sznurku Księdza Ezechjela. On obłąkany zdaje się że nikogo nie widzi, nikogo nie poznaje; to gorzko płacze, to dziwnie chychocze; pierścień całował i wołał — oddajcie, ja przyrzekłem umierającemu — ja muszę oddać — oddajcie — i rękę wyciągał, a bezlitośny dragon go szarpał i kulakiem mu usta zamykał.

Nim szlachta mogła rozpatrzyć się co to jest, Burdakow wrzasnął: — Bery, wiaży maszenników, sukin-synów — i z podniesionemi pięściami rzucił się na szlachtę, a Moskale za nim. Szlachta się broni, chce ucickać, nie ma rady; zbestwieni Moskale porwali ją w uściski, wałą na ziemię, pięściami tłuką, nogami kopią, lżą i włóczą po podłodze, bez względu na szaty kapłańskie, na wiek. Szlachta woła: — Za co, za co? — Złotnicki z uśmiechem wyjął obraz Matki Dziewicy, otworzył go i pokazał papiery pisane w Barbarowie. — Najmiłościwsza Cesarzowa nasza Pani, panom podziękuje.

Szlachta już powiązana, zawołała — zdrada — zdrada — — Strażnikówna poznała obraz Matki Dziewicy, krzyknęła: — Marceli — i załamała ręce.

Kilka głosów zawołało: — Wiczfiński nas zdradził.

— On umarł — rzekł Złotnicki — od tego wiemy — i wskazał ręką na Księdza Ezechjela.

— Umarł — powtórzyła stroskana dziewczica i rzuciła się w objęcia matki.

Wtenczas dopiero spojrzano na Księdza Ezechjela i poznali go. — Kulikowski — to był on; poświęcił się służbie Bożej ale nie zapomniał o ziemskiej miłości, bo kochał; wpadł w obląkanie nie z zazdrości, bo szczęśliwy kochanek umierał, a on ślubował na wieki wieków zakonowi; ale dowiedział się że ona go nigdy nie kochała, a on tak kochał! Zbłąkał mu się umysł, obląkaniem zdradził tajemnicę, zgubił swoich, a o tem nie wiedział.

Powiązana szlachtę wyciągano z komnaty. Strażnikowa zawołała: — A mój mąż? — Złotnicki wskazał ręką w okno, a ona ujrzała na kibitce męża okutego w łańcuchy. Córka płakała i tuliła się do łona matki, matka chciała iść męża przynajmniej pożegnać. Moskale nie puszczali, a Złotnicki stał i patrzył, zdawał się cieszyć temi łzami, tą rozpaczą niewiast.

Moskale migiem kuli więźniów w łańcuchy i sadzili na kibitki. Dubrawski i w kajdanach się sierdził: — Szelmy, hunczwoty, czo się przewlecze to nie ucziecze; nie my, to nasi szynowie albo wnukowie wasz i źdrajców, na zgniłe jabłko wymordują, na naszenie nie żosztawią. — A Moskale starca w kark, w policzki tłukli, w oczy mu plwali.

Ksiądz Opat wznosił ręce w górę okute żelazem: — Boże nie opuszczaj Polski. — Sam Burdaków przyskoczył, ale nie śmiał go tknąć, tylko krzyknął: — Stupaj! — Zatętniały kopyta końskie, zahurkotały koła, pocztowe dzwonki zabrzęczały, ale niezajęczały dzwony kościelne, tylko lud powtarzał modlitwę księdza Opata: — Boże nie opuszczaj Polski! — I jakiś rozgłos cudowny nie ziemski, powtórzył w powietrzu: — Bóg Polski nie opuści.

Zabrano jedenastu naczelników Owruckich, i wywieziono het na Sybir. Pan Kopeć z chorągwiami kawalerji narodowej, mimo émy żołdactwa moskiewskiego, przerznął się za Słucz i poszedł łączyć się z Kościuszką. Moskwa dzika po swojemu nękała Owruczanów. Lirnicy teorbandy i liry pozawieszali na ścianach jaskiń kozaczej góry, a piosnek w pamięci uczą się i uczą. Guślarze dzieciom złote dumki opowiadają; u dziadów zostały torby i kije; kościelne dzwony gotowe zajęczyć. Owruczanie pod dęby pod sosny pochowali bronie, konie wypasują po łąkach i w stajniach, i wszysej ciągle powtarzają to myślą, to słowami: — Przyjdzie czas, przyjdzie czas.

STARO-KIJOWIANIE 1809.

Niegdyś przed laty, za dawnych polskich czasów, województwo kijowskie składało się tylko z trzech powiatów: Kijowskiego, Owruckiego i Żytomirskiego. Od Stuczy i Sławecznej po Humańskie stepy, od siniego Dniepru po Braclawskie i Wołyńskie granice, wszyscy się zwali Kijowianami. Panowie obywatele nosili się w kontuszach turkusowej barwy, z czarnymi wyłogami, z złotymi guzami, w białych żupanach; w takim stroju jeździli na sejmy, na służbę Ojczyzny, i do kościołów na służbę Bożą, bo na koń wolno było wsiąść w przyborze jaki komu się podobał. Caryca Moskwy po zagrabieniu Polski, wszystkie Województwa ochrzciła zwaniami Gubernij, Kijowskie Województwo pokieroszowała na części, a trzy potężne powiaty rozdrobiła na mnogie powiaciki. Jednak mimo ukazów tej carycy, i jej syna Pawła i jej wnuka Aleksandra, Żytomierzanie i Rzeczyczanie tak dobrze siebie zwali Starokijowianami jak Czehrynice, albo obywatel Skwiry i Machnowki. Co wróg zabierca Polski zrobił, tego Polak nie uznaje; na pozór znosi bo musi, a zawsze swoją dumkę nuci.

Niegdyś przed laty, takż za dawnych Polskich czasów, jak to o tem świadczy traktat Zborowski i Białocerkiewski, i umowa Hadziacka, z Kijowskiego i Braclawskiego występowały mnogie pułki kozacze, ku obronie i ku służbie Polski; ztamtąd młodź kozacza, rażno i ochoczko biegła na Zaporozże harcować z Bisurmanem, gromić Suzdała za matkę Polskę. Za sprawą moskiewskiej carycy, Zaporozżce jedni ponieśli swoją bezpańskość za Dunaj i pobratali się z Bisurmanem, bo lepszym widzieli sojusz z niechrzconą duszą, jak knut i niewolę moskiewską; drugich jak psiarnię jaką, pognano nad Kubań rzekę, gonić po krzakach Czerkiesia jak zająca. W Kijowskiem i w Braclawkiem ukazami zakazano kozaczego życia, ale z mie-

szkańców nie wygnano ducha: i chłopci i szlachta tęsknią za polskimi czasami; każdej chwili gotowi chwycić za broń, wskoczyć na koni, i zahulać po swoim, jak to kiedyś bywało za Królów Polskich.

I.

W Weprynie nad Teterowem, mieszkał Michał Galecki, szlachcic bardzo zamożny, a nie dumny. Przed żadnym człowiekiem, choćby jakim malutkim szlachetką, nosa do góry nie zadierał, i żadnemu szlachcicowi byle nie przechrzcie uścisku braterskiego nie odmawiał. Pieniądze u niego nie tylko w zasiekach, ale nawet w kantorku nie pleśniały. Co rok jedną wioskę sprzedawał, albo w zastawę puścił, żeby miał czem szumieć, i braci szlachtę częstować; jednym słowem wedle staropolskiej gadki, czapką i papką jednał sobie miłość w obywatelstwie. Choć młody wiekiem i tylko sędzic Żytomirski, ścigał do swojego domu w gościnę najpoważniejszych i najzasłużeńszych ludzi z całej okolicy; do tego miał żonkę z domu Pannę Orłowską, między najśliczniejszymi najśliczniejszą, między najweselszemi najweselszą. Przy niej zawsze prawie bawiły: Panna Józefa Galecka mężowska kuzynka, Panna Felicja Trzecia-kówna i Julja Pongowska, nie tylko nie szpetne, ale całą gębą urodziwe dziewczęta. Młodzież zlatywała się do Wepryna jak ptaki na przynętę, bo też to młodzieńca kozaczej krwi, djabli wiedzą gdzie zaprowadzić można krasiwem liczkim, błyszczącym oczkiem i szykowną kibicią. Zgoła, że w Weprynie u państwa Galeckich bywało hukiem ludzi, rozmaitych znaczeniem i rozmaitych wiekiem, i to nie w święta, nie w dniu uroczyste, ale co dzień tak dobrze w poniedziałek jak i w piątek. W domu jedzą, piją i bawią się, nigdy tam nie było ani niesytu, ani nudów; na dziedzińcu i w stajni służby koni i powozów jak na zarwańskiej ulicy; koni do karczmy na płatny obrok i gościny-nych sług na żydowski wikt nie odsyłało. Słowem jak to mówią ludzie: państwo Sędzicostwo trzymali dom otwarty. Ale przy tych zabawach światowych nie zapominano tam o sprawie Ojczyzny. W Weprynie odbywały się pogadanki i narady tajemne o biednej matce Polsce. Pan Sędzic za pieniądze przez różne drogi dostawał gazety, pisma i listy z za granicy. Gdzie kto złapał jaką nowinkę o Polsce, albo o Polakach, to zaraz wiozł do Wepryna. Jeżeli jaki legjonista potajkiem przywędrował w Kijowskie, zaraz był u Państwa Sędzicostwa przystrojony i oczepurzony niby kuzyn Jegomości albo Jejności; niby gdzieś tam od Dniestru, albo od Buga przyjechał w odwiedzi-ny. Zaraz ni ztąd ni zowąd zjawiały się łosie, niedźwiedzie, wilki, a przynajmniej niesłychane hurmy sarn w Wepryńskich

puszczach; duchem kozacy dworscy lecieli na wsze strony z listami zapraszać na polowanie. Szlachta się zjeżdżała i polowała, a legjonista opowiadał o Napoleonie, o Dombrowskim, o Kniaziewicz, o Malachowskim, o Chłopickim, i o wszystkich tych rycerzach co po za granicami roznosili sławę polskiego oręża; o tych przygodach, co lżą wilżyły polskie oko, a chlubą panoszyły polskie serca. Zawsze rzucił ziarno pociechy i nadziei tem słowem: nasi wrócą! a szlachta korowodem odpowiadała: my powstaniemy, i będzie Polska!

W Weprynie, pod pozorem tych polowań, szlachta i dworscy ludzie a nawet i sielscy chłopci sposobili się do koni i do strzelby. Pan Sędzic Kapitanom Isprawnikom, Zasiadatelom i wszystkim czynownikom smarował łapy sinemi, kraśnemi, a czasem i białemi bumażkami, a oni za to na wszystko przez szpary patrzali, a między sobą gawędzili: kto smaruje to i jedzie; i Panu Sędzicowi donosili o wszystkich rozporządzeniach i ukazach rządu, nim one porodziły się jeszcze. Było postanowionó w Weprynie, że za każdą wiadomość a dobrą, albo przestrzeżenie, żyd czy blahoczestywiec, dostawał: korzec zboża, spust wódki, albo i więcej, w miarę wartości towaru jaki dostarczył pańskiej ciekawości. Kiedy szło o dowiedzenie się jakiej ważnej rzeczy, albo o odwrócenie grożącej burzy, Pan Sędzic jechał do Kijowa albo do Żytomierza, sprawił suty obiad, założył bank w faraona; nie dostrzegal jak Pan Gubernator przegrawszy giał parol na wygranę, jak Pan Wicegubernator po frycowsku filował poniterkami, a panowie Sowietnicy bezczelnie stawiali na ślepo karty, wołali: ja wygrał — i capili pieniądze; a jeżeli który musiał się przyznać do przegranej, to rzekł: za mnoju, nie zapłacił, a później brał wygrane pieniądze bez odtrącania. Oprócz tego, Sędzic przez faktora, ma się rozumieć Starozakonnego, posłał rebuchem ucziwie tym panom; w podarku ich żonkom jakieś koczkodany na głowę, albo inne niewieście dziwolągi, nawet o zabawkach dziecinnych i cukierkach nie zapomniął, i wszystko zrobił co chciał.

Czasami też adjutant jeneralski, albo i sam moskiewski Jenerał, chcąc pasz czego lić jak mówią moskale, a po naszymu pofireykować, czyli udawać dudka, wygadał jak na spowiedzi wszystko co wiedział, a potem widząc zobojętnienie twarzy Pani Sędzicowej i panien, a niekiedy przyśmiecianie się szydercze, poszedł w ką, po moskiewsku załajał siebie, i wniosioskował: że on głupi, powinien był potargować się przynajmniej; wrócił i toż samo zrobił, co robił; bo czegoż nie dokaże grzeczne słówko pięknej kobiety, przymilone spojrzeniem oka i nieśmiałym pół-śmiechem? Jeden z sąsiadów Pana Sędzica, stary bywalec powiadał: kobietom naszym zastawiać łapki na moskali wolno, ale samym w nie wpadać i niewolno i byłoby brzydko.

Tacy byli Państwo Sędziostwo i tak robili. Ludzie zawistni co mniemają, że potępiając drugich siebie wynoszą, klekotali: Pan Sędzie marnotrawca, niezadługo pójdzie z torbami albo osiadzie na bruku. Pani Sędzicowa zalotna; żartem żartem, można przyjść do prawdy, a Bóg to święty wie co się będzie działo z mężowską głową, albo może już się dzieje. — Ludzie poczciwego sumienia i polskiego serca, co nie zajrzały dobrego mienia drugim bo sami je mają, powiadali: Państwo Sędziostwo zacni ludzie; wysmienite i polskie serca u nich a i jedni i drudzy zjeżdżali się w gościnę do Wepryna.

II.

Nadszedł miesiąc kwiecień, tysiąc ośmset dziewiątego roku. Napoleon po swojemu zaczął ćwiczyć Austryaków, a Austryacy po swojemu zmykali, i jeszcze się chwalili przed ludźmi takim rozumowaniem: Moskał to zwyczajnie świnia; bij go, a on albo stoi, albo lezie w ogień. My Austryacy, kajzerscy żołnierze, mamy w głowie rozum; staniemy na pozycji i czekamy jak nieprzyjaciel idzie, a kiedy on idzie, to my uciekamy, żeby znowu tam gdzieś zająć lepszą pozycję, a kiedy nie ma rady uciec i on wpadnie na nas, to my broń rzucamy. Niech się kpy biją, a my nie kpy. — Księżę Józef Poniatowski, z Dombrowskim, z Sokolnickim, na czele lackich pułków, począł uganiać Austryaka po staro-polskiej ziemi, i już wstąpiła otucha w dusze Polaków, że Księstwo Warszawskie stworzone przez wojownika wieku, niebawem przeobrazi się w Królestwo Polskie, i plemię Jagiellońskie zasiądzie na Polski tronie; a na pośmiewisko ludzom Car Moskiewski ogłosił się druhem i sprzymierzeńcem Francuzkiego Cesarza.

I do Wepryna musiały przylecieć jakieś ważne wieści, bo Pan Sędzie naspraszal mnóstwo gości, choć to nie był czas tłumnych polowań na zwierza, wedle statutów myśliwskich; jednak Pan Sędzie wynalazł słomki przeciągające Wepryńskimi smugami; ktoby chciał się przekonać o prawdzie, wolno mu było pójść przed świtem i po zachodzie słońca w Wepryńskie lasy. Mało który z gości żywił w sercu niewiarę; wierzono na słowo gospodarza, hawiono się w domu; a pobereźnicy znosili wiązkami słomki, ale już postrzelane.

Było już kilkanaście osób w Weprynie: Panowie Olizarowie, Głęboccy, Trypolscy, Pieńkowscy, Woroniec, Zaleski, Trzeciacy, i Józef Szlemer Czech rodem, sławny lekarz przy byłym metropoliecie Kijowskim, osiadły w Polsce i spolszczony, a zwany powszechnie konsyljarzem — kiedy przyjechał Pan Adam Wąsowicz, Szambelan Jego Królewskiej Mości Stanisława Augusta, z córką Kordulą, młodziutką ale ładniutką

panienką, czwórka siwoszów zaprzężonych w poręcz, a przybranych w staropolskie półszorki; za nim niebawem nadjechali młodzi pułkownikowicze Czajkowscy: Prot i Symforjan, a tuż za nimi synowie Szambelana Józef i Stanisław Wąsowiczowie.

Sędzic polskim obyczajem wybiegł na ganek przeciw gościom, a jedna z pańienek, Panna Julja Pongowska, żywym rumieńcem pokraśniała, tak jak gdyby szczerą krwią pofarbowano się mleczone lice; czarne oczki niby spuściła ku posadce, a jednak z pod mszystej rzęsy z ukradka poglądała ku drzwiom.

Wszedł Pan Szambelan, a za nim i inni goście. Pan Szambelan mąż wielce szacowany w całej okolicy, za swoje cnoty domowe i publiczne; często lubił sobie pożartować, ale to w takich rzeczach, które niczyjej sławie ani osobie żadnego szwan-ku nie przynosiły; lubił gawędzić, a wszyscy lubili go słuchać, i teraz ledwie zakończono powitania, obrócił się do gospodarza domu.

— Wiesz Waćpan Dobrodziej, że też to mnie dziwne rzeczy napotykają. Ledwie wyjechał ze Stawek, aż tu w brzezynie, bestja chłop furę siana zastawił mi drogę w poprzek. Mój Jakób krzyczy: z drogi, z drogi a tu ani weź, dyszlem palnął w brzozę, i naszyjniki popękały. Ja wołam: Jakóbie ruszaj! Kordulka oczy zamknęła, Jakób świsnął batem po koniach, a moje siwosze jak orleża sunęły, w duch z koczem przesadziły przez furę siana i pojechaliśmy dalej. —

Wszyscy spojrzeli po sobie na znak niby niedowierzania; Felicjan Głębocki poglądził się po łysinie.

— Ależ Panie Szambelanie Dobrodzieju to musiało być mimo fury z sianem?

— Co Waćpan gadasz? — przez sam wierzch, a fura była z czubem, najmniej piątą część sążnia w sobie mieści; ale bo to widziecie Waćpaństwo Dobrodziejstwo, moje siwosze były założone w poręcz nie wzdłuż, a to konie jak ptaki. Dobrze to mówią ludzie: kto nie miał siwego nie miał dobrego — a mój Jakób wszyscy wiedzą co to za chwata. Zresztą, niech powiedzą Panowie Czajkowscy, oni ze mną tuż tuż jechali, musieli widzieć. —

Symforjan był zajęty rozmową z Panną Julją, ale Prot postąpił naprzód.

— Nie widziałem wprawdzie jak powóz Pana Szambelana przesadzał furę z sianem, bo w tem miejscu droga się zakrecała, ale na sianie widziałem wyraźnie dwie koleje i ślady kutech kół. —

Ani zająknął się, ani się zarumienił. Sam Szambelan dziwnie mu popatrzył w oczy, obrócił się do Głębockiego i powiedział niby półgębkiem, ale tak że wielu słyszało:

— Młody, ale co łże to łże. Któż to widział na sianie ślady kutych kół? no nie powstydzilby —

Ktoś z cicha mruknął: — I Pana kochanka Radziwiłła. — A Głębocki szepnął na ucho Szambelanowi.

— Trzeba Pannę Kordulę wydać za Pana Protę.

Szambelan się uśmiechnął, bo wcale nie był obraźliwym. — O tem pomyślę, masz Waćpan prawdę, szkoda by było żeby taki ród zaginął.

W tem nadjechał Tadeusz Teleżyński, Prezes sądu głównego Wołyńskiego, i Wojciech Pruszyński, obadwa Owruczanie. Teleżyński miał twarz pogodną i poważną postawę; w oczach zaś Pruszyńskiego igrał spryt djabelski: ciągle się uśmiechał i zacierał ręce. Zaraz zaczęto mowę o sprawach Ojczyzny. Prezes pokręcił wężą, był całkiem po polsku przybrany w kontuszu i w żupanie.

— Mości panowie bracia! Owruczanie choćby dziś gotowi wziąć się do broni, i wsiąść na koń; ale to sęk co tu zrobić? Cesarz Aleksander sprzymierzony z Cesarzem Napoleonem; moskiewskie wojska pod dowództwem Galicyna idą w pomoc Księciu Józefowi Poniatowskiemu. Jak my tu powstanjemy przeciw moskałom, żebyśmy czasem jakiego licha nie narobili; nie zagniewali na siebie naszego opiekuna Cesarza Francuzów, i sami w jakąś kabałę się nie wplątali. Siedzieć zaś w domu kiedy nasi bracia Wielko-polscy i Czerwonoruscy się biją, dalebóg że nieładnie; i nam będzie wstyd, i Ojczyźnie z tego żaden pożytek nie przyjdzie. —

Szambelan chrząknął: — Ja powiadam Waćpanom, że na niczyją łaskę się nie spuszczejmy, na niczyje względy nie baczmy; pieczmy naszą pieczęć choćby przy cudzym ogniu, kiedy jest. Co tam zważać na gniewy Cesarza Francuzów, albo jakiego tam djabła? powstawać i bić razem i moskała i niemca, bo inaczej zobaczycie Waćpanowie; oni się pogodzą a nas z niczem odprawią.

— Ależ ściągniemy na Polskę nowego nieprzyjaciela? — odezwał się Podkomorzy Karol Trzeciak, człowiek spokojny i przezorny, zwany powszechnie dyplomata. — Moja rada siedzieć spokojnie i czekać co okoliczności dla nas wywiążą; przy traktatach o nas nie zapomną.

— Co Waćpan gadasz, siedzieć spokojnie! To dobrze babom przy kądzieli, pedogrzystom na krześle, ale nie nam Polakom, kiedy idzie o Ojczyznę. — Szambelan był w wielkim zapale, i dopiero po wymówieniu się o babach, pomiarkował się że to było w obec kobiet powiedzianem i pocałował w piękną rączkę gospodynię dumu: — Na szczęście nie masz tu żadnej baby tylko młode i piękne panie. — Pani Sędzicowa uśmiechem podziękowała, a Szambelan dalej rzecz prowadził: — Alboż to moskał nasz przyjaciel? To zdrajca! zdradza Cesarza Napo-

leona jak i nas nieraz zdradzał. Dobrze to mówią: smaruj go miodem, on zawsze będzie cuchnął dziegciem. My jak powsta niemy razem, a przeciwko wszystkim wrogom, to i możemy wszystkich się pozbyć; bo wierzajcie mi Waćpanowie, że kto nie waży to nie nigdy i nie ma. —

Podkomorzy nie miał siebie jeszcze za pobitego. — Ależ widzieliśmy co się stało w Tylży? O nas nie zapomniano, dostaliśmy Księstwo Warszawskie.

— Ażebyśmy jak gapie cicho nie siedzieli, i tu, i na Litwie, i na Czerwonej Rusi, a wzięli się do broni, tobyśmy mieli i Królestwo Polskie, i naszego własnego Króla do tej pory. Wszakci i Pan Bóg powiedział: rób człowiecze a ja ci dopomogę, a inaczej, to będzie: siedź grzybie, póki cię kto nie zdybie. —

I kobiety i młodzież spojrzeniem i słowem oświadczyły się za Szambelanem, i Podkomorzy ze swoją dyplomacją zamilkł, ale natomiast odezwał się Pan Peszyński.

— Ale jakże my sobie poradzimy bez broni i mając na karku tyle wojsk moskiewskich?

— Jak poradzimy sobie? — Jak naród cały zechce, to cepami i kociubami pobijemy moskali.

— Prawda sem mówi Pan Szambelan — podchwycił Szlemer. — Ja wam sem moi panowie powiam jedną rzecz: ne zawsze to ja był doktorem, nim mnie sem przywezli do świętobliwego neboszczyka Metropolyty, ja był negdyś huzarem, taj Węgierskim; było to już sem nepamiętam którego hoda: naszły Turki na cału węgersku ziemi, Nemcy drapnęły a Węgrom treba było samym wojować. Otoż jednaho dnia, było nas trydziesta huzarów, aż tu z za hury pokazały się tysiacze Turków, a takie straszne, co to nech ich djabeł wezme. — Moje sem huzary położyły uszy po sobie i chcieli utiekat; ja im powedam poczekajcie, tu jest nedałeczko paseka, a chłodny notam; i my tam poszły. Ja kryknął: bascin terem tetem, z koni panowie huzary! dalej przewracać ule! i my sia wziały do roboty; aż tu lecą sem turki na spenonych ogerach, kindżały w zubach. Moje pszcely jak poczuły sem pot, dalej na ohery, jak się prypną a zaczną ciąć. Ohery sem fyk, myk i dawaj jak zbiszone turków nosyt po polach, zrucać o ziemię; my sem na kone, i za nymi: szablami sekli, konmy tratowały, co my nepobyły to zbiszone ohery w ryku zanesły i potopyły i same potopyły sia; a zhynelo tam turków i oherow z wosim tysiaczy. Jak się sem turki dowiedziały, że my się wziały na sposoby taj i utiekły z węgerskiej ziemi. —

Wszyscy w śmiech, a jeden z Marszyckich niedawno przybyły, zapytał: — Panie Konsyljarzu, panowie musieliście zapewne mieć wprzódy znowę z pszczołami, kiedy nie napadły na husarskie konie.

— To tego Waćpan Dobrodziej newysz, że nasze kone nebyły

spotnałe, a pszczeły tylko na pot lecą. Sem ja to dawno o tem wiedział, i dla tego sem tak zrobił. Otoż jak człowiek zechce to tysiacze wrahow pobyje sem jeden. —

Szambelan się uśmiechnął: — Ale nie pszczołami, tylko ręką; zawsze jednak Konsyliarzu winszując ci, doskonale ci się udało opowiedzenie.

— Jak moju żonu sem kocham tak to prawda; zresztą moje pszczeły, warte pana Szambelana furu z sienem; a co? — Cha! cha! cha! — rozśmiał się Czech.

Sędzie spojrział przez okno na drogę: — Nie widać jeszcze Stasia, a powinienby koniecznie dziś powrócić z Mizocza.

— Prawda — pokręcił wąsa Teleżyński — że nim co postanowimy, trzeba wprzód wiedzieć wolę Pana Jenerała Karwickiego. Przyrzekliśmy bez niego nic nie robić, a co się rzekło to się i dotrzymać powinno. — I gadano dalej.

Przed samym obiadem przyjechał Staś Karwicki; wszyscy ciekawi nie dawali mu nawet powitać się z kobietami, każdy go pyta: i cóż Stasiu? — każdy chciał go brać na stronę. On odpowiadał — poczekajcie, zaraz powiem — i ledwie na chwilkę mógł się od nych odprosić. Nareszcie wzięwszy na stronę kilku starszych, powiedział im: — Jenerał radzi żeby część młodzieży i co można zabrać dworskich ludzi z końmi i z jaką można bronią udala się do Czerwonej Rusi; tam już są nasze wojska, a reszta niech czeka tu i będzie w pogotowiu do powstania. —

Szambelan mruknął: — Marnujemy czas a może i rzecz; tylko ser odkładany dobry do pierogów a nie powstanie odkładane. —

Inni, w brew polskiemu obyczajowi, w pierwszej chwili bez żadnego sejmikowania zgodzili się na wolę naczelnika; młodzież w mgnieniu oka o wszystkim się dowiedziała i wszyscy co do jednego chcieli jechać do Czerwonej Rusi.

Dano do obiadu, a Szambelan prowadząc do stołu gospodynię domu, jeszcze się dąsał: — Jak kłamka zapadnie, będzie to znowu: mądry Polak po szkodzie. —

III.

Przy stole wysmienite było jadlo, wysmienite wino, a gawędka trwała o ojezystych rzeczach; bo choć to przy sługach, Pan Sędzie tak zjednał sobie ich miłość sprawiedliwym i ojcowskiem obchodzeniem się, tyle rachował na ich wierność, że przy nich wszystko gadano, robiono, a nawet używano ich do niejednej roboty: to zaufanie jeszcze bardziej jednało ich przywiązanie ku Państwu, a nawet ku Polsce.

Już byli w połowie obiadu, w środku najzwawszej rozmowy, przy rozpoczęciu rozmaitych wiwatów, kiedy się zjawił nie-

proszony i niespodziewany gość, Isprawnik Owruckiego powiatu, sławny w swoim rzemiośle Mewes. Cóż robić, zrobiono mu miejsce u stołu, a Szambelan jakby dalej przedłużał zaczęta już rozmowę, w ten sposób się odezwał:

— Otoż u nieboszczki Pani Działyńskiej matki Jenerała, widziałem na swoje oczy taki kamień, że jak potrzcć nim po ziemi byle jakiej, natychmiast tam wyrastały grzybki i to najdoskonalsze pieczarki.

— Cha! cha! — zaśmiał się Szlemer. — Ależ to Pane Szambelanie kompozycja?

— Już to, czy kompozycja, czy prawdziwy kamień, tego nie wiem; ale to wiem, że pieczarki jak na drożdżach wyrastały. —

Mewes otwierał oczy, przecierał uszy, jakby ze snu, sam sobie nie dowierzał, widno że myślał trafić na wcale inną gawędkę, a tu jak na złość jemu, zaczęto gadać o polowaniu.

— Ja sem, na żytiu moim — rzecze Szlemer — ny jednoho wróbla ne zabył. — Ale kiedy każdy zaczął wyliczać swoje czyny na polowaniu, i własnymi ustami opiewać swoją sławę myśliwską, on znowu się odezwał:

— Ja wam sem powym jedna rzecz. Jak ja sem był pry Metropolyti w Radomyślu, jednaho dnia my sem wyjechały na polowanie na medweda. Mne postawily pod wysokym dubem, a koło mne nedaleczko stał metropolitański kozak Szelest a z druhej strony Pan Czesnyk Dzwonhowski. Słucham, aż tu treszczy les; patre aż tu straszna bestyja, kosmata z rozdzwioną paszczą ide a ryczy. Sem kozak przyłożył się, stuk! chybył; a medwed na neho, za łeb kozaka uchwytł i pokotył go na zemlu. Cześnyk w nogi utykł. Ja dumam sobie: szkoda człowieka — prymerył sę, i myślęm sobie: zabyję medwedia albo kozaka i zdałem sia na wolu Bożu, strelil — medwid hipnął i zdechl, a kozak zdrowy jak ryba wyskoczył z pod medwedia. —

Gospodyni domu spojrzala na Konsyljarza: — Wszak Pan mówileś żeś wróbla nie zabił; to nie ładnie tak nas oszukiwać.

— Mośca Dobrodzjyko, medwid to ne wróbel.

Po chwili obrócił się do Panny Felieji Trzeciakówny: — Proszu zgadnąć szaradu — persze sładkie, drugo daleko, a wszystko razem to sem co ja zabył — i śmiał się ze swojego dowcipu; ale tą razą śmiech przerwany został uwagą na grę twarzy Mewesa i Wojciecha Pruszyńskiego siedzących obok siebie. Mewes niby jadł, niby pił, a lisiem okiem poglądał na wszystkich twarze, na wszystkie strony. Pruszyński na nim trzymał wzrok utkwiony, i ile spotkali się z sobą, tyle razy spuszczały oczy ku talerzom, albo wino popijali; czy rozumieli się z sobą, czy śledzili siebie nawzajem?

Po obiedzie w kącie pokoju bawialnego Pruszyński rozma-

wiał coś z Mewesem. Isprawnik głowę kręcił jakby nie dowierzał, a Pruszyński sięgnął rękę do swojej kieszeni, i ścisnął rękę Isprawnikowi — potem Mewes zbliżył się do Sędzica.

— Niech Jaśnie Wielmożny Pan pamięta o swoim słudze.

— Panie Kapitanie, już poleciłem aby z moich Owruckich dóbr posłano panu trzy karmne wieprze, dziesięć spustów wódki i trzydzieści korcy meltego zboża.

— Upadam do nóg Jaśnie Wielmożnego Pana, wszystko będzie błahopółczno. —

Odjechał Mewes, a Pruszyński zbliżywszy się do Teleżyńskiego szepnął mu do ucha: — Ptaszek miał rozkaz nas śledzić, a nawet poaresztować, ale trafiła kosa na kamień; od razu zgadłem po co przyjechał.

— I cożes mu powiedział Panie Wojciechu?

— Trzy rabe bumaszki dałem; jednak radzę żywo brać się do roboty, bo ten Mewes da nam pokój jakiś czas, a potem znowu wróci. On trzyma się przysłowia: że trzeba doić mleko u krowy do ostatniej kropelki; dobrze on nas poddaja.

— Zapewnie że trzeba się śpieszyć, ale co tu poczniemy z młodzieżą; wszyscy rwą się jechać. —

Szambelan był ciągle markotny z zawieszenia powstania.

— Ja przeciwny jestem postanowieniu Pana Jenerała. Ponieważ zaś większość głosów, to jest wszyscy oprócz mnie, za nim, niech i tak będzie. Wyszlijmy młodzież ale tylko część, a to tym sposobem: każdy dom niech da jednego; żeby zaś nie było sporu, popisać na kartkach imiona wszystkich, i prosić niech nasze panie wyciągną na kogo los padnie. Tak będzie i po rycersku, i po polsku.

— Zgoda! zgoda! — zawołano, i wzięto się do pisania imion. — Pani domu wyciągnęła imiona: Feliksa Trzeciaka, Celestyna Trzeciaka, Mikołaja Trzeciaka i Józefa Trypolskiego.

Panna Felicja śliczną rączką żywo rozwinęła kartki z napisami: Stanisława Wąsowicza, Ksawerego Marszyckiego i dwóch Zwolińskich.

Przysła kolej na Pannę Józefę; z jej ręki padł los na Józefa Chuchrowskiego, Jana Fedorowicza, na Mamertego i Jana Dłuskich.

W końcu Panna Julja Pongowska, z zapalem Polki w oczach, z drzeniem dziewicy wzięła w rękę papier. — Pierwsze imię było Hipolita Pruszyńskiego, drugie Stanisława Karwickiego, trzecie Józefa Zaleskiego, a czwarte Symforjana Czajkowskiego. Czarnobrewa dziewica pokraśniała i pobladła, a Szambelan Wąsowicz zawołał.

— Już dosyć! z jednej okolicy szesnastu! niech się reszta przy nas zostanie. Jak każda da tyłu, a policzywszy do tego drobną szlachtę i dworskich ludzi którzy z nimi pójda, Staro-

Kijowianie sami kilka pułków wystawią; ale teraz trzeba pomyśleć o broni i o koniach, bo kiedy robić to robić.

— Pana Wojciecha Pruszyńskiego prosimy, aby broni dostał; już jeżeli on tego nie wyszuka, to i djabeł nie dokaże.

— Ja przyjmuję na siebie ten obowiązek, koni zaś dostaniemy w Berdyczowie; za ośm dni jarmark pochwalny, każdy tam przejedzie niby za kupnem ogierów, ja broni dostarczę, a ztamtąd dalej w drogę.

Goście jedni po drugich rozjeżdżali się; trzeba było im jak najspieszniej czas chwycić, bo na nieszczęście ludzkie nie chce się on zatrzymywać, choćby im i jak najbardziej się chciało. Nawet i Pan Szambelan odjechał wyprawiać swojego kochanego Stasia, nie rad czemu to pod jego okiem nie biją się z Moskałami.

Kilku gości jeszcze zostało w Weprynie; nadszedł szary wieczór, smutny ale miły zarazem. Chwila to uroczą, w której serca śmielej czują, a myśl wolniej puszcza wodze, nawet słowa więcej mówią, choć mniej ich jest jak we dnie; zdaje się że dusza zbiera rachunek całodniowy, i nie chce ani jednej myśli, ani jednego słówka napróżno trwonić, tylko co pomyśli, co powie, to wszystko szczerze i wylonione.

Gospodyni domu rozmawiała ze starszym Olizarem zapewnie o ojczystych rzeczach; Józefa i Felicja żegnały swoich rycerzy; Sędzic jeszcze doradzał coś z Prezesem Teleżynskim i dał Pruszyńskiemu pieniądze na zakupienie broni, a Panna Julja siadła i prześpiewywała półgłosem ruską dumkę:

O ty idesz w czuży kraj,
Tam ab omni pamiataj;
Ja o tabi nezabudu,
Pokł żyti w świti budu.

Czegóż nagle struny przestały brzękać i śpiew ucichł? — Ona myślała że była sama. a tam do tego pokoju podkrał się z cicha młodzieniec jasno-włosy, błękitnego oka: uchem i sercem słuchał słów i śpiewu dziewczycy; ona umilkła, a on padł przed nią na kolana.

— Juljo! oh nigdy, nigdy nie zapomnę! Juljo ty mnie kochasz — i całował jej ręce. Ona chyliła głowę ku niemu, cichym szmerem wiosennego wietrzyka szepnęła.

— Kocham. —

W tem w drugim pokoju zawołano — Symforjanie.

— Juljo, jeden pocałunek — Bądź zdrowa.

— Symforjanie bądź zdrów! wracaj!

— Juljo kochaj mnie. — Bądź zdrowa — bądź zdrowa! —

W kilka minut później czworokonny powóz szybko wyjeżdżał z Wepryńskiego dziedzińca, a Julja w oknie, złożyła dłoń do dłoni, i modliła się. — Boże! miej go w swojej opiece. —

Boże! powróć mi go. — Boże! zbaw Polskę — a łza cisnęła się do jej oka, a serce drżało w jej łonie.

IV.

Staro-Kijowianie w ruchu; nie masz zakątka z któregoby młodzieńce rażny i ochoczy, z dziarskim poczetem nie pędził ku Czerwonej Rusi. — Moskwa przez szpary patrzy na te przybory do wojaczki i rada, że te gorące serca, te dzielne ramiona, w miejscu rozniecać pożar świętego ognia na rodzinnej ziemi, setkami prowadzić młodców do boju za Ojczyznę, lecać pojedynczo do narodowego wojska walczyć i ginąć, tak jakby i lada ciura potrafił. Moskwa rzecz zrozumiała i powiada: niech się tam wyszumiają, a potem i tych i tamtych przydusimy razem; niech się lepiej sobie trochę pobawią, żeby doprawdy nie zaczęli. A panowie szlachta dobroduszna tak się dała oszołomić, że wielbią Cesarza Aleksandra i niby przyjaciela Polski, i jawnie mówią: Moskale nam pomagają, teraz bijmy Austryaka, a pewnie Cesarz Aleksander powróci wszystkie zabory Polsce. — Jeden tylko Szambelan Własowicz na to nie pozwalał i ciągle powtarzał. — Dalby to Bóg żeby kiedyś na prawdę się ziściło: — Mądry Polak po szkodzie; żeby już więcej tego przysłowia nie powtarzano, a Polak już więcej nie był głupim. — To już był nie żart ale szczerza prawda Pana Szambelana.

W Berdyczowie siła młodzieży zjechało się na jarmark; ostrogami brzęczą, szumią i hulają, a służba werbuje ochotników po karczmach; czynownicy moskiewscy udają, że niby to przez niewiadomość, niby przez przychyłność wszystko puszczają płazem.

Zjawił się i Pan Wojciech Pruszyński. Praworny stanął u Cudnowskiego Mejerka na stacji, a za jego wpływem zapoznał się z Jenerałem Kabłukowem dowódcą Twerskiego dragonńskiego pułku. Jakie to tam między nimi było rozhowory, to im tylko wiadome, bo się odbywały we cztery oczy, bez świadków; dość że po tych przechoworach kilka wozów z worami i beczkami zjechało przed cekhausz, czyli skład broni i amunicji pułkowej, będący za Białopolską Zastawą. Pruszyński z Jenerałem tam byli: Pruszyńskiego ludzie pakowali, a dragoni prostowali się przed Jenerałem i na wszystko odpowiadali: słuszaję wasze prewoschoditelstwo.

Wieczorem Pruszyński rozdawał między młodzież pałasze, pistolety, proch i kule, a w nocy cekhausz zgorzał do szczytu. Na dziwość wszystkim, proch ani razu nie przytknął, a na miejscu pogrzeliska nie znaleziono ani złamanego kurka, ani

jednej klingi; proch musiał wziąć wsteczny kierunek, nie do góry ale w dół, i wszystko w ziemię popakować; dwóch dragonów straży i podoficer uciekli z polską młodzieżą zwiększać pułki Księstwa Warszawskiego, oficer służby poszedł do kozy, reszcie dragonów wyróżniło po trzy sotnie pałek. Jenerał doniósł raportem do głównej kwatery o pogorzeniu cekhauzu, o ucieczce trzech winowajców, i na końcu dodał: wsio błahopołużno. Główna kwatera przesłała raport do Cesarza ze swoim dodatkiem: że wsio błahopołużno. Cesarz rzekł charaszo i podpisał: byt' posiemu.

Pan Pruszyński ze swojej strony podał Sędzicowi Gałeckiemu i Prezesowi Teleżyńskiemu malutki spis:

— Mejerkowi za faktorstwo tysiąc rubli assygnacyjnych. —

— Jenerałowi Kabłukowi dziesięć tysięcy rubli. —

— Za colier u Szafnagła dla Pani Jenerałowej Pan-czulizowej, żony dowódcy Kurlandzkich dragonów, sześć tysięcy rubli. —

— Inne drobne wydatki, trzy tysiące rubli. —

— Ogółom dwadzieścia tysięcy rubli assygnacyjnych. —

Za to uzbroiłem więcej pięciuset ludzi i mam broń i amunicji na drugie tyle. —

Rząd moskiewski nakazał wydać nową broń i amunicję Twerskim i Kurlandzkim dragonom; pochwalono dowódców że kazali składać broń w cekhauzach przez obawę aby jej nie popsowano, a polecono żeby nadal mniej przypadków bywało. Obadwa dowódcy odpowiedzieli: słu szaju, i dodali dla swojej wiadomości; wsio można tolko ostorożna.

Młodzież szumno, dworno, jakby na zapustny kulig ruszyła ku Czerwonej Rusi. Przez granicę za kilka sztuk złota sami Dońscy Kozacy przeprowadzali, i ich starszyzna w głos mówiła: — Ojczyże żeby nam dobrze zapłacili, toby my samego Cesarza Aleksandra ukradli i przewieźli za granicę. Widzicie, on nie płaci, a nam trzeba żyć. —

W Weprynie zawsze ludzi mnóstwo, ale jakoś nie tak wesoło; wszyscy troskają się obawą o swoich, wszyscy wyglądają wieści i ciekawie i niespokojnie. Piękna Julia nie śmie ludziom powiedzieć swojej troski, ale nie raz przy blasku księżycowym siądzie w oknie, przygrywa na gitarze i śpiewa zawsze ruską dumkę:

Ej misiac misiaczenko! ne swyty nykomu,
Tylko memu myłomu jak prifde do domu;
Bodajże zlyi ludy, na wieki propaly,
Szezo moho mylenkoho, dla sebe zabraly.
Buły nam czasy myły, koły ja kochala:
I wesolo wraz z myłym, ktobi pohladala;
Teper ja neszczaslywa, sama idna w świti,
Chotia ty jasne zyjiesz, ja nemohu żyty.

Księżyc i cisza nocy słuchały jej pieśni; serce dziewicy kochało i tęskniło, niła na krasie, wędła na zdrowiu, i żyła nadzieją w Bożem pomilowaniu.

Nad Wisłą, nad Sanem i Bugiem po krańce Karpatów, hulaszczy wódz Polaków, dziarski synowiec niewysmienitego króla, gromił austriackich knechtów i konnicę madziarską, co przepomniała o dawnej piosnce:

Węgier, Polak, dwa bratanki
I do konia i do szklanki;
Oba zuchy, oba żwawi, —
Niech ich Pan Bog błogosławi.

Staro-Kijowska młodzież pozaciagała się do Tulińskiego huzarów, do ułanów Tarnowskiego, do Małachowskiego kirysierów i do Cesarskiej gwardji Krasńskiego, a w Kijowskiem powstanie nie nastąpiło i Adam Wąsowicz ciągle gadał: — Znowu nas oszwabia, znowu będzie: mądry Polak po szkodzie. —

V.

Jak mówił stary Pan Szambelan tak się też i stało. Cesarz Napoleon zawarł mir z Cesarzem Franciszkiem, Moskal za szalbierczą przyjaźń dostał kawał Czerwonej-Rusi, bo wyprowadził w pole stotysięczne wojska; Księstwo Warszawskie powiększyło się o trochę, a o Królestwie Polskiem nawet nie zagadano; tak to zawsze bywało i będzie tym co się spuszcza na cudzą łaskę, a sami o siebie nie dbają. Laekie pułki wysłano gdzieś tam za Pireneje, nad Ebr, Bóg wie za co i po co zabijać Iberyjców, i krew należną Polsce przelewać za złą sprawę, na ujarznienie niepodległego ludu. Wielu z Kijowianów wracało pod domowe strzechy, czekać nim znowu Ojczyzna powoła do broni.

Dzień był mglisty, słońce jak z za cieniutkiego rąbka po-glądało na świat. Szlakiem po nad Teterowem, ku Weprynowi toczył się zgrabny koczyk taszczony czterma rączemi biegunami; w nim siedziało dwóch młodzieńców; jeden wesołego lica, baraszkował sobie rozmową, drugi jasnowłosy czegoś był zadumany, nie smutny ale niecierpliwy: to Ksawery Marszycki i Symforjan Czajkowski, podporucznicy kirysierów Małachowskiego wracali do domu.

Zajechali przed dwór. Sędzic wyszedł na ganek, ale nie wesoły był twarzą; przyjaciele uściskali aię serdecznie. Ksawery zapytał: — A twoja żona?

— Chora trochę.

Symforjan nieśmiało dodał: — A Panna Julia?

Michał Galecki skinął głową.

— Cóż takiego? — zapytał Marszycy. Symforjam pobał jak zmroczone chusta.

— Umarła. —

— Kiedy?

— Cztery dni temu.

Już Symforjan oparł się o oddźwierok, oczy mu słupem stanęły, ciało zdrętwiało, usta zsiniały, jak gdyby dusza chciała wyłonić się z ciała. Obadwa przyjaciele zawiedli go do komnaty, złożyli na łożu a posłano po lekarza; on w cierpieniach ręce łamał, płakał, i ciągle wołał: Juljo! Juljo!

W kilka tygodni później, zwykłym torem tego świata, po smutku w ślad idzie wesele, a często obok smutku wesele w parze staje. Symforjan ledwie zwlec się mógł z łoża, a brat jego Prot żenił się z Kordulą Wąsowiczówną.

Stary Szlemer siedząc przy stoliku z kielichem pełnym starego węgryna, rzecze do Felicjana Głębockiego:

— I jest to sem sprawiedlywost na tym swiecie? — tamten Symforjan lepski chłopek, poszedł i był się za Polsku, a Pan Bóg mu narzeczona kochanka zabrał. Ten Prot takōż nezly człowiek, ale nyc nezrobił tylko zelhał i dostał slycznu żunku. Ot Pane Fełycjanie nyma co robić, trzeba zapic te sprawe. Do Wacpana sem. Niech Bóg da dobre Polsce i nam. — I duszkiem lyknał.

Pan Szambelan błogosławił nowo zaślubioną parę i do swojej piosnki ulubionej wszystko nakręcał. — Bądźcie szczęśliwi, dajcie mnie wnuków; ale takich, żeby ich nie oszukiwano jak nas; niechaj biją wszystkich wrogów Polski zarazem. Bogdaj po ich czynach nie mówili: mądry Polak po szkodzie — będzie na kiedyś, ale niech powiedzą: Polak zmądrzał, swoje zrobił i już nie głupi. —

LUCZCZANIE 1812.

I.

Roku pańskiego tysiąc ośmset dwunastego, w Kościuchnowce, dziedzicznej wiosce Pana Podczaszego Litewskiego Olizara, w drewnianym dworze, który chociaż zwano Ekonomją wybornie mógłby służyć za pomieszkanie jednowioskowemu dziedzicowi, zebralo się kilkunastu panów szlachty, obywateli Łuckiego powiatu. Byli tam i starzy i młodzi. W tem zgromadzeniu szczególniejszą część oddawano dwum ludziom: Panu Podhorodeńskiemu, dawnemu Pułkownikowi jeszcze za Kościuszkowskich czasów i Szymonowi Sokołowskiemu, Chorążemu Sanockiemu, dobremu Polakowi, który przed laty z rozkazu Carycy Katarzyny zwiedził Sybir za karę swojej miłości ku Ojczyźnie, swojego poświęcenia się dla przyjaciela. Piękne to prawo do współobywatelskiego szacunku, to zwanie — stary żołnierz Ojczyzny — męczennik za Ojczyznę — jeżeli pierwszy nie powie: już dosyć wysłużyłem się krajowi, niechaj młodszy służy, a ja będę siedział spokojnie w domu; jeżeli drugiego bojaźń nie zniechęci, albo nie upoi samolubstwo i nie włożymy w usta słowa: ja dość cierpiałem, niech drudzy cierpią, mnie Ojczyzna dłużna a ja Ojczyźnie sownie się wypłaciłem; czekam na nagrodę, a na szwank, ani swojej osoby, ani raz zarobionej sławy poświęcać nie myślę, i dla tego do żadnej nowej pracy ojczystej brać się nie chcę. Biada takiemu żołnierzowi i takiemu męczennikowi! politowanie dla nich, a za niem krok w krok pogarda: bo czyż można kiedy zadość wysłużyć się Ojczyźnie, zadość za nią wycierpieć? Panowie Podhorodeński i Sokołowski tak nie robili. Pułkownik choć stary wiekiem, gotów był do służby Ojczyzny; Chorąży choć dobrze pomny swoich cierpień, gotów był na nowe; obadwa nie czekali żeby ich wezwano, tylko sami biegli do ojczystej posługi; i dla tego to Łuczczanie szawali ich wysoce.

Był tam i Pan Konopacki sędzia ziemski Łucki, i Pan Stanisław Piotrowski Chorąży powiatowy, i kilku innych obywateli dziedziców i kilku oficjalistów z dóbr Olizara i Poceja.

Ważna to sprawa zgromadziła Panów obywateli do Kościuchnowki. Cesarz Francuzów, wszechwładny Pan zwycięstwa, dawca i wydzierca tronów i narodowości, na czele mnogich tysięcy różnojęzycznych ludów posunął na Moskwę; za broń chwycili Litwini, Białorusini naddnieprzańscy na koń siadają; i ztamtąd słyhać jak wszystko woła: Niech żyje Polska! śmierć Moskwie! Dombrowski z niezlicznym hucem Polaków poniósł orły i pogonie w lesiste Polesie, i wszędzie gromi żołdactwo moskiewskiego Samodzierzcy. Szwarcemberg z Austryakami, Renier z Sasami, sprzymierzeńcy Cesarza Francuzów, wtargnęli na Wołyń i ciągnęli się za Styr i rzeczką się zasłonili. Puszczo wieść nadziei że Książę Józef Poniatowski, plemię Jagiellońskie, dziarski wódz Lackich pułków, idzie utkwieć chorągiew polską na siwych murach Peczerska, i po dawnemu, po Czarne Morze i po Zadnieprzańskie kraje pomknąć granice Polski, a Moskalów wygnąć het precz nad Kłazmę i Wołgę rzeki. Na Rusi w szlachcie krew polska zakipiła; spać gnuśno, siedzieć cicho, im i nie w smak, i nie na rękę; ona gorąco zachciała wzięść się do broni, wskoczyć na koń, i zahulać po swojemu, jak niegdyś robiła z Kniaziami Wiszniowieckimi, z Konstantynem Ostrogskim; i dla tego się zgromadza i naradza.

Gospodarz domu Pan Szymon Sokołowski kazał zastawić stół śniadaniem. Były tam: i bigos hultajski, i zrazy z zawieszonym sosem, i kasza hreczana ze skwarkami, i kielbasa z wareszczaką; wódki rozmaite, miód domowy i nawet parę butelczyn starego wina. I któryżby to Lach nie uśmiechnął się na te wszystkie zastawy, nie uczuł że mu po żołądku burczy z głodu, w gardle coś przysycha; a Panowie Łuczczanie Lachowie, a jednak do trunków i do jadła się nie biorą? — Choć to obyczaj w lackim domu, żeby gospodarz przynuka gościom ochoty poddawał, Pan Szymon rzekł parę razy tylko: — prosimy na wódeczkę, prosimy na bigos — i tak dalej, i potem już więcej nie powtarzał. Widno łaska Boża zstąpiła na szlachtę, i oświeciła ją, że nie wielka tam korzyść dla służby Ojczyzny gdzie Panowie obywatele obezrą się, opiją, nakrzyczą na całe gardło i rozjadą się nie nie uradziwszy: bo już o robocie ani mówić.

W Kościuchnowce Panowie szlachta radzili przy pełnych butelkach, przy niepóźnych półmiskach — a nie pili i nie żarli, tylko przekasili dla zdrowia i nie więcej; tak iż stary kredenecerz bywałec, co nie w jednym domu ściany plecami wycierał, ruszył ramionami i pomruczał: — Widzę że do tego przychodzi,

iz szlachta Polska nie dlatego żyje żeby jadła i piła, ale je i pije żeby żyła i coś przecie robiła.—

Pierwszy Konopacki uderzył się w czoło: — No i cóż będzie? —

Sokołowski dobył list z kieszeni swojej czamary. — Mój Jurysdator Pan Podczaszy Litewski pisze, że wysyła tu Pana Narcyza starszego swojego syna, i że swoim własnym kosztem wystawi dwa pułki, jeden jazdy drugi piechoty; każe mi to oświadczyć Panom obywatelom i zawezwać was do wspólnej pracy. Pana Pułkownika Dobrodzieja prosi aby przyjął dowództwo nad ludźmi co on uformuje i syna poleca jego opiece.

Pułkownik skłonił się rubasznie po wojskowemu: — Nie zasłużyłem sobie na tyle zaufania u Pana Podczaszego Litewskiego, ale podejmuję się spełnić jego żądanie.

— Bardzo dziękujemy, odezwała się szlachta, ale róbmy co prędzej; te Sasy i Austryaki może dla tego tak leżą żółwim krokiem że my nie dajemy znaku życia.

Janusz Nowowiejski Marszałkowiec Rowieński, młodziutki chłopiec ale sprytna sztuczka, podrapał się w głowę i rzecze: — Pozawczoraj w Ołyce dowiedziałem się od Księdza Biskupa Dederki, że Dombrowski tęgie ciągi wyprażył Bagrationowi, że sam poszedł oblegać Bobrujsk, a tu wysłał ulanów żeby tym niemcom pludrom feferu dodać. Księdzu Biskupowi to wysłanie Niemców do nas bardzo się nie podoba; on choć wielce podziwia Cesarza Francuzów, powiada że ten wielki pan tak zrobił, jak gdyby napuścił wilków do obory, albo owcom dał za pastucha wilka.

— Książd Biskup dobrze mówi: i ja do tych Niemców nabożeństwa nie mam — mówił Pan Szymon, pokręcając węsą — ale jak my swoje zrobimy, to oni radzi nie radzi muszą to robić co im kazał Cesarz Napoleon. Ot, moi Panowie, ja mam upoważnienie od Pana Podczaszego wszystkich chłopów ruszyć do broni; mam przysłanych dość pieniędzy na pierwsze potrzeby, to i powstawajmy.

— Bez Pana Narcyza?

— Nie turbujcie się, on przyjedzie.

— A Pan Gustaw?

— Pan Podczaszy młodszego syna zostawił przy sobie, żeby też samą sztuczkę zrobił w Radomyślskim i w Owruckim, jaką robi w Łuckim i Kowelskim.

— Wiesz Waćpan Dobrodziej, odezwał się Pułkownik — że to nie głupio pomysłano, żeby paniczów nie wysyłać jak jakich hołodryków do wojska, ale stawiać ich razem z chłopami i z okoliczną szlachtą; bo to i dla Ojczyzny korzystniej, jak panicz przyprowadzi kilkuset albo kilkudziesiąt żołnierzy, niżli samego siebie; i ludziom serce rośnie, wiary i otuchy przybywa

widząc swojego pana między sobą. Ja pochwalam postępowanie Pana Podczaszego.

— Ja wam powiem z kąd to poszło — rzekł Sokołowski. — Przeszłego roku Pan Narcyz pojechał do Warszawy w celu zaciągnięcia się do narodowego wojska, ale nasz Książę Józef Poniatowski powiedział: — Wracaj do domu, i tam czekajcie w gotowości; ja tam przyjdę, a wtenczas niech każdy na czele chłopów i braci szlachty czynszowej przychodzi zwiększać narodowe szeregi; to będzie i lepiej i korzystniej.

— Dobrze mówił Książę Józef; dalibóg że w szeregu Iwan albo Hryćko tyle wart albo może i więcej co marymoncik panielicz; a żeby te książątka i hrabiątka zalegali sztaby i zabierali miejsca ludziom doświadczonym, to bez tego by się obeszło; z resztą charłak co nie ma nic oprócz konia i kulbaki niech siądzie na koń i drała do obozu. Księciu Sanguszcze albo Radziwiłowi tak niewolno, on powinien na czele tysięcy swoich wystąpić; inaczej to i Ojczyźnie z tego nic nie przyjdzie, i oni sami djabli wiedzą po jakiemu szczezną.

— A kiedy ci Panowie nie zechcą należeć do powstania?

— To wiesz Waćpan Dobrodziej co zrobić; ot tak na przykład: Pan Leduchowski albo Pan Bystry odmawia być z nami a ma ekonoma, leśniczego albo nawet pisarza prowentowego hyle chwata; to niech ten staje na czele chłopów, a po wojnie skończonej, kto nie chciał pracy, niech też i nie je kołaczy. Panu Leduchowskiemu albo Panu Bystremu odebrać wioskę, a dać ją na dziedzictwo temu kto spełnił jego powinność, bo Ojczyźnie ten lepszym synem, kto jej służy, od tego co o nią nie dba.

— Zgoda, zgoda; tak być powinno a nie inaczej — i wszyscy uściskali Pułkownika, a jemu lzy stanęły w oczach.

— O tylko chciejmy, to zrobimy. —

W tem wszedł stary kredencierz: — Panie! Dońce.

— Gdzie?

— Za Styrem.

— E mniejsza o to; oni tu nie przyjdą, a gdyby i przyszli to damy sobie rady. Poszlij tam ze trzech ludzi żeby wypatrywali i dawali znać jak tylko zaczną się przeprawiać. —

Kredencierz wyszedł ruszając ramionami, a szlachta chciała się brać do strzelb, ale Sokołowski zagaił.

— Koniec końców cóż tedy mamy robić? — czas nagli.

— Powstawać zaraz — odezwał się Pułkownik.

— Panie Pułkowniku daruj — rzekł sędzia Konopacki — jest stara gadka: że co nagle to po djable; mnie się zdaje, że wprzód wyslijmy poselstwo do Jenerała Szwaremberga co on każe zrobić, wszak on dowodzi i naszemu i sprzymierzonemu wojsku.

Pułkownik wesa targnął, młodzież niewesoło popatrzyła na Konopackiego, ale Sokołowski otworzył usta:

— Ja zgadzam się na to żeby wysłać poselstwo do Feldmarszałka Szwarcemberga, to nie przeszkadza wcale abyśmy się do powstania zabrali.

— Ta że nie przeszkadza, ale ja to wiem z doświadczenia, że jak niemiec do czego choćby najlepszego się wda, to zaraz wszystko opaskudzi. Moja rada powstawać i Króla Polskiego ogłosić. —

To powiedzenie jakoś za nowe było dla wszystkich, bo Chorąży Piotrowski się odezwał, a za nim młodzież powtórzyła.

— Przysiężmy na wierność Cesarzowi Francuzów, i prosimy żeby nam dał Króla.

— Prosić o Króla i to jeszcze cudzoziemca, dalibóg kiepsko; zrobmy sami i to swojego, a zobaczycie że i Cesarz Napoleon sam będzie się prosił aby nam dopomagał, bo on zobaczy że my chcemy być narodem.

— Napoleon to nasz zbawca, w nim jedyna nasza nadzieja; jego słuchajmy i jemu służmy! Niech żyje Cesarz Napoleon! — Tak wołała młodzież.

— Niech żyje! — odparł Pułkownik — kiedy tak chcecie to wysyłajmy poselstwo i do Niemca; ale pamiętajcie żeby on nas w pierwszym poskoku nie opaskudził. —

II.

Jeszcze gawędzono o tem kto ma pojechać w poselstwie do Szwarcemberga, kiedy na dziedziniec zajechał jednokonny wózek i z niego wysiadł mężczyzna i niewiasta, przybrani w chędogi strój szlachecki. Mężczyzna rosły wzrostem, smukły kibicią, musiał już mieć przeszło trzydzieścia lat; śniade czoło przedwczesne zmarszczki przyradliły, przerzedział włos na głowie, a rumieniec widno dawno już z lica uciekł; tylko w czarnych oczach iskrzy się silne zarzewie życia; ruchy jego i składne i czepkie, nie choroba ciała wybiła swoje piętno na twarzy, ale cierpienia duszy poznały się tam jawnemi śladami. Niewiasta młoda, zaledwie stanęła na tej chwili wieku, w której rzuca się wiosnę dla lata życia: twarz miała czystą, białą, cieniem krasy przykraszoną, a tak pogodną jak u aniołka nieba: i błękitne oko ciągle w odbryzgach łezki się kąpało, i jasne włosy muskały lice, i szyja śnieżna jak puch łabędzi wykradała się z pod grubej koszuli; kibicić szykowna, w stanie taka cieniutka że ją oburącz możnaby objąć, zdawała się być w sporze z pestrową przyjaciółką. Ona była jak rumak wschodni, potępieńca ręką przybrany w parcianą szleję, choć idzie

w tym przyborze, z oczów z każdej żyły, z każdego ruchu wi-
dać krew rodu i ducha rodu.

Z Panem Chorążym chcą się widzieć, i Pan Chorąży wyszedł naprzeciwko nich. Krótkimi słowy do siebie przemówili, ale ciekawsi goście widzieli, jak Pan Szymon witał obojga jakby własne dziatki, ścisnął w ujęciach ramion, i oni go całowali jak dziatki, potem zaprowadził na przeciwko do niewieściego mieszkania, i sam wrócił.

U Pana Szymona w oczach łzy, a w brzmieniu głosu wyraźne rozczulenie, nie czekał nim go kto zapytał.

— To dzieci moich najlepszych przyjaciół, z Białowieżskiej puszczy tu przybyli; ona taka młoda, córka dostatniego domu, on rządowy urzędnik ceniony, wszystko porzucili żeby służyć Ojczyźnie; oh, co to ta Polska może na polskich sercach!

— Czy wojskowy? czy nasi idą?

— On nie wojskowy, a nasi idą.

— Czy urzędnik nasz?

— Oh! i to nie — westchnął. — On służy Ojczyźnie, bogdaj takich wielu było.

— Panie Chorąży czymże on służy?

— Służy moi panowie, zobaczycie jak, a teraz wam donoszę że nasi idą, za parę godzin tu będą.

— Nasi idą, nasi idą! — i jak dzieci wszysej w okna patrzali, i o mało nie skakali z radości jak dzieci.

— Poczekajcie Waćpanowie jeszcze nie idą, a ułożmy przecie kto pojedzie do Szwarcemberga. —

Prędko a zgodnie wszyscy wołali: — Prosimy Pana Kapitana Godlewskiego, Pana Chorążego i Pana Sędziego, a coraz to na dziedziniec wychodzili, to w okna zazierali, nareszcie jeden zawołał — chodźmy na przeciwko — i już zabierali się do wychodu, kiedy kilku chłopów wpadło krzycząc: Polaki idą — i przed wrotami dziedzińca ukazało się kilku polskich ułanów.

Proporce białe z czerwonem kąpały się w Nadstyrzańskim powietrzu, lackie konie kopytami stukotały po szlaku Nadstyrzańskim. Panowie szlachta Łuczczenie jak serdecznych braci witali ułanów; mężowie, niewiasty, dzieci i starcy wszysej na dziedziniec biegli: okrzyki radości w ich ustach, łzy radości w ich oczach. I ułani płaczą a ścisnąją braci.

I ów szlachcic nowo przybyły także wyszedł, pohardział i postawą i twarzą, zdałoby się że to przebrany wojak zobaczył swoich i w ustach mu na wylocie: szabli, konia; po chwili sponurzał, trochę spuścił czoło ku ziemi jak gdyby mu się sromno zrobiło i znowu podniósł czoło i cieszył się z drugimi; a młoda niewiasta drobna rączką uczepiła się jego ramienia, ciśnie się do jego boku, jak drobne piskłę pod macierzyńskie skrzydło, i w błękitnych oczach błyszczą dwie łzy perły;

na przeźroczysem czołe mgli się niepokój, obawa, a z rumianemi ustami półuśniech igra. Ach co tam w jej sercu, w jej duszy się dzieje!

III.

W Kościuchnowce hukiem polskich ułanów: jedzą, piją, lulki palą i gawędę baraszkują z panami szlachtą; to wskoczą na koni, nad Styr pobiegną, nadrwią się z gwizdania dońskich kozaków; po swojemu na odpowiedź panom dońcom hukną z karabinków, aż w szlachcie dusza z radości pohula, lacką pieśń zawiodą, to znowu wrócą jeść, pić, wczasować się pod polską strzechą.

To Jenerał Kwaśniewski przyszedł z ułanami. Pan Kwaśniewski stary wojskowy wyga, i przed Kościuszką, i za Kościuszki i po Kościuszcze Ojczyźnie służył. Nie hramotny człowiek, ale co rębacz to rębacz; manewrować na mustrze ani w ząb, w prawo i w lewo pułkiem nie umiał obrócić i w ten czas zawołany Pan Roźniecki wołał: temu djabłowi żeby nie taka stara bestja, wartoby kulą w łeb palnąć i do piechoty oddać; twardy łeb, nic z niego zrobić nie można. Raz nawet w oczy Kwaśniewskiemu powiedział na jakiejś mustrze: Koniu, koniu, gdzie ty tego pułkownika wieszysz? żebym ja był koniem tobym go zrzucił, pobił, podeptał i zostawił. Kwaśniewski na całą odpowiedź rzekł: a jabym konia batem, ostrogami. Ale kiedy przyszło do boju, to pułkiem jak z płatka wywijał; jak komenderował, to komenderował, dosyć że zawsze uderzał na czele pułku, i zawsze nieprzyjaciela rozbijał. Raz w ktorejś potyczce roku tysiąc ośmset dziewiątego, piąty pułk strzelców konnych uderzył na węgierskich huzarów, nie rozbił, i sam musiał się cofnąć: dowódca tego pułku był dzielny żołnierz, ale wychowany na Dreźnieńskim czy Berlińskim dworze, Polak nie umiejący mówić po polsku; Kwaśniewski przypadł do niego:

— Niemce pludrze, to ci honor Ojczyzny niemiły, uciekać przed niemcami, jak niemcy! — Obrócił się do swoich ułanów: — Ułani moi! pomścijmy honor Ojczyzny, pokażmy tym pludrom jak to u nas biją! — Natarł, w puch rozbił huzarów i zabrał armaty, siadł na jednej i wrzeszczał: — Jak mi Bóg miły, jak mi honor Ojczyzny drogi, sam wzięłem tę armatę! ułani moi zabierzcie mnie z nią, bo ani kroku nie ruszę, jakem Kwaśniewski nie niemiec nie pludra. — I ułani przywieźli pułkownika na armacie, a z nim i inne.

Pod Mirem czy też w jakiejś innej utarczce, bo to się często zdarzało zawołanemu manewrzyście Roźnieckiemu, kiedy rzuciwszy wojsko biegł we wsteczną stronę bojowemu ogniowi, a

Kwaśniewski jak pies gończy na posłuch strzałów skakał tam z pułkiem, i ujrzał czwałującego Jenerała, rzucił się w bok i konia zatrzymał. — Na miły Bóg koń nosi! Jenerale tam się biją! chodźmy, na honor Ojczyzny zaklinam! —

Różniecki się zmarszczył: — Puść Waćpan, niechaj nosi — konia ostrogą macnął i obadwa pobiegli każdy w swoją stronę.

Później Kwaśniewskiemu Jenerałowi, dano już w dowództwo zbieraninę rozmaitych ułanów i posłano ze SzwarceMBERGIEM na zgubne imię, bo nie umiał tylko rąbać się.

Różnieckiego wyprawiono manewrować i sztyftować a nie bić się. Cesarz Jegomość Francuzów wołał do boju głupich chwatów, jak rozumnych zajęczego serca.

Taki to był Jenerał Kwaśniewski.

Szlachta go serdecznie przyjęła, a on im powtarzał: — Na honor Ojczyzny wam się zaklinam, jak kapustę posieczemy morskali, tylko suńmy się naprzód. —

Kiedy zgadano się o poselstwie, pochwałal to, tylko dodał.

— Na honor Ojczyzny was zaklinam, tylko po polsku się znajdźcie; ten SzwarceMBERG choć niemiec, to wielki pan. Jak mi Bóg-Ojczyzna miłe, ja to wiem, jak z tymi wielkimi panami trzeba się znachodzić. Niech powie Hempel, jakem się znalazł z Cesarzem Napoleonem, a to wielki pan. —

Hempel, był to młody, jasnowłosy podporucznik, którego posądzano o szeptanie Jenerałowi na manewrach, i w innych przygodach rozmaite rady; szlachta zaczęła prosić, a Hempel opowiadał.

— Najjaśniejszy Cesarz Francuzów przyjechał przed naszą brygadę i zaczął mówić do Jenerała po francuzku, Jenerał nic; Cesarz po włosku, Jenerał milczał; Cesarz po Hiszpańsku, Jenerał zawołał: Latine Majestate, latine. — Cesarz po łacinie, a Jenerał rzekł: — Polak jestem — i Cesarz odjechał.

Szlachta się uśmiechała, a Jenerał się poczwaniał: — Jak mi honor Ojczyzny miły, tego się znalazłem. Cesarzowi Jegomości z pamięci to nie wyszło, ot i teraz przysłał mi order — i wyjął jakiś papier z kieszeni mundura — czytaj Waćpan.

Hempel czytał: — Ordre du jour.

— Tak, tak, order jak Waciowie nazywacie, oprawny ajżur.

— Ależ Panie Jenerale to rozkaz dzienny.

— Co mi Wać gadasz? jak mi honor Ojczyzny miły tak tam wyraźnie napisano jak byk, order ajżur, zapewnie z brylantami i z koroną cesarską. —

Hempel czytał. — Dalibóg że Panie Jenerale to rozkaz dzienny i bardzo pilny; niech Pan Jenerał słucha.

— Idź Wać precz, jak mi Bóg i Ojczyzna miłe, zwarzował — chodził po pokoju i sapał, a Hempel ciągle mu powtarzał.

— Niech Pan Jenerał pozwoli. —

Nareszcie stanął: — No mów Wać, co tam jest.

— Jenerał Szwarcemberg każe żeby Pan Jenerał natychmiast szedł do Kowla pod rozkazy Jenerała Renier, gdyż Jenerał Bagration wysłał znaczny oddział moskiewskiej piechoty w lasy Osmiechowieckie, i przeciął komunikację z Jenerałem Dombrowskim, a Sasi nie mają przy sobie żadnego oddziału Polaków, któryby znajomością języka ułatwił im wyprawę. —

Kwaśniewski kręcił głową i pomrukiwał. — Order, order — a potem uderzył się w czoło — języka im naszego potrzeba, szabli polskiej, szabli — przeszedł się znowu — a kiedy tam trzeba było być? —

— Pozawczoraj.

— Do diabła, jak mi Bóg miły i Ojczyzna, każe Waćpan niech trąbią na koni, zaraz pojedziemy, lepiej później jak nigdy; po niemcach nie będzie nam *tarde venientibus ossa*, zastaniemy cokolwiek mięsa. —

Pan Pułkownik Podhorodeński oświadczył się, że chce powstanie zbierać i iść za Jenerałem. Sokołowski wyszedł na drugą stronę i niebawem wrócił; wziął Jenerała pod rękę, odprowadził w kątek komnaty, i długo z nim po cichu rozmawiał; na starą twarz Jenerała wystąpiło podziwienie, pokręcił głową jakby powątpiewał, w Sokołowskiego oczach był smutek, ale był i zapal; z całej rozmowy można było uchem połapać te słowa.

— Dziwny.

— Kocha Ojczyznę.

— Gubi się.

— On wie.

— Wać go znasz.

— Jak siebie samego.

— Rewucki?

— Rewucki.

Przed wrotami na ulicy długim szeregiem na koniach stali polscy ułani; ów szlachcic nieznajomy chwilkę rozmawiał z Jenerałem i z Panem Sokołowskim, wyskoczył na koni i pojechał: gdzie? — jemu pewnie wiadomo, a im dwom wiadomo albo i niewiadomo. Przy samem odjeździe rzucił okiem w okna gdzie była młoda niewiasta, szybko twarz odwrócił, konia nogami ścisnął, ręką machnął, zdało się że krzyżem świętym powietrze w stronę okna przeżegnał, i przeżegnał siebie.

Niebawem Kwaśniewski dosiadł konia, pożegnał braci szlachtę, stanął przed ułanami i donośnie krzyknął: — Bacznosc, brygada trzema w prawo zajdz, stepo, suń się naprzód! — Stary Jenerał przez nienawiść ku cudzoziemszczyźnie, a może ku manewrom, nigdy nie chciał powiedzieć: marsz, ale zawsze mówił: suń się. I ułani ruszyli w pochód nucąc lackie pieśni.

W półgodziny później, Podhorodeński udał się w swoją drogę, Sokołowski, Konopacki i Godlewski pojechali do Włodzimierza do Jenerała Szwarcebberga. Zajechała i bryczka kryta na rysorach: do niej siadła Pani Chorążyna z ową młodą niewiastą, zapłakaną, a tak piękną jak kwiat wrzosu oławiony rosą; już ona była nie w szlachecko-chłopskich, lecz w szlachecko-pańskich sukniach; pojechały nad Styr i za Styr się przepawiły, a Dońców nie było na ich przyjęcie: oni zaraz uciekli za pokazaniem się ułanów.

Szlachta rozjeżdżała się tam gdzie im polecili Pan Podhorodeński i Pan Sokołowski, a wszyscy odgadywali co to za jeden ten mężczyzna? co to za jedna ta niewiasta? Rzewuski nie Rzewuski? — wyraźnie słyszano imię Rewucki.

IV.

Jeszcze dwóch dni nie upłynęło od owego zebrania się szlachty w Kościuchnowce, a już w Rafałowieckich i w Dombrowickich lasach ludzie nyszkciem w gromadki się zbierają; w karczmach więcej gadu gadu gawędzą jak piją, a jakieś dziwne przygotowania robią. Balarze, budnicy, siekiery ostrzą jak brzytwę, jak gdyby chcieli jednym cięciem na dwoje brzozy rozcinać, pobereźnicy i miszuki nabijają rusznice rubańcami, albo rozciąją i nadżutą kulą: czy na dzika, czy na niedźwiedzia się sposobią? — Bocznemi ścieżkami chodzą, a wszystko na szlaki wyzierają; kiedy niekiedy w lesie huknie strzał i jeden i drugi i trzeci i więcej nawet, i znowu cicho; a kiedy do wioski albo do Rudni jakiej, zabieży oddział moskiewskich żołdaków, albo zajędzie carski czynownik, to tam widzą jak niewiasty, dzieci i starzy ludzie siedzą i pracują jak gdyby nie o bożym świecie nie wiedzieli. A rzecz dziwna! na wielkim szlaku z Rafałówki do Kowla znaleziono pięciu ludzi nagich jak ich matka na świat porodziła, a wszyscy kulkami postrzelani; koło nich leżały moskiewskie mangierki zielone z czerwonym obszlgiem. W Rafałowce gadano o wysłanych pięciu dońcach od Jenerała Tormansowa z ekspedycją do pułkownika Kologrywowa, będącego w Ośmiechowieckich lasach: powrotu ich nie doczekano się, gdzieś jak w wodę przepadli. Niedaleko Kołodziejów w Rudni, znaleziono zasiedatela powieszzonego na wierzbie jak parszywego psa; djabeł go musiał powiesić, bo ludzie nie przyznawali się. I nie jedną taką sztuczkę spleatano, a sprawców odkryć nie można było; tylko po wioskach dzieci bawiły się guzikami mundurów moskiewskich, chłopci przedawali Sasom i Austryakom dońskie konie, baby liczyły moskiewskie i cudzoziemskie pieniądze, ale wszystko to robiło się nyszkciem.

Tak kazał Podhorodeński. Przyjechał on do Kołodziejów, zwołał pobereźników, samych cymesów z balarzy i budników, i kilku praworniejszych miszczuków, i taką z nimi miał gawędkę.

— Jak się macie dobrzy ludzie, a cóż to u was słyhać?

— Dziękujemy Wielmożnemu Panu! at kiepsko słyhać; my jak groch przy drodze, i Moskał skubnie, i Niemiec skubnie, a nie ma do kogo i na sprawę pójść.

— Trzeba sobie samym sprawę zrobić.

— My biedni ludzie, cóż my zrobimy? Trzeba cierpieć a spokojnie w domu siedzieć.

— To nie dobrze, trzeba przecie być za kimś.

— Taż też to wielmożny Panie, temu Bóg niech dobro daje kto dla nas o dobru дума.

— A któż wam dobra życzy? pewnie nie Moskał.

— O! Moskał szelma, drze nas ze skóry, łaje i bije.

— Panowie was kochają.

Chłopi milczeli.

— Pamięta z was który polskie czasy?

Jeden się odezwał: — Ja pamiętam: wtenczas dobrze było; jeden dzień w tydzień na pańszczyznę gonili: nie było ani zasiedateli, ani kluczwojtów, ani Moskali na kwaterach. Na całej wiosce stał jeden tylko towarzysz; prawda że czasem stuknął, ale też i zapłacił.

— Otoż widzicie, to były polskie czasy, a teraz moskiewskie. Moskał każe was bić, na pańszczyznę gonić, podatki wybierać, grabić; Moskale uwłaczają waszym żonom, córkom; musicie ich karmić i jak wrzodowi dogadzać.

— Prawda Wielmożny Panie.

— Otóż trzebaby ich się pozbyć.

— Ależ Wielmożny Panie, za polskich czasów był król w Polsce?

— I teraz będzie, tylko bijmy Moskali.

— Dobrze to ich bić, ale oni mają wojsko?

— A my mamy ręce! — Tu wziął sztof w rękę, nalał wódki w czarę: do ciebie Iwanie — i wypił. Pił Iwan i tak dalej pili kolejką. — Ot tak słuchajcie, jak zechcemy to pobijemy. Niech każdy przyrządzi rusznicę, siekierę, noża, co ma. Wy Iwanie, Charytonie, Mykito i Ostapie idźcie do balarzy, do budników, do rudników; wy Jakowie i Wasylu do pobereźników i do ludzi sielskich, wybierzcie co praworniejszych, i każdego mianujcie starszym dziesiątnikiem i naznaczcie mu dziesiątek albo i więcej. Mówcie im, że jak przyjdą polskie czasy, wybijemy moskała, to nie będzie pańszczyzny; ani żołdatów nie będą karmić po kwaterach, ani w rekruty ich nie będą brać; jak który zechce to z ochoty pójdzie do wojska. Teraz potrzeba dowiadywać się gdzie są Moskale, zkąd i dokąd idą, i wiele ich

jest? Jak mało, to zasieść i postrzelać i pobić. Jak wiele, to w nocy napaść, a żadnemu życia nie darować. Do wsi żołnierza albo czynownik przyjedzie, to powiesić. Rozumiecie?

— Rozumiemy Wielmożny Panie.

— Groble psuć, mosty podrebywać; swoich przestrzegać żeby tamtędy nie szli, a Moskali naprowadzać. Pobitych obdzierać i zdobycz nieść do dziesiętnika; połowa temu zostanie kto zabrał, jedna część dziesiętnikowi, a jedna na cerkiew.

— Dobrze Wielmożny Panie, to i Bóg nas pobłogosławi.

— No, jeszcze po jednej czarce. — Chłopi pili, a panoszeli postawami.

— Ot Wielmożny Panie, tak dobrze będzie, a Panowie czy będą z nami?

— A jakże; my z wami i wszędzie i zawsze. Po wioskach siedzieć cicho, pracować jak gdyby nic nie było. Jeżeli nieprzyjaciel silny przyjdzie, to go pokornie niech wilają starcy, niewiasty, a ludzie co się poczuwają do czego niech w las uciekają. Jeżeli można, to popoić Moskali i pijanych wyrznać.

— Zapewnie Wielmożny Panie, to można; piją szelmy wódkę jak woły brahę, byle im dawać.

— Oprócz tego, każdy co się odznaczy dostanie osobną nagrodę.

— O Wielmożny Panie, to dosyć dla nas będzie jak Moskala się pozbędziemy i pańszczyzny nie będziemy robili; bo co te dwie rzeczy to już kością w gardle nam siedzą.

— Dobrze moje dzieci, Mykita i Maksym zostaną przy mnie, a wy idźcie, prawornie się sprawcie. Rozumiecie?

— Rozumiemy Wielmożny Panie, i sprawimy się prawornie; niech Pan będzie spokojny. —

Wyszli chłopi, a Pan Podhorodeński zabrał z sobą co rańszych parobków uzbrojonych w strzelby i wyszedł w las. — Toż samo robiono w sąsiedztwie, a tegoż wieczora jeszcze w Kołodjach śpiewano piosnkę.

Jak były stary Pany, lekki na robotu,
Tyżdeń robyw doma, panszczyna w sobotu;
Nastaly mlody Pany, tiazki na robotu,
Cily tyzdeń panszczyna, tołoka w sobotu.

I powtarzało chłopstwo — przyjdą stare polskie czasy, i starzy polscy panowie. Chłopstwo jak Pan Podhorodeński mówił rozochociło się, i widziano skutki ich sprawek.

Nawet gdzieś po niżej Dombrowicy rozbito wozy moskiewskie z żywnością z prochem i z kulami; żołnierza w pień wycięto, rzeczy zabrano, a wozy porąbane zostawiono na drodze; jeden Moskal uciekł, i na świętego Mikołaja przysiągł, że to nie Francuzi, ale muzyki licha narobili. Bagration nie mógł dośledzić winnych i rzekł: — Poliszuk to durny jak wrona, a chytry jak lis. —

V.

Kiedy tak polskie chłopstwo wzięło się do broni ale nyskiem, Jenerał Kwaśniewski ze swoimi ułanami chodził po Osmiechowskich lasach, w prawo, w lewo, w tył i naprzód, a nie mógł przydybać Moskali. Tu byli, z tamąd wyszli; tu stoją w gęstym lesie, ułani nic nie mogą, a Saska piechota nie nadeszła, czyli raczej z Kowla nie wyszła. Renier powiedział: — Niech ci Polacy lby kręcą, nam Niemcom życie nie na zbyciu. —

Już tak się zdziwił Kwaśniewski, iż chciał natrzeć na Moskali choćby w lesie, i mówił do Hempla: — E co Wać mi tam swoim rozumem gadasz? Jak Pan Bóg dopuści, to i z kija spuści; lasu dla nas umyślnie nie wykarczują, a chodzić jak błędne owce, to nie ładnie. Niech tak robią Niemcy pludry. — W tem przyjechał jakiś szlachcic: z Jeneralem długo na stronie rozmawiał; potem szlachcic odjechał, a Jenerał powrócił z wesołą twarzą i krzyknął: — Baczość! prawe ramię naprzód! suń się! — I ułani poszli wsteczną drogą od tej którą szli, przez rzeczkę Turję, ku Stochodowi.

W lesie, pomiędzy bagnami, stało dwa bataliony moskiewskiej piechoty i pułkownik Kologrywow z oficerami. Pili herbatę z wódką, czyli raczej wódkę z herbatą, bo jak mówił pułkownikowski deńszczyk (służący), stakan (szklanka) wódki, dwie kaple (krople) czaju (herbaty). Żołnierze gryźli suchary i popijali błotnistą wodę z kałuży, kiedy przyjechał jakiś człowiek na koniu, zsiadł i z pokorną postawą szedł do pułkownika; widać jednak było, że ta pokora ciążyła mu na sercu, dzikiem okiem rzucał na żołdactwo moskiewskie, a posępny smutek osiadł mu na czole. Pułkownik podszedł ku niemu.

— A co?

— Jest gratka Panie Pułkowniku.

— Gdzie?

— W Czerkasach jest trochę austryackiej piechoty.

— To pusta; co nam po tych czaraparach? to Niemcy, funta kłaków nie warcie. A więcej nie masz nic? —

Szlachcic milczał; już pułkownik miał w ustach: — Ta i poszedł won; kiedy szlachcic potarł siebie w czoło jakby co przypomniał.

— Ale ci Niemcy mają pieniądze?

— A wiele?

— Mówią że wiele? —

Zatarł ręce. — To dobrze, trzeba im dać w skórę; no chodź, napij się z nami czaju, i zaprowadził go między oficerów.

W pół godziny później Moskale ruszyli z miejsca, przeszli Stochod po drewnianym moście i milczkiem manowcami ciągnęli ku Czerkasom. Nadzieja pieniędzy obłowu wyprowadziła Moskali z lasu.

W Czerkasach małej wiosce, o dwie lekkie milki od Osmiechowicz, stanął na spoczynek oddział austriackiej piechoty z pułku Maczuseli czy Minotoli, dowodzony przez Oberst-Liejtanta Bartolomeo: prowadził on znaczną kwotę pieniędzy z Kowla do Brześcia Litewskiego. Austriackim obyczajem po półdniowym pochodzie rozłożył się na prawdziwe leże; a że owi sprzymierzeńcy Napoleona podobni byli do kundysa wyprawowanego gwałtem na polowanie, któremu kazano być chartem, kundys włókł się póki go powrozem ciągnięto a bat nad nim wisiał. Jak go samopas puszczone, to za zajęciem nie pobiegł, ale ozierał się jak złodziej, i jeśli nie czmychnął do gruby, to przez strach. Do tego już gadano, że Austriacy zwąchali się z Moskalami, zwyczajnie swoi ze swoimi, obadwa złodzieje pokumani kradzieżą Polski; dla tego też szłapaki czyli czarapary Oberst-liejtanta porozbierali się jak do łaźni, spali jak karmne wieprze, i we śnie nawet chrapali niemieckim szwargotem.

W tem nad świtem Moskale jak trzoda djabłów zawrzeszczeli: — Hura! hura! — Niemcy budzą się, rozdzierają oczy Her Jesus! Her Got! der Tejfel! w niebo-gwałtu wrzeszczą i uciekają nie tam gdzie pieprz nie rośnie, ale w gruby, pod łóżka, w siano, na strych; gdyby mogli, toby i pod spódnicę starych bab się chowali, ale i ztamtąd Niemca odpychano. Moskale krzyczą — hura! na sztyki! — i kolą bezbrónnych, bo to Niemce; a oni choć Carscy żołnierze ale Sławianie.

Pułkownik Kołogrywów woła: — Gdzie dieńgi (gdzie pieniądze)? Na to słowo «dieńgi» brzęczą w uszy żołdatom; moskale jak szuchnęli się, znaleźli furgon z pieniędzmi i oberst-liejtanta wyciągnęli z pierzyny: oberst-liejtanta poszturchali, a pieniędzy nie tknęli. Pułkownik tak przykazał, a w lasach jest pełno pałek na nieposłuszeństwo.

Oberst-liejtant coś po niemiecku, po francuzku, do moskiewskiego pułkownika gadał. Kołogrywów choć te języki znał jak na palcach, bo służył niegdyś w preobrażeńskiejszej gwardji, na wszystko odpowiadał.

— Nie rozumiem.

Oberst-liejtant dał mu jakiś papier do czytania; moskał przypatrywał się, obracał i oddał na powrót.

— Nie znam tego. —

I kazał jeńców prowadzić niby do Pińska, a praporczykowi służby rzekł na ucho: — Obedrzeć niemców, to dla was panowie oficyry i dla rabiąt (dzieci żołnierzy), a potem puścić do licha. — Sam zajrzał do furgonu, aż mu oczy zaiskrzyły się

z radości. Tam hukiem srebra i złota: dobył garść srebra, feldfeblowi oddał — między rabiateg rozdać — obrócił się do oficerów. — My się porachujemy — czerpnął garścią złota i dał szlachcicowi. — To dla ciebie. — Szlachcic podziękował, westchnął, aż mu łzy w oczach stanęły. — Chwilkę rozmawiał z Pułkownikiem po cichu, Kołogrywów pokręcił głową.

— Ja zaraz idę, a ty ruszaj. Tam koło Rudeńki zjeździemy się.

Kiedy ów szlachcic odjechał, a moskale stali gotowi do pochodu, jeszcze raz przykazał deńszczykowi żeby pilnował furgona jak oka w głowie, mówiąc: to nie kaziennie (skarbowe), ale moje; zatarł ręce, obrócił się do dwóch majorów:

— To chwał ten Rewucki. —

Właśnie w tej chwili niedaleko Stochoda, za czarnym laskiem, stali polscy ułani; szwadrony rozwinięte w kolumnie pułkowej, groty spis przyłożyły się nad uszy końskie a porpore muskały końskie szczęki; ułani w pole okiem wypatrują, czają się jak szczwacze na lisa.

Koło mostu na Stochodzie kilku ludzi się snuje: to na moście staną, to na most wleżą; do ucha dolatywało jak tarcie piły, jak siekiery stuknięcie i wszystko ucichło, a ludzie w las się powalęsali jak cienie nocy, i w lesie znikli.

Już słońce dobrze rozświeciło na niebiosach, ptaki gwarnie świegotały; ranny wietrzyk zciepiał, a na polach nic widać nie było. Pan Kwaśniewski już się nudził, pomrukiwał do swoich. — E wać! wyprowadził nas w pole; szlachcic bestja, Cześnikowicz, jakiś pludra niemiec; nauczę łyka. — Aż tu ułan z po za lasu przybiegł:

— Idą!

Kwaśniewski po za las poskoczył, stanął, patrzy: idą moskale — długim sznurem, idą bezpiecznie, bo na polach ni żywej duszy nie widzą.

Kwaśniewski dowódcem szwadronowym podawał rozkazy, a sam stanął przed naczelnym szwadronem i czeka.

Pierwszy moskiewski bataljon już mijał ułanów, a drugi na poleć im nachodził, kiedy Kwaśniewski pokręcił węża i zawołał:

— Baczność! szwadron w lewo! kłusem! suń się naprzód! —

W mig kłusem szwadron pociągnął się na wskos w lewo, i odkrywał przed sobą czyste pole.

— Na prost! — cwałem! — suń się naprzód!

Konie zapruły ziemię kopytami, bryzgi lecą pod niebiosa, ziemia jęczy i tętni; chorągiewki furkoczą, a dzikie hura! hura! brzmi w powietrzu.

Drugi batalion moskali duchem w czworobok się ustawił,

a pierwszy prze na most. Most zakrehtał i zawałił się z moskalami, a z lasu gęste strzały huknęły.

Z czworoboku rotowym ogniem powitano ułanów, a oni na odpowiedź ostrogami konie napaarli, spisami dźgnęli w czworobok, i końmi tam wskoczyli. Konie kopytami miaszają moskali na ciasto, ułani kolą spisami, szablami siekają, a dziko krzyczą. Moskale bronią się i jęczą, i o życie proszą. Kwaśniewski woła: — Ej Wać! na honor Ojczyzny, bij szelmę, bestję — i sam rąbie.

Podhorodeński z powstańcami z lasu wyskoczył. Poleszuki podkocili świtki, w bród przebrnęli rzeczkę, we łby moskali siekierami ciukają i palą do nich ze strzelb, jak myśliwi do kaczek.

Nie wystarczyłoby czasu na prześpiewanie pięciu psalmów pokutnych, tak się prędko lackie dzieci z moskalami uwinęły. Większa część wrogów trupem leży; niewiele rannych, a jeszcze mniej zdrowych przy życiu zostało. Ułani zbierali się w szyk, a powstańce oporządzili trupy z pieniędzy i z cacek.

Pułkownik moskiewski zginął w obronie furgonu.

Po skończonej bitwie Kwaśniewski rzecze do Podhorodeńskiego: — Na honor Ojczyzny się zaklinam, że aż lubię takeśmy się popisali; to niemców pludrów pieniądze! połowę weź Wać na sztyftowanie powstania; daję jedną część moim ułanom, drugą zaś powstańcom oddać. Tęgie bestje, smoki! jak mi Bóg i Ojczyzna miła. Ja tego nie wiem czyje to pieniądze, zabraliśmy to nasze, i basta. No chwat ten Rewucki. —

Podhorodeński oprócz powszechnego działu, nagrodził osobno sześciu balarzy co most podrażali. Chłoptwo krzycało: — Niech żyje Polscza, chodźmy jeszcze na Moskali!

— Na honor Ojczyzny wam się zaklinam że pójdziemy. Ja jadę i powiem temu pludrze, niech nas puszcza, a my sami bez jego niemców i Bagrationa i Ertela i Tormansowa zgnieciemy na zgniłe jabłko — i mruknął do siebie. — Ten Rewucki to lepsza bestja, jak mi Bóg i Ojczyzna miła takich mi dawajcie a dużo! —

VI.

We Włodzimierzu Feldmarszałek Szwarceberg, opasły niemiec, przyjmował poselstwo Łuczczanów; ale przyjmował ich po odwiedzinach, niestety! Polaka, dobrego imienia z ojców, który stał się podłym sługą moskiewskiego cara, wroga Polski, i przywiózł niemcowi w darowiznie faszeczki, nie z masłem i serem, ale ze złotem wydobytem ze skarbu pani Branickiej, moskiewki z rodu, a żony zdrajcy. Szwarceberg darowiznę przyjąwszy odpowiedział: — Mój kajzer a twój car,

to bracia; kruk krukowi oka nie wykole. — Ale spojrzął na faseczki; było ich trzy, i dodał: — Ale trzeba więcej. — Niemiec pomyślał nawet sobie po żydowsku: kiedy być szelmą to przynajmniej za dobre pieniądze.

Łuczczańców przyjął, ale ci mu złamanego szeląga nie przywieźli, oświadczyli tylko swoje chęci wzięcia się do broni za kochaną ojczyznę; polskim obyczajem nakłaniali się mu, nagadali grzeczności tysiącami i o rozkazy prosili. Niemiec jak pudel zaślinione wargi wykrzywił.

— No, to panowie przysięgajcie na wierność naszemu kajzerowi Francowi; on Polaków kocha. —

Panowie szlachta wówczas, choć grzecznie, ale butnie odpowiedzieli: że chcą mieć Polskę za królem polskim swoim; nie czas szukać obcego pana, rzucić jedno jarzmo a sadzić karki w drugie. Pan Sokołowski nawet pomyślał, ale nie powiedział: wymieniałby stryjek za siekierkę kijek. Nalał nam sadła za skórę moskal, ale i Czerwono-rusinom niemiec także nalał sadła za skórę. Moskal sobaka a Austrjak pies.

Szwarcenberg butnej postawy Łuczczańców trochę się załkł; zaczął tedy jak zajęć zaskakiwać: mówił że nie może nic stanowczego wyrzec bez rozkazu cesarza Napoleona; nawet panów obywateli głaszał obietnicami żeby wstrzymać powstanie. Oświadczył, że pójdzie naprzód za Styr, jak tylko dokładnie dowie się o siłach Moskali i o stanowiskach jakie zajmują ich wojska. W końcu zaprosił panów obywateli na obiad.

Takoż polskim nalogiem, szlachta Łucka, obiadem feldmarszałkowskim udobruchała się. Bo też to rzecz nielada! powiedzieć żonie, dzieciom, sąsiadom, a w braku tych, klucznicy albo żydowi arędarzowi: obiadowałem z feldmarszałkiem, księciem niemieckiego cesarstwa; on do mnie gadał, jak ja mówię do Waćpani, albo do Waćpana; bo wtenczas pan szlachcie napuszony swoją przygodą, klucznicy dawał miano Waćpani a żydowi parchowi Waćpana. Koniec końców, że szlachta wstrzymała się z ogłoszeniem ogólnego powstania, a szatnęła się żeby dostać wiadomości o sile moskiewskiego wojska i jego stanowiskach i to jak najdokładniejszych.

Wieczorem, w jednej z karczem miasta widziano pana Szymona Sokołowskiego rozmawiającego z owym szlachcicem Rewuckim, który także zjawił się we Włodzimierzu. Po tej rozmowie szlachcie pojechał drogą do Łucka, a Sokołowski wracał do Kościuchnowki.

Nazajutrz dzień, przybył do Włodzimierza Kwaśniewski z niewielką jeńcami i z wieścią o zwycięstwie; przybył także i oberst-lejtnant Bartolomeo ze swoimi czaraparami.

Po rozmowie ze Szwarcenbergiem, oberst-lejtnant ubierał swoich czaraparów na nowo, a Kwaśniewski sierznił się: — Jak mi Bóg i Ojczyzna mile, niemiec pluder zdradza; nie chcę

mnie puszczać od siebie. Otoż to na niemieckie ręce powierzyć sprawę polską! Nagadałem ja mu, nagadałem; jeżeli ten Hempel wszystko mu powiedział! — To bieda że człowiek tego szwargotu nauczyć się nie może! — Przynajmniej pieniądze niemieckie pójdą na sprawę Polski, dla nich jak w studnię przypadły. — Ha! umarłego z grobu nie wracają.

VII.

W staro-wołyńskim grodzie, w nadstyrzańskim Łucku, miał główną kwaterę moskiewski generał Tormansow. — Mnóstwo tam moskiewskiego żołdactwa, dzikich tłuszczy z Sybiru i z Azyjskich krajin. Car moskiewski stawił banco siły swojego cesarstwa przeciw potędze dotąd wszystko-możnej cesarza Francuzów, a Moskale choć miodzy i dzicy, spotulnieli jakoś; jak mogą hołubią do siebie Lachów, a sami jak na wylocie w ciągłym strachu. Zwyczajnie, w obcej zagrodzie złodzieje. I dzieci krzykiem, i baby kociubami by ich wygoniły, gdyby tylko w rzeczy porozumiano się.

Generał Tormansow rozpatrywał karty jeograficzne i czytał rozmaite doniesienia, kiedy wszedł młody porucznik Kanczajalów, ulubiony adjutant generała. Kanczajalów był rodem Gruzjanin, ze znamienitej Imirityńskiej rodziny. Zmuszony służyć w carskiem wojsku, ale pod barwą moskiewskiego mundura, żywił gruzyjskie wolne serce. Bagration pokrewny młodego Gruzinca; poleciał go Tormansowi, i ten go pokochał, bo to był rodziny moskal; przechował w swoim sercu wiele sławiańskiego. Porucznik stanął przed nim:

— Wasze prewoschodytelstwo, ten szpieg Polak chce was widzieć. — Widać że z odrazą wymówił te słowa.

— Jaki? ten leśnicy białowiezkiej puszczy? Rewucki?

— Ten łajdak.

— Niech przyjdzie. — I generał nie skarcił zniewagi swojego przybocznego.

W przedpokoju stał Rewucki, ponury jak mroczny dzień jesieni; czasami dumnie spojrzął i przyśmiecchnął się z zadowoleniem, ale częściej wzdychał. — Wszedł Kanczajalów.

— Pójdź do generała — i ręką na drzwi jak psu wskazał.

Zatrząsł się Rewucki, zatoczył się nawet w chodzie jak pjany, ale skinął głową i poszedł.

W tejże samej chwili wszedł obywatel Łuckiego powiatu, tenże sam co woził faszeczki ze złotem Szwarcebergowi. On narzekał na losy Polski uwodzonej przez Napoleona, a służył nie otwarcie ale nikczemnie wrogowi laskiego imienia. I Gruziniec pocieszał go i witał dłonią przychylności.

Po chwili Tormansow zawołał Kanczajalowa, i kazał mu iść

do swojej osobnej kancelarji, sprawdzić i spisywać rozmaite wieści przez niego przywiezione, a sam rozmawiał z owym obywatelem Łuckiego powiatu, którego Łuczczanie zapierali się jak parszywej owcy.

W kancelarji, Rewucki kociem okiem poizierał na raporta urzędowe o stanowiskach i siłach wojsk Értela, Bagrationa, Tormansowa i innych, rozrzucone między nawałem papierów, a sam opowiadał obszernie o stanowiskach wojsk Szwarzemberga, o przygotowaniach i ruchach na Litwie. Kanczajałow po dwakroć mu spojrział w oczy. — I ty Polak?

Rewucki milczał a swoje mówił. Nareszcie adjutant wstał. — Piszy sam — i chodził po komnacie, parę razy wyszedł i wrócił a przy odejściu Rewuckiego jeszcze raz pogardliwie powtórzył: — I ty Polak?

Rewucki zębem zgrzytnął: — Polak jestem. — I obadwa zamilkli, ale zmierzyli siebie okiem.

Jeszcze trzy albo cztery godziny było do zachodu słońca, kiedy w domu marszałka Lipskiego, w jednej z tylnych komnat, zszedł się Rewucki z ową młodą niewiastą, która przyjechała do Łucka z Kołodijów z panią Chorążyną. Rewucki przyszedł cichaczem furtką od ogrodu.

Młoda niewiasta wsparła głowę na dłoni, w oczach łzy a na twarzy dumanie. Kiedy wszedł Rewucki, rzuciła się mu w objęcia.

— Mój mężu! mój mężu!

— Moja żono!

— Czy już koniec?

— Nie jeszcze.

Moja luba — tu wyjął wiązkę papierów — jedź z tem do Włodzimierza, tam w karczmie Ieka, oddasz panu sędziemu Konopackiemu, on na to czeka.

— A ty?

— Ja jeszcze zostanę, jutro mają przyjść ważne wieści, pojutrze będę z tobą.

— Jedź dziś; tyś dosyć i tak zrobił.

— Nigdy dosyć!

— Mój luby, mój drogi, ty się gubisz! — I ramionami uczepliła mu się na szyi. — Jedź ze mną, albo ja zostanę z tobą.

— Żono, puść mnie. Bóg nam dopomoże, nagrodzi ojczyzna.

— Ojczyzna! — smutnie odrzekła.

— Żono, czy ty nie kochasz Polski?

— O! kocham! kocham! ale i ciebie kocham!

— Moja jedyna, kiedy ty mnie kochasz to jedź. — Uściskał ją i ucałował, a łzą gwałtem cisnącą się do oka mył jej piękne lice, jakby łzą smutku chciał zmywać smutek; a tak serdecznie błagał, że ona załamała ręce, zaszłochała, i ze łkaniem wymówiła:

— Pojadę, pojadę. —

Jednej i tejże samej chwili z zastawy Łuckiej na długi most wysłany słomą i polany smołą dla prędszego zapalenia wjeżdżał koczyk z owym obywatelem co woził Szwarcebergowi fasczki ze złotem, i brzyczka z młodą panią Rewucką. Obadwa powozy dońskie strażę przepuścili; taki był rozkaz. Obywatel patrzył na nowe fasczki i uśmiechał się, młoda niewiasta cisnęła dłoń do serca i łzy ronila.

Nazajutrz dzień, ów obywatel powrócił, śpiesznie się udał do Generała Tormansowa. Tormansow był pomieszany, wydał rozkaz groźne, i wnet okuto w kajdany Rewuckiego; on się uie bronił; smutek mu dręczył serce, ale duma osiadła na twarzy. Zdawałoby się że te żelaza przydały mu godności, bo hardem okiem spojrzął na moskiewskich zbirów.

Tormansow wydał rozkaz wieść go do Żytomierza, a młody Kanczajałow przyszedł do więźnia, swoją dłonią, jego rękę okutą w kajdany uścisnął: — Ty Polak! Bagration mój krewny, cesarz dla niego zrobi; bądź spokojny.

— Ja spokojny.

— Niech Bóg czuwa nad tobą.

— Dziękuję, niech czuwa nad Polską! —

VIII.

Czas płynął i rzeczy ludzkie się zmieniały. Szwarceberg kupiony złotem pani Branickiej, zmitrężył powstanie Łuczczanów, sam się cofnął, a Moskwa załała Polesie wołyńskie. Godlewski namiestnik Podhorodeńskiego z częścią powstańców poszedł do Dąbrowskiego, inni po domach się rozjechali; czekali lepszych czasów, pomyślniejszych okoliczności. Napoleonowi nie szło po myśli, a Moskale otuchy nabrali, a razem rodzimej, dzikiej srogości.

W Żytomierzu gubernatorował podówczas Grek Komburlej; bez czei i wiary, zwyczajnie podły cudzoziemiec w carskiej służbie. Przed nim stawiono Rewuckiego. Rewucki na wszystkie zapytania odpowiadał śmiało i hardo:

— Ja to zrobiłem.

— Ty zdrajca! maszennik!

— Ja Polak.

— Ty cara zdradziłeś!

— Polsce służyłem.

— Car twój pan!

— Wróg Polski.

Greki na uwięzionego człowieka wpadł i pięściami go tłukł, a on z pogardą potrząsł głową:

— Ja mam kajdany — — i wstrząsnął niemi.

— Rozstrzelać maszennika! wyprowadzić go won! — i wydał wyrok rozstrzelania.

Surowy wyrok śmierci rozgłosił się po Żytomierzu. — Dwóch obywateli ośmieliło się pójść do Komburleja i mówić z nim. Jednym był Tadeusz Czacki, Starosta Nowogrodzki, ów wielki mąż Wołynia; drugim Filip Olizar, Podczaszy Litewski, ta dusza staropolska. Z godnością zeszli do prośby żeby ocalić życie Polaka; a kiedy prośbą nie mogli wskórać, pan Starosta Nowogrodzki rzekł:

— Panie gubernatorze, pamiętaj że prędzej czy później krew za krew.

— Jak to? wy śmiecie mi to mówić!

— Tego powiedzieć nie bałbym się i Cesarzowi.

— Jak to?

— Bo Cesarz sprawiedliwy.

Nadarmo były rzucone te słowa, Grek swojej woli nie zmienił.

Dzień był jasny, słońce świeciło, jakby to były jakie uroczyste gody. Siła moskiewskiego wojska i konnicy i piechoty, nawet armaty, wyszło za wilskie rogatki, i lud różnej płci i wieku tam biegł. Między wilskim a czerniechowskim szlakiem w koło stanęło wojsko a lud z dala patrzył. Drażkami i koczami zbiegli się czynownicy moskiewscy; był tam i Komburlej.

Między lasem bagnetów, pieszko, okutego w kajdany prowadzono Rewuckiego. Obok niego szedł ksiądz. On spokojnie z kapłanem bożym rozmawiał, a na świat swobodnie, dumnie poglądał. Raz tylko się zasmucił i do księdza przemówił: — Ojczy pamiętaj — moja żona — — łezkę uronił, i tej łezki przed ludźmi i przed Bogiem się nie wstydzil.

Już stanął na miejscu śmierci, tuż nad swoim grobem. Rozkuto mu kajdany, on wolnie się przeciągnął ramionami, odechnął. — Chciano mu oczy wiązać, on zasłonę zerwał: — Pozwólcie niech przy śmierci patrzę na polską ziemię. —

W tem tumanem zakurzyło na Wilskim szlaku, dzwonek jak pijany dzwonił, konie na rozparcie gonily; kurjer przybieżał, skoczył z kibitki, i gubernatorowi oddał w ręce jakiś papier.

Milczenie szerokie rozlało się po całym tem wojsku, po całym tym ludzie: a było takie, że słyszećby można trzepotanie ptaszego skrzydła w powietrzu, brzęczenie muchy.

Komburlej zmarszczył się, zbladł, zadrżał, zmiął papier i krzyknął: — Strzelaj.

Rewucki dłoń przyłożył do serca: — Tu, w polskie serce!

Oficer kazał dać ognia. — Dwanaście razy strzelano, dwanaście razy trafiono więźnia, a żadna kula w serce go nie tra-

fila: padł na ziemię i tarzał się we krwi własnej, i wołał: — Żono! — Polsko! —

Dziki głos Komburleja wrzasnął: — Kolbami dobić! — I żołdactwo kolbami głowę rozbijało więźniowi. Potem w wykopany dół włożyło na pół żywego jeszcze i ziemią zasypało. — Wojskowi i lud od okropnego widoku odwracali oczy, serca ich krawawily się zniewagą i chęcią zemsty.

Już ruszano z miejsca, kiedy nadbiegła druga kibitka; w niej była niewiasta młoda, i młody moskiewski oficer. Kanczajałow wyskoczył z kibitki i głośno krzyknął:

— Cesarz przebaczył.

Komburlej odjeżdżając mruknął: — Ale ja, nie. —

Lud głucho zszemrał: — Zapóźno! już nie żyje! —

Młoda niewiasta oczy zakryła i boleśnie wrzasnęła: — Litości! pomsty! —

Lud korowodem zawył: — Pomsty! pomsty! — Wojsko milczało i bronią brzęknęło.

W kilka niedziel później smutny orszak ludu prowadził ciało zmarłej pani Rewuckiej na smętarz. Kibitka pocztowa wiozła Kanczajałowa na Kaukaz pod szablę Czeczeńca. U Kumberleja był wielki obiad na obchodzenie łaski cesarkiej za przysłanie mu orderu świętego Andrzeja. Cesarz nie gniewał się za niewykonanie wyroku przebaczenia; nagrodił przestępnego zbira. To sprawiedliwość carska! Kiedyś, kiedyś przyjdzie sprawiedliwość Boża! —

ŻYTOMIERZANIE 1812.

Smutno, tęskno w kozachej krainie. Orzeł wzleciał het pod niebiosą i tam wiatry goni; kozak nie wsiadł na koń i po stepach wrogów matki Polski nie ugania. W dzień biały, psy korowodem jak płaczki wyją, a kozacy nie hukną wrzaskiem: do broni! na koń! Król Jegomość kazał — a więc: Sława Bogu! pohulajmy za króla, za Polskę! — A tak to jednak bywało.

Teraz wsza Ukraina cicha, pusta, jak mogilnik kozachej sławy, nie pomarłej, ale uspionej snem głębogim, długim. Poszeptami tylko z wiatrem pogaduje: zjawi się, o zjawi się Król Jegomość, i kozacka sława ze znu się obudzi, i Polska ze snu wstanie! — Tak będzie jak dawniej bywało. —

I.

Nad Hojwą rzeką stał domek ubogi, ale białą gliną olepio-ny, ale gładką kalenicą pokryty; jakby jasnym weselem mówił do każdego oka: we mnie szczęście i swoboda mieszka.

I szczęście tam mieszkało.

Trzech lat jeszcze nie upłynęło, jak Jan Gorajski dziedzic siola, ożenił się z Marjanną Hoholówną, i Bóg ich małżeństwo pomilował dzieciną.

Słodko płynęły chwile życia, zwyczajnie miłością tkane. U ciemno-okiej Maryni, był zawsze na podorędziu uśmiech przymilenia dla męża, a pieśczoła macierzyńska dla dzieciny, córeczki jedynaczki. Drobnutka Olesia, jak aniołek w raju do Boga, tak ona ku rodzicom wyciągała rączkę, to płaczem, to uśmiechem na przemiany wabiła ich do siebie, i Jan miał twarz pogodną, wesołą. Czasem tylko harde czoło zasuwawało się zmarszczkami gniewnego smutku i w oku żarzył się dziki

zapał i lza do niego gwałtem się cisnęła. — Czy to ślady dawnych namiętności, obudzonych przypomnieniem z uspienia? — O nie! — Świat życia Jana nie był szeroki; dusza myślą hasała po nieznanym obszarach, ale serce rozhasało się po krainie namiętności. Wychowany w staropolskim szlacheckim domu, zaczął i skończył nauki u Księży Bazylianów w Lubarze, i ztamtąd wyniósł bogaty zasób cnót chrześcijańskich i polskich. Ojcowie sławiańskiego zakonu, nauczyli go nie oddzielać jednych od drugich. Oni to słowami wiary i miłości leli w jego duszę święte prawdy: czcuj Boga, miłuj bliźnich; służ kościołowi świętemu, ale służ zarazem i Ojczyźnie — i te słowa jak kropla wody po kropli spadające na kamień, wymyły w sercu młodzieńca uczucie powinności. Polak i chrześcijanin jestem — a tem uczuciem rozdmuchiwał nadzieję: — i zbawię duszę, i Ojczyznę się zasłużę.

Bardzo młodo pokochał Marynię, ożenił się i żył na wsi; dusza i serce jego nabyły hartu prawego uczucia. O jego sercu nie można było powiedzieć: to zwaliska Bożej budowy! Szatan ich nie dotknął; budowa Boża miłością i kochaniem krzepiła się z dnia na dzień.

Zkądże więc te posępne chmury smutku na czystym tle pogody? Oto rodzime lackie dumki: ja Polak jestem, a Niemiec i Moskal dzierżą polskie kraje prawem zdrady i przemocy; ja Polak jestem, a mój kark jarzmo niewoli gniecie, i bicz chłosty wisi nademną. Zapyta mnie kto: kto ty jesteś? — Polak, poddany Cara Moskwy; Polak, poddany Króla Pruskiego; Polak, poddany Austryackiego Kajzera. I jakże po takiej odpowiedzi człowiek od sromu nie oślepie, nie oniemieje, jeżeli polskie serce w nim bije; kiedy wspomni jak Żółkiewski wodził jeńców carów do podnóżka Króla Jegomości polskiego, jak pod Wiedniem szabla lacka zbawiła Niemców od bisurmańskiej niewoli; jak Książęta na Brandeburgu na kolanach składali hołd lenny Piastom i Jagiellonom, prawym panom Polski! —

Jan Gorajski po takich dumkach, w niewielkiem siole, włościanom, sługom, żonie, dziecinie nawet, nie śmiał hardo spojrzeć w oczy; uciekał na ustronie, koniem biegł w stepy, i tam bolał nad każdą godziną straconą w nieczynności: złorzeczył, nie wiedzieć komu, i bawił się starą dumką koczającą:

Ja zakląłem się Królowi Jegomości, że czort moskal nie uciecze.

Po stepie rozglądał, czy kto nie bieży z rozkazem od króla, wysłuchiwał, czy gdzie rozgłos nie odzywa się: w imię króla do bronii! na koń! — i nikogo nie wypatrzył, żadnego rozgłosu się nie dosłuchał, a boleść targała myślą, a srom ołowiem ciężył na sercu.

II.

Było to roku 1812. Już cesarz Francuzów wypowiedział wojnę carowi Moskwy, a zasłych o niej doleciał i nad brzegi Teterowa. Choć w Żytomierzu pełno carskiego żołdactwa i carskich zbirów, jednak imię Ojczyzny w myślach i na ustach wszystkich Żytomierzanów, bo polskie serce za łada iskierką nadziei gotowe płomieniem buchnąć. Snadniej wynaleźć drzewo na oczakowskim stepie, jak Polaka, któregoby duch bieda przygniotła, albo strach serce zastudził w uroczystej chwili porwania się do broni za Ojczyznę. Każdy taki śmiały, taki ochoczy, jak dziecko które nigdy ani widziało, ani słyssało co jest niebezpieczeństwo; albo jak śmiałek, u którego niebezpieczeństwo jest powszednim chlebem, nalogowym trunkiem.

W Łuce, pani Gorajska siedząc nie daleko kołyski dzieci, pończoszkę dla niej robiła, a bezustannie okiem rzucała to na malutką Olesię, to na męża. Dziecina we śnie się uśmiechała, widać myślą aniolka snuła sny aniolka. Jan nie był posepny jak to czasami bywało, ani wesoly tem domowem szczęściem, tą błogością sobie zwyczajną; ale hardy zapal strzelał mu z oka, hulaszca przechwątka igrała po twarzy. Podobny był do dawnego kozaka, kiedy wyjeżdżał na pohulankę na Krym, za Dunaj; albo do dzisiejszego, kiedy przyjdzie mu do głowy, zanucić starą pieśń o dawnej kozackiej sławie. Jakby umyślnie odwracał oczy od żony i od dzieci; nie chciał lubości kochania stawiać na harc z wojenną dobrowolą kozacką.

Sród tych dumań wszedł wierny sługa Harasym.

— Ojcie serdeczny, przyjechał posłaniec od Pana Wojskiego z Zorokowa.

— Cóż przywiózł?

— Nie wiem co, ale chce z samym Panem gadać.

— Niech przyjdzie.

Po chwili stanął w komnacie Bazylek, najpoufalszy sługa pana Wojskiego, rzucił okiem na około i oddał list Gorajskiemu, ale z takim ruchem, jak gdyby to wręczenie chciał ukryć przed wzrokiem samej Pani. Gorajski przeczytał.

— Bazylku, cóż tam? — i zaciął się w mowie.

— Pan kazał przywieźć odpowiedź.

— Zaraz, zaraz. Hej Harasym! —

Ledwie drzwi skrzyknęły, Gorajski zawołał:

— Kasztanka mi osiodłać natychmiast, a ty Bazylku jedź; ja sam może tam wprzódę będę od ciebie. —

Kiedy Bazylek wyszedł, Marjanna wstała z miejsca i zbliżyła się do męża.

— Janie, cóż to jest takiego?

— Czytaj Marysiu.

Marysia wzięła list i czytała:

— Panie Janie, —

— Znam W. Pana serce i gotowość do posług Ojczyzny. Nadeszła przecie chwila w której będziemy mogli bez zająknięcia powiedzieć: jesteśmy Polakami! Przyjeżdżaj W. Pan jak najprędzej. List ten posyłam przez mego Bazylka, co tak jest jak gdybym go posyłał przez samego siebie. Czekając z niecierpliwością W. Pana przybycia, zostaję prawdziwym jego przyjacielem, gotowym do wszelkich posług.

MICHAŁ GŁĘBOCKI,
Wojski Owrucki.

— O mój Janie, cóż tam jest takiego? — i rękoma objęła męża za szyję, a niepokój zamglili się w oczach.

— Maryni, nie lękaj się, proszę ciebie. Ja sam nie wiem co się tam stało. Pan Wojski woła w imię Ojczyzny.

— Ty nie powrócisz!

— Co ci jest Marysiu? Cóż mi się może stać u Pana Wojskiego? Chcesz-że bym nie szedł służyć Ojczyźnie?

— Nie — ale ty nas samych zostawiasz, a ja tak się boję!

— Kilka godzin drogi, nad wieczór powrócę.

— Mój luby, ty mi wszystkiego nie mówisz?

— Wszak widziałas że mi nie więcej od Pana Wojskiego nie nadesłano, a Bazylek nic nie powiedział.

— Ale ty wprzód wiedziałas?

— Jak ciebie kocham, nie; ale słuchaj Marysiu! — Polka i Polak zawsze i wszędzie powinni być gotowi do służby Ojczyźnie i wszystko dla niej poświęcić. —

W tem wszedł Harasym.

— Pański koń osiodłany.

— Maryni, do zobaczenia się.

Pocałował ją w czoło; ona załala się łzami.

— Powiedz do zobaczenia się Olesi, tak nie jedź. —

Gorajski zbliżył się do kołyski i ucałował dziecinę.

— O! nie tak! nie odjeżdżaj śpiącej, bo by jej to wróżyło nieszczęście. —

I obudziła malutką.

Dziecina zakwiliła trochę, ale wnet rączką uczepliła się za szyję ojca i ciągnęła ją do swoich usteczek.

— Widzisz jak ona cię prosi: nie jedź, nie jedź!

— Nie płacz mój aniołku, do zobaczenia się Maryni. —

Ucałował jedną po drugiej i wybiegł z pokoju, a żona wołała za nim:

— Powracaj, powracaj! —

A dziecina kwiliła: — Tato, tato!

On siadł na koń i z miejsca poskoczył, a za nim jeszcze brzmiały, tkliwy głos Maryni: Powracaj, powracaj, i kwilenie dzieciny: — Tato, tato — lecz w myśli mu była Ojczyzna. Parł konia, chciałby jednym susem przesadzić i lasy i stepy, i wody i parowy; chciałby odskoczyć od smutnego przeczcucia żony; chciałby wiedzieć gdzie i jak ma służyć Ojczyźnie. O! on miał serce tkliwe i duszę gorącą!!

W Zorokowie mieszkał Michał Głębocki, szlachcic herbu Doliwa, pan i dziedzic mnogich włości, zagorzały Polak, zacięty szlachcic. Pedogra nogom władzę odjęła, a on jeszcze gotował się siadać na koń, i wieść lackie rycerstwo do boju.

Miał wronego wierzchowca; co dzień po dwa razy siodłano go i przyprowadzono przed ganek. Pan Wojski patrzył nań przez okno i wołał na Bazylka:

— Bazylku! czapkę konfederatkę i karabelę, żywo mi chłopcze! —

Próbował podnieść się z krzesła; w tem strzyknęło w nogach, zakłuło w żołądku i cierpko znowu zawołał.

— Jawdocho, rumianku.

Bazyłek przyszedł z czapką i karabelą, Jawdocha z filiżanką rumianku, Wojski włożył czapkę na głowę, na prawe ucho; karabelą brzęknął i oparł o poręcz krzesła; wypił rumianek i tak ciężko stęknął jakby mu co w łonie się urwało; a kiedy zobaczył pomięszanie na twarzach przytomnych, kiwnął głową:

Nie z kijem się wyrwało,
Nikomiu w łeb nie dało.

Potem zwracał mowę do nadwornego lekarza Szylknechta.

— A cóż tam piszą waścine gazety o Najjaśniejszym Cesarzu Napoleonie? —

Zdjął czapkę i głowę się pokłonił.

— Piszą gazety że już wyjechał z Paryża, Jaśnie Wielmożny Panie Marszałku.

— Pfu, co mi W. Pan gadasz! precz mi z tem moskiewskiem marszałkowstwem! Mości Panie Wojski! to mój urząd. Król Jegomość Pan nasz miłościwy mi go nadał. Mospanie Strzemecki pójdź Waszmość do kantorka, poszukaj nadania. —

Strzemecki, chorąży pińskiej brygady, na respekcie bawiący u Pana Wojskiego odszedł, a Wojski jeszcze sapał i nie mógł przyjść do siebie.

Po utworzeniu gubernji, szlachta w pierwszych latach obrała Wojskiego marszałkiem żytomierskiego powiatu. Wojski przyjął wybór, bo powiadał: trzeba wojować z huncwotem wrogiem

jak można, a kto ma urząd to mu może łatwiej kurtę skroić. Chciał szlachtę do powstania podmówić i sam jej naczelniczyć ale to mu się nie udało; musiał dać porękawicznego panom urzędnikom moskiewskim wartości czterech wiosek ukraińskich, żeby go nie posłano polować sobole i czarne lisy. Urzędnicy na śledztwie pokazali, że Pan Wojski taki niewinny od zarzutów, jak dziecko nowonarodzone; ale Wojski tak zniemawidził marszałkowski moskiewski urząd, że jak tylko go nim nazwano, zaraz autentycznie czarno na białem chciał dowieść że jest Wojskim Owruckim.

I teraz tak się stało. Szylknecht jak najpokorniej przeproszał, a Wojski zapewniwszy się z gazet że Napoleon nie przybył jeszcze do Warszawy, kazał wronego konia do stajni odprowadzić.

Wojski wierzył w gazety i powiadał: słowo nie szlacheckie to wiatr, a pismo każdego to grunt; druk to święta rzecz, byle się nie dostał w ręce żyda albo przechrzty.

Moskalów nie cierpiał. Razu jednego Wicegubernator wołyński Kożumiakin dowodził, że on spokrewniony z Butowiczami pokrewnymi Wojskiego. Na to się Wojski ofuknął.

— Co waś gadasz? — U nas po polsku koża znaczy skórę, a miakin ten co ją gniecie; waścia ojciec, albo waś sam może gnietliście skóry u którego z Butowiczów, czyli grzeczniej rzekłszy, byliście garbarzami u niego. Otóż to takie pokrewieństwo. —

Na co mruknął Wice-Gubernator:

— Nie rozumiem po polsku. —

I na tem się skończyło. A Pan Strzemecki bez opowiedzenia się Wojskiemu, posłał kilka fur legumin i rozmaitych wiktuałów P. Wice-Gubernatorowi, czem go tak ujął iż wszędzie rozgadywał: — Pan Wojski taki czestny człowiek, taki polityk w swoim domu jakiegom ja nigdzie nie widział; nawet w stolicy w Sankt-Peterburgu. Bogiem i Carem wam się świadczę. —

Pan Wojski po Bogu nad wszystko w świecie kochał ojczyznę, potem dopiero pamięć nieboszczki żony i swoje dzieci. Dla ojczyzny wszystko był gotów poświęcić i zrobić, ale nadzwyczaj miłował staropolskie rzeczy prawem bożem i zwyczajami ludzkimi uświęcone. Dla tego też, według niego, nikt nie mógł ani władać, ani rządzić Polską, tylko Król Jegomość; chciałby wszystkich moskali, jak to mówią w łyżce wody utopić; uwielbiał poczciwość pierwszych konfederatów Barskich, a dla tego nie należał do Konfederacji, że się nie zawiązała z woli króla, i owszem przeciw królewskiej władzy. Nie poszedł do Kościuszkowskiego powstania, bo tam wszystko robiono w imieniu naczelnika, nie w imieniu króla, i powiadał: Dla Polaka djabła warta ta nowość. Naczelnik najlepszy, to król! królewskie miano wsza Polska rozumie: to ojciec chłopków,

pan szlachty. Lada szlachcic jak stanic na czele pięciu ludzi, to i naczelnik, a król tylko jeden w Polsce być może, jak jeden Bóg w niebie. Praojcowie nasi pod królami wojowali wrogów i dobrze żyli u siebie: róbmy i my tak, a będzie i nam dobrze. —

W 1807 i 1809 latach pomrukiwał nawet na samego Napoleona, czemu Polsce króla nie dał.

— Mopanku, prawda, że kiedy koniowi co ma cztery nogi zdarza się potknąć, i człowiekowi o dwóch toż samo może się zdarzyć. Bóg wie jakim Szwabom i Włochom nadawał królów, a nam narodowi wielkiemu, nic nie dał. Otóż to służ obcemu panu: szarga tobą jak psem i karmi ogryzkami jakich by i pies nie chciał. Piękna mi rzecz! Księstwo Warszawskie, i niemiec za pana? Coby to nasi praojcowie z czasów Bolesławów, Jagiellonów, albo Batorego, na to powiedzieli? Pfu! bogdaj to djabli wzięli taką robotę. Nam trzeba całej Polski, od Bałtyku po Czarne morze; od Odry po Nizowskie stepy; całej jaką kiedyś była. Mopanku, jak będziemy mieli króla naszego Polaka, to i wszystko to będzie. —

W 1812 roku Pan Wojski nabrał otuchy:

— Napoleon się pomiarkuje, i nam w głowach rozum zaświta. —

Taki był P. Michał Głębocki wojski owrucki, szlachcic od praojców, dziedzic i pan mnogich włości.

III.

Nie było tam wiele gości w Zorokowie; Pan Wojski nie lubił tłumnych narad.

— Te hała-bała, mawiał nieraz, na nic się nie przydadzą. Sto butelek węgryzna pęknie; nahuczają, nakrzcyczą jak chłopci w karczmie, nawet czasem i za czuby się wezmą, a pożał się Boże! nic z tego. —

Byli w ową chwilę u Pana Wojskiego: Pan komornik Drożewski stary i dawny przyjaciel, Ks. kanonik Pawłowski, Pan sędzia Wojnarowski z Kroszny i Pan marszałek herbu Prawdzie, a przytem chorąży Strzemecki. Zasiadli koło krągłego stołu. Na stole nie było ani pióra, ani kałamarza, ani papieru, ani kart, tylko przed każdym stał spory kieliszek nalany winem złotawem jak bursztyn, a zsiadłym jak oliwa i trącącym myszką. Przed Panem Wojskim stała filiżanka z rumiankiem także złotej barwy. Popijali i gawędzili.

— Posłałem po Pana Jana mopanku, to zuch! — popił rumianku — bo młody.

— Tnę potnę Panie Michale, i myśmy kiedyś zuchy byli;

teraz już nie do tańca, a niebawem i do różańca się nie zdamy.

— Mopanku w starym piecu djabeł pali; jeszcze pokażemy co to szlachta polska umie. Waszmość mopanku, na tem zjadłeś zęby, a u mnie to nowina. Mości komorniku, będę ciebie prosił na bakalarza — i znowu popił rumianku.

— Tnę potnę, prawda że się zęby zjadło, a djabli wiedzą po jakimu. Prawdę to mówią: siej na wiatr, to i urodzaj na wiatr pójdzie. Tnę potnę, tłukłem się za konfederacji; pod naczelnikiem trzech synów straciłem, jeden mi tylko pozostał, a z tego wszystkiego tnę potnę dla Ojczyzny nic.

— Mopanku, a ja mówiłem: król nakaże konfederacje, to ja tam pójde. Król stanie na czele narodu, to ja stary zaraz tam ruszę; inaczej to pusta rzecz: wodę warz, to woda będzie.

— Tnę potnę, Waszmość Pana prawda; ale Mościpanie stało się, odstać się nie może. Tnę potnę nie czas zamykać stajnię kiedy konie wykradną.

— Prawda Mopanku; ale kiedy się nowych nakupilo, trzeba zamykać, żeby i ich nie pokradziono. Ot nadzieja znowu błysnęła dla nas, korzystajmy.

— Tnę potnę, zgoda! choć dziś na koń! Powołajmy wszystkich do broni, w imię króla, do służby Ojczyzny.

— Ale w imię jakiego króla? — odezwał się Ksiądz kanonik.

— To sęk — pomruknął młody marszałek.

Sędzia wypił wino, zapewne szukał prawdy na dnie kielicha:

— Oto w imię króla, który będzie królem, jak wypędzimy Niemców i Moskali! —

To było dictum a cerbum dla panów szlachty! Ha — Et — Pfu — pobąkiwali, ale żaden nie chciał na to pozwolić, a nie wiedział jak zaprzeczyć.

Nareszcie Ks. kanonik głos zabrał:

— Ja duchowna osoba, Waszmość panom radzę, że nie zaczynać, tylko w imieniu widomego króla; to będzie w zgodzie i z kościołem świętym i z potrzebą krajową. Duchowieństwo was wesprze, kościół święty pobłogosławi; bo to nie będzie bunt przeciw istniejącej a nieprawej władzy, ale wojna w imię i na rozkaz prawej i widomej przeciw wrogom wiary i Ojczyzny.

— Tnę potnę, wielebny ojcze; tak mówisz jak Jan co to go Złotoustym zwali. Tnę potnę, jak duchowieństwo będzie z nami, a Ojciec święty nam pobłogosławi, nie tylko na miazgę zbijemy naszych wrogów, ale, tnę potnę, kacerzy szmatyków i bisurmanów nawet, nawrócimy na katolicką wiarę; to to, już niech co chcą sobie mówią, a szlachcic polski za stu szablą macha, kiedy wie że to w imię Boże. O tak! tnę potnę. —

Sędzia słuchał i na duo kielicha poglądał.

— Zapewnic, Książdz kanonik ma prawdę, ale co do potrzeb krajowych.

— Jak będzie król widomy, to nie będzie frymarki o koronę, waśni, bójek i całego tego paskudztwa co nasz kraj zgubiło. Król Jegomość miłościwy każe, my będziemy słuchać, a z królem co rozkazuje i z narodem co słucha, nie masz rzeczy którejby dokazać nie można było. —

Wojnarowski zabierał się na odpowiedź, ale Wojski mrugnął na Strzemeckiego, żeby nalał węgryzna w kielich, nie dał szkłu zasychać, a sam wása musnął.

— Co tu gadać na darmo, trwonić czas na sporach, tu trzeba robić. Książdz kanonik tak nam powiedział jakby w książce czytał. Elekcjów robić nie można, i co do mnie, przyznam się Waszmościom, że to wielkie głupstwo: Konstytucja trzeciego Maja (tu wszyscy pochylili głowy na znak czci należnej) skasowała te frymarki, ustanowiła dziedzictwo. Sasi do korony się nie kwapią, bo jej szczerą krwią dokupywać się trzeba, i nie złotą ale cierniową nosić czas niejakiś: a to Niemcy. Książdz Józef synowiec ostatniego króla nieboszczyka (niech mu Bóg odpuści jego winy jako i nam) jest pośród narodu. Nic my obieramy Księcia Józefa, ale z prawa mu się to należy. —

Tu otworzyły się drzwi i wszedł Jan Gorajski. Po przywitaniach i uściskach wzajemnych, Wojski odezwał się:

— A cóż, jakże Waszmość myślicie? Mopanku czas drogi.

— My się zgadzamy — wszyscy odpowiedzieli.

— Tnę potnę, ale zaraz do roboty. Jak pokażemy że u nas jest ład i gotowość, to tnę potnę, i Książdz Józef, nie będzie się wahał wydać rozkazu; bo inaczej, to dawnym nalogiem będziemy gadać i nie nie wygadamy.

— Prawda Mopanku; jak my swoje zrobimy, a on swego nie, to wtenczas jego wina, a inaczej to nasza: otóż do roboty. Kto tu z nas będzie starszy?

— Tnę potnę, a już ci Waszmość mości Wojski!

— Pana Wojskiego prosiemy — wszyscy mu zawtórowali.

— Zgoda Mopanku. Książdz kanonik tu starszy od nas, jako duchowna osoba. On nas pobłogosławi a my róbmy. Gdyby trzeba się było bić, starszeństwo należałoby się Panu komornikowi, ale teraz, to i ja zastąpię. Naprzód tedy, przeznaczam Pana Jana żeby jechał do Księcia Józefa. —

Tu zaturkotały koła zajeżdżającego powozu przed ganek i zaraz potem wszedł Bazylek z doniesieniem że Pan Sztyldknecht przyjechał.

— Powiedz Mopanku, że ja zdrów jestem jak ryba; niech sobie odpocznie, a mnie da czysty pokój. —

Skoro Bazylek odszedł, tak dalej mówił:

— Mopanku, pojedziesz do Księcia Józefa jako nasz pełnomocnik. Powiesz że my tu wszyscy gotowi na jego rozkazy, ale

na rozkazy jako od króla polskiego. Zaraz Pan marszałek pojedzie po wszystkich godnych obywatelach, wybierze dobrowolny podatek i takowy przesłemy do władzy. To jest rzecz konieczna, sine qua non mopanku, bo jest wyraźnem uznaniem władzy. Czy zgoda?

— Zgoda! zgoda!

— Ja zaraz wezmę się do tej rzeczy — rzekł marszałek.

— Tnę potnę, tak lubię, dziś nie jutro; od Pana Wojskiego zaczynaj.

— Ma się rozumieć. Dam dwa tysiące czerwonych złotych, to grosz wdowi. A teraz Ksiądz kanonik nakaże duchowieństwu przysposabiać umysły ludu z kazalnicy i ze spowiednicy do powstania, do usłuchania rozkazu prawej władzy.

— Dobrze Mości Wojski, tego mi kościół święty nie wzbrania, a uczucie Polaka nakazuje.

— Chwała Bogu! A teraz my wszyscy po sąsiedztwie się rozjedziemy, i każdemu bratu Polakowi szepniemy w ucho, aby przyspasabiał sobie konie, rusznice, grotty do spis; upatrywał i przyhołubiał do siebie, to słowem to datkiem, ludzi zdolnych do broni; popów także żeby nie zaniedbywał glaskać i wszystko miał na pogotowiu, a za pierwszym rozkazem w imieniu Króla Jegomości zrobimy z Moskalami, jak mi to moja córka czytała w książce: że Sycylijczycy zrobili u siebie nieszpory sycylijskie; trzeba żebyście waćpanowie tę historyjkę przeczytali, to ciekawa i wielce nauczająca rzecz. Albo ot mopanku, ja wam powiem, że te nieszpory znaczą: wybić, wytłuc, wyrznąć moskali wszędzie w jednym umówionym czasie.

— Tnę potnę, to miłe takie nieszpory! Jak prosiat na wielkanoc, nakolemy moskali i zaśpiewamy im requiescant in pace; a co nie wydusimy z nienacka, to wybijemy w czystym polu. Tnę potnę, a co Panie Janie?

— Za zaufanie panom dziękuję. Rad jestem i szczęśliwy — zapał mu iskrzył się na twarzy i tamował słowa.

— Mopanku, kochany Jaś, ojcowska dziecina. Tylko powiedz, że my nic więcej nie potrzebujemy, jedno królewskiego rozkazu. Podatek przysłemy i sami weźmiemy się do broni.

— Czy mam zaraz ztąd jechać? —

Wojski popatrzył mu w oczy.

— Jedź, pożegnaj żonę. Szlachcianka polska kiedy nie zpanuje i na udawczkę się nie puści, to popłacze trochę, ale nie wstrzyma męża od służby Ojczyźnie, owszem dopomoże, z domu nawet wypędzi.

— Teraz mopanku, my swoje róbmy, a jak Książę swego nie zrobi, to jego wina.

— Tnę potnę niech i on zrobi i my zróbmy. Niech nikt nie będzie winien, to będzie najlepiej. Boże dopomóż dobrej sprawie: uratuj Polskę! —

V.

I miesiąc i dwa, i trzy, i więcej ich upłynęło, a Gorajskiego jak nie ma tak nie ma. Żona oczy wypatrzyła, a męża nie widać. Olesia zachrzypla od wołania: tato, tato! a taty nie masz przy niej.

W Zorokowie wyglądają go także niecierpliwie. Książdz kanonik snadno skłonił duchowieństwo do sprawy polskiej i kościoła świętego; marszałek podatek obywatelski zbierał, szlachta żytomierska przysposobiła się w broń, w konie i w ludzi, i wszystko czeka tylko na rozkaz Króla Jegomości.

— Tnę potnę, rzecze komornik, nasz Jaś zagrzął jak kobyła w błocie. Jużbym do tej pory i z Rzymu piechotą powrócił; tnę potnę, i Agnus dei przyniósł: a tu rozkazu nie masz, a czas bieży.

— Mopanku, odpowie mu Wojski, nie Pana Jana to wina, on nie zaśpi sprawy, ja go znam. Nie zdaje mi się żeby Książę Józef miał pobałamucić: ale czas bieży. —

I bieżał w samej rzeczy. Napoleon wszedł z szarańczęą różnojęzycznego żołdactwa do Litwy, na Białoruś; i nie było Polskiego króla coby rozesłał Litwinom i Białorusinom wici pospolitego ruszenia. Panowie litewscy i białoruscy szli na wojaczkę; ale ot tak sobie, żeby wojować, jak wojowali Polacy nad Ebrem, po włoskich, niemieckich i innych zamorskich krajach. Dąbrowski z garstką lackiego wojska szedł ku Bobrujskowi. Szwarzenberg z niemiecką niewiarą wkroczył na Wołyń, ale żaden nie niósł rozkazu królewskiego do powstania. Książę Józef, jako rycerz jaki, nie zaś jak król Polski, pod Smoleńskiem walczył za sławę Cesarza Francuzów. — O Janie Gorajskim ani słychu, ani wieści.

Już po wszej Rusi trąbiono o zgorzeniu Moskwy i cofaniu się wojsk Napoleona. Już nie pod tajemnicą gadano o zdradzie Szwarzenberga; tylko dwóch ludzi nie chciało temu wierzyć. — Wojski i Komornik.

— Mopanku, Moskale lżą jak szelmy; wszystko nieprawda. Napoleon tu idzie, ja to wiem.

— Tnę potnę, kto był to bije; kto uciekał to i ucieka. Tnę potnę, siadajmy na koń, jeszcze czas; a jak my pokażemy się gracko, to i Napoleon inaczej będzie z nami śpiewał. Siadajmy i bez rozkazu! Tnę potnę, ja mówię. —

— Jeszcze widzą Mopanku waszeć konfederata; czekajmy na rozkaz. — Tu westchnął Komornik: — Czeakać, czeakać, to djabła warto; tnę potnę, bić zaraz, to rozumiem. Ot tak Panie Michale, Waszeć de jure a ja de hajda; ale verbum nobile debet esse stabile, daliśmy sobie słowo to i czekajmy, ale daj Boże żebyśmy nie przeczekali.

W Łuce takó¿ czekano, ale ze smutkiem, z rozpacz w sercu. Olesia nauczyła si powtarza: nie ma tata; ty placzysz Mamo? nie placz, ja ciebie Kocham.

Maryanna zmarnowaa ¿ycie w tęsknocie i tak zapada na zdrowiu, ¿e troskliwy ojciec zabra j do siebie. Nie narzekaa, ale ¿aloba wcisnęa si w jej serce; plakaa m¿a, jakby on ju¿ by nieboszczykiem, i u Boga modlia ¿eby j co rychlej z nim poaczy.

Ju¿ o berezyskiej przeprawie wiadano w caym ¿ytomie-rzu, a w Zorokowie Wojski z Komornikiem jeszcze radzili jak tu powsta, i zgodzono si ¿eby wysla kogo do Napoleona.

— Tnę potnę, ja pojadę: zobaczysz Waszmo¿ z si z nim rozmówię to po łacinie, to na migi. Tnę potnę kiedy idzie o Ojczyznę, to i z Niemcem czowiek si rozgada, a co¿ dopiero z Francuzem.

— Czekaj Mopanku a¿ Napoleon tu przyjdzie — i lask szturchn w srodek karty jeograficznej, ktor od niejakiego czasu wieszano tu¿ podle miejsca gdzie siedzia Pan Wojski.

— Gdzie tam? tnę potnę.

— Tu Mopanku w Mozyrzcu; do nas wybulknie tamtdy. Za to ręcę.

— Tnę potnę, siadajmy na ko. Mozyr, tnę potnę, pod nosem.

— To siadajmy Mopanku. Hej Bazylek!

Nim Bazylek przybieg, pocztarski dzwonek zadzwoni na dziedzicu, i razem z Bazylkiem ukaza si zasiedatel, ubrany w caej formie, w mundurze, przy szpadzie; skoni si grzecznie ale z partesu.

— Pan Jeneral Gubernator pozdrawia P. Marszaka i donosi ¿e Bonaparte sam oszuka Kozakw Patowa i uciek do Francji, a Francuzw nasi w puch wykuli. Najjaniejszy Cesarz posla Patowa a¿ do Francji, ¿eby przyprowadzi w San-Peterburg tego maszennika Bonaparte. —

Wojski nie sucha, tylko powtarza: — Szelmo łęsz, szelmo łęsz! — Komornik wsa pokręci. Tnę potnę — i uj za ręko-je karabeli.

— Niech Pan Marszaek czyta — doda Zasiedatel, i wręczy pakę papierw drukowanych i pisanych.

— Łęsz, łęsz — i papiery odpycha. Poczzerwienia jak burak, a kiedy przyszed lekarz.

— Szylknecht czytaj! — zawoa.

Szylknecht czyta i potwierdzi prawdę doniesie zasiedatela.

— Mopanku i ty łęsz, to i ty mnie zwodzi będziesz? — Podni si laskę, chocia wsta z krzesa ale opad w krzeso. — Rumianku!

— Rumianku! trzeba Pana w łzko poo¿y — rzek lekarz.

— Tnę potnę. —

Zasiedatel pomagał komornikowi i Szylknechtowi rozbierać Wojskiego. Kiedy Zasiedatel odszedł, Szylknecht rzecze:

— Ja Panów chciałem ocalić; wiedziałem o waszych zamiarach i z mojej to roboty ujęto Gorajskiego i odwieziono na Sybir.

— Mopanku! szelma, zdrajca, Moskal — i dalej słów mu zabrakło.

— Tnę potnę, łeb uciąć — ozwał się Komornik i już dobywał karabeli.

Szylknecht krzyku narobił, Strzemecki wpadł z ludźmi i Komornik skończył tylko na pogróźce. Tak dawniej u niego nie bywało, ale starość nie radość; przyjaciel był chory, a lekarz potrzebny.

Tęż samej nocy, Wojski po spowiedzi i ostatniem namaszczeniu ducha wyzionął; powtarzając: — Biedny Jaś — on nie winien. — Mopanku Króla trzeba, a Polska powstanie. —

Komornik na kłęczkach przy ciele zmarłego przyjaciela odmawiał pacierze i do nich w myśli dodawał: — Tnę potnę, Boże daj Polsce króla. Tnę potnę, niech się sprawdzą słowa Wojskiego. Wieczny odpoczynek jego duszy a zmartwychwstanie Polsce. —

VI.

W rok później, kiedy Pani Gorajska uprosiwszy u ojca pozwolenie, pojechała do Łuki na dni kilka, żeby tam popłakać na mogiłniku minionego szczęścia, zastała wszystko smutno, tęskno, jak było po odjeździe męża. Zadumana, usiadła w oknie i poglądała na szlak ku Żytomierzowi idący. Stary Komornik przyjechał w odwiedzin. Biedna niewiasta mało z nim mogła mówić, ale przy nim wolno jej było płakać. Malutka Olesia powtarzała tylko: nie ma tata, nie ma tata.

— Tnę potnę, przyjedzie, zobaczysz. —

I dziewczynka skoczyła na kolana matce:

— Ma.no, tata przyjedzie. Ot jedzie! —

Szlakiem trójka pocztowych koni taszczyła perekładnę, a taszczyła w czwał i wprost zawróciła ku dworowi.

— Tato jedzie! Mamo chodź — i biegła ku drzwiom, a matka łzami się zalała. —

Powóz zajechał przed ganek. Olesia krzyknęła: Tato przyjechał! — ale matka nie miała sił powstać z krzesła, patrzyła ku drzwiom, a łzy zalały jej oczy.

Komornik wybiegł ku drzwiom:

— Tnę potnę, Pan Jan?

— Janie!

— Maryniu!

I już oboje byli we wzajemnych objęciach.

— Tato, Mamo! — Zawołała Olesia i uczepliła się rodzicielskich kolan.

Komornik się rozplakał. — Tnę potnę, dajcie pokój, będzie już tego. —

A kiedy mu Jan opowiadał, jak go Baszkiry porwali pod samym Żytomierzem, jak go zamkniętego w kibitce posłano na Sybir do Omska i tam w więzieniu trzymano, i wypuszczono dopiero za ulaskawieniem Aleksandra; jak go pytano o wiele rzeczy, ale on nic nie wydał; jak go zawsze myśl trapiła że nie dotrzymał słowa i nie dojechał tam gdzie go posłano. Komornik mu na to:

— Tnę potnę, co się przewlecze to nie uciecze. Nieboszczyk Wojski przepowiedział: Będzie król, będzie i Polska! tylko tak róbmy, to jest tak róbcie, bo ja tnę potnę, już się tego nie doczekam, jak radził Ks. Kanonik, jak mówił nasz ś. p. Wojski. Boże świeć nad jego duszą. Tnę potnę, oni dobrze mówili, a jak król rozkaże, tnę potnę, my będziemy, albo wy będziecie dobrze się bili. —

BITWA POD MOŁOCZKAMI.

(OPOWIADANIE ŻYDA.)

- No i cóż tam słyhać panie Rebe?
- No, co słyhać? aj waj! wiele słyhać; aż strach gadać.
- I cóż takiego?
- Żeby Jasny Pan wiedział co tu się narobiło? aj waj!
- Mówże Panie Rebe.

Na twarz podróznego obywatela występowała coraz większa ciekawość.

— Jak tu gadać? to trzeba było widzieć co tu się stało; tego nikt nie wygada: ani Różyński rabin, ani ten żyd Chaim z Berdyczowa, co to Jasny Pan musiał o nim słyseć?

— Nie słyzałem nigdy.

— To niech Jasny Pan słyha. — Kiedyś temu dawno, jak był jakiś Książę wielki Pan, gubernatorem w Żytomierzu, nazywał się Szeremetów; przyjechał do Berdyczowa, tak nasi żydkowie przyjmowali jego, jak jakiego monarchę, i jeden był taki bardzo rozumny Chaim. Kiedy gubernatorowi kahalni podawali, Jasny Pan wie, na srebrnym półmisku nie hamonowe ucho, ale same dukaty nicobrzezane, to Chaim jemu powiedział:

Pływa labędź po oczerecie,
Kłaniam Panu Szeremecie.

To gubernator był bardzo kontent i uderzył jego w czoło taki dobrze, i powiedział: — Wot mienia łob!

— Cóż to ma za związek z tem co się tu stało?

— No, ja mówię że i Chaim gdyby żył i tu był, tegoby nie potrafił wygadać co się tu narobiło.

— Wygadajże Waćpan, Panie Rebe.

— Jaby chciał — ale tu, jak ja powiem? — — Obejrzał się do koła i podrapał w pejsy.

— Tu przecie nie masz nikogo. — Zbliżył się obywatel do żyda.

— To nie to, ale jak tu gadać, tu. — No jeśli Jasny Pan chce, chodźmy het na dwór; ja tam pogadam.

— Chodźmy! —

Wyszli z karczmy, żyd pokazał ręką obywatelowi na ściany stajni.

— A widzi Pan, co to jest?

— Dyle powyjmowane.

— No dyle, aj waj! to wszystko się stało. Chodź Jasny Pan dalej. —

Żyd zamilkł, ale z gry twarzy widać że myślą zbierał wspomnienia. Obywatel milczenia nie przerywał, i tak wyszli aż do kołowrotu. Żyd zatrzymał obywatela za rękę.

— A widzi jasny Pan, co tam jest daleko?

— Nie widzę.

— Jak to, Jasny Pan nie widzi wioski?

— Widzę Krasnopol.

— No, to Jaśnie Wielmożnych Marszałkowiczów; a widzi Jasny Pan co tu jest na prawo?

— Pola.

— A za temi polami?

— Nie wiem.

— No, to ja wiem; tam są rzeczka i błota, od samego Krasnopola, aż do naszej wioski — a takie grząskie — że i sam djabeł tamtędy nie przejdzie — a na lewo?

— Pola.

— No pola, a za temi polami rzeczka i rudy, aż do samej Troszczy. A przed nami, widzi Jasny Pan jaka droga?

— Jak wszystkie drogi.

— Ale jakie rowy głębokie? — chłopski koń nie przeskoczy, chyba pański, a po bokach drzewa; a tam niedaleczko mostek. Otóż to, tu się narobiło — aj waj!

— Mówże do diabła.

— Niech Jasny Pan poczeka trochę: ja gadam. Jasny Pan zna Zerebki?

— Znam.

— No ja tam pojechał kupić pszenicy u tych posesorów Jaśnie Wielmożnego Jenerała Korzeniewskiego. Jasny Pan ich zna.

— Słyszałem o nich.

— No, cztery chłopcy jak dęby, sławne jak buben za górami. Takie były zuchy, żyda wybić, w Rajgródku na jarmarku

burdę zrobić, na cudzych gruntach gwałtem polować, a teraz źle się popisali: zostali w domu jeszcze gorzej jak baby przy kądzieli.

— Ale gadaj co się zrobiło?

— Ja od nich jeszcze pojechał do Tereszpoła, i powracał do domu, kiedy tu od czarnego szlaku, ni ztąd ni z owąd idzie niby wojsko, a wszystkie na koniach. Ja sobie myślę: niech idzie, co to mnie szkodzi? — aż tu dwóch, dawaj za mną gonić; ja nie uciekał, oni mnie dogonili. Stój szelmo, parchu! — Ja stoję, nie jadę? czego wy chcecie Panowie Kozacy? — (bo to byli Kozacy, nie ci moskiewscy, ale nasi, Jaśnie Wielmożnych Panów). — Jedź psie niechrzczony do naczelnika! mnie się strach zrobił, bo taj oni byli straszni, i ja jechał.

— Gdzież to było?

— Nie daleko Mszanieckiej karczmy; ale niech Pan słucha dalej. My podjeżdżali i sam naczelnik do nas wybiegł — a wie Jasny Pan kto to był?

— Jużci nie wiem.

— To ten raby kapitan, Pan Cudnowskiej huty; ja jego zaraz poznał — to bardzo poczciwy Pan, i ktoby się to spodziewał? Jak ja widział jego zimową porą, to myślał, że on głupstwo zrobił, nie doczeka do wiosny: taki był słaby chyrlak; a teraz, taki chwat! że to ach waj! On mnie zaczął pytać: gdzie Moskale? co ja słyszał? Ja na wszystko jemu prawdą odpowiadał, jak na sądny dzień; bo na cherym przysięgam, tak mi miło było widzieć to wojsko nasze; a tam byli panicze z Korowińczyk, z Terechowy, z Halczyńca, z Kikiszówki, synowie Pana Ignacego z Wygnanki — i drugich dużo; opyleni kurzem, już nawet poobdzierani, ale tak im wesoło patrzyło z oczów, jak gdyby to panicze jechali. Pan Kapitan powiedział: idź sobie, my tobie nie myślemy nic złego zrobić. — I pewnie że oni nie myśleli nikomu źle zrobić, tylko Moskalom, i takim co im służą.

— To Waćpan pojechałeś? a z niemi co się zrobiło? —

— Niech Jasny Pan słucha. Ja pojechał i zajechał do Krasnopola do dworu. Ja myślał sobie: Jaśnie Wielmożni Marszałkowicze, to nasi sąsiedzi, a ich Tatko to był zuch Polak. Ludzie mówią, że jabłko od jabłoni niedaleko się odkaca. Jasny Pan ich zna, obadwa Panowie z wąsem pod nosem od dawna, a silni choćby do cepa; takich urodziwych jak oni to i w gwardji w Petersburgu nie wiele. Ja tam został młodszego panicza z Moskalówki; jego ojciec to był wielki wojak, i taki człowiek choć do rany przyłożyć; no, myślał ja sobie, jak ja im to powiem, to oni będą kontenci, zapewne i podarunek jaki dadzą.

— I cóż oni?

— Nic, nie chce się nawet gadać tego; i nasi żydkowie na taką rzecz ledwieby się zdobyli. Niech Jasny Pan pozwoli, nie gadajmy o tem.

— Powiedz Waćpan, Panie Rebe, ja nikomu nie powiem.

— A pewnie Jasny Pan nie powie? Dalibóg oni dobrzy, tylko nie porozumieli rzeczy. A nie powie Pan?

— Nie powiem.

— No, to ja im to mówię. A starszy panicz, natychmiast padł na kolana, i zaczął się głośno modlić, żeby Pan Bóg to nieszczęście od Krasnopola odwrócił.

— Jakie nieszczęście?

— Zapewnie naszych. Młodszy Pan już od roku pełnoletni, krzyknął: mamó chowajmy się, ja nie chcę ich — jakby on był bachur pięcioletni — i, to nie szlachcie! A panicz z Moskalówki zdrów jak ryba, tylko co z konia zsiadł, zaczął się skarżyć że jego krzyże bołą; że mu się czyrak zrobił na plecach. Imość to poczciwa kobieta, ona na nich patrzyła: — Co wam jest takiego? to nasi idą! wyście Polacy; gdyby wasz ojciec żył, modlili by się on ale wsiadając na koń. I prawdę mówiła, bo aż zapłakała trochę; ale dla paniczów to było jakby groch rzucić o ścianę. Imość swoje, a oni swoje. Skończyło się na tem, że Imość kazała przygotować śniadanie dla miłych gości, a ja sobie myślałem: i toż to Polska ma być z takimi bohatyrami?

— Cicho żydzie! wszyscy nie tacy.

— Jasny Pan niech się nie gniewa. Prawda, że wszyscy nie tacy, niech Jasny Pan słucha. Jeszcze ja nie wyszedł z pokoju, kiedy nadlecieli tamci dobrzy panicze na koniach; jacy oni byli zuchy, to aż miło pomyśleć. Starszy panicz zaraz ich przywitał: — Ja postanowiłem być księdzem, do niczego się nie mieszam — młodszy rzekł: Ja taić tego nie chcę; nie przerobię mojej natury i dla tego z wami nie pójdę, a panicz z Moskalówki także mówił: ja bym z wami poszedł, ale taki mi się czyrak zrobił że żadnym sposobem nie mogę; jak się wykuruję to was dopędzę. —

Panicze powstańcy spojrzeli po sobie — możeby byli co niedobrego im nagadali, ale spojrzeli na Imość płaczącą, i prosili ją o błogosławieństwo. A ona ich błogosławiła jak własne dzieci. — Mnie żydkowi to tak się w sercu zrobiło, że gdyby był młody, to by był siadł na koń. A panicze nie siedli, tylko powtarzali: — My was podziwiamy, ale żalujemy zarazem. Ja sobie pojechał, całą drogę tak mi sumno było. Biedna Polska, jednych ma takich zuchów, co to nie żał się Boże, żeby nazywali się Polakami, ale drugich takich, co to niech Jasny Pan przebaczy, podszytych nie rozumem, co to aż nie dobrze.

— Cóż powstańcy na to?

— Panowie nie — to grzeczni ludzie; ale kozacy, to zwyczajnie hajdamacy. Oni wołali na pana Kapitana: Ojczy, co Polsce po takich dzieciach, powieśmy ich! mniej kilku darmojadów będzie na Bożym świecie.

— Dobrze mówili, ale nauka w las pójść nie powinna; cóż dalej?

— No, ja przyjechał do domu, a tu nowi goście. U mnie w karczmie moskale, a tyle ich co to ha! piechota i uralce na koniach. — Ich komendant mnie pyta: Jewrej! widział ty miateźników? — Ja zatrzymał się i nie chciał mówić, ale on wziął mnie za kołnierz i wyprowadził, ot tu gdzie ja z Jasnym Panem stoję. Widzisz ty pod Krasnopolem, to miateźniki stoją; ja wiem wielu ich jest, sto ośmdziesiąt koni; a widzisz tam za Krasnopolem nasi idą: ot my ich weźmiemy we dwa ognie; wszystkich połapiemy, i poszlemy w podarku Gosudaru Imperatoru. Popatrzył ja — prawda; z drugiej strony Krasnopola idą moskale i piechota i konnica — ale i powstańcy na koni siedli i zaczęli po polu się kręcić — komendant mnie nie puszczał, kazał stać koło siebie — i rozpowiadać kto ten, a kto ten? Ja gadał, ale sam nie wiedział, bał się żeby on mnie na wojnę nie poprowadził.

— A z moskiewskimi żołnierzami co się stało?

— No jak jasny pan widział te dyle powyjmywane — tak oni zasiedli w karczmie, jak w fortecy, i przez dziurę mieli strzelać na drogę — drudzy toż samo zrobili w młynie i w chałupach. — On koniecznie chciał wszystkich wystrzelać albo wylapać — a uralców posłał na wieś żeby wybierali po chłopach postronki i dyby, do wiązania i zabijania powstańców. — I on taki był pewny że to zrobi, jak Jasny Pan tego pewny że dziś dojedzie do domu.

— Djabła tam, czego można teraz być pewnym? ale i cóż się stało.

— Nu, Moskale tu stali, a powstańcy tam po polach to w prawo, to w lewo ciągali się. Taki mustreć robili, jakby to wszystko było na śmiech, a komendant tak się złościł, po moskiewsku lajał: czemu oni tu nie idą, żeby ja mógł ich postrzelać. — Nie wiem zkąd mi to przyszło, taka odwaga mi szepnęła do ucha: żeby ja do niego, do moskiewskiego komendanta, przemówił, tak jakby do Jasnego Pana: — Panie Wielmożny Komendancie, proszę się nie zagniewać, a ja powiem — że ten pan Kapitan, to nie jakiś tam błazenek, on zna się z Napoleonem tym Cesarzem Francuzów, on pod nim wojował. — I ja ni troszeczkę się nie załękł — a komendant tak się zapyrzył jak pies wściekły: — Ja jemu dam Napoleona; nie chce do mnie przyjść, ja pójdę do niego — i natychmiast kazał tarabanić w bębny, jak na gwałt i wszystkim żołdatom maszerować.

— Dokąd?

— A jużci w pola i tak oni szli jak bydło jakie za nim, a on po przedzie. — Aj waj co tam się działo, ja przyznam się Jasnemu panu, że ze mną stała się dziwna rzecz, nie uciekł do karczmy, tylko tutaj z tego miejsca na wszystko patrzył, choć oni szli i szli ze strzelbami, na rękę — ja patrzył i widział tak jak Jasnego pana widzę, jak Pan Kapitan z Huty Cudnowskiej, jedną kupkę swoich paniczów i kozaków obrócił do Krasnopola i tam postawił widno żeby tamtych pilnowali; drugą tu na wzgórku nie wiem na co patrzeć. On to zapewne wiedział na co — a zresztą i po drodze i po za rowami szedł wprost na Moskali: a tak szli sobie ładnie, porządnie, jakby to było prawdziwe wojsko. I szli stępą. Myślę sobie co to będzie? aż tu raptem jak się zakurzyło na drodze i poczęło strzelać: paf! puf! paf! ja usiadł na ziemi i oczy sobie zamknął; a tu tak strzela, tak wrzeszczy, gorzej jak żydzi w sądny dzień, gorzej jak chłopci kiedy się popiją w karczmie. — I ja nic nie widział długo a długo — i wszystko krzyczało i strzelało — aż dopiero oczy otworzył kiedy koło mnie tuż konie zatętniały; to był Uralec, dawał znać że już postronki gotowe — ale na djabła już te postronki były; tam się porobiły dziwne rzeczy. — Soldaci zwyczajnie muzyki, chamy, taki chłopci i tylko w mundury przybrani, jak zobaczyli, że tam po przedzie bieżą sami panicze, taki obywatele — a za nimi kozacy co to już nie chamy, zwyczajnie wyludnieli we dworze, tak im zrobił się strach — i panicze z kozakami pobili wszystkich tak na kupę jedną — i Uralca nawet złapali — a reszta uciekła jak zające gdzieś w las.

— Pobili!

— Dziwo że pobili? albo to inaczej mogło być; to byli panowie, taki jak jasny pan, a tamto muzyki, ot tacy chłopci jak ci co pan widzi we wsi. Już to Iwanowi nie zadawać się z panem; bo co pan to nie Iwan.

— A potem co się stało?

— Stało się — oni tu wszyscy przyszli, a tak śpiewali jakby na weselu. Pan Kapitan kazał swoim kozakom dać po troszku wódki, a chłopom tutejszym wystawić kilka spustów żeby sobie za zdrowie Polski pohulali, i oni hulali. Aj waj co to byli za ludzie ci powstańcy, a jakie konie — o! takich drugich trudno na tym świecie.

— Powiedz że panie Rebe co z Moskalami się stało?

— Nu, co? wszystkich pokłuli; jednych taki na śmierć, a drugich to tak, że aż przykro było widzieć. Z dwiestu osmdziesięciu żołdatów, tylko trzech było zdrowych, i ci zaraz poszli służyć powstańcom i jeden oficerzyna, uratował się.

— A komendant?

— To był zuch, tylko szkoda że moskał. — On jak panicze skoczyli między żołdatów, a żołdaci zwyczajnie muzyki krzyknęli: pardon! — porwał za szpadę, i taki na miejscu przebił swego żołdata co pierwszy krzyknął pardon, a krzyknął na sztyki rabiata! i tak się bili, jak gdyby oni nie byli ludzie tylko zwierzęta. — I ja powiem Jasnemu Panu, że mnie mówili: jeden tam był taki, z powstania prosty kozak, co zszedł z konia, śpiewał modlitwę: hospody pomylaj, a kłuł i bił; i nawet zębami kąsał moskałów. Pan Kapitan raby, wołał: dosyć, dajcie im pokój!! — ale nie było rady.

— Ale cóż z moskiewskim komendantem się stało?

— Co się stało? — a już ci zakłuli tak jak i drugich. A żeby Jasny Pan wiedział, to tam na tem miejscu była taka wielka kałuża jak gdyby wielki deszcz upadł, a czerwona, bo z samej krwi; tam kropelki wody nie było.

— A naszym że nic nie było?

— Nu nic — kilku dostało małe guzy, takie jak się łapią i przy karczmie w bójce; a jeden tylko chapnął dwie kule, ale to jak na żart, nawet z konia nie zsiadł. Jasny Pan wie, że ten co dobrze bije, to jego nie biją; tylko szkapy były wszystkie pokaleczone; ale co to szkapy, wszędzie ich można dostać u nas. Nu ale co tam się stało z marzałkowiczami i z paniczem z Moskałówki!

— No i cóż?

— A Jasny Pan nie powie?

— Nie powiem. —

— No to ci moskale, co przyszli do Krasnopola — ztchórzyli i poczęli uciekać, jak powstańce pobili tych co ztąd wyszli; ale zabrali z sobą wszystkich trzech paniczów, i w drodze poczęstowali ich taki jak muzyków.

— Jak?

— No jak — nie wódką — ale pałkami — aż panicza z Moskałówki widno wykurowali — bo znowu taki był zdrów jak ryba kiedy ich przywieźli do Żytomierza. — Wojenny Gubernator, kazał ich wypuścić — powiedział: dajcie im czysty pokój — niech sobie siedzą spokojnie w domu; takich gdyby było najwięcej, toby Gosudaru było najlepiej.

— A za pobicie nic?

— To przeszło — i nikt ich nie żałował, bo nie było za co. Panicz z Moskałówki bał się żeby nie powtórzyli poczęstowania i uciekł w cesarski kordon.

— To pójdzie może do wojska?

— Może — zawsze jest czas się poprawić — daj Boże żeby marszałkowicze mogli się kiedyś poprawić także. — Ale o nich

już nie gadajmy. — Jasny Pan musi wiedzieć, co się stało z naszymi powstańcami?

— Nie wiem.

— Nu to i ja nie wiem — ale to wiem, że oni muszą wszystkich i wszędzie bić — i ja co tu wszystko na swoje oczy widział, przysięgłby na cherym, na sorę i na hachurów, że gdyby wszyscy panicze tak zrobili, toby nogi moskala na naszej ziemi już nie było; i byłaby Polska taka wielka jak kiedyś, a taka szczęśliwa jak za króla Kazimierza. —

BITWA POD IŁŻĄ.

(WSPOMNIENIA PUŁKOWE.)

Było to roku tysiąc ośmset trzydziestego pierwszego w miesiącu Lipcu.

Po kilkodziuowych i kilkunoonych utarczkach z wrogiem, który przeprowiał się przez Wisłę, na lewy jej brzeg w miasteczku Józefowie, weszliśmy do Opatowa, gdzie nasz pułk jazdy Wołyńskiej miano za stracony. Jenerał Szeptycki dowodzący dwoma pół-bataljonami piechoty, i naszymi trzema szwadronami jazdy, złożonemi z 300 jeźdców, zostawiony jakby na żart, bez żadnego działła do bronienia przeprawy korpusowi moskiewskiemu pod dowództwem jenerała Rydygiera, złożonemu z kilku pułków piechoty, kilku jazdy i z silnej artylerji, cofnął się z piechotą legji Wołyńskiej z Tarłowa do Opatowa, a nasz pułk zostawił nad samą Wisłą w Pawłowskiej Woli, i trapił się żeśmy zginęli. Już wprawdzie jazda moskiewska była w Tarłowie, kiedy Karol Różycki, dowódca naszego pułku, nie odebrawszy żadnego rozkazu od jenerała i dowiedziawszy się że ten ruszył ze swojego stanowiska, dał rozkaz do pochodu.

Jedna część jazdy nieprzyjacielskiej przecinała nam drogę od Tarłowa, a tym samym sposobem i od Opatowa; druga wprost szła na nas. Już kulki dońskie i dobrze i gęsto świślały nam koło uszów, kiedyśmy ruszyli z miejsca.

Nasz dowódca, jak zawsze tak i teraz, nie stracił ani serca, ani nadziei. Udał się w prawo po nad Wisłę, drogą ku Solcowi. Pułk szedł sporą stępą, a plutony jedne po drugich na przemiany szły do tylnej straży ucierać się z Dońcami. Tym pochodem, zupełnie sprzecznym naszemu kierunkowi, zostawiliśmy z tyłu siebie obadwa oddziały nieprzyjacielskiej jazdy: pewnośc zaś z jakąśmy szli, i zuchowate ucieranie się naszych jeźdców w tylnej straży, musiały zrodzić mniemanie u wrogów,

że ich prowadzimy w zasadzkę; ponieważ mając siłę o dieścieć razy większą od naszej, nie śmieli nacierać na nas, tylko ogniem harcowników, i to bezskutecznie; gdyż ani jednego człowieka, ani konia nie mieliśmy rannego.

W tym kierunku uszedłszy z półtory mili polskiej, kiedy już nie było podobieństwa, aby jazda nieprzyjacielska mogła nam przebieść drogę z przodu, zwróciliśmy się nagle w lewo, a będąc w ciągłych harcach z wrogiem aż do zmroku, w nocy weszliśmy dn Opatowa.

Jenerał Szeptycki już miał wysłać doniesienie do Warszawy, że cały pułk jazdy Wołyńskiej wyginął co do nogi, kiedyśmy się zjawili jak zmartwychwstańce, jak upiory z tamtego świata. — Trzeba powiedzieć, że poczciwy jenerał, witał nas z wielką radością serca, i z wielką radością podarł swoje doniesienie; chociaż napisanie tego doniesienia musiało kosztować z pół godziny czasu, a czas w chwilach wojennych bardzo drogi.

Smutno nam było; nie dobrze; ani spać, ani jeść się nie chciało. Każdy z nas, jedną i tęż samą dumkę nucił w myśli. Czyż po to rzuciliśmy nasze nad Teterowskie stopy, żeby uciekać w Święto-Krzyskie góry? — Bo już wiedzieliśmy o postanowieniu jenerała Szeptyckiego, chronienia się w to niedostępne miejsce podług niego.

Siedziało nas kilku koło ogniska, kiedy przyszedł stary kozak Zaremba.

— A co Panowie Starsi, a gdzie Ojczyzna? —

Spojrzeliliśmy w oczy naszemu towarzyszowi, ale żaden nie odpowiedział, on dalej mówił:

— O! tak Panowie, jak my rzucali naszą ziemię, to mówili: za Bug! tam Ojczyzna, tam Polska; a tam byli Moskale jak u nas. W Zamościu gadali: za Wisłą Ojczyzna, tam Polska! a tu Moskale jak i u nas. Ot Panowie, wszędzie Ojczyzna, i wszędzie Moskale, zewsząd trzeba ich wypędzić, a pewno wszędzie będzie Ojczyzna; trzeba było od siebie nie wychodzić i tam bić Moskali, a teraz to lepiej wracajmy do siebie, a jeszcze będziemy bili.

— Jakże wrócimy?

— Zaśpiewamy: Hej Kozacze w imię Boga! taj pójdziemy. Konie nam nie przystaną, a spisami rozepzemy sobie drogę.

— Trudno to. —

— Panowie znają to, że kto nic nie waży, to nic nie ma. U nas starzy ludzie dobrze mówią: raz matka rodziła, raz ginąć; albo zdobyć, albo w domu nie być.

— A jak nam na to nie pozwolą?

— Prawda Panowie: Skacz wraże, jak starszy każe.

Prawda, to i pójdziemy gdzie nam każą; a zawsze spisa przed siebie, w imię Boże, to i jakoś będzie. —

Chciał stary Zaremba przed nami nadrobić postawą i twarzą, ale nadarmo; chmurno mu było w oczach, jak w myśli, i nam było nie weselej. Patrzailiśmy to na ogień, to na czarne niebo, kiedy nadszedł Jan Dłuski, kapitan naszego pułku.

Był to człowiek niepoczesny na oko, małeńki wzrostem, chyrlawy ciałem, ale dziarskiej duszy, i pięknego serca. O nim to można było powiedzieć, że w czasie pokoju zawędził się na łowach, i chociaż z górą pięćdziesiąt lat liczył, po kozaczemu lubił umywać się deszczem, a suszyć się wiatrem. Nie był on ani nudny gawęda, bezustannie prawiący o dawnych czasach, ani rubacha obozowy, co spryt zastępuje brzmieniem słowy bez sensu i smaku! ale chwyt żołnierz, i figlarz towarzysz. Po pochodzie, albo bitwie, kiedy każdy z nas rad był z kawałka ziemi nawet błotnistej, na którejby mógł się przespąć, Pan Jan Dłuski, którego powszechnie nazywaliśmy Jasiem, wnet jakby piórko zesmailił, splatał figla.

Zaledwie on przyszedł, zaczęliśmy mówić o jego figlu przed kilku-dniowym, który o mało nie pozbawił nasz pułk jednego z najdzielniejszych oficerów. Figiel był taki.

Mieliśmy podporucznikami w naszym pułku dwóch braci Budzyńskich. — Michał miał lat ośmnaście czy dziewiętnaście, a Wincenty szesnaście — obadwa dzielni żołnierze i tędzy oficerowie. O nich to można było powiedzieć owe wiersze Cyda:

Bo w sercu człowieka

Z dobrej krwi zrodzonego, męstwo lat nie czeka.

Wincenty w czasie powstania zaczął jeździć na koniu, a jeździł dzielnie; fechtunków się nie uczył, a gracko rąbał Moskali. Był on jednak pod obuchem figlów Dłuskiego, który, jako pater oficerstwa całego pułku, wziął w swoją opiekę, a raczej w swoje figle najmłodszego oficera z pomiędzy nas. Służyli zaś razem z sobą w drugim szwadronie.

Kiedy nam dano znać że Moskale myślą przeprować się na lewy brzeg Wisły, po kilku pochodach do Janowca i do Pawłowskiej-Woli, przyszliśmy do Tarłowa. Znużeni, ci co nie robili żadnej służby, rzucili się na ziemię, żeby choć chwilkę przespąć: pułk nasz stał koło nadbrzeżnej stodoły, Wincenty Budzyński wszedł de tej stodoły, i tam się położył. Dłuski zaraz wziął się do figla.

Spędził do stodoły stado gęsi: te z wielkim krzykiem i trzepaniem skrzydeł wpadły na Budzyńskiego, i zbudziły go ze snu.

Dłuski wchodzi między nas i opowiada, że Budzyński myślał iż to Moskale wpadli na niego z wrzaskiem: hura! hura!

w pierwszej chwili krzyknął: pardon! ale potem ocknąwszy się zrabął ze dwadzieścia gęsi.

Opowiadanie rozbiegło się pomiędzy oficerami i żołnierzami, a nie mieliśmy czasu sprawdzić prawdę na gęsiach trupach — bo pod lasem pokazali się Dońce; siedliśmy na koń, i ruszyliśmy zawodzić z nimi harce.

Po rozpędzeniu Dońców, w nocy szliśmy na zasadzkę do Pawłowskiej-Woli; ta wyprawa mocno nas cieszyła, bo Dońcami dowodził Florjan Rzewuski, syn Seweryna Rzewuskiego, dobrego Polaka. Ten Florjan Rzewuski zuchwały człowiek, i zapewne najlepszy oficer lekkiej jazdy z całego moskiewskiego wojska, chociaż najpaskudniejszy Polak, był towarzyszem szkolnym jednych, towarzyszem wojskowym drugich, a znajomym trzecich z naszego pułku. Mieliśmy na niego niezmyślony chrap.

W czasie naszego pochodu żartowaliśmy z owej przygody o gęsiach. Wincenty Budzyński się gniewał, i ciągle gadał Dłuskiemu:

— Ja nigdy nie wołałem, ani wołać będę pardon, żeby tam djabli wiedzą wiele było Moskali.

Pawłowska-Wola, wioska niebardzo wielka, leży nad samą prawie Wisłą. Uważając ją frontem obróconą ku Wiśle, na prawo ma rzeczulkę niewielką, ale błotnistą, która wpada do Wisły; po nad Wisłą są krzaki, i gęste łązy, przed krzakami zaś, ku Tarłowskiej drodze najpiękniejsze błonie, czyste, bez rowów i wypłoczy: wysmienite do harców jazdy. W prawo za Wisłą bieleje miasteczko Józefów, a na lewym brzegu rzeki, między krzakami były okopy moskiewskie. W nich się znajdowały trzy bataljony piechoty, kilka szwadronów dragonów i pułk Dońców z dwoma armatami; z tych to okopów Florjan Rzewuski robił wycieczki do Pawłowskiej-Woli.

Z lewej strony Pawłowskiej-Woli były pola górzyste, ciągnące się ku Solcowi.

Od tej strony lewej, była ogromna stodoła z toczyskiem na sterty, mająca czworo drzwi wychodowych. Dwór był niedaleko stodoły, a od strony moskiewskich okopów trzeba było wjeżdżać przez most na błotnistej rzeczulce: przed mostem były płoty i ogrody zasadzone fasolą.

Nasz dowódca Karol Różycki, miał z sobą trzy szwadrony naszej jazdy, z nich bowiem składał się pułk cały, i kompanją strzelców celnych Sandomierskich. Rozporządził swój oddział tym sposobem.

Kompanję strzelców zasadził po pod płoty w fasoli, z rozkazem, aby dopiero jak cały oddział nieprzyjacielski przejdzie przez most dali ognia, i formowali się przed mostem, bagnetem

zagradzając nieprzyjacielowi drogę ucieczki. Jazda zaś nasza, stanęła na toczysku, plutonami frontem poobracana ku wrotom wychodowym. Wszyscy dowódcy szwadronów i plutonów odebrali rozkazy, któredy mają prowadzić swoje oddziały: tak zaś wszystko było urządzone, iż nieprzyjaciel musiałby się znaleźć obsaczonym ze wszech stron. Każdy oddział miał przednią część, która miała uderzyć na nieprzyjaciela, i tylną, która była niejako w odwodzie, w porządku, na wypadek gdyby nieprzyjaciel wymknął się i przebił oddział nacierający, mógł być zabranym przez oddział odwodowy. Idąc zaś na zasadzkę, mieliśmy pałasze, strzemiona i ostrogi poobwiązywane sianem, aby nie było słyhać najmniejszego brzęknięcia; jeźdce zaś nasi byli nawykli w takowych nocnych podjazdach, prowadzić konie tą stępą nierówną, którą kozacy zowią wilczym chodem, tak iż najbieglejsze ucho nie rozróżni czy to tentnienie koni, czy to uludzenie nasłuchanego ucha, jakimś nierozróżnionym rozgłosem. Z tej przyczyny przyszliśmy na zasadzkę, ani postrzeżeni, ani dosłyszani przez nikogo.

Parobków i ludzi znajdujących się w stodole, na toczysku, co nas zobaczyli, posadziliśmy pod chwilowy areszt; był to jedynie środek zbyt wielkiej ostrożności, nieodbitie potrzebny w takich razach; chociaż ci ludzie byli doskonałymi Polakami i witali nas jak najserdeczniejszych braci.

Jeden z naszych jeźdźców bystrego oka i praworny chłopiec, dostał rozkaz wyleźć na najwyższe wiązanie dachu stodoły, rzucić czapkę i mundur, przedrzeć dziurę w słomie, aby mógł głowę tamtędy wychylić i patrzeć; drugi siedział na niższym wiązaniu, trzeci jeszcze na niższym, i ci podawali głos od pierwszego. Jeźdce stali koło koni pokiełznanych w całej gotowości.

Już słońce z za gór sypnęło złotem na świat, kiedy jakby na powitanie tego słońca, cichy rozkaz przeleciał z szeregu do szeregu: na koń! na koń! a po nim jakby dobrzmiewanie, szmer radośny: idą — idą — i już wszyscy byli na koniach; gotowi do poskoku.

Od okopów szli Moskale. — Po przodzie powodyr Doniec, za nim trzech, za nimi kilkunastu z uradnikiem; dalej ize dwie sotnie, a przed nimi sam Florjan Rzewuski, Polak z imienia, syn Polaka, wiódł zbirów najeźdnika, wroga Polski, na Polskę. Patrzał na blask słońca, na Polską ziemię, i srom mu serca nie rozdarł; szedł jak najemnik.

Już powodyr i przedni oddział wszedł na most; i reszta szła bez niedowiarstwa, rażno i śmiało — trzeba było nieszczęściem żeby jeden ze strzelców celnych zasnął, i obudził się tentnieniem kopyt końskich. Schwycił się, ujął za strzelbę i wypalił.

Plutony, jakby orzech zgryzł z kopyta pomknęły na wy-

chodową wrota, i poskoczyły na przeznaczone drogi. Pojmałiśmy kilku Dońców, ale główna ich siła z Florjanem Rzewuskim zatrzymała się przed mostem, i w linję bojową rozwinęła się na błoni.

Na most przybiegł pluton dowodzony przez Wincentego Budzyńskiego, przy którym był Michał Grudziński, kapitan dowódca drugiego szwadronu, mąż dzielny i dziarski, dobrze znajomy Florjanowi Rzewuskiemu, bo z nim razem odbywał wojnę przeciw Turkom, w latach tysiąc ósmset dwudziestym ósmym i dziewiątym; ale z nim razem nie chciał zostać pod chorągwiami wroga, kiedy Polska dobijała się o niepodległość.

Grudziński i Budzyński z trzydziestu jeźdźcami w czwał przeskakują most, uderzają na wroga, rozbijają go i gonią ku okopom. Grudziński trzy razy sprął szablą po plecach Florjana Rzewuskiego, a ten nie spojrział w oczy dawnemu towarzyszewi, tylko zmykał co tchu było w szkapie.

Nowi Dońce wyskoczyli, i ze wszech stron otoczyli garstkę naszych. Grudziński swoich kupi, szykuje i broni się: wtenczas Wincenty Budzyński uniesiony wojackim zapałem, wpadł między Dońców i płatał ich pałaszem; już był ranny kilka rasy spisą i kulką, kiedy rzucił szablę, a chwycił za pistolet. — Mierzył do koła, i Dońce się rozskoczyli, ale nawinął się jakiś Doniec, białowłosy; brodaty jak cap: tak się spodobał Budzyńskiemu, iż do niego wypalił. — Doniec młynkiem zsunął się z siodła, ale drudzy na spisy wzięli Budzyńskiego, i takóž go z konia zrzucili. W jednym mgnieniu oka, zarzucili mu sznur z pętlicą, i ciągnęli do obozu; spisami go kłuli wołając:

— Krycz pardon!

Budzyński na całe gardło wrzeszczał: — U nas nie ma pardonu! U nas nie ma pardonu! —

Wszystko to na błoni działo się błyskawicą. Karol Różycki wysłał w czwał trzeci szwadron na pomoc naszym — a sam na czele pozostałych siedmiu plutonów biegł tam klusem.

Dowódca trzeciego szwadronu, takóž chwacki i sprytny żołnierz, chciał krzakami przeciąć Moskałom od obozu, i narobić im licha; dla tego nie na most, ale poskoczył ze szwadronem wzdłuż rzeczulki. — Rzeczulka była grzązka, niełatwa do przeprawy; dowódca szwadronu widząc niebezpieczeństwo naszych, pozwolił puścić się na ochotnika.

Mikołaj Wizowski, podoficer tego szwadronu, pierwszy na rączym siwku przebrał się w krzaki: dubeltówkę, którą zawsze z sobą wozil, bo był wysmienity strzelec, miał nabitą łoftkami i rąbańcami; podbiegł, i jakby między stado szpaków między Dońców wypalił raz i drugi raz. Kilku zleciało z koni a reszta w nogi. Grudziński ze swojemi puścił się w pogoń;

Budzyńskiego odbito, i nim nadbiegł trzeci szwadron, już Moskałe schowali się do okopów.

Kilkudziesięciu Dońców leżało trupem na polu utarczki; nam zabili tylko trzy konie pod jeźdźcami, i dwuch czy trzech jeźdźców lekko ranili. Wincenty Budzyński odniósł dwadzieścia kilka ran spisami i kulkami dońskimi, ale ani stękał, ani narzekał, tylko do Josia Dłuskiego się odzywał: — Na nic twoje gęsi, u nas nie ma pardonu, u nas nie ma pardonu. —

Podziwialiśmy i żalowaliśmy młodego towarzysza, a on uśmiechem chciał odgonić niepokój z naszych serc, a żartami przytłumić swój ból.

Michał Grudziński dopiero wtenczas opatrzył się, że w czasie pogoni za Rzewuskim, dostał spisą w bok, i że grot ze złamanem drzewcem został mu między żebrami. Sam wyjął drzewce z grotem, ranę założył wilgotną ziemią na chustce, i tak mało na to zważał, że kiedy nas kilku bardzo grzecznie wypytywało podoficera dońskiego, jeńca, o siły w okopach — on ku nam nadjechał i rzecze:

— Pozwólcie mnie, ja się wypytam, ja ich dobrze znam. Na pierwsze zapytanie, zamalował go nahajką przez łeb; natychmiast dońskiemu podoficerowi rozwiązał się język, wszystko wygadał od A aż do Z — jak prawowierny chrześcianin na spowiedzi przed kapłanem Bożym.

O tych przygodach rozmawialiśmy koło ogniska pod Opatowem, i ludzkim nałogiem śmieliśmy się z gęsi Jasia Dłuskiego, śmieliśmy z indygacyjnej formy, bez której, sine qua non, ani kroku nie można zrobić z Moskałem; i czynem nadawaliśmy prawdę owej starej gadce — że u żołnierzy, a szczególnej u Polaków: choć bieda to hoc.

Prawdę to mówią, że pociecha i smutek niespodziewanie zlatują na ten tu świat; i nam niespodziewanie przyniósł pociechę Tadeusz Horain, adjutant generała Szeptyckiego.

— Mam nowego generała.

— Kogo?

— Samuela Różyckiego.

— Co za jeden? z kąd?

— Ten co był na Litwie, i wrócił z generałem Dembińskim.

— A jakież on?

— Nie bardzo pokaźny, ale musi być zuch.

— Zkądże ty to wnosisz?

— Bo już nie cofamy się w Święto-Krzyskie góry, ale idziemy przeciw nieprzyjacielowi.

— Wiwat! niech żyje generał Różycki! — a generał Szeptycki co robi?

— Jedzie do Nowego-Miasta.

— A ty?

— Ja przeznaczony jestem do waszego pułku, do pierwszego szwadronu, jako drugi kapitan.

— Wyśmienicie! —

Ścisaliśmy nowego brata, a ślepy Morgulec wniósł, żeby zapieć tę sprawę. A że nie było ani szampana, ani węgryzna, ani nawet ratafii, więc wódką siwuchą wypiliśmy za zdrowie generała Różyckiego. Ma się rozumieć, nie zapomnieliśmy o zdrowiu naszego dowódcy, bo to w naszym pułku było ante omnia poważane, i na bratanie się z nowym towarzyszem.

Niebawem przybiegł i nasz dowódca z miasta. — Kazał do koni i na koń, i wszystko w duch tak się stało jak on kazał.

Zeszliśmy z owej przekłętej dla nas drogi w Święto-Krzyskie góry, a szliśmy w miasto, a ztamtąd na szlak do Ilży. Dowódca nasz pojechał do generała, a nam kazał czekać za miastem.

Pierwszym szwadronem nie dowodził nasz siwy Stanisław Dunin; on to nas wiódł na zwycięstwa, pod Mołoczkami, pod Tyszycą, pod Uchaniami. Kiedy mu kule nieprzyjacielskie obszarpywały płaszcz i taratazę, on tylko spojrzął, splunął:

— Błazny! — Kiepsko strzelają, i krawcowi nawet nie dadzą co do roboty. — Nie było z nami naszego starego majora, a jego miejsce zastępował Karol Dunin; pyłki jak proch leszczyński, ale ani taki przezorny, ani taki szczwany jak nasz stary dowódca.

Noc była ciemna, tak iż o kilkaset kroków przed sobą nie dojrzeć nie można było. Weszliśmy w ogromny wąż i dowódca naszego pierwszego szwadronu, zatrzymał czoło kolumny, w samym wychodzie z wąwozu; kazał zsiąść z koni, i pozwolił spoczywać. Zrobił to w pewności, że placówka legii pieszej litewsko-wołyńskiej stoi przed nami o kilkaset kroków.

Dowódca, kapitan Horain, Stanisław Faliński dowódca pierwszego plutonu, i Jan Omieciński dowódca trzeciego, położyli się przed frontem, trzymając konie w rękę. Antoni Szaszkiewicz dowódca czwartego plutonu, i ja jakby przecuciem jakim tknięci, dla odpędzenia snu, namówiliśmy Erazma Zakaszewskiego, oficera drugiego szwadronu, żeby pojechał do miasta i zafundował nam kawy. Zakaszewski pojechał, a nas kilku siadłszy na wążozowej zuboczy, gawędziło, czekając na kawę.

Żołnierze spali jak zabici; chrapanie wtórowało brząkaniu wędzideł, konie nawet zmożone usypiały. Adam Baranowski wachmistrz pierwszego szwadronu, poglądał w ciemność, i zdało mu się że coś tam zamajaczało: budzi Karola Dunina,

i powiada swoje spostrzeżenie; ale nim ten się rozbudził, zawrzało moskiewskie hura! huknęły strzały, a z niemi moskałe wskoczyli w nasze śpiące szeregi. — Nasi się budzą, krzyczą na koni!

Spłoszone konie skaczą, i na pół śpiących jeźdźców ciągną do miasta. Zgiełk, zamieszanie, czysta kara boża, a moskiewskie hura brzmiało, i strzały huczały.

Ledwie kilkaset nas zdołało wskoczyć na konie, i to na cudze. Pamiętam że dosiadł wronego konia, pułkowego adjutanta. Nie wiem jakim sposobem to się stało, ale dość że nasze konie, jak rumaki czeczeńców stromą zuboczą wyskoczyły z wąwozu i moskałe poczęły uciekać, a my za niemi gonić: W ciemnościach nocnych ledwie kilku dragonów mogliśmy zsadzić z koni, reszta uciekła.

Już świt szarzał, kiedyśmy wracali do swoich; byliśmy i źli i sromni. Pułk nasz stracił niepokalaną baczność, zwyciężkie dziewictwo; dotąd wróg naszych pleców nigdy nie widział, dotąd na lada szerknięcie wszystko było na koniach, i z bronią w ręku gotowe na pocałunek powitania: — a teraz na chwilkę tylko oddalił się nasz dowódca, i taka klęska nas spotkała? Myśleliśmy że cały pułk rozbity, rozproszony.

Zbliżamy się do Opatowa. Konie bez jeźdźców biegają po polach, jeźdźce bez koni; w wąwozie polamane spisy, ale ujrzeliśmy Karola Różyckiego, i każdy z nas powiedział: jeszcześmy nie zginęli.

On nie gniewał się, nie krzyczał i nie zrzędził, tylko kazał konie łapać, brać nowe spisy i siadać na koni. Znalazłem moją ciemno-gniadę klacz i witałem ją jak siostrę, jak kochankę; ona mi w boju była siostrą, kochanką, i nieodstępną towarzyszką, drugim ja, a czasem więcej jak ja. Znalazłem adjutanta pułkowego, przyjaciela lat dziecinnych. O! jakżem się cieszył że mu mógł oddać konia, bom go widział przy życiu i zdrowiu.

Obecność i rozkaz naszego dowódcy naprawiły cały nieład. Może i godziny nie upłynęło, jak cały pułk był już na koniach. Znowu białe z czerwonym proporce powiewały w powietrzu; konie grzebały nogami, i pieśń kozacza brzmiała gromko.

W całej owej klęsce nie straciliśmy ani jednego człowieka, tylko klacz jednego z naszych oficerów, będącego podówczas w Warszawie, została roztratowaną. Karol Dunin odebrał mocną ranę w czoło, ale to bynajmniej nie przeszkodziło mu dowodzić dalej naszym szwadronem. Tadeusz Horain był ranny kulą jedną w nogę, drugą w ramię, i dostał cięcie pałaszem. Waleczny ten oficer musiał przez jakiś czas jechać na wozie. Podoficer Podczaski był tak silnie rannym, iż z tych ran w kilkanaście dni później umarł w lazarecie w Kielcach, i Hryćko

Deminnice jeździec z drugiego plutonu, miał przeciętą kość na ramieniu. Lekarz legji litewsko-wołyńskiej Chrząszcz złożył mu ramię w leszczoty, i chciał go posłać do lazaretu, ale on na to żadnym sposobem nie przystawał, a nawet nie chciał jechać przy koniach powodowych i jucznych, ale został we froncie, mówiąc że prawą ręką zdrową może władać spisą, a cugle weźmie w zęby i tak będzie koniem kierował. Później dowiedziałem się że ten upór jego pochodził z obawy utracenia konia, na którym wyszedł z pod Berdyczowa, a który był ogromnej dzielności. Mówił on:

— Jakbym ja pojechał do lazaretu, to jużbym nigdy nie widział się z moim koniem; jakbym pojechał przy luźnych koniach, toby oficer kazał mi wziąć gorszego konia, a mojego dał innemu; wołałbym żeby mnie djabli wzięli, jakby mieli brać mojego konia. I z jedną ręką bił się dzielnie.

Seweryn Wielobyski podoficer drugiego plutonu także był rannym, ale bardzo lekko.

Ani znaku nie było nieładu. Staliśmy w zupełnym porządku, kiedy przybył generał Samuel Różycki: małego wzrostu, uśmiechającej się twarzy, z łacińska siedzący na koniu, co tem bardziej się wydawało, iż nie mając swoich koni, jechał na naszym stepowym, nawykłym do dziecinnego posłuszeństwa, dla tego co mu dziarsko i groźnie rozkazywał; pod generałem używał samowoli, i jakby samopas wiał się przed frontem. Generał do nas przemawiał, a mybyśmy byli radzi, żeby nam zaraz był pokazał wroga; tak nam się chciało zatrzeć nocną przygodę.

Ruszyliśmy ku Ilży: przeszedłszy to miasteczko już zmrokiem, stanęliśmy obozem nad szlakiem wiodącym do Radomia. O świcie drugi pluton trzeciego szwadronu pod dowództwem Józafata Domaradzkiego wyszedł na podjazd.

Już i dzień biały zawitał, i słońce poczęło go złościć, kiedyśmy usłyszeli pukanie dońskich janczarek, a niebawem, ujrzyliśmy nasz pluton idący stępo, powolnie, a w około niego ćmę dońców, przyskakującą i naszczekującą jak niewprawne charciaki na niedźwiedzia; ale nas spostrzegli, zatrzymali się, i jak rybitwy rozwijali się w wianek i wywijali się po polu: wszystko z dala, a nasz pluton powracał.

I piechota i jazda pod bronią stanęła. Generał Różycki tak sprawił swoje wojsko.

Nie cały batalion legji Litewsko-Wołyńskiej pieszej pod dowództwem pułkownika Kwiatkowskiego, silny do pięciuset ludzi, i pół batalion strzelców celnych sandomierskich, wynoszący do czterystu ludzi dowództwa pułkownika Grotusa, gdzie

się znajdował waleczny i niezmordowany kapitan Książę Giedrojc, stanęły w mieście; tam zajęły obmurowane Kościelisko, kolo starożytnego kościoła (stawianego przez Jana Grota biskupa krakowskiego) i domy będące przed mostem na rzece Białej, którą szła droga z Kowalkowa. Trzy kompanje były na rynku, bataljon dwudziestego drugiego pułku piechoty liniowej, mocny do siedmiuset ludzi, pod rozkazami majora Nideckiego, stanął przed Ilżą, po prawej stronie drogi do Radomia, frontem do miasta; był on niejako w odwodzie, do niesienia pomocy oddziałom będącym w mieście, albo do zabezpieczenia cofania się w razie potrzeby. Trzy zaś szwadrony naszej jazdy, silne podówczas do dwiestu ośmdziesięciu jeźdźców, i jeden pluton legji Nadwiślańskiej pod dowództwem Tytusa Szumlańskiego, liczący dwudziestu pięciu jeźdźców, rozwinęły się w jeden szereg; to był zwyczajny nasz szyk bojowy, i stanowił lewe skrzydło.

Miasteczko Ilża* jakby zebrane w wianek, leży nad rzeczką Białą, która krętym biegiem jak wąż wiję się ze wschodniej strony miasta; po lewej stronie rzeczki na wzgórzu był stary kościół, po prawej zwaliska starego zamku. Miasteczko schludne, domy białe i ulice czyste. Miejsce to już było tokowiskiem utarczek Szwedów z naszymi praojcami w latach 1655, 1656. — A jak wieść niesie i tatarskie zagony Batego tam dochodziły. Może tam prochy wojaków Czarnieckiego radowały się, słysząc szcęk polskiej broni na swoich grobach; może tam duchy praojców z wysoka poglądały na nasze szeregi i modliły się do Boga o zwycięstwo dla nas.

Ilża, uważając jej front ku stronie, z kąd przychodził nieprzyjaciel, miała na lewo, najdalej o pół ówierci milki nie wielką wioseczkę; w prawo i przed sobą błonia, gdzie nigdzie nierówne małemi wzgórzami; w dali ciemniały lasy; z tyłu w lewo płaszczyznę lekko wznoszącą się po nad Radomskim szlakiem, ku laskom odległym przynajmniej o milę: były to pola orne; w prawo głęboki parów, a nad nim grzbiet wzgórza, ciągnący się wzdłuż nad drogą idącą do Szydłowca. O półtory mili od Ilży zaczynały się lasy Ostrowieckie i Szydłowieckie.

Przez parów na wzgórze było przejście wązką drożyną, którą pułk mógł iść tylko trójkami; nad samem tem przejściem

* Wyraz Ilża, jak podanie kronikarzy niesie, pochodzi od wyrazów Jej Łżą. Matka jakiegoś Księcia po spadnięciu Jego z wieży zamkowej, tak długo płakała, że lud górę i miejscę to Jej Łżą nazwał. Za czasów Starowolskiego sławne już było fabryką fajansów. Spalone po trzykroć przez Szwedów i Rakociego, zgorzało było ze szczeniem od przypadkowego ognia w roku 1744. Posiadacze zamku na początku XIX wieku, w nadziei znalezienia ukrytych w nim skarbów zniszczyli go i dziś widać tylko ostatki ruin.

o sto kilkanaście kroków, stał bataljon dwudziestego drugiego pułku liniowego, zasłonięty jakimś dawnym przekopem; chcąc zaś głębie parowu ominąć, trzeba było iść w górę przynajmniej dobrą ćwierć mili.

O godzinie dziesiątej z rana w ślad za harcownikami dońcami pokazał się nieprzyjaciel. Był to korpus moskiewski Jenerała Kwietnickiego, złożony z sześciu bataljonów piechoty, liczących przeszło pięć tysięcy ludzi, z pułku Nowo-Rosyjskiego dragonów, mającego sześć szwadronów kompletnych nie nadzarpanych żadnym jeszcze bojem, z pułku dońców, i z trzech plutonów artylerji konnej mających sześć armat; myśmy nie mieli ani jednej armatki.

Piechota nieprzyjacielska i artylerja szły drogą od Ciepiewa wprost do miasta, jazda zaś wzięła się w prawo po za wioseczkę Chwałowice i ciągnęła na nas; Dońce wpadli do wioseczki, i rozsypali się w prawo i w lewo dla zapełnienia przedziału między piechotą a dragonami.

Karol Różycki posłał do jenerała Różyckiego z zapytaniem czy może zająć inne stanowisko, gdyż te widział niedogodnem. W równem polu nie mając ani o co oprzeć skrzydła, ani zmiany powierzchni ziemi, którąby można obrócić na niekorzyść nieprzyjaciela, nie chciał być oskrzydlonym przemożniejszą siłą jazdy nieprzyjacielskiej. Jenerał odpowiedział: iż wolno mu obierać stanowisko jakie zechce, byle zapewnił prawe skrzydło korpusu.

Jeszcze mając dość daleko nieprzyjaciela od siebie, odlaliśmy się plutonami od prawego, a wzięwszy lewe ramię naprzód, szliśmy w kolumnach szwadronowych, kłusem ku parowowi. Przez parów przeszliśmy trójkami, znowu sformowaliśmy plutony, a dopiero na wzgórzu zaszliśmy na prawo, i na lewo w tył zformowaliśmy się do frontu. Front nasz znalazł się w linii ukośnej; na lewym skrzydle był parów. — Dragoni moskiewscy w kolumnach szwadronowych postępowali za nami.

Już w mieście zażarcie się bito; bezprzestannym ogniem hukwały strzały karabinowe, i od czasu do czasu ryczały armaty. Granaty padały i pękały przed naszym frontem, ale jakoś żadnej szkody nie robiły. W mieście piechota moskiewska sparła naszą na moście: wtenczas jenerał Różycki zszedł z konia, porwał za karabin, a śpiewając: jeszcze Polska nie zginęła! stanął na czele strzelców Sandomirskich i prowadził ich do boju.

Jak zboże pod kosą kosiarza, tak moskale w prawo i w lewo z mostu walili się w rzeczkę od bagnatów naszych. Strzelce aż za most wyparli moskiewskie żołdactwo. Pułkownik Kwiatkowski dzielnie odpierał moskali z kościeliska; jedna kompanja ze stojących na rynku rozsypawszy się po pod opłotkami

wzdłuż rzeczki, gęstym i celnym ogniem razila wroga. Moskale widząc że siłą i liczbą nie przeprą męztwa naszych, poczęli dawać ognia z armat dla zapalenia miasta.

Kiedy to się działo w mieście, dragoni przyszli do parowu. Dowódca ich pułku, pułkownik Howen, przez lornetkę przeliczył co do jednego wszystkich naszych jeźdźców: radośnie po moskiewsku, jak nam potem jeńce mówili, zawołał: wszyscy nasi!

Zostawił szósty szwadron ze sztandarami na prawej stronie parowu, a sam na czele pięciu szwadronów przechodził parów. Dragoni szli trójkami i zaraz za parowem formowali się w plutony. Myśmy czekali na nich, las spis położył się nad uszy końskie jak las konopi w jedną stronę głaskanych wiatrem; dwubarwne proporce furkotały jakby na wab wrogowi; konie na zadach się poprzysadzały, gotowe do poskoku, a u jeźdźców niecierpliwie serca były, niecierpliwie ramiona drgały. Aż miło spojrzeć taka hulaczność w twarzach, taki spokój, taka pewność w oczach.

Wszystkie pięć szwadronów przeszły przez parów, o mało się nie otarły o bataljon dwudziestego drugiego pułku; nie widziały go nawet, bo wał im zakrywał naszą piechotę, a piechota stała jakby posągi z kamienia. Nie próbowała ani strzałów, ani bagnatów, a jednak gdyby zrobiła jedno lub drugie, ani jeden dragon nie byłby uszedł z pola bitwy.

Dragonie w skok formowali się w szwadrony, i równając się do linji, w skokach szli do natarcia. Myślą Howena było, złamać nasze lewo skrzydło, i od parowu gonić ku miastu, aby tam nas zabrać albo wybić razem z piechotą. Karol Różycki przyskoczył przed trzeci szwadron, i z kopyta kazał w czwał! w czwał!

Zatętniało — zahuczało — ziemia bryzgami rwała się aż pod niebiosa, i wrzaski Sława Bogu! i moskiewskie — hura! pod niebiosa leciały. Jasno-gniady czerkies Karola Różyckiego mknął wprost na moskiewskiego pułkownika. Moskwicin szablą płatnął, cugle przeciął i czerkiesowi przeorał kark na dwa palce głęboko; ale nasz dowódca silnem ciężkiem lackiej szabli, w sam łeb moskwicina zamałował, i Moskwicin z siodła zsunął się o ziemię. Ta walka dwóch przywodców rycerskie czasy przypomniiała; trwała ona chwilę, krótką chwilę, ale i nasza młódź i moskale ją widzieli; nasze konie gęściej kopytami ziemię rwały, i nasze Sława Bogu! huczniej zagrzmiało. Moskiewskie konie zwolniały czwał i hura ich już nie tak donośnie z piersi się wypierało.

Trzeci szwadron spisami we front nieprzyjacielski uderzył, i malutką chwilę, jak jeden mig myśli, oba fronty się zatrzymały: ale drugi i pierwszy szwadron, które trochę były cofnięte

od wroga, albowiem stały w linii ukośnej całego frontu, przyskoczyły, spisami zapruły i jak wiatr plewą, tak one pomiotły przed sobą moskalami.

Popłoch między wrogiem! Jak z pieca na łeb, skaczą w parów i trzecia część przynajmniej nietknięta, ani naszą spisą, ani szablą padła z koni. Nasi jeźdce w parów — z parowu wyskoczyli i ani jeden ze strzemion się nie wysadził. Moskale formują się na swój szósty szwadron, ale nasi jeźdce lawą na nich uderzyli, rozbili na miazgę i gnali w pola; koląc i siekąc, w prawo i w lewo.

Wtenczas i kościół i domy miasta pożarem się zajęły. Nasza piechota, nie siłą nie walecznością wroga, ale pożarem przywalona, cofała się z miasta. Gromy armatnich strzałów, i krechtanie łamiących się domów, prześpiewywały ich pochodowi. Oni szli leniwo, i co krok oglądali się, czy zaoskomionych bagnatów nie mogą jeszcze podsyceć krwią moskiewską; ale carskie żołdactwo nie szło za nimi: stało i nikiemnie patrzyło, jak pożar, ich dzieło, wyrusza garstkę walecznych, a otucha jeszcze nie wstąpiła w załężnione serca.

Piękny to był i okropny widok zarazem! Nad miastem, kłębiasty dym, od chwil do chwili, rozświecany to zarzewiami latawcami; to buchaniem płomieni szczerzego ognia. Z miasta, dzieci, niewiasty, i starce, wszystko bieżało w pole; i bydło z porykiem, i psy ze skomleniem, a jęk matek i kwilenie z pomiędzy bezprzerwanego gromu armat, i wojennych wrzasków ledwie przedrzeć się mogło do nieba. Po tem pięknem polu, nasza jazda na przepadle gnała dragonów, kozacze Sława Bogu tylko brzmiało, a moskiewskiego hura, ani słyhać było. Moskiewskiemu trupami szeroko znaczyliśny szlak pogoni, a konie bez jeźdców rojem wiły się kolo tej hurmy konnicy gnanej i goniącej.

O! trzeba było żeby Car był widział to dzieło swoje! — jęk, płacz, pożar i niedole ludu — to dla niego i na niego. — O! trzeba było, żeby wsza Polska to widziała! to dla Niej i za Nią!

Dragoni i nasi jeźdce zmięszani razem, wpadli do maleńkiej wioseczki kolo Ilży. W ulicy tak było ciasno, że ani klucć ani rąbać nie można było, tylko gifesami szabel, i drzewcami spis nasi tłukli dragonów. Pluton moskiewskiej artylerji będący w wioseczce, zerwał przed sobą mostek, i z dwóch armat kartaczami wyrzwał do nas i do swoich. W mig przed sobą usypał wał z dragonów i z koni pobitych. Moskiewska piechota zaszła za opłotki z obu stron alei i poczęła ręcznemi strzałami razić i nas i swoich bez różnicy. Na rozkaz dowódców jeźdce nasi musieli porzucić tę resztkę niedobitków dragonńskiego pułku, i za wsią formo-

wać się w plutony i w szwadrony. Kartacze po nad nasze głowy przelatywały, a nasi jeźdźce ani baczenia na to nie dawali.

W chwili naszego zbierania się, ukazał się za wioską pułk dragonów moskiewskich; w kolumnach szwadronowych szedł klusem po nad rudką, w chęci zajścia nam drogi; był to pułk z korpusu Jenerała Słotwińskiego, który słysząc strzały armatnie, przyszedł w pomoc Jeneralowi Kwietnickiemu. Nowy ten korpus był równie silny jak pierwszy. Drugi i trzeci pluton pierwszego szwadronu już zformowane, spuściły spisy do natarcia i klusem ruszyły przeciw wrogowi; do przebycia rudki była tylko jedna grobelka, na której więcej nie można było rozwinąć jak front plutonowy, siły przeto do natarcia w naszej i w moskiewskiej kolumnie były zarówne; moskiewski pułkownik widząc nasz pochop i gotowość, zakomenderował do swoich: trzema na prawo w tył — i jeszcze lepszym klusem z całym pułkiem uciekł tam z kąd przyszedł; nasze dwa plutony zatrzymały się przy początku grobelki.

Przez ten czas zformował się pułk, i odstępując we wschody szwadronami, szliśmy stępą ku Szydłowieckiemu szlakowi. Po polach któredy przechodziliśmy, jak mak gęsto różowiały rabaty pobitych dragonów; a nieprędko, nieprędko i to bardzo z daleka ukazali się dońce: skradali się leniwo, jak łódki pod wodę. Widać że swoim obyczajem dla ochoty wszyscy musieli krzyżeć: naprzód! naprzód! — i wszyscy wstrzymali konie cuglami.

Kiedyśmy się złączyli z naszym korpusem o dobrą milę od Ilży, zastaliśmy tam stu-kilkudziesięciu dragonów jeńców, i ich majora, Hemesa, rannego na wozie. Oddział celnych strzelców zbierał ich po naszej pogoni, bo batalion dwudziestego drugiego pułku, chociaż był najbliższym tego miejsca, z rozkazu swojego dowódcy nie ruszył kroku ze stanowiska, aż do cofania się.

Moskiewski major Hemes był rannym przez swojego własnego ordynansa, rzecz miała się tak:

Kiedyśmy stali w Solcu przez kilkanaście dni, moskiewscy żołnierze przechodzili do naszego pułku. Śpiewaliśmy kozackie ukraińskie pieśni, nosiliśmy się z kozacza, i żołnierze nasi w większej części rozmawiali mową ukraińską; to było ogromnym lepem, który do nas pociągał naszych ziomków Ukraińców, z musu służących w moskiewskim wojsku. Między temi ochotnikami był jeden nazwiskiem Teodor, dragon z Noworosyjskiego pułku, ordynans majora Hemesa; przeznaczony został do drugiego plutonu pierwszego szwadronu. Miał ogromne wąsy jasno rude; przybierając nasz mundur nie chciał ich podstrzygać, żeby nie zmienił twarzy, powiadając:

— Już ja się im żywy nie dostanę, a jak mnie poznają w boju, to dobrze; niech wiedzą że ja nie moskał, ale kozak polski, Ukrainiec. —

W czasie natarcia, naskoczył właśnie w to miejsce, gdzie major Hemes cięży szablą zlatywał z konia; major poznał ordynansa i zawołał:

— Teodor pomiluj, radi Boga!

Teodor mruknął:

— Wot tobie pomiłowanie! —

Palnął spisną w twarz, tak iż szczękę na wylot przeniżał, pogruchotał zęby, a sam dalej poskoczył.

W czasie naszej pogoni Józafat Domaradzki odkrył sposób zszadzenia moskali z koni. Jak tylko dolatywał do moskala kłuł go w plecy ostrzem szabli, a jak ten się odwrócił, co koniecznie następowało, ciął szablą na odlew pod sam nos, i moskał jak wór walił się z konia. Tak miał wprawne i oko i rękę, że mnóstwo moskali narąbał. Koń jego siwy i on sam byli całkiem krwią zafarbowani: nie swoją, ale moskiewską.

W wiosieczce od strzałów moskiewskiej piechoty straciliśmy sześciu jeźdźców, między nimi dwóch braci Eliaszewiczów, których pięciu było w pułku, i Ułasa Tetianczyznego kowala, dzielnego żołnierza; ten ostatni miał dziwne przecucie przed bitwą.

Był on dawniej kozakiem dworskim u mnie, a że był człowiek nieposzlakowanej poczciwości, od samego początku naszej służby woził trzos z mojemu pieniądźmi. Przed świętem, kiedyśmy jeszcze ani myśleli o bitwie, przyszedł do mnie.

— Panie, niech pan pozwoli żebym trzos z pieniądźmi oddał komu.

— Dla czego?

— Ot tak mi coś markotno — zamyślił się trochę — kłęby sobie podcierałem — a potem znowu dodał: — ja pana o to bardzo proszę; ja go oddam Makarowi Sołopczukowi, to dobry chłopiec. —

Nie chciałem mu się sprzeciwiać i pozwoliłem.

W czasie bitwy bił się jak wściekły, w wiosieczce ranny kulką w piersi, upadł. Z wachmistrzem Ksawerym Morgulcem chcieliśmy go podnieść, ale już nie żył; mnie było markotno: łzę i westchnienie do Boga dałem mu w pożegnaniu; więcej chwila bojowa nie pozwoliła. Zwłoki jego spoczywają

na laskiej ziemi, ale bez mogiły, pomiędzy moskiewskimi zwłokami.

Rannych mieliśmy kilkunastu. Najcięższe rany dostał Antoni Szaszkiwicz: dwa cięcia w kark takie, iż musiał jechać do lazaretu; Mikołaj Wizowski, Ochota, Semen Łysiuk, Hryhory z Rei, który goniąc za nieprzyjacielem na całe gardło psalmy śpiewał, a spisą kłuł, Teodor Myśliński i inni dostali mniej więcej ran; ale żaden z nich nie opuścił szeregu, wyleczyli się na koniu bez lekarza, przykładając do ran wilgotną ziemię.

Po połączeniu się z korpusem, niebawem nadciągnęli harcownicy wrogów; za nimi szły połączone moskiewskie korpusy: na czystych polach harcowaliśmy z dońcami i dragonami, ale te trudy były nam miłe, bo zwycięstwo rozpoilo nasze dusze. Patrzyliśmy na Samuela Różyckiego, jak na jakiego Napoleońskiego namiestnika. Nasz dowódca to był naszyni ojcem, co nas zwycięzko wszędzie zaprowadził, i zewsząd zwycięzko wyprowadzał.

Przyszedłszy w nocy do Szydłowca, przy ognisku rozprawialiśmy o owym dniu szczęścia, kiedy nadszedł stary Stepan Lewczuk Zaremba.

— Ot panowie jak tak będzie zawsze, to i moskali nie stanie w Polsce, i Ojczyzna będzie! —

Na nieszczęście nie było tak zawsze.

W kilkanaście dni później przechodziliśmy przez Hłęcz. Już tam nie było ani domów miasta, ani kościoła Bożego, tylko zgliszcza zwalisk i okropne ślady pożaru: czuć było dym, czuć było jeszcze krew.

Mieszkańce, niewiasty i starce i dzieci, przeciw nam wybiegali i nas witali radośnie, serdecznie. Na prześcigi każdy opowiadał:

— Dwanaście fur cały dzień wozilo trupy na smętarz. O byłoż tam, było tego plugawstwa.

— Z tego pułku dragonów ledwie dwa szwadroniki zebrano, i to liche.

— Ależ co potchórzyli to potchórzyli! — Święty Stanisław to widział i my to widzieli. Niech im tak zawsze Bóg daje.

— Bo jużci jak człowiek na swojej ziemi się bije, to wart za stu takich co jak świnię liżą do cudzego ogrodu.

— My nie żalujemy ani swoich domów, ani dobytków,

bośmy widzieli jakęście bili. Oj co bili to nie żal się Boże!

— Ja bym chciała stracić wszystko co mam i mieć mogę, żebym choć raz jeszcze widziała tak tych moskali, jak wten czas. —

I owi pogorzelce częstowali nas chlebem, solą. O z takim ludem nie zaginie nigdy Polska!!

Staremu Stepanowi aż lzy stanęły w oczach, a wąsy same szczurzyły się do góry:

— Ot panowie starszyna, panowie bracia, tylko bijmy i bijmy moskali, a prędzej czy później, będzie Ojczyzna! —

TRZYNASTY.

(WSPOMNIENIA PUŁKOWE.)

Po bitwie pod Hżą, po rozkazie dziennym który zakrawał na rozkazy Napoleońskie, i który brzmiał w naszych uszach jak w uszach żołnierzy francuzkich biuletyn o bitwach pod Piramidami, albo pod Marengo, w naszych jeźdcach ogromnie zapanoszało dobre rozumienie o sobie. Ta wiara w siebie, dołączona do wiary jaką mieli w dowódcę pułku, zrobiła, że ten nowy pułk, jak starzy żołnierze zowią, złożony z ruchawki, mógł stanąć na równi obok najlepszego starego pułku tak co do służby, jak i do boju. Wiara zaś w Karola Różyckiego była tak wielka, iż kiedy on stawiał pułk do boju, wszyscy żołnierze mówili między sobą:

— Oho! kiedy już nasz ojciec (Batko) wybrał pozycję, to nam nic nie będzie; a moskali w puch pobijemy. —

Mówię to nie dla tego, aby to miało być przchwałką, albo przedwstępem do opowiadania o jakim nowem zwycięstwie, gdyż na nieszczęście nowych zwycięstw nie mieliśmy; ale dla tego, aby pokazać iż z tej ruchawki tak niesłusznie pomiatanej przez niektórych znamienitych oficerów starej służby, można zrobić dobrych żołnierzy, wlewając w ich serca zaufanie ku dowódcy i podnosząc ich miłość własną, kiedy na to zasługują. Pułk nasz nieliczący tylko pięciu oficerów ze starej służby, a żadnego żołnierza i podoficera, aż do samego końca zachował porządek, karność, praworność i mężstwo. Musztry nauczyliśmy się w pochodach, i bijąc się z wrogiem, a służby obozowej przez doświadczenie, poprzedzone bardzo krótką nauką, bo na długą czasu nie było.

Z Szydłowa, dokądeśmy przyszli po bitwie pod Hżą, ruszyliśmy w pochód ku Radomiowi. Nie wiem czy Jenerał Różycki miał zamiar uprzędzić w tem mieście nieprzyjaciela, czy też

chciał go tam podejść; ale w drodze odebraliśmy wiadomość że dawny oddział z pod dowództwa Jenerała Różyckiego, z którym on chodził na wyprawę Litewską, ciągnie ku nam, ale w drodze był przeciętym przez Dońców, a w Przytyku zabrano mu w niewolę kilku oficerów, z szwadronu zwanego oficerskim i złożonego z samych oficerów.

Jenerał Różycki zdawszy dowództwo nad piechotą pułkownikowi Kwiatkowskiemu, sam na czele drugiego i trzeciego szwadronu naszego pułku poszedł mimo Zakrzew do wioseczki leżącej powyżej Przytyka. Piechota szła wprost na Zakrzew; Karol Różycki odebrał rozkaz udać się do Przytyka na czele trzech plutonów pierwszego szwadronu, gdyż pierwszy pluton pod dowództwem Stanisława Falińskiego poszedł dla przyrowadzenia kassy województwa sandomierskiego, którą Prezes Januszewicz, gorliwy Polak i czynny człowiek, potrafił uwieźć z Radomia, i przechować u jakiegoś poczciwego obywatela.

Karol Różycki idąc do Przytyka, wywiedział się od ludzi postronnych wiosek, że zrana oddział Dońców zabrał w mieście kilku oficerów, przybyłych tam i goszczących jakby to nie był czas wojenny. Już niedaleko Przytyka wzięwszy z sobą czwartego pluton i kapitana Karola Dunina, udał się w lewo na długą groblę, która prowadziła do przedmieścia; polecił zaś dowódcy drugiego plutonu, aby z dwoma plutonami wszedł prosto do miasta i zpedził z tamtąd kozaków gdyby się ci znajdowali; w przeciwnym razie żeby zajął miasto i wysłał na zwiady do spotkania oddziału ciągnącego z Warszawy.

Dwa plutony przyszły nad rzeczkę, na której zastały zerwany most, a widząc w mieście jeźdźców jakichś kręcących się w nieładzie na koniach, sądziły że to Dońce. Żywo przeprawili się przez rzeczkę, w skokach wpadli do miasta; owi jeźdźcy wybiegli w pole, a mieszkańcy oznajmili że to Polacy. Natenczas dowódca dwóch plutonów, widząc że oddział polski cofnął się pod las i tam się szykował do boju, zostawił przed miastem obydwa plutony pod rozkazami wachmistrza Ksawerego Morgulca, gdyż dowódca trzeciego plutonu skaleczony w nogę, dnia tego zmuszonym był jechać na wozie, koło piechoty. Sam udał się ku oddziałowi stojącemu pod lasem.

W drodze usłyszawszy strzały armatnie od strony Zakrzewia, pośpieszył, i oświadczył pułkownikowi Obuchowiczowi, dowódcy tego oddziału, iż przywozi rozkaz od Jenerała Różyckiego, aby jak najspieszniej dążył w pomoc bijącym się.

Kapitan Karol Kaczanowski z dwoma armatkami artylerji konnej, kapitan Psarski z dwoma plutonami jazdy kaliskiej, złączywszy się z dwoma plutonami jazdy wołyńskiej udali się złusną, przez miasto, w stronę strzałów; reszta zaś wojska złożona z bataljonu strzelców celnych podlaskich dowództwa Michała Kuszla, z czterech armat artylerji pieszej pod dowódz-

twem majora Barłmańskiego i kapitana Freze, z drugiego półszwadronu jazdy kaliskiej pod majorem Domaniewskim, ze szwadronu oficerów i szwadronu podoficerów pod dowództwem pułkownika Pietrowskiego, z plutonu Tatarów pod kapitanem Bielukiem, i z licznego sztabu generała Różyckiego, szła wolno do Przytyka.

Piechota nasza była atakowana przez korpus moskiewski generała Księcia Wirtemberga, złożony z kilku bataljonów piechoty, pułku dragonów, oddziału Dońców i sześciu armatek artylerji konnej. Pułkownik Kwiatkowski rozpuścił na tyralierów kompanję legji litewsko-wołyńskiej i kompanję strzelców sandomirskich, z resztą zaś cofał się drogą ku Przytykowi. Pierwszy pluton pierwszego szwadronu naszej jazdy, nadbiegł z kassą, i wnet puścił się na hare z dragonami, ale za pierwszym strzałem armatnim Stanisław Faliński dostał mocnej kontuzji i zleciał z konia, Jan Omieciński chociaż mocno skaleczony w nogę siadł na koń, i objął dowództwo nad plutonem. Tadeusz Horain ranny jeszcze pod Opatowem, siadł takż na koń, i stanął na czele tyraljerów pieszych; ci dwaj oficerowie wspierając siebie wzajemnie, potrafilo dzielnie odeprzeć natarczywość licznych harcowników złożonych z dragonów i Dońców.

Ale moskale ufni w liczbę, poczęli coraz mocniej następować, swoim obyczajem z armat grzmieli, i na ten raz ich kule mocno szkodziły kolumnie pochodowej, wsuwającej się w krzaki, a potem w las. Całe siły nieprzyjaciela minawszy Zakrzew, sporo gonily za naszą piechotą; już kolumny ich jazdy dochodziły do harcowników, kiedy Karol Kaczanowski dał ognia z dział. Kula zabiła białego konia na którym jechał służący Księcia Wirtemberskiego tuż za swoim panem; to zjawienie się niespodziewane naszej artylerji, ten celny strzał, zatrzymał na chwilę zapal nieprzyjaciela.

Moskale stanęli, a tymczasem szwadrony naszej jazdy złączone pod dowództwo Karola Różyckiego, w krzakach sparły harcowników dragonów. Strzały armatnie trwały ciągle, ale piechota miała czas przystąpić ku Przytykowi i połączyć się z oddziałem pułkownika Obuchowicza, który już zajął miasto. Pół bataljona strzelców sandomirskich rozsypało się w krzaki i po brzegu lasu. Karol Różycki wyprowadził nasz pułk z lasu i postawił go w linii bojowej, frontem do drogi wiodącej do Przytyka; prawem skrzydłem opierając o las w którym byli celni strzelce, lewem o miasto. Sądził on, że nieprzyjaciel postępując za ustępującymi się tyraljerami wysunie swoje kolumny w pole, wtenczas miał zamiar natrzeć na niego z boku; ale nieprzyjaciel nie wyszedł z lasu, tyraljery strzelali się do samej nocy. W nocy, moskiewski korpus cofnął się drogą do Zakrzewia, myśmy weszli do Przytyka.

Prędko roztasowaliśmy się obozem, i obadwa oddziały za-

częły się poznawać z sobą, a ci co już się znali witać. Korpus nasz zaczął przechodzić do poważnej stopy, miał armaty, rozmaity piechotę i rozmaitą jazdę.

Żydzi którzy żadnej okoliczności nie przepuszczają żeby wydurzyć chrześcijański grosz, naznosili pod obóz lichego jadła, i trunków dobrze chrzczonej wodą. Koło jednej z takich kocujących gościu, siedziała stara żydówka; przy odblasku zapalonego łuczywa miała coś piekielnego w twarzy: oczy wsunięte w głąb głowy, zdawały się liczyć przechodzących, i od czasu do czasu krzywiła twarz, jakby znaczyła którego chciałaby dać na pastwę djabłowi; żydowska podłość i szatańska złość pożyły się, żeby uposażyć wspólnem bogactwem to swoje kochane dziecię.

Przyszło kilkunastu oficerów różnych broni pięć wiszniak; ona wszystkich częstowała mileząc, ale kiedy nalewała ostatnią szklankę, po raz pierwszy, dziwny uśmiech przewędrował po jej twarzy, i nie mogła wstrzymać się od powiedzenia:

— Nu, pan trzynasty. —

Był to kapitan Bielak dowódca Tatarów, dzielny Polak, oficer z rosyjskiej gwardji, posiadający nie wielki mająteczek w Augustowskiem. Majątek swój i życie poniósł na usługi Ojczyźnie, sformowawszy oddział jazdy z samych braci i pokrewnych swoich.

— No i cóż z tego żem trzynasty?

— Nu nic — trzynasty i nic. —

Liczyła płacone pieniądze, ale częściej poglądała na kapitana Bielaka jak na pieniądze. Rzecz dziwna i bardzo dziwna w żydowskiej krwi.

Po chwili, przyszli inni oficerowie i ona znowu częstowała; ale nagle wypuściła butelkę z wiszniakiem jakby umyślnie, chociaż tylko w jedną szklankę z niej naląła.

— Nu już więcej nie mam; panów trzynastu piło. —

Trzynastym tą razą był nasz kapitan Jan Dłuski; żołnierze poczęli sarkać że to czarownica, uroki rzuca na ludzi, i żydówka zniknęła tak nieznacznie jakby się z wiatrem do djabła powiała. I nikt jej nie widział, ani tej nocy ani nazajutrz dzień. Tylko jeźdźce naszego pułku najdłużej o tem rozmawiali, i ze wszech stron słyhać było powtarzanie:

— No, jak pobijemy Moskali, i wypędzimi precz z Polski, to wyprosimy sobie aby nam że trzy dni pozwolono na pohulanekę z żydami. Oj co pohulamy to pohulamy! bo póki ta psia krew będzie w Polsce, to i złe z nią będzie.

— Jezusa Chrystusa umęczyli.

— Moskalom za szpiegów służą.

— Jak pijawki ssą ostatni grosz z człowieka chrzczonego.

— Oj pohulamyż, pohulamy! ani na nasienie nie zostawimy.

— I będzie dobrze. —

Wieczorem poszliśmy pod Radom; ztamtąd, po spotkaniu się z moskiewskimi podjazdami, zwróciliśmy się ku Szydłowcowi, i nie myśleliśmy ani o owej żydówce, ani o tem jej przynastkowaniu.

Gdybyśmy nawet myśleli, że po tej nocy uznalibyśmy rzućcie uroku za bezskuteczne; gdyż kapitan Bielak z swoimi Tatarami wpadł między posterunki moskiewskie, ucierał się z nimi; słyszeliśmy wiele strzałów, i wtenczas kiedyśmy go mieli za straconego, on przybył ze swoim oddziałem i ani jednego człowieka mu nie brakowało.

Dwanaście dni upłynęło od naszego wyjścia z Przytyka; w prawo, w lewo, ciągaliliśmy się po nad granicami województwa sandomirskiego z województwem krakowskiem. Pod miasteczkiem Końskie, Moskale w nocy, z dwóch stron napadli na nasz obóz; ale szczęściem nie bagnietem, ani szablą, ani spisą, tylko hukiem armatnim, obyczajem każdego tchórza, co to z daleka wrzeszczy na zapaśnika nie zważającego na jego zbliżanie się: uciekaj bo ja idę. — Żydzi tego miasteczka byli w zмовie z Moskalami; dowiedzieliśmy się o tem, ale zmuszone cofanie się nie pozwoliło nam powiesić ich przynajmniej kilkunastu; od czego by Jenerał Różycki wcale się nie wzdrygał. U niego kazać powiesić żyda łajdaka a psa parszywego, to było wszystko jedno — i dobrze robił.

W czasie tego cofania się połączyliśmy się z trzema szwadronami jazdy pod dowództwem pułkownika Kuszla, niegdyś zawołanego rębacza i pojedyńkarza w huzarach polskich; były to dwa szwadrony jazdy podlaskiej i jeden szwadron strzelców konnych, zbierany ze wszystkich czterech pułków, pod dowództwem kapitana Wendorfa.

Stanęliśmy obozem w małej wiosce o lekką milkę od Wierzbicy, gdzie się znajdowała brygada jazdy moskiewskiej pod dowództwem Jenerała Tymana, i Dońce Florjana Rzewuskiego.

Noc była ciemna, deszcz lał jak z cebra, a bezustanne strzały na czatach, i rozkazy: na koń! na koń! ani chwilkę nie dały spocząć. — Jak to mówią, aż do nitki przemokliśmy, a tennienie pojedynczych koni, ciągle do uszów dolatywało. Noc była przeklęta, zimna, słotna i niespokojna: dopiero o świcie deszcz ustał, i dowiedzieliśmy się że półszwadron jazdy Podlaskiej będący na przedniej straży, popuszczał konie, i te biegnąc tu i owdzie, były przyczyną owych strzałów i obozowego niepokoju.

Po tej smutnej nocy, smutniej jeszcze nam było, kiedyśmy ujrzeli zmianę w twarzy Jana Dłuskiego. Na żaden figiel mu się nie zebrało, był blady, a uśmiechał się musem; piekielna Azyjska choroba, cholera go napadła — i to był podarunek

przywieziony nam przez Moskali. Mikołaj nieraz życzył żeby ta cholera cały naród Polski wydlawiła, a są ludzie z narodu Polskiego, co przed tym Carem się klonią, co tego Cara woli z pośpiechem i uniżonością służyć.

Choroba tak nagle zmogła Dłuskiego, że my ruszaliśmy do Wierzbicy przeciw wrogowi, a on nie mógł się na konia; został w chłopskiej chacie, i jeden tylko żołnierz przy nim. Przed chałupą stała wiszniowo-gniada klacz, ona swoim obyczajem nie grzebała niccierpliwem kopytem ziemi, ale zwiesiła głowę smutnie: ona czuła pańską niemoc, tęskniła że pana na boje nie niesie.

Myśmy go zegnali, a on cierpienie tał, przyoblekając twarz w pogodę musu — i mówił nam ucinkowo z wysileniem się:

— Idźcie i bijcie! —

Kiedy ujrzał Bielaka wstrząsł głową, i przez zęby ciszej powiedział:

— I on trzynasty. —

Ale potem jakby ocknął się ze snu, i chciał otrząsnąć niewiele marzenie, uśmiechnął się do nas:

— Ot baję! nie wierzcie temu — pobijcie i powracajcie, a jeszcze gotówem wypić z wami choćbym był trzynasty; tylko mi zostawcie co Moskali; to przejdzie, a bić będziemy. —

Mową chciał ból zatłumić, a jeździec co przy nim zostawał, smutnie poglądał to na niego, to na nas. Żał mu było kapitana; żał mu było że z nami nie idzie.

O! i nam nie było wesoło! Konie ochoczo kroczyły, a my mimowolnie poglądaliśmy na Bielaka. — On koniem zawodził, opowiadał jakieś szalone przygody, ale nie wiem dla czego wielu z nas zdało się że on obalamuca swój niepokój; przesąd ogarła myśl naszą, w uszach nam brzmiały słowa żydówki: to trzynasty.

Koło karczemki na polu niedaleko Wierzbicy, jakiś poczciwy mieszkaniec tego miasteczka doniósł nam iż Moskałe uwiadomieni przez szpiega żyda, gospodarza tej karczemki, o naszym zbliżaniu się, wyruszyli z Wierzbicy, w celu cofania się do Skaryszewa, gdzie była większa część korpusu generała Rudygiera, i że tam posłano po posiłki na wszelki przypadek. — Żywo odprawiono sąd na żyda i powieszono go na naddrożnem drzewie, a myśmy ruszyli ku Wierzbicy.

Jazda nieprzyjacielska już skryła się w las, a ćma Dońców bezładnie rozrzuciona, uwijała się koło wietrznego młyna i wzdłuż po nad lasem. — Pułk nasz dostał rozkaz zawieść harc z niemi, i zatrzymać ich przed lasem, aby strzelce celni Podlascy, zasłonieni jazdą Podlaską, mogli zejść w las, przeciąć drogę Dońcom i zrobić zasadzkę.

Za zbliżeniem się naszym, Dońce z pod młyna pierzchnęli ku lasowi. Karol Różycki zatrzymał szwadrony, i wysłał pierw-

szy pluton, pierwszego szwadronu, pod dowództwem Rajmunda Hurkowskiego, niedawno przybyłego do nas oficera, na harc. Mała liczbą chciał ośmielić Dońców, i tym sposobem zatrzymać ich przed lasem jak najdłużej. Nasi harcownicy już zsadzili kilku Dońców z koni, podoficer Wielobyski ranny był w podeszwę, odbitą kulką od kamienia. Zabito konia pod jeźdzcem Michałem z Rafałówki, kiedy Hurkowski rozpojony bojem coraz bardziej począł; nacierał i przed Dońców ku lasowi. Dowódca naszego pułku, wysłał kapitana Bielaka, którego pluton Tatarów był przy naszym trzecim szwadronie, z rozkazem do Hurkowskiego aby się zatrzymał, i zwolna cofał od lasu; rozkaz został zawieszony i wykonany.

Pluton naszych harcowników cofał się, Dońce bardzo zwolna następowali. Kapitan Bielak wracał; już był o sto kroków od naszego frontu, a najmniej trzysta za harcownikami, kiedy w dolinie nagle zsunął się z konia. Myśleliśmy że z dobrej woli zsiadł; a to dońska kulka go zsadziła; trafiła w same serce, i jak go podnosili jego bracia i pokrewni, już on znaku życia nie okazywał.

Głośnym jękiem zapłakała Tatarska drużyna, pałaszami wykopali grób swemu bratu — przywódcy; dziki kamień na nim położyli, łzą smutku skropili i kamień i ziemię. Myślą smutku żalowali za poległym, i siedli na koni.

I myśmy pomyśleli o Janie Dłuskim, o tej złowieszczej liczbie — trzynasty; ale Dońce skryli się w las, umknęli zasadzki celnych strzelców, a cały nasz korpus szedł w pochód w kierunku Hły.

W czasie pochodu, drugi i trzeci pluton pierwszego szwadronu jazdy Wołyńskiej, dostały rozkaz udać się przez las, drogą w lewo, aby przeciąć szlak wiodący ze Skaryszowa do małej wioski na drodze do Hły. W tej wioseczce stał szwadron Moskiewskiej jazdy na straży, a czaty Dońców tworzyły łańcuch między Skaryszowem a przednią strażą Moskiewską: nasze dwa plutony powinny były przejść ten łańcuch nie będąc spostrzeżonemi, i zająć jazdę Moskiewską z przeciwnej strony: tak rachując czas, aby to nastąpiło jednocześnie z chwilą, kiedy przednia straż korpusu, spędzając czaty nieprzyjacielskie, prostą drogą dochodzić będzie do wioseczki. W przedniej straży szły pierwszy i czwarty pluton pierwszego szwadronu jazdy Wołyńskiej, pod dowództwem Stanisława Dunina, który uleczywszy się z ran, powrócił objąć dowództwo swojego szwadronu; i poruczników Hurkowskiego i Jana-Nepomucena Niemojewskiego, przeniesionego z jazdy Kaliskiej, do naszego pułku; drugi i trzeci pluton były pod rozkazami swoich dawnych oficerów; od chwili wyjścia z domu, aż do ostatka wojny, te dwa plutony nie zmieniały swoich dowódców.

Piaszczystą drogą, dwa plutony tak czutko i ostrożnie prze-

szły, że nie tylko ptaka w lesie, ale nawet Dońca czuwającego nie spłoszyły: a jednak widziały i ptaki na gałęziach, i Dońców na szlaku. Uszedłszy kilkaset kroków za łańcuch nieprzyjacielskich czat, puścili się klusem, i kiedy usłyszały pierwszy strzał z janczarki, już one dobiegały do wioseczki frontem, gotowe na przyjęcie wroga.

Moskiewski oddział z dwóch stron natarty, po krótkiej pogoni, zsiadł z koni i poddał się; jeden tylko Doniec na dereszowatym koniu umknął w las. W tej rozprawie, Prezes Januszewicz walczył jak nasi jeźdźce. Oddział nieprzyjacielski składał się z pół szwadronu strzelców konnych i plutonu Dońców. Między temi jeńcami był podoficer, który służył w pułku Siewierskim strzelców konnych, rozbitym przez nas pod Uchaniami, kiedyśmy jeszcze byli powstaniem nie pułkiem. Ten jeniec ranny spisną w gardło i w piersi, zostawionym był za zabitego; poznawszy nas powiedział, że widno iż jego przeznaczeniem jest, aby nie przeciw nam, ale razem z nami wojował; tem bardziej że jest rodem z Pułtawskiej gubernji, taki dobry Ukrainiec jak i my. Wszedł on do naszego pułku, i był dzielnym żołnierzem.

Na drugi dzień z rana przybył do pułku jeździec zostawiony przy Janie Dłuskim; chmurny był postawą, smutnem okiem patrzył na nas, i długo nic nie mówił, a myśmy go nie śmieli zapytać; nareszcie przystąpił:

— Już po wszystkim. —

— Jak to?

— Jak żył, tak skończył.

— Umarł! —

— Dziwo że umarł. — — Powiedz moim niech będą zdrowi, a niech za moją duszę dobrze wyczubią Moskali. — — To były jego ostatnie słowa.

Choć to byliśmy wojacy w mundurach, przy broni, nie jedną łzę, nie jedno westchnienie posłaliśmy pamięci naszego towarzysza, naszego brata; i jeźdźce nasi dzikie twarze spo-chmurzyli, i mówili między sobą:

— Szkoda!

— Chwacki człowiek!

— Żeby przynajmniej mogiłę jemu usypać.

— Wart tego.

— Gdzie powróć, to wszędzie był chwac.

— Psia żydówka.

— Otoż i trzynasty!! —

BITWA POD LIPSKIEM.

(WSPOMNIENIA PUŁKOWE.)

Pod tą samą Ilżą, na polach naszej pohulanki, koło zwalisk Moskiewskiego dzieła, stanęliśmy obozem. Zaledwieśmy z koni zsiadli, przyszła z miasta już niemłoda kobieta, a z nią młodzieniec mający lat czternaście. Była to Pani K.— wdowa po zasłużonym oficerze polskim, utrzymywała się w Ilży z małego mająteczku. Moskale jej dom spalili, a ona pojechała do Krakowa po syna jedynaka, będącego w szkołach, i przywiozła go na żołnierza do naszego pułku. Mimo przekładania że jeszcze za młody, że nie wydoła trudom wojennym, matka i syn byli nieprzełamani w swoim postanowieniu. Polka ze łzami w oczach mówiła nam:

— Młody, a i między panami są młodzi; dalibóg że w nim poczeiwa polska krew, a panowie go nauczycie i jeździć i bić. O ja widziałam co to się działo w Ilży! daj Boże żeby tak zawsze bywało. Mój syn, to mój najdroższy skarb; ja go chcę dać Ojczyźnie, czyż mi nie wolno? czyż ja nie Polka? —

Nie słówkami grzecznymi, bo o tych w obozie pozapominaliśmy, ale serdecznem uczuciem i serdecznemi słowy, podziwialiśmy tę Polkę, a młodego towarzysza przyjęliśmy jak brata.

Wkrótce potem byliśmy w miasteczku Wąchocku; głuche, niepewne wieści dochodziły do nas, jakoby znaczny korpus z wielkiej armii Polskiej dążył w Lubelskie w celu połączenia się z nami; że ten korpus miał iść na Ruś, i tam w nasz bogaty kraj nieść wojnę wrogowi. Była to tylko gadanina nie wiedzieć z kąd urosła, a jednak radością i otuchą nas przejęła. Już w myśli witaliśmy naszych nad-Teterowskich braci, nasze domy nasze rodziny; koźmi hulaliśmy po ukraińskich stepach. Owe przepowiednie gminne'o Hanczarychy dolinie, o mogiłach Piata

i Perepiaty wśliznęły się do naszej pamięci, i już myśleliśmy: wszystko tak się stanie: będzie Polska!

W tejże samej chwili, odebrano pewną wieść że generał Rudygier zostawiając niewielki oddział w Radomiu pod dowództwem Księcia Wirtemberskiego, ruszył ztamtąd drogą ku Temnickim lasom, w kierunku ku Wiśle. Ten pochód nieprzyjaciela, zdawał się potwierdzać wieść ciągnięcia naszych w Lubelskie; szpieg zaś doświadczony doniósł, że ogromna ilość wozów z sucharami i wielka liczba wołów, miała przechodzić przez most postawiony przez Moskali na Wiśle poniżej Janowca. Mostu tego strzegł batalion piechoty i szwadron dragonów; w szanicach przedmostowych było po sześć armat. W Janowcu stało dwa bataliony piechoty Moskiewskiej i dwa szwadrony dragonów z czterema działami konnej artylerji, do zmiany i wsparcia straży mostowej; jeden zaś szwadron dragonów stał na przedniej straży, po wyżej Chodzczy, na szlakach zchodzących się z Iłży, Solca i Lipska. Szwadron ten rozsyłał podjazdy na wszystkie strony, i czuwał nad bezpieczeństwem oddziałów Moskiewskich, będących u straży mostu i w Janowcu.

Na radzie wojennej, na którą powołał Generał Różycki wszystkich sztabsoficierów dowodzących osobnemi oddziałami, Karol Różycki przedstawiał aby jak najspieszniej ciągnąć do Janowca, opanować most i jeźliby go nie można było utrzymać za nadejściem korpusu Rudygiera to spalić, a tym sposobem nie dopuścić siłom generała Rudygiera przejść na prawy brzeg Wisły i wspierać korpus Generała Kajzarowa, będący w Lubelskiem, któryby mógł być zniszczonym przez nasze wojsko, z kąd następowało uwolnienie Zamościa i odkrycie wolnej drogi na Wołyń; gdyby zaś most można było utrzymać, co było bardzo podobnem, korpus polski ciągnący w Lubelskie miałby komunikację otwartą z województwem Sandomierskiem i Krakowskiem; a po wezwaniu rezerw, z których można było wyciągnąć z piętnaście szwadronów dzielnej jazdy i z ośm batalionów piechoty, snadnieby można zniszczyć korpus Rudygiera i oczyścić lewy brzeg Wisły z nieprzyjaciela, albo nieść wojnę na Ruś.

Na zarzuty jakie robiono temu zamiarowi, odpowiedział Karol Różycki, iż przy pomocy zatarasowania mostu wołami i wozami, szybki napad samej jazdy nawet mógłby ułatwić to wzięcie. W Janowcu Moskale nie mogliby się opierać ani chwili; wiedziano zaś dobrze o dniu i czasie przechodu wozów i wołów.

Korpus nasz liczył podówczas: trzy bataljony szóstego pułku strzelców Krakowskich pod dowództwem pułkownika Jutrzeńki, bataljon dwudziestego drugiego pułku piechoty liniowej, nieliczny ale dzielny bataljon legji Litewsko-wołyńskiej, ba-

taljon strzelców celnych Podlaskich, bataljon strzelców celnych Sandomirskich i kompanię legji pieszej Nadwiślańskiej; pięć szwadronów starej jazdy, zformowanej z walecznych żołnierzy korpusu Jenerała Dwernickiego, i z tych co przeszli w Krakowskie z Koła z pod dowództwa Jenerała Stryjeńskiego; dwa szwadrony jazdy Podlaskiej. Wszystkie te siedem szwadronów były pod dowództwem Chmielowskiego podpułkownika trzeciego pułku ułanów. Szwadron legji Litewsko-wołyńskiej pod wodzą majora Bohdanowicza, i trzy szwadrony jazdy Wołyńskiej; cztery armaty artylerji pieszej i dwie armaty artylerji konnej. Korpus ten dochodził do pięciu tysięcy ludzi, wszyscy żołnierze w ogóle byli waleczni i ożywieni najlepszym duchem; śmiało i umiejętnie działając z takim korpusem, można było być pewnym zwycięstwa nad podwójną liczbą Moskali.

Przybył do korpusu Jenerał Szeptycki, Szembek i poseł Jan Leduchowski z dziarskim oddziałem Krakusów z pospolitego ruszenia.

W pierwszej chwili Jenerał Różycki przyzwoił na przedstawienie Karola Różyckiego i ruszyliśmy w pochód. Nasz pułk szedł w przedniej straży; szliśmy na pewne zwycięstwo, bo zdało nam się, że nasz dowódca kieruje całą wyprawą.

O miłą od Janowca, wśród białego dnia, przednia straż pojmowała podjazd nieprzyjacielski z czterech dragonów złożony; tak szybko się sprawiła, iż żaden z nich ani mógł umknąć ani strzelić. Od tego podjazdu Karol Różycki dowiedział się o stanowisku szwadronu dragonów przedniej czaty. Natychmiast uwiadomwszy o tem Jenerała Różyckiego, i zostawiwszy legję Litewsko-wołyńską w przedniej straży, z naszym pułkiem puścił się klusem w prawo. Pierwszy i drugi szwadron zostawił w rozdole, zakrytym od nieprzyjaciela, tak aby jeden mógł przeciąć drogę wiodącą w prawo górą do Janowca, drugi w lewo dołem do tegoż miejsca; dowódcy szwadronów dostali stosowne rozkazy: sam z trzecim szwadronem biegł do nieprzyjaciela. Szwadron moskiewski stał sobie bezpiecznie i nie widział naszej jazdy, dragoni byli nie na koniach i całą czujność zdali na czatę pojedynczą, stojącą o kilkaset kroków na zuboczy.

Przez wzięcie się w prawo i pociągnięcie się ukosem w lewo trzeci szwadron zachodził tak jakby szedł od Janowca, z kądem dragoni nie mogli się spodziewać nieprzyjaciela. Karol Różycki spostrzegłszy nieprzyjacielską czatę, wybiegł naprzód i już będąc na kilkadziesiąt kroków krzyknął po moskiewsku na dragona.

— Ruszaj tu! Dragon ogłupiały jechał na rozkaz, i gdyby nie obawa adjutanta pułkowego o życie naszego dowódcy, nie nakazała mu krzyknąć: — Z konia! trzeci szwadron byłby zo-

stał moskali przedniej czaty nie na koniach; ale zobaczywszy dragona zsiadającego z konia, poczęli siadać na koń i zmykać. Trzeci szwadron puścił się w pogoń, i za dobry kwadrans czasu wszystkich co do jednego wyklął i wylapał; gdyż strzelać nie było wolno. Dostał się w niewolę i dowódca tej przedniej czaty sztabrotmistrz Rybinin; nadzwyczajnie się dziwił, że jeźdźce nasi nie chcieli brać ani zegarka, ani pieniędzy jego; a nawet potem oddali mu rzeczy zabrane z jucznym koniem. Byli to dragoni Kargo-polskiego pułku, niedobitki tych, których tak dzielnie rozbili żołnierze Jenerała Dwernickiego pod Poryckiem. Zabranie moskiewskiej przedniej czaty, tak się zrobiło prawornie, że ani w Janowcu, ani w przed mostowym szańcu o tem bynajmniej nie wiedziano.

Tymczasem nadszedł Jenerał Różycki z całym swoim sztabem do przedniej straży, i tam zmienił całe swoje pierwotne postanowienie brania mostu. Uznano że już tylko trzy godziny do zachodu słońca a przynajmniej godzinę trzeba iść do Janowca, zatem należało czekać do jutra. Nie Jenerał Różycki temu był winien, on był dzielnym, odważnym żołnierzem, a najwyśmienitszym jakim kiedykolwiek kto mógł być Polakiem, lecz był zanadto dobry, słuchał wszystkich rad, o jak to dobrze powiedziało przysłowie: że gdzie wiele nianiek, tam dziecko musi być albo bez ręki albo bez nogi, tak też to się staje i z wojskiem gdzie są rady wojenne i dorady co krok. Karol Różycki był niezmiernie tem zasmucony, ale on nawykł przedewszystkiem do słuchania rozkazu starszych. Przeszliśmy przez wioskę Chodzcę przez długą groblę, na małej rzeczce bagnistej, po której brzegach wzdłuż aż do Wisły ciągnęły się przepaściste bagna, i stanęliśmy obozem na wzgórzu na przeciw Janowca.

Stanowisko naszego obozu było dziwnie obrane; uważając jego front do Janowca: przed sobą miał Janowiec i Wisłę, w lewo duże lasy ciągnące się aż do Temnicy i dotykające jedną stronę Wisły, drugą bagien ciągnących w prawo obozu aż do Wisły po nad małą rzeczką. Obóz był tedy niejako w zamkniętym trójkącie, nie mając do działania, tylko niewielkie pole, a do wyjścia z tego trójkąta długą i wąską groblę z Chodzczy. Wiedziano o tem, że Rudygier musi być w Temnicy; że lada chwilę mógł lasami przyciągnąć pod obóz i pod zasłoną tychże lasów posłać oddziały znaczne na prawą stronę bagien do przecięcia się drogi cofania przez groblę w Chodzczy; zwłaszcza że i za tą groblą był las; jednak postanowiono tam nocować i mostu nie brać aż nazajutrz.

Moskale obudzeni z niedarowanej nieuczujności, poczęli i w mieście i u szańców przedmostowych dawać bezprzestannie ognia z dział, chociaż nikt na nich nie nacierał, i nasz obóz stał przynajmniej o kilka strzałów armatnich od miasta. Karol

Różycki udał się do Jenerała Różyckiego i tą razą prosił żeby albo rozkazał uderzyć w nocy na miasto i na most co mogło pomyślny skutek przynieść, albo żeby opuścił to stanowisko jak najspieszniej i cofnął się za Chodzcę, gdyż bezprzesłanne strzelanie nieprzyjaciela z armat, nie jest niczem innym tylko powoływaniem Rudygiera ku pomocy, a jego nadciągnięcie groziło zgubą całemu naszemu korpusowi. Słowa Karola Różyckiego były bardzo dobrze przyjętymi przez Jenerała, ale byli ludzie co wolali, żeby zostać na miejscu i czekać na Rudygiera dla honoru oręża Polskiego; dla honoru zaś tego oręża nie popierali myśli uderzenia na miasto i na most; tak więc z przyczyny tych najniepotrzebniejszych doradców w wojsku, korpus został na miejscu.

Już w późną noc dano wiedzieć Jenerałowi Różyckiemu że oddział jazdy Moskiewskiej wszedł do Solca. Jenerał dał rozkaz Karolowi Różyckiemu żeby o świcie udał się tam z pułkiem jazdy Wołyńskiej.

O świcie przechodziliśmy groblę w Chodzczy: pamiętamy te słowa naszego dowódcy: przecie wychodzimy z tego przekłętego samotrzasku.

Uszedłszy może z parę tysięcy kroków w las będący za wsią, zdybaliśmy na pieszo koło małej karczemki, kapitana Łagowskiego, naszego dawnego znajomego z Wołynia; zmieszany był na twarzy a strój miał w wielkim nieporządku. On nam opowiedział że jadąc bryczką z Kielec z raportami do Jenerała Różyckiego, złapanym został przez Dońców; bronił się jak mógł, i pasując się z nimi zrzuconym był z bryczki. Oni przepłoszeni naszym pochodem, bryczkę uwieźli a kapitana zostawili. W mig trzeci pluton pierwszego szwadronu pod dowództwem Jana Omiecińskiego, skoczył w poszlak za Dońcami, a śledząc ich jak zwierza po tropie, dognał, bryczkę odebrał, trzech Dońców wziął w niewolę; kilku nasi jeźdźce zakłuli, a reszta pierzchnęła. Kapitan Łagowski cieszył się z odzyskanych papierów i skarbów, a Karol Różycki wypytywał na stronie jeńców.

Byli to Dońce z korpusu Jenerała Rudygiera; wyznali że ich korpus złożony z szesnastu szwadronów jazdy, ośmiu bataljonów piechoty i dwunastu armat, ciągnął śpiesznym pochodem od Temnicy na odgłos słyszanych strzałów z Janowca; że Jenerał Kwieciński z dwoma pułkami dragonów i z Dońcami Florjana Rzewuskiego ciągnie dla przecięcia od Chodzczy drogi naszemu korpusowi. Karol Różycki posłał z tą wieścią do Jenerała, a z pułkiem ruszył ku Solcowi.

W drodze zdybaliśmy bataljon strzelców celnych Sandomierskich, i dowiedzieliśmy się że w Solcu nie masz żadnego oddziału nieprzyjacielskiej jazdy; wieść zaś urosła z popłochu zrobionego wpadnięciem kilkunastu dragonów po zabranie soli

w magazynie Soleckim. Dragoni prędko wynieśli się, a kompanja naszych strzelców wyszła zrana z miasteczka i zostawiła je spokojnem: o półtory mili od Chodzczy stanęliśmy na odpoczynek.

Tam usłyszeliśmy strzały armatnie od strony Chodzczy; Karol Różycki natychmiast kazał siadać na koń, a zabierając z sobą bataljon strzelców celnych, szedł na huk bitwy. Strzelcom wskazał las, będący na drodze z Chodzczy do Wulki-Soleckiej, który powinni byli zająć; jazda zaś nasza w kolumnach pół-szwadronowych szła sporym kłusem ku Chodzczy. — Tu nieszczęsny widok przedstawił się naszym oczom: korpus nasz cofał się w dosyć dobrym nieładzie, a jazda nieprzyjacielska szła za nim w pogoń; ale ujrawszy nasz pułk — zapewne bała się zasadzki, albo ten posiłek sądziła za daleko większy — zatrzymała się, i korpus nasz nie goniony, mógł spieszyć do Wulki-Soleckiej, zostawiając naszą jazdę w tylnej straży.

Tam zaś w obozie rzecz odbyła się tym sposobem: już po wschodzie słońca, z Temnickiego lasu ukazywały się kolumny jazdy moskiewskiej, i razem z niemi ćma Dońców. Jenerał Różycki wtenczas wydał rozkaz cofania się na długą groblę: najprzód ruszyła stara jazda i jazda Podlaska; za niemi szósty pułk strzelców Krakowskich pieszych; artylerja stawała na pozycji przed grobelką do odstrzeliwania się, a legja Litewsko-wołyńska piesza i strzelce celni Podlascy mieli zasłaniać cofanie się. Moskale szybko następowali i rozwijali się przed lasem, a nasi ledwie zabrali się do pochodu. Jenerał Różycki zabrał szwadron legji Litewsko-wołyńskiej; szwadron który po raz pierwszy miał być w ogniu, chociaż wprawdzie składał się on z powstańców ochrzczonych ogniem wielu bitw; podprowadził ku nieprzyjacielowi, kazał rozpuścić harcowników, i przemówił:

— Tu stać, bić się i ginąć, a nie ruszyć bez rozkazu. —

Dzielni Rusini, bo ten szwadron składał się z samych Wołyniaków i Ukraińców, pomimo że nosił imię legji Litewsko-wołyńskiej, gracko się ucierali z dziesięć razy liczniejszym wrogiem. Ale Moskale lekliwi aby natrzeć na tę garstkę naszych, odłoniли swoją artylerję, i wtenczas kiedy kulami strzelać poczęli w kolumny cofające się na groblę, kilka strzałów kartaczami sypnęli do szwadronu Litewsko-wołyńskiego; kilku jeźdźców padło, między niemi młody Kaszowski mocno ranny.

Szwadron rażony kartaczami z frontu, a z boku strzałami licznych harcowników, którzy poczęli go oskrzydlać, zaczął się chwiać we fronce; potem porozrywał się i w największym nieładzie szybko się cofał; nieszczęściem wpadł na część legji Litewsko-wołyńskiej pieszej, i na strzelców celnych Podlaskich: rozbił ich i zmusił do rozmykania się na strony po za płoty.

Jazda moskiewska dopiero wtenczas puściła się w pogoń, już na gotowe rzeczy; siekła i zabierała w niewolę naszą piechotę, a popłoch i nieład wleciały do całego korpusu i z nim goniły aż do Wulki-Soleckiej.

W tych nieszczęśliwych kilku godzinach stracił korpus przeszło sześćset ludzi w zabitych i zabranych w niewolę: między temi ostatniem był waleczny pułkownik Kwiatkowski, i kapitan Hanowski. Gdyby Moskale byli gonili śmiało i szczerze, przy przemożniejszych siłach i korzystając z nieładu, byłiby zniszczyli cały korpus; ale zatrzymali swoją pogoń.

Od Chodzczańskiego lasu do Wulki-Soleckiej pułk jazdy Wołyńskiej utrzymywał tylną straż, cofając się stępą, pół-szwadronami we wschody; tylko sami Dońce szli za nami, swoim zwyczajem rozbiegając się po polach: tymczasem korpus zbierał się w Wulce-Soleckiej, i poprawiał nieład.

Kolumny nieprzyjacielskie tak były opieszale w swoim pochodzie, że nim się nam ukazały, mieliśmy czas nakarmić konie. Za ich ukazaniem się Jenerał Różycki z piechotą i starą jazdą podpułkownika Chmielowskiego pociągnął śpiesznie pod Lipsk; Karolowi Różyckiemu polecił utrzymywać tylną straż z pułkiem naszej jazdy, z dwoma szwadronami jazdy Podlaskiej, i z czterema armatami.

Od Wulki-Soleckiej aż do Lipska z milę polską ciągną się otwarte pola; na prawo widać w dali lasy, na lewo tylko jeden mały lasek przypierał do zabudowań Lipska.

Moskale szli tym porządkiem: szesnaście szwadronów dragonów i konnych strzelców w dwie linje w szachownicę, z całą artylerją złożoną z dwunastu armat szły naprzód; po skrzydlach harcownicy Dońscy rozsypali się szeroko; za jazdą ciągnęły kolumny piechoty, i jeszcze kilka szwadronów jazdy. Jazdą Jenerała Rudygiera była nie zła, ale piechota najlichsza, złożona po większej części z rekrutów Żydów. Nigdy on nie odważał się jej stawiać w linji bojowej przeciw nam, a tem bardziej nie śmiałyby prowadzić na bagnety.

Artylerja moskiewska ciągle dawała do nas ognia; myśmy się cofali stępą, w wschody; granaty pękały przed szeregiem i za ogonami naszych koni, i żaden jeździec ani odwrócił się przez ciekawość, ani przysporzył chodu koniowi. Kapitanowie Kaczanowski i Freze dzielnie odstrzeliwali się wrogowi, i za każdym strzałem naszej artylerji widzieliśmy jak się mieszały szeregi nieprzyjacielskie, i za sobą zostawiały jeźdźców bez koni, konie bez jeźdźców.

Już nie daleko Lipska, Karol Różycki rozpoznawszy dobrze siły nieprzyjacielskie, przedstawiał Jenerałowi aby przyjął bitwę przed miastem, obsadzając lasek strzelcami celnymi, usuwając działa i piechotę liniową ku miastu, na stanowiska nieprzystępne natarciu jazdy; sześć szwadronów tylnej straży

ustawić ukośnym frontem do drogi naprzeciw lasku, starą zaś jazdę z tyłu w rezerwie za linią bojową sześciu szwadronów. Nieprzyjaciel musiałby usiłować dobywać lasku; wtenczas artylerja nasza raziłaby jego kolumny, a jazda silnem uderzeniem mogłaby rozbić jazdę nieprzyjacielską i sownie powetować klęski odniesionej pod Chodzcą. Jazda nasza chociaż w liczbie trochę mniejsza, daleko była dzielniejsza od jazdy nieprzyjacielskiej. Karol Różycki sądził że to spotkanie mogło do szczętu rozbić korpus Moskiewski. Jenerał Różycki nie odważył się na to postanowienie, ale umyślił zająć stanowisko za miastem, bronić miasta piechotą, do nocy wstrzymać natarcia nieprzyjaciela, a potem cofać się w lasy.

Wskutek tego postanowienia stara jazda z podpułownikiem Chmielowskim ruszyła w miasto, za nią bagaże i luźne konie. Karol Różycki chciał ze szwadronami wziąć się w prawo, i przeprowadzić je polem za miasto; ale major Poniatowski oficer sztabu Jenerała, posłany na rozpoznanie powierzchni, dał wiedzieć że tamtędy płynie nie przebyta rzeka, i ciągną się grząskie bagna; chociaż potem dowiedzieliśmy się że tam nie było nic oprócz małego ruczaju. To nieprawdziwe doniesienie starego, a tem samem pewnego doświadczenia oficera, zrobiło żeśmy szli do miasta: po przodzie legja Litewska-Wołyńska komna, dalej jazda Podlaska, w końcu nasz pułk; piechota zaś i artylerja zajęły chwilowe stanowisko, opierając prawe skrzydło o cegielnię posuniętą ku laskowi.

Moskale znalazłszy lasek nieosadzony a widząc szybkie cofanie się naszej jazdy, klusem następywali i już pierwszy szwadron jazdy Wołyńskiej wszedł do miasta, kiedy w mieście rozległ się krzyk: nasze działa biorą! Karol Różycki przybiegł z czoła kolumny i odwróciwszy trójki od lewego, w cwał wyprowadził nas za miasto przeciw nieprzyjacielowi. Harcownicy którzy bez ładu nacierali na nasze armaty pierzchnęli, a szwadron pierwszy rozwinął się na drodze przed Lipskiem; o kilkaset kroków na prawo nas stanął szwadron Podlaskiej jazdy.

Jenerał Różycki zabrał trzeci i drugi szwadron naszej jazdy; postawił je między oplotkami, tak iż ogony końskie dotykały płotów dla wspierania artylerji; częścią piechoty osadził stodoły i cegielnię a sam na czele tyraljerów, posunął się ku nieprzyjacielowi, który już opanował lasek.

Nieprzyjaciel rozwinął szesnaście szwadronów jazdy opierając jej lewe skrzydło o lasek; odsłonił artylerję, tak ją ustawiając pod laskiem, iż jedną połową raził naszą piechotę, drugą jazdę stojącą na drodze; przytem liczni harcownicy rozsypali się na nasze lewe skrzydło, które utrzymywał pierwszy szwadron jazdy Wołyńskiej, połowa naszej piechoty i szwadron legji Litewsko-Wołyńskiej były w mieście; podpułkownik zaś Chmie-

łowski tak śpiesznie uprowadził starą jazdę, iżśmy dopiero w późną noc potrafili ją dognać. Tak tedy Jenerał Różycki nie chcąc przyjąć bitwy w porządnym szyku, przyjmował ją w największym nieładzie, stawiając bronie na niewłaściwych sobie miejscach, rozrywając oddziały jednorodne, tak iż każdy szwadron, każda kompanja prawie były poodosabniane.

Moskale widzieli ten dziwny szyk naszego korpusu, gdyż tak blisko byli od nas, że snadno mogliśmy rozróżnić kolory mundurowych kołnierzy i maście koni. Kilka razy trąbili do natarcia, po kilka razy zawrzaśli hura! a nie śmieli końmi ruszyć z miejsca; ale za to z armat tak gęsto i tak hucznie strzelali, że naszych armat ani słysząc było: służyliśmy za cel Moskiewskim strzałom, a kartacze rwały nasze szeregi.

Wtenczas kiedy w pierwszym szwadronie żołnierzy trzeciego plutonu Sobolewski padł bez ducha ugodzony dwoma kartaczami w pierś, wachmistrz czwartego plutonu Brzeziński miał rękę i nogę zgruchotaną od kartaczów. Hryćkowi Owsijcowi trzy kulki zdziurawiły czapkę, Teodorowi Myślińskiemu strzaskały kolbę z karabina; sześć koni było ubitych, a kartacze tak ryły ziemię przed naszym frontem, że kołnierze nasze białe, granatowe mundury, twarze, i konie wszystko było popielate: wtenczas Chwedko żołnierz trzeciego plutonu z uśmiechającą się twarzą odezwał się do Jana Omiecińskiego swojego oficera.

— Panie Poruczniku to dziwo że te Moskiewskie kartacze, to tak purchają jak stado wróblów kiedy się zrywa z konopi. —

To porównanie, ten pomysł w chwili kiedy śmierć latała po nad głowami, dowodziły jak daleko strach był od serca tego człowieka, który po raz pierwszy stał w froncie. Chwedko był służącym Omiecińskiego; na dwa dni przed bitwą pod Lipskiem przyszedł prosić swego Pana, aby mu pozwolił zostać żołnierzem; na poparcie swojej prośby taki dał powód.

— Jak przyjdziemy do domu, a żona i dzieci i dobrzy ludzie, zapytają: Chwedko, a co ty robił w czasie wojny? to byłoby sromno odpowiedzieć: ja jeździł za pułkiem i wodził pańskie konie, jadł, pił, a z Moskalem się nie bił. Niechże Pan tak zrobi żeby Chwedkowe dzieci i żona, mogły mówić: i nasz Chwedko był żołnierzem, bił się za Polskę; a ja jak będę żywy, to znowu Panu będę wiernie służył. —

Chwedko został żołnierzem i pod Lipskiem brał wojenny chrzest.

Jeźdźce nasi wśród huku armat i purchania kartaczy, widząc jak éma harcowników Dónców, dragonów i strzelców konnych, bezprzestannie pukając oskrzydlała nas w lewo i dosięgała miasta; wołali na Karola Różyckiego.

— Ojczy serdeczny! a nu my na nich. —

I oczy tych ludzi jeszcze lepicj mówiły, że w małej garstce pewni byli złamać wroga i przeć przed sobą na przepadłe. Ale

Karol Różycki sokołem okiem przejrzał pole bitwy i rozkazu nie dał, a szwadron stał jak mur: stary Stanisław Dunin przed nim. Ci ludzie gorącej krwi i chęci, stali się jak z kamienia, czekali na to, co Bóg da, na to, co dowódca każe.

Obok szwadronu jazdy Wołyńskiej, działa się rzecz godna uwagi. Szwadron jazdy Podlaskiej złożony z samych nowozaciężnych żołnierzy, został opuszczony przez swoich oficerów, rannych czy odkomenderowanych tego nie wiem, jeden tylko Ilowiecki podporucznik a przedtem akademik czy z Poznania, czy z Berlina stał przed frontem; żołnierze tej jazdy wołali na Karola Różyckiego.

— Pułkowniku daj nam swoich oficerów, a gdzie pójdą Wołyńce to i my tam pojedziemy, i nie powstydzą się nas. —

Karol Różycki przejechał się przed ich frontem, podoficerom kazał wyjechać przed front i zastępować miejsce oficerów, adjutanta pułkowego naszego zostawił przed szwadronem, i ta młoda jazda stała dzielnie, ochotczo.

Uny szwadron tej jazdy, był w prawo między opłotkami postawiony tam gdzie nasze szwadrony, drugi i trzeci.

Mimo silnego ognia, który trwał więcej kwadrans, lewe skrzydło zachowało największy porządek; ale na prawem nie tak się działo. Jenerał Różycki był przy tyraljerach koło cegielni, tak dzielnie strzelających iż zabijali kanonierów Moskiewskich koło armat; kilka razy dowódcę drugiego i trzeciego szwadronu naszej jazdy prosili o pozwolenie natarcia na wroga, odsłaniającego częściami swoje szwadrony, ale Jenerał nie dozwolił i rozkazał cofanie się, sam zawsze zostając przy tyraljerach.

Mimo gorliwość dwóch oficerów sztabu, Eustachego Januszkiewicza i Kajetana Rulikowskiego, cofanie to odbywało się w największym nieładzie; piechota i jazda porozrywana na cząstkowe oddziały, parła się do miasta nie koleją, ale wszystka razem chciałaby tam wejść.

Dwie drogi wiodły do miasta; jedna, wielki szlak na którym stał pierwszy szwadron jazdy Wołyńskiej; druga, drożyna wiodąca od cegielni między kręte opłotki przedmieścia. Piechota weszła na obydwie drogi, a nawet przez fosy i płoty przelażyła do miasta. Karol Różycki zatrzymał obydwa szwadrony stojące na lewem skrzydle, i kazał piechocie rozstępywać się na boki i iść przepuszczając artylerję. Trzy zaś szwadrony będące na prawem skrzydle, drożyną od stodoły kłusem weszły do miasta, i kłusem chciały one przejść, ale ulica była zatarasowana piechotą i wozami. Jazda zaś Moskiewska z kilku armatami puściła się w pogoń za naszym prawem skrzydłem.

Tam zaczęła się ogromna utarczka nam boleśna: wielu z piechoty i kilkudziesięciu z jazdy zginęło. Dziewięciu żołnierzy naszej jazdy z podporucznikiem Tytusem Starzyńskim i

wachmistrzami Witkowskim i Ostaszewskim, po wścieklej obronie, dostało się w niewolę; także wzięto kilkunastu żołnierzy z jazdy Podlaskiej. Pod Michałem Grudzińskim ubito dwa konie, kiedy dzielny ten oficer w tylnej straży, jako dowódca i jako żołnierz, odpierał Moskali. Potrafił on o tyle ich wstrzymać, że przed nim będąca jazda i piechota wyszły z miasta: on sam po stracie drugiego konia, na piechotę zdołał cofnąć się przed Moskalami.

Już Moskale byli w mieście z prawej strony, i harcownicy nieprzyjaciela, ucierający się na naszym lewym skrzydle, wpadali do miasta, kiedy Karol Różycki wydał rozkaz cofania się. Jazda Podlaska nie chciała iść naprzód żeby nie zmniejszać sobie niebezpieczeństwa: nasz dowódca nie chciał jej zostawiać z tyłu; trójkami tedy oba szwadrony szły obok siebie. Szły stępą; Moskale wyciskali się z zaułków, a nie śmieli na nas nacierać. Szable mieli powznoszone do góry, a nasi jeźdźce drzewcami spis ich odganiaли, tylko kartacze na nas sypały i wrywały z szeregów to jeźdźców, to konie.

Adam Baranowski, wachmistrz pierwszego szwadronu, z rozkazu dowódcy zebrawszy kilkunastu strzelców celnych Sandomierskich, osadził nimi domy, z których odpierał Moskali od mostku nad prawie wyschlą rzeczulką, którądy mieliśmy przechodzić.

Ledwieśmy przeszli most, rozbiegła się wieść że generał Różycki zginął, i sztabs-oficerowie różnych broni, żądali od Karola Różyckiego, aby objął dowództwo, co też on natychmiast uczynił.

Już całe Moskiewskie siły wchodziły do miasta, a prorozrywane cząstki naszej piechoty wynosiły się ztamtąd. Karol Różycki natychmiast cofające się oddziały zatrzymał, i kazał podwracać frontem do miasta. Cztery działa Frezego i Kaczanowskiego ustawił w baterje pod zubocza na lewo, szwadron legji Litewsko-Wołyńskiej postawił w obronie dział, za nim o kilkaset kroków szwadron jazdy Podlaskiej w kolumnie ściśniętej niejako rezerwę. Ta jazda w oddali od strzałów, z za wzgórza nieprzyjacielowi przedstawiała czoło licznej kolumny. Dwa działka pozostałe były przy tej jeździe; te działka były tak niegodziwe, że ich nigdy prawie nie używano, majaczały tedy, jako artylerja rezerwy. Pierwszy szwadron jazdy Wołyńskiej obrócił się plutonami ku mostowi, a pod jego zasłoną piechota formowała kolumny do natarcia. W mieście jeszcze słyhać było odstrzeliwanie się oddziałów naszej piechoty, ale już kolumny Moskiewskie wysuwały się ku mostowi.

Artylerja nasza poczęła raźnie palić na ukos do kolumn nieprzyjacielskich, a tak celnie że za każdym strzałem trupy pomostem się kładły. Jazda nasza z prawego skrzydła, rozsypana po prawej stronie rzeczulki, poczęła przechodzić i formo-

wać się za kolumnami piechoty. Moskiewskie kolumny zatrzymały się i ujrzałyśmy jak się wynosiły z miasta we wstecznym kierunku, z kądem przyszły.

U nas w bębny zabębniiono do natarcia, kolumny piechoty ochoczo z bagnietem szły na most, jazda odebrała rozkaz iść w lewo po za miasto, tą drogą którądy przeszkodziło nam iść rozpoznanie majora Poniatowskiego, a o której się przekonano, że nie miała żadnej rzeczki, tylko suchy ruczaj do przebycia.

W jednym mgnieniu oka zmieniły się położenia obydwóch wojsk: nieprzyjaciel się cofał, a myśmy szli do natarcia, kiedy się pojawił generał Różycki na czele tyralierów, z którymi był odcięty, a po dzielnej obronie dostawał się do nas. Generał serdecznie witany przez wojsko objął dowództwo, a uznawszy według siebie natarcie niepodobnem, zatrzymał kolumny. Moskale wycofali się z miasta; i jakiś czas nawzajem strzelaliśmy do siebie z armat, a potem nasz korpus udał się do dalszego cofania się.

W czasie tej ostatniej chwili, waleczny adjutant naszego pułku dostał kontuzji tak silnej, iż o mało życiem nie przypłacił. Karol Różycki był ranny lekką kontuzją w szczękę, ale to bynajmniej ani chwili nie przeszkodziło mu dowodzić. Straty naszego korpusu w tym dniu były znaczne, bo przyprawiły najmniej o stratę jego czwartej części, duch jednak bynajmniej nie upadł. Żołnierze i oficerowie ci co się bili, wiedzieli, że bitwa pod Chodzcą była nie wiedzieć po jakiemu i na co wydana; w bitwie zaś pod Lipskiem nie chciano dwa razy próbować zwycięstwa.

Nocowaliśmy o dwie mile od Lipska, a ztamtąd poszliśmy do Kunowa przez Grabowiec; Moskale szli za nami, ale bardzo wolno, i nie widywaliśmy tylko Dońskich harcówników.

Między jeźdźcami straconymi, był młody K — z Łży! nie wiedzieliśmy gdzie się podział; dopiero w Kunowie własna matka przywiozła go do pułku po raz drugi. Był on w drugim szwadronie w czasie bitwy, gnany przez kilku Dońców uciekł w las, a ztamtąd nie mogąc trafić do pułku, zajechał do matki. Ona go przewiozła między poczty nieprzyjacielskie. Łzy u niej były w oczach, kiedy stanęła przed naszym dowódcą.

— Panie pułkowniku, dalibóg mój syn nie uciekł; on tak się tem trapił, że pułku nie znalazł; o ja wiem że on by wolał sto razy zginąć, jak żeby o nim źle myślano. Biedne dziecko, to dobra krew polska. Ojciec jego to był dobry Polak, stary żołnierz, jeszcze za Dąbrowskiego. Ja mu od kolebki zawsze gadałam: Polak dla Polski wszystko powinien zrobić; bij Moskała, bij Niemca. Jak Boga kocham, on tak będzie robił, niech pan Pułkownik go weźmie. —

Matka dalej mówić dla łez nie mogła, i syn miał łzy w oczach; a kiedy pułkownik uśmiechem, słowem i uściskiem

przygarnął go do siebie, oboje jak prawdziwe dzieci płakali z radości.

Po chwili, Karol Różycki przedstawiał matce żeby zabrała go do domu; mówiąc że młody, a że waleczny to się zda na drugi raz.

— Na drugi raz, nam trzeba teraz ich pobić, jak wszyscy Polacy wezmą się do broni, to pobiją; dalibóg pobiją. A jak trzeba będzie jeszcze, to Polska znajdzie ludzi do broni, znajdzie zawsze na wroga. —

Młody K — został w pułku, a matka, co go przywiozła ze łzami w oczach, ze smutkiem w sercu; odjeżdżała do domu bez niego z uśmiechem na twarzy, z wesołością w sercu, bo to była matka Polka.

SAWELEJ.

(WSPOMNIENIA PUŁKOWE.)

Sawelej nie był ani Watażką kozaczym, ani bohaterem powstania: był to po prostu mieszkaniec Tambowskiej czy Saratowskiej gubernji, oddany w rekruty roku pańskiego 1805, na załatanie owej dziury, na jaką naraziło się Moskiewskie wojsko pod Austerlitz. Po dwudziestu trzech latach, wyrażając się terminem Moskiewskim, bezporocznej służby, najprzód w dragonach, a potem w ułanach Sanktpetersburgskiego pułku, dla dosłużenia swoich dwudziestu pięciu lat, przeznaczonym został na dieńszczyka, czyli służącego do młodego korneta tegoż pułku, Michała Grudzińskiego.

Służba Saweleja była bezporoczna, jak sam mówił; nigdy mu więcej nie wyliczano nad sto pałek na raz; jak mu oficer powiedział, w chwilach kiedy jeszcze był żołnierzem: Sawelej trzeba mi kury na rosół, albo kapłona na pieczystę, poszukaj. Sawelej w duch dostawił co oficer chciał, i pieniędzy za nie nie żądał, bo sam niemi nie płacił. A jak chłop gospodarz przyszedł z podarkiem do oficera, skarżyć się że Sawelej kury kradnie, to Sawelej kilkadziesiąt pałek dostał i nie powiedział, że oficer kradzione kury pojadał. Toż samo robił z owsem i sianem, kiedy rotmistrz wskazał w szwadronie konie na wielki post z suchotami, ale zaprawny przykazem aby były spaśniejze żołnierza, miał nieco odwagi, ozdobiony był medalami za wojnę turecką, za wojnę francuską, i za wzięcie Paryża. Więcej roku był we Francji, i tam go jedna rzecz mocno zastanowiła, i o tej powtarzał wszystkim ludziom, mniej bywalcom jak on.

— Ot Francja, święty Mikołuszka pomiluj, co to za rozumni tam ludzie, u nas to panowie płacą żeby paniczów i panielki po francuzku uczyć, a tam każdego chłopca dziecko,

jeszcze chodzić nie może, a już tak gada po francuzku jak nasi panowie; to aż dziwno, co to za rozumny naród. —

W obec swojego oficera Sawelej nie umiał tylko dwa słowa wymówić: — Co rozkażecie? — Słucham. — Gdyby oficer był kazał skakać z piątego piętra, byłby odpowiedział: — Słucham, i skoczył.

Taki to człowiek wypiastrzony i wyedukowany pałkami, dostał się na dieńszczyka do Polaka, i do dobrego Polaka; dziwił się mocno dla czego na pierwsze powitanie młody jego pan nie kazał mu sypnąć sotki pałek, jako zadatek na przyszłe przewinienia. Służył mu jednak wiernie i pocziwie przez czas kampanji tureckiej; jakby własne dziatki, hodował wiercho-we konie swojego pana; owego kasztanowatego anglizowanego Almazę, i wronego Czarnomorca.

Po wojnie służył panu jak najwykwintniejszy francuzki kamerdynier. Ponieważ pańska fantazja była, każdego rana przed ubraniem się, wypalić siedm fajek tureckiego tytoniu, a każdą w innym szlafroku i obwiązany innym szalem, Sawelej nigdy się nie zmylił; zawsze podawał po czerwonym, zielony, po żółtym, biały szlafrok; imbryki z herbatą obwijał w dziesięć serwet, żeby zapachu najsubtelniejszego nie przepuściły, bo pan w czasie kampanji dowiedział się, że tak robią Chińczycy, i tak przykazał robić Sawelejowi: a prędejbym słońce pozwoliło sobie zmienić złoty na czarny kolor, jak Sawelej zmienić rozkaz pański, bez nowego rozkazu. Pana zaś swego bardzo kochał, i zawsze mówił w kredensie przed służbą, i w garde-robie przed pokojówkami:

— Jak mój pan, takiego nie masz na świecie; sztab-rotmistrz, trzy krzyże i szablę za waleczność dostał, a wszystko jednej kampanji: a taki młody, ale chwyt. —

Kiedy nadeszło nasze powstanie, Sawelej, Moskal zabity, nie opuścił swojego pana; poszedł z nim, i jak w kampanji Tureckiej, tak w kampanji przeciw Moskalom, wodził Almazę i Czarnomorca, robił panu herbatę, jeść, i służył wierniej jak pies. Czasami wprawdzie, po odetchnięciu z Moskiewskich pałek, lubił sobie pociągnąć trochę, ale nigdy nie tracił głowy, i nie przeczył panu że pijany; tylko na wszystkie połajania powtarzał: — Słucham. —

Nie raz bywały takie wypadki.

W jednym miejscu harcownicy nasi ucierali się z harcownikami nieprzyjacielskimi, i za lada chwilę pewni byliśmy boju, kiedy Michał Grudziński zawołał:

— Sawelej, odszukaj mi czerwony sznureczek, tam musi być w jukach. —

Sawelej odpowiedział: Słucham. Za frontem rozpakowywał juki, porządnie rzeczy po rzeczach wyciągał jakby to było na mustrze, znalazł czerwony sznureczek, i przyniósł panu.

Grudziński obejrzał na wszystkie strony sznurek, i powiedział: Schowaj, a nim przyszło do boju, już wszystko było upakowane i juczny koń uprowadzony w bezpieczne miejsce.

Podobne wypadki odnawiały się bardzo często; niemi Grudziński utrzymał Saweleja w porządku i karności.

Po nieszczęśliwym końcu wojny, Sawalej w Galicji, chociaż był przy swoim panu, używał wielkiej samowoli; tak mu to było niemiłym, tak się ztęsknił za pałkami i za służbowym rygorem, iż jednego dnia czy nocy, nie powiedziawszy panu nawet bądź zdrów, porzucił go, i poszedł na Ukrainę; nie zabrał jednak z sobą ani złamanego szeląga, nienależącego do siebie.

Nie doszedł do wioski swojego pana; w drodze był złapanym i zaprowadzonym do Żytomierza. Tu dopiero żał mu się zrobiło za panem.

Przywiązanie ku panu wlało mu spryt do głowy i rozwiązało język: i kiedy go stawiono przed jenerał-gubernatorem Lewaszowem, postanowił uniewinniać swojego pana, i tak się przed nim tłumaczył:

— My byli z moim panem w Kikiszówce, za pozwoleniem pułkownika; pan wziął z sobą kilku ułanów dla bezpieczeństwa: my sobie cicho siedzieli, kiedy przyszła wiadomość że w Warszawie wojna; aż tu niezapawem gadają, miateżniki na Podolu, miateżniki na Ukrainie; mój pan do mnie mówi: Sawalej, trzeba jechać do pułku i bić miateżników; żeby bezpiecznie zajechać, wsadzimy ułanów na koń, weźmiemy najtęższych chłopców dziesięciu z Kikiszówki na koniach, i tak pojedziemy dziś w nocy; a ja odpowiedział: Słucham, i wszystko przygotował do drogi.

W nocy wyjechaliśmy z Kikiszówki, ale jeszcze nie dojechali do Fredrowa, kiedy tu od Bystrzyka napadli na nas jacyś ludzie z krzykiem: Bić, wiązać! To był starszy panicz z Terechowy, co to żartować nie lubi; mój pan chciał się bronić, ale ja pokazał że tam ich było nieprzeliczona moc, tak my i musieli z nim jechać.

Panicz z Terechowy powiedział do mojego Pana: ty służył w wojsku, stawaj i komenderuj; a oczami pogroził, że jak nie to zabije. I mój Pan stanął i musiał komenderować.

Tak my przyszli aż w lasy; tam zastali Pana Różyckiego. To to gniewliwy człowiek! jeszcze gorszy jak Panicz z Terechowy, a jak powie: tak chcę, to i tak musi być. On zaraz zakrzyczał: ty Grudziński będziesz komenderował drugim szwadronem! wy ułani, będziecie z moimi ludźmi bili Moskali! I tak być musiało: a sporzyć o co nie było, bo w lesie drzew co niemiara, i o postronek nietrudno.

Poszli my i szli; pod Cudnowem zdybali naszych taki Carskich żołnierzy, a Różycki krzyknął bić i my poskoczyli, bili i

pobili taki naszych; przyszli pod Mołoczki, i znowu bili naszych, przyszli pod Tyzyce i tam taki naszych pobili. Weszli do Królestwa Polskiego jak oni nazywali, i tam znowu na miazgę pobili naszych. Ciągłe bili i bili; aż dziwno!

Pan mi mówił: Sawelej, biada nam, my bijemy naszych; już nam do Cara nie wracać: a jak to mówił to aż płakał, łzy mu stały w oczach, tak żałował Cara.

Potem my przeprawili się za Wisłę, i tam miateżników poumierali jak żołnierzy w mundury, i mój pan musiał się ubrać w ich mundur; i znowu my bili naszych.

Jednego dnia pan mi powiedział:

— Słuchaj Sawelej! trzeba by temu koniec położyć, trzeba by ztąd się wymknąć i wrócić do Cara; uciekaj ty naprzód, jak sobie się uda to i ja ucieknę. —

Ja poszedł, ale u tych miateżników, to tak: tu wedeta, tam pikieta, jedna koło drugiej jak plot; na brzuchu ja pełzał, a tu mnie cap za kołnierz.

— A szelma ucieka! — i poprowadzili przed Jenerała Różyckiego.

Ten Jeneral Różycki, to nie ten Różycki co z nami wyszedł z pod Cudnowa; maleńki, raby, oczy jak u kota, a zły jak gadzina. Nic więcej nie gadał tylko: powiesić, zastrzelić! Jak tylko mnie przyprowadzili, tak jeszcze nie dosłuchał o co rzecz idzie a krzyknął:

— Powiesić szelmę! zaraz, zaraz. —

Wtenczas mój Pan do pułkownika Różyckiego, zaczął jego w ręce całować, i prosić żeby mnie wybawił. Pułkownik poszedł do Jenerała, jak mu nagadał, naprosił go, tak on żeby się odczepić, krzyknął:

— Weź go sobie do diabła. —

Mnie nie powieszono, a pan powiedział: — No my już teraz nieszczęśliwi, Sawelej, nawet uciec nie można.

Znowu chodzili po Polsce i bili naszych, aż nareszcie przeszli Wisłę i szli do Galicji w Cesarski kordon: tu pan do mnie rzekł:

— Sawelej, mnie już nie ma co wracać, mnie nikt nie uwierzy; ale ty wracaj, Car dobry, tobie daruje; ty nie winien. Jedź Sawelej; mnie już trzeba gdzieś umrzeć. I Pan tak płakał jak dziecko, i ja płakał. —

Sawelej tak się przejął swem zmyślonem opowiadaniem, że płakał jak bóbr przed Jenerałem Lewaszowem, i ledwie mógł zakończyć.

— Ot i ja przyjechał, a mój biedny Pan tam, biedny Pan! —

I temi słowami związał sobie na nowo język; bo odtąd na wszystkie zapytania Jenerała Lewaszowa odpowiadał:

— Co przykażecie?

— Słucham.

Nawet pałki i kulaki oficera przeznaczonego do ciągnięcia, indagacji nie potrafiły ani jednego słówka więcej wyciągnąć.

Wskazano biednego Saweleja na wieczną służbę w bataljonach sybirskich: on wyprostował się, oczy jak w tęczę wlepił w oficera co mu czytał wyrok, i gromko wymówił:

— Słucham. —

Ten człowiek liczący do sześćdziesięciu lat, po dwudziesto-pięcioletniej służbie dwóm Carom, wśród zamieci śniegowych, kopał się w płaszczu rekruckim, a dozorca w kozuchach, na koniach gnali go jak bydlę jakie, i on nie szemrał, nie opierał się ich woli, tylko powtarzał:

— Słucham. —

Za Permą padł na szlaku pocztowym i podnieść się nie mógł. Doniec jadący przy przestępcach, pociągnął go kilka razy nahajem, on oczy podniósł do góry, ostatni wysiłek zrobił żeby powstać, wymówił:

— Słucham. —

I z tem słowem życie w nim zamarzło. Zawarły się oczy, skościła ciałą; z rozkazu starszego Dońca, współtowarzysze zrzucili z drogi w śnieg ciało Saweleja, i zdawało się że członki zmarzniete chrupnęły we wstawach rozgłosem podobnym do:

— Słucham. —

O bogdajby to — słucham — doleciało było do ucha Cara Moskwy, i on by może powtórzył:

— Słucham. —

MAKSYM SZTROC.

(WSPOMNIENIA UKRAIŃSKIE.)

Roku tysiąc ósmset jedenastego już w chwili kiedy wojna Moskwy z Francuzem była postanowioną, w Ekaterynosławie podówczas Małorosyjskiej stolicy, na rozkaz Cesarza Aleksandra zebrało się mnóstwo Ukraińskich obywateli. Rzec chodziła o to aby Ukraina uformowała nowe kozackie pułki do służby Moskiewskiego Cara: Witt, Obolańscy, Zawadowscy, i inna im podobna młodzież Ukraińska, zapaskudzona Moskiewskimi uczuciami, nazbiegała się z patentami na pułkowych dowódców, a od obywateli chciano aby synów swoich i dobytki poświęcili na tworzenie tych pułków; w nagrodę zostawiono im miano Kozackie.

Między temi obywatelami był Igor Zagrajski ze swoim szwagrem Maksymem Sztrocem.

Na niemiecko przezwanym dla tego iż takim był pronozą, że i samego djabła wprowadziłby w pole i oszukał.

Zagrajski z siostry Sztroca miał czterech synów dorodnych i czerstwych jak Ukraińskie dęby, a takie czmuty, że w całej okolicy gadano: — To djabyły nie chłopcy, znają się między sobą i z ojcem jak łyse konie, a kiedy kto wlezie między nich, to tak mu będzie jak palcu w odźwierku kiedy go przymkną.—

Sztroc nigdy żony nie miał, ale pamiętał bardzo dawne czasy, był Zaporozcem i to w starszyźnie za Kałdyszewskiego którego powszechnie zwano Kałdyszem; nie jedną czarkę wódki przepił z Żeleźniakiem; nie raz, nie dwa, hulał po stepach za wilkami z Nekrasą; był przy oblężeniu i zniszczeniu Siczy i tam dziwy dokazywał, jak o tem nie on sam, ale Kozackie kroniki powiadają. Na starość osiadł przy siostrze, i układał do konia i do spisy małych siostrzeńców jak wyźłów do pola, a powiadał jeżeli z nich nic nie będzie, to w Zagrajskim Igorze musi być krew niemiecka, albo do ich natury musiała się

wkraść natura niemiecka. — Sztroc jako prawdziwy Kozak, Niemca jak gadziny nie cierpiał, a z Moskalem miał na zębie. Ile razy sobie więcej okowity pociągnął jak potrzeba, to wasa pokręcał i mrucał: Żeby Bóg dał Moskala w szory ubrać — co znaczyło w prostym zwyczajnym języku, oszabić, czyli na dudka wystrychnąć — to by potem i Sicz się odbudowała, i Król Jegomość Polski, pan nasz miłościwy wzięłby Rzeczpospolitą za łeb; my by z Kosza młodców dostarczyli i z serca dopomogli.

Sztroc w swoim rozumie tak kmetował, że Król Jegomość był gospodarz Polski, ojciec narodu, co ład i sprawiedliwość wszędzie sprowadzał; a Rzeczpospolita to była zbierana drużyna z krnąbrnych panków, z Jezuitów których zwał Wyzuwitami, z całej psiej niemieckiej, cudzoziemskiej zgrai i z Żydów. Zdało mu się że jakby jednych powypędzać, powywieszać, innych ujeździć i trzymać w dobrej ryzie, toby Polska była gospodarną u siebie, a potężną dla sąsiadów. Do tego jak mniemał Sztroc nie trzeba było tylko samych Polaków ale z Królem Polskim. Taki był Pan Maksym Sztroc.

W najokazalszym zajezdnem Ekaterynosławskim dworze, u Marszałka Czorby zebrali się obywatele Ukraińscy; byli tam Konowalscy, Neczaje, Czernik, Rajewscy, Humańce, Wasilewscy, Krasowscy, Żurbowie, i siła innych. Największa część w staropolskich strojach przybrana, i staropolskim obyczajem na zachęcenie do narady zastawiano butelki z winem i z miodem; choć gospodarz znający swą powinność przynuki używał, nikt nie dawał się prosić dwa rasy, pili i radzili.

Sztroc zeszczerzył wasy.

— No Czort by jego matkę porwał, trzeba Moskala w szory ubrać; bo jak my jego nie ubierzemy to on nas ubierze.

— Ba, a jakże my jego ubierzemy?

— Jak wielkie dziwo, nie taki to straszny wilk jak się zdaje. Już ja raz był ubrał Moskala w szory i tak że się on ani spostrzegł.

— A jakże to było, i kiedy? opowiedz nam.

— Było to już temu dawno — już temu trzydzieści siedm lat z górą; ja nie taki był dziad jak teraz. Nekrasa figla Moskalom zrobił, taj ich wyrzwał z kilka tysięcy, ale jeszcze ich zostało i ci przyszedli pod Sicz. My przychodzimy do Koszowego: a co ojece na nich? A Pan Koszowy ztchórzył jak trusia, i starszyznie nie bardzo chciało się brać do szabli, chcieli rzecz słowem zagodzić, jakby to było można, albo tak było dobrze robić. Ale Nekrasy nie było i z nim co lepsze Atamany Kurenne wyszli, a między tymi co zostali wozdżili rej Czepiha i Hołowaty, taki na niemiecki kamień szelmy. Jak zaczęli zwodzić, korowodzić tak i dokazali że Koszowy ich wysłał do moskiewskiego generała z powitaniem. Generałowi tego i potrzeba było:

zaraz przyjechał z uszanowaniem do Pana Koszowego. Był to Węgier Tekieli, jak dziś go pamiętam, cienki jak glista, jakby jedną kiszkę miał w całym brzuchu; a tak się prosto trzymał, jak gdyby połknął żelazny stępel i nie mógł go strawić. Oczy mu jak cybule na wierzeh wylaziły, a ciekawy złodziej, jak krak patrzył na wszystkie strony — twarz miał jak burak czerwona i kameryzowaną jak podgardle indyka, a nos jak surowa kartofla, i ciągle w niego pchał tabakę jak w makrę; taka to była psia wiara.

Słych mówił, że się w swoim kraju urwał od szubienicy, i uciekł do Carycy Moskiewskiej; swój ze swoim się zwąchał; ona obwiesia zaraz zrobiła jenerałem, i dała mu swoich moskali żeby ich wieszał, zabijał, bił i robił co mu się podoba byle dla dobra jej służby.

Takiego to ptaszka Pan Koszowy przyjmował w Siczy, srom ludziom powiedzieć; ten obwieś zasiadł z nami, ze starszyzną do uczyty i jemu przed panem Koszowym podawano w korytach dębowych jak to u nas zwyczaj i Salamachę, i solone sudaki, i kurkę, i lina, i świninę, i śliwki. Kręcił nosem od czosnku, a wszystko tabakę niuch, niuch, niuch, przelykał sudaki jak łykawa szkapa, ale jadł i pił, bo chciał sobie nas przyhołubić a myśmy go uprzejmie traktowali: bo to kozacy zwyczaj jak zaproszą parszywego psa, albo żyda parcha; albo nawet Cesarzkiego niemca z kordonu do chaty, to jeszcze go nie nahajem, lecz chlebem i solą trzeba ugościć. Huncwot jednokiszka tak posmarował łapy Czepiże, Holowatemu i innym, niech im tam w piekle djabeł smolnemi karbowanicami i łapy i gęby parzy, że zaczęli gadać: Trzeba zgody z Carycą; to nasza jednowiarka, lepiej z nią jak z Lachem katolikiem, albo z Bisurmanem. Wszędzie było pełno tych krzyków, a Pan Koszowy w miejscu krzyknąć: Na koń, za pisy, taj na wroga, i tym sposobem gęby zamknąć — zwołał naradę, jakby to Zaporozże była Rzeczpospolita Polska. — Tfu — — splunął.

— Jak ja wam mówiłem wtenczas byłem młody, przyzedłem do Pana Koszowego i pokazałem mu nahaj.

— Ojciec koszowy ot narada, kto posłucha to dobrze, kto nie, to temu w skórę korbaczem zagadać; wszak tu idzie o dobro, o wolność Zaporozża.

Ojciec Koszowy siedział już jak sowa nadęty; oczy mu posołwiały a z ust ślinił, przed nim stał kufel z wódką i czarka. Zabelkotał:

— Synu napijmy się, na frasunek dobry trunek, jakoś to będzie.

Myślę sobie, w tę Pan Koszowy gra, napił się, i poszedł, bo z opojem taj z durniem nie ma co robić, lepiej się rozejść, jak zdybać.

Poszedł ja po kureniach, a i tam piją; panowie Czepicha i

Hołowaty i groszy i wódki hukiem rozdali między młodców. Ja im gadam: Moskal pod nosem, a oni mnie: Panowie starsi, za nas patrzą i radzą. Ja im mówię: Caryca gorsza Bisurmana, chce nam jak braciom Lachom zalać sadła za skórę, jak swoich moskali wziąć pod knut. A oni mnie: Kto nam dobrze życzy, temu Pan Bóg dobrze daje, a kto źle, tego niech Pan Bóg karze. Podumał ja sobie: kiedy już tak Kozacy na samego Boga się zdają, a sami nic nie chcą robić, to na lichą godzinę przyszło; bo i Pan Bóg powiedział: rób człowiecze ja ci dopomogę; a kto próżniak tego djabeł bierze w swoją opiekę. Sumno mi było, tak jak człowiekowi co od świtu do ciemnej nocy nawłóczył się z chartami po stepach, a ani koszlawego zajęcia nie zdybał nawet.

Tu Sztrac lyknął wina, obtarł wąsy i dalej mówił.

Wtenczas zacząłem kmetować i wykmetowałem; nie ma rady trzeba Moskala ubrać w szory. Przyczepiłem się do tych co szli z pozdrowieniem do jednokiszkiego, i poszedłem. On nas uczciwie przyjmował, dał napoju i jadła, ale na talerzach, i każdemu z nas darował po tuzinie talerzy, wszyscy brali i dziękowali, a ja nie chciałem, tylko do niego przemówiłem.

— Choć waszcé jesz z bluda
Masz się z chuda —
A my ohoć jemy z koryta,
Mamy się do syta.

Psiawiara tak się tem udobruchał że mnie zaczął nazywać swoim kochanym przyjacielem, Strocuniem.

Na drugi dzień ruszył ja do głowy po rozum, przyszedł do niego.

— Jaśnie Wielmożny Jenerale teraz czas ryby łowić, a jak my nie połowimy, to pozdychają, żal się Boże.

— To łowcie rybę.

— Jak tu łowić: w samej Siczy nie masz, a za Sicz ani rady wyjść. Jaśnie Wielmożnego Jenerała ludzie, jak do kaczek by strzelali.

— Ja każę dać przepustkę.

— To ja o to przyszedł prosić, ale sam jeden człowiek nie robi.

— Za jedną przepustkę z całą kompanją możesz pójść.

— Ale ja by prosił Jaśnie Wielmożnego Jenerała o dwadzieścia takich przepustek.

— A to na co.

— Bo to u nas tak, jednemu mówiła matka; nie wychodź z domu o północy bo będzie licho, drugiemu; wychodź o północy, a zawsze ci będzie szczęście. Temu znachor powróżył że mu dobry ranek a zły wieczor, a tamtemu że mu dobry wieczor a zły ranek. Jednemu kiedyś tam koń zakulał jak wyjeź-

dzał o południu to i za nic nie pojedzie o tym czasie. Innemu kochanka nie dopisała, a wyjechał z Siczy o świcie. I takim sposobem każdy ma swojego mularza co go szmulara. Ludzie rozumni gadają to zabobon, a to prawda; dla tego my z jednej kompanji nie wszyscy możemy o jednej godzinie porzucać Sicz. —

Rozśmiał się i kazał mi dać dwadzieścia pięć przepustek.

Tejże samej nocy dwadzieścia pięć kompanij, a w każdej było najmniej sto ludzi, wyszło nie na ryby; ułożyłem się z nimi żeby z tyłu Moskałom pieprzu napędzić. Oni poszli to do Nekrasy, to do braci Lachów.

Na drugi dzień znowu wyrobiłem trzydzieści przepustek; i tak dalej, że z całego kosza w Siczy nie zostało więcej nad tysiąc kilkaset ludzi i to po większej części starszyny. Czepiha z Hołowatym z językiem polecili do Jednokiszkiego; ja wtenczas właśnie byłem, dla siebie brałem przepustkę.

Tak się psiawiara rozgniewała, że przyskoczył do mnie, i po moskiewsku i po madziarsku i po niemiecku łajał; ale bić się nie poważył, bo ja ścisnął palce w kulak, na znak że jak go zamaluję, to się już nie podniesie: kazał mnie wziąć pod areszt.

Czepiha do mnie przyszedł i prześmiewał się.

— Ha Sztracuniu! ubierał ty Moskale w szory, a teraz i ciebie ubiorą. —

Ja mu odpowiedziałem.

— Nie mów hoc, póki nie przeskoczysz; bogdaj tak nie było, a mnie się zdaje, że nieprędko wyłabudacie się z Moskiewskich szorów.

Tekieli wszedł do Siczy, wszystko zabrał, zniszczył, a dla siebie tyle nakradł, że potem stał się wielkim panem. — Ostatki młodców z Czepihą i Hołowatym pognano nad Kubań rzeką, gnać Czerkiesa czort wie za jakie imię. — Ojca Koszowego zawieziono do Moskwy i on tam się zapił. Nekrasa nie przyszedł, bo go drugi taki psiawiara jak Tekieli, jakiś francuz Balmain parł nad Dunaj; a bracia Lachowie zwyczajnie Rzeczpospolita, radzili, krzyczeli, między sobą się tuzali, a nic nie robili; my i Lachy pojedynczo się wadziliśmy, a Moskał nas brał za łeb, a Niemce pludry zaczęli nas w szory ubierać. Zła godzina przyszła na Polskę — przygryzł wargami i zamikł.

— A z tobą co się stało.

— Jak niedźwiedzia Moskale wdzili za sobą; ale jak to mówią; co ma wisieć ta nie utonie, uprzykrzyło się im wodzić, a ja im nie chciałem służyć, taj wypuścili. I już od tego czasu burłakowałem sobie między wami.

— Ależ bracie Sztrac, żebyście wszyscy byli siedzieli w Siczy, Moskale nie śmieliby wejść do niej.

— Co tam bajacie: byliby wszystkich zapędzili nad Kubań rzekę, a tak przynajmniej jest Kozaczego kwiatu po całym świecie. Ot napijmy się. — I w szklanki nalewał, chrząkał, spluwał, widno chciał zagadać, albo zapić to powiedzenie, tak ono mu w sęk trafiło.

Wszyscy to dobrze zauważali, ale ponieważ mieli pewien rodzaj zachowania względem starego Zaporozca, nie chcieli go frasować, stary Czernik się odezwał.

— Ale jakże my teraz ubierzemy Moskala w szory. —

Sztroc poprawił wąs.

— Jak? ot tak: tworzyć pulki i to jak można najprędzej. Kiedy już będą gotowe, nie czekając dalszych rzeczy, wszystkich Moskiewskich czynowników i oficerów wywieszać, a choćby nawet i wydusić, potem zaraz Atamana wybrać i krzyknąć na Lachów: Nu panowie bracia, postawmy na swoim czele króla i bądźmy Polską.

— A jak Lachy nie zechcą, bo oni coś jedni z Francuzem, a drudzy z Moskałem trzymają.

— Bajbardzo pytać się ich czy zechcą, czy nie zechcą; gdybyśmy im przychodzili szeptać na ucho, albo podjudzać, to nie mówię, ale kto rusza z szablanami i ze spisami i bije wroga, a myśli że ludzie co siedzą w domu nie pójdą tam gdzie on zechce, dla wspólnego dobra, to wielki safandula; starzy ludzie mówią: durny ten co prosi, kiedy może kazać. Bogiem a prawdą rzekłszy, Panowie Lachy przyzwyczaili się jak cygani po świecie włóczyć, przy cudzym ogniu chcieć nie sami swoją pieczeń piec, ale żeby ją im upiekli; to też my ich oduczmy od tej cygańskiej nawyczki.

— Trudna to rzecz, trudna! sejmiki to im wlażyły w głowę: wołają krzyżeć, wrzeszczeć jak co robić; jakbyśmy tylko co zrobili, toby oni skonfederowali się i uciekli z kraju.

— Kiedy kogo nie ma rady zatrzymać, to czort go pobierz; niech jedzie gdzie chce choćby do Niemca, wszystkich ludzi i ziemi z sobą nie zabierze, jak się dobrze zrobi, a powróci, to wtenczas my mu powiemy: ruszaj z Bogiem Panie bracie, kto nie chciał dołożyć pracy, to i nie będzie jadł kołaczy. My też na nic nie zważajmy a róbmy. —

Stary Czernik pas poprawił.

— Ubierajmy Moskala w szory — ale patrzmy żeby on czasem nas nie ubrał, to psiawiara. —

Postanowiono tedy oszwabić Moskala, ale Moskal nie spał. Pułkownicy nasłani z Petersburga przez kobiety, a żydzi przez służbę, bo to plugastwo wszędzie się urodzi gdzie go nie posiejesz, byle tylko chodziło o zysk jaki, dowiadywali się o wszystkim. I wtenczas kiedy Maksym Sztroc, sznurkował po Ukrainie, przebijając rękę i zapijając mohorycz z panami bracią o postawienie Kozaczyzny, w Petersburgu na kozaczyznę kartowano.

Tworzenie pułków szło dosyć sporo i już pod jesień ośmset dwunastego roku wszystko było na wylocie, tylko niewiadomo dla jakiej przyczyny, rząd Moskiewski tak porozrzucił stanowiska tych pułków, iż dostać się od jednego do drugiego trzeba było gonić kilka dni, i to dobrym Ukraińskim koniem; jeden stał w Machnówce, a drugi w Czehrynie, trzeci w Ekaterynosławie, a czwarty w Puławie, i drugie cztery tak samo; jedna dywizja zwała się Kozakami Ukraińskimi, druga Bohskiem.

Na wsi u starego Zagrajskiego zebrało się kilku przedniejszych sąsiadów: był to dzień w którym czterej jego synowie odjeżdżali do pułku. Matka kazała przygotować sutą ucztę na ich pożegnanie, a Pan Maksym Sztroc przywiózł dwie ważne wiadomości; pierwsza że Cesarz Napoleon wzięwszy Smoleńsk, rusza wprost czy na Moskwę, czy na Petersburg; druga że armja Moskiewska zajmująca Multany i Pobereże, odebrała rozkaz pochodu na Litwę, Białoruś i to śpieszno — Sztroc zaciął ręce.

— No teraz czort by ich porwał; damy im fernepiksu, jak tylko przyjdzie ta sarańcza Czezagowa, to Ukraina będzie sobie mogła pohulać jak zechce, a jak zaczniemy ich prażyć i ztąd i zowąd to i sprażymy. —

Czernik się uśmiechnął.

— Coś widzę że brat Sztroc na polityka zakrawa; mnie się widzi że jak my bardzo na rozum zaczniemy brać, to Moskali w szory nie ubierzemy. Ot tak, teraz nie czekając co będzie zahulajmy.

— Zgoda i na to, ja nigdy nie odkazywał się od rady, co mówi bić a nie czekać; ale trzeba przynajmniej dziesięć dni czasu aby można zwąchać się między sobą.

— Dziesięć, to za dużo, żeby no nam jaki klin przez ten czas nie zabili; panie bracie wiesz, że na tym świecie jak idziemy spać, nie wiemy czy nazajutrz z rana się przebudzimy.

— Nie — prorokuj Wasze, bo czort ciebie weźmie, jak się nam nie powiedzie, wiesz że kiedy nie można będzie po koniu, po hołobłach damy hartu. —

Wzięto się do roboty, ale pod złą godzinę. Czernik swoją przepowiednię zrobił, bo nim stary Sztroc dojechał do Ekaterynosława, ukaz Cesarski nakazał Kozackie pułki szwadronami porozdzielać do rozmaitych pułków Moskiewskiej jazdy, co zostało natychmiast uskuteczniłem, gdyż armja Czezagowa weszła na Ukrainę i dopilnowała owego rozebrania Kozackich pułków. Jak stary Sztroc przyjechał, nie zastał już kozaków, a natomiast widział w mieście oficerów snujących się w ulańskich

kurtkach, gdyż tenże sam Cesarski ukaz polecił, aby pozostawiać kadry z kozacych pułków na utworzenie dwóch dywizji ułańskich: Ukrainńskiej i Bohskiej. Pozostawiano zaś samych dowódców pułkowych z oficerami, na których wierność Cesarz Moskwy mógł na śmiało rachować.

Szroc dowiedziawszy się o wszystkim, djable nosem kręcił, a do wusa ni razu ręką nie sięgnął.

— No szelmy Moskale przybrali nas w szory i to w kuse. —

Później, później, kiedy na starego Szroca przyszła licha godzina: śmierć już niezartem wołała do siebie; po spowiedzi i ostatniem namazaniu, za życia oddawszy co należało Bogu, powstał na łożu i tak przemówił do ludzi.

— Panowie bracia, jak przyjdzie czas, nie łamcie głowy żeby Moskala ubrać w szory, ale mało mówcie, a wiele róbcie, i nie dajcie sobie przybierać w szory czy kuse, czy długie. —

Wszyscy na pociechę umierającemu odpowiedzieli.

— O tak, tak będziemy robić. —

A on w skonaniu jeszcze powiedział:

— Róbcie, a Bóg wam dopomoże. —

ZIMOWA NOC.

(WSPOMNIENIE Z HALCZYŃCA.)

Błogie to życie na wsi; z dala od hałasu świata, w gronie rodziny i kilku dobrych przyjaciół, człowiek żyje życiem szczęsnem, a jeżeli niem wówczas poniewiera, to przyjdzie kiedyś chwila że wspomnienia o niem będą mu najdroższym urokiem, najczarowniejszą zabawą. I wtenczas, kiedy myślą niże te wspomnienia, poklaski ludzkie, szkalowania ludzi, wszystko, wszystko mu obojętne, puste. Radby świata opowiadać te wspomnienia, i nie frasuje się tem, czy to świat nudzi, czy śmieszy, bo jemu się zdaje kiedy go to bawi, to i wszystkich musi bawić.

I mnie się tak zdało. Z towarzyszem lat młodocianych, z najlepszym moim przyjacielem, gadaliśmy o tem życiu, które za nami zostało, o jedynaście lat z górą, i do którego może nie powrócimy nigdy; gadaliśmy o jednej zimowej nocy, i mnie wzięła taka chętka do pisania że rady sobie dać nie mogłem. Siadłem i pisałem myśląc: piszę dla siebie i dla Jana Omiecińskiego. Kto długo pisał dla czytelników i krytyków, temu niech choć raz będzie wolno pisać i drukować dla siebie i dla przyjaciela.

Było to roku tysiąc ósmset dwudziestego ósmego, czwartego Grudnia; śnieg był za kolana, wiatr mroźny dał od północy, a zawieja suchym śniegiem hulala w powietrzu; zdało się że cała jazda djabła wsiadłszy na wichry rozharcowała się po nad ziemią; ani nieba, ani świata Bożego nie było widać; a my tylko cośmy z koni zsiadli. Byliśmy na polowaniu z chartami; dzień był szczęśliwy, uszczwaliśmy ośm zajęcy, trzech lisów i jednego wilka; stary Janek na całe gardło okrzykiwał rapsod myśliwski.

— Tylko cośmy przejechali Tatarskie mogiły, kiedy ja spojrzeć: popisano po śniegu, przypatrzył się wilk, a taki łapacz ja-

kiego nigdy na życiu nie widział, dalej ja kometować; przeszedł drogę od Żurbiniec, a brzuchem śnieg garnie, objadł się psiawiara, pomyślał ja sobie; daleko nie pójdzie, tutaj gdzieś zalegnie. Czapkę na harapnik wsadził i wzniosł do góry, i świstnął, tutaj Panowie. W duch wszyscy przybiegli; nas było sześciu a tylko trzy charty; płowy Dolot, ruda Błyska i siwopstrokaty Hulaj. Prawda że to były dobre pieski, ale to wszystko Pan Topczewski winien; ja mówiłem, teraz wilki się włączą, weźmy z dziesięcioro chartów — a on swoje: co tam tobie w głowie wilcy, nie bierzmy tylko trzy na co ich u licha więcej, żeby psuli zajęcze skórki, a potem Abramko i po złotemu nie zechce dać za skórkę. I nie wzięli tylko trzy charty, i ani spisy, ani kordelasa, ani strzelby, tylko z gołemi rękoma, bo cóż to na wilka harapnik, taj nożyk do obrzynania skoków. Ale już nie było rady, piwo przed nami nalane trzeba było wypić: ja do nich zagadał.

— Panowie, choć wy Panowie, czort by wszystkie wilki rznął i zarznął, róbcie praworno, a tak jak ja każę, a będzie nasz wilk. Bodaj ja tak do domu zajechał i moje dzieci oglądał, bo inaczej trzysta by djabłów piekło i zapiekło tego duszę, kto pokpi sprawę. Ja pojedę tropem, a wy zajeżdżajcie z daleka i patrzcie na mnie, a jak wilk się pomknie, to krzyczcie a końmi tuż na niego; rękami, zębami łapcie, przysięgam Bogu nie uciecze. —

Wjechaliśmy w Sołotwińskie brzeziny: idzie a idzie a wszystko do Kodeńszczyzny, tam ma wagę; skręcił w lewo do halego błota, harapnikiem skinąłem na Panów i oni obskoczyli błoto do koła: wjechał ja w komycz, aż tu w śniegu przedemną leży, a taki wielki jak nazimek, ja krzyknął: huż! a tu psiawiara huż; schwycił się i popatrzył na mnie, ja koniem na niego.

Tu jego pieski — huż! huż! — hutiu, hejże, ha!

Strybnał, śniegiem pomiótł za sobą, charty za nim, a Pan Jaś Dłuski na Kuczerawcu w oczy jemu sunął, i na kempinie z koniaką przewrócił się koziołka, tylko śnieg się zakurzył; ja krzyczę: Trzymaj za ogon. Gdzie tam psiawiarę zatrzymać, jak sarna sadził, wyskoczył z błota, a charty za nim, jak pijane przewracają się po kempinach. Ale tu Pan Omieciński na Kicie, a Pan na Kadecie, jak przypuścili, tak i drogę jemu przebiegli: huż! huż! i zbili jego na nas z Panem Topczewskim; a tutaj i Dmytro z chartami przybiegl i Pan Dłuski za nim.

W duch Dolot jak palnął piersiami, tak wilk trzy razy młynka się przewrócił, a Błyska jego za szarawary jak pijawka się uczepiła, i Hulaj do karku się przysuwa. My końmi tuż, tuż.

— Nu pieski pracujcie, pokażcie dzieło, tu jego huż, huż. —

Dolot jak urźnie drugi raz piersiami, tak wilk o ziemię; ale wnet się porwał i pod brzozą siadł, a wyźwierzył się na

charty; oni jemu w oczy skaczą i szaczą i szarpia: ja wtenczas do Dymitra.

— Synu z konia, taj na psiawiare i za uszy jego — a on chwacki chłopiec, zaskoczył koniem za brzozę, z konia taj na wilka i tak go schwycił za uszy że aż mu palce wkłęśły. Wilk szamocze się, zębami klamsa, karku powrócić nie może, a charty rwa. Ja z konia, taj nożykiem oczy psiawiarze powykluwał, a potem smyczą na petelkę szyję ścisnął i do brzozy uwiązał, a krzyknął.

— Puszczaj synu.

Puścił, wilk targał się, panowie strzemiona z pośliskami poodwiązywali, my z Dymitrem kije powyłamywali; jak wszyscy zaczęli ćpić wilka, a charty rwać: tak i na śmierć uchoździli psiawiare, aż czarno było na ziemi, tak zharcowali pole, a kiedy wilka troczyli do konia, to aż koń stękał; pogrzebowe pili, a tak było gorąco jak w Lipcu: no chwala Panu Bogu czort porwał psiawiare.

O zajęcach i lisach ani gadał Janek. Dmytro się panoszył jak Watażka kozaczy, kiedy do czapki dostanie czapkę pióro, a drugi kozak Sak dąsał się, czemu jego w ten dzień nie wzięto na polowanie.

My w pokoju gdzie przyniesiono owego wilka i lisy i zajęce opowiadaliśmy kobietom myśliwskie czyny, a jeden od drugiego wydziwiał dziwniejsze rzeczy. Ignacy służył do herbaty, lewą ręką wziął się w boki, na nasze gadanie głową kręcił, i pomrukiwał tak że wszyscy słyszeli.

— Już ci to, to nieprawda. —

Ignacy był to stary sługa mego ojca; mnie niańczył dziecięciem, jeździł ze mną do szkół; jemu wszystko było wolno robić i gadać, co mu się podobało.

Zaledwie zaczęliśmy pić herbatę, aż tu przyjechał gość po raz pierwszy widziany w Halczyńcu: był to Pan Sędzia Duszyński już sześćdziesięcio-letni mąż, z synem mającym dwadzieścia kilka lat. Zawieją zagnany do wioski, szukał gościnności: wnet ugościliśmy go herbatą, i myśliwskiem opowiadaniem.

Pan Sędzia nie był myśliwym, ale chorował na lubowanie sztuk pięknych, i syna do tego układał. W pokoju było kilka obrazów; po herbacie Sędzia zacząwszy o malarstwie, kazał synowi czytać podpisy obrazów, ponieważ sam przy świecy nie dowiedział.

Syn wychowany w Romanowie u Księży Jezuitów, zupełnie był wykształconym na kopyt tej młodzieży, co to w trzydziestym roku życia na rozesłanym dywanie, brała boćkowskie napomnienie; której to na wyprawę z rodzicielskiego domu, dawano półkopy bizunów i dukata do ręki. Wstał i poszedł spełniać rozkaz, jak student do tablicy.

Pod jednym było napisano: Prêtresse d'Apollon przeczytał. Stary zażył tabaki.

— Panny Teresy Apolog, to jest portret Panny Teresy Morgulcownej, znam; bardzo śliczna Panna, oczy podobniusienkie tylko twarz trochę pełniejsza; prawda że niedawno co powróciła z Drezna, a nasze Polki wszystkie za granicami chudną, widno niemiecki klimat im nie służy. —

Drugi obraz wystawiał ślepego Belizara, trzymającego Justyniana małego na rękę. Syn przeczytał: — Belizar.

Ojciec roztworzył oczy.

— Pan Olizar, Pan Podczaszy litewski, znam; ale kogóż to trzyma na rękę, czy Pana Narcyza czy Pana Gustawa? przy świecy nie dowidzam dobrze, poznać nie mogę; ale Pan Podczaszy to tak zawsze się trzymał, trochę zgarbiony. —

Wtem dano do wieczerzy i zakończył się przegląd obrazów; przy stole Pan Sędzia który był i jowialista, strasznie gromił spieszczanie kobiecych imion, Marianny na Marysię, a Mawilli na Mawilka, powiadając:

— Jak by to było dobrze okrzykiwać przed światem, że jedna ma rysia, a druga ma wilka, i takimi dzikimi zwierzętami odstraszać od panien. —

Jowializm wcale nie przeszkadzał Panu Sędziemu dobrze jeść, i jeszcze lepiej pić. Widziano że oprócz malarstwa, był lubownikiem dobrego jądła, i dobrych trunków.

Po wieczerzy, Pan Sędzia usiadł przy kominku, a że rozmowa toczyła się o nowych wynalazkach i o polityce, Sędzia szczęśliwie sobie usnął, a synaczek, który przez cały czas, oprócz czytania obrazowych podpisów, ani ust otworzył, przemówił nagle jak Jerozolimski rumak.

— Tatko teraz wygląda, jak bekas w oczerecie. —

I zamilkł, i myśmy wszyscy czas jakiś milczeli.

W tem ni ztąd, ni z owąd zjawił się Ksiądz Jacek, Bernadyn, Kwestarz z Cudnowa. Ksiądz Jacek był nieoszacowany człowiek, mnich doskonały, świątobliwy, bogobojny; w cudze sprawy nigdy się nie mieszał, a swoich pilnował. Umiał stroić fortepiany, bo nim postąpił na kwestarza, był organistą, posiadał tajemnicę wygubienia pcheł i pluskiew; namaczania rozmaitych wódek, smażenia konfitur nawet, i tak dalej. Kobietom koszyki i kwiaty, dzieciom piernikowe koguty albo koniki ze złożonemi główkami przywoził w gościńcu. Kiedy chimerowały to straszyl habitowemi ogórkami, a nigdy nie uderzył; a tak umiał: z wojakiem wojować, z myśliwym polować, a z próżniakiem grać w marjasza i buteleczynę suszyć, że zawsze z każdej kwesty, baranów skopów, jałówek, ślepych koni, wieprzów, miodu, słoniny, wódki, zboża, hukiem nagromadzał dla klasztoru. Przytem nie zapominał i o karbowanaćcach na cukier, kawę i korzenie do kuchennej przyprawy. Księdza

Jacka wszędzie lubiono, i wszędzie z pożądaniem wyglądano.

Drzwi się otworzyły.

— Laudatur Jesus Chrystus. —

Myśmy odpowiedzieli:

— In secula seculorum. —

On dodał:

— Amen. —

I przeżegnał nas wszystkich.

Moja starsza siostra się odezwała.

— Dobrze że przyjechał Ksiądz Jacek, te Michałowe doloty to tak pcheł naniosły do przedpokoju, że nie wiem jak ich wygubić.

— Zaraz, zaraz moja Pani, my tu na to poradzimy, poszlemy do Sozańskiego po tłustość jeżową. —

Ksiądz wiedział o imionach i nazwiskach wszystkich sług, a szczególnie szafarza i gumienego; zabierał się do opowiadania całej tajemnicy gubienia pcheł, kiedy druga moja siostra przerwała.

— Mój fortepian taki rozstrojony, chwala Bogu że Ksiądz Jacek przyjechał.

— Jutro wystroję, tak jak gdyby sam Pan Czerny go stroił. —

Najmłodsza moja siostra także witała Księdza Jacka.

— Księżę Jacku, proszę mnie nauczyć jak smażyć żurachwiny.

— Natychmiast to zrobimy, tylko niech Pani każe Pannie Annie ukłarować syrop, i dać trochę spirytusu na spalenie nad żurachwinami, żeby zachowały kolor. —

Jan Dłuski z Popczewskim zapraszali Księdza Jacka do marjasza. Omieciński chciał żeby Ksiądz Jacek opowiadał o Marszałku Szaszkiwiczu z Biczowy, o którym Ksiądz Jacek wiedział tysiąc, a tysiąc przedziwnych rzeczy.

Chciałem wybawić Księdza z obrotów, i powiedziałem.

— Pozwólcie Księdzu Jackowi niech trochę wypocznie. —

Lepiej się znalazł odemnie stary Ignacy, on wiedział że Ksiądz Jacek miał i brzuch i gardło, a lubił Księdza Jacka; otworzył drzwi, i przemówił.

— Do stołu dano dla Księdza Jacka. —

Bernardyn wstał.

— Deo gratias, dziękuję Panu Ignacemu za pamięć! jak trochę podjem, to wszystko zrobię co Państwo Dobrodziejstwo chcecie. —

Ignacy chociaż nie lubił dużo gadać, do Księdza Jacka przemówił.

— Niech Ksiądz bierze jeszcze, to dobre, a wieczerza krótka, będzie Ksiądz Jacek głodny. Niech Ksiądz pije wino bo stare, na zimno dobre. — Wielka to była łaska Pana Ignacego.

Przez ten czas Pan Sędzia się przebudził, tabaki zażył, synaczek ani słowa nie pisał. Książdz Jacek podjadł, i podpił, i na piękną prośbę Jana Omiecińskiego opowiadał nam o Szaszkiewicu.

I.

— Pan Marszałek to bardzo zacny człowiek, Boże mu daj zdrowie i wszystko pomyślne, opowiem Państwu Dobrodziejstwu co się ze mną stało.

— Przyjechałem do Biczowy właśnie w czasie kosowicy. Bóg zapłać Dobrodziejom naszego zakonu, kwesta dobrze się udała, uzbierało się dosyć wiktuałów, bydelka, i kaletka była niepróżna. Pan Marszałek mnie przyjął po swojemu, po staropolsku, po dobrej wieczerzy, zagraliśmy trochę w marjasza, potem, gadu gadu, jeszcze jakiś czas pobałakaliśmy, nareszcie poszliśmy spać. Ja jeszcze długo odmawiałem pacierze, w końcu, położyłem się do łóżka. Tylko com chrapnął pierwszym snem, aż tu okropny wrzask i krzyk.

— Zrywam się; okna, drzwi wyłamują i jacyś ludzie wpadają do domu; żegnam się krzyżem świętym, przecieram oczy; ale nic, nie śpię; aż ci ludzie mnie porwali, bronię się, daremna rzecz, tak mnie wzięli w łapy, że o mało mi kości nie potrzaskali, zanieśli mnie do jadalnej sali, a tam co widzę. —

— Pan Marszałek związany jak baran, nagi, a ci ludzie batami go biją, a krzyczą; dawaj pieniądze pokaż gdzie pieniądze. Na swoje oczy widzę jak nogi rządcy Pan Marszałka maczają w smalonym oleju; szafarzowi gwoździe w uda zabijają; koniuszego za palce od rąk wieszają u sufitu; klucznicę w pięty smalą czerwonym żarem; stawniczego zabierają się jak konia zgrzeblować, a reszta służby powiązana. Dreszcz mi po za skurą przeszła; myślę sobie, to piekło i djabli; a ja tylko byłem w jednej koszuli i szarawarkach płóciennych, ze szkaplerzem i różańcem; jakoś mnie nie wzięli, tylko postawili koło otwartego okna.

— Jak zaczęli zgrzeblować stawniczego, tak ten krzyknął; ot tam pod podłogą, w pańskim pokoju są pieniądze. Żbójcy wszyscy tam się rzucili, a Pan Marszałek do mnie:

— Księżu uciekaj i nam przynos ratunek.

— Ja niewiele myśląc, przez okno, nogi za pas i dalej; żbójcy się obejrżeli, za mną w pogoń, uciekam, ale widzę że źle; skręciłem w sianożęć i jak zając przypadłem pod kempiną; słyszę jak chodzą koło mnie i szukają; zwinno mi było i gorąco od strachu, ale ani mru mru, przypadłem kamieniem, i jak kamieć milczałem. I dzień biały zeszedł, a ja jeszcze oczów bałem się otworzyć.

— Aż tu słyszę gwar ludzi i brzęk kos, czach, czach, nie wiem zkąd mi przyszło do głowy, że zbójcy użyli tego sposobu na wynalezienie mnie. Pełzam osoką jakbym się do kaczek podkładał, jak wąż, a kosarze tuż, tuż i wszystko czach, czach; na nieszczęście koniec sianożęci, droga. Nie ma rady, zrywam się i dalej na drogę; kosarze w krzyk i za mną z kosami, ja ani oglądam się a uciekam. I tak wpadłem do Mszańca, prosto do dworu.

— Pan Marszałek Borowicki mnie poznał, pyta się.

— Księżę Jacku co ci jest takiego.

— Ja mówić nie mogłem; małom nie umarł, i po dobrej godzinie dopiero opowiedziałem całą rzecz. Pan Borowicki kazał zaprządz konie, zabrał z sobą kozaków dworskich i ludzi, i tak ruszyliśmy do Biczowy.

— Przyjeżdżamy tam, Pan Marszałek Szaskiewicz przeciw nam wychodzi, wita nas jakby nic nie było, ja go witam jakby z tamtego świata. On patrzy na mnie dziwi się.

— Księżę Jacku co ci jest takiego, jakżeś się przybrał? — Byłem ubrany w kubraku Pana Borowickiego, podpasany pasem.

Obrócił się do Borowickiego.

— Cóż to sąsiedzie, czy zajazd na mnie zamysłilesz zrobić?

Pan Borowicki opowiada, Szaskiewicz rusza ramionami. —

— Książdz Jacek albo lunatyk, albo zwarzjował.

— Ja mu gadam, przypominam, on na całą odpowiedź oprowadza mnie wszędzie; wszystkim na swoim miejscu, nawet mój habit i kaleta, i łóżko ani tknięte. Rządca, klucznica, szafarz, stawniczy, cała służba, wszyscy się wypierają, i powiadają że nic a nic nie było. Myślę sobie, to skaranie Boże, jakaś choroba na mnie napadła. Modłę się, przypominam sobie, dobrze pamiętam, nogi mnie bołą, pełno pęcherzów na podszwach od bosego biegania. — Co to znaczy? — Pan Szaskiewicz wszystko powiada.

— Eh dajmy pokój temu, Księżę Jacku, przysniło ci się, i wierzysz że to tak było. Uciekłeś, bo u stracha wielkie oczy, cóż dziwnego.

— Obadwa śmieli się ze mnie, i ludzie się śmieli; ja o mało co nie zwarzjowałem, w końcu uwierzyłem, że mnie się przysniło i uciekłem.

— Dopiero potem przyznał się Pan Szaskiewicz że to były psoty, ot tak sobie dla śmiechu. Jego własni ludzie byli robójnicy, owe batogi to były ze słomy, i gorący olej, i żar, i ćwieczki i zgrzebłowanie wszystko to były psoty, a ja tego nie dojrzałem. Prawda że u stracha wielkie oczy. —

Skończył Książdz Jacek, a myśmy prosili, żeby nam jeszcze co o Szaskiewiczuz powiedział; a Książdz Jacek dał się uprosić i mówił.

II.

— Teraz Państwu Dobrodziejstwu opowiem co zrobił pewnemu modnemu kawalerowi, którego nazwiska nie wymienię, bo on był z tych, co to starzy ludzie zowią de bona fortune, czyli galante golec: nazwę jego po imieniu chrzestnym, Pan Stanisław. Miał kocz, pięć siwych koni, kamerdynera Francuza, furmana Krakowiaka, i ciągle gadał o swoich wielkich majątnościach za Wisłą. Widać że słyszał o dzisiejszem przysłowiu przemienionem ze starego: że na Litwę trzeba jechać po rozum, a na Ruś po pieniądze; bo poduczywszy się w Wilnie, przyjechał do nas po żonę.

Wywiedział się dobrze że siostrzenica pana Szaszkiewicza, panna Ludwika, ma piękny posag brzęczącym złotem; zaczął tedy dojeżdżać do Biczowej.

Kawaler spodobał się pannie Ludwice, ale panu Szaszkiewiczowi to nie; z początku zaczął się prześmiewać z kawalera, który i modnie chodził, i modnie gadał, i wszystko modnie robił — pamiętam, byłem raz, kiedy pan Marszałek recytował wiersze Pana Stanisława do Panny Ludwiki.

Zeńrek dmuchnął supirów wonią,
Skrzydlaty Amor poklasnął dłonią:
Wyszła pasterka ślicznej urody,
Jak Galatea, jak nimfa wody.
Przybiegl i pasterz, na ślecie nucił;
Bogini swojej do nóg się rzucił:
Jam twój sylf wierny, supiry ronię —
Daj Herkulowi Omfali dlonie.

Panna Ludwika utrzymywała że to jest prawdziwa poczja, wyśmienity polski język; a kiedy wpadła w zapał, to dowodziła: że Kochanowscy, Trembeccy swojemi wyrazami: czabany, burzany i tym podobnemi, rażą ją jak obuchem. Dodawała:

— Pan Stanisław nigdy nie mówi niewiasta, tylko dama; to pokazuje dobry smak, wykwiintne wychowanie. —

Marszałek mówił:

— Ależ moja Ludwiko, dama to po francuzku, z resztą to dwuznacznik, dama w warcabach; czemuż nie mamy nazywać białe białem, czarne czarnem; jakżeż naprzykład powie na krowę, albo na kobyłę?

— A jużciż wołowa siostra jedna, a druga rumaczka. —

Nie było rady. Panna koniecznie się uparła iść za Pana Stanisława; Szaszkiewicz już zdawał się na wszystko przyzwalać.

W tem dnia jednego z rana, Panna Ludwika z Panem Stanisławem przechadzali się po ogrodzie; aż tu ni ztąd ni z owąd dał się słyszeć ogromny wrzask.

— Pies wściekły, pies wściekły. —

Z tym wrzaskiem, okazał się pies z zaziąjaną paszczą, wprost leciał na miłośną parę, a za nim gnali w pogoń ludzie z kijami. Pan Stanisław Pannę porzucił i jednym susem za płot przeskoczył, Panna zemdłała; a kiedy ją wujaszek ocucił, otwierając oczy zapytała, zarumieniwszy się mocno.

— A Pan Stanisław?

— Dał supira i uciekł lekko jak Amorek. —

Od tej chwili przywiązanie Panny Ludwiki do Pana Stanisława ustało, Marszałek powiadał, że miłość od jednego razu jak obuchem została zabita. Pan Stanisław z wielką konfuzją wyjechał z Biczowej, i już tam więcej ani oczów nie pokazał.

Otóż Państwo Dobrodziejstwo myślicie że ta przygoda to tak sobie przyszła ni ztąd ni zowąd, że ten pies wściekły to był prawdziwy? Bynajmniej, to takóŜ była psota. Pan Szaszkiewicz, widząc siostrzenicę z Panem Stanisławem w ogrodzie, kazał psu kundysowi uwiązać pęcherz z grochem do ogona, i tak puścić wprost na przechodzących się; a ludziom gonić za nim z kijami. Przestraszony pies jak wściekły leciał, i oto cała awantura.

Panna Ludwika jak się dowiedziała o prawdzie, wcale się nie gniewała, i jak Państwu Dobrodziejstwu wiadomo, wyszła za mąż za Pana Chorążego Latyczewskiego.

Pan Szaszkiewicz powiada często i dziś:

— Obuchem wykurowałem Ludwikę od amorych supirów, i teraz mi za to dziękuje. —

Prosiliśmy jeszcze Księdza Jacka aby gadał, Ksiądz Jacek, zapijając mocną herbatę, bo z tegim rumem, mówił dalej.

III.

— Jeszcze o wściekliwości! Pan Hrabia Korowacki, z tych to Hrabiów Galicyjskich, co to i na chustkach i na szkarpetkach kaŜą sobie wyszywać korony hrabiowskie, przyjechał do Biczowej w odwiedziny do Pana Marszałka. Pan Hrabia był w dalekiem pokrewieństwie z Panem Szaszkiewiczem, chociaŜ Pan Szaszkiewicz powiedział na samym wstępie, że Szymon Korowacki, dziadek Pana Hrabiego, urodzony z Salomei Szaszkiewiczownej, był szlachcicem polskim, a nie Austryjackim Hrabią; jednak bardzo gościnnie Pana Hrabiego przyjął.

Pan Hrabia był wielki elegant, do ubrania się potrzebował najmniej cztery godzin: sznurował się jak panienska, nosił i kłęby i piersi watowane rosharem, zawsze się stroił jak figurka malowana, któremi to często Państwo Dobrodziejstwo wyklejacie parawany.

W kilka dni po przyjeździe Pana Hrabiego był wielki bal u Państwa Potockich w Pasiecznej; zgromadzenie miało być bardzo mnogie, a przedewszystkiem spodziewano się wiele pięknych Podolanek i szykownych Wołynianek. Pasieczna, jak Państwo Dobrodziejstwo wiecie, leży na pograniczu Wołynia z Podolem, o pięć mil od Lubaru, a o cztery od Międzyborza.

Pan Szaszkiewicz postanowił tam zawieść Pana Hrabiego. Hrabia tego dnia ubierał się siedem godzin, i tak był ubrany: — jasno-cieliste spodeńki opięte i krótkie do kolan, pończochy białe jedwabne u kolan wiązane sutemi fontaziami, trzewiki lakierowane i spięte na złociste sprzązki. Kamizelka z różowego atlasu, złotem haftowana w hrabiowskie korony, chustka biała tego nakrochmalona i powiązana w jakieś motyle na przodzie, pospinana złotymi sfinksami o oczach brylantowych, rubinowych i szmaragdowych. Fraczek zielony papuziego koloru, ze złocistemi guzikami w mat; na kamizelce łańcuszki od zegarka i od lornetki, i pełno pieczętek, pierścionków i rozmaitych kolośszów; na palcach sygnety, pierścionki i bieluteńkie rękawiczki. Włosy ufryzowane jak to nazywają modnie *à la coq*, i stosowany kapelusz. Zapomniałem że przy fraku miał wstążeczkę i krzyżyk Bożogrobski.

Było to na wiosnę, wszędzie ogromne wody porozlewały, a czas był bardzo piękny. Pan Szaszkiewicz z Hrabią jechali spuszczonego powozem. Pan Hrabia bał się ogromnym sposobem psa wściekłego, i mówił że w Wiedniu doktorowie najbieglejsi utrzymują, iż nie masz lekarstwa na wścieklicznę, a co gorsza, że ta się odkrywa nie tylko w dziewięć dni, ale i w dziewięć miesięcy i w dziewięć lat nawet.

W drodze Pan Szaszkiewicz wydobyl jakąś flaszkę z lekarstwem, i zażył kilka kropel. Hrabia zapytał:

— Co to jest Panu Marszałkowi?

— Nic mi nie jest, ja to zażywam jako prezerwatywę.

— Od czego?

— Widzisz: nasi prości doktorowie nie są tego zdania co Wiedeńscy; oni mniemają, że wścieklicznę można uleczyć często, a zawsze sprzeciwić się jej rozwinięciu.

— Cóż Pan Marszałek ma wspólnego ze wściekliczną? — i odsunął się Hrabia od Marszałka.

— Tylko się nie lękaj; to nic. Będzie temu dziewięć miesięcy, jak mnie pies wściekły ukąsił w udo, natychmiast ranę kazałem wypalić gorącym żelazem, i ciągle przemywałem octem; a oprócz tego piłem ziele od Pilipona znachora z Pilip, moczone w wodzie, i chwala Bogu, nie wściekłem się. Ale Pilipon kazał mi co nowia księżycowego pić to ziele przez trzy dni; robię to jedynie przez ostrożność, bo wiem że tego wcale nie potrzeba. —

Hrabia ciągle poglądał z pod oka na Pana Szaszkiewicza, a Pan Szaszkiewicz zagadywał to o tem, to o owem, żeby zaspokoić obawę Hrabiego.

Już widno było Pasiecznę, kiedy Pan Szaszkiewicz zgrzytnął parę razy zębami; jakby mocno cierpiał. Hrabia jak na szpilkach siedział.

— Co jest Panu Marszałkowi, może kazać stanąć?

— E to mała rzecz, trochę mnie nudzi, to wczorajszy kruk z półgęskiem, ale to przejdzie. —

Nie mówił dalej, ale oczy coraz bardziej zpochmurzał, i twarz jego jakoś się przeciągała. —

Hrabia do furmana krzyknął:

— Ruszaj. —

Furman zaciął konie, konie wyciągały ogromnego klusa, a Pan Szaszkiewicz coraz bardziej zębami zgrzytał, jakby miał robaki. Hrabiemu już włosy nie à la coq, ale szszecinę rosły na głowie.

Przed samą bramą Pasieczyńskiego zamku, bo to jak Państwo Dobrodziejstwo wiecie, bardzo wystawny pałac wystawił Pan Podkomorzy, taki iż całą ludność z Pasiecznej możnaby tam pomieścić, rozlała się ogromna kałuża, tak duża jak Poleski bród, a grząska i błotnista, bo to zwyczajnie na gleju czarnoziemi.

Już powóz wjechał w sam środek kałuży, kiedy Pan Szaszkiewicz hauknął jak pies, hau! hau! hau! i porwał się z miejsca. Hrabia jak się schwyci i da susa, tak z powozu jak w dym w kałużę, i dawaj szustać przez błoto, wprost do dworu.

Przed krużgankiem byli prawie wszyscy goście i kobiety i mężczyźni, bo to był piękny wiosenny dzień.

Hrabia jak djabeł ochlapany, zmoczony, wleciał na krużganek między ludzi, wrzeszcząc:

— Wściekły! wściekły! ratujcie. —

Wszyscy się rozstępowali, a on leciał, i dopiero padł w przedpokoju, zatrzasnąwszy drzwi za sobą. Pan Szaszkiewicz zajechał, tak się śmiejąc, że w boki się trzymał, żeby się nie poderwał. Jak opowiedział, tak wszyscy w śmiech, a biedny Hrabia tak z przestachu zachorował, że ledwo nie umarł. —

Tą razą Książd Jacek już nie dawał się prosić, tylko popił herbatą, ma się rozumieć mocną, i dalej mówił.

IV.

— Teraz Państwu Dobrodziejstwu opowiem o pewnym Moskiewskim pułkowniku nazwiskiem Szwarzberg, czy Szwajnberg, już tego sobie nie przypominam. Był on z owego uprzy-

wilejowanego Kurlandzkiego narodu, o którym to Państwo Dobrodziejstwo musieliście słyszeć owe powiedzenia Jermolowa.

Kiedy Cesarz Aleksander przeglądał wojsko, rad z porządku artylerji, zapytał Jermolowa czego on żąda: Jermolów w mig odpowiedział.

— Najjaśniejszy Panie zrób mię Niemcem. — Miało się to rozumieć Kurlandczykiem, na których spadały wszystkie zaszczyty i bogactwa, wtenczas kiedy Moskale pracowali w ciężkim pocie. Cesarz Aleksander odjechał i słowa nie rzekłszy, a prośba o zrobienie Niemca z Moskala została narodową gadką.

Otóż ten pan pułkownik był wielki łakomiec, czyli przyzwoitszym sposobem powiedziawszy, skarbowe pieniądze grypsał i kładł do swojej kieszeni. Nie nowina to w Moskiewskiem wojsku, gdzie wszystko na złodziejstwie stoi; a jak to mówią, ręka rękę myje. A zwłaszcza że pan pułkownik dowodził pułkiem huzarów, to jest konnicy.

Szwadron huzarów z tego pułku stał w Biczowej, i ogromne psikusy robił Panu Szaszkieviczowi, tak że Pan Szaszkievicz zmuszonym został gwałt gwałtem odpierać, a z tego urodziło się śledztwo.

Wiecie Państwo, że u nas śledztwo to gorsze dżumy; a co gorzej, że ludzie Pana Szaszkievicza, wypędzając huzarskie konie z sianożęci, skaleczyli cztery: to były konie skarbowe, i całej Biczowy nie wystarczyłoby na zapłacenie za nie.

Isprawnik, zasiedatel i sam pułkownik zjechali na śledztwo, a ostrzyli zęby na karbowanie Pana Marszałka; kręto było koło niego. Ale nie tak to łatwo złapać Pana Gracjana: kazał ugotować obiad, a taki suty, jakby to były jego imieniny, albo dzień małżeństwa którego z synów; wina nie żalowano, a szampańskiego było w bród.

Przy stole Pan Szaszkievicz przynuki nie szczędził, wina dolewał i rozmaite zdrowia wymyślał; jak zobaczył że pułkownikowi już pyski poczerwieniały, a oczy błyszcząły jak karbunkuły; wtenczas zaczął gadać o koniach biegunach, i powiedział że ma takiego siwka iż pewnym jest że żaden koń w świecie go nie wybiega. Pułkownik popisywał się w mowie Kabardyńskim koniem, którego przyprowadził z sobą z Tyflisu. Pan Szaszkievicz na to:

— Mój siwek bronowłoka, tu u mnie w Biczowej urodzony, a ja stawiam pięć tysięcy rubli assygnacyjnych i mój kocz wiedeński z czwórką myszatyh, przeciwko stu dukatom, że mój siwek wybiega pana pułkownika Kabardyńca.

— Ja trzymam zakład Panie Marszałku.

— Zgoda, ale jeden maleńki warunek, obadwa będziemy

z nahajami, i ten który będzie przeganiać drugiego, ma prawo po plecach go zćwiczyć.

— No i na to zgoda; poprobujemy się.

— Dobrze, ale trzeba żeby Pan Isprawnik spisał umowę na dwie ręce, bo by potem mogły być jakie spory, albo co gorzej pojedynek.

— Pisz Panie Isprawniku, a jak długa meta?

— Ukraińska miła. —

Przyniesiono papier, pióro i kałamarz do stołu. Pan Isprawnik pisał, a pułkownik w myśli już przepatrywał assygnacje, i myszate konie z koczem handlował z Pikowskiemi żydami na karbowańce.

Isprawnik napisał i odczytał.

Nahaje były tam wyraźnie wypisane czarno na białem, a dzień bieganja był naznaczony na jutro; Pan Szaszkiwicz sprosił wszystkich sąsiadów i co mógł oficerów.

Pułkownika Kabardyniec był jasno-kasztanowaty, a Pana Szaszkiwicza siwek był domorosły, ale biegał jak strzała. Pan Antoni, syn Pana Marszałka, po czarnej stopie doganiał na nim zające. Z pięćdziesięciu gości na koniach i w powozach postawali na rozmaitych częściach drogi.

Puścili się z kopyta; z razu Kabardyniec wybrał się naprzód, ale nie ubiegł i trzysta kroków jak siwek do niego się dosunął. I Pan Szaszkiwicz natychmiast sprzął nahajem pułkownika; i tak biegli jakby jeden zaczepiony był hakiem do drugiego, a Pan Szaszkiwicz jak cepem nahajem młócił w plecy pułkownika, nie na okłoty, ale na rozbój wybijał huzarski mundur. Przed samą Tereszpolską karczmą skręcił w lewo, i siwek jak od stojącego umknął od Kabardyńskiego rumaka.

Pułkownik się indyczył; nie tak mu żal było pleców jak przegranej. Ale Pan Szaszkiwicz to załagodził.

— No Panie pułkowniku siadaj do mego koczka, niech ciebie myszki zawiozą, i wożą jak najdłużej; a to masz na kanforową wódkę.

I dał mu pęk assygnacjiów.

— Ale śledztwo niech weźmie w leb, bo inaczej to cały świat będzie wiedział o nahajach.

— Ja to już na siebie biorę. —

Ledwie mógł te słowa wymówić, tak mu było niedobrze.

Śledztwo się skończyło; rotmistrz dowódca szwadronu został rozżałowany w soldaty, chociaż robił wszystko na rozkaz pułkownika, a pułkownik ze trzy miesiące nosił się z basamanami na plecach; jednak nie był to zupełny lotr: do Pana Szaszkiwicza nie miał żadnej urazy, a nawet się śmiał, kiedy Pan Gracjan mu mówił.

— Ja dobrze biję, ale dobrze i płacę. —

Rozochocił się Książdz Jacek i gadał nam jeszcze.

V.

— A co z Panem Bigierem, doktorem Francuzem się stało, to rzecz wyśmienita.

Pan Bigier był doktorem przy którymś pułku z gwardji Cesarza Napoleona; wzięty w niewolę na Litwie, a potem oddany na porękę Panom Stolnikowiczom Fiedorowiczom z Połowecka, był zapamiętały Napoleonista.

Raz pamiętam, Pani Stolnikowa mówiła do Pani Marszałkowej Trzeciakowej z Adampola, o Panu Staroście Bachtyńskim: — Temu wszystkiemu to stryjaszek winien. —

Bigier porwał się z miejsca; a źle mówił po polsku, i zawsze przekręcał, bo ledwie piąte przez dziesiąte rozumiał.

— Tak, tak, brawo gada pani Stolnik. Austryjaszek szwina, zdrajca Napoleona. —

Otóż Pan Bigier jeździł po okolicy i namawiał ażeby Polacy porwali się do broni, i bronili Napoleona podówczas składającego koronę we Francji.

Pan Bigier bywał częstym gościem w Biczowej.

Raz tam przyjechał, i tylko co rozgadał się z Panem Szaszkiewiczem o swoich zamiarach, aż tu zabręczały pocztowe dzwonki, i wpadł do dworu Zasiedatel w mundurze, przy spadzie, z dwoma sztackimi żołnierzami.

Jak w dym wprost do Pana Bigiera przystąpił, pokazał mu papier po ukazie Cesarskim, polecający aby zabrał Francuza Bigiera, jako politycznego przestępcę i zawiózł tam gdzie mu kazano.

Pan Szaszkiewicz chciał go przekupić, ale daremna rzecz; Zasiedatel oświadczał, że to jest tak ważny więzień, iż gdyby go wypuścił, natychmiast zostałby rozstrzelany; z początku Bigier się srożył, po francuzku przeklinał, ale potem spuścił nos na kwintę, i porządnie ztchórzył.

Żegnał się z Panem Gracjanem, jakby na tamten świat wyjeżdżał, i Pan Gracjan jak bóbr płakał, aż Zasiedatel się rozczulił i przyrzekł grzecznie obchodzić się z więźniem w drodze. Wsadzono Bigiera w kibitkę tak ciemną, że najmniejszą szparką światło tam nie dochodziło. Zasiedatel i jeden żołnierz siedli obok niego i ruszyli.

Biedny Bigier świata bożego nie widział, tylko słyszał jak dzwonki mu brzęczały w uszach, i kibitka tak derkotała, że o mało mu kiszki z brzucha nie wytrzęsła. Na stajach duchem przeprzęgano konie, a Zasiedatel i żołnierz nie ruszali się tylko bardzo rzadko z miejsca, i to wtenczas więźniowi zawiązywano oczy. — Jesé mu się nie chciało, a spać nie mógł. — Nie mógł rozpoznać wiele dni i nocy tak jechał, ale już zaczął czuć Sibir-

skie zimno, kiedy kibitka stanęła i wtrącono go do ciemnego więzienia.

Więzienie było obszerne, ale bez podłogi, tylko trochę słomy namacał na posłanie, dano mu kawał suchara i kufel wody. Francuz rozmyślał o Napoleonie i gotował się do śmierci, kiedy nagle usłyszał głos cichy.

— Bigier! Bigier.—

Spojrzał, i spostrzegł u góry trochę jasności w malutkiem okienku, które się otworzyło.

— Kto taki?

— Ja Szaszkiewicz.

— Co, ty tu, taki nieszczęśliwy jak ja?

— Nic, ja tu za tobą w ślad przyjechałem, żeby cię uratować.

— Poczciwy Graciany, w jaki sposób?

— Ot masz rydel, kop tu wprost pod oknem, a ja czekam z końmi, i uciekniemy.

— A jak mnie złapią?

— Nie bój się, ja przekupiłem żołnierza co tu stoi. —

Spuścił mu rydel.

Francuz kopał a kopał, gorący pot go oblewał, a drżał żeby go kto nie podszedł; kopie, słucha, nic nie słyszy. Kopie dalej: nareszcie zdało mu się dosłyszeć tentnienie końskiego kopyta, nadzieja wstąpiła w serce, wyteęza siły, kopie; słyszy głosy ludzkie; zaczął się, zdaje mu się że rozpoznaje głos Pana Gracjana.

— Już dzień a jego jeszcze nie masz.—

Całych sił dobył, kopnął, ziemia się osunęła, światło dzienne widać. Kopnął raz, drugi, i już na wolności. Patrzy, oczom swym nie wierzy — gdzież się znalazł?

Na dziedzińcu w Biczowej, koło spichlerza, Pan Gracjan i mnóstwo gości go witają. Między niemi Zasiędatel i żołdaci: to był kamerdyner i kozacy Pana Gracjana.

Biednego Francuza wozili koło wioski i w śpichlerzu zamknęli, i gniew i śmiech go porwał.

— Bogdaj cię djabeł wziął z twego żarty! —

Ksiądz Jacek skończył, a myśmy prosili o jeszcze.

— No jeszcze wam jedną powiem, ale potem to basta, bo już i dzień się zrobi, ja słyszę jak koguty pieją na doświtki. —

VI.

— Rzecz się działa z Popem; Pan Szaszkiewicz dostał do Biczowej na parocha Księdza, z którym żył z początku w niewielkiej zgodzie; skarżył się na niego, ale wszystkie skargi na

nie się nie przydały, Popa wykurzyć nie mógł: powiedział tedy sobie, kto nie może przeskoczyć, ten musi przeleźć.

Zaczął tedy Popa zapraszać na objadki, i jak mógł przylaskiwał go do siebie. Jak to mówią pozwól kurze grzędy, jej się zechce wszędy; tak się Pop wnącił do dworu, że już ztamtąd i nie wyłaził. Pożyczał u Pana Szaszkiewicza to zboże, to pieniądze, a na wszystko dawał kwity, czyli rewersa. Jednak Pop na dwóch stołkach chciał siedzieć, Panu baki świecił, a przed rządem na niego szczekał; Pan Marszałek o tem wszystkiem wiedział i karbował każdą sprawkę w swojej pamięci.

Dnia jednego, Pan Marszałek mocno zachorował; posłano po doktorów na konsylium; Pan Marszałek posłał po Popa, prosząc go jako przyjaciela, aby został przy nim; doktorowie bardzo mieli kwaśne miny, potrząsali głowami i mówili.

— Nie ma nadziei. —

Pan Antoni, syn Pana Marszałka, od lez się zachodził, tak beczal; biedne dziecko, bardzo było przywiązane. — Słudzy mieli lzy w oczach, wszyscy kochali Pana Marszałka, bo był dobry Pan.

Pop to widział, i jemu zrobiło się przykro. Pan Marszałek prosił go aby usiadł koło łóżka, i wtenczas kiedy doktorowie wyszli zapisywać receptę, a ojciec kazał Panu Antoniemu pójść spocząć chwilkę; tak mówił do Popa:

— Księżę, już podobno przysła kryska na Matyska. — Chory a jeszcze żartował. — Cóż mi mówi, że nie wyrwę się z rąk śmierci; cóż robić, trzeba stanąć przed Panem Bogiem i zdać rachunek ze wszystkiego. —

Pop chciał Pana Marszałka pocieszać:

— Niech Jasny Pan tak nie gada, Pan Bóg da zdrowie.

— Księżę, już to daremna rzecz; ja się śmierci nie boję, ale lękam się o syna, taki młody, wpadnie w złe ręce, roztrwoni majątek, który w pocie czoła nagromadziło się.

— Co też Jasnemu Panu w myśli.

— Pozwól mi gadać Księżę; sługi, bo któżby to im wierzył, gotowi go okraść, powynosić wszystko co tu jest w gotówce, a on młody nie da sobie rady.

— Panie Marszałku, to niepotrzebne obawy.

— Już to ja wiem czy potrzebne, czy nie potrzebne. Księżę ja wiem żeś ty mój najprawdziwszy przyjaciel.

— Pan Marszałek może być pewnym.

— Ja to wiem, otóż proszę ciebie abys był doradcą memu synowi, a teraz weź te klucze do siebie. —

I wydobywszy z pod poduszki pęk kluczów, dał mu je do rąk.

— Te, od kantorka: tam są skrypty, rewersa, a w kryjówce sześć woreczków, każdy po pięćset czerwonych złotych.

W dolnych szufladach worki ze srebrem: jest w nich dwadzieścia tysięcy karbowanych rubli. A tam w szafce klejnoty nieboszczki żony, i moje kosztowne sprzęty; w drugiej papiery graniczne i szlacheckie tranzakcje. Księże, mój przyjacielu, nie odstępuj mnie, a jak mnie Bóg powoła do siebie, wszystko opieczętować każ przy sobie, i dopiero potem oddaj klucze Antosiewi.

Nadeszli doktorowie, a stary rządcą przystąpił do Pana, i ze łzami w oczach radził mu spowiedź. Panu Szaszkiewiczowi, coraz bardziej głos słabł, w końcu już nie mógł mówić, ale skinął głową że przyzwala. Doktorowie oświadczyli wyraźnie Popowi, że boją się aby chory lada chwilę nie skończył, szukali pulsu, a puls uciekał. — Wyszli z pokoju mówiąc do siebie:

— Już po wszystkim. —

Chory pobladł, oczy w słup mu się obróciły, przeciągnął się i zaczął konać. Pan Antoni wrzasnął i upadł na ziemię; stary rządcą wyniósł go z pokoju; Pop dotknął ręką chorego, zdało mu się że zimny jak lód, do ust ją zbliżył, ani tchu nie słychać.

Wniesiono zapalone gronnice, i proszono Popa aby odmówił pacierze; długo Pop modlił się i śpiewał, a kiedy widział że nikt nie przychodzi, pomaleńku na palcach przystąpił do kantorka; otworzył, najprzód swoje skrypty powybierał i pochował w kieszeń, potem podniósł rasę i worki z dukatami pakował w szarawary, nareszcie zchylił się do szuflady i zaczął maczać ręce w karbowaniach.

Kiedy nagle umarły krzyknął.

— Ha! —

Pop spojrział, i zakościął przy szufladzie, umarły stał jak długi na łożu, i zawołał.

— Ha, złodziej. —

Pan Antoni, doktorowie, rządcą i służba z drugich pokojów wpadli na Popa.

— Złodziej! —

Pop jęczał; prosił się, ale co mu się tam dostało to dostało, z ruski miesiąc popamigał.

Pan Gracjan po zmartwychwstaniu kazał dawać do wierzery, jadł, pił i ucziwie sobie hulali. Tylko Pop nieborak nie hulał; jemu i po brodzie nie ciekło i w głębie nic nie było.

Niezadługo odebrano mu parochią, i na przedstawienie Archimandryty, za to swoje łakomstwo, został zapakowany do klasztoru Czernców na rekolekcyę, a cały jego dobytek poszedł na zapłacenie sztrafów.

Wszystko to były psoty Pana Gracjana, za młodu układał do nich Pana Antoniego, i mnie się zdaje że jabłko od jabłoni się nie odkoci.

Jaka woda, taki młyn,
Jaki ojciec, taki syn.

Byłby Ksiądz Jacek dał się uprosić, i na siódme opowiadanie, kiedy się drzwi otworzyły i wszedł stary Janek.

— A co Panowie, wilcy zjedli jałówkę u Sołopa Rabego, taj przez stawek poszli w Gwozdawieckie lozy. Dosyć już bałakać.

— Cóż ty chcesz żebyśmy w nocy robili z wilkami!

— Noc, gdzie tam u czorta noc, patrzcie. — Widno z jego rozkazu otworzono okiennice, i dzień biały zajaśniał a światła świec spłwowały.

— Konie już gotowe przed gankiem, kiedy jechać do jechać. Czort by rznął wilczą duszę; na koń Panowie! —

Myśmy się z miejsc porwali.

— Ruszymy. Księżę Jacku strój fortepian, gub pchły, smaź konfitury, a jak przyjedziemy to będziesz nam opowiadał.

— Dobrze, dobrze, w Imię Ojca, i Syna i Ducha Świętego. Amen. — Niech was Pan Bóg błogosławi. —

DZIEŃ JESIENNY.

(WSPOMNIENIE Z HALCZYŃCA.)

Jan Omieciński, Jan Dłuski, Franciszek Grudziński, Antoni Topczewski, Józef Sosnicki, Karol Różycki i ja, nazajutrz dzień po świętym Michale, z rana przed świtem wyjechaliśmy na polowanie.

Sosnicki był to z owych ludzi, co to zawsze ganiąc czy chwając, wszystko dzisiejsze przyrównywał do dawniejszych czasów; nie dla tego aby on więcej lub lepiej hulał w owych czasach, ale dla tego że wtenczas był młodym, a każda chwila życia której towarzyszyła nasza młodość, jest u nas i w myśli i na języku, jeżeli nie zawsze to najczęściej.

I tak; wyjechaliśmy tak zrana, że pod Słobodyszką brzeziną musieliśmy z pół godziny czekać nim się rozwidniło i można było psy zapuścić; a Sosnicki zrzędził.

— Co to teraz; pamiętam kiedyśmy polowywali z nieboszczykiem Mecenasem Lityńskim, i z Kalasantym Baranowskim w Zwiabelskich lasach, tośmy się na jednej nodze zrywali, i na jednej nodze byli gotowi. —

On jednak najdłużej guzdrał się z ubraniem, i z przyrządzeniem swojej kuchenrejterki, i biedny jego sługa Pawełek, chodząc za różnemi przyborami, tak się umęczył, jak gdyby kopę żyta na rozbój wymłócił.

Siadając na wózek z Jasiem Dłuskim, cieniutkim jak glista, zostawił mu tylko miejsce na półdrabku i to nie na całym, a mówił.

— Panie Janie, siadaj wygodnie; ja to polując z nieboszczykiem Mecenasem Lityńskim, przyzwyczailem się ścisnąć jak wąż: po trzech, po czterech siadaliśmy na jednym wózku, i to w poręcz. —

W kniei Wilczaty Stugłos bez dołowania się wsiadł na

zwierza; białoszyi Trafisz, wyprawą jak zegarek regularnie głosem cukrował; Szumlas jak płaczka zajadał się, Łoskot dyszkantem śpiewał; podżary Żagraj basem jak z kufy huczał, Arfa jak dzwonek głosiła: wszystkie pieski grały — najprzedniejsza muzyka, aż las śpiewał, aż powietrze śpiewało. Maksymek tuż na szkapie parł za psami, bez czapki, w kurcie na kłapcie podartej od gałęzi, z twarzą podrapaną, z rozczuchranym włosiem, a z harapa palił i na rozdarcie gardła pohukiwał na zachęty psom; aż dusza się radowała myśliwcom, aż krew warem kipiała im w żyłach, a Sosnicki jeszcze mruzczał.

— Prawda że mój Traficz to król psów; i Michała Stugłos to djabeł nie szperacz, i ten jego Maksymek to taki malec, jak wichur lata, przynajmniej sześć koni na jesień zajeździ; ale jakżeśmy z nieboszczykiem Mecenasem Lityńskim polowali u pułkownika Zielepugi w Żytomierzu, to on miał psy! Grały, jak najlepsza muzyczka: to był prawdziwy koncert, już podobnego nie usłyszę żebym i sto lat żył. —

Pan Jan Omieciński upojony psią harmonią, siadł na pieńku i dumiał, Sosnicki stał sztywnie pod brzozą jak gdyby na niego patrzył Mecenas Lityński, a ogromne wilczysko wypadło między nich, najdalej o dwadzieścia kroków i stanęło. Omieciński nie widział; a Sosnicki mierzył, mierzył, dał się, czapkę zrzucił, jeszcze mierzył i nie strzelił, bo cieniutka gałązka była wprost lewej łopatki, a on chciał w samo serce go ugodzić. Za zbliżeniem się psów, wilk w bok skoczył, dopiero wtenczas Omieciński na wiatr strzelił, a Topczewski już sadzącego w skokach wilka na poleć, jak uciął z dubeltówki raz i drugi, tak i na miejscu powalił. Psy z radości skomlały, i jeszcze las muzyką się rozlegał; dojeżdżacz na pogrzebowe, pojezdne otrąbiał, i rozgłos potrębywania rozbijał się po lesie, wtórował konającej muzyce. Wszyscy się zbiegli, dziwili się wielkości wilka i dzielności strzelca. Sosnicki potrącił nogą trupa wilka:

— Et! najwięcej trzy latka; pamiętam w Zwiahelskim lesie nieboszczyk Mecenas Lityński zabił takiego, co miał z piętnaście lat, trafił w samo serce, i ja tak chciałem; ale cóż z wami poradzić. — Spojrzał na Omiecińskiego. — Jasio to temu wszystkiemu winien. —

Jeszcze słońce tylko co weszło, rosa perliła się na liściach, srebrzyły się wilgocią przesiąknięte ziola, zawołaliśmy:

Dalej tu dalej, na to rozdroże,
 Polujmy kiedy żyjemy;
 Dzisiaj tu razem, a jutro może
 Na długie wieki zaśniemy.

Rozstawiliśmy się po rozdrożu. Dojeżdżacz z posforowanemi psami pojechał, i czas jakiś las milczeniem odpoczywał, tylko

czasem sójka zakrakała, ptaszek jakiś zaświegotał, i konik polny zastrzykał. Wtem Borówka donośnym głosem po lesie się poniosła, harap klasnął, aż cały las klaskał; i między wzgórzami po nad Bobrykiem, Łoskot dyszkantem dołowił się. Myśliwi cali byli w uchu, cali w oku; dojeżdżacz krzyknął: — Dalej po nim ha! — z harapa palnął i Łoskot wyprawę poszedł; a w tem wszystkie psy zajęczały na oko, grają jak war w kotle, las trzeszczy, a powietrze wrzeszczy gwarem, grają wprost na strzelców; strzelców uchu zdaje się słyszeć tupotanie, strzelców oku zdaje się widzieć miganie zwierza, serca im w łonie biją nierównym pędem, ręce cisną się do strzelby kochanki.

Ale nagle, nagle i tupot i granie psów po nad strzelcami się poniosło, poniosło się w jar nad Bobryk; slychać stłumione, shrapawe głosy psów, biją się po łozach, i po oczeretach, i znowu donośniejsze zajadanie się leci do ucha; pod wzgórze wypadły, w Tatarsnowiecką dębinę; aż tu Maksymek zakrzyczał.

— Na, cu cu cu! — i grubo w trąbę zadął dwa razy — to kozioł rogacz.

Grają psy wyprawą, a takie równe ich granie, jak takt kozackiego tańca. Widno czystą dąbrową kocą, kozioł sadzi w Trojanowskie bory, jeszcze brzmi wrzawa, ale coraz ciszej, coraz ciszej, zdaje się że las się klóci rozgłosem dalekiego psów pojęku; nareszcie niknie, ucicha, tylko trąbka zdaje się jeszcze podymać, na pociechę, na nadzieję myśliwcom: ale to tylko może się tak zdaje nasłuchanemu uchu, w którym ciągle i psy grają, i zwierz tupcze, i trąba dzwoni, choć do koła glucho, cicho.

Myśliwi smutni ku Bobrykowi idą; a kozioł jakby sznurem wymierzył, prosto parł w nad Teterowskie skały, a czereda psów za nim sadzi, rosa ich wilży, a zajadłość suszy; oczy im krwią zachodzą, pienia się, grają, aż zębami o zęby postukują na powtór. Maksymek ochrypl, a krzyczy, z harapa wali, w trąbkę podzwania. Szpakowaty drze kopytem ziemię pomyka, jakby go djabeł łoskotał pazurami po krzyżach.

Lasy lasom rozgłos podawały, a wrzawa przez nie leciała szybszym gościem jak stepowy wichur; nim jeden las rozcieńczył się tą wrzawą, już w drugim ona brzmiała, i tak dalej się niosła.

Nim w Tryhurach ludzie rozsluchali się gdzie psów wrzawa, już one grały po nad Hujwą, i powracały ku Bobrykowi.

Myśliwi słuchają, przykładają ucho do ziemi, wyraźne granie, ale nie takie ręcze, nie takie gwarne; jakoś tak jakby głosy się łamały i ledwie z gardła mogły wypchnąć. I trąba dojeżdżacza nie pełno dzwoni ale ucina, chropawieje; jednak wrzawa ku myśliwcom się niesie, a nie można poznać głosu, ani Zagra-

ja, ani Szunulasa, ani Trafisza, takie wszystkie podobne, pomęczone jak naszczekiwanie. Już, już do łóz dopychają, i nagle ucięły, czy zaskoczył koziół, czy psy padły bez ducha.

Aż tu Maksymek zakrzyczał jakby płakał:

— Dalej po nim, ha! —

I z harapa jakby z kłaczanego batoga trzasnął, słycać psów ziajanie, wodę chlepczą, a głosu ich nie słycać; wtem znowu niezmordowany Łoskot odezwał się parę razy; i z jego głosem Franciszek Grudziński wypalił z dubeltówki, i nawołał:

— Na cu cu cu! —

Na strzały, psy zajęczały jak dawniej, i znowu las się rozradował.

Koziół sadził po nad strzelcami, a oni go przez strzały przepuszczali, każdy palił, i każdy nawoływał:

— Na cu cu cu. —

Dopiero Różycki strzelił i krzyknął:

— To, do, ho ho, ho ho! — ale w mig potem zawołał: —

Na cu cu cu. —

Psy się ujadaly i rozbiyaly jeden o drugiego. Maksym na rozparcie konia leciał, a ziemia jęczała, i las zachodził się od wrzawy.

Na paproci farba, na drodze farba. Psy zwęchały krew, i jakby tylko co ze sfors spuszczone, potaszczyły się za kozłem w górę ku Gwozdawce; myśliwi w nieładzie za nim w skok biegli.

Widać, widać jak z między rzadkich czaharów, koziół na halawę sadzi, a psy go już na oku mają, i Maksym go ma na oku; on skacze, a bliżej doskakuje jak zamierza, u psów rozdziawione paszcze, języki wywalone, głosem lają za nim i za nim skaczą. Maksym dobył kordelas, a szpakowaty rwie w skoki ile mu sił staje; psy dogonić a koziół uciec nie może, jakby stali w miejscu; widzą siebie, a dotknąć się nie mogą.

Już, już do oczeretu dopychał koziół, kiedy się nagle o kępinę zawadził i przewrócił; schwycił się, ale już psy wpadły na niego hurmem, powaliły i szarpiają; koziół beczy jękiem śmierci, a one jeszcze naszczekują.

Maksym przybiegł, kulka z konia się zsunął, między psy harapem.

— A harap, a harap. —

I zaraz pojeźdznego zadał

Przyszliśmy — psy zakrwawione, dysząc leżały koło poszarpanego kozła: czterech już nie wstało więcej, a inne ledwie mogły się zwlec, żeby się polasić koło nas. Kulawe, popodbijane, poranione, aż żal patrzeć. I szpakowaty koń, jak padł tak i zastygł śmiercią; a Maksymek ochrypnięty, tak opylony i podrapany że do człowieka nie podobny, z wściekłym zapalem w oczach, z żywym ruchem rąk i nóg, opowiadał, którądy ko-

zioł okładał, i jak on go powrócił — i zaraz kozła patroszył i psy farbował.

Każdy z nas radby Maksymka uściskać, ucałować: i Sosnicki tą razą rzekł:

— Ani u nieboszczyka Lityńskiego, ani u pułkownika Zielepugi takiego dojeżdżacza nie było. —

Upał był ogromny, chcieliśmy wracać do domu, kiedy Maksymek powiedział że goniąc za kozłem na sianożęciach, po nad Bobrykiem, spędził trzy stada cietrzewi; młode według niego były, a nie ledwie jak starka, ale jeszcze nie leciały daleko, ale czepiały się po drzewach. Na mowę Topczewskiego postanowiliśmy przeczekać w Gwozdawieckim futorze, a posłać do Halczyńca po wyżyły, i wieczorkiem zapolować na cietrzewie.

Po myśliwskiej przekąsce, położyliśmy się na sienie pod szopą, i mimo dość żywej gawędki, bylibyśmy usnęli, gdyby się nie był zjawił podróżny dziwnego rodzaju.

Był to człowiek już nie młody, w bajowym surducie hermetycznie zapiętym; na twarzy malowała się ogromna umysłowa praca. Wszedł wprost pod szopę, nikogo nie widział, tylko pod nosem sobie mruczał.

— Byli i pobili Nabuchodonozora Wielkiego; a on tu goni, chowajmy się bo dogoni. I rzucił się na siano między nas. — Porwaliśmy się z legowiska, ale Franciszek Grudziński poznał podróżnego: był to Pan Szostakowski, niegdyś profesor w Krzemieńcu, człowiek bardzo świątły, ale miłość nieszczęśliwa z tej budowy rozumu ludzkiego zrobiła ruinę. On zaś ani nas widział, tylko zagrzebywał się w sianie, a myśmy nie śmieli przerywać tej jego roboty. Kiedyśmy ujrzeli nagle dziwne zjawisko.

Trzy siwe byki klusem dyndały, a za nimi gonił rycerz Donkiszot na wilczatym, dużym a jasno-kościstym koniu, z ogromną dzidą w ręku. Rycerz był przybrany w jaskrawo-pon-sową czamarg, szamerowaną złotem, które już spłowieło na nim, na barwę niepodobną do rozróżnienia; w spodniach łosio-wych, buty palone za kolana, z nosami zakrzywionemi jak ogon mopsa, z ostrogami długimi, że aż dostawały do końskich pachwin, a kółka tak rzęsiste jak żelazka do robienia pirogów. Kamizelka czerwona, szamerowana żółto-gorącym. Na głowie czapka bermysa z psiego futra, a na niej pióro strusie, kapłonie, marabout, kwiaty, warkocze wstęg, fątajzie, sznurki i paciorki. Przy boku miecz długi na dwa łokcie, za pasem cztery pistolety i kindżał, na kruk u siodła zaczepiona janczarka; w prawem ręku dzida przynajmniej dziesięcio-łokciowa z proporcem, którego miejsce zastępowała wielka kozio-puchowa chustka czerwonej barwy; na temblaku trzcina z kościaną głową.

Munsztuk na koniu był huzarski z frenzlami, frenzelkami i

kutasami, Bóg wie jakiej barwy, bo tej poznać nie można było, jak się nie poznaje rejestru lat na zębach dwudziestoletniego konia; i powód i wszystkie cztery cugle od munsztuka i trzęzli były zarzucone na jedną stronę. Siodło było tureckie z kutasiastem podogoniem i podpiersiem, ze strzemiionem na całą nogę i ostrogami, tak iż poczwórna ostrogą mógł bodzić konia.

Sam był sążnisty jak olbrzym. Skoro nas zobaczył, w mig dzię zrzucił na plecy, chwycił za janczarkę i wypalił wprost ku nam. Konia przypuścił, wrzeszcząc i rękoma wymachując jak wiatrak; nie dobiegając do nas o pięć kroków, w prawo konia zwrócił, i zaczął w koło nim toczyć po rycersku. — To mieczem ciał na prawo i na lewo, to z pistoletu palił, to dzię wywijał; a koń nawykły do tych igrzysk, nie przodem skakał, ale zadem bezustannie podrzucał, i ogonem jak kropidłem na wsze strony wykręcał.

Umęczywszy się do syta, stanął, zsiadł z konia, i z dobytym mieczem ku nam przystąpił, rzęsiście brzęknął ostrogą o ostrogę i wymówił:

— Cześć! —

Po czem nie czekając naszej odpowiedzi, jak bocian podniósł jedną nogę do góry, i nie chowając miecza do pochwy, tak do nas prawil:

— Byłem i jestem nie bagatelą, zdziałałem wielkie rzeczy. Czyli — między nawiasem, te czyli, znaczy wiele. — Trzęsą się góry i skały, a z tego rodzą się rude myszy. Nie wiem czyli z powołania, czyli z własnego przekonania, Książę Giedroję opiekował się moją młodością. Umiałem na pamięć rytmy kantyczkowe, a nawet wiedziałem co się dzieje w rubrycelli, z czego łatwo wnosić można, iż zostałem biegłym artylerzystą. Niech świat uwielbia czyny Kościuszki, niech podziwia męstwo Poniatowskiego, ale tam gdzie idzie o wystrzelenie z armaty bez huk, o wypchnięcie kuli bez prochu, nikt mojej sławie nie wyrówna. Widziano w okopach na Pradze, w Wilnie u Ostrej Bramy, co może miecz w dzielnej ręce, co może serce w śmiałem łonie. Po nieszczęśliwym upadku Ojczyzny naszej, widziało mnie w puklach kawalergardy przebiegającego po nad brzegami Newy. Ztamtąd pobiegłem szukać niestatecznego szczęścia u niestateczniejszych jeszcze kobiet. O! dla czegoż los padł na ciebie niewdzięczna Benigno: nie pomieściłbym wszystkich moich westchnień, w kapszok mi od ciebie darowany. Bogdaj wspomnienie o tobie przepadło, jak owe sakwy z mięsem oderwane w bitwie pod Maciejowicami, a cierpienia moje zanurzył w nurtach kwaśnego mleka.

Jestem rycerz czterech części świata, obrońca kobiet, syn słońca, brat księżycy, wuj sultana. Pogromca wszystkich a wszystkich watraków; czestny-prystawa w Romanowie u Jaśnie

Wielmożnego Senatora Ilińskiego. Na kongresie Akwizgrańskim w moc pełnomocnictwa przezemnie danego Jaśnie Wielmożnemu Senatorowi Rzewuskiemu, przez Najjaśniejszych Cesarzów Aleksandra i Franciszka, Króla Fryderyka Wilhelma, i Jaśnie Oświeconego Pośła Angielskiego, uznany za kongresowego męża Benigny i Ojca Jej dzieci, pomimo że przywłaszyciel nosi miano małżonka i ojca. — Pan obszerny od morza do morza, tylko nie posiadający lądów. Posiadający dwadzieścia cztery talentów. Rębacz, od jednego cięcia kark byka ścina. Strzelec, o pół werstwy kulką w rybie oko trafia. Dzirynnik, co jednym sztychem przeszywa trzy wieprze na wylot. Muzykant, jak zagram to sama Meluzyna wyjdzie słuchać. Śpiewak jak słowik, jak zaśpiewam to wilk tak się poruszy, że aż łzami popruszy. Adwokat, lepszy od tych co byli w Lubelskim i Piotrkowskim trybunale; jak zacznę szczekać, to i pies tak nie szczeka. Poeta; twórca wierszy trochę przydługich, dla lepszego rozumienia rzeczy rytmowych, w stylu prawnym. Kaznodzieja, co serca wyrывa z łona, a uszy do zatykania zmusza. Prawodawca, co jednym dmuchnięciem zabija nieporządek. Dojeżdżacz jakich nie bywało. Miłośnik plei pięknej. Praczka jakiej w Amsterdamie nie masz. Szwaczka na jaką tylko Paryż zdobyć się może. Zjadacz kwaśnego mleka. Spijacz zatrutego trunku. Tancerz, co tańczy same Andante, Da capo, Trio, poco a poco, Mazurka za nic, walca za nic, i poloneza za nic. Jeździec, co w godzinie jest w stanie zajeździć sześćdziesiąt koni na śmierć. Fryzjer, co fryzował samą najjaśniejszą Katarzynę drugą Cesarzową Wszech Rossji. Architekt, co doradza Jaśnie Oświeconemu Senatorowi Ilińskiemu stawianie wszystkich budowl. Gospodarz, jak tego dowody można wszędzie na Romanowie i Romanowszczyźnie. Finansista Romanowskiej kassy. Wielki kuchmistrz, co przyrządzał uczy Jaśnie Wielmożnego Starosty Bachtyńskiego. Astronom do upatrywania niebieskich konstelacji, i wielki admirał na suchym piasku.

Jednem słowem, jestem Achmet Achmatowicz Basza. —

Myśmy go już dawniej znali i z widzenia i ze słyszenia; był to dziwny a zarazem szczęśliwy człowiek; istotnie dobry szlachcic, z Tatarskiego rodu, nazwiskiem Achmatowicz, posiadacz niewielkiego majątku w Wileńskim województwie; był oficerem w Polskim wojsku. Wzięty w niewolę pod Maciejowicami, gwałtem został zmuszonym do służenia w kawalergardzkim pułku; tam z rozpaczą po Ojczyźnie zwarjował; a że za młodu czytywał mnóstwo rycerskich książek, tak mu się w głowie przewróciło, iż został sam błędnym rycerzem. Majątek oddał braciom, sam wsiadłszy na koń w dziwnym stroju, i zabrawszy z sobą sługę, który był drugim Szanso-Panso, przyjechał na Ukrainę, gdzie Senator Iliński mianował go honorowym Czestnym-przystawą, czyli horodniczym

Romanowa, z wolnością błakania się gdzie mu się spodobą.

Błądny rycerz zebrał swoje życie treściwie, opowiadanie tego służyło mu za przedstawienie się; nigdy nic od nikogo nie żądał, tylko gościnności dla siebie i rumaka. Datek każdy uważał za obrazę; jeśli mu koń jeden zmarł, to mu dawano drugiego, ale to tym sposobem, że tamtego niby jacyś wrogowie Achmatowicza zabili, a on zdobywał drugiego pasącego się na łące.

Nadzwyczajnie był hardej duszy, często wyzywał na pojedynki, ale cieszył się ostrzelaniem placu. Napadał na wiatraki, na grusze stojące pojedynczo w czystym polu, strzelał, rąbał i karbował na stęplu od jańczarki, albo od pistoletów liczby zabitych wrogów; a takie mnóstwo było karbów, że musiał w końcu wiązać węzłki na sznurkach czepianych do palnej broni, i te wisały jak fręzle. Kochał się bezustannie; przedmiotami jego miłości przemijającej były wszystkie kobiety, które tylko ujrzał, ale przedmiotem miłości stałej była piękna Benigna, jak się sam wyrażał: w sercu mojem siedzi dwoista miłość i jedna drugiej bynajmniej nie przeszkadza.

Do całej Donkiszoterji, łączył zakrawanie na bajecznych bohaterów Grecji; tępił dzikie potwory, któremi były najczęściej swojskie wieprze i byki, a przytem jak Pityjska wyrocznia przepowiadał. W jego życiu błędnem nadarzyło się mu kilka wypadków wcale pociesznych.

W ośmset dwunastym roku, kiedy armja admirała Czczagowa weszła na Ukrainę, w Berdyczowie stało dwa pułki Moskiewskich ułanów konno-Polski i Wołyński; u rogatek stawiono silne strażę, a w różnych stanowiskach miasta były szwadrony z posiadłanemi końmi; ogromna była obawa zjawienia się Francuza, a jeszcze większa Polskiego powstania, o którym już dość głośno gadano. Jednego dnia, Achmatowicz, jeszcze wówczas mający swego Szanso-Pansę, jechał szlakiem Żytomirskim ku Berdyczowowi, i w Heryszkowieckiej dębinie zdybał Moskiewski podjazd; podjazd ujrzawszy takiego cudaka, drapnął w nogi, Achmatowicz dernął za nim w pogoń, wrzeszcząc jak opętany. Oficer stojący u rogatek z półszwadronem, uformował swoich ludzi za rogatkami, a zastawę spuścił, i dał wiedzieć do miasta o zjawieniu się Napoleońskich Mameluków. Achmatowicz przypuścił konia w czwał przez grobelkę oddzielającą las Hryszkowiecki od rogatki, zobaczywszy wojsko dla uczczenia go palił z pistoletu na prawo i na lewo, półszwadron Moskiewski drapnął w nogi. Achmatowicz koniem przesadził niewysoką zastawę i gnał w miasto strzelając i wrzeszcząc. Obadwa pułki Moskiewskie w największym nieładzie uciekły

z miasta, a taki był strach, iż oparły się dopiero w Machnówce, o dwie ukraińskie mile z Berdyczowa, gdzie stały drugie dwa pułki ułanów Litewski i Tatarski. Cała dywizja zabierała się do cofania, a po kraju gruchnęła wieść o przyjsciu Mameluków Napoleona.

Achmatowicz wpadłszy na rynek, zatrzymał konia, i szablą wymachiwał w powietrzu dziwne zygzaki; policmajster z kwartalnymi w mundurach, cechy miejskie i żydowski kahał, wyszli witać Achmatowicza, i poddawać mu miasto; przypadkiem znajdował się tam Książę Mateusz Radziwiłł, ten poznał błędnego rycerza. Strach przeminał, ale poliemejster i dowódca dwóch pułków chcieli się mścić nad Achmatowiczem; zapewne byliby go zaszli na Sybir, gdyby nie przemożna opieka Księcia Mateusza Radziwiłła, który rozżalonych ludzi opłacił, a błędnego bohatera wziął na porękę.

Achmatowicz czasami był złośliwy w mowie; razu jednego pokochawszy się w jednej mężatce, był na wielkim obiedzie, gdzie była ona i jej mąż. Na nieszczęście ten mąż był synem Polaka Targowiczana, który sprzedał Moskałom klucze twierdzy powierzonej jego straży.

Mąż zaczął sobie żartować z Achmatowicza miłostek ku swojej żonie, ten ich się nie zapierał, i traktował rzecz bardzo poważnie, nareszcie mąż powiedział:

— Ot wiesz co Baszo, po co mamy się klócić, odstęp mi — i wymienił imię swojej żony — dam ci co zechcesz, tysiąc, dwa, i więcej tysięcy dukatów. —

Achmatowicz wąs podkręcił:

— Mospanie ja nie — powiedział imię nieszczęśliwego męża — a Waćpana żona nie — — wymienił miano sprzedanej twierdzy. —

Nie śmiech ale milczenie zakończyło rozmowę. Achmatowicz tego dnia zachował jak najskrupulatniejszą powagę.

W roku tysiąc ośmset dwudziestym czwartym czy piątym, kiedy generał Giżycki był wołyńskim gubernatorem, Achmatowicz przybrany we frak jasno-niebieski srebrem haftowany, bo ten strój czasami nosił od wielkiego święta, zajechał do domu gdzie był Gubernator, i wprost poszedł do niego żeby mu złożyć rycerską cześć.

Generał Giżycki go nie poznał, wziął go za feldjegra przysłanego od Wielkiego Księcia, i sądził że z jakąś złą wieścią, wstał i tak się załაკł, iż słowa przemówić nie mógł. Przez półgodziny stali oba w milczeniu, Achmatowicz tylko pobrzękiwał ostrogami; ale kiedy po bocianiemu podniósł jedną nogę do

góry, zbierał się do tańcowania *andante*, Jenerał Giżycki poznał go, a rozgniewany powiedział mu:

— Pójdź przez warjacie. —

Jenerał Giżycki był szwagrem Senatora Ilińskiego najosobliwszego dobrodzieja Achmatowicza. Achmatowicz jak sam powiadał nie mógł mu przyciąć lba, i zakarbować na stęplu, boby to była najczarniejsza niewdzięczność.

Udobruchany jenerał Giżycki pozwolił Achmatowiczowi sięść do stołu, ale obchodził się z nim bardzo dumnie. Spijano zdrowie Gubernatora; kiedy przyszła kolej na Achmatowicza wstał.

— Jaśnie Wielmożny Jenerale i Gubernatorze, każ sobie postawić pod nosem wietrzny młyn, a będzie ciągle męł; cześć i uszanowanie — wypił duszkiem.

Jenerał Giżycki zaśmiał się z tej przymówki do swojego nadymania się i dobra harmonia powróciła.

Razu jednego Achmatowicz rozgniewał się bardzo na Jana Omiecińskiego, postanowił tedy obiedz wieś Korowińczyki gdzie mieszkał Omieciński i głodem go zamorzyć. Wieś Korowińczyki otoczona jest do koła wysokimi wzgórzami, Achmatowicz wjechał na jedno z tych wzgórz, zatknął w ziemi sążnistą dzidę z czarną chorągwią, puścił konia na paszę, a sam z dobytym mieczem i z janczarką na lewem ramieniu, przechadzał się koło chorągwi; wprzód zaś dał wiedzieć Omiecińskiemu, aby mu przysyłano jak najregularniej, śniadanie, obiad, podwieczorek, wieczerzę, na dzień cztery hladysze kwaśnego mleka, i kopę gruszek. Omieciński rozkaz jak najświęciej dopełnił. Achmatowicz stał dziewięć dni i dziewięć nocy na wzgórzu nie odstępując chorągwi; ani chłód nocy, ani upał dnia, ani deszcz, ani burza nie ruszyły go z miejsca. Dziewiątego dnia dopiero okulbaczył konia, dziewięć razy wystrzelił z janczarki, siadł na koń, wyrwał chorągiew i pojechał.

Po całej okolicy obwoził, że Omieciński umarł z głodu, i cała wieś z głodu wymarła; kiedy później zdybywał się z Omiecińskim, żegnał się krzyżem świętym i powtarzał.

— Upiór, upiór. —

I to było z jego strony nie udawanie, ale przekonanie jak najsilniejsze.

Kiedys jeden bardzo znamienity obywatel przebrał się czy w turecki, czy w arabski, czy w jakiś dziwny strój; przyjaciele jego nie mogli go namówić aby porzucił ten strój.

Przypadkiem dnia jednego ów obywatel z kilkoma przyjaciółmi jechał odkrytym powozem z Berdyczowa do Żyto-

mierza; Achmatowicz zaś na swoim rumaku z Szanso-pansą jechał do Berdyczowa, a spostrzegłszy w powozie człowieka w dziwnym stroju, w poprzek drogi dzidę przelożył i zatrzymał powóz.

— Rycerzu, albo podaj mi dłoń przyjazną, i złoż twoją czołobitność, albo spróbuj się na co zechcesz. —

Obywatel dowiedziawszy się z kim ma do czynienia, mocno się zmięszał. Wszyscy musieli wyłazić z powozu i składać czołobitność. Achmatowicz uradowany, na wiwat wytrzebił parę razy i odjechał, a obywatel tegoż samego wieczora ogolił długą brodę, dziwny swój strój zrzucił i przybrał się w polską czamarę.

Bywały chwile że się bardzo roztropnie znachodził.

Jeden z jego znajomych, człowiek nad miarę nabożny i bojący się djabła, miał swojego djabła za pomocą którego krzywdził ludzi, najwięcej swoich sług, wpędzając ich rachunkami w decesa, a potem zabierając im cały dobytek.

Ekonom tego pana mieszkający na bruku, w najbiedniejszym stanie, miał córkę mocno chorą. We wsi okrzyknięto, że jest opętana od djabła. Pan który obdarł ekonomą, chciał koniecznie wypędzić djabła z jego córki; święconą wodą, obrazki i inne potrzebne przybory zostały użytemi do tej roboty, Achmatowicz przyłączył się do wyprawy jako sprzymierzeniec, z długą janczarką i z obosiecznym mieczem. Pan modlił się, śpiewał, Achmatowicz strzelał i rąbał, mordowali szatana, wypędzali z dziewicy; kiedy egzorcyzm się skończył, i dziewica przestraszona stłumiła swoje bole, Achmatowicz wpadł na egzorzystę i wyganiał z niego szatana.

— Teraz zakwituj twego ekonomą, i zapłać cztery tysiące coś mu zabrał, i to zaraz, bo ci przytnę łeb. Modlisz się, róbże dobrze; wypędzasz szatana z drugich, wypędź-że go i z siebie. —

Argumenta były dobitne, bo wyostrzony miecz połyskiwał w ręku Achmatowicza; egzorzysta wszystko uczynił, a Achmatowicz do swoich godności dodał.

— Straszliwy zapaśnik szatana. —

Już później, dobrze później w tysiąc ośmset dwudziestym dziewiątym roku, przy końcu i na początku tysiąc ośmset trzydziestego roku, Achmatowicz jeździł od wioski do wioski i opowiadał.

— Na zachodzie wre i kipi, i lawa skorupę rozsadzi, i wyleje się ku wschodowi, i będzie skakać i kipić po rozmaitych miejscach. I u nas będzie gorąco, będzie szumno. Potrząsał głową

i wzdychał: ale gdzie nie ma matki, to tam pszczoły miód zjedzą, a nowego nie zrobią, same zginą. —

Achmatowicz żadnych gazet nigdy nie czytywał, nawet nie wiem czy wiedział o ich istnieniu na świecie, i książek oprócz awantur Kolecandra z Leonildą i Donkiszota innych nie czytał, tak mi się zdaje, a jednakże lubił przepowiadać politycznie.

Taki to był ten Achmatowicz, którego nam traf przyniósł do Gwazdawieckiego futuru.

Po odtąnczeniu swoich tańców, odprowadził pogrzeb za duszę jakiegoś Morykoniego, którego bardzo wielbił, wypalił kazanie, a potem zabrał się do jedzenia, zmiotł półtora kopy gruszek i dwie ogromne misy kwaśnego mleka, z bułką razowego chleba.

Przez cały czas Szostakowski jak szczur siedział w sienie a ciągle pomrukiwał.

— Bili i pobili, Nabuchodonozora wielkiego; a on gonił, gonił i dogonił. —

Achmatowicz jak się najadł, posłyszał pomrukiwanie Szostakowskiego, jak lisa z nory wyciągnął go z siana, ale nic mu złego nie robił, tylko postanowił go odczarować. Prosił nas aby mógł go z sobą po rycersku do Halczyńca zawieźć i tam zacząć swoje odczarowanie. Pozwoliliśmy, ale Szostakowski korzystał ze sposobnej chwili, wymknął się i uciekł w krzaki; kiedy Achmatowicz się opatrzył, wskoczył na koń i ruszył w pogon a nie mogąc znaleźć zbiega, strzelił z janczarki, zakarbował śmierć na łożu strzelby, a pochwalwszy się przed nami popędził byki do Halczyńca, dokąd już zaprosił się w goście, a myśmy pojechali na cietrzewie.

Polowanie się udało, strzałów było hukiem, pudła dawaliśmy ucziwie, ale i zwierzyny było cokolwiek. Rózyckiego Neptun strychował wyśmienicie, Topczewskiego Wochła stawiała jak malowana, Sosnickiemu dwa cietrzewie padły na głowę i zbiły z niej kaszkiet, ale nie przez niego, tylko przez innych zabite; on ciągle się mierzył, ale ani razu nie strzelił, i ciągle wywoływał z grobu nieboszczyka Lityńskiego i pułkownika Zielepugę; Franciszek Grudziński mordował swojego Cyklopa. Jaś Dłuski podstrzelał cietrzewie a postrzelonych nie znalazł, Omieciński figle broił. I tak przepędziwszy wieczór przyjechaliśmy dość późno do domu.

Tam zastaliśmy Ignacego Strumillę, Piotra i Adolfa Pilchowskich, Ignacego Oranskiego i kilku innych przyjaciół z sąsiedztwa. Achmatowicz z rycerską powagą już przechadzał się po pokojach, ale był gość który mu nadzwyczajnie się nie podobał.

Był to niejakiś Krasowski, niegdyś baletnik za króla Stani-

sława Augusta; mimo swój wiek bo miał do siedmiudziesięciu lat, ciął piżony, piruety i pas de cheval, jak za dawnych czasów. Nie był ta warjat, ale udawał takiego żeby zarobić grosz na życie: tańczył, skakał i plótł dziwolągi żeby wydurzyć jaki grosz. Achmatowicza zgrozą przejmowało takie postępowanie, i obchodził się z nim jak gadka jakaś mówi, nie wiem dla czego: jak z rudą suką.

Adolf Pilchowski z Orańskim podmówili Krasowkiego żeby wyzwał na pojedynek Achmatowicza, co też on uczynił; Achmatowicz z radością przyjął wyzwanie, powiadając, że jak go zabije, to go ochrzczi z błazeństwa. Rzeczą miała się odbyć natychmiast i to na pistolety, gdyż Krasowski był bardzo mały i szczupły, a Achmatowicz jak olbrzym, na szable tedy nie byłoby sprawiedliwości.

Achmatowicz przygotował rycerskiego trunku, który się składał z butelki wódki okowitej, butelka wina, i butelki porteru do czego domieszał garść tabaki, dwie łyżki soli, i łyżkę pieprzu. W wazie zakłócił napój. I obadwa rycerze po trzy spore puhary takiego trunku duszkiem musieli wypić; taki konieczny był porządek pojedynku według Achmatowicza.

Póki szło o spijanie rycerskiego trunku, Krasowski doskonale dopisywał, a kiedy przyszło do strzelania się, nie tak mu dobrze było.

W wielkiej sali stanęli obadwa, sekundanci ponabijali im pistolety ma się rozumieć samym prochem; sala była oświetlona dwoma lampami przy których stało dwóch kozaków w czarnych burkach, tak chciał Achmatowicz. Krasowski miał strzelać pierwszy, Achmatowicz frontem do niego się odwrócił, odsłonił piersi i zawołał.

— Strzelaj. —

Krasowski strzelił, flejtuch padł na piersi Achmatowicza; on go strącił z pogardą, podniósł pistolet.

— Stój teraz. —

Krasowski jak struna wyciągnął się, pobladł i drżał. Achmatowicz kilkakrotnie mierzył od stóp do głów, Krasowski padł na kolana i o przebaczenie błagał; prawdziwy to już był nie zmyślony strach. Achmatowicz ręką wskazał.

— Wstań i stój, padniesz jak zabiję. —

Palnął i Krasowski klapnął na ziemię, a w tej samej chwili kozacy pogasili lampy. Była ciemność i słyhać było głos Achmatowicza.

— Słońca, słońca, niech zakarbuje. —

Wniesiono światło Achmatowicz karbował, ale Krasowski jak bez duszy leżał; rycerski trunek i strach musiały mu zawrócić głowę, baliśmy się żeby czasem apopleksji nie dostał. Doktor Szmit, który na szczęście znajdował się w Halczyńcu, chciał mu krew puszczać, Achmatowicz przystąpił.

— Chcecie żebym go wskrzesił? —

A nie czekając naszej odpowiedzi, jak go sprął płazem miecza po grzbiecie, wołając:

— Wstań.

Tak Krasowski się porwał na nogi. Achmatowicz podniósł miecz do góry.

— Hoc pirueta!

I Krasowski takiego pirueta uciął, jaki mu się nigdy może nie trafił na Warszawskim teatrze.

Myśmy się śmieli, a Achmatowicz dodawał do swoich godności, nową godność:

Wskrzesiciel tchórzów.

I tak się zakończył ów dzień jesienny.

PRZYPISY

DO POWIEŚCI KOZACKICH.

SWATANIE ZAPOROŻCA.

¹ *Kolbań* w języku ruskim, ukraińskim, oznacza jamy głębokie na dnie rzek, jezior i stawów.

² *Mogila*, Kurhan, kopiec wysypany na znak pogrzebionych tam wojowników, albo ślad drogi Tatarskiej. — Hordy najezdnicze sypiąc po drodze wysokie kopce, znaczyły sobie szlak do powrotu.

³ *Namereżyc*, wyraz ukraiński, do oznaczenia haftów na koszuli.

⁴ *Bynda*, wstążka szeroka, którą barwią skronie dziewice ukraińskie.

⁵ *Życzka*, wążka, czerwona, wełniana tasiemka, używana także do opasania głowy.

⁶ *Kalamajka*, materja pasasta. wełniana, lustronna, używana na spodnice.

⁷ *Jak biczem przecięta*, wyrażenie prowincjonalne Wołynia na oznaczenie kształtnej kibici.

⁸ *Zaścieszka*, wstążka do związywania koszuli pod szyją.

⁹ *Oseledec*, kosa spleciona z włosów, którą noszą Kozacy, spadająca po prawej skroni.

¹⁰ *Licho*, wyraz ukraiński używany w miejscu djabła, biedy, zlego.

¹¹ *Burtaka*, młodzieniec nie mający chaty, włóczęga po świecie.

¹² Prawie wszystkie dziewczęta wiejskie dopełniają tego obrzędu, kiedy rodzice naradzają się jaką mają dać odpowiedź przychodzącemu prosić o ich rękę.

¹³ *Poludenek*; przekąskę o godzinie dziesiątej zowią chłopci ukraińscy południkiem.

¹⁴ Bohdanko Różyński, Ataman Kozaczyzyna za czasów panowania Stefana Batorego w Polsce. — Sławny wyprawą swoją na czajkach (czółnach kozackich) Dnieprem, do Oczakowa. — Kiedy Tatarowie płądowali Podole, on wkradł się na Krym i zmusił ich do cofnięcia. — Roku 1572 Król Stefan dał buławę, i buńczuk atamanowi, a Kozaczyźnie chorągiew malinową z herbem: srebrny Kozak, z głową przykrytą baraním kolpakiem, z czapem piórem, palasz dobyty i wzniesiony nad głową. — Król Stefan ustanowił dziesięć pułków kozackich; przywilejem dozwolił wojsku zaporozkiemu stawania na prawem skrzydle wojska polskiego i nadał na stolicę atamanom Kozajkowski. III.

zaczynny Trechtymirów, miasto nad Dnieprem. — Bohdanko powołany został na wyprawę na Moskwę. Mógł w gwałtownej potrzebie uzbroido czterdziestu tysięcy ludu. — (Patrz *Bantysz Kamiński* historia Malorossyjska w języku rossyjskim. — Staryna Zaporozkaja tamże. — *Scherer*, Annales de la petite Russie. — *Lesur*, Histoire des Kozaks).

¹⁵ *Lach*, do dziś dnia tem imieniem oznaczają chłopci ukraińscy Polaka Szlachcica.

¹⁶ Wenzyk, piąty Ataman kozaczy, sławny zwycięstwem nad Tatarami pod Zaslawiem. Świergowski, szósty Ataman idzie w pomoc Jerzemu Gospodarowi Wołoszczyzny przeciw Turkom; wygrywa czternaście bitew, w piętnastej ginie z dwoma tysiącami młodoców; po nim nastąpił Bohdanko Różyński. —

¹⁷ Ostań Daszkiewicz drugi Ataman Kozaczyzny, obrany został po Przecławie Lanckorońskim. Sławny obroną Czerkaska przeciwko Tatarom, przywiózł Zygmuntovi I. kamienie rzucone z kusz przez Tatarów na miasto. Król Zygmunt nadał Czerkask na stolicę atamanom, ogromne stopy ukraińskie wzdłuż Dniepru na własność ludowi kozackiemu, a Sejm w Petrykowie r. 1518 postanowił żold Kozakom, w nagrodę pieczolowitej i walecznej obrony granic polskich Rzeczypospolitej.

¹⁸ Zwyczaj dopelniany przy zaręczynach na Ukrainie do dziś dnia.

¹⁹ Placki płaskie z chleba żytniego lub pszennego, zowią palaucią; trochę mniejsze podpalkami.

²⁰ Taniec podobny zupełnie do poloneza, z różnicą że nie odbijany i męczyzną od niewiasty przedziela chustka.

²¹ Wyrażenie które pozwoilem sobie użyć, gdyż podług mnie doskonale odznacza wywijanie się par w tańcu gęsim i polonezie, gdzie ciągle kreslą literę S.

²² *Prysiudy*, przysiadany skok w kozaku.

²³ *Powodyr*, przewodca co przodem wiedzie wojsko — używanym do tego bywał człowiek dojrzałego doświadczenia i znakomitego sprytu.

²⁴ *Pastowień*, pastwisko ogrodzone lub okopane tuż koło zabudowań gospodarskich.

²⁵ *Znachorka*, rodzaj czarownicy — odgaduje przyszłość, lecz choroby duszy i ciała.

²⁶ Przywilej nadany wojsku Zaporozkiemu.

²⁷ *Porohy*, skały przerywające w poprzek łożę dniewrowe; po większej części sterczą nad powierzchnią rzeki; takich poroków jest trzynastie. Kozacy mieszkający na wyspach za temi porohami dostali nazwisko Zaporozców.

²⁸ *Kureń* na Zaporozu oznaczal pulk; wyraz pochodzi od kurenia, kopanego dołu w ziemi, przykrytego dachem albo słomianym, albo z darni z drzwiami do wehodu; takie były pierwsze mieszkania Kozaków, a że Zaporozce żyli beżżenni, jadali wspólnie, ztąd ich pulki nazywały się kureniami.

²⁹ *Dżamet*, koń wojenny.

³⁰ Zwyczaj używany na Ukrainie kiedy chcą odegnać smutek od cierpiącej osoby, sądząc że on pochodzi od zaczarowania.

³¹ Podług przesądów ukraińskich zła wróżba, kiedy czajka kyhieze nad głowami. Pochodzi to zapewne że krzyki czajek i uwijanie się nad głowami ludzi ukrywających się w zbożach i zaroślach w czasie napadów Tatarskich odkrywały nieszczęśliwe ofiary na pastwę tym barbarzyńcom.

³² Kozacy cenili mocno kitajkę ezerwoną; każdy dostawał jej kawał

w nagrodę czynów wojennych (patrz: Zbiór pieśni maloruskich przez *Ma-ksimowicza*).

²² Zwyczaj robienia trumien na Ukrainie. — Klonowe deski mają mieć własność odganiania złych duchów, a sosnowe nie pozwalają umarłemu wstać z grobu i włożyć się po śmierci.

²⁴ Konie kozackie bardzo są przywiązane do swoich jeźdźców; mnóstwo podobnych wypadków wzmiankują piosnki. Sam słyszałem od rotmistrza Kozaków dońskich, że nie mogli oderwać konia od zabitego Kozaka w bitwie pod Berezyną, zostawili go na placu bitwy przy ciele jego jeźdźca.

²⁵ Dotąd to przysłowie jest we zwyczaju po wielu wioskach nad Teterowem — z niego i z tradycji ludu zrobiłem tę powieść.

MOGIŁA.

¹ Powieść o Mogile osnowałem na podaniu ludu: taką opowiadam jaką mnie opowiadali — zdaje mi się właściwie powiedzieć w tem miejscu słów kilka o podaniu ludu i o pieśni ludu. — Podanie, jest to oltarz pamięci, na którym lud bezprzestannie śląda skarby swolch wspomnień; przystęp do niego stoi otworem, a głos niewidzialnej istoty woła: bierzcie złoto z ołtarza, rozrabiajcie na drobną monetę, i rzućcie teraźniejszemu i przyszłym pokoleniom. — Pieśń ludu jest obrazem, objawieniem podania. Wieszcz siewscy tak zwani gęślarzami, chwyтали skarby każdego podania, a silni popędem natury wyrabiali z nich poczę ludu — była ona wielką i narodową; bo snuła na swój kłębek harmonję rozlaną po ojczyściej ziemi, i melodję żywioną w uczuciach synów Polski. — Długi czas literatura polska, samą tylko formą zewnętrzną należała do ojczyzny: duchowość była cudzoziemską. — Kochanowscy, Rej z Nagłowic, Zimorowicz, pisali jędrną polszczyznę, ale utwory umysłu przyodziewane słowem, należały się naśladownictwu Greków, Rzymian. — Sarbiewski do łaciny myśli, wprowadził łacinę języka i zadał polszczyźnie cios śmiertelny; podania ludu i pieśni ani tknięto w wieku Zygmuntoń. Nadszedł wiek Stanisława Augusta: jaśniał dowcip w Krasickim, szum w Naruszewiczu, natchnienia wieszczą w Trembeckim; znamienite talenta w wielu innych — ale duchowie biorąc: nie była to literatura polska narodowa — ale literatura świata — a co gorsza językiem nie dorównywała polszczyźnie szesnastego wieku. Julian Ursyn Niemcewicz dobrze zasłużony literaturze krajowej, wydał śpiewy historyczne — jemu Polska winna złożyć hołd, że jej literaturę przywdział w narodowość — swoje śpiewy oparł na podaniu historycznym — czytali je starce ze łzami dumy narodowej i rozczulenia, śpiewały kobiety, a dzieci na pamięć się uczyły. — Mąż ten nie pokalanej czei, wskazał drogę młodym umysłom gdzie należało szukać skarbów dla literatury Polskiej. — Zjawili się nareszcie na ziemi polskiej trzej potężni mocarze myśli: Adam Mickiewicz, Kazimierz Brodziński i Bohdan Zaleski. — Pierwszy śmiałym krokiem stąpił od podania historycznego, do podania i pieśni ludu — a Ballady, poema *Dziady*, *Grażyna*, *Wallenrod* tak szeroko rozleciały się po Polsce jak wiara Chrystusa po wszech ziemiach świata. Brodziński w poemacie *Wiesław* przejął koloryt, tok i duchowość pieśni ludu krawowskiego, Bohdan Zaleski w *rapsodzie*, *Rusalkach* i *dumkach* lotem orła wzbil się w krainę wyobraźni i wiernie oddał podania, pieśni ludu ukraińskiego. — Za nimi poszli w ślady: *Małczewski*, *Seweryn Goszczyń-*

ski, poeta między poetami, jak między rzekami ojeiec Dnieper. — Bronikowski więcej Polak, w swoich romansach pisanych niemieckim językiem, jak Skarbek w polskim. — Bernatowicz autor niezrównanej *Pojaty*. — Stefan Witwicki, i wielu innych pisarzy. — Polska dostała literaturę narodową, to czyż Polaka ucho nie z większą rokoszą słucha ballady np. Witwickiego Wigilija S. Andrzeja, jak wszystkich szumnych od Koźmiana. — Literatura Polska podaniu i pieśni ludu winna swoją narodowość, im winna stanowisko w poczecie literatur Niemieckiej, Angielskiej i Włoskiej. — Te słów kilka nie rzekłem wcale na zaletę mojej powieści, myśl ta daleką jest odemnie — ale na wyrażenie czem jest podanie i pieśń ludu dla literatury narodowej, według mego pojmowania rzeczy.

² *Halczyńiec*, wioska nie daleko Berdyczewa na boku drogi pocztowej z Żytomierza do tego miasta.

³ *Czerwiec*, tak zowią na Ukrainie robaczki Święto-Jańskie — największą rokoszą dzieci w noc wychodzą na polowanie onych.

⁴ Święty Michał, jak Archaniół wojskowy Nieba i zwycięzca czarta, jest szczególnie czczony u ludu wojennego Ukrainy, a wigilja tego dnia ma w sobie jakąś tajemniczość. Wszystkie czarownice, znachory i znahorki wychodzą z wieczora w pole i nie powracają aż nadedniem — podróżni widząc walęśających się ludzi po polach, starannie unikają spotkania z nimi.

⁵ *Balabajka*, instrument znany na Ukrainie, o czterech strunach i formy podobnej do teorbaua. Tak samo na nim się gra — dźwięk prosty ale miły dla ucha; częściej na nim wtórują pieśni, jak przegrywają bez nich nieraz w czasie zabaw wiejskich. W głębokiej Ukrainie nad porohami, parobcy siadają na konie z balabajkami, brzmia pieśnią i brzęczą w struny.

⁶ Lud Ukraiński namiętnie zamięłowany w polowaniu z chartami — rzadko widzieć starca któryby w swojej chalupie nie żywił charta, albo przynajmniej pokureca — a jeżeli zakaz pański nie pozwnia mu polować, zawsze jednak wodzi za sobą w pole, i na wędrówki charta.

⁷ *Nawroczyć*, rzucić na kogo czary; ten przesąd tak daleko posunętym jest na Ukrainie, że matki dzieci, gospodarze gospodarstwa, myśliwi psów, jeźdźce koni, rzemieślnicy roboty obawiają się pokazywać nieznanym osobom, aby je nie nawroczyły — złem okiem.

⁸ Bohdanko Rożyński był słodnym atamanem z porządku a nie szóstym, jak niektórzy utrzymują; pierwszym był Przeclaw Lunckoroński, drugim Ostap Daszkowicz, trzecim Dymitr Wiszniowiecki, czwartym Eustachy Rożyński, piątym Wenzyk, szóstym Świergoski, poprzednik Bohdanka.

⁹ Kodeńka, rzeczka płynąca przez Halczyńiec i wpadająca do rzeki Hujwy, bierze swoje imię od miasteczka Kodni znanego ze ścinania i wbijania na pal Hajdamaków po rozbiciu Gonty i Żaleźniaka. — Tam był sąd wojskowy pod zwierzchnictwem Regimentarza Stępkowskiego — dotąd są okropne lochy gdzie więziono przestępców i ogromne mogiły w mieście gdzie chowano trupy. Głębocki podówczas dziedzic Kodni, wielką liczbę ocalił od śmierci i posadzał w okolicznych wioskach; dotąd jeszcze przechowują się rodziny Zaporozkich hajdamaków w wielu wsiach — a lud używa za przeklęcie kiedy komu złe życzy: — bogdaj ciębie Święta Kodnia nie minęła.

¹⁰ *Sukurycha* — imię jej dotąd znane i głośnie w Halczyńcu i dzieci opowiadają powieści o niej.

¹¹ Są ludzie zwani Znachorami co zdejmują zaczarowanie z osoby, z bydłą, z zabudowań i takową władzę zowią: odmawiać zmywy.

¹² *Płotka* ryba maleńka zwana płocią, nadzwyczajnie rzeźwa i zwinna.

¹³ *Żurachwiny*, jagody koloru różowo-ponsowego, gdy wystają nad śniegiem wtenczas one zbierają; nie piękniejszego jak widzieć białą powierzchnię pokrytą krwawymi jagody — a kiedy słońce błysnie cały śnieg zdaje się rumieć. W okolicy miasteczka Czudnowa w wiosce Bykówka widziałem ogromny obszar bagna, zwanego Propastyszcze pokrytego śniegiem i żurachwinami.

¹⁴ Zwyczaj jest na Ukrainie iż kiedy dziewczynie podoba się chłopiec, przypina mu kwiatek, wstążkę do czapki, albo zawiązuje zaścieszka. — Niezmiernie dobijają się o to szczęście — często przychodzi do krwawych bójk między parobkami, kiedy jeden nad drugim otrzyma pierwszeństwo tej laski od dziewczyny.

¹⁵ Użyłem wyrazu dygotać i porównania zarumienienia się gwałtownego do farby buraka — bo wyraz i porównanie zdają mi się być bardzo właściwymi.

¹⁶ Na Zaporozżu, ustawy nie pozwalały się żenić Kozakom, równie wzbraniały mieszkaniu kobietom w Siczy i o dwie mile od niej — który z młojców chciał się żenić, musiał wymazywać swoje imię z rejestru Zaporozkiego.

¹⁷ *Ślepowron* — herb rodziny Topczewskich.

¹⁸ Zwyczaj był na Kozaczyźnie, że ataman odebrawszy rozkaz od Króla i Rzeczypospolitej polskiej do zebrania Kozactwa, wychodził z domu i świsał — cymbalista natychmiast uderzył w kołód, a młojcy zbrojni stawali na miejsce zboru — z tego podania Padura umieścił w jednej z swoich dumek czarującej piękności te cztery wiersze.

A skoro Atamau swysne
Wże Kozak w łuka dzwonyt;
A skoro konia w uogach stysne
To wsi witry perehonyt.

¹⁹ *Solotwyn* wioska o pół mili od Halezynca.

²⁰ *Żurbince* także wioska o pół mili od Halezynca.

²¹ *Haylopiat*, rzeka płynąca przez Berdyczew, wpada do Teterowa.

²² *Caryna*, okop odgraniczający lany jednej zmiany pola od drugiej, albo od drogi i sianożęci; gromada całej wioski powinna poświęcić jeden lub więcej dni bez porachunku w pańszczyzną, na odświeżenie caryny.

²³ Starzy ludzie posiadający owe podania, są niezmiernie dumni i chęlni z tej wiadomości — przy zaczęciu i końcu okazują ją w wyrażeniach się — przestają używać prostego języka, a zapuszczając się w labirynt głębokich rozumowań, wtenczas marzą. — Aniby poznać można chłopca ukraińskiego, w gęślarzu w opowiadającym czasy przeszłe.

²⁴ *Pobereżnik*, gajowy.

²⁵ Sam słyszałem z ust starca Lewka, zaklinającego się na najświętsze rzeczy: że po objechaniu wioski przez Sukurychę, nieraz siedząc w kółkowrocie widział jak karetka biała, sześciu białymi końmi z furmanami i lokajami białymi, klaszcząc biczem, pędziła czwałem od Żurbiniec; ale za ledwie się zbliżyła do kola oznaczonego przez Sukurychę stawała jakby wryta. — Ludzie chychotali, nęcili do siebie i rzucali pieniądze — potem karetka nikięła, a na jej miejscu okazywał się buhaj, za nim jeździec, a w końcu biała dziewczina sama Panna Dżuma — ale wszystko nie mogło przeskoczyć kola — w całej wiosce nikt nie umarł z dżumy, a dwie chaty Petryczuków które zostawiła za rzeką wymarły co do osoby. To podanie tak było ugruntowane w wierze ludu, że wszyscy mieszkańcy z wioski przekonani byli że żadna

zaraza do nich nie mogła przystać. W roku 1830 kiedy cholera grasowała w całej okolicy ludzie Halczyńscy ufnli w czary Sukurychy, byli wolni od choroby — tu można było powiedzieć: wiara twoja zachowała ci zdrowie.

²⁶ Książd Paweł Niemiołowski dziewięćdziesięcio - kilkoletni starzec, niegdys Unitą r. 1774 był kapłanem na Zaporozżu; po zniszczeniu ostatniej sicy, przeszedł na hłahoczeszt i został parochem Halczyńca — była to kronika chodząca dziejów Kozackich, podań i pieśni ludu Ukraińskiego. Miał pamiętniki własną ręką pisane ogromnego szacunku — i książkę cerkiewnym charakterem wydrukowaną pod tytułem *Czorne More* — tam były wszelkie wyprawy Kozaków Zaporozkich i życia Atamanów Koszowych. Cnoty tego starca i wiadomości zostały głęboko wryte w mej pamięci.

²⁷ *Mandrować*, wyraz używany na Ukrainie w miejsce wędrować; oznacza on waleśania się po dalekich krainach.

KOŚCIÓŁ W GRUŻYŃCACH.

¹ Powieść ta osnowaną jest na tradycyi ludu wsi Grużyniec położonej w bliskości Winnicy. Gdzie był niegdys kościół, a który według wspomnień ludu zapadł się w czasie wojen Kozaczyzny z Polską, dziś rozlewa się ogromno bagno. Rodzina Sosenków może wymarła, ale pamięć okropnego wypadku żyje w ustach starców i dzieci gromady Grużynieckiej. Jeżeli słabe moje pióro, potrafiło nadąć jakąś wartość temu wypadkowi, miło mi jest wyznać iż całą treść tej powieści winienem Pannie Konstancyi Sarneckiej, której rodzina posiada na teraz wieś Grużyniec.

² Szlachta Polska od wiecznych czasów i dziś niezaprzeczenie trzymająca pierwsze miejsce między szlachtą całego świata, tak co do swoich usposobień umysłowych, jako co do pojmowania ludzkości, spodziewam się nie weźmie za satyrę przeciwność niej wymierzoną, kilku słów o śmiesznościach herbów, genealogii, i rodowitości. W wieku jakim żyjemy, te błyskotki dziecinne stały się monetą wyszarzaną bez wartości — w szlacheicu szukamy przymiotów szlachetnej duszy, a nie biegniemy do Niesieckiego i Paprockiego radzić się jak dawno ród jego został uszlacheconym i jakie znamiona wypisane na tarczy jego herbu.

³ Trzeba to wyznać że przodkowie nasi nadzwyczaj surowo obchodzili się z kobietami. Ciągłe wojując i mając do czynienia z wschodniemi Narodami, gdzie uznawano niewiasty za niewolnice, jeżeli nasi Ojcowie nie wprowadzili barbarzyńskiego zwyczaju zamykania kobiet, to przynajmniej okazywali to jawnie że są Panami samowładnymi w domu — a mąż któryby zezwolił na najzdrowszą radę swej żony, okrzykniętym bywał za słabą istotę i nadawano mu niemile miano: chodzącego w spodnicy. Minęły te czasy, zmieniły się obyczaje; dzisiaj kobiety polskie używają większej wolności jak w innych ludach Europy, widzimy to na własne oczy. Wyjąwszy wielkich magnatów, w Francyi, Anglii i Niemczech, żony są pod stokróż większym rygorem mężów jak u nas. O Polkach pełnych zalet i przymiotów, pod wszelkiemi względami można powiedzieć, że rej wodzą w domu i za domem — jeżeli wiele tego nie robi, to dla tego że nie chce; przyczyna leży w braku chęci, nie zas w braku możności. Systemat zatem naszych przodków postęp oświaty został zupełnie zmienionym, przewróconym.

⁴ Są to nieładne figle uprzywilejowanych Panów nie tylko Polski ale

całego świata. Nie leżą one w sercu Szlachty, ale snują początek z zastarzałego nalogu; wszystko się przeistacza, wiele złych rzeczy usunięto, a trzeba mieć nadzieję że uderzywszy się w piersi poprawimy się całkowicie.

⁵ *Bizun*, tak zwal się po staropolsku bat do chłostania przestępnych chłopów. *Husak*, dwie kłody z dziurami przedrażonemi na nogi. Pijaków, złodziejów, zbiegów i innych winowajców prowadzą do miejsca gdzie się znajduje husak, a wsadziwszy nogę jedną w otwór, przynikają kłody, tak iż nie może jej ztamtąd wymknąć — tam czeka dekretu pańskiego; jest to rodzaj aresztu.

⁶ Ten zwyczaj połączenia wystawy zbytkowej z oszczędnością, po wielu domach pół-panków jeszcze do dziś dnia jest zachowanym.

⁷ *Bekiesza*, wierzchnia suknia nakształt czamary, używana przez kobiety ukraińskie, powszechnie jest koloru granatowego podbita amarantem, ozdobiona srebrnemi lub złotemi galonami.

⁸ Oprócz Zaporozża podzielonego na kurenie, Kozaczyzna zadnieprzańska i przednieprzańska podzielona była na pułki, niejednostajnej wielkości co do ludzi. Pułki te w większej części składały się z piechoty, mając przy sobie oddziały jazdy; później niektóre formowały samą jazdę. Stefan Batory podzielił Ukrainę na dziesięć pułków: każdy pułk zajmował pewien obszar kraju; mieszkańcy w nim objęci na zawołanie Atamana zbierali się do pułku. Nazwisko pułków brało początek od miast gdzie był punkt zbierania się i kancelarja pułkowa — i tak, dziesięć początkowych pułków zwalo się: Starodubowski, Czernigowski, Nizyński, Kijowski, Perejaslawski, Przylucki, Lubniański, Hadycki, Mirgorodzki, Pultawski. Jazdy z Stefana było dwa tysiące, utrzymywanej na koscie Rzeczypospolitej z podatku kwarcianego. Później liczba pułków mnożyła się. Chmielnicki w roku 1654 poddał się Rosyji z piętnastoma pułkami, rachującemi 37549 głów ludu zbrojnego.

⁹ *Wereszczaka* rodzaj sosu z octu, mąki i słoniny używany do kielbas.

¹⁰ *Smalone duby prawic*, znaczy pleść o lekkich rzeczach, do których utworzenia więcej wpływa bujność wyobraźni, jak rozumowanie opierające się na rzeczywistości. — Taklemi rozmowami najczęściej podbija się serce plei pięknej, i tu tylko można najskuteczniej wypakować swój dowcip. Bynajmniej nie chcę ubliżać plei pięknej, przekonany jestem że kobiety a szczególnie Polki, umieją rozmawiać i dysputować — ale jest to rzeczą naturalną iż przyjemniej się czyta pisma Pani Dudevant, Pani Rejbaud, jak głębokie uwagi La Bruyera, Bucheza — albo uczony estetyzm barona Eksztejna.

¹¹ Napady cudzoziemskich potraw na polskie stoly, zamilowanie tak dalekie cudzoziemskiej kuchni, iż jeden z autorów Pau Henryk Hrabia Krański, opisując czasy za panowania Zygmunta Szweda, kazał Polakom pożywać befsztek z kartoflami, choć kartofli jeszcze w Polsce nie znano; dobrze, że nie *au beurre d'anchois* albo *à la jardinière*, wznieśli we mnie strach żeby nie zapomniano o sztufadzie, o hauszpiku prosięcym, i t. d., i t. d. Pozwolilem sobie wyliczyć kilka potraw polskich. Wino węgierskie, stare, butelkowane, stojąc długo w lochu, obrasta mchem do koła, a butelka przybiera formę czworograniastą — sam widziałem takie butelki u Generalowej Karwickiej i u Seweryna Zaleskiego na Wołyniu; a u Feliejana Głębockiego w Kijowskiem — zaręczano mnie że wino miało więcej 150 lat. Ostatniemu, Żydzi handlarze winni z Czernozyła ofiarowali po 10 czerwonych złotych za butelkę — nie masz prawie domu zamożnego w Polsce, gdzieby nie było starego wina węgierskiego.

¹² Są to toasty używane w prowincjach ruskich: szczyby lycha niezmaty,

szechoby swoim pluhom oraty. — Są ludzie tak obficy w wynachodzeniu nowych toastów, iż prędzej zabrakłoby wina w najobfitszym lochu, jak im twórczej myśli — ci ludzie są wielce cenieni na biesiadach.

¹³ Nie myślę tu skreślać historii Bohdana Chmielnickiego; życie jego lepiej jest znanem w świecie jak życie wszystkich innych Atamanów Kozaczyzny, daleko więcej mających prawa aby przejść do potomności. — Pisarze jedni, robią go wielkim zbrodniarzem — drudzy wielkim człowiekiem. Według mego zdania, nie miał on tła potrzebnego do wielkości — chytry, przewrotny, ambitny, ale memający hartu duszy, chwycający się w postanowieniach, nieśmiały na krok wielki. — Jako kozak, nie chciał on nigdy dobra Ojczyzny swojej; przerzucał nią z rąk do rąk, od Polski do Rossji; ofiarował Cesarzowi Niemieckiemu, Sultanowi Tureckiemu, Hanowi Tatarskiemu, byle który chciał z niej utworzyć państwo dla niego i jego rodziny — jak to dowodzą listy jego własnoręczne pisane do tych dworów. Był oddzielny Kozaczyzny był dla niego rzeczą podrzędną: nowe państwo, dla rodu Chmielnickich, główną. Jako Chmielnicki chcący władzy, berła, był bardzo mały, nie miał siły umysłowej aby je wziąć, chciał aby mu je dał mocniejszy od niego. — W nieszczeńciu nie brakło mu wybiegów, ale w szczęściu brakło śmiałości — a w jednym i drugim dobrej wiary. Nie miał on, ani enoty i wielkich przymiotów Konaszewicza, ani hardości Szacha, ani tęgości duszy Skalozuba — natura wlała weń wszystko co jest potrzebnem do utworzenia szalbierczego dyplomaty, pracującego pod skrzydłem Pana — a ślepy los niewłaściwie wsadził go na Atamanstwo ludu hardego, bohaterskiego. — Wypadki chciały go gwałtem zrobić Napoleonem, ale on nim się nie stał, bo natura go utworzyła Tallejrandem.

¹⁴ Czaplński podstarosta Czehryński trudniący się interesami Koniecpolskich, zajechał młyn i sinnożęcie należące do Sobotowa wsi dziedzicznej Chmielnickiego; ztąd spory w sąsiedztwie, które skończyły się napadem na dom Chmielnickiego, zgwałceniem jego żony, obiciem syna Tymofeja i uwięzieniem samego Bohdana. — Za pomocą Pani Czaplńskiej opuścił Chmielnicki więzienie i schronił się na Zaporozie. Nieuzyskawszy sprawiedliwości w grodach polskich, na Rzeczypospolitej zaprzysiął pomścić krzywdy doznanej od jednego Polaka — czyli raczej chwycił pozor na spełnienie ambitnych zamiarów panowania Kozaczyźnie. — Po śmierci swej żony pojął za małżonkę wdowę po podstaroście Czaplńskim.

¹⁵ Traktat Zborowski zawarty 1649 roku był tej treści:

1. Król Jan Kazimierz udzielił przebaczenia ogólne Kozakom i chłopom zbuntowanym; najsolenniej przyrzeka całą przeszłość puścić w niepamięć.
2. Chmielnicki będzie błagał przebaczenia Króla na kolanach.
3. Chmielnicki zostanie nadal Atamanem — wojsko Kozackie zwiększy się do 40 tysięcy; nie będzie zależało tylko od Króla, jednak Chmielnicki jako szlachcic polski złoży hold Rzeczypospolitej.
4. Król będzie miał rejestr imion i mieszkań ludzi składających wojsko Kozackie — po śmierci Chmielnickiego Kozacy obiorą sobie innego Atamana wyznania Greckiego.
5. Wojsko polskie oblężone w Zbarażu przez Kozaków, zostanie uwolnionem od oblężenia.
6. Religja wyznania Greckiego może być wyznawaną po całym królestwie nawet w Krakowie. — Połączenie kościoła Greckiego z kościołem Rzymskim nie nastąpi.

7. Województwo Kijowskie na zawsze będzie miało Wojewodę wyznania Greckiego.
8. Metropolita Grecki będzie miał dziewiąte miejsce w Senacie między Biskupami Łacińskimi.
9. Kozacy w wszystkich miejscach swojego pobytu będą mieli wolność na swój użytek, nie zaś na sprzedaż.
10. Rzeczpospolita dostarczy sukna na ubiory wojska Kozackiego i wyliczy każdemu żołnierzowi 10 złotych polskich na kosztą uzbrojenia.
11. Szlachta nie będzie miała prawa ani poszukiwać, ani prześladować swoich poddanych za połączenie się z Kozakami i należenie do wojny przeciw Polsce — także: nie będzie domagać się wynagrodzenia za szkody poczynione wojną w swych majątkach.
12. Szlachta wyznania Greckiego i Łacińskiego, zostająca w czasie wojny przy Atamanie, w służbie Kozaczyzny nie będzie prześladowaną — ale natychmiast oczyszczoną z winy.

¹⁶ Po traktacie Zborowskim nastąpił pozorny pokój, ale ani jedna, ani druga strona nie dotrzymywała warunków umowy. — Szlachta polska podbetywana namowami Jezuitów jak mogła nękała Kozactwo i poddanych — targala się na wyznanie Greckie i Senat ani chciał słyszeć o przypuszczeniu Metropolity do swego łona — z swej strony Chmielnicki zbroił się i zawierał pakta z Hanem Perekopu, z Sultanem — zła wiara obu stron przyprowadziła do krawej i zgubnej wojny.

¹⁷ Opowiadanie Lanerego wzięte jest całkowicie co do treści z *Guerre des Cosaques par Chevalier*. — Przesadzenie zaś zwycięstw swojej strony jest tak naturalnem, iż je każdego dnia napotykanymy nie tylko w ustach prywatnych ludzi, ale nawet w raportach rządowych. Zero, to cyfra tyle znacząca zawsze się dodaje stratom nieprzyjacielskim, swoim zaś się ujmuje; i Pan Lanery nie był świętym prawdomówcą. Okrucieństwa Czarnieckiego popelniane na Ukrainie ogromną szkąę zostawiły jego imieniowi.

¹⁸ Mikołaj Potocki Wielki Hetman Koronny był jednym z najenotliwszych ludzi w Polsce, i najlepiej pojmujący potrzebę Ojczyzny. Niepomny na zemstę śmierci syna, ale pomny na dobro kraju, zawarł w Białej Cerkwi 29 września roku 1651 z Kozakami umowę treści następującej:

1. Przez wzgląd na poddanie się wojska Zaporozkiego i przyrzeczenie zachowania wiernie przynierza wiecznego z Królem i Rzeczpospolitą Polską, wojsko Kozackie ma być złożone z 90 tysięcy; kwaterować ma w Województwach: Kijowskiem, Braclawskiem i Czernigowskiem w dobrach Królewskich; szlachekie mają być wolni od kwaterunku — zaciąg żołnierzy należy do Atamana i Starszyny Kozaczej.
2. Gdyby który poddany szlachecki wciągnął się w rejestr Kozactwa, winien natychmiast przenieść się do dóbr Królewskich w Kijowskie — dobytek swój ruchomy i nieruchomy ma sprzedać, bez przeszkody ze strony starostów i podstarostów.
3. Rejestr wojska Kozackiego będzie posłany Królowi, kopja złożona w Archiwach Kijowskich — poddany wymazany z rejestru wraca do dawnych powinności — ci zaś co umieszczeni zostaną na nowym rejestrze, na wieczne czasy używać będą z potomstwem przywilejów Kozackich.
4. Wojsko polskie nie będzie mogło kwaterować w Województwie Kijowskiem ani w miejscach przeznaczonych dla wojska kozackiego — jako też kozackie wyjdzie z Braclawskiego i Czernigowskiego po bożem narodzeniu, dnia w którym się skończy winien wpis rejestru.

5. Szlachta może wrócić do swoich dóbr i onych używać, z warunkiem niewymagania żadnej powinności od chłopów wpisanych w rejestr wojska kozackiego.
 6. Chmielnicki i jego następcy używać będą miasta Czehryna na swój przychód — mają prawo mianować starszyznę wojskową i przyrzekają uległość Wielkiemu Hetmanowi Koronnemu który ze swej strony zaręcza im wszelką pomoc.
 7. Zastrzeżenie wolności Greckiego Wyznania. — Biskupom i całej hierarchii cerkiewnej zabrane dobra mają być zwrócone.
 8. Szlachta wyznania Greckiego i Rzymskiego która walczyła w szeregach Kozaczyzny przeciw Polsce zachowa przywileje, cześć i dobra — a sądy na nich wymierzone zniszczeniem zostaną.
 9. Żydzi będą mieli prawo mieszczaństwa w dobrach Królewskich i Szlacheckich tylko, i tam tylko one mogą wydzierżawiać.
 10. Tatarzy opuszczą natychmiast Ukrainę. — Chmielnicki obiecuje nakłonić ich do służby polskiej — gdyby mu się to nie udało, przyrzeka onych wależyć Kozakami; ani z nimi ani z ościennymi mocarstwami w żadne umowy wchodzić nie będzie — zostanie wiernym Rzeczypospolitej polskiej, która tyle dobrego zrobiła Kozaczyźnie.
 11. Ponieważ nigdy nie było na straży granic litewskich wojska kozackiego, a zatem i teraz nie będzie — zostanie tylko na Ukrainie i w Województwie Kijowskiem.
 12. Ponieważ w mieście Kijowie jest Metropolita i Trybunał, mało Kozaków ztamtąd zaciągać się będzie do służby rejestrowej.
 13. Dla większej wagi umowy komisarze stron obu przysięgą ją ztwierdzać. — Wojska polskie i Zaporozkie usuną się na swoje leże, a Kozacy wrócą do domów.
 14. Chmielnicki od Kozaków i wojska Zaporozkiego wysła deputowanych do Króla i Rzeczypospolitej dla podziękowania za odebraną łaskę.
- Obiedwie umowy dosłownie przełożone z dzieła P. Chevalier *Guerre des Cosaques*; w ostatniej mowa o Zaporozcach, bo Chmielnicki pobity pod Beresteczkiem do nich się udał i na ich czele rozpoczął nowy bój.

¹⁹ Ludzi rażonych piorunem natychmiast zakopują po szyję w ziemi; ten sposób często przywraca życie.

MÓDLMY SIĘ A BŁJMY.

¹ Kijów jest prawdziwą kolebką Sławiańszczyzny — tamtędy przepływały ludy Sławiańskie rozlewając się po Europie. Żadne miasto nie doznało tyle napadów, nie było świadkiem tylu zmian co Kijów. Jest coś dziwnego w położeniu, w powietrzu, w budowie miasta, że każdy Sławianin czy to z nad brzegów Dunaju, czy Wisły — czy z gór Karpackich lub Czeskich, z po nad Morza Adrjatyckiego czy Bałtyckiego wjechawszy doń — przenikniony jest uczuciem poszanowania dla tej kolebki swego rodu — nieraz mi się zdarzyło mówić z Sławianami różnych krajów, każdy na to się godził że Kijów jest Arcy-Sławiańskiem miastem.

² Na Ukrainie są obchody religijne zmieszane ze wspomnieniami narodowemi — na nich po nabożeństwach odbywają się biesiady i tany. Czudo Michałła jest głośnym obchodem w początkowych dniach października — na

całej Ukrainie Święty Michał jako wojownik, gromca czartów, jest w wielkim poszanowaniu — obchód jego uroczystości pod godłem cudo-Michała jest świętem narodowym — po wsiach i miastach obchodzą prazniki. Słowo *praznik* oznacza odpust, nabożeństwo i uctę razem z sobą złączone.

¹ Zwyczaj w Greckim obrządku, otwierania Carskich Wrót i nagłego okazania przybytku gdzie odprawia kapłan mszę, oprócz tradycyjnej wierności, przemawia za sobą tem, że w ludzie sprawia pewien rodzaj głębokiej czci dla Bóstwa.

² *Czerncy*, zakonnicy obrządku greckiego — oni jedni w kościele greckim są bezzenni. — Klasztorów Czernców jest bardzo mało na Rusi, a Czernie zakonnice jeszcze mniej.

³ Konaszewicz Piotr, przezwany Sahajdacznym, jest bez zaprzeczenia największym człowiekiem Kozaczyzny. Był Atamanem 24 lata, dwoma nawrotami; pierwszą razą złożywszy urząd, udał się do Kijowa, gdzie przybrawszy suknie Czernca oddał się z całym zapalem służbie Bożej — prztem był on przelożonym Akademii Kijowskiej Jedynej wówczas na całej Rusi.

⁴ Dziewczęta Ukraińskie w swoich strojnych ubiorach zawiązują w okolo skroni ogromną ilość różnofarbnych wstążek, końce ich spływają na plecy.

⁵ Żadna uroczystość nie może się obejść bez Znacherek; one to przepowiadają przyszły los dziewczętom i młojcom; przepowiadanie to odbywa się rozmaitym sposobem: albo śledzi okiem na dłoni zagięcia i kąty składów ręki i z nich przepowiada przyszłość — albo wylewa воск, albo wyrzuca bób i soczewicę, i t. d.

⁶ Bilgorodka o dwadzieścia werstw od Kijowa na drodze z Radomyśla — miasteczko liche — ale tu niegdyś była granica między Rusią należącą do Polski a posiadaną przez Książąt Ruskich — po oddaniu Rosji Kijowa przez Polskę tu była granica. — Między nią a Kijowem leży wał zwany od niektórych walem Trajana — tradycja ludu powiada że Żmija, Wódz Kozarów czyli Hazarów posiadający naówczas Kijów, kazal usypać ten wał niewolnikom Pieczyngskim dla zaslonienia się od napadu Drewlan i Iskorosćian.

⁷ *Pieczary*, lochy podziemne po nad Dnieprem; podanie mówi że łączą się pod ziemią z pieczarami Moskiewskimi, jednak nikt tego nie dowiódł. Ślad ich założenia ginie w odmęcie przeszłych wieków. W pieczarach Kijowskich znajduje się do dwustu ciał świętych i prepodobnych (błogosławionych) — mnichy tamtejsi ciągną ogromne zyski z pokazywania onych ciekawym a jeszcze większe z ofiar składanych przez lud pobożny — trzeba oddać sprawiedliwość mnichom że pieczary są bardzo porządnie i chędogo utrzymywane.

⁸ Wszyscy Czernce noszą wasy: ustawy klasztorne pozwalają.

⁹ Bessarabja dzisiejsza zwala się Bodziakiem. Seraskier Bałty miał nad nią zwierzchnictwo, zawsze jednak należała do posiadłości Hana Perkopu.

¹⁰ Borodka, człowiek słabego ducha a chciwy złota, obrany Atamanem po złożeniu tego urzędu przez Konaszewicza — za pośrednictwem hetmana polnego Księcia Lubomirskiego zaczyna wchodzić w układy z Zygmuntem III, któremu obiecuje silnie dopomóc do wprowadzenia wiary katolickiej na Ukrainę — i zamienienie ludu Kozackiego w poddaństwo. Częste listy odbierane z Krakowa i walęsanie się przebranych Jezuitów po Ukrainie zdradziły knowania Atamana — niektórzy ze starszyzny świadomi schronienia Konaszewicza udają cię do niego po radę i pomoc. — Konaszewicz bez naj-

mniejszego wahania się rzuca suknie misze. Jedzie do Kaniowa i tam własną ręką przebija Borodkę — a zamiast ogłoszenia nieposłuszeństwa i wojny Rzeczypospolitej Polskiej (jak się spodziewano), prowadzi 30 tysięcy Kozaków w pomoc Polakom stojącym obozem pod Chocimem — tam wojsko Kozackie przebiwszy linje Tatarów łączy się z hufcami Polski, i dokazuje cudów waleczności. Napad Kozaków na obóz Tatarski był najcenniejszą przyczyną dla czego Turcy przystali na zawarcie traktatu ze wszech miar korzystnego dla Polski — (patrz: Bantysz Kamiński, Scherer, Lesur) Historycy Polscy w tem miejscu oddają sprawiedliwość Kozakom. Poszukiwania uczonych Małorosjan Uniwersytetu Charkowskiego powiadają, że w całej Europie podówczas nie było tak pięknej i tak porządnej jazdy i piechoty, jaką miała Kozaczyzna pod atamaństwem Konaszewicza. — Z tego to pięknego wojska Król Zygmunt zaprzepścił ośm tysięcy jazdy, posyłając w pomoc swemu pokrewnemu Cesarzowi Niemieckiemu. — Jazda Kozacka znana była w wojnie trzydziestoletniej pod imieniem Lisowczyków — pisarze polscy ciągną początek tego nazwania od niejakiego Lisowskiego, rotmistrza, który miał nią dowodzić — pisarze zaś Ruscy powiadają; że ta jazda pochodziła z za lasów Smilańskich. Zaporozce ją zwali Lisowczykami od lasu w języku Ukrainiskim zowiącego się lis — to zdanie ma za sobą prawdę, bo już daleko później w opisach wojen Zaporozkich czytamy, że Doroszenko miał jazdę Lisowczyków z okolic Czernobyla polesia Ukrainiskiego. — Do Atamana Mazepy i Konstantego Horodeńskiego Atamana Koszowego Zaporozia, dzielących losy Karola XII. przybyło kilkaset koni Lisowczyków z pód Smily — ztąd jasnie się okazuje, że Kozacy zwali żołnierzy z okolic leśnych Lisowczykami.

¹³ Opuszczenie Atamaństwa przez Konaszewicza i powrót do Czernew są historyczne — wkrótce w tem ustroniu umarł. — Kozacy tak głęboko byli zasmuceni jego oddaleniem się, iż przez dwa lata nie obierali Atamana; starszyzna sama rządziła, a wysyłając wojsko na wyprawy Tatarskie naznaczała im Watażków — po dwóch latach obrany został Atamanem Jarosz. — Na obydwów Ukrainach z prawego i lewego brzegu Dniepru, na Zaporoziu, plakano śmierci Konaszewicza jak śmierci ojca — a do dziś dnia pieśni, powieści i wspomnienia ludu brzmią imieniem Sahajdacznego.

WYPRAWA NA CAROGRÓD.

¹ Zwyczaj obierania Atamanów na Kozaczyźnie. Zgromadzeni mołojce na miejscu obrad, na znak przyzwolenia, wyrzucali czapki w górę, wołając: *Niech żyje Ojciec Ataman!* i wymieniali imię wybranego.

² *Starszyzna.* Każdy kureń Zaporozia, każdy pułk Ukrainy, wybierał pewną liczbę ludzi zasłużonych czynami ojczyźnie, posuniętych w wiek doświadczenia; ci udawali się do stolicy Kozackiej, i tam składali radę starszych przy boku Atamana. W czasie pokoju ta rada była potężną, ona rządziła całym narodem, i Ataman jej był podległym, musiał zdawać sprawę swoich czynności. W czasie wojny ona podlegała Atamanowi, którego władza była naówczas władzą dyktatorską. Wybory odbywały się co dwa lata pierwszego stycznia. *Starszyzną* także zowią wszystkich urzędników wojskowych począwszy od sołnika.

³ Przystawie Ukrainiskie, oznacza że wypije ale nie wyleje za kołnierz.

⁴ *Molodyca*, po Ukrainku męzka.

⁵ *Czajka*, czołno Kozackie używane do wypraw morskich.

⁶ *Podkowa*, Ataman Kozaczyzny, bez wiedzy i woli Króla Stefana r. 1577 wpada na Wołoszczyznę, wypędza Wojewodę Piotra z gospodarstwa. Zuwezany przed sęd Królewski do Kamieńca i tam ścięty — (patrz: *Histoire des Kosaks par Lesur*).

⁷ Wolno było wpisywać się w rejestr Zaporozców, nietylko Kozakom ale i przybyłcom z innych krajów; jak równie chcącym się żenić wolno było wymazać się z tegoż rejestru (patrz: *Starszyna Zaporozkaja*).

⁸ Każdy kureń Zaporozki miał swego Atamana. — Kurenia Zaporozza oznaczaly się nazwiskami przybranemi od miast, narodów, lub imion Atamanów; było ich w ostatnich czasach istnienia Kozaczyzny 38, jak to: Lewuchski, Dziąfkowski, Klaskunowski, Brzuchowiecki, Wedmedowski, Blatnrowski, Paszkowski, Kustrzewski, Kiślakowski, Iwanowski, Konelewski, Serykowski, Doński, Krilowski Konewski, Baturyński, Popowiczewski, Waturyński, Nefawszowski, Irklujewski, Czerbinowski, Tatarowski, Skureński, Karmański, Rogowski, Korsunowski, Kanibalicki, Kurmiński, Demianczewski, Stelewski, Szerolewski, Perejasłowski, Pułtawski, Michałowski, Mirski, Tymoszewski, Weliczowski. W początkowych wiekach Kozacy prawie wszyscy walczyli pieszo, później niektóre kurenia były konne, inne zostały piesze; w końcu wszystkie przeszły na jazdę. Kureń liczył od 500 do 1000 ludzi.

⁹ *Krasny-Staw*, w Lubelskim, dawne mieszkanie rodziny Zamojskich.

¹⁰ *Bis*, W ukraińskiej mowie służy na oznaczenie djabła.

¹¹ *Smita*, miasteczko w Kijowskim: okolica lesista, słynie borami sosnowemi; lud zowie je *Smitańszczyzna*.

¹² *Wałka*, zbiór podwód, łodzi, wołów; i t. d.

¹³ *Maża*, wóz duży, ładowany, używany powszechnie do przewożenia soli.

¹⁴ Stepy Akermańskie oddzielały Kozaczyznę od posiadłości tureckiej nad Dniestrem, zwanej *Baszostwo Akermańskie* czyli *Bielogrodzkie*.

¹⁵ Tatarów Krymskich zwano *Perekopczykami*, od nazwiska Krymu Perekop.

¹⁶ *Szczebiewiszcza*, wojskowa wyspa na Dnieprze, gdzie był arsenał Kozaczy.

¹⁷ *Rusznica*, tak zowią na Ukrainie długie strzelby z małym wylotem.

¹⁸ *Oczeret*, trzcina na stawach i rzekach; tak ją nazywają na Ukrainie.

¹⁹ *Chortycza*, wyspa gdzie była naówczas sieć czyli secza Zaporozka.

²⁰ *Watażka*, przywódca.

²¹ *Assawula*, adjutant.

²² *Teterów*, rzeka odgraniczająca Wołyń od Ukrainy.

²³ *Chorąży*, urzędnik wojskowy noszący w czasie boju i na uroczystych obchodach chorągiew Kozaczyzny.

²⁴ *Buńczuczny*, urzędnik wojskowy noszący buńczuk Atamański, sztandar z ogona końskiego.

²⁵ *Cymbalista*, także urzędnik. Miał przy sobie kociół wojenny, stał przy Atamanie, i brzęczeniem w kociół dawał znak natarcia i odwrotu; on także zbierał na obrady i uroczystości starszyna i molojców Kozackich.

²⁶ Powszechny gust do Jajła Ukraińskiego maluje się w tej gadce: *nymaje mięsa nad swynynu, ryby nad tynynu, krupy nad jajła, jahody nad sływku*.

²¹ Kozacy nienawidzili Jezuitów i nazywali onych zwyczajnie *Wycuwitami*.

²⁹ Piotr Konaszewicz Sahajdaczny największy bohater Kozaczyzny, był człowiekiem wstrzemięźliwym, pobożnym, surowych obyczajów; nie tak zaś jak malują niektórzy Polscy pisarze nieświadomi rzeczy ojczystych, zaślepieni fałszywem pojmowaniem Narodowości.

³⁰ Kozacy za dawnych czasów zbroili się kosami, osadzonemi na prawice (patrz: *Guerres des Cosaques par Chevalier*).

³¹ Kozacy do przerwania łańcuchów, któremi Turcy zastawiali ujście Dniepru, używali drzew dębowych z gałęziami i liśćmi i takowe gnali przed sobą.

³² *Brat konia*, we wszystkich pieśniach Ukraińskich napotyka się wyrażenie *brate koniu, brate sokole*; jako wojak, Kozak uważał brata w koniu; jako myśliwy, toż nazwanie dawał Sokolowi.

³⁴ *Wielki Zug*, wyspa za porohami obrośnięta sitowiem, lożną i oczereciem. Koło niej mnóstwo splawów, poniżej zaczynają się limany; tam kryły się czajki kozackie dniem przed wyprawą na Morze Czarne.

³⁴ *Kizikiermen*, dzisiejszy Kimburg.

³⁵ Budowa czajek, żegluga Dnieprem i przerwanie łańcuchów tamujących wyniszczenie na Morze Czarne, osnowałem podług podania znachodzącego się w książce maloruskiej pod tytułem: *Czorne More*.

³⁶ *Atłach Bóg, Resiutach Prorok*, zwyczajny okrzyk Muzułmanów.

³⁷ Natolczycy nazywają boga *Tanri*, Arabowie *Hakk*.

³⁸ *Kizlar Aga*, dowódca rzezańców.

³⁹ *Diennet* raj Muzułmański.

⁴⁰ Turcy dają przezwiska wszystkim narodom, i tak. Kozaków zowią *Szajtan*, djabeł: Polaka *fodal dżaur*, próżny chelpliwy chrześcianin, i t. d.

⁴¹ *Ekirsaraj*, Koszary Janczarów.

⁴² Na przedmieściu Eliub mają swoje kwatery Spahowie, jazda Turcka.

⁴³ *Orta-kapuzy*, brama prowadząca do arsenału. Wojskowa brama.

⁴⁴ *Sandżiar*, sztandar Sultański.

⁴⁵ *Pera*, *Kasym Basza*, *Galata*, przedmieścia wschodnio-północne Stambułu.

⁴⁶ *Kapudan Pasza*, wielki admirał.

⁴⁷ *Serdenieszci*, zgbne dzieci: najcelniejszy hufiec wojska Ottomańskiego, mający za hasło *śmierć lub zwycięstwo*; nigdy nie oddają się w niewolę, nie żebrają życia. Po większej części składali się z Czerkiesów i z przechodzących na wiarę Muzułmańską chrześcian; byli to ludzie łwiej odwagi, a tygrysięgo serca.

⁴⁸ *Dżaur*, chrześcianin, pies niewierny.

⁴⁹ *Aman* — francuzki pardon. — Sławiańskie ludy nie mają w swoim języku używanego wyrazu na uproszenie życia.

⁵⁰ *Top Kapuzy*, zachodnia brama Konstantynopola; tamtędy weszli Turcy po raz pierwszy.

⁵¹ Cała odpowiedź Szacha jest historyczną — powyrzucalem niektóre wyrażenia za nadto grube; można ją znaleźć po książkach ruskich, piszących o Kozaczyźnie, po rękopismach znachodzących się u wielu obywateli Ukrainy. Ja ją czytałem w jednym z takowych rękopismów, a później w piśmie wydawanym w Charkowie przez miłośników języka ruskiego.

⁵² *Ha'yszeryf* albo *szatyszeryf* reskrypt Sultana, upoważnienie.

⁵² Zwyczaj przysięgania u Tatarów, który używali Turcy w zawieraniu sojuszków z Kozakami.

⁵⁴ *Neżda*; tak zowią Turcy ród koni arabskich mniejszych, nadzwyczajnie szybkich w biegu i dzielnych do wojny.

⁵⁵ Historyczne; obraz ten zawieszonym był w cerkwi Sicy przez Komaszewicza.

⁵⁶ *Szeddar*, instrument Azjatycki podobny do teorbana.

⁵⁷ *Czwanić się*, chwalić się; wyraz używany na Ukrainie.

⁵⁸ *Babi humajum*, brama wysokiej porty prowadząca do Seraju. *Giersz* port gdzie stały powszechnie bajdaki.

⁵⁹ *Sicz* czyli *Secza* stolica Zaporozża, tam mieszkali wszyscy Zaporozżczycy. Miasto podzielone było na kurenie — całe drewniane, otoczone ostrokołem drewnianym w miejscu wałów.

⁶⁰ *Susłyk*, miara używana na Ukrainie.

⁶¹ Sławny dzwon w Sicy lau z czystego srebra, był ze zdobyczy zrobionej przez Atamana Szacha. Dzwon ten roku 1774 przewiezionym został do Petersburga i przerobionym w mennicy na pieniądze.

⁶² Kochankiem róży w poezjach wschodnich jest słowik zwany *bulbul*.

SKAŁOZUB W ZAMKU SIEDMIU WIEŻ.

¹ Jest zwyczaj u Turków stosownie do przymiotów i przywar fizycznych lub moralnych jakie posiada osoba, nadawać przezwiska. Człowiek okrutnego serca zwany jest *Kaplanem* od tygrysa *Kaplan*. — Sultana powszechnie zowią *Arstan* lew — a dzieci Sultańskie lwiątką *arstana*. Te przydomki narodów i osób robią po większej części niezrozumiałymi dla uczonych europejczyków tradycje historyczne przechowane w rękopismach: lwy, tygrysy wojujące z djablami, w dobrej wierze twierdzą być powieściami wschodniej wyobraźni, to co jest podaniem historycznym. — Książę Kantemir w swojej historii o potęgę Państwa Otomańskiego, pierwszy zwrócił na to uwagę, poodkrywał wiele przenośnych znaczeń — ale praca jego nie jest wykończoną. Zostaje do życzenia aby towarzystwo poświęcone językom wschodnim, wysłało zdolnych i pracowitych członków do zajęcia się poszukiwaniem — wielkie by się tam światło rzuciło na historję Turcy i ludów z nią wojnę prowadzących.

² *Pilaf*, ryż gotowany z baraniną, potrawa ulubiona przez wszystkich wyznawców wiary Mahometa.

³ Kolor zielony, oznacza u Muzulmanów osobę wielkiego rodu, połączoną krwią z Sultańską rodziną.

⁴ *Szyfat*, tak zowią Turcy Żyda, pies podły, nieczemnik, plugawiec. — Mówiłem w przypisach do powieści drugiej o przydomku danym Kozakom i Polakom dla okazania jak jest ważną dla historii znajomość takowych przezwisk. Przytaczam tu niektóre które mi Turcy w tradycjach pismiennych i ustnych oznaczają rozmaite narody. — Tatarów *Laszjezi* albo *laczjici*, zjadacze ścierwa — Indian *Dilenci* doktory — Arabów *Akylisz* wściekli — Greków *Bojnuz* *Sizkojun* barany bez rogów. — Albańczyków *Zigerzi* prze-

dawacz płuc. — Mieszkańców wysp *Dziemi* pieniające morsej. — Mieszkańców płaszczyzn *Araba*żi woźnice, poganiacze. — Moldawanów *Bogdani Nudan-Bogdani* nieludczy. — Bulgarów Serbów, *hajduk* złodzieje. — Raguzanów *Szuso* szplegi. — Bośniaków *Patur* niszczycciele. — Moskali *Ruzinenzius* zła dusza. — Niemców *Gurur Kiajr* zuchwały bluźnierca. — Wenecjan *Bali-kiz* rybacy. — Włochów *Fireng hezarreng* ludzie różnych kolorów. — Francuzów *Ajnezi* chytrzy. — Holendrów *Pejnerzi* kupce sera. — Anglików *Prokazi* wyrobniicy wełny. — Hiszpanów *Tembel* leniwece, i t. d.

⁵ Kozacy często wpadali na brzegi Turcji Azjatyckiej; w tych swoich wyprawach zawsze się trzymali brzegów i mielizn gdzie łatwo żeglowały ich czajki, a gdzie żaden okręt wplynąć nie mógł. Dniem spoczywali, a nocą plynęli. — Bentinek (w swoich uwagach nad historją hanów Tatarskich) w nocie o Kozakach powiada: — nieustraszeni w boju, przezorni w wybiegach, żaden naród nie mógł ich w tem prześcignąć; na Morzu Czarnem nieraz całą flotę męczyli próżnemi gonitwami, a najgrowszy się do woli, wracali między swoje kryjówki bogaci zdobyczą.

⁶ W czasie wojny Ataman nie był obowiązany zwoływać rady ze starszyny wojskowej; jego władza samowładna nadawała mu wolę rządzenia wojskiem jak się podoba. Jednakże zbieranie rady wydarzało się dosyć często jak to widzimy w Starynie Zaporozkiej i w innych pismach dotyczących się Kozaczyzny. — Sam Bohdan Chmielnicki, chciwy władzy samowładnej zwoływał takowe rady w czasie swoich wypraw.

⁷ Wyrażenie używane na Ukrainie, oznacza zawstydzenie się; przekonania tak dobitnego, że mu zamknęło gębę.

⁸ Manewrowanie Kozackich czajek po morzu i całą bitwę, jak najwerniej oddałem podług opisu tych wypraw przez Bantysza Kamińskiego w swojej historii, i artykułu o Kozakach i ich wojnach umieszczonego w *Bibliotece do Czytania* piśmie periodycznem rossyjskiem z r. 1834; pismo to redagowane przez uczonego Sękowskiego, zaleca się wiernością poszukiwań, i szcownym zbiorem rzeczy obchodzących plemiona Sławiańskie.

⁹ Pałac w którym się zbiera rada dywanu, jest położony na drugim dziedzińcu obmurowanej części miasta, zwanej Serajem.

¹⁰ *Iblis*, tak zowią muzułmanie Lucypera wodza Szatanów.

¹¹ Amurat III tak się obawiał Kozaków, iż nie mógł jednej nocy przespać nie marząc o nich; często się budził i wołał na strażę czy Kozacy nie wpadli do Seraju? Na ich wspomnienie chmurzył oko i natenczas okazywał się najsurowszym; kilka razy chciał sprzymierzyć Kozaków z Turcją — historyczne — (Bergeron — Kantemir — Storch — Lesur).

¹² *Dzehehen*, po turecku znaczy piekło.

¹³ Zamek siedmiu wież, pyszne mieszkanie Cesarzów Byzantyńskich obrócone na więzienie. Dziś w zwaliskach trzy tylko wieże jeszcze stoją — (patrz: *Dictionnaire de l'Academie française*: CONSTANTINOPLE).

¹⁴ Wyprawa Skalozuba, zwycięstwo Turków, i śmierć Atamana przypadły roku 1593. W całym opisanu tej powieści postępowałem wiernym krokiem za opisanem jakie się znajduje w tomie drogim: *Sur la puissance Ottomane* przez *Księcia Kantemira*. — Skalozub był to stary wojownik przychylny Polsce; za jego rządów Król Zygmunt zamyslał wprowadzić wyznanie katolickie na Ukrainę — (powiadają Lesur i Scherer). Skalozub dzielny wojownik, odbył trzydzieści wypraw na czajkach przeciw

Turkom, a dwa razy tyle lądowych przeciwko Tatarom. Przebiegły, chytry, na wszystkie wybiegi wojenne, choć nieobeznany z hramotą to jest z piśmem, został obwołany Atamanem całej Kozaczyzny. Śmierć Jego rzuciła wieczną nienawiść między Bisurmanów a Kozaków; tej treści jest Staryna Zaporozkaja.

ATAMAN KUNICKI.

¹ Umowa zawarta między Moskwą a Polską w Andruszowie w r. 1667 oddała pierwszemu państwu całą Ukrainę Zadnieprzańską i miasto Kijów. — Michał Korybut słaby i własną niemocą i intrygami nieustannemi Hetmana Sobieskiego, nie mógł nie działać przeciw umowie, a Sobieski zostawszy Królem, pokojem zawartym w Moskwie roku 1686 przez Grzymułtowskiego i Ogińskiego, zatwierdził umowę Andruszowską — traktat ten powszechnie zowią *Grzymułtowskim*.

² Natenczas nie zwano jeszcze Carami Rosyi, ale Carami Moskwy.

³ *Kuszc*, tak zowią na Ukrainie krzak poziomy.

⁴ *Pisarz*, Urzędnik Kozaczyzny zawiadujący całą Kancelarją.

⁵ Wysłanie Kunickiego na Wołoszczyznę było krokiem biegłego wodza. W owym czasie sztuka wojenna nie znała jeszcze tak rozległych planów i głębokich kombinacji — co by w Fryderyku Pruskim i Napoleonie porachowano na karb wojennego geniuszu, tego historycy nasi nie zrobili z Królem Janem III — przemilczeli albo lekko wspomnieli ten wypadek tyle zaszczytu przynoszący obrońcy Wiednia. — Nieprzyjaciel Polski nienawidzący Jana Sobieskiego, Kantemir (w swojej historii o potęgę państwa Otomańskiego), epizod wojny prowadzonej przez Kunickiego i Petryczejka dokładnie opisuje, oraz wyjaśnia jak wielkie korzyści z tej dywersyi odniósł Sobieski. Turcy obawiali się aby ich Polacy nie odcieśli od kraju, dla tego mdły stawili odpór pod Wiedniem i jak najspieszniej cofali się.

⁶ Mohyla, po uwolnieniu Wiednia z Jazdą Kozacką, był wysłany na oczyszczenie Węgier z Turków. Uskutecznił polecenie i okrył się wielką sławą (patrz: *Leaur, Scherer*): ten sam Mohyla po śmierci Kunickiego został Atamanem Kozaczyzny.

⁷ *Katennica*. Kule słomy do pokrycia dachów, maczane w rozrobionej glinie zowią *Katennicą* — takie nie tak łatwo podlegają pożarowi.

⁸ *Tabor* szyk bojowy w jakim walczyła piechota Kozacka: każda Sotnia miała pewną ilość dużych wozów do których zaprzęgano po parze wołów. W czasie pochodu przez stepy, gdzie co chwila mogli być napadnięci przez Tatarów, Kozacy formowali się w czworograny, a wozy toczyły się z przodu, z tyłu i po bokach; tak postępował ten ruchomy, czworogran — w razie potrzeby do przednich wozów przyprawiane były dyszle z tyłu, tak aby je woły pchać nie ciągnąć mogły. — Kiedy nieprzyjaciel atakował, Kozacy z za wozów rusznicyz ogniem go witali, często nawet rozpienionych bisurmanów kosami odpierali. — Atakowali nieprzyjaciela, wychodząc z pomiędzy wozów; tak byli zręczni w prowadzeniu tego rodzaju boju, iż sto piechoty w Taborze, oprzeć się mogło snadnie dwóm tysiącom najlepszej jazdy.

⁹ *Sumak*, gatunek kozy dzikiej nadzwyczaj szybki i lekki; znachodzi się tylko na wielkich stepach Ukrainy, ma białawe nogi.

¹⁰ *Szuwar*, rodzaj trzciny na stepach, wysokiej i tak się łsknięcej pod słońce, jak gdyby była srebrną.

¹¹ *Babadadży*, oznacza Góra Matka — nieopodal od miasta leży wysoka góra nosząca to imię — od niej przybrała je Stolica Sylistrii.

¹² Znajdą się może niektórzy z czytelników, co osądzą ten obraz przesadzonym — ja go takim nie widzę — bo na własne oczy widziałem w czasie utarczki krew tak hojnie rozlaną, że się z niej utworzyła kaluża, a konie przechodzące przez nią chlupaly i kryły całe rogi kopyt. W drugiej utarce nocnej tak ziemia była przesiąknięta krwią, że pomimo suszy błoto było w tem miejscu.

¹³ Gatunek orłów zwanych *Dziudzien*, przebywających tylko na górze Matce — pióra ich są doskonałemi na strzaly i tę mają własność że położone obok innych piór, zupełnie je zjadają. Turcy je placą 30 lewów — był to jeden z główniejszych przedmiotów handlu mieszkańców Babadah.

¹⁴ Dolina *Walitromba*, zwana doliną nieszczęścia we wszystkich powieściach ludów Sławiańskich osiadłych po nad Dunajem; żaden tamtędy nie przejdzie bez odmawiania pacierzy. Jan Sobieski dwa razy został pobitym, raz będąc Hetmanem, drugi raz Królem. Tam Kunicki zaprzepścił kwiat wojska Kozackiego — i tam Piotr Wielki odniósł ciężką klęskę od Turków (patrz: Kantemira).

¹⁵ Tym sposobem walczyli Turcy: w półksiężycy się rozwijali, pół księżycami obskakiwali nieprzyjaciela i dopóty biegli, póki kołce półksiężyców się nie skleily i nieprzyjaciel nie został otoczonym (patrz: *Beauptana* opis Ukrainy).

¹⁶ *Tabalszana*, muzyka tatarska złożona z kotłów. Przy Hanie znalazł się jeden muzykant z kotłem srebrnym: uderzenie w niego służyło za rozkaz — rozpięta chorągiew biała oznaczala przytomność Hana w czasie bitwy.

¹⁷ *Futor*, tak się zowie na Ukrainie mieszkanie z zabudowaniem gospodarskiem na ustroniu, w lesie albo w polu.

¹⁸ *Rasa*, suknia wierzchnia księży greckich.

¹⁹ Kunicki szlachcic polski, obrany Atamanem Kozaczyzny za ucieczkę przez swoich zamordowanym został — (*Lesur, Scherer*). — Kunicki wyprowadził z ośmiu tysięcy będących na Wołoszczyźnie ledwie kilkaset ludzi, za co skarany został śmiercią przez swoich. Kunicki Ataman za stratę wojska był sądzonym przez Starszyznę i skarany śmiercią; po jego zgonie obrano nowego Hetmana. — *Bantysz Kamiński*. — Ci dwaj ostatni historycy jako najświadosi rzeczy a tem samem najgodniejsi wiary, służyli mi do osnucia tej powieści.

ORLIK I ORLEŃKO.

¹ *Tryhury*, wioska nad rzeką Teterowem o trzy mile od Żytomierza, w położeniu lesistem, otoczona skalami: jest to jedno z najpiękniejszych miejsc nad brzegami Teterowa.

² *Jan Wyhowski*, pisarz Kozaczyzny za Atamanstwa Bohdana Chmielnickiego; po śmierci jego od roku 1658 zarządzał Kozaczyzną z Jerzym

Chmielnickim obwołanym Atamanem Ukrainy. — Kiedy zaś ten ostatni odsunął się od rządów, Wyhowski został Atamanem; natychmiast zerwał przy mierze z Moskwą a zawarł traktat z Polską na zasadzie traktatu Białocerkiewskiego w roku 1660: na głowę poraził Moskali pod Konotopami — przez Senat Rzeczypospolitej i Króla został mianowany Wojewodą Kijowskim. Bitwa pod Konotopami była stoczona podług przepisów jakie wprowadził Gustaw Adolf do Niemiec; nie była to utarczka bez rachunku, bez kombinacji jakie wydawano powszechnie w owych czasach. Stefan Czarniecki Wojewoda Ruski, sławny wojownik Polski podówczas z wojskiem koronnem stał na Ukrainie i miał prawo miecza; zazdrośny sławie Wyhowskiego, którego wówczas zaczęto przyrównywać do Czarnieckiego, przytem namawiany przez szalbierzych Jezuitów, wrogów Atamana wyznającego wiarę Grecką, zaprosił go do Białej Cerkwi. Wyhowski ufnym słowem Wojewody i w dobre stosunki z Polską, przybył bez żadnej straży, ale tam w miejscu przyjęcia przyjacielskiego został sądzonym za jakoweś porozumiewanie się z Moskwą, i świętym roku 1662. Ten czyn na wieczne czasy niesławą skalal pamięć Czarnieckiego, i do reszty rozehwiał nadzieję zgody między Polakami i Kozakami. Jan Wyhowski był mężem wielkich cnót i wielkich zdolności (patrz: *Scherer, Lesur, Bantysz Kamiński*). Papiery i przywileje Jana Wyhowskiego w roku 1830 znachodziły się w ręku Anny z Berkowskich Wyhowskiej żony Ambrożego Wyhowskiego, we wsi Siomakach w powiecie Żytomirskim.

² *Woroniczowie*, rodzina Ruska, byli posiadaczami Tryhur, przez związkę małżeńską Woronicza Starosty Smoleńskiego z Wyhowską, córką pułkownika Braclawskiego pułku; tak świadczą akta składane w procesie granicznym między Księżami Bazylianami, dzisiejszymi posiadaczami Tryhur, a dziedzicami wsi Buków.

⁴ *Smila*, miasteczko w Guberni Kijowskiej, należało niegdyś do rodziny Wyhowskich, teraz zaś jest w posiadaniu Łopuchinów. Smila otoczona lasami, które ogromnie figurują w historii Kozackiej; tam gotowali oni wyprawę na Polskę w ostatnich czasach, tam się kryły dzieci i kobiety w czasie napadów Tatarskich.

⁵ Jerzy Chmielnicki, po śmierci Wyhowskiego wsparty pomocą Polaków, przyszedł dopominać się o Atamaństwo; ale pobity w Czehrynie, musiał ustąpić miejsca Doroszeńce który został obwołany Atamanem r. 1666.

⁶ Księża Bazylianie od niepamiętnych czasów zostają w Tryhurach; ustąpili raz miejsca Jezuitom, ale potem powrócili; dziś posiadają ogromne dostatki z wiosek, lasów i odpustów, na które się gromadzi do Tryhur lud okoliczny kilka razy w rok.

⁷ Po wielkich domach, wydawano rodzaj widowiska zwany *djalogiem*; treść była wyciągnięta z pisma świętego; ubiory i dramatyka zachowywana jak najwierniej — najdystyngowańsze osoby były aktorami.

⁸ Bitwą pod Pułtawą zniweczyła zamiary Karola XII i Mazepy, ale razem wielki cios zadala Polsce, rachującej ciągle na powrót Kozaczyzny do jej łona.

⁹ W całej okolicy po nad Teterowem i dalej po nad Hujwą i Hnylopintem ósmego października we wszystkich wsiach obchodzą uroczystość zwaną *prażnikiem Ś. Michalskim*. Dziedzice wiosek przyczyniają się pieniędźmi a często przytomnością do obchodu. — Powszechnie na niem piją

miód rozsycony wodą zwany *Kanunem*, a pieniądze zaś uzbierane obracają na ozdobę cerkiew.

¹⁰ Zwyczaj jest na Ukrainie że Kozacy dworscy noszą Pańskie dzieci na rękach, zowią to *niańczyć*; niejeden starzec, przychodząc do Pana albo Pani, przypomina że ją kiedyś niańczył; są to drogie wspomnienia które okazują że chłopi mogą się kochać z Panami nawet.

¹¹ Kłębki klęczane oblewane smolą, osadzone na trzpień żelazny, na drewnianej ręczce, zowią *kagańcami*; tym sposobem oświetają drogę w nocy w czasie podróży — konny człowiek z kagańcem bieży przed powozem.

¹² Nie używano w Polsce pawilonów, ale rodzaj oponczy zawieszony nad łóżkiem, na kijach złożonych w czworobok — zwano ją *kotarg*; po domach bogatych była z adamaszku karmazynowego, po ubogich z rozmaitych cyców.

¹³ Słyszałem to od starych ludzi, i sam widziałem na własne oczy. Jak konające osoby mówiły to, co zdala od ich wzroku i słuchu działo się, jakby wieszczym darem obdarzone.

¹⁴ Do dziś dnia Kozacy Ukraińscy przywiązują wielką wartość do srebrnego pierścienia; najbogatszy młodzieniec w pierwszym darze kochance dać musi srebrny pierścień.

¹⁵ Każda wioska ma swoją Starszyzną Kościelną, jako to palamar, śpiewaki, i t. d. — to zowią *cechem*; na pogrzeb Pana z najdalszych wiosek wychodzą z chorągwiemi zwiększać orszak pogrzebowy.

¹⁶ Słyszałem starego księdza Karmelitę z Berdyczewa mówiącego, że czarny z białym kolorem w żałobie, są przyjęte dla oznaczenia walki djabła z aniołem o duszę zmarłego, a razem dla pokazania że krewni są w niepewności czy w niebie czy w czyszczeniu jest zmarły, a tym sposobem nie przestają modlić się dla uproszenia łaski dla niego.

¹⁷ Do dziś dnia istnieje grotta w Tryhurach; tam się przechowywały rodziny Woroncziów i Działyńskich w czasie rzezi Humańskiej.

¹⁸ Całe opisanie czarów Cyganki wziąłem z tego, com widział i com słyszał od starych ludzi i bab.

¹⁹ Jest zwyczajem w obrzędzie greckim, kłaść w trumnę zmarłego kilka sztuk pieniędzy i paszport na tamten świat, w którym się zaleca zmarłego z dobrych zasług i prosi się o wolną przepustkę dla niego.

²⁰ Jedni historycy nazywają rodzinę panującą w Krymie Gierajami druzdy Girajami; pytałem o to Tatarów klasy cywilizowańszej handlującej, końmi — oni mi powiedzieli że powinno się mówić *Giraj*.

²¹ *Czatyrdach* i *Kikineis*, dwie wielkie góry w Krymie.

²² Wyraz *pochoża* często używany na Ukrainie na oznaczenie wielkiej świeżości.

²³ Opisanie stroju Zulmy wziąłem z opisywania stroju bogatych Tatarów, jakie mi robił w roku 1829 porucznik Dmytrów z gwardji Kozaków Dońskich.

²⁴ *Budiaki*, zajmują ogromne obszary na Ukrainie; kwitną ciemno-różowym kolorem, a do koła kwiatu puch biały się obwija.

²⁵ Na wschodzie mówią przez porównania i z wielkim szumem.

²⁶ *Deulet Giraj* po dwakroć razy był wypędzonym i po dwakroć razy wracał na tron.

²¹ Tatarzy swoich wozów nie smarują, mówiąc że nie chcą aby ich brano za złodziei.

²² Po bitwie pod Pultawą General Jakowlew wszedł na ziemię Zaporozką, zniszczył ich Sieczę, będącą nad rzeczką Czertomeliką, wpadającą do Dniepru naprzeciw wyspy Szczebiewiszczy czyli Skarbnicy Wojskowej. General Jakowlew dopuścił się niesłychanych okrucieństw. Siecz zżęgl ogniem, a Zaporozców tam się znachodzących w pień wyciął.

²³ Konstanty Horodeński, Ataman Koszowy Zaporozża, połączył się w sześć tysięcy jazdy z Mazepą i Karolem XII.

²⁴ Chociaż było 38 kureni, jak to okazują ślady historyczne, Kozacy mieli zwyczaj mówiąc o Sieczy: tam jest *Sorok Kureniu*, tam się znachodzi 40 Kurzeni.

²⁵ *Kazan*, znaczy w Tatarskim Języku kociół. Tatarzy w Hordach rachowali się na kazany, składające się z liczby ludzi, jedzących z jednego kotła.

²⁶ Te słów kilka wyjąłem z dumki Mazepy, znajdującej się w *zbiorze pieśni matoruskich Maksymowicza*, a którą przetłumaczyłem na język francuzki i umieściłem w *Revue du Nord* w artykule *Aperçu sur la Poésie Cosaque*.

²⁷ Piotr Wielki miał w swojej służbie jazdę niemiecką zwaną Rajtarami, Dragonami. Na Ukrainie często w miejscu *Niemiec* mówią *Miemiec*.

²⁸ Kiedy pod Zborowem przybyli wysłannicy Lacey do Chmielnickiego, Ataman dumny swoim zwycięstwem, mówił aby co prędzej zawierali pokój, bo jeżeli nie, to dodał — smutny Lasze, jak wyjdą na mochył a stanu, taj hlanu — po Słucz naszą — z tych słów urosło mnóstwo piosnek do dzisiaj śpiewawanych na Ukrainie.

²⁹ Brzechowiecki, Ataman Koszowy po złożonym Samku, płądrował po Tatarszezyźnie r. 1668.

³⁰ W czasie cofania się z pod Pultawy, Horodeński z swoimi Zaporozcami zasłaniał niedobitki Szwedów i Ukraińców Mazepy; w Krzywym lesie, nim przebyli Dniepr, Zaporozce dokazywali cudów waleczności; najlepsza piechota i jazda Meużykowa nie mogła przelamać garstki dziarskich mołojców: walczyli i konno i pieszo z równem mężstwem i szczęściem.

³¹ Doroszenko był najlepszym mówcą ze wszystkich Atamanów. Książę Dymitr Kantemir w swoim dziele *Histoire de la puissance Atamanne* — podaje Jego mowę mianą do Kozaków; jest to wzór giętkości wyrażen i dobitności argumentów.

³² Po zburzeniu Sieczy Czertomelickiej Zaporozce koczowali po stepach Akernańskich zwanych Biłgorodzkiemi, od nazwiska *Bitgorod*, jakim oznaczają Kozacy miasto Akerman.

³³ *Filip Orlik*, był Assawulą przy Mazepie, a po śmierci Horodeńskiego obrany został Koszowym Atamanem. Odszczepił się od swej wiary i przyjął Mahometańską, ożenił się z Tatarką. — Zaporozce zrucili go z Atamanstwa, a jeden z nich własną go ręką zabił — tak mówi historja.

³⁴ *Elias Ilkowicz Skorupadzki*, naznaczony Atamanem przez Piotra Wielkiego na miejscu Mazepy, musiał ciągle czuwać nad granicami Ukrainy Zadnieprzańskiej i odganiać napady Orlika, a jeszcze bardziej jego następcy Orleńki.

⁴¹ Książę Kantemir wspomina w swoim dziele: że Amurat drugi pozwolił pić wino Muzulmanom.

⁴² Mylą się powszechnie kładąc za najpiękniejsze kobiety Czerkieski; prawdziwie to pierwszeństwo się należy Gruzjankom.

⁴³ Atamanowie nosili przy czapkach czaple pióra na znak, iż tak czuwać będą nad bezpieczeństwem Kozaczyzy, jak czapla, najczujniejsza z ptaków.





1993 -01- 0 0

21. 05. 1999

2009 -05- 0 2

2011 -02- 1 8

2013 -09- 0 9

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH

13596